

# STAR WARS

PRZEZNACZENIE JEDI



HEGEMONIA

CHRISTIE GOLDEN



# STAR WARS

PRZEZNACZENIE JEDI

HEGEMONIA

CHRISTIE GOLDEN



PRZEZNACZENIE JEDI

HEGEMONIA

# CHRISTIE GOLDEN

Przekład

Błażej Niedziński

Redakcja stylistyczna

Magdalena Stachowicz

Korekta

Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki

Ian Keltie i David Stevenson

Ilustracja na okładce

© Ian Keltie

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału

Fate of The Jedi: Ascension

Copyright © 2011 by Lucasfilm, Ltd. & ® or ™ where indicated.

All Rights Reserved.

Used Under Authorization.

For the Polish translation

Copyright © 2012 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4292-7

Warszawa 2012. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel. 22 620 40 13, 22 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

*Niniejszą książkę, mój ostatni zapis w tej niesamowitej dziewięcioczęściowej przygodzie, dedykuję tym, którzy mi w niej towarzyszyli: Aaronowi Allstonowi Troyowi Denningowi*

*Shelly Shapiro*

*Sue Rostoni*

*Wspólna inwencja tego zespołu była i wciąż jest wręcz fenomenalna. Dziękuję, że mogłam być jego częścią*

## **BOHATEROWIE POWIEŚCI**

Abeloth Allana Solo - dziewczynka

Ben Skywalker - Rycerz Jedi (mężczyzna)

Darish Vol - Wielki Lord Zapomnianego Plemienia Sithów (mężczyzna) Drikl Lecersen - moff (mężczyzna)

Gavar Khai - Miecz Sithów (mężczyzna)

Han Solo - kapitan „Sokoła Millenium” (mężczyzna)

Haydnat Treen - senator, członek triumwiratu zarządzającego Galaktycznym Sojuszem (kobieta)

Ivaar Workan - Arcylord Sithów (mężczyzna)

Jagged Fel - przywódca Imperium Galaktycznego (mężczyzna) Jaina Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Leia Organa Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Luke Skywalker - Wielki Mistrz Jedi (mężczyzna)

Padnel Ovin - senator z Klatooine (Klatooinianin)

Saba Sebatyne - Mistrzyni Jedi i członek triumwiratu (Barabelka) Tahiri Veila - zbiegła więźniarka (kobieta)

Vestara Khai - uczennica Sithów (kobieta)

Wynn Dorvan - członek triumwiratu (mężczyzna)

## **ROZDZIAŁ 1**

## Sala Rady Kręgu, stołeczne miasto Tahv, Kesh

Ostre słońce wpadające przez witraże kopuły Sali Rady Kręgu malowało ciała zebranych feerią barw. Jednak w tym dużym pomieszczeniu nie dokuczało gorąco; dla tak wprawnych użytkowników Mocy jak zgromadzeni tu Sithowie regulowanie temperatury było dziecinną igraszką.

To posiedzenie, chociaż nadzwyczajne, odbywało się z zachowaniem wszelkich form; kto jak kto, ale Sithowie byli skrupulatni. Wielki Lord Darish Vol, przywódca Zapomnianego Plemienia, zwołał zebranie niecałą standardową godzinę wcześniej. Teraz siedział, górując nad wszystkimi, na swoim tradycyjnym tronie z metalu i szkła ulokowanym na podium, w samym środku sali. Zdążył wprawdzie włożyć swoje barwne oficjalne szaty, nie miał jednak czasu, żeby czekać, aż jego słudzy namalują mu na twarzy ozdobne wzory *vor shandi*, stosowne do okazji. Vol poruszył się lekko na tronie, niezadowolony z tego faktu, niezadowolony z całej sytuacji, która wymusiła zwołanie tego zebrania.

Na jego kolanach leżała ceremonialna laska. Zaciskał na niej swoje szponiaste dłonie, a wciąż przenikliwym pomimo wieku wzrokiem wodził po sali, patrząc, kto jest, a kogo nie ma.

Obserwował wszystko, przewidując reakcje obecnych.

Po obu stronach Wielkiego Lorda siedzieli Arcylordowie. Tego dnia obecnych było dziewięcioro z tradycyjnej trzynastki - kobiety i mężczyźni, ludzie i Keshiri. Jeden z Arcylordów, Sarasu Taalon, już nigdy nie miał się pojawić wśród nich. Taalon zginął, a jego śmierć była jednym z powodów, dla których Vol zwołał zebranie. W kręgu wokół podium siedzieli Lordowie, znajdujący się niżej w hierarchii od Arcylordów, a za ich plecami stali Sithowie w randze Mieczów.

Wśród nich także wielu brakowało. Niektórzy zginęli. Inni... cóż, ich los pozostawał niewyjaśniony.

Vol czuł panujące w pomieszczeniu napięcie; nawet ktoś niewrażliwy na Moc mógłby wyczytać to z mowy ciała uczestników spotkania. Gniew, niepokój, wyczekiwanie i obawy buzowały tego dnia w sali, chociaż większość obecnych dobrze je ukrywała. Vol posługiwał się Mocą, regulując tętno i ilość substancji chemicznych, które z powodu stresu krążyły w jego organizmie. Było to dla niego równie naturalne jak oddychanie. W ten sposób zachowywał

trzeźwość umysłu, chociaż jego serce jak zawsze było otwarte na emocje i pasję. Gdyby stało się zamknięte i niewzruszone, nie byłoby już sercem prawdziwego Sitha.

- Mówię wam, to zbawczym! - przekonywała Lady Sashal. Była drobna, miała długie, białe, idealnie ufrizonowane włosy i fioletową skórę o uroczym lawendowym odcieniu. Jej melodyjny głos niósł się po całej sali. - Statek jej słucha, a czyż Statek nie był... - przez chwilę szukała odpowiednich słów - ...wytworem Sithów, który wyzwolił nas z okowów izolacji i niewiedzy na temat galaktyki? Statek był narzędziem, którego użyliśmy, żeby podążać za naszym przeznaczeniem, żeby zdobywać gwiazdy. Jesteśmy na dobrej drodze do realizacji tych celów!

- Owszem, Lady Sashal - odparł Arcylord Ivaar Workan. - Ale to my mamy władać tą galaktyką, a

nie ta obca istota.

Ten atrakcyjny, siwiejący mężczyzna był Lordem przez wiele lat, ale dopiero niedawno został mianowany Arcylordem. Przedwczesny zgon Taalona utorował Workanowi drogę do awansu. Vol z przyjemnością obserwował Workana, który wszedł w nową rolę tak, jakby był do niej stworzony. Sithowie nie ufali nikomu poza sobą i Mocą, Vol jednak uważał Workana za jednego z mniej skłonnych do zdrady.

- Jest bardzo silna Ciemną Stroną - zauważył Arcylord Takaris Yur. - Silniejsza niż ktokolwiek, o kim słyszeliśmy. - W ustach Mistrza Świątyni Sithów było to znaczące stwierdzenie.

Niewiele osób na Kesh miało równie rozległą wiedzę na temat przeszłości Sithów - a odkąd przemierzali gwiazdne szlaki, także ich teraźniejszości - co ten z pozoru łagodny, ciemnoskóry człowiek w średnim wieku. Yur był ambitny, jednak, co wydawało się dziwne u Sitha, jego ambicje w dużej mierze nie miały osobistego charakteru; związane były raczej z jego uczniami. Starał się ich jak najlepiej wykształcić, po czym wypuszczał na niczego niepodważający świat i skupiał

uwagę na kolejnej generacji nowicjuszy. Yur rzadko się odzywał, ale gdy już to robił, wszyscy go słuchali, jeśli tylko mieli dość rozumu.

- Silniejsza ode mnie? - spytał łagodnie Vol, z takim wyrazem twarzy, jakby prowadził leniwą pogawędkę w piękny letni dzień.

Yur z niewzruszonym spokojem odwrócił się w stronę Wielkiego Lorda i uklonił.

- To prastara istota - powiedział. - Sądzę, że głupotą byłoby nie skorzystać z jej wiedzy. -

Vol uśmiechnął się nieznacznie; Yur właściwie nie odpowiedział na jego pytanie.

- Można się wiele dowiedzieć o rukaro, stając mu na drodze - ciągnął Vol. - Jednak niewielki z tej wiedzy pożytek, jeśli nie przeżyje się takiego spotkania.

- To prawda - zgodził się Yur. - Uważam jednak, że ona może być użyteczna. Powinniśmy wycisnąć z niej co się da, a następnie pozbyć się resztek. Doniesienia wskazują, że ma naprawdę dużą wiedzę i umiejętności posługiwania się Mocą, które może przekazać nam i przyszłym generacjom Zapomnianego Plemienia.

- Ona nie jest Sithem - wtrącił Workan. Nuta pogardy w jego melodyjnym głosie sugerowała, że ta jedna potępiająca uwaga powinna zakończyć dyskusję.

- Jest! - sprzeciwiła się Sashal.

- Ale nie w tym sensie, w jakim my jesteśmy Sithami - ciągnął Workan. - A nasza kultura, nasze wartości, nasze dziedzictwo to jedyna droga, jeśli przeznaczenie Sithów ma pozostać czyste i nieskalane. Możemy skazać się na zagładę, jeśli uzależnimy się nadmiernie od kogoś spoza Plemienia, choćby był nie wiem jak potężny.

- Sithowie biorą, co chcą - stwierdziła Sashal, zbliżając się do Workana. Vol z uwagą obserwował ich oboje, zastanawiając się leniwie, czy naprawdę Sashal rzuca wyzwanie swojemu przełożonemu. Uznałby to za niemądre. Workan był od niej o wiele potężniejszy. Cóż, ambicja i mądrość nie zawsze szły ze sobą w parze.

Sashal się wyprostowała; pomimo niewielkiego wzrostu emanowała w Mocy ogromną pewnością siebie.

- Wykorzystamy ją, a kiedy już nie będzie nam potrzebna, pozbedziemy się jej. Ale, na miłość Ciemnej Strony, najpierw ją schwytajmy! Posłuchajcie Arcylorda Yura! Pomyślcie, ile możemy się nauczyć! Z tego, co słyszeliśmy, ona ma zdolności, o jakich nam się nie śniło!

- Z tego, co słyszeliśmy, jest nieprzewidywalna i niebezpieczna - odparował Workan. -

Tylko głupiec dosiada ułwa, którego nie potrafi okiełznać. Nie mam zamiaru poświęcać kolejnych Mieczów i Lordów, żeby pomóc Abeloth osiągnąć jej cele, jakiegokolwiek by one były. A może nie dotarło do was, że nawet nie znamy jej prawdziwych zamiarów?

Vol wyczuł niepokój i niecierpliwość w zbliżającej się do Sali Kręgu postaci. Była to Miecz Yasvan. Jej urodziwa twarz ściągnięta była w wyrazie zatroskania.

- Tylko głupiec odrzuca broń, która może się jeszcze przydać - odparł Yur. - Ktoś tak prastary jak ona... Powinniśmy ją przechytryć i odkryć jej tajemnice.

- Nasze szeregi nie są nieskończone, Lordzie Yur - zauważył Workan. - Biorąc pod uwagę tempo, w jakim Sithowie giną przy kontaktach z nią, niewielu nas zostanie, zanim się czegokolwiek dowiemy.

Vol wysłuchał tego, co Yasvan wyszeptała mu do ucha; pokiwał głową i odprawił ją ruchem pokrytej wątrobowymi plamami ręki.

- Chociaż dyskusja jest niezwykle zajmująca - oznajmił - pora ją zakończyć. Właśnie się dowiedziałem, że Statek nawiązał kontakt z naszą obroną planetarną. Abeloth i Sithowie, których wysłałem, żeby jej towarzyszyli, powinni być tuż za nim.

Wszyscy wiedzieli, że należy się jej spodziewać; w końcu to było powodem zwołania tego posiedzenia. Wszystkie oczy zwróciły się wyczekująco ku Volowi. Jaką decyzję podejmie ich Wielki Lord?

Trzymał ich przez chwilę w niepewności. Był już stary i niewiele rzeczy go bawiło, więc nie odmówił sobie tej drobnej przyjemności.

- Usłyszałem argumenty za kontynuowaniem ścisłej współpracy z nią, ale także za zerwaniem kontaktów - powiedział w końcu. - Przyznaję, że nie jestem przesadnym entuzjastą tego pierwszego rozwiązania, czego zresztą nie ukrywałem, nie sądzę jednak, żeby była akurat pora na to drugie. Najlepszym sposobem na zwycięstwo jest przygotowanie się na wszystkie ewentualności.

Tak więc Kesh i Krąg Lordów zaproszą Abeloth na naszą planetę. Zgotujemy jej huczne powitanie:

biesiady, pokazy sztuk i prezentacja naszej dumnej i potężnej kultury. A przy tym - dodał, bacznie się wszystkim przyglądając - będziemy patrzeć, słuchać i uczyć się. A potem zadecydujemy, co będzie najlepsze dla Zapomnianego Plemienia z Kesh.

Miecz Sithów Gavar Khai siedział na fotelu kapitana na mostku „Czarnej Fali”, fregaty typu ChaseMaster, która kiedyś należała do Sarasu Taalona, Cały iluminator wypełniał kulisty kształt jego ojczystej zielono-brązowo-niebiesko-lawendowej planety. Khai obserwował spod ciężkich powiek porośnięty bujną roślinnością świat. Przez wiele lat Kesh była odcięta od reszty galaktyki, a teraz Khai stwierdził, że ma bardzo mieszane uczucia co do swojego powrotu.

Z jednej strony cieszył się, że wraca do domu. Jak każdy członek Zapomnianego Plemienia, spędził tu całe życie do chwili, gdy po raz pierwszy opuścił planetę - przed zaledwie dwoma laty.

Miłość do jej pięknych szklanych rzeźb i fioletowych piasków, jej muzyki i kultury, jej brutalności, ale także porządku była głęboko zakorzeniona w jego sercu. Plemię żyło tu od ponad pięciu tysięcy lat, a nie mając innych możliwości - zgodnie z filozofią Sithów - wykorzystało ten fakt najlepiej jak się dało. Kiedy dawno, dawno temu statek „Omen” wylądował awaryjnie na Kesh, ci, którzy przeżyli, postanowili nie tylko przetrwać na tym świecie, ale i nad nim zapanować. I tak się też stało. Zdołali podporządkować sobie Keshirich, pięknych rdzennych mieszkańców Kesh. Ci z nich, którzy byli tego godni - silni w Mocy i zdolni do przyswojenia narzuconego przez Sithów sposobu myślenia i życia - mogli przy odpowiednio silnej woli wywalczyć sobie miejsce w ich społeczeństwie.

Ci zaś, którzy nie byli użytkownikami Mocy, nie mieli takich możliwości. Byli zdani na łaskę rządzących. I czasem, tak jak w przypadku Gavara Khai i jego żony, zdarzała się łaska. A nawet miłość.

Najczęściej jednak nie było ani jednego, ani drugiego.

Ci zaś, którzy ryzykowali, chcąc poprawić swoją pozycję, i przegrywali, rzadko przeżywali na tyle długo, by spróbować tego po raz drugi. Powstało ściśle kontrolowane społeczeństwo o precyzyjnie określonych rolach. Każdy wiedział, czego się od niego lub niej oczekuje, i wiedział

też, że do odmiany swojego losu potrzeba odwagi, sprytu i szczęścia.

Gavar Khai miał wszystkie te atrybuty.

Jego życie na Kesh było dobre. To prawda, marzył o tym, żeby zostać w przyszłości Lordem

- może nawet Arcylordem, jeśli nadarzy się taka okazja lub uda się ją stworzyć - jednak nie był

niezadowolony ze swojej obecnej sytuacji. Jego żona - choć nie była użytkownikiem Mocy -

wspierała go ze wszystkich sił. Była wierna, oddana i doskonale wychowała ich niezwykle obiecującą córkę, Vestarę.

A Vestara była największym skarbem Gavara Khai.



Dyscyplina to coś, czego każde dziecko Sithów zaznawało niemal natychmiast po opuszczeniu łona matki. Obowiązkiem rodziców było odpowiednie ukształtowanie swoich potomków, żeby były one przygotowane do objęcia właściwych ról w społeczeństwie. Kary cielesne, chociaż na porządku dziennym, rzadko jednak podyktowane były gniewem. Stanowiły po prostu jeden z elementów wychowania i nauczania dzieci. Khai nie był zwolennikiem tego rodzaju środków dyscyplinujących; wolał inne metody, takie jak medytacja, wyczerpujące sparingi czy odmowa aprobaty.

Ku jego zadowoleniu nigdy nie musiał podnosić ręki na Vestarę. Wydawała się stworzona do doskonałości; miała w sobie tyle zapału i ambicji, że nie potrzebowała żadnej „zachęty”.

Khai oczywiście miał własne cele i ambicje. Największe nadzieje wiązał jednak ze swoją córką. Przynajmniej tak było do niedawna.

Z zadumy wyrwał go dźwięk komunikatora, oznaczający wiadomość z powierzchni planety.

- Wiadomość od Wielkiego Lorda Vola, Mieczu Khai - oznajmiła jego zastępczyni, Tola Annax, a pod nosem dodała: - Bardzo szybko, doprawdy wyjątkowo szybko.

- Spodziewałem się tego, jak tylko odebrał moją wiadomość - powiedział Khai. -

Porozmawiam z nim.

Pojawił się hologram pomarszczonego Wielkiego Lorda. Minęło trochę czasu, odkąd Khai widział przywódcę Zapomnianego Plemienia. Czy Vol zawsze wyglądał tak wątło, tak... staro? Już sam jego wiek zasługiwał na szacunek, ponieważ Sith, który dożył sędziwych lat, musiał dokonać czegoś wyjątkowego. Jednak istniało takie pojęcie jak „za stary”, a ci, którzy byli za starzy, musieli zostać odsunięci. Starannie ukrywając swoje myśli, Khai zastanawiał się, czy sławny Wielki Lord zbliża się do tego momentu. Zobaczył, że jego białowłosa zastępczyni rasy Keshiri też wpatruje się w hologram. Z pewnością Annax, która niemal obsesyjnie dopatrywała się w każdym oznak słabości, myślała o tym samym.

- Miecz Gavar Khai - powiedział Vol, a jego głos zabrzmiał zaskakująco mocno. -

Liczyłem, że porozmawiam z samą Abeloth.

- Jest teraz na Statku. Nie obawiaj się, zobaczysz ją, kiedy wyląduje na Kesh - odparł gładko Khai. - Zależy jej na tym, żeby zrobić dobre pierwsze wrażenie.

- Rozumiem, że skoro teraz ty ze mną rozmawiasz, to wybrała ciebie, żebyś zastąpił

Arcylorda Taalona w naszych... kontaktach z nią.

- Nie zostało to wyraźnie powiedziane, ale owszem, Abeloth zwróciła się do mnie po śmierci Lorda Taalona.

- Dobrze, bardzo dobrze. W takim razie bądź tak dobry i zapewnij Abeloth, że tak jak ona pragnie na wstępie zrobić dobre wrażenie... po tym, jak członkowie Plemienia tak blisko z nią współpracowali i

tak wiele dla niej poświęcili... nam także zależy, żeby nasze pierwsze spotkanie było udane. Będziemy zatem potrzebowali czasu, żeby przygotować się na przybycie tak dostojnego gościa. Powiedzmy trzy dni. Planujemy paradę prezentującą chwałę Zapomnianego Plemienia, a po niej maskaradę.

Khai potrafił rozpoznać pułapkę, podobnie zresztą jak Annax - która zajęła się przełącznikami, żeby nie było widać, że podsłuchuje - i reszta jego załogi. Tym bardziej, że ta była zupełnie jawna. Vol sprawdzał po prostu lojalność Khaia. Zmuszając Abeloth, żeby czekała całe trzy dni, zanim zostanie przyjęta, miał pokazać jej miejsce w szeregu. To tak, jak kazać czekać nowicjuszowi wezwanemu na rozmowę o jego postępach w nauce. Vol jednak nie miał zamiaru się do tego przyznać; nadal będzie twierdził, że po prostu chce zadbać, żeby wszystko było jak trzeba na przyjęcie ich szacownego gościa. A że wszyscy znali zamiłowanie Sithów do ceremonii i splendoru, miało to nawet pozory prawdy.

Vol, czekając na odpowiedź Khaia, próbował zapewne odgadnąć, wobec kogo lojalny jest Miecz.

A Khai uświadomił sobie nagle z przerażeniem, że sam tego nie wie.

Abeloth bez wątpienia wyczuwała całą rozmowę i obserwowała obecność Khaia w Mocy. Z

tego, co wiedział o możliwościach Statku, pewnie także obserwowała samą rozmowę. Zwrócił się więc spokojnie do człowieka, który rzekomo rządził Zapomnianym Plemieniem Sithów.

- Abeloth będzie zawiedziona, słysząc, że przygotowania potrważą tak długo - powiedział, modulując głos. - Może to nawet odebrać jako zniewagę. - Niewidoczna dla Wielkiego Lorda Annax pokiwała głową.

- No cóż, tego byśmy nie chcieli, prawda? - odparł Vol. - Jako wzorowy Miecz Sithów będziesz musiał ją po prostu przekonać, że jest to podyktowane naszym szacunkiem. Wierzę, że potrafisz to zrobić.

Khai pokiwał powoli głową.

- Tak jest. Potrafię.

- Znakomicie. Zawsze wysoko cię cenilem... tak jak i cała reszta Kręgu. Wiedziałem, że i teraz mnie nie zawiedziesz. Przekaż Abeloth moje pozdrowienia. Bardzo się cieszę na nasze spotkanie. Słyszałem też różne pogłoski i nie mogę się doczekać, żeby dowiedzieć się od ciebie, jak spisuje się Vestara.

Hologram zniknął. Khai rozparł się w fotelu, pocierając w zamyśleniu podbródek. Usłyszał

cichy sygnał oznaczający nadchodzącą wiadomość, co natychmiast obudziło jego czujność.

- Mieczu Khai - odezwała się Annax - Abeloth pragnie porozmawiać z tobą na osobności. -

Popatrzyła na niego jasnymi oczami; jej bystry umysł wybiegał z pewnością do przodu, analizując

możliwe konsekwencje tej rozmowy.

Khai pokiwał głową. Tego też się spodziewał.

- Odbiorę w mojej kwaterze - zdecydował.

Kilka chwil później znalazł się w surowej kwaterze kapitana „Czarnej Fali”. Odczekał chwilę, żeby się uspokoić, po czym usiadł przy niewielkim biurku i powiedział głośno:

- Połącz.

- Tak jest - odparła natychmiast Annax. Zastanawiał się, czy ta Keshiri go podsłuchuje.

Spodziewał się przekazu holograficznego, jednak Abeloth wybrała łączność wyłącznie dźwiękową.

- Mieczu Khai - przywitała go. Jej głos brzmiał inaczej niż wtedy, gdy porozumiewali się w kwestii współpracy; był silniejszy, bardziej władczy. Mniej... cierpiący. Khai natychmiast porzucił tę myśl.

- Witaj, Abeloth - powiedział. - Rozmawiałem z Lordem Volem.

- Wiem - odparła, potwierdzając jego przypuszczenia, że wyczuła tamtą rozmowę. - Nie poszło tak dobrze, jak się spodziewałeś.

- Powiedziałbym raczej, że nie poszło tak dobrze, jak można by sobie życzyć - sprostował Khai.

Khai.

- Mam nadzieję, że Lord nie zechce mnie pozbawić możliwości odwiedzenia waszego świata - powiedziała Abeloth.

- Wręcz przeciwnie. Nalega, żeby Kesh, a w szczególności Tahv, dostały trzy dni na przygotowania, bo Sithowie chcą powitać cię z wszelkimi honorami, na jakie zasługujesz.

- Podejrzewasz, że kłamię?

Gavar Khai grał teraz w bardzo niebezpieczną grę. Nade wszystko chciał zapewnić sobie sukces - czy choćby przetrwanie, gdyby coś poszło nie tak. Zawsze był bezwzględnie lojalny wobec swojego ludu, jednak jego doświadczenia z Abeloth otworzyły mu oczy na potęgę, jaką dysponowała. Idealnie by było, gdyby mógł połączyć obie te siły, ale musiał cały czas pamiętać, że konflikt między Abeloth a Zapomnianym Plemieniem Sithów może wybuchnąć na nowo.

A gdyby do tego doszło, musiał zadbać o to, żeby znaleźć się po stronie zwycięzcy.

Kłamstwa bywały użyteczne, jednak niekiedy prawda mogła przynieść jeszcze więcej korzyści.

Powiedział zatem prawdę.

- Nie sędzę, żeby kłamał. Organizowanie wielkich uroczystości dla uczczenia doniosłych momentów to tradycja w naszej kulturze. Zawsze odbywają się wtedy parady, przyjęcia i inne atrakcje. A Lord Vol niewątpliwie zdaje sobie doskonale sprawę, że przymierze z tobą jest niezwykle ważnym wydarzeniem dla Sithów.

- Nie uważasz, że skazywać szacownego gościa na trzydniowe czekanie wydaje się nietaktem? - W głosie Abeloth słychać było irytację, którą Khai wyczuwał także w Mocy, zimną i urażoną.

- Takie przygotowania wymagają czasu - zauważył. - Nie wiem, co on planuje.

To akurat stwierdzenie było nie mniej prawdziwe niż wschodzące słońce, chociaż Tola Annax mogłaby mu zapewne podsunąć całą listę możliwych pomysłów.

- A więc dobrze, damy Lordowi Volowi trzy dni. Przypuszczam, że mi się spodobają tak wyszukane uroczystości. Miło jest być honorowanym i szanowanym.

- Istotnie, to będzie radosne wydarzenie. Słyszałem, że ma się odbyć parada, a po niej maskarada.

Po krótkiej chwili rozległ się chichot.

- Maskarada! Co za świetny pomysł. Tak, na pewno mi się to spodoba.

- Mogę cię zapewnić, że czegoś takiego jeszcze nie widziałaś.

- O, niewątpliwie. Jestem pewna, że tak odizolowany świat musiał stworzyć swoje własne, wyjątkowe tradycje. - Słowo „odizolowany” zabrzmiało w jej ustach jak „zacofany”, jednak Khai stłumił w sobie wszelkie pretensje z powodu protekcyjnego potraktowania. - To twój świat, Mieczu Khai - ciągnęła. - Wiem, że masz tu jeszcze jakąś rodzinę poza córką. Odwiedzisz ją przed uroczystościami?

- Jestem dowódcą tej flotyli - przypomniał Khai. - I nie, nie planowałem tego.

- Ależ zrób to - powiedziała Abeloth. Zabrzmiało to jak sugestia, jednak Khai wiedział, że nią nie jest. - Wszyscy inni, którzy mieliby ochotę, również powinni to zrobić. Nie sędzę, żebym długo tu zabawiła.

- Jak sobie życzysz - odparł Gavar Khai, zastanawiając się po raz stutysięczny, co właściwie miała na myśli.

## **ROZDZIAŁ 2**

### **Posiadłość rodziny Khai, Kesh**

Noc była piękna. Ogromny księżyc w pełni rzucał srebrzysto-niebieską poświatę na tereny otaczające posiadłość rodziny Khai. Gavar Khai stał na balkonie głównego budynku, nagi, jeśli nie liczyć

lekkich, bufiastych spodni. Jego czarne włosy, spięte zwykle na czubku głowy, teraz były rozpuszczone i opadały swobodnie na ramiona.

Spojrzał na swoją cybernetyczną rękę. Uniósł ją powoli, zaciskając i rozluźniając pięść.

Technologia była doskonała, pod każdym względem odwzorowywała prawdziwą rękę. Miała skomplikowane czujniki, które odtwarzały wszystkie doznania dotykowe, a w wielu aspektach przewyższała kończynę z krwi i kości. Teraz, gdy opanował już w pełni posługiwanie się nią, wiedział, że wkrótce stanie się silniejszy i szybszy niż dawniej. Gdyby rzeczywiście tak się stało, to

„oszpecenie”, na które krzywo patrzyli członkowie Zapomnianego Plemienia, mogłoby zostać uznane za atut.

A jednak... to nadal była sztuczna ręka. Kiedy godzinę wcześniej pieścił nią ciało swojej żony, dotyk jej skóry nie był taki sam.

Nie było to rezultatem słabości - stracił rękę nie w bezmyślnym wypadku, tylko w walce z jednym z najpotężniejszych Jedi w historii. Mimo to Khai nie mógł pozbyć się myśli, że nie powinno się to zdarzyć.

Westchnął cicho, spoglądając na krajobraz składający się ze skalistych wzgórz i upartych drzew, które, chociaż powykrzywiane, rosły w tym suchym środowisku. Z dołu dobiegał przyjemny szmer wody w dużej fontannie ze szkła i ceramiki. Zwykle ten odgłos wydawał mu się kojący.

Teraz jednak słowo „fontanna” kojarzyło mu się jedynie z Fontanną Przedwiecznych Huttów na Klatooine. Próba zdobycia jej fragmentu była aroganckim, głupim wyskokiem Taalona i doprowadziła do niepotrzebnej śmierci kilku członków Zapomnianego Plemienia. Normalnie coś takiego by Khaia nie obeszło. Wciąż jednak dręczyła go myśl, że gdyby mieli jeszcze jeden statek pełen Sithów, to może zdołaliby pokonać i podporządkować sobie Abeloth, zamiast próbować z konieczności zawrzeć z nią sojusz.

Z drugiej strony... to mogło im wyjść na dobre. Jeśli ta istota faktycznie była potężniejsza od Zapomnianego Plemienia...

Wyczuł bezsenność i troskę swojej żony, zanim usłyszał ciche stapanie jej bosych stóp.

Stała za nim i objęła jego szczupłą talię. Machinalnie nakrył jedną z jej dłoni swoją cybernetyczną ręką. Ona przycisnęła policzek do jego pleców.

- Dlaczego mój mąż nie wypoczywa spokojnie we własnym łóżku? - spytała cicho Lahka. -

Chyba nie martwisz się nadchodzącymi wydarzeniami?

Gavar nie odpowiedział od razu. Westchnął, odwrócił się twarzą do żony i wziął ją w ramiona.

- Owszem, martwię się - wyznał. - Wiele zależy od tego, jak wszystko się jutro potoczy. -

Spojrzał na księżyc i poprawił się: - Dzisiaj.

Uśmiechnęła się do niego. Żona nie miała w sobie żadnej wrażliwości na Moc. Normalnie czyniłoby ją to niegodną jego uczuć. Jednak Lahka posiadała inne niezwykle cenne przymioty. Była inteligentna, cierpliwa i umiała dochować tajemnicy. I była piękna, tak piękna jak kobiety Keshiri, chociaż była człowiekiem. Nawet teraz, mimo że młodość już miała za sobą, jej łagodny uśmiech poruszał jego serce. Była dobrą towarzyszką życia i dobrą matką, a Khai tęsknił za nią, kiedy był

poza domem.

Poszukała wzrokiem jego spojrzenia.

- Martwisz się o naszą córkę - odparła.

Gavar dał jej delikatnego prztyczka w nos.

- I ty mówisz, że nie jesteś wrażliwa na Moc.

- Jestem wrażliwa na Gavara - odparła z ciepłym humorem - a to może być nawet lepsze.

Do tej pory nie rozmawiali o Vestarze i Gavar stwierdził nagle, że czuje potrzebę podzielenia się z żoną swoim niepokojem. Nikt w całej galaktyce nie znał Vestary tak dobrze jak on i Lahka. Może właśnie ona rzuci nowe światło na sprawę.

Teraz więc, stojąc na balkonie z żoną w ramionach, Gavar Khai spokojnie opowiedział o wyzwaniach, jakie postawił przed ich córką. O jej ewentualnym sukcesie lub porażce. O zabiciu Arcylorda Taalona. Lahka nie protestowała ani nie wydawała się zmartwiona. Zarówno jej córka, jak i jej mąż byli potężnymi użytkownikami Ciemnej Strony Mocy. To on, a nie Lahka, najlepiej się nadawał na przewodnika Vestary. Gavar jednak wiedział, że żona kocha ich oboje, i cieszył się, że może z nią swobodnie porozmawiać.

- Czy ona kocha tego chłopaka Jedi? - spytała Lahka.

- Owszem, to jeszcze chłopak, ale już Rycerz Jedi. Ich odpowiednik Miecza. I tak, sądzę, że go kocha.

- Myślisz, że mogłaby go przeciągnąć na naszą stronę? To mógłby być cenny nabytek dla Plemienia, no i wydaje się, że dobrze by traktował naszą córkę. Z szacunkiem i troską. - Lahka miała właściwą hierarchię wartości: na pierwszym miejscu dobro Plemienia, a potem dopiero ich dziecka.

- Obawiam się, że to on może przeciągnąć ją na swoją stronę - powiedział. - Chwilami wydaje mi się, że jest naprawdę moją córką, dumną i niezłomną Sithanką, na jaką ją wychowałem.

A kiedy indziej mam wrażenie, że jest o krok od zdrady.

Rzuciła mu uśmiech, niemal promieniujący miłością.

- Nie nasza Vestara. Ona zna swoje powinności wobec Ciemnej Strony, wobec Sithów, wobec Plemienia, wobec nas. Nawet jeśli będzie błdzić, wierzę, że nie zboczy ze swojej ścieżki.

Gavar przycisnął czoło do jej czoła, wzdychając cicho.

- Mam nadzieję, że masz rację - powiedział. Nie musiał mówić nic więcej. Gdyby Vestara ich zdradziła, musiałyby ją zabić. A Lahka o tym wiedziała.

Żona bez słowa uniosła głowę i pocałowała go. Oplotła palcami jego cybernetyczną rękę i zaprowadziła go z powrotem do sypialni.

Kiedy usnęła, Gavar opuścił ją znowu; szybko wciągnął szaty i wymknął się z pokoju.

Przemierzał korytarze swojego domu, jakby był tu obcy, jakby widział wszystko po raz pierwszy.

Czy to naprawdę był jego wspaniały dom o wysokich sufitach, pełen dzieł sztuki i muzycznych instrumentów? Zatrzymał się przed pokojem córki.

Pomyślał o dniu, w którym zapukał do tych drzwi, wiedząc to, czego Vestara jeszcze nie wiedziała - że wkrótce zacznie szkolenie w Świątyni. Przypomnił sobie, jak zawołał służącą Muurę i oznajmił zaskoczony młodej Keshiri, że nie będzie już potrzebna.

Muura wiedziała, że lepiej nie prosić o referencje. Odeszła dyskretnie po wyjeździe Vestary.

Gavar nie był małoduszny; zapewnił Muurze ubranie i jedzenie na kilka dni. Powiadomił też o jej odejściu jednego czy dwóch przyjaciół, którzy mieli córki. Gdyby byli zainteresowani zatrudnieniem, znaleźliby ją. Tak czy owak, czas Muury jako służącej w domu państwa Khai dobiegł logicznego i nieuniknionego końca, i oboje o tym wiedzieli.

Gavar nie mógł się powstrzymać; otworzył drzwi i zajrzał do pokoju córki. Pokój wyglądał

tak, jakby dziewczyna dopiero co wyjechała i mogła niebawem wrócić, chociaż Khai wiedział, że to nigdy nie nastąpi... no, najwyżej krótkie wizyty.

Okna pozamykano, żeby nie wpuszczać chłodnego nocnego powietrza, ale zasłony były odsunięte. Przy łagodnym świetle księżycy Khai wszystko dobrze widział. Wodził wzrokiem po pięknych szklanych wazonach, niegdyś pełnych kwiatów, po miękkim łóżku, w którym od dawna nikt nie spał, po toalecie z lustrem, przy której Muura cesała Vestarę. Wnętrze było spokojne i uporządkowane, jednak nie surowe.

Tutaj obejmował swoje jedyne dziecko, kiedy wyruszało ku swojemu przeznaczeniu; na tym tle zawsze miał ją przed oczami - jej silne ciało i śliczną twarzyczkę, ozdobioną wzorami *vor shandi*; chociaż ubrana w piękną suknię, wysoka i wyprostowana, widać było, że się denerwuje.

Tak obiecująco się to dla niej zaczęło...

Khai rzucił na pokój jeszcze jedno przeciągłe spojrzenie, a następnie zamknął po cichu drzwi.

Wychodząc z głównego budynku, przesuwiał dłońią po gładko polerowanych kamiennych ścianach. Masywne drzwi otwały się za dotknięciem palca i po chwili Gavar Khai stał już na zewnątrz, na chłodnym nocnym powietrzu. Wziął głęboki oddech i rozejrzał się po swoich włościach. A potem, wiedząc, co musi teraz zrobić, ruszył krętą kamienną ścieżką.

Rodzina Khai nie należała do najbogatszych na Kesh, jednak powodziło im się zupełnie dobrze. Po śmierci rodziców Vestara miała to wszystko odziedziczyć i stać się zamożną i wpływową kobietą. Posiadłość dałaby jej bogactwo, jej wrodzone zdolności i spryt miały zaś jej pozwolić zająć bardzo daleko w społeczeństwie Sithów.

Miały.

Czy nadal tak było?

Gavar Khai tego nie wiedział i ta niewiedza go zżerała, podsycala niepokój, który nie pozwalał mu spać, nawet we własnym łóżku, obok oddanej żony.

Spryt pozwalał ukryć przed innymi swoje motywy. Był dumny, że Vestara zdołała wprowadzić w błąd Skywalkerów - nawet osławionego Luke'a Skywalkera - na tyle umiejętnie, że wciąż mogła przebywać w ich towarzystwie. Ekscytowała go też perspektywa przeciągnięcia tak utalentowanego użytkownika Mocy jak Ben Skywalker na Ciemną Stronę - u boku Sithanki.

Sithanki, która zabiła Arcylorda... Arcylorda, który stawał się czymś... kimś innym. Czy to była zdrada, czy lojalność?

Czy Vestara wciąż jeszcze grała w grę, którą wspólnie zaaranżowali? Czy może to Miecz Sithów Gavar Khai był tym wykiwanym ojcem, a nie Luke Skywalker?

Khai za nic nie mógł tego odgadnąć. Zaklął cicho, kierując się w stronę terenów stajennych.

Z zewnątrz stajnie były równie piękne i ozdobne jak sam dom. Z boku ogrodzono teren dla zwierząt wierzchowych, takich jak shumshury czy muntoki, na środku zaś znajdowała się wysoka, prostokątna ptaszarnia. Stanął przed nią, pstryknął palcami, by przesunąć ciężki rygiel na potężnych drzwiach, za którymi uwięziony był uvak, i wszedł do środka.

Vestara grała nie tylko o własne życie i reputację, ale też o życie i reputację swojego ojca oraz całego rodu. Gdyby nie udało jej się przeciągnąć Bena Skywalkera na swoją stronę i umożliwić pokonania jego ojca, to właśnie Gavar Khai skupiłby na sobie gniew Lorda Vola i reszty Kręgu. A gdyby jeszcze uległa perswazji chłopaka...

- Nie dojdzie do tego - powiedział głośno.

Stanął pośrodku ptaszarni. We wnętrzu panowała niemal zupełna ciemność; uvaki były stworzeniami dziennymi i zamknięte w ciemnym pomieszczeniu zwykle od razu zasypiały. Gavar zostawił otwarte drzwi i teraz niewielki skrawek księżycowej poświaty stanowił jedyne oświetlenie.

W środku stały dwie wysokie kolumny, które niknęły w mroku. Dach, teraz szczelnie zamknięty, za



dnia był odsuwany i zwierzęta mogły swobodnie latać w określonej strefie; gdy zanadto oddalały się od domu, przymocowana do nogi obrączka wysyłała bolesny impuls elektryczny.

W rodzinie Khai były dwa uvaki. Gavar miał jednego, a potem Vestara, kiedy była dużo młodsza, przygarnęła pisklę, przynosząc tym chlubę swojej rodzinie. Nazwała go Tikk ze względu na klekotanie, jakie wydawał, kiedy wylazł ze skorupy. Gavar widział, jak się wykluwa i jak jego córka narzuca stworzeniu swoją wolę, zmuszając je, żeby podeszło do niej, a nie do któregoś z pozostałych młodziaków Sithów.

Vestara kochała Tikka. A Gavar wiedział, w przeciwieństwie do niej, co może się stać ze zwierzęciem, jeśli Vestara przybędzie na jego grzbiecie do Świątyni, żeby rozpocząć szkolenie.

Kiedy Vestara zjawiała się w Świątyni, jej nowa Mistrzynie, Lady Rhea, wydała polecenie zabicia Tikka. Vestara zareagowała prawidłowo - nie zaprotestowała. Zadowolona z niej Lady Rhea oszczędziła zwierzę.

Chodziło o starą tradycję, rodzaj inicjacji, o której nigdy się nie mówiło w obecności kogoś, kto sam tego nie doświadczył. Khai spodziewał się tego i kiedy go później zapytano, czy chce odebrać Tikka ze Świątyni, domyślił się, że jego córka pomyślnie przeszła pierwszą próbę.

Spojrzał na szczyt kolumny, która służyła Tikkowi za gniazdo. Użył Mocy, żeby lepiej widzieć w ciemności; z tego miejsca wyglądało na to, że stworzenie śpi mocno. Khai wyskoczył w górę lekkim szarpnięciem Mocy i wylądował miękko obok uvaka. Tikk leżał zwinięty w kłębek, przykryty skrzydłami niczym kocem.

Khai przyglądał mu się przez chwilę, po czym spojrzał na drugą kolumnę. Jego wierzchowiec również spał. Khai wyciągnął swoją prawdziwą, żywą rękę w kierunku drugiego uvaka i delikatnie wprowadził stworzenie w głęboki sen, z którego nie powinno się przebudzić przez kilka godzin. Zadowolony pogładził Tikka po długiej, krętej szyi, przekazując mu spokój.

Tikk poruszył się lekko, otworzył jedno oko i wydał głuchy pomruk, po czym zamknął oko i pogрузił się w jeszcze głębszym śnie.

Tikk był zawsze wiernym wierzchowcem i dobrze służył Vestarze, tak jak ona służyła Sithom.

Gavar Khai jednak nie wiedział, czy nadal tak jest.

Rozległ się syk zapalanego miecza świetlnego. Łagodny czerwony blask zalał śpiącego Tikka. Po chwili głowa uvaka spadła z głuchym stukiem na kamienną podłogę. Oczy Tikka były cały czas zamknięte.

Śmierć została zadana bezboleśnie, a Khai był z tego zadowolony. Tikk nie zrobił nic, żeby zasłużyć sobie na cierpienie. Khai zgasił miecz świetlny, pokiwał głową i zeskoczył łagodnie, pomagając sobie Mocą.

Teraz mógł iść spać.

## ROZDZIAŁ 3

### Tahv, Kesh

Tahv nie widziało takiej fety od czasu, kiedy Sithowie po raz pierwszy opuścili jego teren i wyruszyli na podbój gwiazd.

Oślawione Szklane Miasto, jak je od wieków nazywano, wrzało dzień i noc, odkąd Lord Vol ogłosił, że zamierza zorganizować wielką uroczystość na cześć Abeloth, Przyjaciółki Zapomnianego Plemienia. Rzemieślnicy używali Mocy, przekupstwa, przymusu i gróźb do wyrobu pamiątkowych ogniokul, które miały otoczyć całe miasto. Każda ogniokula - czyli kula ze szkła i metalu, w której umieszczano coś świecącego, czy to świecę, czy pręt jarzeniowy, czy też naturalnie fosforyzujące stworzenie - była jedyna w swoim rodzaju. Żadna nie pochodziła z masowej produkcji i każda w jakiś sposób reklamowała swojego wytwórcę - za pomocą szczególnego wzoru, niepowtarzalnego zabarwienia lub, bardziej pospolicie, ale może skuteczniej, za pomocą wygrawerowanego na szybie imienia. Kilku szklarzy dosłownie doprowadziło swoich uczniów i czeladników do śmierci z przepracowania.

Wytwarzano także z tej okazji specjalne *shikkary*. Za kulisami trwały rozgrywki o uprzywilejowaną pozycję, w których brali udział wszyscy mieszkańcy Tahv, czy to rzemieślnicy, czy politycy, czy zwykli obywatele - chociaż w społeczeństwie Sithów nikt nie uważał się za zwyczajnego.

Z całej planety i z innych światów sprowadzano różne przysmaki. Niemało statków uległo nieszczęśliwym wypadkom, konkurencja zaś, obłudnie wyrażając współczucie, pospieszyła, żeby wypełnić lukę własnymi produktami. Dużym wzięciem cieszyli się wszyscy, którzy mieli wprawę w posługiwaniu się pędzlami i mogli wykonać najpiękniejsze, najelegantsze malowidła *vor shandi* na skórze, krawcy zaś robili, co mogli, żeby sprostać nagłemu zapotrzebowaniu na „najwspanialszą suknię na Kesh, rozumie pan?”

Pieniądze wędrowały z rąk do rąk; z godziny na godzinę można było zyskać lub stracić renomę. A Sithowie na tym korzystali.

Aż w końcu wszystko było przygotowane.

Trzy standardowe lata wcześniej na północ od Tahv rozciągał się duży, otwarty teren. Nie nadawał się pod uprawę, nie był też dość atrakcyjny do budowy domów, za to okazał się idealny na port dla statków kosmicznych, którego Plemię nigdy wcześniej nie potrzebowało. Port rozwijał się chaotycznie na różnych etapach. Prace rozpoczęły się wkrótce po przybyciu Statku, tajemniczej i, jak się zdawało, rozumnej jednostki szkoleniowej Sithów, starszej, niż ktokolwiek z nich potrafił

sobie wyobrazić. Pod kierunkiem Statku Zapomniane Plemię stworzyło prymitywny port, a wkrótce zyskało także okręty, które potrzebowały miejsca do dokowania.

Teraz lądowisko wypełniały fregaty typu ChaseMaster, osławiony Statek, od którego wszystko się zaczęło, oraz tłumy Sithów. Większość chciała po prostu powitać w domu swoich bliskich, nawet jeśli przybywali tylko z krótką wizytą. Niektórzy mieli za zadanie analizować zachowanie, czyny i

uczucia w Mocy, by następnie zameldować o wszystkim swoim Mistrzom.

Jeszcze inni mieli rozkaz kogoś wysłedzić i zabić.

Wszyscy chcieli zobaczyć Abeloth, która przybyła w dziwnych wnętrznościach Statku i -

jako jedyna - jeszcze nie wylądowała. Statek zawisł w powietrzu na wysokości jakichś piętnastu metrów - kulisty kształt z dwiema spiczastymi wypustkami na górze i na dole oraz błoniastymi skrzydłami, jak u nietoperza, po bokach. Pośrodku kadłuba widniał okrągły ekran przypominający ohydne oko.

Abeloth czekała oczywiście do ostatniej chwili: aż wszystkie załogi opuszczą swoje fregaty, aż wybrzmi ostatnia nuta powitalnej pieśni, aż Lord Vol postoi odpowiednio długo na repulsorowym podeście w okazałych, ciężkich odświętnych szatach. Na ziemi, obok swojej żony, stał Gavar Khai, który obserwował to wszystko, marszcząc lekko brwi.

Wreszcie powoli, niczym budzące się ze snu stworzenie, „oko” zrobiło się przezroczyste, a następnie się otworzyło.

Ze środka wyfrunęła Abeloth.

Nie potrzebowała podestu i wcale nie była ubrana w ciężkie szaty. Wydawało się wręcz, że ma na sobie bardzo niewiele, a jednak prześwitująca tkanina, powiewająca na wietrze, zakrywała ją w stopniu więcej niż skromnym. Abeloth przybrała dziś postać złotowłosej kobiety o mądrych szarych oczach, z lekkim uśmiechem na ustach. Uniosła ręce i przechyliła głowę, a ciepły wietrzyk igrał z jej falującymi jasnymi lokami, gdy opadała łagodnie na ziemię. Khai zerknął na Vola. Nie wyczuwał ani nie widział psychicznego dyskomfortu u starszego mężczyzny, który zbliżał się na swoim podeście do Abeloth, wiedział jednak, że Vol musi być co najmniej zirytowany.

Zapowiadał się bardzo ciekawy dzień.

Dwoje potężnych Mistrzów Ciemnej Strony wylądowało niemal równocześnie w odległości metra od siebie. Abeloth pomachała do tłumów, które wiwatowały entuzjastycznie - mało kto zdawał sobie tak dobrze jak Khai sprawę z napięcia panującego między dwojgiem przywódców.

Vol, jako gospodarz, wykonał pierwszy krok, zbliżając się do Abeloth z wyciągniętymi rękami.

Ona odwróciła się ku niemu z przyjaznym uśmiechem i ujęła jego dłonie.

- O wiele za długo - zaczął Vol głosem, który z łatwością docierał do wszystkich zebranych

- Zapomniane Plemię pozostawało uspięne na Kesh. Wprawdzie to jest i zawsze będzie nasz prawdziwy dom, ale tylko jeden z wielu, bo już wkrótce należeć do nas będą niezliczone światy.

Minione trzy lata były okresem wielkich zmian. Dzisiaj zaś dokonuje się być może najbardziej doniosły przewrót od chwili, kiedy Statek po raz pierwszy pojawił się na niebie nad Kesh, by poinformować o czekającej na nas galaktyce i pomóc nam uwolnić się z okowów, jakkolwiek

przyjemnych, naszego świata.

Ponownie zwrócił twarz o ostrych rysach i wydatnym, przypominającym dziób nosie w stronę Abeloth, uśmiechając się z całkiem wiarygodną serdecznością.

- W tym dniu my, Zapomniane Plemię, witamy tę, która była niegdyś naszym wrogiem.

Jesteśmy potężni i silni, tak samo jak nasz czcigodny gość. Sprzymierzając się dzisiaj z Abeloth, kładziemy podwaliny pod świetlaną przyszłość naszych młodzików. Wszechświat jest ogromny, ale wkrótce będzie należeć do nas, do Zapomnianego Plemienia i do Abeloth. Wrogowie legną u naszych stóp albo uciekną w przerażeniu, a Sithowie, z naszą drogą przyjaciółką u boku, zawładną wszystkim, na co padnie nasz wzrok. Proszę was, moi współplemieńcy, powitajcie razem za mną...

Abeloth!

Puścił ręce Abeloth i uniósł swoje w zapraszającym geście. Ze wszystkich stron zleciały się wielobarwne ptaki, łopocząc skrzydłami. Każdy z nich niósł w dziobie kwiat, a przelatując nad tłumem, wypuszczały swoje kolorowe, wonne dary.

Khai rozpoznał kwiat. Nazywał się on Wiktorii Sithów i nie był zapyłany przez latające owady, ale przez naziemne insekty. Najśłodszy zapach w swoim krótkim życiu wydzielał nie wtedy, kiedy rozkwitał na krzewie, ale gdy się go mocno ścisnęło, a jeszcze lepiej rozdeptało.

Lahka, śmiejąc się, złapała trzy śliczne żółte kwiaty, rozgniotła je i wdychała radośnie ich zapach.

Właściwości Wiktorii Sithów były powszechnie znane i wszyscy naokoło Gavara rozgniatali kwiaty. Abeloth wydawała się nieco zakłopotana. Przytknęła kwiat do wrażliwego nosa i pokręciła głową, zawiedziona brakiem zapachu. Vol pokazał jej, co należy zrobić, a Abeloth uśmiechnęła się lekko, ściskając kwiat z przesadnym zapałem.

Obserwujący to Gavar Khai poczuł dreszcz niepokoju. Zastanawiał się, czy Wiktorii Sithów okaże się trafną, czy też chybioną nazwą.

Parada, która potem nastąpiła, była wyjątkowo spektakularna. Wszyscy powracający Sithowie i oczywiście gość honorowy przemierzali prastare, kręte uliczki Tahv przy zapadającym zmroku. Niektórzy dosiadali potężnych, łagodnych zwierząt juczych zwanych shumshurami; inni woleli różnego rodzaju sanie repulsorowe. Wzdłuż trasy parady unosiły się przepiękne ogniokule, z których każda była niepowtarzalna jak płatek śniegu, oświetlając drogę wijącemu się orszakowi świętujących.

Abeloth i Lord Vol siedzieli razem na niezwykle wytwornych saniach repulsorowych.

Wyrzeźbione z drewna vosso, o kształcie drapieżnego ptaka, były ozdobione kamieniami szlachetnymi i poruszały się niczym żywe stworzenie. Dzięki zastosowanej w nich zmyślnej technologii ptak kręcił głową i mrugał oczami, a co jakiś czas otwierał dziób, wydając przenikliwy pisk.

- Jakież to urocze - powiedziała Abeloth, kiedy ujrzała sanie. - Wasi rzemieślnicy są bardzo zdolni. Może wezmę sobie jeden taki pojazd na pamiątkę.

- Tak, może podobny - odparł Vol z uśmiechem, zarazem pobłażliwym i drapieżnym. - Ale nie tak piękny jak ten, obawiam się. Rywalizacja między rzemieślnikami jest tu, w Tahv, wyjątkowo zaciekła i brutalna. Z przykrością muszę cię poinformować, że Mistrz Dekta Amon, wybitny fachowiec, który wykonał te wspaniałe sanie repulsorowe, przepadł bez wieści.

Abeloth odwróciła się, unosząc jasne brwi.

- Doprawdy? Co za nieszczęście.

- Nie dla posiadaczy jego nielicznych arcydzieł - zauważył Vol.

Utkwiła w nim nieruchome spojrzenie.

- No cóż - powiedziała z równie czarującym i równie fałszywym uśmiechem. - W takim razie może po prostu wezmę twoje.

Roześmieli się. Obserwatorzy niewrażliwi na Moc niczego by nie spostrzegli, a ci wrażliwi mogli wyczuć jedynie wesołość. Jednak Lord Vol wiedział, że i jedni, i drudzy byłiby w wielkim błędzie.

Wyglądało na to, że Abeloth dobrze się bawi. Vol przyglądał się jej z przenikliwością drapieżnego ptaka, który stanowił pierwowzór jego pojazdu. Lord Darish Vol nie był nigdy tylko przypadkowym obserwatorem. Nie zaszedłby tak daleko ani nie dożyłby tak zaawansowanego wieku, gdyby nie górował nad wszystkimi, którzy rzucali mu wyzwania. Stracił już rachubę, ile razy próbowano go zabić i ile politycznych intryg w niego wymierzano. Ale każde takie zdarzenie czegoś go nauczyło. Teraz więc odgrywał dobrego, życzliwego gospodarza, a jednocześnie analizował wszystko, co widział.

Abeloth była bardzo atrakcyjna i niezwykle pociągająca, ale wszyscy obecni, nawet tłumy gapiów wypełniające stolicę, wiedzieli, że potrafi zmieniać kształty. Była to fascynująca umiejętność i demonstrowanie jej najwyraźniej sprawiało Abeloth przyjemność. Wyglądało na to, że ma trzy ulubione wcielenia: dwa ludzkie i jedno keshirskie. Wszystkie były płci żeńskiej, chociaż Vol dobrze wiedział, że Abeloth potrafi przybierać także męską postać. Zmieniała je w zależności od potrzeb, trafnie odczytując oczekiwania publiczności - ładna, bardzo naturalna Dziewczyna o Brązowych Włosach, wyrafinowana i piękna Jasnowłosa Kobieta oraz Keshiri, której widok nawet Lordowi Volowi zapierał dech w piersi mimo jego wieku i wiedzy - dzięki doniesieniom podwładnych - jak Abeloth wygląda naprawdę.

Noc zapadła, podczas gdy parada posuwała się powoli ulicami Tahv. Sztuczne światła, które normalnie rozświetlały miasto, zostały wyłączone, żeby tysiące ogniokul mogły się skrzyć jeszcze jaśniej. Kiedy parada dotarła do celu, przemierzywszy krętą drogę z północnej części Tahv ku południowej, jej uczestnicy zobaczyli gromadkę niewielkich latających dysków. Każdy taki dysk mógł bezpiecznie unieść dwa albo trzy tuziny istot i każdy był obsługiwany przez nieliczną załogę złożoną z dwóch lub trzech Mieczów Sithów.

Pomagając sobie Mocą Vol przeskoczył niemały dystans dzielący sanie repulsorowe od dysku, po czym odwrócił się w stronę Abeloth.

- Zapraszam na finał parady - powiedział. - A potem... na maskaradę.

Abeloth uśmiechnęła się słicznie i zaraz przefrunęła - nie musiała nawet skakać - do niego.

Kiedy unosiła się w powietrzu, jej wygląd się zmienił. Włosy stały się ciemniejsze, bardziej szorstkie i kręcone, a twarz jakby się poszerzyła. Jedyne oczy wyglądały tak samo - szare i niezgłębione. Vol uśmiechnął się do niej i skinął głową, a próbując tę przemianę, a następnie rozłożył ręce, podrywając dysk w górę.

Przed nimi rozciągało się Tahv. Ogniokule wyznaczały każdą z jego ulic i ozdabiały zwieńczenia murów otaczających miasto. Taki widok mógł wzbudzić podziw nawet najbardziej zblazowanych osobników, stwierdził Vol. Poczł dumę ze swojego ojczystego świata i swojego ludu - zarówno Zapomnianego Plemienia i jego czystych rodów, jak i tych Keshirich, którzy wywalczyli sobie miejsce jako potężni Sithowie.

Ta kobieta stojąca obok niego - jeśli można ją było nazwać kobietą - była narzędziem, które miało pomóc im zdobyć jeszcze większą chwałę. A kiedy nie będzie już potrzebna... cóż, wtedy w ogóle już jej nie będzie.

Nagły błysk wyrwał go z zadumy. Rozpoczął się pokaz sztucznych ogni. Abeloth, dziwnie oczarowana, patrzyła, klaszcząc w dłonie jak mała dziewczynka, na eksplodujące wokół niej fajerwerki, które, sterowane Mocą, przybierały przyjemne dla oka kształty i wzory.

Volowi ten widok wydał się wyjątkowo niepokojący.

Maskarada miała być ostatnim akcentem tego obfitującego w wydarzenia dnia. Nazajutrz Abeloth i członkowie Kręgu mieli odbyć formalne spotkanie w Sali Kręgu, podczas którego miały zostać omówione szczegóły ich sojuszu. Ten wieczór przeznaczony był jednak w teorii na zabawę, rozrywkę, wesołe psoty i figle; w rzeczywistości zaś na nieustającą obserwację, analizę, dwulicowość i intrygi.

Innymi słowy, było to typowe dla Sithów wydarzenie.

Maskarada odbywała się w wielkiej sali Świątyni Sithów. Podobnie jak większa część Świątyni, była ona przepastna i ciemna, jednak w przeciwieństwie do głównych pomieszczeń uczęszczanych przez uczniów, surowych i posępnych, ta sala, przeznaczona na duże zgromadzenia o odświętnym i na ogół radosnym charakterze - jak uroczystości promocyjne lub tak jak dziś, przedstawienia - miała nieco weselszy wystrój. Ściany wprawdzie wykuto w wyniosłej skale, jednak były ozdobione portretami co znamienitszych byłych uczniów, podłogę wyłożono marmurową mozaiką, a oświetlenie było bardziej dekoracyjne niż praktyczne.

Wśród gości byli potężni Sithowie, zarówno ludzie, jak i Keshiri, obojga płci. Wszyscy oni bez wyjątku wiedli prym w społeczeństwie, a teraz byli obecni głównie dlatego, że Vol chciał ich

nagrodzić lub obserwować. Zapomniane Plemię z zasady nie korzystało z droidów - mimo że w ciągu ostatnich paru lat wiele z nich wpadło im w ręce - uważając ich umiejętności za pośledniejsze od możliwości żywych istot. Większość droidów rozebrano, a ich części wykorzystano do udoskonalenia broni i statków, które były uważane za niezwykle ważne w perspektywie podboju galaktyki przez Sithów. Dlatego też po sali krążyli służący, ludzie i Keshiri, w maskach, ale bez kostiumów, częstując gości napojami i przekąskami.

Ci z Sithów, którzy otrzymali zaproszenie na to być może najważniejsze wydarzenie towarzyskie roku, nie szczydziли wydatków na przygotowanie kostiumów, a krawcy i rzemieślnicy pracowali bez wytchnienia przez ostatnie trzy dni. Efektem była taka obfitość wyszukanych strojów, klejnotów, rzadkich metali i ozdobnych masek ze szkła, że ich widok aż męczył oczy.

Lord Vol się tego spodziewał. Sam chciał, żeby jego kostium miał przesłanie - wyraźne, ale nie dosadne. Postanowił się nie pokazywać, dopóki nie przybędzie jego jakże szacowny gość.

Godzinę po rozpoczęciu maskarady zjawił się Gavar Khai. Przyszedł sam; jego żona nie została zaproszona. Lord Vol w prywatnym pokoju obserwował, jak Khai wchodzi do sali.

- No, no - mruknął. - Widzę, że Khai nie zapomniał o swojej mitologii.

Gavar Khai był ubrany od stóp do głów na czarno; nic niezwykłego jak na kogoś, kto upodobał sobie tradycyjne szaty Sithów. Tym razem jednak miał na sobie płaszcz z czarnych piór, z których każde ozdobione było klejnotem, jego maska zaś miała kształt ostrego dzioba.

- Ciemny Tuash z Alanciaru - zauważył Ivaar Workan. - Ciekawy wybór.

- Pytanie tylko, czy to zły omen dla nas, czy dla Abeloth? - zadumał się Vol.

W wierzeniach Keshirich dużą rolę odgrywały dwa Tuash'aa z Alanciaru: Ciemny i Jasny.

Tuash'aa były to ogromne ptaki, które miały zwiastować nadejście Niszczycieli. Jasny Tuash informował o tym, że Niszczyciele albo zostali pokonani, albo postanowili nie niepokoić świata.

Ciemny Tuash zaś...

- Podejrzewam - powiedział powoli Workan - że wkrótce się przekonamy. Spójrz, jego piękna dama idzie tuż za nim.

Workan nie miał na myśli Lahki. Mówił o Abeloth. Vol westchnął.

- Potrafi zrobić wejście - zauważył nie bez nutki podziwu.

Abeloth nie tylko zrobiła wejście. Zrobiła idealne wejście.

Drzwi otworzyły się na oścież i wpadł przez nie wiatr, który zwichrzył pióra na płaszczu Khaia i rozwiął kostiumy kilku innych Sithów stojących najbliżej. „Wiatr”, wirując, nabierał

kształtu i koloru, aż przybrał formę kobiety, pięknej i roziskrzanej, stworzonej na pozór z lodu i z powietrza. Była większa od zwykłej kobiety rasy ludzkiej, majestatyczna i władcza. Miała złote włosy, srebrzystą suknię i śnieżnobiałą, lśniącą maskę.

Unosiła się przez chwilę w powietrzu wśród ogólnego aplauzu, po czym opadła lekko jak piórko na kamienną posadzkę.

- Iluzja Fallanassich - stwierdził natychmiast Vol.

- Uczy się - odparł Ivaar Workan swoim ciepłym głosem. Miał spokojny, dobrotliwy wyraz twarzy, kiedy tak obserwowali obaj Abeloth.

- To prawda. Ale ja też się uczę. Chodź - powiedział Vol, wstając. - Przywitamy naszego szacownego gościa.

I teraz, kiedy nadszedł czas, żeby powitać Abeloth na maskaradzie, Lord Vol, przywódca Zapomnianego Plemienia Sithów, wyszedł do niej w długich, prostych brązowych szatach i w czarnej masce, która niedokładnie zakrywała jego charakterystyczne rysy.

Tłum się rozstał. Gdy zebrani rozpoznali strój Vola, po sali przeszedł niepewny szmer, który po chwili przerodził się w pełen uznania śmiech i oklaski. Aplauz rósł, aż w końcu cała sala wiatowała. Vol uśmiechnął się nieznacznie i uklonił.

- Lordzie Vol - odezwała się Abeloth fałszywie ciepłym głosem. - Jakiż to zabawny kostium.. chociaż nikt nigdy nie wzięłby cię za Jedi.

Tak jak ciebie za sojusznika, pomyślał Vol, skrzętnie ukrywając swoje refleksje.

Uśmiechnął się uprzejmie, skinął palcem i do jego dłoni podfrunął kielich czegoś fioletowego i aromatycznego.

- Ufam, że dla was jest to równie zabawne jak dla mnie - powiedział. - W moim wieku wesołość jest czymś cennym i rzadkim. Mieczu Khai, miło cię widzieć. Ciekawy wybór kostiumu.

- Ciemny Tuash z Alanciaru był bohaterem ulubionej opowieści mojej córki na temat Powrotu - wyjaśnił Khai.

- Przebrałeś się tak, żeby ją uhonorować. - Kolejne skinienie palca sprawiło, że kielichy powędrowały do Abeloth i Khaia. - Rozumiem zatem, że w dalszym ciągu dobrze nam służy.

- Na tyle dobrze, że przez krótki czas nawet ja sam nie byłem pewien, po czyjej jest stronie -

przyznał Khai. Mówił prawdę; Vol potrafił to wyczuć. Chociaż z drugiej strony... członkowie rodu Khai zawsze byli mistrzami w ukrywaniu uczuć.

- Ale teraz już jesteś pewien? - Vol upił łyk cierpkiego napoju, unosząc białą brew. - Mimo że zamordowała Arcylorda Taalona?



Sala jakby zamarła. Khai uśmiechnął się niepewnie.

- Zrobiła to, co według niej było najlepsze dla Plemienia - wyjaśnił. - Sarasu Taalon stawał się... niezdolny do kierowania nami. Wkrótce nie byłoby z niego żadnego pożytku.

- Jaka szkoda - westchnęła Abeloth.

- Zerwaliśmy sojusz z Jedi... - Khai wypowiedział to słowo tak, jakby pozostawiało mu niesmak w ustach - ...i sprzymierzyliśmy się z istotą o wiele potężniejszą. Vestara przyprowadzi nam Skywalkerów, a ten młody będzie jadł jej z ręki.

Vol wyczuł cień czegoś nieokreślonego, co błyskawicznie uleciało. Khai może i nie kłamał, ale nie wszystko było tak, jak to przedstawiał.

- Dobrze, dobrze, cieszy mnie to wszystko - oświadczył Wielki Lord, uśmiechając się dobrotliwie do nich obojga. - Abeloth, miałaś już przyjemność współpracować z Arcylordem Sarasu Taalonem i naszym szanownym Mieczem Gavarem Khai. Teraz chciałbym ci przedstawić innych.

Skinął, żeby poszli za nim. Sprawiał wrażenie pełnego wiary i dumnego z Lordów i Arcylordów, których kolejno przedstawiał: drobnej i ładnej Lady Sashal, opanowanego i dystygowanego Workana oraz...

- ...naszego prawdziwego gospodarza, Arcylorda Takarisa Yura - zaprezentował. - To on jest panem tej Świątyni i to on odpowiada za to, żeby nasi uczniowie kroczyli pewnie ścieżką Ciemnej Strony.

Abeloth uśmiechała się mile do nich wszystkich, ale przez krótką chwilę - zaledwie ułamek sekundy - Vol poczuł coś tak obcego, że nawet w nim wzbudziło to niepokój.

- Bardzo mi miło. Ufam, Arcylordzie Yur, że jesteś dumny z młodzików, których wyszkoliłeś.

- Istotnie - przyznał Yur, schylając głowę. - Jesteśmy najczystsza linią Sithów.

- Vestara była jedną z twoich uczennic?

- Owszem, jedną z najlepszych.

Uśmiech Abeloth miał w sobie tyle słodyczy, że zwabiony nią owad mógłby się w nim utopić.

- Wygląda na to, że świetnie się spisuje.

- Nauczyciel nie mógłby marzyć o niczym więcej.

- To prawda - zgodziła się Abeloth. - Obserwować postępy młodzików... wiedzieć, że są wierni zasadom, które się im wpoilo... - Znów ten dziwny błysk, który przyprowadził Vola o dreszcze.

- Cóż... wtedy można umrzeć szczęśliwym, nieprawdaż?

Nagle Vol zdał sobie sprawę, że Yur dostrzegł to samo co on.

- Przybyłaś w samą porę - stwierdził, zmieniając temat. - Maskarada zaraz się zacznie.

Abeloth znieruchomiała, a potem odwróciła się powoli ku niemu.

- Myślałam, że maskarada to rodzaj balu kostiumowego - powiedziała.

- Ależ tak! Ale sama maska oznacza przedstawienie. Teatr. Chodzi o udawanie kogoś, kim się nie jest. - Uśmiechnął się życzliwie. - Zobacysz, że zarezerwowałem dla ciebie najlepsze miejsce.

## ROZDZIAŁ 4

Parę chwil później Vol, Abeloth, Yur, Workan, Sashal i garstka innych, którzy bez wątpienia pękali z dumy, że spotkał ich taki zaszczyt, siedzieli w bogato zdobionej loży, spoglądając na scenę. Pozostali także zajęli swoje miejsca i przestronną salę wypełniał teraz szmer podekscytowanego tłumu.

Sala pogrążyła się w mroku. Po chwili scenę zalało jasne światło, a nad nią zawisła doskonała, choć znacznie pomniejszona replika „Omenu”, która miała za chwilę spaść na doskonałe, choć też znacznie pomniejszone wyobrażenie łańcucha górskiego Takara. Jedni z najatrakcyjniejszych Keshirich, jakich Vol kiedykolwiek widział, odgrywali własnych przodków.

Ich prymitywizm przesadnie podkreślały nieprzyzwoicie skąpe stroje, wykonane ze skór zwierząt.

Wskazywali na statek Sithów, wykrzykując:

- Co to takiego? Jest o wiele za duże na ptaka czy uvaka!

Vol nie patrzył na przedstawienie. Było rubaszne, przestylizowane i chociaż aktorów dobrano idealnie, stanowiło narzędzie czystej propagandy. Przyglądał się za to istocie, dla której sztuka została napisana.

Abeloth wpatrywała się w scenę, marszcząc złociste brwi i zaciskając śliczne usta. W końcu odwróciła się w stronę Vola i spytała:

- To część waszej mitologii, prawda? Tak jak czarny ptak Miecza Khai?

- Nie - odparł Vol. - To fragment naszej prawdziwej historii. Ta sztuka ukazuje, jak

„Omen”, wypełniony naszymi przodkami, rozbił się na Kesh, i jak Zapomniane Plemię zostało powitane jako Obrońcy.

- Obrońcy? - Jej głos, twarz i obecność w Mocy niczego nie zdradzały.

- Z pewnością znasz tę historię - powiedział Vol. - Kiedy „Omen” przybył na Kesh, nasi przodkowie zostali przyjęci z otwartymi rękami. Traktowano ich niemal jak istoty boskie. Widzisz, Keshiri wierzyli, że... - Urwał i nachylił się do przodu, zwracając się do Khaia. - Gavarze, nie wierzę, że nie

przybliżyłeś naszemu gościowi najważniejszego wydarzenia z naszej historii!

Zaskoczony Khai zdołał mimo wszystko zamaskować własne uczucia.

- Wolałem rozmawiać z Abeloth o naszej teraźniejszości i przyszłości - odparł.

- A mimo to zjawiasz się tu przebrany za Tuasha! - Vol cmoknął z dezaprobatą językiem. -

Wstyd! - Skupił ponownie uwagę na Abeloth. - Zdaje się, że ten obowiązek spadł na mnie. Widzisz, Keshiri mieli pradawny mit o magicznych i potężnych istotach zwanych Obrońcami. To właśnie Obrońcy mieli ocalić Keshirich, kiedy powrócą przerażający Niszczyciele. Według mitu Niszczyciele nawiedzali co jakiś czas zamieszkane światy, żeby zniszczyć cywilizację i przywrócić wszystkie istoty do ich naturalnego, prymitywnego stanu.

- To tylko legenda - stwierdziła Abeloth. - Równie wiarygodna jak olbrzymi ptak, czarny lub biały, przepowiadający ocalenie albo zagładę.

Vol wzruszył ramionami.

- Może tak. A może nie. Przeprowadziliśmy własne badania. Taka globalna katastrofa miała miejsce na tym świecie przynajmniej raz.

- Rozczarowujesz mnie, Lordzie Vol - powiedziała Abeloth. - Nie sądziłam, że jesteś tak podatny na historyjki opowiadane przez prymitywne istoty. Wydarzenia, o których mówisz, to nic innego jak klęski żywiołowe.

- Tak czy inaczej, myślę, że teraz rozumiesz, dlaczego pierwotni Sithowie przyjęli te wierzenia.

Abeloth uśmiechnęła się lekko.

- Istotnie, głupotą byłoby nie wykorzystać takiej okazji. Można by sądzić, że Keshiri powinni żywić urazę do waszych przodków za to oszustwo. - Odwróciła się w stronę Lady Sashal. -

Lady Sashal, przecież zostaliście okłamani i wykorzystani, prawda?

Sashal uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nasi przodkowie zostali - odparła. - Nie ja. Wprawdzie ludzie z Zapomnianego Plemienia i Keshiri należą do różnych ras, jednak każdy może tu osiągnąć wysoką pozycję, jeśli pokaże, że na to zasługuje. Sama współpracowałaś z Sarasu Taalonem. To predyspozycje, a nie genetyka, decydują o awansie i upadku w naszej kulturze.

- To prawda - przyznała Abeloth. - Współpracowałam z Taalonem. - Vol zauważył, że na tym postanowiła zakończyć temat. Sashal najwyraźniej nie zwróciła na to uwagi i mówiła dalej:

- Przybycie Zapomnianego Plemienia pomogło mojemu ludowi. Oni nam przywieźli cywilizację: medycynę, technologię, sztukę. I teraz Keshiri i Plemię stoją ramię w ramię jako Sithowie, gotowi nie

tylko do obrony planety przed powrotem Niszczycieli, jeśli faktycznie istnieją, ale też do czegoś znacznie większego: do podboju galaktyki. To nasze przeznaczenie. A ty możesz być jego częścią.

Abeloth nie próbowała nawet ukryć rozbawienia, a Lord Vol pokręcił w duchu głową dostrzegając klasyczną ironię losu. Lady Sashal była najbardziej zagorzałym zwolennikiem, jakiego Abeloth miała w Kręgu. A mimo to, najwyraźniej nieświadomie, potraktowała właśnie tę potężną istotę w sposób protekcyjny. Cóż, Lady Sashal mogła sobie prowadzić swoje polityczne machinacje, ale była głupia. Oczywiście nie zamierzał jej lekceważyć. Vol nigdy nie lekceważył

wrogów, dopóki nie byli martwi. Sashal może i była głupia... ale nawet głupie istoty mogły się okazać bardzo niebezpieczne.

Uzmysłowił sobie, że w gruncie rzeczy może być wdzięczny drobnej Keshiri. Sashal skupiła na sobie uwagę Abeloth, która najwyraźniej dobrze się bawiła, drocząc się z nią. Ułatwiła mu tym samym obserwację tego potencjalnego wroga.

Jakże często, zadumał się Vol, głupcy, choć niebezpieczni, bywają też użyteczni.

## **Posiadłość Lorda Vola**

Cztery godziny później zaczęło się zebranie. Nie odbywało się w Sali Kręgu, lecz w prywatnej rezydencji Lorda Vola, a on był jedynym fizycznie obecnym jego uczestnikiem.

Wiedział, jak wielkim błędem byłoby lekceważenie Abeloth i wpływu, jaki miała na pewnych członków Plemienia, którzy zostali wysłani, by ją pojmać, a zamiast tego zawarli z nią sojusz.

Vol był najpotężniejszą istotą na całej planecie. Przez lata zgromadził także znaczny majątek, ponieważ wcześniej się zorientował, że bogactwo często jest drogą do zdobycia władzy.

Nie gromadził go jednak dla siebie. Być może Sarasu Taalon pożył pięknych przedmiotów czy istot, ale Vol postrzegał je jedynie jako narzędzia pozwalające mu zacieśnić kontrolę i umocnić wpływy. Jego rezydencja była piękna i pełna przepychu, pomieszczenia dostępne dla gości subtelnie wskazywały na bogactwo i doskonały gust właściciela, za to jego prywatne pokoje były surowe jak kwatery uczniów w Świątyni Sithów.

Siedział teraz w fotelu, wygodnym, choć prostym, otoczony pięcioma hologramami. Ze wszystkich członków Kręgu byli to jedyni, którym naprawdę ufał.

To znaczy, poprawił się w myślach, rozsiadając się z filiżanką czegoś gorącego dla rozgrzania starych kości, ufał na tyle, na ile może ufać Wielki Lord Zapomnianego Plemienia Sithów.

Był tu Workan, rzecz jasna. Yur - tak neutralny, jak tylko może być ktoś kroczący ścieżką Ciemnej Strony. Jesko Umam i Ysadria Kaladris - niżsi rangą, ale szybko pnący się w górę, żądni władzy i uznania, no i dostatecznie mądrzy, żeby sprzymierzyć się z tym, kto mógł im je zapewnić.

A także Sammul Sharsa, starsza kobieta, wdowa po byłym Lordzie, która zajęła jego miejsce po jego niedawnej i - co niezwykle - naturalnej śmierci. Mieli dwoje dzieci, z których jedno było

rzemieślnikiem, a drugie Mieczem.

- A teraz - zaczął bez wstępów Vol, popijając parujący napój - chciałbym usłyszeć wasze przemyślenia na temat dzisiejszego wieczoru.

Wypowiedzieli się wszyscy po kolei, a on słuchał, przerywając tylko pytaniami, kiedy chciał coś wyjaśnić.

Niektórzy podzielali jego opinie. Inni nie, ale ich opinie także szanował. Nie osiągnąłby swojej pozycji - i nie utrzymałby się na niej tak długo, niemal niezagrożony - gdyby nie rozumiał, że sprzeczne zdania bywają często najcenniejsze.

Największy niepokój wzbudziły w nim słowa Workana, który powiedział:

- Nie jestem pewien Gavara Khai. Zgodnie z twoim życzeniem rozmawiałem z niektórymi z jego ziomków. Wyrażali wątpliwości co do lojalności Vestary i obawy, że w związku z tym także lojalność jej ojca może być niepewna.

- Niewielu tak bardzo obnosi się z uczuciami do swoich dzieci jak Khai - zauważyła Sharsa.

Ona najwyraźniej nie miała problemów z nadmiernym okazywaniem uczuć swoim dzieciom.

- Vestara Khai została wybrana przez Statek - odparował Yur. - Wielu Sithów miało wobec niej wielkie oczekiwania, nie tylko jej ojciec.

Użycie czasu przeszłego nie uszło uwadze Vola.

- Później zajmiemy się sprawą zdrady lub wierności Vestary Khai - powiedział. - W tej chwili najważniejsza jest kwestia Abeloth i jej związków z Gavarem Khai. Kaladris, ty rozmawiałaś z powracającymi członkami Plemienia. Każ jednemu albo dwóm obserwować Khaia i o wszystkim meldować. Być może to ojciec, a nie córka, okaże się zdrajcą.

Dyskusja toczyła się dalej, aż w końcu nadszedł czas na sen. Vol nigdy by się do tego nie przyznał, ale z wiekiem coraz szybciej się męczył. Coraz częściej potrzebował paru chwil na odświeżenie się przy użyciu Mocy. Gdyby tak można było całkowicie zregenerować stare ciało, zadumał się. Musiał jednak zadowolić się świadomością, że jego wiek jest wciąż bardziej atutem niż ciężarem.

Przed pójściem spać Vol zawsze oddawał się medytacji. Usiadł teraz na prostej tkanej macie w rogu sypialni. Na macie stała pojedyncza świeca w szklanym świeczniku. Vol wykonał

minimalny ruch palcem wskazującym i świeca się zapaliła.

Skoncentrował się na migocącym płomyku, układając sobie w głowie wydarzenia minionego wieczoru, tak żeby nawet we śnie jego podświadomość mogła rozgryzać dręczące go problemy. W ten sam sposób przeanalizował ostatnie kilka dni, przywołując informacje, jakie zebrał w trakcie rozmów z niektórymi Sithami, którzy powrócili z Abeloth. Nie wszyscy byli tak niezdecydowani jak Gavar Khai. Niektórzy mieli zdumiewające spostrzeżenia i informacje i chętnie dzielili się nimi z

Wielkim Lordem w nadziei na zyskanie jego przychylności.

A niektóre z tych spostrzeżeń były wręcz fascynujące. Niczym ktoś metodycznie siejący nasiona w żyznej glebie, Vol przypominał sobie wszystko, co wydarzyło się w ciągu minionych paru dni, pieczołowicie wkładając ziarna informacji w płodną glebę swojej podświadomości i delikatnie uklepując. Wreszcie, zmęczony ostatnimi pracowitymi dniami i wydarzeniami minionego wieczoru, wstał, westchnął, słysząc, jak trzeszczą jego kości, i położył się w wygodnej pościeli.

Cieszył się, że ma chociaż kilka godzin przed rannym spotkaniem z Abeloth. Trans był

niewątpliwie użyteczny, jednak prosty, naturalny odpoczynek czasem jeszcze bardziej pomagał.

Sen szybko go odnalazł.

I nie tylko on.

Stał sam na lawendowym brzegu oceanu, z mieczem świetlnym w sękatej ręce. Upał był nie do zniesienia, słońce lało się na niego promieniami, mocniej nawet niż w środku lata. Jego szaty były ciężkie, o wiele za ciężkie, i od razu zdał sobie sprawę, że to coś więcej niż zwykły sen.

Stała twarzą do niego. Przybrała oblicze pięknej Keshiri niczym maskę, którą miała na sobie tego wieczoru. Tym razem jednak celowo pozwoliła, żeby maska się zsunęła.

Vol widział w swoim życiu wiele przemocy, fałszu, brzydoty i brutalności. Widział, a niekiedy popełniał takie czyny jak wypatroszenie ciała i torturowanie umysłu za pomocą Ciemnej Strony Mocy. Widział ciała rozrywane na drobne kawałeczki, widział piekielnie inteligentnych ludzi, którzy zamieniali się w bełkoczących idiotów, w miarę jak ich umysły rozpadały się cząstka po cząstce.

Teraz jednak wzdrygnął się z przerażenia, widząc potworności, jakie mu się ukazały.

Przed sobą miał koszmarną istotę. Zamiast włosów miała długie, wijące się, odrażające kosmyki, oczy miała zapadnięte, a mimo to jasne jak gwiazdy, a jej usta rozszerzały się coraz bardziej, aż przepełowiły twarz. Śmiała się, a kosmyki sięgały coraz dalej, zarówno fizycznie, jak i w Mocy.

- Głupi Vol - powiedziała. - Jak mogłeś pomyśleć choćby przez chwilę, że jakikolwiek człowiek zdoła choćby pojąć bezmiar, jakim jest Abeloth, a co dopiero pojąć go dla waszych błahych celów. Teraz zginiesz, a twój świat będzie należał do mnie. Będę dla twoich poddanych jednocześnie obrońcą i Niszczycielem i ani ty, ani żaden z twoich małych przyjaciół nie może mnie powstrzymać.

Kosmyki oplatały teraz Vola, wpełzały mu do ust, do uszu, do nosa, pieszcząc go w dziwnie pociągający sposób, a on wzdrygnął się z odrazą.

To był sen, wiedział o tym, ale jednocześnie było to coś więcej niż sen. Nawet znajdując się w takim zawieszeniu, Vol wiedział, co musi zrobić. To go przerażało, jednak myślał, że miałyby zostać zniszczone bez walki przez tę plugawą istotę, przerażała go jeszcze bardziej.

Musiał zanurzyć się w tym umyśle.

Poświęcił cenną sekundę, żeby owinąć się Mocą niczym kocem, a potem odsłonił swój umysł i otworzył go na Abeloth.

W swoim aroganckim zadowoleniu z pułapki, którą zastawiła, zapomniała o ostrożności.

Rzuciła się naprzód i wdarła do jego umysłu, nieświadoma, że tego właśnie chciał Vol. Wpuściła go, a on, nie tracąc ani sekundy, otworzył się na brzydotę, którą zastał w środku. Jak złodziej, któremu wymiar sprawiedliwości depta po piętach, Vol zaczął błyskawicznie plądrować, nie bawiąc się w subtelności i nie przejmując się możliwością wykrycia. I znalazł nieoczekiwane bogactwa.

Cierpienie. Pustka rozdzierająca serce tego wszystkiego, czym była Abeloth. Zdrada.

Tęsknota - tęsknota! - za towarzystwem, za miłością, za kimś, kimkolwiek, kto mógłby ją wielbić i nigdy, przenigdy by jej nie zostawił. Kto zostałby z nią na zawsze...

*Nie zostawiaj mnie nie zostawiaj mnie nie zostawiaj mnie...*

Straciła jakąś część siebie, którą kochała bezgranicznie, straciła bezpowrotnie i ktoś za to zapłaci, a ona będzie kochana, wielbiona i otaczana czcią. Tak być powinno, tak miało być...

Poczuł jej zdumienie, a potem wściekłość i już wiedział, że został przyłapany. Kosmyki przestały nieśmiało pieścić i droczyć się z nim. Teraz stały się agresywne i brutalne, owijały mu się wokół szyi, atakowały ciało. Vol stawiał opór i przeszedł do ataku. Zobaczył ranę - coś czarnego, krwawego i zakażonego - w czymś, co można było uznać za duszę lub serce tego monstrum. I wycelował prosto w nią.

*Nikt cię nie kocha. Jesteś brzydka i odrażająca, a jeśli kiedykolwiek myślałaś, że komuś na tobie zależy, to znaczy, że ten ktoś cię okłamał i naśmiewał się z twojej łatwowierności.*

Wściekły podmuch Mocy uderzył w Vola, ale on się nie ugiął i kontynuował atak.

*Nikt nigdy cię nie pokocha. Nikt nie będzie cię wielbił ani czcił. Będą jedynie bać się ciebie i nienawidzić. I nic na to nie poradzisz, cokolwiek byś zrobiła, cokolwiek powiedziała i kimkolwiek się stała. Luke Skywalker był przerażony, kiedy zobaczył, kim naprawdę jesteś. Podąża za tobą nie jako młody zalotnik, o nie, ale po to, żeby cię zabić i uwolnić wszechświat od niedoli.*

Pod wpływem nieustępliwego ataku na jej zranione miejsce zaczęła zwijać się z bólu w sercu Mocy, zupełnie jakby Vol rozdrapywał zakażoną ranę w materialnym świecie. Jej atak zmienił się - z pragnienia zadawania bólu zrodziło się pragnienie ucieczki. Vola ogarnęła euforia.

Miał tylko nadzieję, że przetrwa wystarczająco długo, żeby zadać ostateczny cios.

*Żyłas, wzbudzając wstręt, i tak też umrzesz. Umrzesz teraz...*

Włożył w ten atak wszystkie siły, ciskając swoją emanacją w Mocy w cieknącą psychiczną ranę, całkiem jakby walił pięścią w poranioną pierś.

*Nie!*

Jej ból eksplodował i odrzucił Vola do tyłu, uwalniając go, ale jednocześnie przyprawiając o najstraszliwsze katusze, jakich kiedykolwiek doświadczył.

Vol wybudził się ze snu tak gwałtownie, że spadł z łóżka i zderzył się z podłogą. Leżał

przez chwilę, z trudem łapiąc powietrze, słaby, bardzo słaby, mokry od potu i przerażony. On -

przywykły do manipulowania przedmiotami przy użyciu Mocy, do pokonywania znacznych odległości jednym skokiem, do miażdżenia rzeczy za pomocą myśli - miał mniej sił niż dopiero co wykluty uwak. Trudność sprawiało mu nawet podniesienie głowy, podźwignięcie się z podłogi, a wszystkie mięśnie drżały z wysiłku, jakiego wymagała ta prosta czynność.

Stękając ciężko, podniósł się do pozycji siedzącej. To musiało wystarczyć - powstanie, nie mówiąc o chodzeniu, zajęłoby mu kilka minut. Zebrał resztki energii i wezwał Revara, młodego Miecza Sithów, który mu usługiwał. Cztery sekundy później Revar wpadł do pokoju z mieczem świetlnym w dłoni, którego klinga rozświetlała mrok i rzucała upiorny czerwony blask na zaniepokojoną twarz młodego mężczyzny.

- Panie! - zawołał Revar i oświetlił pokój gestem ręki, wyłączając równocześnie broń. - Co się stało? - Podbiegł i pomógł starszemu mężczyźnie usiąść na łóżku.

Vol otworzył usta, ale nie mógł nic powiedzieć.

- Abeloth... - wychrypiał w końcu.

- Była tu?

Vol pokręcił głową.

- Nie. We... śnie... - Wiedział, że mówi jak starzec, ale rozumiał też, że ma na ciele znamiona widoczne dla Revara i dla innych. - Mój statek... zaprowadź mnie na statek. I obudź

Lordów - polecił, zaniepokojony tym, jak słabo brzmiał jego głos. - I siły obronne... miasto... ona będzie chciała... się zemścić...

Revar nie tracił więcej czasu na pytania. Posługując się Mocą, podniósł swojego pana tak delikatnie, jak tylko potrafił, a następnie, trzymając go mocno, popędził ze zwiększoną dzięki Mocy prędkością w kierunku hangaru na szczycie rezydencji Vola. Mały prywatny statek był zawsze przygotowany, na wypadek gdyby Wielki Lord chciał się bezzwłocznie gdzieś udać.

Kiedy biegli, Vol zaszlochał. Revar był tym zakłopotany, ale nie na tyle, żeby nie zwracać bacznej uwagi na to, co mamrotał Wielki Lord.

- Nic jej nie powstrzyma... a ja, głupi, myślałem, że mogę ją wykorzystać... Czym ona jest?... Błąd... Na mrok, to największy błąd w moim życiu...



Abeloth błąkała się po Szklanym Mieście, zanim w końcu zaatakowała Vola. Podobał jej się spokój i piękno tego miejsca, oświetlonego przez ogniokule, i zastanawiała się, co może zrobić z miastem, kiedy już nad nim zapanuje. Czy powinna uczynić je swoją bazą, z której będzie władać galaktyką? Było takie staroświeckie i uroczne. A może powinna podarować je w nagrodę tym, którzy wiernie jej służyli?

Plan ataku na Wielkiego Lorda Vola zrodził się w jej głowie, gdy tylko Statek obrał kurs na Kesh. Chciała uderzyć tutaj, w centrum tego świata, z którego był tak dumny, żeby pokazać Volowi i innym, że nic, co jest im drogie, nie będzie przed nią bezpieczne. Wiedziała, że Vol jest potężnym użytkownikiem Mocy, bardzo silnym Ciemną Stroną, i była na to przygotowana.

Ale on ją przechytrył. Zastosował technikę, którą nie tak dawno wykorzystał przeciwko niej ten, który był jego przeciwnikiem. Nauczył się techniki Therańskich Nasłuchiowaczy, tak samo jak pogardzany przez niego Skywalker, i użył jej jeszcze bardziej lekkomyślnie niż Jedi.

On...

Abeloth wydała okrzyk, przy którym usta rozcięły jej twarz na pół. Niezdolna do zachowania poprzedniej postaci, niezdolna nawet do dostrzeżenia tego faktu, zaczęła wierzgać i wyć; z jej tułowia wystrzeliły macki, a twarz zaczęła się przeobrażać jak topniejący wosk. Jej ból wykorzystał Moc jako broń, tak jak sama to często robiła, jednak tym razem była ledwie świadoma faktu, że uwalnia niemal niewyobrażalne ilości energii Mocy w mieście, które było na to kompletnie nieprzygotowane.

W najbliższej okolicy przebywało kilkadziesiąt osób. Niektóre spały spokojnie w łóżkach.

Większość była z rodzinami.

Wszyscy oni implodowali. Inni, znajdujący się dalej, budzili się w bólu, podczas gdy ich ciała rozpadały się, rozrywane kawałek po kawałku.

Całe miasto zaatakował wiatr niosący odłamki szkła, z których każdy był *shikkarem* posłanym w jednym celu - żeby zadać ból wszystkim i wszystkiemu, co żyło w obrębie Szklanego Miasta. Oni byli Zapomnianym Plemieniem - mieli więc cierpieć, tak jak ona cierpiała przez ich przywódcę.

Odłamki topiły się w chwili, gdy przebijały skórę, roznosząc rozgrzaną do białości, bolesną śmierć. Budynki, wykonane z metalu i szkła, rozpływały się powoli, grzebiąc tych, którzy mieli nieszczęście w nich mieszkać.

Wszystko to nie wyrządziło Abeloth żadnej krzywdy, chociaż i tak by nie zauważyła, gdyby było inaczej. Ledwo spostrzegła, że coś uniosło ją z ulicy, na której leżała w konwulsjach, a duży kształt, przypominający gniewne pomarańczowe oko, pomknął ku niej.

**Na pokładzie „Czarnej Fali”**

Gavar Khai postanowił spędzić tę noc na pokładzie „Czarnej Fali”, zamiast ze swoją żoną.

Poinformował ją o tym przed wyjściem na maskaradę. Jako dobra żona Sitha przyjęła do wiadomości, że jej mąż ma swoje powody, i nie protestowała.

W ten sposób Gavar Khai przeżył tylko po to, by stać się wdowcem.

Męczarnie Abeloth wyrwały go z głębokiego snu. Usłyszał wściekłe wycie syreny alarmowej rozbrzmiewające na całym statku. Narzucił szaty i popędził na mostek, gdzie zastał

swoją załogę na stanowiskach. Niektórzy byli tylko częściowo ubrani, wszyscy jednak mieli zaczerwienione oczy i byli przerażeni.

- Mieczu Khai! - wykrzyknęła Annax. - Poczuliśmy Abeloth! Ona...

I nagle wszyscy zamilkli. I usłyszeli krzyk. Zalała ich fala bólu; nie, nie fala, coś znacznie potężniejszego. Tsunami cierpienia, strachu i fizycznej męki tysięcy istot.

Było to zarazem obrzydliwe i rozkoszne. Khai nigdy wcześniej nie doświadczył niczego podobnego. Walcząc ze sobą, żeby nie zamknąć oczu, wpatrywał się w monitor. Jeszcze przed chwilą było na nim Tahv, ciche, spokojne, rozjaśnione światłami śpiącego miasta. Teraz płomienie ogarniały niektóre dzielnice i...

- Ona je topi - wyszeptał. Abeloth topiła miasto. Szybko się otrząsnął. - W jakim stanie jest lądowisko na północ od Tahv? - warknął, odzyskując panowanie nad sobą.

Palce Annax wykonały kilka szybkich ruchów.

- Są pewne zniszczenia, ale...

Nie musiała nic więcej mówić. Khai wiedział, że te statki, które były wciąż sprawne, zaatakują ich fregaty, sądząc, że stanęli po stronie Abeloth.

Czy naprawdę stanęli?

- Startują - powiedział. - Manewr wymijający. Gdzie Statek?

Poczuł go. Był zimny, skupiony. *Abeloth jest bezpieczna. Musimy natychmiast odlecieć*, powiedział Statek.

Khai się zawahał. Był w rozterce. Mógł pozostać dumnym i lojalnym członkiem Zapomnianego Plemienia Sithów, którym był przez całe życie. Mógł stanąć po stronie Wielkiego Lorda Vola i razem z nim bronić swojej kultury... swojej żony. Mógł rozkazać flocie, by zwróciła się przeciwko Abeloth. Możliwe, że wszyscy razem zdołaliby zniszczyć Statek. To, czy oznaczałoby to również zniszczenie Abeloth, było zupełną i przerażającą niewiadomą. A mogli też odlecieć, ostrzeliwując się, i związać swój los z nią.

- Kapitanie? - ponagliła go Annax. - Niedługo znajdziemy się w polu rażenia. Pozostałe fregaty proszą o rozkazy. Co mamy robić?

Podjął decyzję.

Ruszamy, pomyślał i poczuł, że Statek się zgadza.

*Za mną*, polecił ten dziwny twór, jakim był Statek, po czym opuścił jego umysł i Khai poczuł się nagle osamotniony.

- Włączyć osłony. Zostajemy z Abeloth. Statek...

- ...wysłała współrzędne - wypaliła Annax, gdy po jej ekranie zaczęły się przesuwać cyfry.

- Trzymaj się ich! Każ wszystkim statkom się wycofać!

„Czarna Fala” zakołysała się nagle pod wpływem trafienia.

Khai zerknął na mały ekran przy fotelu kapitana i zobaczył dwa migające punkciki, oznaczające fregaty typu ChaseMaster, które rozbłysły, a potem zniknęły.

- Odpowiedzieć ogniem! - rozkazał. Fregata natychmiast zanurkowała, strzelając, i Khai dostrzegł z satysfakcją, jak jeden z atakujących statków eksploduje, rozpadając się na drobne kawałeczki. Jego wąły uśmiech przygasł. Kto był na tym statku? Bez wątpienia ktoś, kogo znał.

We flocie Zapomnianego Plemienia nie było zbyt wielu Sithów, których nie znałby chociaż z nazwiska.

Teraz byli wrogami. Zamknął serce na wszelki żal, jaki mógłby odczuć choćby przez chwilę.

- Uwaga, flota Abeloth - powiedział, a po tych słowach nie było już odwrotu. - Zostaliśmy zaatakowani przez Zapomniane Plemię Sithów. Współrzędne naszego najbliższego celu zostały przesłane na każdy ze statków. Spotkamy się na miejscu. Każdy okręt, który cofnie się z tego kursu i nie zaatakuje natychmiast statków z Kesh, zostanie uznany za zdrajcę i ostrzelany.

Zakończył połączenie.

- Tola, czy wszyscy zmieniają kurs? - zapytał.

- Nie, kapitanie. „Mroczna Tancerka” wciąż stoi.

- Połącz się z nimi. - Wykonała polecenie. - „Czarna Fala” do „Mrocznej Tancerki”.

Dlaczego nie kierujecie się na otrzymane współrzędne?

Cisza.

- Zniszcz ją - rozkazał Khai. - Dokonali złego wyboru.

Annax spojrzała na niego.

- Kapitanie, „Mroczna Tancerka” oberwała. Może to nie jest ich wybór. Trafienie mogło ich unieruchomić albo uszkodzić ich systemy łączności.

- W takim razie mają pecha, a Moc nie jest dziś z nimi - odparł Khai. - Nie mogę ryzykować, że ktoś pod moją komendą zwróci się przeciwko nam. Wykonaj rozkaz, Annax, bo i ciebie mogę uznać za zdrajczynię.

Jej źrenice rozszerzyły się nieznacznie. Wyprostowała swoje szerokie ramiona.

- Tak jest, kapitanie.

Gavar Khai przyglądał się zimnym, nieczułym wzrokiem, jak „Mroczna Tancerka” zamienia się z całego, nawet jeśli uszkodzonego, statku w chmurę fruujących szczątków i kawałków żywych jeszcze przed chwilą ciał.

Statek znów się zakołysał.

- Annax, wykonaj ten skok w nadprzestrzeń - warknął Khai.

- Próbuję, kapitanie, ale...

- Nie próbuj. Zrób to.

Jej palce wykonały parę szybkich ruchów. Trzecia eksplozja zatrzęsała „Czarną Falą”, a Khai zobaczył, że konsolę rozświetlają meldunki o stratach z różnych części statku.

A potem, na szczęście, białe punkciki światła, czyli gwiazdy, rozciągnęły się w linie i statek zniknął w nadprzestrzeni.

## **ROZDZIAŁ 5**

Gavar Khai osunął się na fotel dowódcy, zamykając na chwilę oczy.

Uciekli. Skrzywił się lekko na myśl, że odnosi się to do sposobu, w jaki opuścili jego ojczysty świat - miejsce, w którym się urodził i wychował.

- Mieczu Khai?

Nie odpowiedział Toli Annax od razu, ponieważ następna refleksja wstrząsnęła nim do głębi. Nigdy już nie zostanie Lordem. Zerwał wszelkie więzi łączące go ze wszystkim, co znał, i stał się zdrajcą. Przełknął ślinę i przywołał Moc, szukając w niej spokoju.

- Tak, Annax?

- Nie będziemy mogli już wrócić, prawda? - Jej przenikliwe zazwyczaj spojrzenie było jakby nieobecne, a silne ramiona naprężone, jakby wykuwała już swoje przyszłe losy.

- Tak postanowiliśmy - powiedział, jakby sam nie zmagał się z myślami, które teraz wyraźnie dręczyły Tolę. - Dokonaliśmy wyboru. Mieliśmy za zadanie ujarzmić Abeloth, ale okazała się dla nas za silna. Powróciliśmy na Kesh w dobrej wierze, ale Lord Vol zdecydował się, z nieznanym nam powodem, sam zaatakować Abeloth i poniósł porażkę. Odlatując z nią, przypieczętowaliśmy swój los. Masz jakieś wątpliwości?

To wyrwało ją z zadumy.

- Nie, oczywiście, że nie!

Odpowiedź zbyt szybka, by mogła być szczerą. Khai wiedział, tak samo jak Annax - co było dla niego jasne - że zgodnie z krążącymi wśród Plemienia pogłoskami to Abeloth zaatakowała Vola. Postanowił jednak odwrócić role. Uznał, że będzie lepiej, jeśli jego załoga pomyśli, że to Vol zerwał porozumienie i zapłacił za to, niewinna Abeloth zaś ruszyła dalej, realizując wyższe cele.

Lepiej, żeby myśleli, że dokonali słusznego wyboru, bo nawet gdyby ktoś uważał inaczej, to i tak nic już nie da się zrobić. Legendarne Szklane Miasto leżało w roztopionej ruinie, a jego Wielki Mistrz był okaleczony, choć wciąż żywy. Nic, żadne przeprosiny czy ukorzenie się, nie mogło przywrócić kogokolwiek z tej floty na łono Zapomnianego Plemienia.

Nigdy.

Poczuł lekkie muśnięcie aprobaty - to Abeloth zatwierdziła jego wersję wydarzeń.

- Rdzeń Zapomnianego Plemienia zostanie zachowany - powiedział Khai. - A jako sojusznicy Abeloth jesteśmy znacznie bliżsi realizacji naszego przeznaczenia, jakim jest zawładnięcie tą galaktyką.

- Oczywiście, kapitanie. Całkowicie się z tobą zgadzam. Czasem trzeba usunąć bezużyteczne plewy, żeby nasiona mogły wydać plon.

Głos Annax był szczery i silny. Khai jednak nie wierzył jej ani przez chwilę.

- Co teraz, kapitanie?

Khai uświadomił sobie, że nie wie. Musiał jednak podjąć jakieś kroki, jakiegokolwiek, bo w przeciwnym razie zostałby uznany za słabego przez własną zastępczynię.

- Połącz się ze Statkiem i powiedz mu, że porozmawiam z naszą panią w mojej kajucie -

poleciał stanowczo. Po raz pierwszy użył tego określenia w stosunku do Abeloth, ale wydało mu się ono właściwe. Abeloth musiała uwierzyć, że oni wszyscy są po jej stronie. Bo naprawdę wszyscy byli. Musieli być. I kiedy teraz analizował to na chłodno, Khai stwierdził, że jest zadowolony z takiego obrotu wydarzeń. W Abeloth było coś... czystego, czystsze niż wymyślne maski i tradycje Zapomnianego Plemienia. Nie było w niej blichtru i fałszywego blasku. Poznał Abeloth od najlepszej i najgorszej strony, walczył razem z nią i przeciw niej. Nigdy by się nie spodziewał, że wypadki tak się potoczą, ale... nie był niezadowolony, że tak się właśnie stało.

Annax skinęła krótko głową i wykonała polecenie.

Khai otworzył umysł na Moc, spokojny i zadowolony, tak żeby Abeloth od razu go wyczuła i odczytała jego intencje. Zaszła się ponownie we wnętrzu Statku i wracała do zdrowia w jego dziwnych objęciach.

Natychmiast poczuł jej mentalny dotyk, zanim jeszcze usłyszał jej głos przez komunikator.

Był, tak jak wcześniej, dziwnie bełkotliwy.

- Chcesz znać moje plany - powiedziała.

- Tyle, ile zechcesz mi zdradzić, bym mógł jak najlepiej ci służyć.

Wyczuł w niej zmęczenie.

- A więc jesteś zdecydowanie po mojej stronie, tak?

- Wiesz, że tak. Spaliłem za sobą wszystkie mosty.

- Dobrze. Nie będziesz Lordem Zapomnianego Plemienia, Gavarze Khai. Będziesz kimś większym. Kimś nieskończenie ważniejszym. Muszę mieć przy boku kogoś, komu mogę zaufać.

- Ja będę tym kimś, pani.

- Cieszy mnie twoja ambicja. Jeśli twoja mądrość okaże się równie wielka, nie będzie dla nas rzeczy niemożliwych.

- Zapomniane Plemię miało zbyt wąskie horyzonty - stwierdził Khai. - Teraz to widzę. - Nie była to cała prawda, jednak wydawała się na tyle słuszna, żeby mógł sam uwierzyć w wypowiedane słowa. - Lord Vol nigdy ci nie dorówna, a ja nie jestem głupcem, który ślepo podąża za przywódcą tylko dlatego, że zawsze tak robił.

- To dobrze, że myślisz dalekowzrocznie - pochwaliła go Abeloth. - Jesteś mądrzejszy od Taalona. Widzisz to, co trzeba, bez konieczności ingerencji.

Khai wzdrygnął się mimowolnie.

- Jeśli chodzi o moje plany... - dodała. - Nie jestem pewna. Niewykluczone, że twoja córka zdradziła już Skywalkerom położenie Kesh.

- Wciąż nie wierzę, że moja córka jest zdrajczynią - odparł Khai, wierząc się nerwowo.

- Jest to jednak możliwe - powiedziała surowo Abeloth. - Nie próbuj mnie okłamywać, twierdząc, że jest inaczej.

- Nie... nie mógłbym - stwierdził tylko Khai.

- A skoro już raz sprzymierzyli się ze Skywalkerami, Zapomniane Plemię razem z tak zwanym Wielkim Lordem Volem, boleśnie odczuwającym swoją porażkę, mogą spróbować tego raz jeszcze. Nie możemy dać się wyśledzić. Potrzebuję... czasu, żeby odzyskać siły i obmyślić dalszy plan działania. Przegoń ich trochę, Gavarze Khai.

- Tak zrobię - zapewnił. Zastanawiał się, jak ten rozkaz zostanie odebrany. Przynajmniej Toli Annax powinno się to spodobać. Przy wszystkich swoich dziwactwach przejawiała skłonności do rozrywki. Powinna ucieszyć ją perspektywa ciągnięcia floty Sithów po zupełnie przypadkowych miejscach, choćby z tego względu, że mogłaby zająć się rozmyślaniami nad tym, co może się stać i jak zapobiec jakimś niepomyślnym zdarzeniom. Zabawa dobrze wpływa na morale, pomyślał. A wkrótce Abeloth powinna odzyskać siły. Khai zaczerpnął tchu, żeby coś powiedzieć, ale zawahał

się.

- O co chodzi?

- Jeśli wolno mi zapytać... jakie masz plany co do tej królowej Jedi? - spytał. - Czy to nie mógłby być nasz następny krok? Pierwsza próba zabicia Tenel Ka nie zakończyła się sukcesem, to prawda, ale teraz jesteśmy bliżsi ustalenia prawdziwej tożsamości tej istoty. Może moglibyśmy...

- Nie. - Była to stanowcza, kategoryczna, niemal ponura odpowiedź, która nie pozostawiała miejsca na dyskusję. - To już historia. Ona była obsesją i lękiem Sarasu Taalona. Nas nie powinno to już interesować.

Khai znał swoje miejsce w szeregu, jednak instynkt kazał mu zaprotestować.

- Ale z pewnością królowa Jedi...

- Przed chwilą sam zarzucałeś Zapomnianemu Plemieniu zbyt wąskie horyzonty -

przypomniała zgryźliwie Abeloth. - A teraz popełniasz ten sam błąd, Khai. Takie myślenie jest łatwe, wygodne i dobrze znane, ale nie zapewni ci tego, czego pragniesz. Kiedy zrealizuję swoje plany, to nawet jeśli ta królowa Jedi będzie jeszcze żyła, będzie jak mały brzęczący owad w porównaniu z moją potęgą.

Serce Khaia nagle zabiło mocniej. Niemal czuł, jak jego umysł się otwiera. Ogarnęła go nagła radość, strach i podziw. Poczł, że pot występuje mu na czoło. Jak niewymownie zuchwali byli on i pozostali Sithowie, sądząc, że mogą ujarzmić i podporządkować sobie Abeloth. Skoro ona uważa, że ta potężna królowa Jedi, którą tak bardzo chciał zniszczyć Taalon, nie jest groźniejsza od brzęczącego owada, to co myśli o nich? O nim?

Mogłaby ich zniszczyć samą myślą. A mimo to potrzebowała ich... chciała, żeby byli... żeby on był... częścią jej nieuniknionego triumfu.

A był on rzeczywiście nieunikniony. Przytłoczony nagle tą świadomością, Khai usiadł na łóżku, z trudem panując nad emocjami.

Wiedział, że Abeloth wie, co on czuje. A jednak uprzejmie kontynuowała rozmowę, całkiem jakby nic się nie stało.

- Poza tym nie chcę ryzykować, że moje plany zostaną ujawnione - dodała. - Gdyby ktoś odkrył, że to ja stoję za zamachem na Tenel Ka, mogłoby mi to pokrzyżować szyki. Nie, lęk o królową zginął wraz z Taalonem. Na nas czeka większe przeznaczenie, prawdziwsze. Sithowie będą rządzić, Gavarze Khai, możesz być tego pewien. Ale będą rządzić u mego boku.

## **Na pokładzie Statku**

Abeloth siedziała skulona wewnątrz Statku. Nie wyjawiała Khaiowi ani nikomu innemu, jak bardzo ucierpiała w wyniku ataku na Kesh. Vol okazał się prawie tak potężny jak Skywalker, a w połączeniu z jego doświadczeniem dawało to druzgocący efekt.

Cóż, ona także wyrządziła mu krzywdę. Prawie go zabiła. No i zniszczyła jego ukochane miasto, wyzwalając całą furię i okrucieństwo w miejscu swojej hańby.

Ostatecznie jednak odzyska siły. A to doświadczenie uczyni ją jeszcze silniejszą.

Tymczasem zaś miała zamiar przyswoić jak najwięcej informacji.

Abeloth zamieniła Statek w okrągły monitor, który wyświetlał wiadomości ze wszystkich znanych sobie miejsc. I tak Abeloth mogła oglądać równocześnie dziesiątki obrazów. Dowiadywała się o wojnach, traktatach i klęskach żywiołowych. Chciała wiedzieć jak najwięcej o tej galaktyce, którą miała wkrótce zdominować i nagiąć do swojej woli.

Poczuła lekkie rozbawienie, oglądając doniesienia na temat Fontanny Przedwiecznych, jako że wiedziała dokładnie, co stało się na Klatooine. Patrzyła niewzruszona na horror tsunami, które pochłonęło czwartą część populacji dotkniętego nim świata, obserwowała, jak klęska głodu zamienia ciała w żywe szkielety.

Oglądała holofilmy, wywiady...

Wywiady...

Abeloth kazała Statkowi skupić się na jednej wybranej scenie. Pozostałe stopniowo zanikały, aż jaskrawe, ruchome obrazy zastąpiło ciemne wnętrze Statku w kolorze starej krwi.

Reportermem był starszy Chevin, który najwyraźniej przeprowadzał wywiad dla jakiegoś programu informacyjnego. Jednak to nie jego duża, mądra i dobrotliwa twarz przykuła jej uwagę.

Abeloth zafascynowała istota, z którą rozmawiał: samica nieznannej jej rasy. Nie odrywając od niej wzroku, Abeloth poprosiła Statek o informacje na temat tej rasy.

W odpowiedzi Statek wypełnił jej umysł obrazami i historią, które Abeloth natychmiast przyswoiła, słuchając jednocześnie wywiadu.



Istota należała do rasy zwanej Jessarami. Ich planetą wstrząsnęła niedawno rewolucyjna zawierucha. Jessarowie zbuntowali się i obalili swoich panów, z rasy zwanej Minyavishami, którzy ciemnieżyli ich od tysięcy lat. Nie był to zupełnie bezkrwawy przewrót, ale i tak jak na tego rodzaju wydarzenie miał wyjątkowo spokojny i cywilizowany przebieg. Obrazy przelatywały przez głowę Abeloth z prędkością światła: pokojowe protesty, jeden jedyny atak pod osłoną nocy na siedzibę władz, który przyniósł zaledwie kilkadziesiąt ofiar, nowy rząd, który zakazał odwetu na Minyavishach, zanim jeszcze zakończyło się radosne świętowanie wywalczonej wolności.

A ta istota była sercem i mózgiem całej operacji.

Nazywała się Rokari Kem. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała na przywódcę zdolnego poprowadzić miliony do obalenia tysiącletnich rządów. Rokari Kem była drobnej budowy humanoidem o wydłużonych kończynach i spokojnym sposobie bycia. Miała skórę w cudownym odcieniu błękitu i niebieskozielone włosy, długie, proste i błyszczące, sięgające prawie do pasa i poprzepłatane kolorowymi wstążkami. Kiedy słuchała pytania Chevina, wydawała się niemal senna, tak mocno się koncentrowała. A potem przemówiła.

- Bo widzisz, Perre - powiedziała, nachylając się do przodu i gestykulując trójpalczystą ręką, a jej duże zielone oczy otworzyły się szerzej - słowa są ważne. Chociaż same w sobie to tylko dźwięki albo symbole wyryte w kamieniu czy na piasku!

- Więc teraz ograniczacie wolność słowa, jak twierdzi rząd Minyavishów na wygnaniu? -

spytał Chevin.

Kem pokręciła głową. Wyglądała raczej na smutną niż rozgniewaną.

- Nie. Mamy zbyt wielki szacunek dla słowa. Nie wiem, czy się orientujesz, że mój lud ma długą tradycję mówienia tylko i wyłącznie prawdy.

- To wydaje się... niewiarygodne - odparł Chevin; był to Perre Needmo, znana gwiazda holowiadomości. W oczach miał dobroć i szlachetność, nawet kiedy wyrażał wątpliwości. -

Kłamstwo, zamierzone czy nie, wydaje się być zakorzenione w każdej istocie, w takiej czy innej formie.

Rokari Kem uśmiechnęła się, mrużąc oczy i marszcząc swój zadarty nos.

- Nie mamy nawet takiego słowa w naszym języku. Jeśli nie można polegać na słowach, to na czym? Wszystko, w co wierzymy, pogrąży się w chaosie. Jessarski mit o stworzeniu świata mówi, że wszystkie rzeczy powstały wraz z nadaniem im nazw, a Jessarów zobowiązano, by nigdy nie sprzeniewierzyli się sprawczej sile słowa.

- Rokari...

Machnęła z uśmiechem ręką.

- Proszę, mów mi Roki. Wszyscy tak mnie nazywają.

- A więc, Roki, pozwól, że zapytam cię o śluby milczenia - powiedział Perre Needmo. -

Słyszałem, że niewolnicy, którzy planowali ucieczkę, nigdy nie oszukiwali w sprawie swoich zamiarów. Cały czas zachowywali milczenie, nawet kiedy byli bici do nieprzytomności. Czy to prawda?

Kem pokiwała smutno głową.

- Nawet kiedy mogło to kosztować życie ich samych lub kogoś bliskiego, nigdy nie mówili niczego, co nie było prawdą. Po prostu w ogóle się nie odzywali. Niektórzy Minyavishowie to rozumieli i okazywali litość swoim niewolnikom. Ale nie wszyscy.

I właśnie ta przeszłość, ta... - Urwała, szukając odpowiednich słów. - To dlatego nalegałam, żeby Minyavishowie opuścili nasz świat. Zbyt wiele nienawiści i przemocy było między naszymi ludami.

- Niektórzy uważają, że to także ich świat - zauważył Perre Needmo.

- To prawda - przyznała Kem. - To świat nas wszystkich. Ale dzieliliśmy Qarasa tylko jako panowie i niewolnicy. Jessarowie nie potrafią inaczej koegzystować z Minyavishami. A gdyby ci, którzy nas ciemnili, pozostali na naszym świecie... - Westchnęła i pokręciła głową, a kolorowe wstążki w jej włosach zabłyśły, odbijając światła w studiu. - Nie, Perre. Musimy być sami, żeby przekonać się, kim jesteśmy, kiedy możemy wysoko nosić głowy. A nie dowiemy się tego, dopóki nasi dawni oprawcy będą na Qarasie. Ale także Minyavishowie nie zdołaliby w pełni zmyć z siebie piętna tego, co nam zrobili, jeśliby musieli wciąż na nas patrzeć. - Jej głos zabrzmiał mocniej, chociaż wciąż był melodyjny. Abeloth patrzyła jak urzeczona, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od Roki Kem. - Tak będzie najlepiej i dla Minyavishów, i dla Jessarów. Dzięki temu wszyscy będziemy mogli zaleczyć swoje rany. Oni muszą opuścić świat, który znają jako jego panowie, i znaleźć taki, na którym będą mogli po prostu być sobą. A my, Jessarowie, musimy się nauczyć żyć na Qarasie jako jego pełnoprawni mieszkańcy, a nie czyjaś własność.

Przy ostatnim słowie jej głos się załamał.

- Wyglądasz na taką spokojną istotę, Roki - wtrącił Perre Needmo. - A jednak akceptowałaś użycie przemocy.

- To prawda - przyznała otwarcie. - Ale do przewrotu doszło dopiero, kiedy wszystkie pokojowe metody walki o wolność się wyczerpały. Uważaliśmy to za ostateczność. Do dziś żałuję, że musiało do tego dojść. Robiliśmy, co mogliśmy, żeby uniknąć rozlewu krwi. Spotkałam się z rodzinami Minyavishów, którzy zginęli w czasie przewrotu, i powiedziałam im, jak bardzo żałujemy, że musieliśmy się do tego posunąć.

To najwyraźniej zaskoczyło Needma. Zamrugął swoimi dużymi oczami i odchrząknął.

- Jak... to zostało odebrane?

- Nie najlepiej, niestety. Ja to rozumiem. Ale nadal nie kłamię, i dlatego wierzę całym sercem, że z czasem oni także zrozumieją. - Uśmiechnęła się łagodnie, a jej zielone oczy pełne były nadziei. - Kiedy zaznają spokoju dzięki temu, że nie mają nad kim dominować, komu rozkazywać, bo nikt do nich nie należy, rozumieją, że ich bliscy zginęli w słusznej sprawie.

- Muszę powiedzieć, że jeśli ktokolwiek mógłby ich o tym przekonać, to z pewnością właśnie ty.

Roześmiała się - a jej uśmiech zabrzmiał jasno i promiennie jak słońce i słodko jak szmer wody.

- Nie chciałabym ich o tym przekonywać. Po prostu wierzę głęboko, że sami to rozumieją.

- Słyszałem, że wybierasz się teraz na Coruscant, żeby zasiąść w Senacie Galaktycznego Sojuszu. Czy to prawda? - spytał Needmo.

- Jak najbardziej. Wkrótce opuszczam Qarasa.

- Wydaje się, że twojemu ludowi będzie cię bardzo brakowało - ciągnął Needmo. -

Niektórzy mówią, że jesteś sercem tego nowego ładu.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- O nie, w żadnym wypadku nie chciałabym być tak postrzegana. Cała moja filozofia jest tego zaprzeczeniem. Każdy może wnieść do sprawy coś szczególnego, coś naprawdę wyjątkowego.

Ja miałam to, co potrzebne, wtedy kiedy była na to pora, to wszystko. Ci, którzy byli przy mnie przez te wszystkie lata, potrafią poprowadzić mój lud nie gorzej ode mnie. Nie pokierować; po prostu poprowadzić.

- Bardzo jestem ciekaw, co wniesiesz do Senatu, Rokari Kem. Stwierdzić, że powiew świeżości, to jakby nic nie powiedzieć. Bardzo dziękuję, że byłeś z nami. Zakończymy tę część programu długim ujęciem świętujących tłumów na Qarasie. Dla tych, którzy nie znają jessarskiego, tłumaczymy refren pieśni: „Witaj, pokoju, twoją matką Roki Kem. Chodźcie, dzieci, chodźcie do domu”.

Abeloth zauważyła, że na planecie zapada już zmierzch i nie ma wiwatów ani szalonej radości - jedynie tańce, jeśli można to było tak nazwać.

Inni przywódcy byli wielbieni, otaczani czcią, gloryfikowani.

Roki Kem była... kochana.

„Witaj, pokoju, twoją matką Roki Kem. Chodźcie, dzieci, chodźcie do domu...” **ROZDZIAŁ 6**

**Kancelaria przywódcy Galaktycznego Sojuszu, Coruscant** Wynn Dorvan, jeden z trojga pełniących obowiązki przywódcy Galaktycznego Sojuszu, przyrzekł sobie, że będzie to spokojne, owocne i uporządkowane zebranie.

Ledwie jednak zdążył o tym pomyśleć, gdy zdał sobie sprawę, że jego plan najprawdopodobniej legnie w gruzach w ciągu pierwszych pięciu minut. Niewiele rzeczy było ostatnio spokojnych, owocnych i uporządkowanych - poza samym Wynnem Dorvanem.

Niedawny zamach stanu, który doprowadził do obalenia i uwięzienia admirała Natasi Daali, zaowocował także jego zupełnie niepożądanym awansem. Pełnił teraz obowiązki przywódcy Galaktycznego Sojuszu wspólnie z Mistrznią Sabą Sebatyne i senator Haydnat Treen. Jak dotąd, układ funkcjonował zaskakująco dobrze, co musiało cieszyć, zważywszy na to, ile spraw pozostawało jeszcze do uporządkowania. Sama planeta Coruscant miała aż nadto palących problemów, od kiedy wstrząsnął nią przewrót, jakkolwiek pokojowy, do którego doszło w samym jej sercu. Konsekwencje tego wydarzenia wciąż były odczuwalne w całym Galaktycznym Sojuszu.

Można by sądzić, że taki nawał „spraw do załatwienia na już” wystarczy na całą kadencję.

Dorvan przekonał się na własnej skórze, jak mylne było to przekonanie. Wysyp rewolucji, do których dochodziło ostatnio w całej galaktyce, był oczywiście pozytywnym wydarzeniem. Dorvan był zadowolony, że niewolnictwo - instytucja odrażająca, niezależnie od tego, jak mogły ją przedstawiać lokalne rządy - dobiega kresu na tyłu światach. Mniej pozytywny był natomiast chaos, który w nieuchronny sposób następował po tak głębokich zmianach.

Niektóre powstania były wyjątkowo krwawe, powstające „rządy” zaś były niewiele lepsze od tych obalonych - a niekiedy gorsze. Znacznie gorsze. Wieki, a czasami tysiąclecia ucisku wzbudziły w wielu byłych niewolnikach żądzę zemsty i doniesienia o okrucieństwach, jakie zewsząd docierały, zasmucały bardzo jego asystentkę, niezwykle wrażliwą Twi'lekanę, Deszę Lor. Dorvan był bardziej zblazowany niż ta młoda dziewczyna, jednak teraz stwierdził, że nawet jego mogłyby prześladować koszmary po tym, czego się dowiedział.

Niektóre rewolty, te mniej destrukcyjne pod względem ofiar śmiertelnych czy zniszczonego mienia, powodowały jednak nie mniejszy chaos. Każda taka zmiana wywracała świat do góry nogami, niezależnie od tego, jak wydawała się pozytywna.

A w dodatku wraz z formowaniem się tych wszystkich nowych rządów przyszła fala wniosków o przyznanie miejsca w Senacie, jako że światy, które wcześniej nie mogły się o nie ubiegać ze względu na utrzymywanie niewolnictwa, teraz nagle zaczęły spełniać kryteria.

Pozostawało to głównie w gestii Senatu, ale Dorvan, na szczęście, także musiał brać w tym udział.

Wydawało się, że wszyscy wymagają, żeby bezzwłocznie poświęcił im całą uwagę.

Wszystko to było dosyć męczące.

Zamknął drzwi od swojego gabinetu i ruszył korytarzem w stronę sali konferencyjnej, niosąc teczkę pełną datapadów. Jego chitlik, Kieszonka, przemieścił się wprawnie z ramienia swojego pana w miejsce, od którego został nazwany, i zwinął się w kłębek. Dorvan podniósł w zamyśleniu rękę i delikatnie pogładził mały, ciepły wzgórek. Wiedział, że większość osób uważa jego przywiązanie do małego torbacza za dziwactwo lub pozę, mało go to jednak obchodziło.

Kieszonka była idealnym towarzyszem dla kogoś na jego stanowisku - łagodnym, mało absorbującym i poprawiającym nastrój.

No i przyuczonym do korzystania z kuwety, co również miało ogromne znaczenie.

Desha Lor była już na miejscu i uśmiechała się promiennie do zebranych istot. Nie była do niego podobna - nawet w najmniejszym stopniu - Dorvan jednak miał dość inteligencji, żeby zdawać sobie sprawę, że nie musi to być wcale wadą. Pomimo początkowych obaw i irytacji, jaką budziła w nim nadwrażliwość dziewczyny połączona z beznadziejną naiwnością, z czasem zaczął

cenić to, co miała do zaoferowania. Nauczyła się panować nad reakcjami na niesprawiedliwość i tragedie, nie tracąc przy tym swojej osobowości, a jej wdzięk ocieplał wizerunek Dorvana w oczach opinii publicznej. Polegał na intuicji Deshy w kontaktach z innymi i jak dotąd się nie zawiódł. A kiedy jego obciążenie pracą zwiększyło się w ostatnich tygodniach ponad czterokrotnie, po cichu, niemal niezauważalnie asystentka zaczęła zajmować się - i to z dobrym skutkiem - sprawami, które nie wymagały jego natychmiastowej uwagi. A w dodatku Kieszonka mruczała z zadowoleniem, kiedy Desha ją głaskała.

Powitały go też inne znajome twarze. Była przywódczyni Nowej Republiki, księżniczka Leia Organa Solo, zastępująca jako Rycerz Jedi Sabę Sebatyne. Zawsze pogodna i przenikliwa senator z Kuata, Haydnat Treen, trzeci członek „triumwiratu” zarządzającego obecnie Galaktycznym Sojuszem. Wojsko reprezentowali solidny i niezawodny Gavin Darklighter, dowódca piechoty kosmicznej Galaktycznego Sojuszu; rosły generał Merratt Jaxton o kwadratowej szczęce i podobnej sylwetce, szef Dowództwa Gwiezdnych Myśliwców; admirał Sallinor Parova, pełniący obowiązki dowódcy marynarki pod nieobecność admirała Bwua'tu, a także bithański adiutant Bwua'tu, Rynog Asokaji, który zawsze tkwił albo tutaj, żeby robić notatki dla znajdującego się w śpiączce przełożonego, albo przy jego łóżku.

Po raz pierwszy od dawna obecny był także przywrócony niedawno do czynnej służby szef sztabu Armii Galaktycznego Sojuszu, generał Stavín Thaal, tak wysoki i potężnie zbudowany, że można by go wziąć za Cheva. Przy jego wzroście i wyglądzie - krótko przyszyronych siwych włosach, opalanej skórze i intensywnie niebieskich oczach - zwracałby na siebie uwagę, nawet gdyby nie miał blizny zajmującej całą szerokość szyi. Kilka lat wcześniej zabójca poderżnął mu gardło; Thaal przeżył, jednak od tego czasu nie mógł mówić własnym głosem. Teraz, kiedy miał

coś do powiedzenia, z wszczepionego w gardło urządzenia wydobywał się głęboki, zimny głos droida. Było to deprymujące, a Dorvan podejrzewał, że Thaal bawiła reakcja, jaką tym wywoływał.

Obecne były także dwie dobrze znane postaci, pełniące na razie czysto doradczą funkcję: Tycho Celchu i Carlist Rieekan. Obaj mieli siwe włosy, chociaż generał Rieekan był o ładnych parę lat starszy od drugiego mężczyzny. Obaj mieli też spokojne usposobienie i znani byli z tego, że nie wypowiadali się, dopóki nie przemyśleli gruntownie sprawy. Ponadto obaj byli bezsprzecznie oddani Galaktycznemu Sojuszowi - no i mieli dobre stosunki z Jedi.

Ogólnie rzecz biorąc, była to grupa porządných istot. Dorvan skinął zebrany na powitanie, po czym zdjął płaszcz - delikatnie, żeby nie obudzić śpiącego chitlika - i powiesił go na oparciu fotela.

Podziękował skinieniem głowy Deshy, która podała mu filiżankę kawy.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - powiedział. - Musimy przestać się tak często spotykać.

Po sali przeszedł szmer rozbawienia.

- Naprawdę musimy - dodał Dorvan zupełnie poważnie. Częstotliwość tych tak zwanych nadzwyczajnych zebrań musi drastycznie spaść.

- No cóż, nie nazywalibyśmy ich nadzwyczajnymi, gdybyśmy mogli je zaplanować, prawda? - zauważyła Treen.

- Jeśli wszystko jest nadzwyczajne, to nic nie jest nadzwyczajne. Moce przerobowe Sojuszu są na wyczerpaniu i ogromnie mnie ta sytuacja niepokoi. Musimy ustalić priorytety, w przeciwnym razie możemy w ogóle nie zauważyć czegoś, co okaże się najważniejszą sprawą.

Odpowiedział mu pomruk niezadowolenia.

- A więc co proponujesz? - spytał Jaxton.

- Żebyśmy się skoncentrowali - odparł Dorvan. - I wzięli się jak najszybciej do roboty. -

Wydawało mu się, że usta Leii wykrzywił delikatny uśmiech. Nie wiedział tylko, czy oznaczał on aprobatę, czy rozbawienie. Dorvan lubił i szanował Jedi Solo, bardzo też cenił sobie jej wkład i wsparcie. Wprawdzie zdawał sobie sprawę, że była tu przede wszystkim ze względu na swoje powiązania z Jedi, ale i tak się cieszył, że może zasięgnąć rady kogoś, kto był wcześniej w takim samym położeniu, w jakim on się teraz znajdował. Nie miał nic przeciwko Sabie Sebatyne, jednak bywały chwile, że jej nieznajomość polityki, a także polityków, wywoływała irytację wszystkich zainteresowanych stron.

Dorvan upił ożywczy łyk niesłodzonego kawy, wyciągnął rękę w kierunku stosu datapadów, które Desha starannie ułożyła przy jego miejscu, i sięgnął po pierwszy z nich.

- Dzisiaj - powiedział - mamy czternaście światów ubiegających się o przyjęcie do Galaktycznego Sojuszu. Zacznijmy od B'nish i jej deputowanego do Senatu, Kamerona Suldara.

B'nish należała do tych planet, które były jak przedmiot, co leży na najwyższej półce rzadko otwieranej szafki - wiadomo, że tam jest, ale specjalnie się o tym nie myśli ani tego nie zauważa.

Dała o sobie znać dopiero ostatnio, zgłaszając akces do Galaktycznego Sojuszu.

B'nish do niedawna utrzymywała niewolnictwo, ale bez szczególnego okrucieństwa, a zainspirowana powstaniem na Blaudu Sextus i Klatooine, uznała, że nadszedł czas, żeby znieść tę instytucję i zacząć aktywniej angażować się w sprawy galaktyki. Z nielicznych informacji, jakie mieli na temat Kamerona Suldara, wyłaniał się obraz człowieka sympatycznego i skorego do współpracy, który nie budził w nikim większych emocji. Wniosek był taki, że jeśli nikt nie zgłosi żadnych obiekcji i sprawy będą wyglądać obiecująco, B'nish zostanie przyjęta do Sojuszu.

I tak toczyła się dyskusja. Dorvan był zdeterminowany, żeby od razu rozpatrzyć wszystkie wnioski, uporządkowane według kolejności, w jakiej spływały. Niekiedy, jak zauważył, różnica była minimalna. Planecie numer piętnaście, Aloxorowi, zabrakło do planety numer czternaście osiemnastu i pół standardowej sekundy. Wieża z kart danych, która chwiała się niebezpiecznie po jego lewej stronie, składała się wyłącznie z wniosków o przyjęcie do Sojuszu. Na jego biurku znajdował się osobny stos, który Desha miała przynieść, kiedy zakończy się ta część zebrania. Ten był związany ze sprawami Senatu. A po nim czekał kolejny stos.

Normalnie jego biurokratyczne serce biłoby mocno z radości, ale tego wszystkiego było po prostu za dużo, a że wszystkie sprawy były równie istotne, Dorvan nie mógł pozbyć się myśli, że prędzej czy później kogoś potraktuje niesprawiedliwie albo, przed czym sam ostrzegał, przegapi coś ważnego. A to byłoby jeszcze gorsze.

Korzystając ze swojej zdolności szufladkowania problemów, która należała do jego atutów, Dorvan poskładał w myślach swoje obawy i schował je skrzętnie w zakamarkach umysłu, żeby zająć się nimi później.

Dość szybko udało się osiągnąć zgodę w sprawie Xilxash. Był to mały, prowincjonalny świat, znany głównie z produkcji rolnej, a w szczególności soczystego owocu o nazwie brul, który był ostatnim krzykiem mody w najlepszych coruskańskich restauracjach. Nowy rząd dość łatwo obalił stary; najwyraźniej większość dotychczasowych „panów” Xilxash uznała, że większy pożytek będzie z niewolników jako pełnoprawnych obywateli, których można obłożyć podatkami, niż jako z kosztownej własności. Nie było w ich dążeniach nic godnego potępienia, za to dużo pozytywnych aspektów.

- Bardzo lubię brul, ale nie ma nic wspólnego z moim poparciem dla ich wniosku - zastrzegł

się Dorvan, pozwalając sobie na jeden z rzadkich przejawów poczucia humoru. Wszyscy się uśmiechnęli, a wniosek został jednogłośnie zaakceptowany.

Dorvan wziął kolejną kartę danych i skrzywił się w duchu. Wiedział, że bez drugiej filiżanki kawy się nie obejdzie.

- Klatooine - ogłosił, a wszyscy poruszyli się niespokojnie. - Wszyscy słyszeliśmy o tym w holowiadomościach. Ich niedawne wyzwolenie było wysoce kontrowersyjne. Jedi Solo, ty i kapitan Solo byliście ostatnio na Klatooine. Czy możesz podzielić się z nami swoimi spostrzeżeniami na temat panującej tam obecnie atmosfery?

Leia pokiwała głową. Srebrne pasemka w brązowych włosach nadawały jej mądry i dostojny wygląd, nie ujmując nic z urody.

- Jak pewnie wszyscy wiecie, świat ten przed tysiącami lat dobrowolnie oddał swoją ludność w niewolę Huttów. Traktat, znany jako Pakt Vontorski, stanowił, że Klatooinianie będą służyć Huttom, jeżeli ci będą chronić ich najświętsze miejsce, Fontannę Przedwiecznych Huttów. - Leia rozejrzała się, nawiązując kontakt wzrokowy z zebranymi. - Wygląda na to, że Sithowie niechcący zrobili coś dobrego. Zabezpiecili fontannę, żeby zdobyć próbki przypominającej szkło substancji zwanej

wintrium, a Huttowie nie zapobiegli profanacji. Potem, pomimo prawomocnego orzeczenia stwierdzającego, że Huttowie zrobili, co mogli, emocje wzięły górę i Klatooinianie się zbuntowali.

Zaczęli nazywać atak Świętokradztwem, a zamieszki, które doprowadziły do zerwania Paktu Vontorskiego, Wyzwoleniem. A że nie byli przyzwyczajeni do samostanowienia, poprosili o pomoc mnie, kapitana Solo i hapańską królową matkę Tenel Ka.

- Z twojego raportu wynika - powiedział Dorvan, przeglądając dokument - że Klatooinianie mieli pewne problemy.

Stwierdzenie to było przykładem typowej dla Dorvana powściągliwości. Klatooinianie nie tylko musieli poradzić sobie z nieoczekiwane zyskaną wolnością; rozmowy pokojowe prowadzone ostatnio na ich świecie zostały brutalnie przerwane przez zamach na hapańską królową Tenel Ka.

- To prawda, i nadal dalecy są od pokojowych, sprawnych rządów. Ale są na dobrej drodze i sądzę, że mogą wnieść dużo dobrego, kiedy pokonają te początkowe trudności.

- Zakładam więc, że ktokolwiek ma ich reprezentować, należy do tych bardziej... - Tycho Celchu bardzo wyraźnie szukał odpowiedniego słowa - ...obytych Klatooinian? Czy to ktoś ze Starszyny?

- Niestety - odparła Leia - członkowie klatooiniańskiej Starszyny zostali uznani za zbyt zacofanych, by mogli właściwie reprezentować nowego ducha Klatooine.

- Mam nadzieję, że nie stała im się żadna krzywda? - zaniepokoiła się Treen.

- Bynajmniej. Klatooinianie mają wielki szacunek dla starszych. Kanclerz i członkowie Starszyny zostali tylko odsunięci od władzy, ale nie spotkała ich żadna krzywda ani kara, mimo że niektórzy, co bardziej impulsywni, oskarżali ich o „kolaborację” z Huttami.

Zebrani wymienili spojrzenia. Jak można się było spodziewać, przedstawiciele wojska -

Jaxton, Thaal i Parova - wydawali się ostrożni i sceptyczni, ale inni kiwali z aprobatą głowami.

Dorvan z ulgą przyjął słowa Leii. Jako realista - ani pesymista, ani idealista - nie miał złudzeń, że zniesienie niewolnictwa ma być zawsze spokojną i przyjemną operacją. Regułą były raczej przemoc i chaos, a nie pokojowe przekazanie władzy, więc każdy przypadek społeczeństwa, które zachowuje powściągliwość wobec ciała zarządzającego utożsamianego z „panami”, musiał cieszyć. Zwłaszcza jeśli chodziło o Klatooinian, rasę, która nie była raczej znana z łagodności i pacyfizmu.

- To bardzo dobry znak - stwierdził Dorvan. - Sądzisz, że mogą pójść w tym kierunku?

- Tak - zapewniła stanowczo Leia. - Chcą zająć swoje miejsce w Galaktycznym Sojuszu.

Możemy ich wiele nauczyć i wieloma rzeczami się z nimi podzielić, a i oni mają nam dużo do zaoferowania.

- Pod warunkiem, że zdołają uspokoić wzburzoną ludność - wtrącił Darklighter. Leia przytaknęła.



- Jedi Solo, od wczesnej młodości byłeś dyplomatą i chyba wszyscy siedzący przy tym stole liczą się z twoim zdaniem. Jeśli uważasz, że powinniśmy ich przyjąć do Sojuszu, mnie to wystarczy - oświadczył Dorvan. Większość zebranych pokiwała głowami. - Kogo zatem obecny rząd Klatooine wyznaczył na swojego przedstawiciela w Senacie?

Leia spokojnie wcisnęła guzik i pośrodku stołu pojawił się hologram. Przedstawiał on wyjątkowo prostacko wyglądającego Klatooinianina, zgarbionego pomimo wyraźnie atletycznej sylwetki, z gniewnym wyrazem na psiej twarzy. Nieliczne fragmenty oliwkowej skóry, które wystawały spod długiego płaszcza, oznaczone były bliznami. Płaszcz, prosty i elegancki, kontrastował ostro z istnym arsenałem, jaki Klatooinianin miał na sobie.

Dorvan uniósł brew.

- Padnel Ovin? - spytał z lekkim niedowierzaniem. - Przywódca organizacji terrorystycznej?

- Han i ja dobrze go poznaliśmy w czasie naszego pobytu na Klatooine - powiedziała ze spokojem Leia. - To prawda, Front Obrony Istot Rozumnych czy też Piaskowe Pantery, jak ich nieformalnie nazywano, to byli terroryści... albo bojownicy o wolność, w zależności od tego, jak na to spojrzeć. Spójrzmy raczej na historię Piaskowych Panter. Grunel Ovin, twórca organizacji, miał

swoje ideały i wcielał je w życie. Pieniądze pochodziły z datków od byłych niewolników lub wrogów Huttów oraz, przyznaję, z pirackich napadów na ich panów. - Spojrzała na Rieekana. - Ale czy Sojusz Rebeliantów czterdzieści lat temu postępował inaczej, Carlist?

Rieekan uśmiechnął się cierpko. Nie odpowiedział, dał tylko znak ręką, żeby kontynuowała.

- Cele ataków ograniczały się wyłącznie do statków korporacji, które handlowały towarami wytwarzanymi lub w inny sposób dostarczanymi przez niewolników, oraz do obiektów wojskowych ochraniających te korporacje. To wszystko. Cele cywilne były zakazane.

- A co z cywilami, którzy po prostu mieli to nieszczęście, że byli zatrudnieni przez te korporacje? - spytała Parova.

Leia popatrzyła spokojnie na panią admirała.

- Wszyscy siedzący przy tym stole rozumieją takie pojęcia, jak efekty uboczne i dopuszczalne straty. Pomimo tylu tysięcy lat niewolnictwa dławiącego ich lud, Piaskowe Pantery robiły, co mogły, żeby zminimalizować ofiary wśród cywilów. Ale nie oszukujmy się, to była wojna.

- Tak czy owak, Jedi Solo - powiedział Dorvan, próbując sprowadzić dyskusję na właściwe tory - zadaniem tej grupy jest ustalenie, czy Klatooine powinno zostać przyjęte do Galaktycznego Sojuszu. Jak sama mówiłaś, poznałaś Padnela. Jakie jest twoje zdanie?

- Jest odważną istotą, tak samo jak kiedyś jego brat, i potrafi porwać tłumy.

- Wydaje się dosyć... wojowniczy - zauważył Jaxton, który zapewne wiedział, co mówi. -

Dziwny wybór jak na kogoś, kto ma reprezentować swój lud w czasie pokoju.

- Jest szanowany przez ten lud, a jeśli zgadzamy się, że Klatooine zasługuje na członkostwo, to on właśnie został przez nich wybrany, żeby reprezentował ten świat w Senacie. Wierzę, że ma dobre serce. Chce dobrze służyć swojemu ludowi, nawet jeśli to oznacza, że będzie musiał się nauczyć służyć mu zupełnie innymi metodami niż do tej pory.

- Klatooinianie zerwali pęta niewolnictwa, które krępowały ich od dwudziestu pięciu tysięcy lat - stwierdził Dorvan. - Wywalczyli sobie prawo do zarządzania swoim światem w sposób, który uznają za stosowny, ale w granicach narzuconych przez członkostwo w Galaktycznym Sojuszu.

Jeśli wybrali Padnela Ovina, żeby ich reprezentował, to przyjmujemy go tak samo jak każdego legalnie wybranego senatora. - Spojrzał na Leię i zapytał: - Został wybrany zgodnie z prawem?

Leia przytaknęła ruchem głowy.

- Zastanawiam się, czy Klatooine jest rzeczywiście gotowe, żeby formalnie stać się częścią Sojuszu - powiedział Rieekan i wszystkie głowy zwróciły się ku niemu. Nachylił się do przodu; ręce miał słabe i pokryte plamami, ale wzrok bystry i skupiony. - Jeśli nie, to przyznanie im członkostwa może wszystkim zaszkodzić. Dla nich byłoby znacznie gorzej, gdybyśmy musieli potem odebrać im członkostwo, niż gdybyśmy się wstrzymali z jego przyznaniem.

- Rozumiem twoje obawy - przyznała Leia. - Ale w pewnym sensie... ta wolność, którą wywalczyli... to coś, do czego dążyli od pięciu tysięcy lat.

- W takim razie mogą jeszcze trochę poczekać - odparł Rieekan.

- Nie, generale - odpowiedziała stanowczo Leia człowiekowi, pod którego rozkazami kiedyś służyła. - Formalne członkostwo będzie dla nich oznaczało, że po tak długim okresie, kiedy uważali się za godnych jedynie tego, by służyć Huttom, teraz mają prawo usiąść przy jednym stole z innymi. Mają prawo do tego, żeby ich głos został wysłuchany przez organizację, którą darzą szacunkiem. Jeśli odmówimy im tego prawa, opierając się nie na faktach, ale wyłącznie na własnej opinii, wówczas ta chwila, ta szansa, niepowtarzalna w ich historii, zostanie zaprzepaszczona.

- Jedi Solo - powiedział cicho Dorvan, wpatrując się w nią z większym niż zwykle skupieniem - masz świetnie rozwinięty instynkt polityka i dyplomaty. Masz wieloletnie doświadczenie. No i masz Moc. Czy według ciebie Klatooinianie są gotowi na wyzwania, jakie stawia przed nimi członkostwo Galaktycznego Sojuszu? A przede wszystkim czy sądzisz, że ten dawny watażka jest gotów usiąść i rozwiązywać problemy za pomocą rozmów przy filiżance kawy, a nie za pomocą broni?

Leia nie odpowiedziała od razu i Dorvan wcale tego nie oczekiwał. Rozsiadła się w fotelu i zamyśliła. Zaciśnęła usta, a oczy zaszyły jej mgłą. Po chwili pokiwała zdecydowanie głową.

- Wierzę, że tak. To prawda, brakuje mu oglądy, ale kocha swój lud i nauczy się działać w sposób, który będzie dla nich dobry. - Uśmiech pojawił się na jej ustach. - Chociaż wygląda na takiego, który lubi się sprzeczać tylko dla zasady.

- W takim razie powinien się dobrze czuć w Senacie - zauważył cierpko Dorvan. - Jeśli tylko Klatooine będzie przestrzegało naszych praw, jest mile widziane. Jeszcze jakieś obiekcje?

Żadnych nie było. Mimo że Leia była Jedi i nie zawsze wszyscy zgadzali się z jej polityką lub działaniami, wszyscy obecni szanowali ją za jej wieloletnią służbę. Jej przekonanie było dla nich wystarczającym argumentem.

Na razie.

- Idźmy dalej - powiedział Dorvan, sięgając po następny datapad. Uśmiechnął się nieznacznie. - No, teraz powinno pójść trochę szybciej. Następny w kolejce jest Qaras i, jak wszyscy już wiemy, wyznaczyli Rokari Kem na swoją przedstawicielkę w Senacie.

- Qaras też ma swoje problemy do rozwiązania, ale przynajmniej ma Rokari - zauważył

Darklighter.

- Jednak to podzielony świat - wtrącił Tychu. - Trochę mi szkoda Minyavishów. Z tego, co słyszałem, nie byli specjalnie brutalni wobec Jessarów, a mimo to Kem chce ich wygnać. Niedawno jeszcze była to rasa panów i władców, a teraz nie są mile widziani nawet na własnej planecie.

- Zdaje się, że rząd współpracuje z Minyavishami przy ich przesiedleniu - odparł Gavin. - I szczerze mówiąc... nie dziwię się Jessarom, że nie chcą ich u siebie. - Spojrzał na Dorvana. -

Wiemy coś na temat tego, jak w praktyce odbywa się to przekazanie władzy?

Innymi słowy, pomyślał Dorvan, co mają na ten temat do powiedzenia nasi szpiegowie?

- Wydaje się, że faktycznie jest tak, jak to na pierwszy rzut oka wygląda - powiedział. -

Istotnie jest to świat podzielony... ale obydwójce przywódców zdają się zgadzać co do tego, że rozdzielenie jest dobrym pomysłem, transformacja zaś przebiega tak gładko, jak można by tego oczekiwać. Spodziewam się, że Kem poprosi nas o pomoc w tej kwestii, ale to już Senat musi przegłosować. Naszym zadaniem jest dzisiaj zdecydowanie, czy chcemy przyjąć Qarasa do Sojuszu, a ja osobiście nie widzę przeszkód.

Siedzący przy stole zgodzili się z nim. Ta sprawa należała do najmniej dyskusyjnych i atmosfera nieco się rozluźniła. Dorvan był prawie pewny, że zauważył nawet uśmiech na twarzy Carlista Rieekana.

Co prawda dzień był jeszcze młody.

## **ROZDZIAŁ 7**

### **Rezydencja moffa Drikla Lecersena, Coruscant**

Trzydzieści i pół godziny później, na drugim końcu świata, odbywało się spotkanie bardzo podobne

do tego, którego gospodarzem był jeden z przywódców Galaktycznego Sojuszu. Podobnie jak w przypadku tej pierwszej konferencji, uczestnikami byli moiżni Źwiata polityki. Podawano potrawy i napoje, porządek obrad zaś był identyczny jak na wcześniejszym zebraniu.

Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Już dawno minęła pora obiadowa, ale zebrani byli przyzwyczajeni do dziwnych godzin i jeszcze dziwniejszych miejsc spotkań. To miejsce nie było tak osobliwe jak niektóre poprzednie; ot, prywatna rezydencja, położona na kilku akrach bardzo drogiego gruntu, z dyskretnym lądowiskiem w pobliżu.

Moff Drikl Lecersen uśmiechnął się do swoich gości. Siedział przy dużym stole wyrzeźbionym z ciemnoczerwonego drewna, którego ciężki kształt dominował nad przestronnym pokojem. Stół był przykryty przepięknym obrusem, utkany z jedwabiu rzadkich robaków saass z G'harisa. Każdy talerz i sztuciec kosztował więcej, niż urzędnik państwowy w rodzaju Deshy Lor mógł zarobić w ciągu roku, jednak goście najwyraźniej czuli się tu całkiem jak w domu. Podłogę z zimnego ithoriańskiego marmuru pokrywały futrzane dywany ze skór rozmaitych egzotycznych stworzeń, półki i kredensy zaś ozdobione były bibelotami ze wszystkich zakątków galaktyki.

Lecersen siedział oczywiście u szczytu stołu. Na prawo od niego zajmowała miejsce senator Haydnat Treen z Kuata. Tego dnia, na poobiednie spotkanie, które miało być także pożegnalnym przyjęciem dla Lecersena, Treen włożyła śliczną błękitnosrebrną suknię, idealnie pasującą do jej oczu. Suknia była elegancka, lecz swobodna, a smukłą szyję senator owinęła apaszką w kolorze indygo, nie tylko dla ozdoby, ale też by ukryć delikatną siateczkę zmarszczek na lekko obwisłej skórze.

Obok niej siedział generał Merratt Jaxton, który przybył zaledwie parę chwil wcześniej.

Włosy mu już posiwiały, jednak szef dowództwa Gwiezdnych Myśliwców miał mniej lat i mniej zmarszczek od pozostałych siedzących przy stole. Miał też, jak się wydawało, większy apetyt.

Nałożył sobie na talerz stertę krokiecików ze smażonej ryby i cieniutkich plastrów steku z nerfiny z grillowanymi pieczarkami.

On z kolei wydawał się mały przy potężnym generale Stavinie Thaalu, który sprawiał

wrażenie, jakby żywił się raczej durastalą niż delikatnymi ciasteczkami, wyglądającymi w jego wielkich dłoniach jak okruszki. Widok jego przeciętego szramą gardła był niemal hipnotyczny i Lecersen z trudem oderwał od niego wzrok, żeby spojrzeć na gościa po jego lewej stronie - senatora z Coruscant, Fosta Bramsina. Czas nie był tak łaskawy dla Bramsina jak dla Treen; senator wyraźnie ugiął się pod ciężarem lat. Apetyt wciąż mu dopisywał, ale ręce trzęsły się lekko, kiedy dolewał sobie śmietankę do kafu, który pił z kawałkiem tradycyjnego bespińskiego ciasta beżowego z chmurką.

Miejsce obok senatora zajmowała pełniąca obowiązki dowódcy marynarki admirał Sallinor Parova. Podobnie jak pozostali zwierzchnicy sił zbrojnych, była w mundurze i wyglądała rzeczowo i kompetentnie, sącząc kaf.

Rozmowa była przyjemna, ożywiona, skrzęca się dowcipem i prowadzona przy akompaniamencie

sztućców dzwoniących o talerze. Kiedy droid służący podjechał, żeby zabrać puste talerze i napełnić filiżanki kafem - mocnym, ciemnym i intensywnie aromatycznym, najlepszym, jaki można było dostać - Lecersen stwierdził, że pora przejść do interesów.

Droid protokolarny E-3PO pospieszył z datapadami, które skrupulatnie rozdał gościom. Ci wytarli usta i odłożyli serwetki, gotowi skupić całą uwagę na sprawach, które mieli do omówienia.

W końcu, mimo że podawane u moffa Lecersena kaf, ciastka i steki z nerfiny uznali za doskonałe, nie one były celem ich wizyty.

- Dorvan na pewno nie wie, że mamy do tego dostęp? - spytał Bramsin, ostrożnie podnosząc komputerowy notes i wczytując się w jego zawartość.

- Gdyby wiedział, nie mielibyśmy tego sympatycznego spotkania - odparł Lecersen.

- Umiem zacierać ślady - zapewnił Jaxton. - Bez obaw. Nie ma o niczym pojęcia.

- Zawsze taki ostrożny! - powiedziała pogodnie Treen. - To w panu lubię, generale.

Naprawdę. - Odwróciła się do swojego kolegi senatora. - Jest to oczywiście możliwe, ale byłby to bardzo czasochłonny sposób na wprowadzenie nas w błąd albo wypłoszenie. Dorvan jest obecnie w raczej delikatnym położeniu. Gdyby podejrzewał o cokolwiek naszych kolegów w armii, musiałby działać szybko, zamiast wprowadzać w życie bardziej długofalowy plan, wiedząc, że może nie utrzymać się na stanowisku dostatecznie długo, żeby doprowadzić rzecz do końca.

Lecersen pokiwał w zamyśleniu głową. Nie zamierzał dodawać nic więcej. Był przekonany, że nie grozi im zdemaskowanie.

- To jedyna okazja, jaka się nam ostatnio trafiła, dzięki temu, że nasza trójka przeżyła czystkę - zauważył Jaxton. Wpakował sobie ciastko do ust i popił je łykiem kafu, po czym wytarł

palce w delikatną lnianą serwetkę i sięgnął po datapad. - Zamierzam więc wycisnąć z tego, co się da. Oto lista spraw omawianych dzisiaj przez gabinet Dorvana. Opowiem wam...

- Opowiemy - sprostowała Parova. Jej głos brzmiał przyjemnie, ale w ciemnych oczach pojawił się błysk, który upewnił Lecersena, że chociaż admirał była najmłodsza w tej grupce spiskowców, nie zamierza siedzieć cicho z tyłu.

Jaxton spojrzał jej w oczy. Mięsień na jego szczęce naprężył się; generał pokiwał głową.

- Oczywiście. Oboje byliśmy obecni na zebraniu. Opowiemy wam, gdzie istnieją podziały w gabinecie przy każdej z kwestii. Ale to jest sprawa drugorzędna. Nasza szóstka musi się dzisiaj przede wszystkim zastanowić, czy jest jakaś istota lub sytuacja, którą możemy wykorzystać dla własnych celów. Zacznijmy od B'nish, o której nie słyszałem aż do dzisiaj.

- Nie przejmuj się - pocieszyła go Treen, wyciągając rękę ponad stołem, żeby poklepać dłoń młodszego mężczyzny. - Nie ma za co przepraszać. Mało kto z nas coś słyszał.

Jaxton rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Wcale nie przepraszałem. Jeśli nie słyszałem, to dlatego, że nie ma w niej nic godnego uwagi. Jest to zupełnie bezużyteczny świat. Spójrzcie na dane statystyczne. Elementarne rolnictwo, średnio zaawansowana technologia, żadnych skrajnych poglądów politycznych. Nawet kwestię niewolnictwa rozwiązali w cywilizowany sposób. Nie sądzę, żeby można było coś z tego wykorzystać.

Lecersen już otworzył usta, żeby przytaknąć, ale się zawahał. Wyświetlił obraz kandydata na senatora z B'nish, niejakiego Kamerona Suldara. Suldar wyglądał całkiem sympatycznie, jednak na twarzy miał głębokie bruzdy, które nie były zmarszczkami mimicznymi. Wzrok miał

przenikliwy, a głowę trzymał pod nietypowym kątem. Lecersen nie zaszedłby tak wysoko w polityce, gdyby nie potrafił odczytywać mowy ciała.

Nawet z pojedynczego nieruchomego obrazu.

Podał datapad droidowi protokolarnemu i polecił:

- Eethree, puść hologram, z którego pochodzi ten obraz.

- Oczywiście, proszę pana.

Obecni wymienili spojrzenia, ale wiedzieli, że lepiej nie oponować. Nachylili się bliżej, gdy na środku stołu, obok naczynia z kafem i śmietanki, pojawił się mały hologram; byli wyraźnie zaintrygowani, dlatego Lecersen chciał zwrócić na to ich uwagę.

- Z ogromną wdzięcznością, pokorą i poczuciem obowiązku przyjmuję nominację na reprezentanta mojej planety w Senacie Galaktycznym - usłyszeli.

Głos był silny. Przystojna twarz, okolona starannie przystrzyżonymi siwymi włosami, zdradzała zarówno pasję, jak i powściągliwość. Lecersenowi zdawało się nawet, że dostrzegł błysk łez w oczach mężczyzny, chociaż mogła to być jedynie kwestia oświetlenia.

- Zbyt długo żyliśmy w odosobnieniu. Za bardzo przyzwyczailiśmy się do tej sytuacji. Teraz jednak nadszedł czas, żeby wyjść z wygodnej koleiny. Moi przyjaciele i rodacy... jedyna różnica między koleiną a grobem to głębokość dołu.

Truizm niewątpliwie, ale dobrze odebrany, sądząc po sile braw. Suldar skinął głową i uniósł rękę, prosząc z uśmiechem o ciszę.

- Zatrzymaj teraz - polecił Lecersen.

Droid posłuchał. To było to - błysk czegoś bardzo niebezinteresownego. Widać było przyjemność, jaką czerpał z tego, co robi, i ciche zadowolenie z władzy, którą teraz dzierżył.

- Widzi pani to co ja, pani senator? - zapytał Lecersen, zwracając się do Treen.

- O tak, widzę - potwierdziła Treen. - Wygląda na kogoś, kto mógłby się świetnie odnaleźć przy tym stole. Przypomina nawet trochę ciebie, Fost, jak byłeś młodszy i miałeś w sobie ogień. -

Bramsin uśmiechnął się, zadowolony.

- Daj spokój, Drikl - zakpił Jaxton, spoglądając na niego z niedowierzaniem. - Potrafisz to wyczytać z jednego ujęcia hologramu? Gdybyś mnie złapał w odpowiednim momencie, mógłbym wyglądać jak bóg albo jak imbecyl.

- To prawda - przyznał Lecersen, nie dodając, że to drugie wydaje mu się bardziej prawdopodobne. - Ale i tak temu nowemu senatorowi warto się przyjrzeć. A ty, moja droga, idealnie się do tego nadajesz.

Treen zachichotała nerwowo.

Szybko omawiali kolejne punkty na liście, którą przygotował sam Dorvan, zapewne szybciej niż on, bo ich uwaga była znacznie bardziej skoncentrowana.

- Ach, tak... Klatooine i jakże dyplomatyczny, czarujący Padnel Ovin - powiedział miękkiem głosem Lecersen. - Możemy go wykorzystać albo zwerbować, jak sądzicie?

- To nie człowiek - mruknął z niechęcią Bramsin, dolewając sobie kafu. - Osobiście nie mam ochoty z nim współpracować.

- Ani ja - dodała Parova. - Wystarczająco długo służyłam pod Bothaninem. Myślałam, że się nabawię alergii. Z psem też wolałabym nie mieć do czynienia.

- Znam ten typ. - Nowy głos był niski, metaliczny i złowieszczy. Wszyscy obejrzelisi na Thaalę. Tak rzadko się odzywał, że zawsze warto było go posłuchać. Jego uwadze nie uszła mieszanka fascynacji i odrazy na twarzach senatorów, którzy nie spędzali ostatnio zbyt dużo czasu w jego towarzystwie. Usta wykrzywił mu uśmiech pogardliwego rozbawienia. - Jego bełkot powinien pośrednio nam się przysłużyć. Przynajmniej będzie odwracał uwagę mediów.

Dziennikarze będą go chętnie krytykować albo chwalić, dzięki temu, że jest taki barwny. A subtelniejsze rzeczy będą im umykać.

- Miejmy nadzieję - westchnęła Treen.

- Miejmy nadzieję i zadbajmy o to, żeby tak było - dodał Lecersen z ledwo dostrzegalną ostrzegawczą nutką w głosie. Treen uśmiechnęła się pogodnie.

- Wszystkie te planety znoszące niewolnictwo przypominają mi o upadku Imperium -

wymamrotał Bramsin. - Cały ten chaos, który wywołują wszystkie świętujące światy. To powoduje wiele trudności.

- Trudności często zawierają ukryte szanse - stwierdziła Treen. - Znaleźliśmy już ewentualnego

sprzymierzeńca i potencjalny wabik na media.

- Jeśli kiedykolwiek dorwę tego, kto odpowiada za stworzenie i organizację Lotu Wolności, uduszę go gołymi rękami - wtrącił Jaxton.

Lecersen, Bramsin i Treen wymienili spojrzenia. Potem moff skupił ponownie uwagę na Jaxtonie.

- Jestem we własnym domu i mam droidy, które mogą mnie obronić, więc to chyba dobry moment na ujawnienie, że to ja stoję ze Lotem Wolności - oznajmił Lecersen.

Uśmiechnął się w duchu. Niełatwo było zaszokować Jaxtona, który teraz wpatrywał się w niego z rozdziawionymi idiotycznie ustami. Parova także wyglądała na zaskoczoną, ale zdołała zapanować nad reakcjami, a w kącikach jej ust pojawił się uśmiech. Stavim Thaal okazał zdumienie jedynie błyskiem jasnych, niebieskoszarych oczu; poza tym wyraz jego twarzy pozostał

niezmieniony.

- To ty jesteś mózgiem tej całej organizacji? - spytała Parova.

- Mózg to nie jest najlepsze słowo. - Lecersen skinął na droida, który nalał mu jeszcze jedną filiżankę kawy. - Powinniście już się orientować, że staram się wiedzieć, co się dzieje w bardzo wielu miejscach. Nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się idealna okazja. Jakiś czas temu dotarły do mnie na przykład informacje o zdarzających się od czasu do czasu drobnych incydentach związanych z buntującymi się niewolnikami na kilku odległych światach. Nic, co mogłoby wzbudzić większe zainteresowanie. Kiedy się jednak temu przyjrzałem, zrozumiałem, że mogę to wykorzystać dla własnych celów.

- Ściągając to szaleństwo na galaktykę? - spytał podniesionym głosem Jaxton. - Czegoś takiego spodziewałbym się po Solo albo kimś takim, ale nie po moffie!

Lecersen nie dał się wyprowadzić z równowagi.

- Pomyślcie o tym - poradził. - Pomyślcie, jakim gniazdem ognistych os może się to stać dla każdego polityka, który musiałby się z tym zmierzyć. Zwłaszcza dla kogoś, kto potępia, cytując:

„moralnie naganny aspekt sytuacji”. Kogoś takiego jak Daala.

Wyraz twarzy Jaxtona się zmienił.

- Ach, teraz rozumiem.

- No właśnie. Kiedy senator Treen zwróciła się do mnie po raz pierwszy - ciągnął Lecersen -

bardzo roztropnie zasugerowała, że powinniśmy przygotować sobie kryzys, który mógłby w pewnym momencie wybuchnąć. Jak ty to ujęłaś, moja droga? Że pracujesz nad różnymi potencjalnie użytecznymi kryzysami i że może ja też bym mógł to zrobić?



- Rzeczywiście, chyba dokładnie tak brzmiały moje słowa.

- No cóż, okazało się, że znalazłem idealny kryzys gotowy do wybuchu.

- A więc... ten ruch istniał już wcześniej, ale teraz ty nim sterujesz? - naciskał Jaxton. - A jeśli ktoś trafi na twój trop?

- Chyba już mówiłem, że niczym nie steruję, a wytropienie mnie byłoby praktycznie niemożliwe. Zorganizowałem parę spraw na początku, a potem zostawiłem je własnemu biegowi.

Ta mała nieżyjąca devaroniańska reporterka miała rację: hierarchia dowodzenia jest niewidoczna poza kilkoma ogniwami. - Westchnął, zerkając na swój kaf.

Przez pewien czas wszystko szło wspaniale. Zamach na admirała Neka Bwua'tu, który zorganizowali Lecersen, Bramsin i Jaxton, kiedy stało się jasne, że admirał dobrowolnie się do nich nie przyłączy, bardzo ładnie zbiegł się z największą falą rozmaitych powstań. Początkowo Lecersen ubolewał, że Bwua'tu przeżył, jednak napięcie, jakie wytwarzały wśród obywateli wiadomości o jego śpiączce, również im się przysłużyło.

Pod wpływem tych nacisków Daala zaczęła podejmować błędne decyzje. Sprowadziła Mandalorian, powodując wzrost sympatii dla Jedi, których Świątynia została otoczona, a także dla innych światów, takich jak Blaudu Sextus, gdzie bezwzględnie dławiła rebelie. Atak na Bwua'tu ograniczył także jej zdolność trzeźwej oceny sytuacji.

Po tych obiecujących początkach Lot Wolności zaczął jednak żyć własnym życiem. Niczym dorastające dziecko, rozwijał się i zyskiwał niezależność. I teraz Lecersen nie mógł już nim w żaden sposób sterować ani manipulować.

- Z przykrością muszę przyznać, że wymknęło się to spod kontroli - dodał. - Ale nie wszystkie plany działają idealnie, a administracji Daali wyrządziło to znaczne szkody. Gdyby ci bezmyślni niewolnicy na tym skończyli, wszystko byłoby dobrze. Niestety, Sojusz zalewa teraz falą nowych przedstawicieli tamtych światów.

- A widzisz? - zbeształa go pogodnie Treen. - Tu też jednak mogą być ukryte szanse, Drikl.

Wszędzie można znaleźć jakieś pozytywy.

- A na prawie każdym świecie znajdzie się ktoś, kogo można skorumpować - dodała Parova.

- Tak jak Kameron Suldar, jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli.

Treen aż klasnęła w dłonie, jak podekscytowana mała dziewczynka.

- Nie mogę się doczekać spotkania z tym facetem - powiedziała. - Mam jak najlepsze przeczucia co do niego.

Dotarli do końca listy, ale nie dostrzegli już żadnych kandydatów do wciągnięcia w spiszek ani okazji

do stworzenia kolejnych sytuacji kryzysowych. Droid podjechał z cichym szumem, żeby napęłnić filiżanki kafem.

- Kiedy wylatujesz do Przestrzeni Imperialnej? - spytał Jaxton.

- Za parę dni - odparł Lecersen. - Muszę jeszcze wyjaśnić parę szczegółów i skontaktować się z kilkoma osobami, które są mi winne przysługę, ale to nie powinno potrwać zbyt długo.

- Dokąd konkretnie masz zamiar się udać? - dociekała Parova.

- To, moja droga, jest właśnie jednym ze szczegółów, które muszę wyjaśnić. - Uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

- Dopilnujemy wszystkiego do twojego powrotu - zapewniła Treen.

Lacersen nie wątpił, że faktycznie tak będzie.

Robiło się późno. Jaxton, który przyszedł jako ostatni, pierwszy odłożył serwetkę i odsunął krzesło.

- Dorvan wyznaczył kolejne zebranie na jutro o nieprzyzwoicie wczesnej porze - powiedział.

Parova westchnęła i również wstała.

- Niestety, Merratt ma rację. Mamy tylko parę godzin, żeby się trochę przespać.

- To może nie powinniście pić tyle kawy - zauważyła Treen.

- Żartujesz? - odparł Jaxton. - Mając w perspektywie te pomyje, które podadzą nam jutro rano? Trzeba korzystać, kiedy jest okazja napić się dobrego kawy. - Parova zachichotała i pokiwała głową na potwierdzenie jego słów.

- Kiedy sytuacja się uspokoi, obiecuję, że przedstawię wam mojego dostawcę - powiedział, wstając, Lecersen. Uścisnął wyciągniętą mięsistą dłoń Jaxtona i uklonił się uprzejmie Parowie. -

Prawdziwe Imperium nie może być napędzane kiepskim kafem.

Thaal podniósł się w milczeniu, podał Lecersenowi rękę, nieomal miażdżąc mu palce, i w milczeniu skierował się do drzwi. Lecersen popatrzył na niego w zamyśleniu, zginając i prostując palce.

- Ja też powinnam się zbierać - stwierdziła Treen, wstając, gdy generałowie i admirał już wyszli. - Tak samo jak... ojej.

Bramsin usnął w fotelu. Treen postukała go delikatnie w ramię, a potem przy wtórze zapewnien

szacownego senatora, że „dawał tylko odpocząć oczom”, odnalazła z pomocą E-3PO

jego kapelusz i płaszcz i odprowadziła do niewielkiego śmigacza, który go tutaj przywiózł. Treen pomachała wesoło na pożegnanie i drzwi się za nią zamknęły.

Lecersen nie kłamał. Rzeczywiście było parę osób, które chciał poprosić o przysługę. Rano miał zamiar skontaktować się ze swoim starym przyjacielem, Porrakiem Vansynem. Nie chciał

włączać Vansyna do tej „grupki”, ponieważ młodszy moff nie miał w gruncie rzeczy zbyt wiele do zaoferowania. Teraz jednak był pewien, że Vansyn pomoże mu stworzyć bazę operacyjną.

Skierował myśli ku kolejnej sprawie do wyjaśnienia. Rozsiadł się wygodnie w fotelu, sięgnął do kieszeni i wyjął kawałek flimsiplastu, który E-3 przyniósł mu parę godzin wcześniej.

- Znalazłem to w klombie przy bramie, proszę pana - poinformował go droid. - Czy życzy pan sobie przejrzeć nagrania z monitoringu?

Lecersen, zaniepokojony faktem, że ktoś miał czelność podejść do jego bramy i umieścić staromodny liścik na klombie, rzeczywiście postanowił przejrzeć nagrania. Oglądał je, mrużąc w skupieniu oczy, jednak nie ujawniły mu nic bardziej złowieszczego niż dziecko rasy ludzkiej, które ostrożnie zbliżało się do bramy na skuterze raketowym. Było zwrócone tyłem do kamery, tak że nie dało się dostrzec twarzy, a na rękach miało rękawiczki. Ściskając mocno liścik, podeszło do bramy, zagrzebało go w ziemi, po czym pospiesznie się oddaliło. Z pewnością przy odrobinie wysiłku można by ustalić tożsamość dziecka, ale nie miało to większego sensu. Lecersen był

pewien, że zostało przez kogoś namówione, może skuszone monetami kredytowymi lub słodyczami, i nie potrafiłoby zidentyfikować prawdziwego sprawcy.

Liścik był napisany drukowanymi literami, w basicu, i brzmiał następująco: *Mamy do omówienia coś, co ci się opłaci. Przyjdę do ciebie.*

- Przyjdź, jeśli chcesz, mój tajemniczy przyjacielu - wyszeptał Lecersen. - Wejdz śmiało w paszczę rankora.

## **ROZDZIAŁ 8**

### **Na pokładzie „Cienia Jade”**

- No, przecież nie mogli po prostu zniknąć - powiedziała Jaina Solo. - W końcu to było mnóstwo statków. Muszą gdzieś być.

- Tak nakazywałyby prawa fizyki - odparł Luke Skywalker, pocierając ze znużeniem oczy. -

Odnoszę jednak wrażenie, że Abeloth i Sithowie nie są wielkimi zwolennikami tych praw.

- Wszystko można nagiąć do swojej woli, jeśli tylko jest ona wystarczająco silna -

stwierdziła Vestara Khai, podnosząc wzrok znad partii dejarika. Syn Luke'a, Ben, odgrzebał

program z grą i właśnie objaśniał Vestarze jej zawilosci.

- To jakieś sitho-plemienno-zapomniane powiedzenie? - spytał Ben, ale uśmiechał się przy tym od ucha do ucha, a w jego słowach nie było jadu. Vestara też się uśmiechnęła.

- Nie - powiedziała. - Właśnie to wymyśliłam. Fajne?

- Nie - uciął ostro Luke, chociaż pytanie skierowane było do Bena. Nie miał ochoty pobłażać młodzieńczym flirtom, które rozmowa zaczynała niebezpiecznie przypominać. - Vestaro, mogłabyś uczynić coś dobrego, gdybyś powiedziała nam po prostu, gdzie jest twój ojczysty świat, zamiast wymyślać jakieś frazesy.

Wzrok Vestary, ciepły i pełen radości, kiedy patrzyła na Bena, stał się nagle lodowaty.

- Coś dobrego? - powtórzyła. - Mistrzu Skywalker, jestem Sithem. Ja nie robię niczego dobrego, zapomniałeś? Przynajmniej ty tak twierdzisz.

- Tu cię zażyła, tato - powiedział Ben. Przyjrzał się planszy i zmarszczył lekko brwi, bo zauważył, że Vestara przesuwa swojego molatora o dwa pola, żeby zaatakować jego houjiksa.

- Fakt - zgodziła się Jaina. Siostrzenica Luke'a, chociaż obecna tylko w formie holograficznej, przysłuchiwała się najwyraźniej rozmowie. Luke starał się nie okazywać irytacji.

- Chciałaś mnie przekonać, że wyrzekłaś się takich rzeczy - przypomniał Sithance. - Że współpracujesz teraz z nami, a nie z Sithami czy z Abeloth. Wydawało mi się, że będziesz bardziej skłonna nam pomóc.

Oczy Vestary błysły na chwilę, ale nie połknęła haczyka.

- Pomagałam na tyle, na ile mogłam, nie tracąc szacunku do samej siebie - powiedziała cicho, z wielką godnością, którą owinięła się niczym płaszczem. - Mogę nie zgadzać się z działaniami tej grupy uderzeniowej, ale to nie znaczy, że wydam ich na zatwierdzone przez Jedi ludobójstwo.

- Hej, chwileczkę, Ves... - zaczął Ben. Luke uniósł rękę, dając znak, żeby zamilkł, i dla odmiany Ben posłuchał niewypowiedzianego rozkazu.

- Jedi - powiedział Luke równie cicho jak Vestara i równie jak ona żarliwie - nie akceptują ani nie uczestniczą w ludobójstwie. To my padaliśmy jego ofiarą. A może o tym nie słyszałaś?

- Ależ słyszałam - odparła Vestara. - I wiem od Statku, że Rozkaz Sześćdziesiąty Szósty został wydany przez Sitha, a wykonany przez innego Sitha, który był twoim ojcem. Jeśli ktokolwiek ma powody nienawidzić mojego... - ugryzła się w język i poprawiła: - Sithów, to właśnie wy. Sam podsuwasz mi argumenty. Niby dlaczego miałabym was dobrowolnie doprowadzić do mojego świata, jeśli wiem, że będziecie się czuli zobowiązani do zabicia wszystkich jego mieszkańców?

Nikomu nie umknęło jej przejęzyczenie, chociaż nie musiało być ono dla Luke'a dzwonkiem ostrzegawczym. Jeśli nawet w Vestarze faktycznie zaszła przemiana - w co nie wierzył

ani przez chwilę - to niełatwo wyzbyć się starych nawyków. To był jej lud. Był nim przez całe jej życie i musi minąć dużo czasu, zanim Vestara zacznie myśleć o nich inaczej.

- Posłuchaj - odezwał się Ben, przenosząc wzrok z ojca na Vestarę i zapominając zupełnie o dejariku - odbiegamy od tematu. Sithowie, których wszyscy chcemy znaleźć, to członkowie dawnego oddziału uderzeniowego. Wiem, że ty też tego chcesz, Ves. Musimy też znaleźć Abeloth.

Pokiwała głową. W Mocy wciąż promieniował od niej gniew, chociaż każdy, kto miał oczy, mógł to z łatwością wyczytać także z jej mowy ciała. Luke podejrzewał, że na miejscu dziewczyny czułby się tak samo.

- Powiedziałałabym wam, gdybym wiedziała cokolwiek, co mogłoby pomóc w odnalezieniu Abeloth lub grupy uderzeniowej - zapewniła. - Myślę, że o tym wiecie. Ale oni nigdy nie wtajemniczali mnie w swoje wielkie plany, a już od dawna nie powierzali mi nawet mniej istotnych informacji. Powiedziałam wam wszystko, co wiem.

I rzeczywiście tak było. Luke wyczuwał, że jest szczerą - przynajmniej w tej kwestii.

- Wierzę, że tak było - odparł równie szczerze. - Ale teraz chciałbym, żebyś powiedziała mi, co o tym myślisz. Znasz ich lepiej niż my. Jeśli masz jakąkolwiek teorię, jakieś przypuszczenia co do tego, gdzie mogli się udać albo jaki może być ich następny krok, powiedz nam. Jakikolwiek punkt zaczepienia byłby mile widziany.

Vestara, wyraźnie udobruchana, przyjęła nieco swobodniejszą pozę.

- No cóż - powiedziała powoli, zerkając na Bena - jeśli nie wiemy, dokąd mieli zamiar lecieć, a nie mamy o tym pojęcia, to możemy się zastanowić nad tym, gdzie Sithowie bywali w przeszłości. Zapomniane Plemię przywiązuje wielką wagę do własnej historii i jest spragnione wiedzy na temat innych Sithów, więc chcieliby zapewne dowiedzieć się o nich wszystkiego, co tylko się da.

Ben skinął głową.

- To ma sens, jeśli chodzi o Sithów, ale co z Abeloth? Mam przeczucie, że ona będzie szukać najmocniejszego źródła władzy albo istot, które mogłaby wykorzystać.

Luke i Jaina pokiwali głowami. Luke zmarszczył na chwilę brwi, bo do głowy przyszła mu pewna myśl.

- Vestaro... czy sądzisz, że oni podróżują razem?

Dziewczyna otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale zamknęła je zaraz i zamyśliła się.

- Pierwotny plan był taki, żeby ją pojmać i podporządkować sobie. Dlatego początkowo połączyli z wami siły. Ale...nie wiem. Jeśli uznają, że byłaby to słuszna decyzja, to tak, myślę, że jest to

możliwe.

Nie była to przyjemna myśl - Abeloth i Sithowie współpracujący ze sobą, ale im dłużej Luke o tym myślał, tym bardziej mu się to wydawało prawdopodobne.

- Jeśli podróżują razem, to Abeloth wyznacza kierunek. A za mało o niej wiemy, żeby zgadywać, dokąd mogłaby się udać - powiedział.

- No to wróciliśmy do punktu wyjścia - stwierdził ponuro Ben. Vestara straciła właśnie kintańskiego skoczka, jeden z najsilniejszych pionów w grze. Ben wykonał szybki ruch, żeby to wykorzystać, jednak Vestara, początkujący gracz, sama znalazła lukę, dzięki której zabrała Benowi jego kintańskiego skoczka i dwa inne piony.

- Statek. - Hologram Jaiiny wypowiedział właśnie to pojedyncze, elektryzujące słowo.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią.

- Co ze Statkiem? - spytał Luke.

Mała postać wzruszyła ramionami.

- Statek to jedyne, co tak naprawdę łączy Abeloth i Sithów. Mimo że ona nad nim panuje, wiemy, że Statek specjalnie jej nie lubi. Zauważyłam to, kiedy miałam z nim do czynienia, a Vestara to potwierdziła. On istnieje po to, żeby służyć Sithom i szkolić ich młodzików. Abeloth nie pasuje do tego programu, a jednak Statek jej służy.

- Musi - wtrąciła Vestara. - Chociaż nie chce. Wcale jej nie lubi, naprawdę.

- Ostatecznie Statek to mimo wszystko okręt - zauważył Luke. - Zawsze będzie robił to, do czego go zaprogramowano, niezależnie od własnych preferencji. Tyle o nim wiemy i to daje nam przewagę. - Nigdy nie podobało mu się, kiedy niektórzy mówili o Statku jak o osobie. Statek był

maszyną, a nie żywą istotą.

- No cóż... to zależy, jak rozumiemy jego zadania - powiedziała Vestara. - Statek chce pomagać Sithom i jest do tego zaprogramowany. Ale musi też słuchać tego, kto ma wystarczająco silną wolę, żeby mu rozkazywać. Abeloth jest po prostu zbyt silna, żeby mógł się jej teraz przeciwstawić.

Luke przyglądał się jej przez chwilę.

- Przyleciałby do ciebie, gdyby mógł, prawda?

Skinęła głową.

- Nawet gdybyś pomagała nam?

Zawahala się, ale odparła:

- Tak. Myślę, że tak. Nie podobałoby mu się to, ale by przyleciał, choćby po to, żeby spróbować sprowadzić mnie z powrotem na drogę, która według niego jest właściwa. Ale ja jestem Sithem i... nie chcę się przechwalać, ale to on mnie odszukał. Myślę, że łączy mnie z nim jakaś więź.

Luke spojrział na syna, który w milczeniu przysłuchiwał się tej części rozmowy. Bena także łączyła kiedyś podobna więź z pradawnym okrętem. W czasie, kiedy Ben był uczniem swojego kuzyna Jacena i w związku z tym balansował na granicy między Jasną a Ciemną Stroną, spotkał

Statek na Ziost. Sithowie byli niegdyś potężni na tamtym świecie. Miazmaty energii Ciemnej Strony utrzymywały się pośród ruin stanowiących pamiątkę ich obecności, a także w cieniach lasów.

Statek, ukryty głęboko we wnętrzościach Ziost i zapomniany od tysięcy lat, wezwał Bena, wyczuwając w czternastoletnim wówczas chłopaku dotyk Ciemnej Strony.

Wyczuwając ucznia Sitha.

A wtedy Ben wykorzystał Statek, żeby wydostać się z tego opuszczonego świata. Nie rozumiał jeszcze, że Statek użył go do tego samego. Zdołał narzucić mu swoją wolę w stopniu umożliwiającym pilotowanie go, a jednocześnie zachował dość siły woli, żeby nie ulec jego mentalnym podszeptom. Daleki od jedności, jaką Statek mógł osiągnąć z uczniem Ciemnej Strony, Ben porzucił treningowy okręt, jak tylko mógł, ofiarowując go w prezencie Jacenowi, kiedy już powrócił szczęśliwie na Coruscant.

Statek chyba nie polubił Jacena i wkrótce potem sprzymierzył się z innym użytkownikiem Ciemnej Strony Mocy. Luke zastanowił się, co mogła oznaczać niechęć Statku do Jacena, po chwili jednak otrząsnął się z zamyślenia. Teraz nie miało to już znaczenia.

- Jeśli znajdziemy Statek, znajdziemy też Abeloth - przekonywała Jaina. - A jeśli on zdołał

jej jakoś uciec, to na pewno poszuka Zapomnianego Plemienia. Możemy znaleźć jeden albo oba nasze cele, skupiając się na szukaniu Statku zamiast nich.

- To świetny pomysł, Jaino - pochwalił Luke. Wstyd mu było, że sam na to nie wpadł. -

Ben, Vestara... wy oboje byliście wewnątrz Statku. Jaino, ty spotkałaś go dwukrotnie i za drugim razem dobrze się spisałaś. Spróbujcie razem coś wymyślić.

- Chciałabym przy tej okazji wykorzystać zasoby, jakie mamy w Świątyni - powiedziała Jaina. - Niech ktoś zacznie przeszukiwać wszystkie informacje, jakie mamy na temat Statku.

- Zajmij się tym - zdecydował Luke. - Masz kogoś konkretnego na uwadze?

Jaina przechyliła głowę z namysłem.

- Myślę, że Natua Wan się nada, jeśli jest wolna. Wiem, że większość Rycerzy Jedi, którzy padli ofiarą Abeloth, wciąż jest pod ścisłą obserwacją, a ponieważ to ja ją zatrzymałam, kiedy jej odbiło... chciałabym dać jej szansę, żeby mogła poczuć się użyteczna.

Luke pokiwał głową zadowolony, lecz nie zaskoczony, że Jaina wpadła na taki pomysł. On myślał podobnie. Chociaż bez wątplenia nie była to wina „obłąkanych Jedi”, wiedział, że choroba wciąż rzuca cień na tych Rycerzy Jedi, którzy stali się jej ofiarami. Wciągnięcie Natui Wan do pomocy w zbieraniu informacji pozwoliłoby jej zająć się czymś pożytecznym, zatrzymując ją przy tym w Świątyni.

- Zatem bierzmy się do roboty - powiedział.

- Ale najpierw - zaproponował stanowczo Ben, wyłączając holograficzną grę, w której dostawał porządne baty - zjemy obiad.

## **Świątynia Jedi, Coruscant**

Natua Wan doskonale rozumiała powściągliwość, z jaką przyjęto ją na nowo do społeczności Jedi. Zraniła niewinne istoty - niektóre mogła nawet zabić, spowodowała straty materialne i w żywym inwentarzu, wreszcie groziła całemu klanowi Solo.

Każdy wiedział, że wierzyła, naprawdę wierzyła, że wszyscy oni są sobowtórami. Że nieświadomie i bez reszty znalazła się we władzy Abeloth, istoty tak potężnej i niebezpiecznej, że nawet Wielki Mistrz Skywalker wszedł w sojusz z Sithami, żeby ją pokonać. I wszyscy wiedzieli, że Natua Wan jest uleczona.

Cały czas się jednak niepokoili i Natua nie mogła mieć do nich pretensji. Nawet jeśli oznaczało to, że nieoficjalnie wciąż znajduje się pod obserwacją.

Z początku się na to zrywała, jednak myślący bardzo praktycznie Markre Medjev, aktualny szef świątynnej biblioteki, zwrócił jej uwagę, że Jedi potrzebują cierpliwości i współczucia.

Z czasem, przekonywał ją, wszyscy uwierzą w głębi serca, a nie tylko rozumowo, że

„obłąkani” są naprawdę wyleczeni, a ona i pozostali znów zaczną dostawać zadania wymagające absolutnego zaufania do ich umiejętności. Natua westchnęła, pokiwała głową i pogodziła się z sytuacją.

Zawsze miała porywczy charakter, a chociaż była inteligentna, nigdy nie była specjalnie pilnym uczniem, nawet w oczach najbardziej życzliwych jej nauczycieli. Akceptując, zgodnie z sugestią Medjeva, swoją obecną sytuację, sama się zaoferowała, że pozostanie w Świątyni i pomoże Mistrzynie Cilghal w jej badaniach. Cilghal była zaskoczona, ale zadowolona i zadała sobie wiele trudu, żeby zaznajomić Falleenkę z większością bibliotekarzy, którzy byli zachwyceni, że dostali kogoś pod swoją opiekę.

Było to... dziwne, owszem, ale dawało jej satysfakcję. Ucieszyła się więc, kiedy sam Markre Medjev wziął ją na stronę i oznajmił:

- Zwrócił się do mnie ktoś, kto chciałby skorzystać z twoich usług.

- Kto to taki i czego potrzebuje? - spytała Natua:



Medjev się uśmiechnął.

- Jaina Solo potrzebuje pomocy przy zbieraniu informacji na temat Sithów - odpowiedział z błyskiem w oku. - Wygląda na to, że chcą się dowiedzieć więcej na temat historii Sithów w ogóle, a Statku w szczególności. Możesz bardzo pomóc Mistrzowi Skywalkerowi i flocie w zlokalizowaniu Sithów, a być może także Abeloth. Jedi Solo wymieniła cię z imienia i nazwiska. - Widać było, że chociaż Medjev sili się na nonszalancję, pęka z dumy.

Natua otworzyła szeroko oczy. Nie była zaskoczona, kiedy - tak jak większości spośród tych, którzy padli ofiarą Abeloth - nie pozwolono jej lecieć z flotą Jedi. Teraz jednak nie miało to znaczenia. Jaina Solo, która walczyła z nią na Coruskańskich Targach Zwierząt, prosiła o jej pomoc. Natua ciągle pamiętała, z głębokim żalem i wstydem, słowa Jainy: „Nie chcę cię skrzywdzić”, na co Natua odparła: „Za to ja chcę skrzywdzić ciebie!” Mimo że czuła się raczej stworzona do walki, a nie do ślęczenia w bibliotece, Natua Wan nie mogłaby zrobić nic innego niż z wdzięcznością przyjąć gest Jainy.

A poza tym... wiedziała wprawdzie, że Jedi nie powinni skupiać się na zemście, jednak czuła wielką satysfakcję na myśl, że może przyczynić się do wytropienia istoty, która tak pogwałciła jej osobowość.

Natua uśmiechnęła się szeroko do Medjeva.

- Powiedz Jedi Solo, że to będzie dla mnie zaszczyt.

## **ROZDZIAŁ 9**

### **Na pokładzie „Cienia Jade”**

Spis miejsc, który sporządzili wspólnie Jaina, Natua, Ben, Luke i Vestara, przypominał listę

„dziesięciu najgorszych miejsc na wakacje”, stwierdził Ben, wyczytując nazwy.

Dromund Kaas. Ziost. Krayiss II. Khar Delba. Korriban i tak dalej. Ben nie wiedział dużo o historii każdej z planet, ale niektóre były mu dobrze znane. Jak choćby Ziost.

Patrzył z pewnym niepokojem, jak Vestara studiuje, niemal łapczywie, historię swojego -

oby dawnego - zakonu. Chrupała metodycznie owoc muja, czytając w milczeniu podczas obiadu w kambuzie.

- Zupa ci stygnie - powiedział w końcu Ben, skrępowany ciszą.

- Eee... A, tak. Dzięki. - Zjadła jedną łyżkę i wróciła do czytania.

Ben wiercił się przez chwilę, zanim dodał:

- Myślałem, że znasz większość tych miejsc. I że może nawet opowiesz nam o jakichś nowych.

To przykuło jej uwagę. Podniosła wzrok znad komputerowego notesu.

- Wiele z nich znam, ale... bank danych „Omenu” był uszkodzony i znaczna część informacji przepadła. Pamiętaj, że jeszcze do niedawna nie mieliśmy technologii, która pozwalałaby nam odzyskiwać utracone dane. A Statek wolał przybliżyć nam bieżącą sytuację galaktyki niż jej historię. Więc tak, wiele z tych rzeczy jest dla mnie nowych.

- Ciekawych? - chciał wiedzieć Ben.

Popatrzyła na niego ze spokojem.

- Oczywiście. Wiedza to potęga, Ben, i wiem, że ty też o tym wiesz. Urodziłam się Sithem, nawet jeśli zmieniłam zdanie na temat wielu ich przekonań i tego, kim chcę być. Jestem pewna, że nawet ciebie to interesuje.

Nie mógł zaprzeczyć.

- No, tak... to prawda. Ale to trochę jak oglądanie katastrofy statku. Nie możesz oderwać oczu, chociaż wcale ci się nie podoba to, co widzisz.

Wzruszyła ramionami.

- Może i tak. Natura tego wszystkiego nie jest dla mnie nowa, tylko szczegóły. I nie obawiaj się... mam mnóstwo informacji na temat pradawnych planet Sithów, którymi mogę się z wami podzielić. - Pomachała datapadem. - To jest zdecydowanie niekompletne.

- Pradawnych planet Sithów, ale nie Kesh - zauważył Ben.

Vestara westchnęła i odłożyła notes.

- Myślałam o tym - przyznała. - Według mnie istnieje spore prawdopodobieństwo, że Abeloth i... oddział mojego ojca polecieł na Kesh. Ale to, co powiedziałam Mistrzowi Luke'owi, jest wciąż aktualne. Obawiam się, że jeśli powiem wam, gdzie ona jest, to wszyscy Jedi w galaktyce ruszą na nią i rozwalą ją w drobny mak. Nie mogę tego zrobić, Ben. Po prostu nie mogę... Ty też byś nie mógł na moim miejscu.

Ben spojrzał na swoją zupę. Była to całkiem niezła zupa, z solidnymi kawałkami nerfyny i z warzywami, ale nie absorbowwała jego uwagi, co samo w sobie było niezwykle i świadczyło o tym, jak bardzo trafił go kierunek, w którym zmierzały poszukiwania.

- Pewnie masz rację - mruknął.

Wyciągnęła rękę nad stołem i ścisnęła go za ramię. Podniósł wzrok znad zupy i zobaczył, że Vestara się uśmiecha.

- Dziękuję ci za to.

W odpowiedzi rzucił jej krzywy uśmiech, który jednak po chwili przygasł.

- Ale jednak... nic nie mówiąc, narażasz nas wszystkich na niebezpieczeństwo. A jeśli ona faktycznie tam jest? Musimy ją zatrzymać, Ves, wiesz o tym.

- Wiem. Ale nie kosztem całego mojego świata.

Ben nie wiedział, co powiedzieć. Chciał ją przekonać, że celem Jedi nie jest ludobójstwo, tylko... zniszczenie Sithów. Ale wyglądało na to, że cała ta planeta przyłączyła się do Sithów, nawet ci, którzy nie byli użytkownikami Mocy. Nie mógł jej obiecać, że tylko „ci źli” staną się celem ataku, bo dla Jedi, takich jak jego ojciec, wszyscy Sithowie byli źli.

Vestara zamyśliła się na chwilę, zapominając o datapadzie.

- Chyba że... - zaczęła, a następnie pokręciła głową. - Nieważne.

- Chyba że co?

Zawahała się, zagryzając na moment wargę. Wzrok Bena znów przykuła mała blizna, jedyna niedoskonałość w twarzy, która poza tym była, jak dla niego, po prostu idealna.

- Chyba że... mógłbyś mi obiecać, że moi rodacy, ci, którzy nie współpracowali z Abeloth, będą bezpieczni.

Wpatrywał się w nią w milczeniu, ze smutkiem w niebieskich oczach. Ona się uśmiechnęła, ale w jej brązowych źrenicach widać było rezygnację.

- No widzisz. Tak myślałam. Żebyśmy mogli dobić targu, musiałabym mieć jakąś kartę przetargową. Którą... ty być może mógłbyś mi dać.

Ben spędzał w towarzystwie Vestary tyle czasu, że zaczynał się już przyzwyczajać do subtelnych zmian w jej aurze Mocy. Wzmógł teraz czujność, wyczuwając, że, wbrew temu, co próbowała mu zasugerować, to, co miała właśnie powiedzieć, chodziło jej po głowie już od jakiegoś czasu.

- Mów.

- Zaufanie... przychodzi z trudem. Ale to powinno być coś, co każde z nas mogłoby wykorzystać przeciwko drugiemu... oczywiście, gdybyśmy musieli.

- Oczywiście. - Ben odchylił się na krześle i skrzyżował ręce na piersi z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- Mogłabym się zastanowić nad ujawnieniem położenia mojego świata... gdybyś zdradził mi, kim jest według ciebie ta królowa Jedi.

Ben o mało się nie roześmiał.

- To nie to samo, Vestaro. Kesh jest prawdziwa. Istnieje. A królowa Jedi to najprawdopodobniej tylko wytwór rozpalonej wyobraźni Taalona.

- Wiesz co - odparła równie swobodnym tonem - jakoś w to nie wierzę. Musi być w tym choć ziarno prawdy. Inaczej ty i twój ojciec nie zareagowałibyście w taki sposób, kiedy była o niej mowa. - Oparła podbródek na rękę, uśmiechając się do niego.

Ben rozważał jej propozycję przez jakąś nanosekundę. I w ciągu tej nanosekundy doszedł do przykrego wniosku, że przynajmniej na razie nie ufa Vestarze Khai, chociaż bardzo chciał.

- Jeśli mówisz prawdę - powiedział - wszystko, na co możemy liczyć, to że może... może znajdziemy Abeloth i flotę Sithów. Ty za to mogłabyś liczyć, że uda się zamordować kogoś bardzo ważnego dla przyszłości tej galaktyki, kogoś, kto może faktycznie istnieć. Jeśli jednak kłamiesz, a ja przekazałbym ci tę informację... o ile w ogóle jest co przekazać... to ty miałabyś wszystko, a my zostalibyśmy z niczym.

Vestara ani trochę nie wyglądała na dotkniętą. Nawet się uśmiechnęła.

- Ben, rozumiem, dlaczego przyciągnąłeś do siebie Statek. Masz zadatki na świętego Sitha, wiesz o tym?

- Oszczędźmy sobie obelg - odparł Ben. Vestara, posługując się Mocą, rzuciła w niego ogryzkiem od swojego owocu muja, który on z łatwością odbił. Chciał się na nią złościć, ale nie potrafił. Tak po prostu było między nimi i już. Był sfrustrowany, ale nie zaskoczony, i stwierdził, że nie przeszkadza mu to, i nigdy nie przeszkadzało, żeby ją lubić. Cały czas wierzył, że Vestara zmierza ku Jasnej Stronie, ale jeszcze na niej nie jest.

Przynajmniej na razie.

- No dobra, z tego, co przeczytałaś - powiedział, wracając do tematu rozmowy - dokąd według ciebie Statek może polecieć?

- Trudno powiedzieć. Może na Ziostrę?

Ben pokręcił głową.

- Nie - stwierdził stanowczo. - Na Ziostrę nie było dla niego nic interesującego. Dlatego właśnie chciał, żebym go uwolnił, by mógł stamtąd odlecieć.

Popatrzyła na niego, niewątpliwie wyczuwając jego zakłopotanie.

- A nie mówisz tak przypadkiem dlatego, że nie chcesz tam wracać?

W pierwszej chwili chciał się jej odciąć, ugryzł się jednak w język. To było uczciwe pytanie. Zastanowił się chwilę.

- Będę z tobą szczerzy - odparł w końcu. - Masz rację, nie chcę tam wracać. Tak naprawdę nie chcę

lecieć w żadne z tych miejsc. Ale to, czego ja chcę, nie ma żadnego znaczenia. Gdybym sądził, że Statek zabierze Abeloth w tamto miejsce, to sam upierałbym się, żeby ich tam poszukać.

Ale... zastanów się. Gdyby na Ziost przebywał ktokolwiek, kto byłby ważny dla Statku albo Abeloth, to ta istota... albo te istoty... uwolniłaby Statek na długo, zanim ja tam trafiłem.

- Racja - zgodziła się. - No to może...

- Korriban to najlepszy wybór - odezwał się kobiecy głos. Oboje się obejrżeli i zobaczyli Jainę, która weszła do kambuza i od razu zaczęła przygotowywać sobie posiłek.

Ben wciąż nie mógł się przyzwycząić do obecności Jainy na pokładzie „Cienia Jade”. Od dawna nie przebywał tak blisko swojej kuzynki, spotykali się najwyżej przy okazji rodzinnych wizyt. Cieszył się, że może z nią współpracować, ale wiedział, że Jaina, podobnie jak jego ojciec, jest nastawiona do Vestary mocno sceptycznie, delikatnie mówiąc. A jednak starała się, żeby Vestara uczestniczyła we wszystkich rozmowach.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytała Vestara.

- To ojczysta planeta Sithów - wyjaśniła Jaina, nalewając dwie filiżanki kawy. - Większość z tych miejsc ma dla nich jakąś historię, ale historia Korribana to ich własna historia. Logicznie rzecz biorąc, tam powinni się udać w pierwszej kolejności.

Vestara rozszarżała się na krótką chwilę w Mocy jak słońce. Bena ogarnęło przygnębienie.

- Możemy wysłać innych, żeby zbadali pozostałe miejsca, ale chciałabym, żebyśmy sami polecieeli na Korribana - ciągnęła Jaina, sącząc napój z filiżanki. Zachowywała się tak, jakby nie widziała reakcji Vestary. Może i nie widziała, pomyślał Ben. On miał bliższy kontakt z Vestarą niż Jaina czy Luke. Możliwe, że tylko on to zauważył.

- Chciałabym ci towarzyszyć, kiedy będziesz zwiedzać Korribana - powiedziała Vestara.

Jaina bez mrugnięcia okiem ruszyła z parującymi filiżankami do wyjścia.

- Myślę, że powinnaś - rzuciła.

Ben był pewien, że usłyszał odgłos własnej opadającej szczęki.

- Co takiego? - Luke o mało nie rozlał kawy, który podała mu Jaina, kiedy usłyszał, co powiedziała Vestarze.

- Słyszałeś - odparła Jaina, siadając w fotelu naprzeciwko wuja. Rozmawiali za zamkniętymi drzwiami, w kajucie Luke'a, więc nie było ryzyka, że ktoś ich usłyszy.

- Chcesz, żebym zabrał Sithankę, której wiarygodność zdaje się zależeć od pory dnia i fazy najbliższego księżyca, na potencjalnie niebezpieczną misję na planecie Sithów?

- Mniej więcej - przyznała Jaina.

- Więc podaj mi, proszę, jakikolwiek powód, dla którego uważasz, że to dobry pomysł.

- Podam ci więcej niż jeden - powiedziała Jaina. - Po pierwsze, dlatego, że jest Sithanką.

Ona z tym dorastała, Luke. Tak jak ja dorastałam w rodzinie Jedi. W jej kulturze panuje obsesja na punkcie historii, więc pewnie wie więcej od nas na temat starożytnych Sithów, ich technologii, języków, a może nawet alchemii. Jeśli będzie zagrożone jej własne bezpieczeństwo i życie, powie nam, co wie, kiedy natrafimy na coś przydatnego.

- Nająć złodzieja, żeby złapać złodzieja - stwierdził posępnie Luke.

- Coś w tym stylu - zgodziła się Jaina z szelmowskim uśmiechem. - Wiesz, że zawsze działa, kiedy wysyłamy swojego tatę za szemranymi typami.

- Nie sposób zaprzeczyć - przyznał Luke, także pozwalając sobie na lekki uśmiech.

- Po drugie - ciągnęła Jaina - Statek naprawdę jest z nią połączony więzią. To oznacza, że jeśli zbliżymy się do niego, to nawet jeśli my go nie znajdziemy, on będzie mógł znaleźć ją.

- Dlaczego ta myśl nie napełnia mnie radością? - spytał retorycznie Luke.

- A powinna - odparła Jaina, ignorując sarkazm i traktując pytanie dosłownie. - Nawet jeśli nas zaatakuje, będzie musiał się pokazać. A przecież o to właśnie nam chodzi, prawda?

Luke był zmuszony przyznać jej rację.

- Masz dar przekonywania - stwierdził.

- To wpływ Jaga - powiedziała. - Ale mówiąc zupełnie szczerze, Vestara Khai to wyjątkowy atut. Powinniśmy go wykorzystać.

Luke westchnął.

- Mimo wszystko mam naprawdę poważne wątpliwości, czy powinniśmy ją zabrać ze sobą.

Mam wrażenie, że to szukanie kłopotów. - Gapił się przez chwilę na szybko stygnący kaf, w końcu jednak podniósł wzrok. - Ona jest Sithanką, Jaino. Nie jakimś amatorem, nie ofiarą, nie upadłym Jedi. Urodziła się i wychowała w społeczności Sithów. Nie wierzę, że odrzuci to wszystko i przyłączy się całym sercem do nas, ale Ben cały czas uważa, że można ją nawrócić.

- Są tacy - zauważyła cierpko Jaina - którzy wciąż nie wierzą w twoje nawrócenie. Albo dziadka. Albo cioci Mary. Albo Kypa Durrona. Albo...

Luke uniósł rękę.

- Rozumiem. Ale to co innego.

- Czyżby? A może po prostu wolisz tak myśleć, bo boisz się o swojego syna?

Luke już otworzył usta, żeby zripostować, ale zaraz je zamknął. Jaina miała rację. Sama szybkość, z jaką chciał zaprzeczyć, o tym świadczyła. Jedi musieli co prawda podejmować w ułamku sekundy decyzje w sprawach życia i śmierci, jednak nie powinni reagować emocjonalnie ani lekkomyślnie obierać sposobów działania. A on to właśnie robił.

- Rzeczywiście martwię się o Bena - przyznał. - Jest silnym młodym mężczyzną. A także mądrym, o wiele mądrzejszym niż ja w jego wieku. I nie, nie musisz się ze mną zgadzać - dodał, gdy Jaina zaczerpnęła tchu, żeby coś powiedzieć. Oboje się uśmiechnęli. - Nie obawiam się ani trochę, że ona przeciągnie go na Ciemną Stronę. Ale lękam się, że on może ucierpieć, fizycznie i emocjonalnie, ponieważ tak bardzo tego pragnie. Zależy mu na niej, Jaino. Czuję to.

- To znaczy, że ona najprawdopodobniej też to czuje - stwierdziła Jaina. - Nie chcę być nadmiernie sentymentalna, wujku Luke, ale... nie lekceważ siły miłości. Dwóch członków naszej rodziny miłość już przeciągnęła na Jasną Stronę. Ben ma wprawdzie tylko szesnaście lat, ale nie jest głupi. - Nachyliła się do przodu z wyrazem skupienia w ciemnych oczach. - Jeśli on wierzy, że można ją nawrócić... to może tak jest.

Luke milczał przez chwilę.

- No dobrze - powiedział w końcu. - Zabierzemy Vestarę na Korribana. Ale będziemy ją cały czas obserwować.

- Oczywiście, że będziemy. I pij kaf, bo ci wystygnie.

## **ROZDZIAŁ 10**

Luke'owi się to wszystko nie podobało. To, że nie wiedzą, gdzie są Abeloth i Sithowie; to, że muszą odwiedzić Korribana i inne miejsca przesiąknięte historią Sithów; a w szczególności to, że w tych wszystkich wyprawach towarzyszyła im Sithanka.

Stanowiła zagrożenie. Luke o tym wiedział. Czy istniała szansa, że Ben i Jaina mają rację, że Vestarę naprawdę można przeciągnąć na Jasną Stronę Mocy? Oczywiście, że istniała. Zawsze jest nadzieja. Ale jest też rachunek prawdopodobieństwa. A Luke wiedział, że prawdopodobieństwo takiego rozwoju sytuacji jest bardzo niewielkie.

Kilka lat wcześniej kazał usunąć wszelkie dane nawigacyjne dotyczące Korribana z komputerów Jedi i o to samo poprosił władze Galaktycznego Sojuszu. Teraz ta decyzja się na nim zemściła. Jaina poleciła Natui Wan przejrzeć stare, zamknięte archiwa w poszukiwaniu jakichkolwiek przydatnych informacji. Luke po cichu liczył, że nie da to żadnych rezultatów, jednak starannej Falleence - zapewne przy pomocy biegleszych badaczy - udało się zebrać wystarczające dla ich potrzeb dane.

Im bardziej zbliżali się do pradawnego świata Sithów, tym bardziej byli milczący. Jediną osobą,

która wydawała się podekscytowana tą perspektywą, była oczywiście Vestara.

Luke naciskał, żeby powiedziała mu wszystko, co wie o tej planecie, mając na uwadze, że swego czasu miała dostęp do banków danych „Omenu”. Ku jego zaskoczeniu się zgodziła.

- Słowo „Sithowie” tak naprawdę odnosi się do rasy czerwonoskórych istot pochodzących z Korribana - zaczęła. - Dzisiejsi Sithowie są potomkami Jedi, którzy wybrali Ciemną Stronę Mocy zamiast Jasnej. Była wojna, po której Ciemni Jedi zostali wygnani. Przylecieli wtedy na Korribana i, podobnie jak moi przodkowie na Kesh, zostali powitani niemal jak bogowie ze względu na swoją umiejętność okiełznania i wykorzystania Mocy. Przyjęli miano „Lordów Sithów” nie dlatego, że sami byli Sithami, ale dlatego, że byli ich panami. Odkryli sposób na wymieszanie swojego DNA z DNA rdzennych Sithów, a z czasem ta rasa wymarła. Ja też mogę mieć trochę DNA Sithów.

Kątem oka Luke dostrzegł grymas na twarzy Bena.

- Sithowie mieli ściśle określone kasty - ciągnęła Vestara. - Kastę niewolników, kastę religijną, kastę inżynierów i kastę wojowników. Nie było możliwości przejścia z jednej do drugiej. -

Na jej twarzy pojawił się znaczący uśmiezek. - Pod tym względem, jak sądzę, Zapomniane Plemię jest lepsze. Kiedy przybyliśmy na Kesh, nie uznawaliśmy takich podziałów. Każdy Keshiri mógł

zdobyć wyższą pozycję, stosownie do jego zdolności posługiwania się Mocą, jak sami zresztą widzieliście.

- I to czyni was lepszymi? - spytała Jaina. Opierała się o gródź z rękami skrzyżowanymi na piersi. Przyglądała się dziewczynie jeśli nie z otwartą wrogością, to na pewno z wyraźną niechęcią wymalowaną na twarzy.

- Tak - odparła po prostu Vestara i spojrzała na Luke'a. - Z pewnością się ze mną zgodzisz, Mistrzu Luke. A może uważasz, że lepiej odmawiać istotom prawa do rozwoju i awansu społecznego z powodu ich urodzenia?

Z tak postawioną tezą Luke nie mógł dyskutować.

- Za chwilę spytasz mnie, kiedy przestałem bić swojego syna. Ani jedno, ani drugie nie jest lepsze, Vestaro. Nie ma lepszego czy gorszego; jest tylko Ciemna Strona. - Cóż, jeśli faktycznie zmierza ku Jasnej Stronie, pomyślał, chociaż nie powiedział tego głośno, to powinna to zrozumieć.

Vestara nie zareagowała, tylko mówiła dalej:

- Imperium Sithów rozwijało się do czasu jego odkrycia przez... - Przechyliła głowę, zagryzając w skupieniu wargę. Wyglądała jak zwykła dziewczyna, która próbuje przypomnieć sobie wyuczoną lekcję. - ...Gava i Jori Daragonów. To odkrycie doprowadziło do wielkiej wojny nadprzestrzennej, którą, z tego co wiem, Sithowie przegrali. W tym właśnie czasie rozbił się

„Omen”, ale obawiam się, że nie wiem zbyt wiele na temat tego, co było potem.



- Statek ci nie powiedział? - Luke nie mógł rozszyfrować Bena, co go dziwiło. Syn nie wydawał się przesadnie sceptyczny ani niewinnie dociekliwy. Raczej był, jak stwierdził Luke, w swoim trybie zbierania informacji. Służba w Straży Galaktycznego Sojuszu nauczyła go metodycznego podejścia, które wymaga rozważenia wszelkich poszlak. I Ben to właśnie robił: zadawał pytania, słuchał i obserwował.

- Coś tam mówił - przyznała Vestara. - Ale wiele innych rzeczy według niego było ważniejszych. Sithowie mają zróżnicowaną i złożoną historię, a Statek chciał, żebyśmy żyli teraźniejszością, nie zaś przeszłością. Więcej czasu poświęciliśmy aktualnej sytuacji w galaktyce.

- Na przykład mnie i mojemu tacie - powiedział Ben spokojnym, bezstronnym tonem. Jakby prowadził dochodzenie.

- Tak - odparła, nieporuszona. - Ty zrobiłbyś to samo, prawda?

- No... pewnie bym zrobił.

- Wszystko, co musicie wiedzieć na temat Sithów na Korribanie, to że prawdopodobnie nie było ich tam od dłuższego czasu - oznajmił Luke. - Planeta stała się cmentarzyskiem. Ważne, żebyśmy mieli świadomość potencjalnych niebezpieczeństw, na jakie możemy się natknąć.

- Samo zjawisko cmentarzyska jest wielkim niebezpieczeństwem - powiedziała cicho Vestara. - To miejsce będzie silne energią Ciemnej Strony. A słyszałam, że z pomocą Ciemnej Strony Mocy można tworzyć różne dziwne rzeczy.

Luke skinął głową.

- Ogólnie stosowanym określeniem jest „demon” - wyjaśnił.

- Dla mnie może być - stwierdził Ben. Luke zauważył teraz, że jego syn z trudem zachowuje spokojny ton. Ben stanął oko w oko z takimi „demonami” na Ziost dwa lata wcześniej. Bez wątpienia przypominał sobie teraz te długie dni i noce.

- Są jeszcze inne, mniej widmowe zagrożenia - powiedział Luke. Zarówno Ben, jak i Vestara zachowywali stosowaną powagę, kiedy wyświetlił hologram.

Stworzenie przypominało rankora - tyle że z ostrymi kolcami na grzbiecie i dużymi kłami.

- To jest terentatek - wyjaśnił Luke. - Występuje w kilku miejscach w galaktyce, ale pochodzi z Korribana. Niektórzy twierdzą, że te stworzenia są wytworem alchemii Sithów. Inni uważają, że to po prostu rankory zdeformowane przez energię Ciemnej Strony. Tak czy inaczej, są agresywne i śmiertelnie groźne. Te pazury - powiedział, wskazując na ogromne trójpalczaste dłonie

- i kły są jadowite. A że często żyją w jaskiniach i innych miejscach, gdzie energia Ciemnej Strony jest silna, a które my właśnie będziemy zwiedzać, możemy się na nie natknąć.

Wcisnął kolejny guzik. Tym razem zwierzę, które im się ukazało, przypominało psa. No, mniej

więcej. Miało czerwone, świecące oczy, ostre pazury i chlastało przypominającym biczącym ogonem.

- To jest tuk'ata - oznajmił Luke. - Znany także jako pies Sithów. One są strażnikami grobowców.

- Które, jak sądzę, my właśnie będziemy zwiedzać - domyślił się Ben.

Luke przytaknął.

- One też żyją na innych światach, ale pochodzą stąd - dodał.

- Wygląda na to, że Korriban eksportuje mnóstwo rzeczy - zauważyła Vestara.

- Widziałam kiedyś jednego takiego - powiedziała Jaina, która przyglądała się bestii, stojąc z założonymi na piersi rękami. - Na Yavinie Cztery. Są inteligentne, przynajmniej w jakimś stopniu. Słyszałam, że rozumieją język starożytnych Sithów. Tamten w każdym razie rozumiał, co to jest wdzięczność. Zostawił nas w spokoju po tym, jak Jacen go uleczył.

Zapadła krępująca cisza. Luke znów pomyślał, jaka to tragedia, że młody Jacen Solo, ze swoim wielkim sercem i miłością do zwierząt, w nieuchronny sposób stał się Darthem Caedusem.

Były tam też inne stworzenia, których należało się wystrzegać. Większość z nich czaiła się w jaskiniach w Dolinie Mrocznych Lordów lub wokół niej. W mrokach pieczar żyły podobne do nietoperzy shyracki. Na całym tym świecie roiło się od gadów. Wyglądające jak kolosy na glinianych nogach wraidy, które występowały także na pustynnym świecie Tatooine, przemierzały piaszczyste obszary planety. W wodach żyły smoki Ciemnej Strony o dźwiękonaśladowczej nazwie

„hssiss”, pustynie zaś pełne były chrząszczy pelko. Owady te lgnęły do istot wrażliwych na Moc, a ich toksyny wywoływały odrętwienie, które, w zależności od liczby chrząszczy, mogło skończyć się trwałym paraliżem.

- A więc tak - zrekapitulował Ben. - Demony i smoki Ciemnej Strony, psy Sithów, zmutowane rankory i paraliżujące robaki. Normalna.

Vestara nagle uśmiechnęła się szeroko, sięgnęła pod swój fotel i wyjęła niewielki pojemnik ze środkiem na drochy w aerozolu.

- Przynajmniej na jedno z tych stworzeń jesteśmy gotowi - powiedziała i nawet Luke musiał się uśmiechnąć.

# Korriban

Parę godzin później żadne z nich się nie uśmiechało, kiedy Luke wprowadzał „Cień Jade” w atmosferę Korribana.

Minęli osadę - zrujnowany port kosmiczny otoczony przez kilka skupisk budynków, które tworzyły coś na kształt wioski. Luke znał to miejsce lepiej, niżby chciał; nie było zatem potrzeby nawiązywać kontaktu z miejscowymi. Jeśli członkowie Zapomnianego Plemienia Sithów faktycznie się tu ukrywali, to miejscowi albo nic by o tym nie wiedzieli, albo byliby zbyt przerażeni, żeby ujawnić cokolwiek użytecznego. Poza tym nie chciał, żeby jego obecność w tym miejscu była bardziej zauważalna, niż to konieczne.

- Jaka... jałowa przestrzeń - szepnęła Vestara, gdy przelatywali nad wyludnioną osadą.

- Oto, co dzieje się z planetą przesiąkniętą Ciemną Stroną - odparła Jaina. - Wykorzystać i porzucić. To są właśnie twoi Sithowie.

- Ale nasz świat nie jest... - Vestara zamilkła. Ben rzucił jej szybkie spojrzenie, chociaż trudno mu było oderwać wzrok od niepokojącego, ale dziwnie fascynującego widoku tej skalistej i piaszczystej planety. Vestara wciąż nie ujawniała niczego, co mogłoby zdradzić położenie Kesh.

Ben nie miał do niej żalu, a nawet w pewnym sensie był wdzięczny za przypomnienie, że choć Vestara jest zabawna, bystra i piękna, cały czas musi mieć się przy niej na baczności, dopóki ona nie udowodni, że zasługuje na zaufanie.

Jednak świadomość ta nie sprawiała mu przyjemności.

Zmierzali prosto do Doliny Mrocznych Lordów.

- Najbardziej logicznie będzie od niej zacząć poszukiwania - stwierdził Luke. - To najświętsze ze świętych miejsc dla Sithów. Jeśli to tu się ukrywają, to będzie ich ciągnęło tam, gdzie jest najsilniejsze skupisko energii Ciemnej Strony, a więc do doliny.

Ben zadrzał lekko. Poczł to i wiedział, że wszyscy inni też poczuli; złowrogi ciężar, jakby jego ubranie było przemoczone i ciągnęło go w dół. Człł to już kiedyś na Ziost i cieszył się, że tym razem ma przy sobie swojego ojca i kuzynkę.

A także - jakkolwiek dziwne mogłł się to wydawać - Vestarę. Była to dla niej wyjątkowa okazja do udowodnienia swojej lojalności wobec jednej czy drugiej strony. A jeśli rzeczywiście, jak sądził Ben, zwracała się ku Jasnej Stronie, to jej wiedza może być darem, a nie przekleństwem.

Dar od Ciemnej Strony. Kto by pomyślał?

Dziewczyna miała czujny, skupiony wyraz twarzy. W przeciwieństwie do Luke'a, Jainya oraz samego Bena, wyglądało na to, że zupełnie nie przeszkadza jej energia emanująca z tego prastarego świata. Ben przypomniał sobie, że widział podobny wyraz jej twarzy na Klatooine, kiedy turbowinda

zatrzymała się na piętrze mieszczącym kilka lokali, które zapewniały bardzo egzotyczne rozrywki istotom o niezbyt ciekawych upodobaniach, i na jego serce znów padł cień wątpliwości.

Otrząsnął się z przygnębienia. To miejsce faktycznie stanowiło dla niej wyzwanie - ale tak samo dla trójki Jedi. Nieufność, strach, podejrzliwość - wszystko to były narzędzia Ciemnej Strony.

Ben był pewien, że to miejsce będzie chciało ich skłócić, nastawić przeciwko sobie nawzajem, wzbudzić w Vestarze przekonanie, że nie ma dla niej miejsca pośród Jedi.

Ale Ben nie miał zamiaru na to pozwolić.

- Przy takiej ilości energii Ciemnej Strony, kłębiącej się dookoła, trudno będzie stwierdzić, czy w ogóle są tam jacyś Sithowie - zauważył. - Zwłaszcza, jeśli potrafią ukrywać swoją obecność w Mocy.

- Nie jestem pewna, ale może będę mogła w tym pomóc - powiedziała Vestara. - Znam wielu członków Zapomnianego Plemienia, którzy brali udział w tej misji. Może łatwiej mi będzie rozpoznać ich obecność niż wam.

- To jeszcze jeden powód, dla którego zabieramy cię ze sobą - oświadczył Luke. Przechylił

stery i Ben zobaczył, że kierują się prosto na poprzecinaną żlebami górę. W miarę jak się do niej zbliżali, światło wokół nich, już wcześniej słabe, coraz bardziej przygasało. Zupełnie jakby jakaś gęsta, toksyczna chmura nie przepuszczała ani światła, ani powietrza. I w pewnym sensie tak było, zdecydował Ben z nieprzyjemnym uczuciem ściskania w dołku.

Góra przed nimi okazała się zaledwie jedną, chociaż najwyższą, z całego łańcucha -

mrocznego i złowieszczego masywu, który górował nad leżącą u jego stóp doliną.

U wejścia do doliny znajdowała się zrujnowana cytadela. Wokół jej murów ustawiono ogromne kamienne posągi różnych postaci - tak wielkie, że górowały nad otoczeniem.

Niektóre z postaci były zakapturzone i miały pochylone głowy, jakby w geście szacunku, wyglądały jednak wyjątkowo złowieszczo; były to raczej sylwetki symboliczne niż czyjeś podobizny. Inne prawdopodobnie przedstawiały konkretnych Mrocznych Lordów - wyniosłych i dumnych; przyprawiały Bena o dreszcze, kiedy spoglądał w ich puste, wydrążone oczy. Zauważył

też schody, które prowadziły w górę, do zapieczętowanych grobowców.

Sithowie z nieszczęsnej kasty niewolników także byli w nich zamykani, żeby usługiwać swoim panom w życiu pozagrobowym... kiedy sami umrą. Dziesiątki niewolników ginęły powoli z głodu, chyba że pomagały im w tym tuk'ata, również zamurowane w grobowcach.

Trzeba przyznać, że nawet gdyby to miejsce nie było spowite dławiającą energią Ciemnej Strony i tak budziłoby grozę. Kiedy jego ojciec podchodził do lądowania w pobliżu ruin cytadeli, Ben zdał sobie sprawę, że cały czas zaciska pięści.

Luke nie wstał od razu z fotela; popatrzył kolejno na wszystkich obecnych.

- Żadnego rozdzielania się ani odłączania od grupy - zalecił. - Cały czas utrzymujemy kontakt wzrokowy. Jeśli będziecie chcieli się porozumieć z kimś, kto nie jest tuż obok, używajcie komunikatorów. Jak tylko coś zauważycie, czy zwykłe fizyczne ślady, czy coś wyczuwalnego w Mocy, natychmiast meldujcie. Jasne?

To ostatnie słowo było niewątpliwie skierowane pod adresem Vestary. Nozdrza Sithanki rozszerzyły się z gniewu i na chwilę rozbłysła nim w Mocy, zaraz jednak pokiwała głową, tak samo jak Ben i Jaina.

Drzwi się otworzyły i wysunęła się rampa, po czym trójka Jedi i jedna Sithanka wyszli na piaski Korribana.

## **ROZDZIAŁ 11**

### **Ośrodek Medyczny Galaktycznego Senatu**

Przez chwilę wydawało mu się, że wciąż śni ten sam koszmar. Koszmar, w którym walczy o życie z dwoma obłąkanymi Jedi...

...ale to nie byli Jedi. W przeciwnym razie nie zdołałby...

...czego zrobić?

...z dwoma ludźmi, którzy go zaatakowali. Ucięli mu rękę mieczem świetlnym. Zielonym.

Zabawne, co umysł zapamiętuje. Przypomniawszy sobie, że chwycił własną odciętą rękę, która cały czas trzymała blaster, i strzelił do napastnika.

A potem ta antyseptyczna sterylność. Stłumione głosy, znajome, choć słowa niezrozumiałe.

Głos Natasi, głęboki i ciepły. Głos Rynoga Asokajiego, jego adiutanta. I jeszcze jeden, który znał, ale którego nie potrafił od razu rozpoznać - monotony głos z jego ojczystym akcentem.

Obrazy, niemal nieruchome. Coś dotyczącego reportera.

Lekarze, droidy medyczne. Szum aparatury, zapach ośrodka medycznego.

Jednak, jak się okazało, nie był to wcale koszmar.

- *Stang* - zaklął admirał Nek Bwau'tu słabym, ochrypłym basem.

- Witaj ponownie wśród żywych, bratanku - odezwał się znajomy, przeciągły głos. Bwau'tu z wysiłkiem odwrócił głowę i uśmiechnął się słabo.

Mecenas Eramuth Bwau'tu siedział na krześle obok Neka. Jego laska, czarna i prosta, z rzeźbioną

rączką w kształcie bestii z bothańskich podań ludowych, była oparta o stół. Obok leżał

jego ulubiony barwny kapelusz. Pod stołem stała niewielka, staromodna czarna torba, jego długi płaszcz zaś leżał schludnie złożony na drugim krześle. Eramuth miał na sobie tylko kamizelkę, spodnie i koszulę z podwiniętymi rękawami. Nie nosił nawet rękawiczek. Innymi słowy był ubrany, jak na niego, niezwykle swobodnie.

- Dzień dobry, stryju - wychrypiał Nek. - Nie... powinieneś być teraz w sądzie?

- Niestety - odparł Eramuth donośnym, ale łagodnym głosem - proces zakończył się skazaniem mojej klientki. Byłem zaszokowany... zaszokowany!... kiedy dowiedziałem się, że wkrótce po ogłoszeniu wyroku ta mała nexu uciekła. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie teraz jest.

Ale mówiąc to, zmrużył oczy. Bwau'tu zachichotał.

- Drogi stryju, co ty chowasz w rękawie?

- Ależ nic, przecież widzisz, że są podwinięte. - Nachylił się do przodu. - Wyglądasz o wiele lepiej niż przez ostatnie parę tygodni. Jak się czujesz?

Tygodni?

- Czułbym się lepiej, gdybym wiedział, co mnie ominęło.

- No cóż, sporo tego było. Czy... - Eramuth urwał, zastrzygł uchem i uniósł głowę, zerkając przez chwilę w stronę drzwi, po czym się rozluźnił. - A oto ktoś, kto ucieszy się prawie tak samo jak ja, widząc cię przytomnego.

Drzwi się otworzyły i wszedł Rynog Asokaji, niosąc dwie filiżanki z kafem.

- Czy jedna jest dla mnie? - wychrypiał Nek. Bith podszedł, poruszając się zwinnie, tak żeby nie rozlać gorącego płynu, i postawił filiżanki, mrugając szybko swoimi dużymi oczami. Eramuth uśmiechnął się do nich obu. Podczas gdy admirał i jego adiutant rozmawiali, adwokat wyjął

komunikator i przemówił do niego cichym głosem.

- Panie admirale! - wykrzyknął radośnie Asokaji. - Z chęcią przyniosłbym panu cały dzbanek kawy, gdyby lekarze mi pozwolili. Jak to dobrze, że jest pan z powrotem z nami.

Z każdą minutą Nek był coraz bardziej świadomy tego, co się wokół niego dzieje. Spojrzał

w górę, na zawieszony nad jego łóżkiem wideoekran, na którym był akurat wyświetlany program informacyjny. Niektóre z poruszanych w nim spraw wydawały mu się znajome, jednak nie pamiętał

ich sprzed ataku.

- Niech zgadnę - zwrócił się do Asokajiego. - Byłeś przy mnie przez cały czas, przynajmniej na tyle,

na ile pozwolili ci lekarze. I puszczałeś wiadomości w nadziei, że może coś do mnie dotrze pomimo śpiączki.

Asokaji przytaknął.

- Eee... droid medyczny FX zasugerował, że bodźce wzrokowe mogą przyczynić się do szybszego wybudzenia. Jak tylko się o tym dowiedziałem, uzyskałem zgodę od lekarzy, żeby wideoekran był stale włączony. Najwyraźniej to pomogło.

Nek pokiwał głową.

- Chyba rzeczywiście coś niecoś do mnie dotarło. Dobrze się spisałeś. - Był ciągle osłabiony, więc z trudem odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Eramutha. - Jak się trzyma Natasi?

Oczy jego wuja posmutniały.

- To... jedna z rzeczy, o których musisz się dowiedzieć, ale... jeśli się nie mylę, a rzadko mi się to zdarza, za chwilę powinni się tu zjawić twoi lekarze. Zostali już powiadomieni o zmianie twojego stanu. - Nachylił się do przodu, przyglądając się bacznie swojemu bratankowi. - Posłuchaj, Nek, musisz zaufać swojemu staremu wujowi. Jesteś przytomny, ale jeszcze otępiały. Zamroczony.

Możliwe nawet, że doszło do uszkodzenia mózgu.

Mówił swoim prawniczym tonem, którym zwracał się do klientów, więc Nek zrozumiał, że nie warto się z nim spierać.

Do pokoju wszedł Bothanin o złocistym futrze, a z nim Durosjanka. Oboje uśmiechnęli się promiennie do Neka.

- Admirale - odezwał się Bothanin. - Jestem doktor Ysa'i, a to doktor Javir. Przyszliśmy, jak tylko dowiedzieliśmy się o pańskim przebudzeniu. Witamy z powrotem.

Nek przyjrzał im się, po czym rzucił bezradne spojrzenie Eramuthowi, który wyglądał ponuro.

- Jest przytomny od paru minut, ale... nie wiem, na ile do nas wrócił - wyjaśnił mecenas.

Ysa'i i Javir wymienili spojrzenia i zmarszczyli brwi.

- Aparatura wskazuje, że funkcje fal mózgowych pacjenta wróciły do normy - oznajmiła Javir, spoglądając na holograficzny wykres działania mózgu, zawieszony nad wezłowiemiem łóżka.

Nek miał ochotę westchnąć, zirytowany tym, jak szybko lekarze zaczynają mówić o swoich pacjentach w trzeciej osobie; rozejrzał się jednak tylko z konsternacją.

- Czy mogło dojść do uszkodzenia mózgu? - spytał Eramuth, sprawiając wrażenie głęboko

zatroskanego.

- To mało prawdopodobne - odparła Javir, przyglądając się uważnie odczytom.

- Wprawdzie nie jestem lekarzem - powiedział Eramuth - ale moja wieloletnia praktyka adwokacka nauczyła mnie jednego. Tego mianowicie, że nawet jeśli dużo wiemy o „mózgu”, to

„umysł” w znacznej mierze pozostaje zagadką.

Nek omal się nie uśmiechnął, widząc piorunujące spojrzenie, jakie doktor Javir rzuciła jego wujowi. Durosjanka skupiła uwagę na swoim pacjencie.

- Zna pan te osoby, admirałe Bwau'tu?

Nek zamrugał z poważną miną, ale nie odpowiedział.

- A siebie? Pamięta pan, kim pan jest?

Zmarszczył brwi, próbując wyglądać na zdezorientowanego i poruszonego, ale bez przesady. Ostatnia rzecz, jaka im wszystkim była potrzebna, to żeby podali mu środki uspokajające.

- To dziwne - wymamrotała Javir. - Według danych powinien już dojść do siebie. Może być co najwyżej wyczerpany.

- Zostaniemy i spróbujemy do niego dotrzeć - zaproponował Eramuth. - Przyjazne twarze i tak dalej. Mam w zanadru trochę starych anegdotek, które powinny odświeżyć mu pamięć.

Doktor Ysa'i bezskutecznie próbował ukryć niezadowoloną minę wywołaną myślą o słuchaniu „starych anegdotek” Eramutha. Szybko jednak odzyskał panowanie nad sobą.

- Będziemy go dalej obserwować - zapewnił. - Jeśli nic się nie zmieni, za jakąś godzinę zrobimy badania. Na razie muszę powiedzieć, że wszystkie objawy są pozytywne. Jestem pewien, że admirał Bwau'tu wkrótce dojdzie całkowicie do siebie.

- Proszę powiadomić kogoś z droidów medycznych, gdyby sytuacja się zmieniła - dodała Javir.

- Oczywiście - obiecał Asokaji. Lekarze jeszcze raz spojrzeli na wyniki, po czym wyszli, rozmawiając ze sobą po cichu. Gdy tylko drzwi się zamknęły, Bith odwrócił się ponownie do Bwau'tu.

- Z uwagi na pańską szczególną pozycję w rządzie, zarówno była przywódczyni Sojuszu, jak i ja nalegaliśmy, żeby w pokoju nie było żadnych urządzeń monitoringowych ani nagrywających poza tymi, które są niezbędne dla celów medycznych. Możemy rozmawiać swobodnie.

- Jesteś pewien?

Eramuth pokiwał głową.



- W przeciwnym razie za niektóre rzeczy, jakie mówiłem młodemu Rynogowi, z całą pewnością zostałbym wezwany na przesłuchanie. - Zaświeciły mu się oczy, zaraz jednak spochmurniał.

- Zauważyłem, że użyłeś słów „była przywódczyni Sojuszu”, mówiąc o admirał Daali -  
powiedział cicho Bwau'tu. - Opowiedzcie mi, co się stało.

Słuchał Asokajiego i Eramutha, co jakiś czas tylko przerywając, żeby poprosić o dodatkowe wyjaśnienia. Serce zamierało mu co chwila, gdy poznawał kolejne szokujące fakty.

Nek wiedział już, że Daala była zdecydowana nie tolerować rozmaitych ruchów rewolucyjnych, które zdawały się plenić jak chwasty. Tego ranka, kiedy został zaatakowany, miał

skontaktować się z Kenthem Hamnerem w sprawie realizacji ich wspólnego planu. Jak przez mgłę pamiętał devaroniańską dziennikarkę Madhi Vaandt, donoszącą o eskalacji przemocy.

- Natasi była mnie odwiedzić - powiedział i nie było to pytanie. - Ona i Wynn Dorvan.

Pamiętam. Nadawano wtedy materiał na temat... - Nek zmarszczył brwi, wyteżając pamięć - Blauddu Sextusa. Octusan... i Mandalorian, wezwanych, żeby ich spacyfikować.

- Przypominam sobie tę wizytę - potwierdził Asokaji. - Wtedy działanie pańskiego mózgu po raz pierwszy zdawało się ukierunkowane. Przywódczyni, to znaczy była przywódczyni Sojuszu uważała, że Vaandt miała jakiś związek z zamachem na pańskie życie. - Zawahał się. - Vaandt zginęła, przygotowując relację z tamtych wydarzeń.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział szczerze Nek. - Wykonywała swoją pracę z wielką pasją. Ale nie, to nie ona przykuła moją uwagę. Powiem wam wszystko, co na ten temat pamiętam, kiedy już naświetlicie mi całą sytuację. Byłem... zaniepokojony powstaniem i teorią Madhi Vaandt, jakoby Mando nie zostali wynajęci w celu ochrony interesów... - Zmarszczył brwi. Pewne konkretne informacje, jak widać, jeszcze mu umykały.

- Korporacji Górniczej Sextuny - podsunął usłużnie Asokaji. - Tak, Vaandt najwyraźniej sądziła, że było inaczej.

Eramuth do tej pory słuchał, nie przerywając, teraz jednak nadstawił uszu.

- Doprawdy? Ciekaw jestem, kto według niej za tym stał.

Nek zamknął oczy.

- Vaandt wspominała coś o wydarzeniach w Świątyni. To oczywiste, co miała na myśli.

- Ale czy to, co miała na myśli, było prawdą, Nek? - spytał łagodnie Eramuth.

- Nie mam pewności, ale sądzę, że tak.

- Jedi rozumowali podobnie - stwierdził Eramuth.

Nek odwrócił głowę w jego stronę.

- Domyślam się, że to wtedy Daala stała się była przywódczynią Sojuszu?

Eramuth pokiwał głową.

- Z przykrością to mówię, ale musisz to wiedzieć. - Szybko, rzeczowo i ze współczuciem opisał uwolnienie „obłąkanych Jedi”, bezkrwawy przewrót i aresztowanie Daali, które po nim nastąpiło. Powołany w jej miejsce triumwirat starał się nie dopuścić, żeby wszystko się do reszty rozsypało.

- Chcę się z nią zobaczyć - oświadczył Nek.

- Cóż, nie ty jeden - odparł Eramuth. - Ktoś wydostał ją z więzienia, zanim zdążyła stanąć przed sądem. Przy okazji chaosu wywołanego jej ucieczką zniknęła też moja klientka.

Nek otworzył szeroko oczy.

- Chyba cały czas jestem w śpiączce i oglądam jakiś holofilm - powiedział tonem zarazem gorzkim i ironicznym. - Wiadomo, kto przyszedł jej z pomocą?

- Wiadomo, za kogo chciał być wzięty - odparł Asokaji. - Za niejakiego Bobę Fetta w jego charakterystycznej mandaloriańskiej zbroi.

- Myślisz, że to nie był on?

- To był ktoś w bardzo dobrej imitacji jego zbroi.

- A zatem ktoś chciał, żebyśmy pomyśleli, że to był Fett - zadumał się Nek.

- Właśnie. Na razie nie mamy żadnych poszlak, które wskazywałyby na jego prawdziwą tożsamość.

- Fett... tak, to brzmi sensownie - stwierdził Nek. Czuł głęboki żal. Nie musiało do tego wszystkiego dojść. Znał Daalę od lat i przez większość tego czasu mieli podobne poglądy, ale teraz... - Niezależnie, kto jej pomógł w ucieczce, trzeba ją znaleźć i postawić przed sądem.

Sprawiedliwym sądem - powiedział cicho. - Składałem przysięgę *krevi*, która zobowiązuje mnie do ochrony Galaktycznego Sojuszu, i zamierzam to robić do ostatniego tchu.

- Którego o mało co pan nie wydał - zauważył Asokaji. Wymienił spojrzenia z Eramuthem.

- W każdym razie... żaden z nas nie wierzy, że Daala maczała w tym palce. - Jego fałdy policzkowe pociemniały lekko.

- Wie, bo sam ją o to oskarżył - powiedział Eramuth. Nek popatrzył na swojego adiutanta z szacunkiem.

- Jej reakcja przekonała mnie, że nie miała z tym nic wspólnego - dodał Asokaji i nie powiedział nic więcej.

Nek pokiwał ze zrozumieniem głową.

- A jak sobie radzi Dorvan?

- Całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności. Facet nie ma zbyt wielu wrogów. Może nie jest najbardziej fascynującym rozmówcą na świecie, ale robi swoje i niemal wszyscy chętnie z nim współpracują. Jedi nie starają się zniszczyć Sojuszu, Nek.

- Wiem - odparł Bwau'tu. - Daala nigdy tego rozumiała. - Westchnął, zmęczony rozmową. -

Chyba lepiej opowiem wam, co pamiętam z ataku, zanim znów zasnę - powiedział.

- Zanim to zrobisz, myślę, że powinniśmy włączyć do rozmowy jeszcze jedną osobę -

stwierdził Eramuth. Sięgnął do swojej staromodnej czarnej torby i wyjął z niej zdecydowanie nowoczesny, miniaturowy odbiornik holograficzny. Wcisnął guzik i nad urządzeniem pojawiła się drobna postać Wynna Dorvana.

- Panie admirale - odezwał się maleńki wizerunek.

- Dorvan - ucieszył się Nek. - Miło pana widzieć, nawet tak małego.

- Nie wszyscy możemy być wysocy i onieśmielający - odparł Dorvan swoim zwykłym, bezbarwnym, lecz miłym głosem. - Z wielką radością przyjąłem wiadomość, że jest pan przytomny i w pełni władz umysłowych. Jednak pański stryj poinformował mnie, że bardzo niewiele osób wie o poprawie pańskiego stanu. Myślę, że to dobrze i powinniśmy postarać się jak najdłużej zachować ten fakt w tajemnicy. Stworzyć taki prywatny klub...

Nek popatrzył na swojego stryja, swojego adiutanta i tymczasowego przywódcę Galaktycznego Sojuszu. Była to dobra i godna zaufania grupa... A co nie mniej ważne - mała.

Skinął głową.

- Zgadzam się. Dobrze pamiętam cały atak. Opowiem wam o tym.

Nek zdał sobie sprawę, że robiąc to, potwierdzi pogłoski o swoim związku z Daalą, ale nie dało się tego uniknąć. Wszyscy musieli poznać całą prawdę, jeśli mieli zrealizować swoje cele: uratowanie Galaktycznego Sojuszu, doprowadzenie Daali przed sąd i schwytanie odpowiedzialnych za atak na niego.

Nie był zdziwiony tym, że wszyscy przyjęli jego „rewelacje” bez zaskoczenia. Zapytali, kto wie, że był w rezydencji Daali w noc ataku.

- Chyba nikt. Nawet ty, Asokaji. Dostałeś mój sygnał?

Bwau'tu wcisnął guzik sygnału alarmowego, gdy tylko zorientował się - a właściwie sądził, że się zorientował - kto go zaatakował. Nie miałby szans w starciu z dwoma Rycerzami Jedi. Na szczęście dla niego nie mogli to być Jedi - z tej prostej przyczyny, że uszedł z życiem. Jednak cała sprawa była przez to jeszcze bardziej zagadkowa.

- Tak, panie admirale. Pomoc nadeszła w ciągu paru minut. W przeciwnym razie by pan nie przeżył. Ale podejrzewałem, że mógł pan być w odwiedzinach u pani admirał, zważywszy, że znaleźliśmy pana w tak niewielkiej odległości od jej apartamentu.

Nek dokończył swoją opowieść, opisując bardzo szczegółowo obu napastników.

- Wiem, że jednego zabiłem - powiedział. - Tego w szatach Jedi. Wydaje mi się, że drugi doznał tylko urazu przy upadku. Pewnie go nie znaleźliście.

- Nie, nie znaleźliśmy - przyznał miniaturowy Dorvan. - Choć nie dlatego, że nie próbowaliśmy. Nie zdołaliśmy nawet zidentyfikować fałszywego Jedi, którego pan zabił. Tak jakby po prostu nie istniał.

Nek poczuł, jak futro jeży mu się pod gipsem pod wpływem tych słów.

- Wiemy, że nie byli to prawdziwi Jedi - stwierdził. - I wiemy, że komuś zależało, żeby nikt nie został zidentyfikowany. Ktoś zadał sobie dużo trudu i wydał dużo kredytów, żeby to zagwarantować.

- W istocie - zgodził się Dorvan. - Admirale, musi pan udawać, że nadal nic pan nie pamięta. Mecenasi Bwau'tu, Asokaji... jeden z was lub ktoś, kogo osobiście wyznaczę, musi być cały czas przy admirale. - Zmarszczył w zamyśleniu brwi. - Moglibyśmy nawet zaangażować Jedi w charakterze wartownika, skoro wszyscy są już wyleczeni. Biorąc pod uwagę obecny klimat, mogłoby to rozproszyć ewentualne obawy, no i dałoby panu dodatkową ochronę. Musiałby to być jednak ktoś, komu możemy całkowicie zaufać, a z tym może być problem.

- Admirale, ma pan jakieś obiekcje?

- Owszem - powiedział Nek. - Oni są lojalni przede wszystkim wobec Zakonu. Pewnie uznają, że muszą poinformować... kto teraz stoi na jego czele?

- Mistrzynie Sebatyne.

Nek skrzywił się lekko na myśl o tej zacieklej wojowniczej przewodzącej Jedi.

- Każdy Jedi jej wszystko powie. A gdybyśmy próbowali ich okłamać, wyczują to. Mogę oszukać lekarzy, ale nie jestem aż tak dobrym aktorem, żeby oszukać Jedi.

Dorvan westchnął.

- Ma pan słuszość, admirale. Chciałbym jednak w niedalekiej przyszłości poinformować Jedi.

- Zgoda, ale jeszcze nie teraz. Proszę mi wybaczyć, ale jestem bardzo zmęczony. Czy możemy wrócić do tej rozmowy później?

Prawdę mówiąc, już mu się robiło ciemno przed oczami.

- Oczywiście, admirale - odparł Dorvan. - To wszystko trąci czymś znacznie poważniejszym niż zwykła prywatna wojna. Mam mnóstwo własnych problemów, ale zacznę przyglądać się tej sprawie i...

Zapadając w wymęczony, ale prawdziwy sen, Nek Bwau'tu myślał z bólem o Natasi Daali.

A potem zastanawiał się, czy to dobrze, czy źle, że monotony głos Wynna Dorvana pomaga mu szybko odpłynąć w krainę snu.

- Nie chcę nikogo obrazić - powiedział Padnel Ovin, wgrzyzając się w solidny stek z nerfiny w jednej z lepszych restauracji w dzielnicy senackiej - ale głos Wynna Dorvana uspił dziś pół

Senatu. Na pewno mówił coś ważnego, ale większość z tego zagłuszyły odgłosy chrapania po mojej lewej i prawej stronie.

Padnel Ovin, były przywódca Piaskowych Panter Ovina, kompletnie nie pasował do wytwornego, stonowanego wystroju restauracji. Mimo że nie był już uzbrojony po zęby ani nie miał

na sobie zakurzonych piaskiem szat, wyglądał na tego, kim w istocie był - grubo ciosanego wojownika, przyzwyczajonego do używania noża raczej w celu zabicia wroga niż pokrojenia steku z nerfiny.

Han i Leia wymienili rozbawione spojrzenia.

- Nie tylko ty to zauważyłeś - zapewniła Leia. - I nie przejmuj się. On pierwszy się do tego przyzna.

- Nie nadawałby się na Piaskową Panterę.

Han wydał odgłos pośredni pomiędzy śmiechem a krztuszeniem się. Leia poklepała go po plecach, z trudem powstrzymując uśmiech.

- Nie sądzę, żeby Wynn Dorvan przystąpił do takiej organizacji - zauważyła.

Zawsze wyczulony na krytykę, nawet ze strony przyjaciół, Ovin spojrzał na nią surowo.

- Bo uważa mnie za terrorystę?

- Cele można realizować na różne sposoby - stwierdziła Leia - a jego atuty mieszczą się gdzie indziej. Być może, gdyby ktoś taki jak Dorvan należał do starszyny Klatooinian, udałoby się legalnie znieść Pakt Vontorski. Z pewnością nawet twój brat by przyznał, że to lepsze rozwiązanie niż przemoc. Wiem, że i ty tak uważasz.

Ovin pokiwał głową i powiedział szorstko:

- Tak jak mówiłem... wierzę, że Dorvan ma do powiedzenia rzeczy, których warto posłuchać. Ale

przywódca musi mieć coś więcej. Musi mieć charyzmę, musi być przekonujący.

Leia przypomniała sobie Dorvana wbiegającego po schodach, żeby ocalić Raynara Thula.

- Daj mu trochę czasu - poprosiła. - Może cię jeszcze zaskoczyć. Cicha woda brzegi rwie.

- Tam, skąd pochodzę, żadna woda nie rwie brzegów - odparł Padnel. Jego obwisłe policzki zatrzęsły się lekko. Leia i Han dopiero po chwili zrozumieli, że żartuje, i wszyscy się roześmiali.

- Dobrze cię widzieć, Padnel - powiedział Han. - Cieszę się, że was przyjęli. Myślę, że Klatooinianie mają wiele do zaoferowania. Rozruszacie trochę to towarzystwo. Galaktyce wyjdzie to tylko na zdrowie. - Komplement był szczery. Senat, co uwidoczniło się zwłaszcza ostatnio, był w przeważającej części statecznym i konserwatywnym zgromadzeniem, chociaż zdarzały się wyjątki, jak przyjaciel Hana i Leii, Luwet Wuul. Opinie o nowym senatorze z B'nish, Kameronie Suldarze, również były pozytywne.

- W waszych ustach to wiele znaczy - oświadczył Padnel. - Zrobię, co w mojej mocy. Być może... - Zawahał się.

- Mów dalej - zachęciła go Leia.

- Być może... jestem na właściwym miejscu. Grunel był założycielem i prawdziwym przywódcą Piaskowych Panter, więc na zawsze zostanie tak zapamiętany. Ale jeśli teraz będę mógł

pomóc w ten sposób, to być może uhonoruję jego dziedzictwo, a przy tym stworzę swoje własne.

- Myślę, że jesteś na dobrej drodze, przyjacielu - odparła Leia.

## **ROZDZIAŁ 12**

# Korriban

Powietrze było gęste, jakby starało się udusić Bena. Czuł się tak, jakby wdychał... wrogość.

Z trudem powstrzymywał kaszel i próbował strząsnąć coś, co przypominało płaszcz z niewidzialnych pajęczyn w Mocy.

Było gorzej niż na Ziost. Ben nie był pewien dlaczego; może dlatego, że była to ojczyzna pierwotnych Sithów, a źródła mają swoją siłę. Pozwolił, żeby fala spokoju przepłynęła przez niego w Mocy. Jego oddech się wyrównał i udało mu się częściowo przegnać obawy w zakamarki umysłu.

Luke nie zdradzał żadnych objawów niepokoju, chociaż wyraźnie miał się na baczności.

Jaina sytuowała się gdzieś pomiędzy oboma Skywalkerami; była spokojniejsza od Bena, ale nie tak skoncentrowana jak Luke.

Vestara z kolei stanowiła plątaninę sprzecznych emocji.

Promieniował od niej niepokój pomieszany z... Ben mógł to jedynie określić jako oszołomienie. Miała ochotę cofnąć się przed tak potężną energią Ciemnej Strony, ale równocześnie coś ją do niej ciągnęło. Ben spojrzał jej w oczy, skinął głową i uśmiechnął się dla dodania otuchy.

Ona odpowiedziała uśmiechem, choć trochę niepewnym.

- Meldujcie - zażądał Luke. - Ktoś coś czuje?

- Poza chęcią włożenia mojego płaszcza z Nam Chorios w samym środku suchego, gorącego świata, po to tylko, żeby odgrodzić się czymś od atmosfery tego miejsca, to nie - odparł Ben.

- Nie wyczuwam Abeloth ani żadnych Sithów - oznajmiła Jaina. - Tylko... mniejsze skupiska energii. Ale mroczne.

- Ja też je wyczuwam - dodała Vestara. - Są silniejsze, niż się spodziewałam.

- Przecież pochodzisz ze świata Sithów - zauważył Ben bez złośliwości, tylko z ciekawością. - To nie powinno być dla ciebie nic nowego.

- My stworzyliśmy nasz świat - odparła Vestara. - Jestem do niego przyzwyczajona, do jego meandrów. Ale to... to nie jest mój świat.

Przy ostatnich paru słowach zniżyła głos do szeptu i Ben zrozumiał. Jej lud był inny - w ciągu pięciu tysięcy lat ewoluowali, i chociaż niewątpliwie byli Sithami, to ani prawdziwie starymi, ani nowymi. Byli... wyjątkowi.

- Te mniejsze skupiska energii to zwierzęta, nie ludzie ani Keshiri - stwierdził Luke. - Ale gdzieś tu są. Nasze przybycie nie przeszło niezauważone. - Włączył swój miecz świetlny, a reszta zrobiła to samo. Znajomy dźwięk uspokoił Bena na tyle, że poczuł się... niemal normalnie. Poradził

sobie z Ziost w pojedynkę, i to w wieku czternastu lat. Poradzi sobie z Korribanem jako szesnastolatek, mając obok swojego ojca i kuzynkę.

- Zaczniemy od cytadeli - zdecydował Luke i ruszył po suchym piasku w jej kierunku. Ben pomyślał, że woli miejsce zbudowane dla żywych niż dla umarłych, chociaż, prawdę mówiąc, wszystko to razem było nieprzyjemne.

Kompleks, prastary klasztor, był otoczony wysokim kamiennym murem. Ponad nim widać było kopuły znajdujących się wewnątrz wież. Sam mur pamiętał lepsze czasy. Dawniej pokrywały go niebieskie płytki, coś w rodzaju mozaiki. To, co z niej pozostało, układało się w niepokojące obrazy - kły, oczy, pazury.

Pod murem poniewierały się rozmaite odpady - obudowy zużytych rdzeni zasilania, przenośne pola ochronne - które, sądząc po wyglądzie, miały kilkadziesiąt lat i również pamiętały lepsze czasy. Wszystko to pokrywała gruba warstwa piasku i wyglądało na to, jakby od lat nikt tego nie ruszał.

- Na ogół nie myślę o Sithach jako o bałaganiarzach - wyznał Ben.

- Nasze domy są zadbane - odparła Vestara, marszcząc w skupieniu brwi. Wysunęła do przodu nogę i trąciła nią zardzewiały kawałek czegoś, co kiedyś mogło być śmigaczem.

Czterdziestoletnim śmigaczem.

- Nie wygląda, żeby ktoś tu ostatnio był - zauważył Luke. - Ale pozory mylą. - Przeszedł

wzdłuż muru do bramy, czterometrowej płyty z durastali. Na niej też widniały czerwonawe pląty rdzy.

- Co zrobimy? Zadzwonimy do drzwi? - spytała Jaina.

- Sami się wpuścimy - odparł Luke. Uniósł lekko ręce i skoncentrował się; inni poszli za jego przykładem. Z początku potężne wrota się opierały, w końcu jednak powoli, centymetr po centymetrze, zaczęły się unosić.

Ben poczuł krople potu na czole, a mięśnie drżały mu z umysłowego wysiłku. Nawet czoło Luke'a przecinały głębokie bruzdy. Zdołali unieść wrota zaledwie na sześć centymetrów, zanim opadły ponownie z głuchym odgłosem na twarde piasek.

Ben otarł ręką czoło.

- To nie powinno być takie trudne - zdziwił się.

- Nie - zgodził się Luke. - Brama musiała zostać jakoś zmodyfikowana. Być może Sithowie zastosowali przy jej tworzeniu swoją alchemię i dlatego jest odporna na manipulację Mocą.

- A co powiecie na stary, dobry miecz świetlny? - zaproponowała Jaina. - Durastal to durastal, nie?



Luke zachichotał. Ben popatrzył na niego z niedowierzaniem. Tutaj, na tym opuszczonym i

- co tu gadać - wrogim świecie, jego ojciec chichotał!

- Spróbujmy - zdecydował Luke.

Wszyscy włączyli swoje miecze świetlne i zaczęli razem pracować nad wycięciem kwadratowego otworu - każdy przy jednym boku. Ku zaskoczeniu Bena, chociaż szło to opornie, udało się. Czasami jednak najprostsze rozwiązanie okazuje się najbardziej pragmatyczne.

Przyłożyli ramiona do wyciętego kwadratu i pchnęli. Blok durastali zazgrzytał na znak protestu, w końcu jednak ustąpił i runął do środka z głośnym hukiem.

- Jednak zadzwoniliśmy do drzwi - mruknęła Jaina.

Wśliznęli się szybko do środka. Ich miecze świetlne zapewniały więcej niż dostateczne oświetlenie. Ben wytężył zmysły, ale nie wyczuł niczego groźniejszego niż czające się w mroku robactwo. Przeszli powoli pod arkadami i po kilku ostrożnych krokach znaleźli się na centralnym dziedzińcu. Z góry spoglądały na nich złowrogo balkony, a framugi, w których od dawna nie było drzwi, przypominały puste oczodoły. Piasek pod stopami zamienił się w bruk. Stojąc plecami do siebie, z mieczami świetlnymi w gotowości, rozglądali się powoli dookoła. Nietrudno było wyobrazić sobie, że na balkonach stoją zakapturzone postacie w ciemnych płaszczach, a ziejące pustką otwory skrywają zagadkowe niebezpieczeństwa.

Jednak smród Ciemnej Strony był tutaj starszy. Nie pradawny, ale z pewnością nieświeży.

- Nikogo tu nie ma - stwierdziła Jaina zniekształconym przez echo głosem.

Vestara pokiwała wolno głową.

- To miejsce jest opuszczone.

Ale, czy na pewno? - zastanawiał się w duchu Ben.

- Czy... powinniśmy je przeszukać? - zapytał. Cytadela była ogromna. Przeszukanie jej zajęłoby kilka godzin. A każda spędzona w niej minuta wystawiała ich na działanie Ciemnej Strony.

Luke koncentrował się jeszcze przez chwilę, wreszcie pokręcił głową.

- Nie. To mogłaby być idealna pułapka, a my, wchodząc tu, stalibyśmy się łatwym celem, gdyby ktoś tu był.

- No i jeżeli chcieliby zrobić nam coś złego - wtrąciła Vestara. Ben spojrział na nią. Vestara, zapytana wprost, mówiła czasem prawdę, ale sama z siebie raczej nie dzieliła się żadnymi informacjami.

- Co masz na myśli? - spytała Jaina.

- No... gdyby ich celem było ukrywanie się, to by nie wyszli, nawet jeśli bylibyśmy łatwym celem.

- Słusznie - przyznał Luke - ale w tak ograniczonym miejscu? Twoi rodacy są nieźli, Vestaro, ale nie sądzę, żeby mogli całkowicie ukryć się przed trójką Jedi. - Wyłączył swój miecz świetlny, żeby pokazać, jak bardzo jest tego pewien.

Nic się nie stało.

- Mogą być na tym świecie, ale raczej nie tutaj - powiedział. - Chodźmy. Ściemnia się, a chyba nie chcemy zostać tu na noc.

Ben wzdrygnął się mimowolnie.

Wędrówka po Dolinie Mrocznych Lordów nie okazała się dużo lepsza. Posągi były ogromne i górowały nad nimi, rzucając długie cienie, tak samo jak - w przenośni - czyniły za życia istoty będące ich pierwowzorami. W tych cieniach Ben czuł chłód.

- Dlaczego mam wrażenie, że... to nie to? - zastanawiał się na głos. - To znaczy... naprawdę myślałem, że ich tu znajdziemy.

- Wydawało się, że to najbardziej prawdopodobna ewentualność - przyznała ponuro Jaina.

- Dopiero zaczęliśmy szukać - zauważył Luke. - A jeśli Vestara miała rację, że Sithowie mogli tu być, ale ukrywają się, to możliwe, że nas wyczuli i zdążyli uciec z cytadeli, a może nawet z planety.

- I zrobili tak, żeby wyglądało, jakby od lat tu nikogo nie było? - spytał sceptycznie Ben.

- Nie lekceważ Sithów - upomniała go Vestara. - Mistrz Skywalker ma rację. Mogli opuścić cytadelę i ukryć się w ruinach, w małych grupkach, w nadziei, że nie będziemy tam szukać. Mój...

mój ojciec mógłby wpaść na taki pomysł.

Ben przyjrzał jej się badawczo. Niewątpliwie sprawiała wrażenie, że stara się pomóc. A może ich tylko wrabiała, próbowała zwabić w jakąś zasadzkę? *Stang*, jakie to było męczące...

Gdyby tylko wiedział na pewno, jakie jest jej nastawienie. Wciąż miał nadzieję, że pewnego dnia to się ziści... i że Vestara przejdzie na jego stronę. Na Jasną Stronę.

- A więc - powiedział, żeby oderwać się od tych myśli - mamy po prostu... wybrać jakiś grobowiec i zacząć się rozglądać?

- Jeśli masz lepszy pomysł, jestem otwarty na propozycje - odparł Luke z lekką ironią.

Ben nie miał.

To było gorsze, o wiele gorsze niż cytadela. Ben czuł, jak chłód Ciemnej Strony wzmaga się z niemal każdym ich krokiem. Wyteżył swoje zmysły w Mocy, przygotowując się na bliższe zetknięcie z

energiją Ciemnej Strony, która czyhała tu niczym stojące sadzawki lodowatej wody.

Weszli po stromych, długich schodach prowadzących do pierwszego grobowca, zadzierając głowy, żeby spojrzeć na zakapturzoną twarz, która patrzyła na nich groźnie z góry.

Posąg nie miał wyrzeźbionych rysów i to wzbudziło w Benie większy niepokój niż najpotworniejszy grymas, jaki mógłby ukazać się jego oczom.

Doszli na samą górę i zatrzymali się, czekając na instrukcje Luke'a. Ojciec Bena wyglądał

na tak spokojnego i niewzruszonego, jakby był w bezpiecznej Świątyni Jedi, Ben jednak odbierał

jego czujność. Sam czuł ściskanie w żołądku, a rozsądek mówił mu: „Uciekaj, uciekaj, póki możesz”, jednak zignorował jego nawoływania. Wiedział, co to jest - zwykły strach, a nie prawdziwe ostrzeżenie. Ta pewność dała mu spokój, a szpony wbijające się w umysł rozluźniły uścisk.

Luke podszedł do grobowca i położył na nim rękę, marszcząc w skupieniu brwi. Cofnął się i pokręcił głową.

- Starożytni murarze dobrze wykonali swoją pracę. Ten grobowiec jest szczelnie zamknięty.

Nie ma żadnej wentylacji i nie wyczuwam w środku niczego żywego. Chodźmy do następnego.

Uczucie lęku i zimnej wrogości nie ustępowało, mimo że w kolejnych grobowcach także nic nie znaleźli. Jeden czy dwa były otwarte, jednak rabusie - niewiarygodnie głupi lub niewiarygodnie odważni, pomyślał Ben - znaleźli się tam na długo przed nimi. W środku pozostały jedynie rozrzucone monety, narzędzia i kości nieszczęsnych istot, skazanych na śmierć po to tylko, żeby oddać cześć zmarłym Lordom. Same grobowce były puste i pokryte pajęczynami.

Ben z przyjemnością wyszedł z cienia na słońce, jakkolwiek słabe, i ruszyli w stronę następnego grobowca.

- Tato - odezwał się - zaczynam podejrzewać, że wrócimy z pustymi rękami.

- Myślę, że Ben ma rację - zgodziła się Jaina. - Jak dotąd nie znaleźliśmy kompletnie nic. To zaczyna wyglądać na wielką stratę czasu.

- Korriban to tylko jedno z wielu miejsc związanych z historią Sithów - przypomniał im Luke. - To był dobry pomysł zacząć poszukiwania od niego, ale zgadzam się, że chyba jednak szukamy w złym miejscu. - Spojrzał znacząco na Vestarę, która przypadkowo, a może celowo tego nie zauważyła. - Jeśli...

Nagły przypływ energii Ciemnej Strony spadł na nich jak niespodziewana fala. Smagały ich gniew, oburzenie, nienawiść i mordercze zamiary. Uczuciu w Mocy towarzyszyło przyprawiające o gęsią skórkę wycie, które zdawało się dochodzić ze wszystkich stron naraz.

Wydawało się, że cienie, rzucane przez wyniosłe postaci od dawna nieżyjących istot, nagle ożyły,

Ben jednak szybko odgadł, czym muszą być te ciemne, zadziwiająco szybkie stworzenia o świecących czerwonych oczach, trzech rzędach zębów, z których kapały krople śliny, i dziwnych, przypominających skrzydła wypustkach na grzbiecie.

Najwyraźniej ściągnęli na siebie uwagę strażników grobowców i kilkunastu z nich zmierzało teraz ku nim z jedną palącą myślą: „Zabić intruzów”.

Ben od razu zdał sobie sprawę, że psy Sithów mogą to zrobić. Było ich po prostu za dużo i były zbyt silne Ciemną Stroną Mocy.

Chłopiec już wcześniej stawał ze śmiercią twarzą w twarz, więc teraz ogarnął go dziwny spokój. Podniósł swój miecz świetlny i utkwiał wzrok w stworzeniu stojącym na przedzie, gotowy zabić ich, ile tylko zdoła, zanim nastąpi to, co nieuchronne. Przyszła mu do głowy absurdalna myśl, że one są dużo, dużo większe, niż się spodziewał.

To, co zdarzyło się potem, wprawiło go w osłupienie.

Zamiast unieść miecz świetlny i przygotować się do walki, Vestara zgasła czerwoną klingę.

A potem, ku zdumieniu Bena, zaczęła biec.

W kierunku granatowoczarnej grupy tuk'ata.

Jej brązowe włosy rozwiewał wiatr. Nagle dziewczyna uniosła rękę i krzyknęła ostro jedno słowo:

- *Ur-kaa!*

Stworzenia zahamowały gwałtownie, całkiem jakby fizycznie rażone słowem. Jedno z nich przewróciło się nawet niezdarnie, zbyt szybko hamując.

- Vestara, co...? - zaczął Ben. Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie i chłopak zamilkł, zerkając na swojego tatę i Jainę. Oni też się zatrzymali, podobnie jak tuk'ata, ale byli gotowi w każdej chwili ruszyć do boju.

Psy Sithów usiadły powoli i posłusznie, jednak tylko na chwilę. Ich świecące czerwone oczy były utkwione w Vestarze, wywieszane ozdoby ociekały śliną, a pseudoskrzydła były rozwinięte i naprężone.

Vestara dalej mówiła do nich w tym dziwnym języku:

- *Haa, neyo layud masur kee, tah uhna kahru lur shu.* - One słuchały, nadstawiając uszu, ale jednocześnie rzucały wygłodniałe, nienawistne spojrzenia w stronę Jedi. Kiedy Vestara skończyła mówić, zdawały się bardzo poruszone. A potem, ku zdziwieniu Bena, tuk'ata cofnęły się, jakby przed ciosem.

Vestara przemówiła ponownie, jeszcze bardziej stanowczo, bardziej wyzywająco, manifestując swoją siłę w Mocy:

- *Na-hah ur su ka-haat. Su ka haru aat.* - Psy, bo wyglądały teraz jak zwykłe psy, choć ogromne i niezwykle niebezpieczne, rozpląszczyły się przed nią, skamłając i dygocząc. Vestara zamilkła na chwilę, po czym dodała spokojniejszym, bardziej dobrotliwym głosem: - *Eyah seh maat, shu kor huaan.* - Tuk'ata poderwały się i zaczęły skakać wokół, łaszcząc się do niej, a potem jak na komendę odwróciły się i uciekły. Vestara opuściła rękę i Ben zauważył, że pomimo pozorów stanowczej postawy dłoni dziewczyny lekko drży.

- Coś ty zrobiła? - zapytał, oszołomiony.

- Porozmawiałam z nimi - wyjaśniła. Z pewnym trudem odzyskała spokój i jej dłoni przestała drżeć. - Jaina mówiła niedawno, że tuk'ata rozumieją język Sithów. Żyją, żeby służyć Sithom i ich chronić, więc... kazałam im zaprowadzić nas do nich, jeśli w ogóle tu są. - Spojrzała Benowi w oczy. - Ale na Korribanie nie ma Sithów.

- I my mamy w to uwierzyć? - prychnęła Jaina. - Tak się szczęśliwie złożyło, że akurat znasz język starożytnych Sithów, prawda?

- Statek, który przywiózł moich przodków na Kesh, ma ponad pięć tysięcy lat - powiedziała Vestara. - Stary język został zachowany i był przekazywany z pokolenia na pokolenie. Nie wszyscy na Kesh go znają, ale ci od uczniów wzwyż - tak. To część naszego szkolenia.

Jaina miała nieco skonsternowaną minę.

- No cóż... mogłaś nam powiedzieć.

Vestara się uśmiechnęła zimnym uśmiechem, który wcale się Benowi nie podobał.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - odparła tylko.

- Skąd wiesz, że nie ma tu żadnych Sithów? - spytał Ben, chcąc zapobiec kłótni. - Chyba ci nie odpowiedziały, co?

Vestara odwróciła się w jego stronę, a jej chłód zniknął.

- No, nie słowami - powiedziała. - Ale widziałeś ich reakcje. Kazałam im odnaleźć Sithów, którzy są na tym świecie, a one aż się skuliły. Były zdenerwowane, że nie mogą spełnić mojego żądania, skoro nie ma nikogo, do kogo mogłyby nas zaprowadzić.

Wydawało się to prawdopodobne. Jakkolwiek paskudne, zatrważające i agresywne, tuk'ata były w końcu jakąś odmianą psów, a psia mowa ciała była raczej uniwersalna. Rzeczywiście się skuliły, jakby błagały o przebaczenie - właściwa reakcja wobec zawodu, jaki sprawiły swojej

„pani”.

Jaina wyglądała, jakby miała ochotę się sprzeciwić, jednak Luke oznajmił niespodziewanie:

- Wierzę ci.

Ben popatrzył ze zdumieniem na ojca. Nawet Vestara wydawała się zaskoczona.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Ich obecność w Mocy odzwierciedlała całą tę służalczą mowę ciała. Czegokolwiek od nich oczekiwałaś, nie mogły ci tego dać ani nic zrobić. - Radość Bena nieco osłabła. A więc jego ojciec sugerował, że Vestara skłamała co do tego, co powiedziała tym tuk'ata. Mógł się tego spodziewać. -

To by się też zgadzało z tym, co widzieliśmy, a raczej czego nie widzieliśmy, do tej pory. Wszystko wskazuje na to, że od lat nikogo tu nie było. Poza tym sędzę, że potrafiłbym odróżnić esencje Mocy ludzi i Keshirich od ogólnego smrodu energii Ciemnej Strony. - Pokręcił głową. - Nie, tu ich nie ma.

- A więc kolejny ślepy zaułek - mruknął Ben.

- Oj, rozchmurz się, Ben - powiedziała Vestara z błyskiem w oku. - Pomyśl o tych wszystkich innych miejscach, które będziemy mogli zwiedzić.

Ben zerknął na nią z ukosa.

- Na szczęście nie tylko my szukamy - zauważył Luke. - Jak tylko stąd odlecimy, skontaktuję się z pozostałymi statkami i zapytam, czy coś znaleźli.

- No to w drogę - zdecydowała Jaina. - Chcę już lecieć na następną planetę. Dostyc mam tej zabawy w chowanego.

Wieści były rozczarowujące, delikatnie mówiąc.

- Zupełnie nic? - spytał Luke czwartą z kolei grupę, z którą rozmawiali.

- Nie, Mistrzu Skywalker - odparł spokojnym, niemal bezbarwnym głosem Raynar Thul. -

Bez wątpienia powiedzielibyśmy ci, gdybyśmy wpadli na jakikolwiek trop. Ani Sithów, ani Abeloth, ani żadnego śladu, który by wskazywał, że ktokolwiek tu był w ciągu ostatnich paru stuleci.

Takie same odpowiedzi otrzymali od wszystkich ekip poszukiwawczych, łącznie z tą, na czele której stał Mistrz Kyle Katarn. Nikt nie zauważył niczego, co pozwalałoby przypuszczać, że Abeloth lub Zapomniane Plemię Sithów kiedykolwiek odwiedzili te światy. Luke podziękował im, próbując nie okazywać rozczarowania ani rosnącego niepokoju.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu pilota i zamknął oczy, pocierając je dłonią.

- Może po prostu wrócili do domu - zasugerowała Jaina. - Wygląda na to, że cały czas szczęście im nie dopisuje.

- Myślisz, że czmychnęli na Kesh, żeby wylizać rany? - spytał Luke, ale zaraz pokręcił

głową. - Nie. To do nich niepodobne. Przede wszystkim nie sędzę, żeby przeżyli zbyt długo, gdyby

wrócili z pustymi rękami. Jak myślisz, Vestaro?

- Za niepowodzenie grożą surowe kary - przyznała Vestara. - Fakt, że stracili ciebie i Bena, a także Abeloth, nie stawia grupy uderzeniowej w najlepszym świetle. Lepiej dla nich, żeby trzymali się z dala od domu, dopóki nie będą mieli się czym pochwalić, nawet jeśli miałyby to trwać latami.

Czy usiłowała po prostu chronić swój ojczysty świat, czy też mówiła prawdę? Potwierdziła tylko to, o czym mówił sam Luke. Mogła to być - i pewnie była - prawda.

- Ale nie masz pojęcia, dokąd mogli się udać - powiedział Ben. Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie.

- Nie. - Czuł, że Vestara nie kłamie, ale wiedział też, że można to łatwo udawać przy odpowiedniej gimnastyce umysłowej.

Luke westchnął.

- A więc musimy po prostu szukać dalej. Zarówno Zapomnianego Plemienia, jak i Abeloth.

- W tej galaktyce jest mnóstwo starych miejsc związanych z Sithami - ostrzegła Jaina. -

Nawet jeśli w poszukiwaniach bierze udział kilka statków Jedi...

- W takim razie musimy być lepszymi myśliwymi - odparł Luke. - Porozmawiam jutro z Natuą. Zobaczymy, czy uda się zawęzić obszar poszukiwań.

Jaina pokiwała ponuro głową i pożegnała się, mówiąc dobranoc.

Vestara również wstała.

- Ja też pójdę spać - oznajmiła. - To był dosyć ciężki dzień i jestem strasznie zmęczona.

Ben uśmiechnął się do niej.

- Dzięki za pomoc z tuk'ata - powiedział.

Odwzajemniła uśmiech.

- Drobiazg - odparła, zerkając na Luke'a. On powiedział tylko „Dobranoc, Vestaro” i wyczuł cień zawodu z jej strony.

Luke lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał głębokie pragnienie, jakie odczuwał Ben. Nikt nie chciał wierzyć, że ktoś, na kim mu zależy, jest stracony. Ben jednak powinien wiedzieć, że nie każdego można uratować.

Zwłaszcza jeśli ten ktoś tego nie chce. Luke w dalszym ciągu był głęboko nieufny, mimo że dziewczyna na pozór starała się im pomóc.

Kiedy znajdują Abeloth i Zapomniane Plemię, a Vestara zacznie się stanowczo opowiadać po stronie Jedi we wszystkich kontaktach z nimi, wówczas może uwierzy, że dziewczyna rokuje nadzieje. Ale ani o sekundę wcześniej.

Drzwi zamknęły się z sykiem za Vestarą. Oparła się o nie, zamykając oczy. Nie okłamała Skywalkerów. To naprawdę był ciężki dzień, a ona była wykończona.

Tyle energii Ciemnej Strony, wirującej wokół niej - prawie niemożliwe było nie ulec z radością jej uwodzicielskiej pieśni. Ale nie mogła. Jeszcze nie... A może, pomyślała rozpuszczając włosy, już nigdy. Ciemna Strona była słodka i kusząca, ale Vestara po raz pierwszy zrozumiała, co przy kontakcie z nią muszą odczuwać Jedi.

Ciemna Strona miała w sobie lodowate zimno. Wcześniej nigdy tego nie dostrzegą; ale też nie znała niczego innego. Dopiero podróżowanie z Benem i Lukiem dało jej inną perspektywę i to budziło w niej niepokój.

Wiedziała, że znajdują się zbyt daleko od Korribana, żeby tamtejsza energia Mocy mogła ją osiągnąć, jednak wciąż ją czuła, jak po wejściu do ciepłego pokoju czuje się chłód na wspomnienie przejmującego zimna. Vestara zrzuciła ubranie i wzięła paroprysznic, a potem wskoczyła pod kołdrę. Chociaż zmęczona, nie mogła usnąć i leżała przez jakiś czas w ciemności.

Nie okłamała Luke'a, ale też nie powiedziała mu wszystkiego. Rzeczywiście rozmawiała z tak zwanymi psami Sithów i kazała im nie robić krzywdy jej ani nikomu, kto był z nią, a także znaleźć wszystkich Sithów znajdujących się na tym mrocznym świecie. A one kuliły się i skomlały, ponieważ nie było tam żadnych Sithów.

Vestara nie zdradziła jednak Luke'owi trzeciego polecenia, jakie wydała tuk'ata:

„Nie róbcie krzywdy nikomu, kto stoi przy mnie, pod karą śmierci. Odszukajcie wszystkich moich braci, jacy mogli przybyć do naszego pradawnego domu.

I ostrzeżcie ich, żeby nie wychodzili z ukrycia”.

## **ROZDZIAŁ 13**

### **Kryjówka rodziny Solo, Coruscant**

- Nie jestem zmęczona. - Allana Solo, znana niemal wszystkim poza najbliższą rodziną jako Amelia, popatrzyła gniewnie na swojego dziadka.

- Wiesz, kochanie, że używasz tego tonu tylko wtedy, kiedy jesteś wykończona - odparł Han Solo, otulając ją kołdrą, po czym ukląkł przy łóżku, żeby poszukać jej ulubionej ostatnio przytulanki, włochatego eopie, które pamiętało lepsze czasy. Było ono też ulubioną zabawką Anji, więc mocno podupadło, odkąd Solo przygarnęli małe nexu jako zwierzaka dla Allany. - Kiedy tak bardzo protestujesz, to wiem ponad wszelką wątpliwość, że jesteś zmęczona. - Jego ręka natrafiła na coś miękkiego i wilgotnego. Skrzywił się, wyciągając ukochaną zabawkę dziewczynki.



- Aha, czyli że się zdradzam.

Han, który akurat układał zabawkę obok niej, zareagował z lekkim opóźnieniem.

- Że co?

- Zdradzam się - powtórzyła ośmiolatka. - Tak jak przy grze w karty, kiedy robisz coś takiego, że ktoś inny od razu wie, czy masz dobre karty, czy...

- Wiem, co to znaczy, młoda damo - przerwał jej Han, który nie wiedział, czy powinien być rozbawiony, dumny, czy może zaszokowany. Rozmyślał o tym przez chwilę, po czym pogłaskał

Allanę po krótkich, ufarbowanych na czarno włosach. - I tak, to jedna z rzeczy, które cię zdradzają.

Uśmiechnęła się do niego. Powieki zaczynały jej już lekko opadać.

- A jakie są inne?

- Hej, nie myśl, że wyłożę wszystkie karty na stół, panienko - powiedział i cmoknął ją głośno w czoło. Leżąca obok dziewczynki Anji rzuciła mu koci uśmiech i z na wpół przymkniętymi oczami zaczęła obgryzać eopie. - Śpij dobrze, mała.

- Tak, dziadku. A babcia przyjdzie?

- Ma jeszcze coś do zrobienia, ale niedługo przyjdzie.

- Ale wtedy ja już będę spała!

- I to mówi dziewczynka, która tak się upierała, że nie jest zmęczona?

- No... może jestem. Trochę - przyznała Allana.

- No cóż, buziak od babci zawsze jest dobry, niezależnie od tego, czy śpisz, czy nie - zapewnił ją Han.

- Chyba masz rację. Dobranoc, dziadku.

- Dobranoc, skarbie - powiedział łagodnie Han. Włączył bladoniebieski hologram księżycy, gwiazd i chmur, przy którym Allana miała zawsze spokojne sny, po czym wcisnął guzik i drzwi zamknęły się z sykiem. Poszedł korytarzem do pomieszczenia, które służyło im w ich kryjówce za gabinet, i wetknął głowę do środka.

- Co cię tak wciągnęło, że nawet nie przyszedłeś ucałować naszej wnuczki na dobranoc? -

spytał. Nie był zły, tylko ciekawy; Leia praktycznie zawsze układała Allanę do snu.

Leia podniosła wzrok, a w jej brązowych oczach malował się niepokój.

- To. - Wskazała na migającą na ekranie wiadomość.

„Informacja, która cię zainteresuje.

Bezpieczeństwo twojej rodziny gwarantowane.

Odpowiedz, żeby dowiedzieć się więcej”.

- Krótkie i bardzo tajemnicze - zauważył Han, marszcząc brwi.

- Przyszło na mój prywatny kanał.

- Na ten, do którego dostęp ma tylko jakieś sześć osób i dwa droidy?

- Właśnie ten.

Wyraz konsternacji na twarzy Hana przerodził się w grymas niezadowolenia.

- Cóż, a więc o ile Artoo-Detoo nie został przeprogramowany albo Ben nie zrobił ci kawału, ktoś się włamał.

- Obawiam się, że tak - skinęła głową Leia. - Pytanie brzmi, czy chcemy odpowiedzieć, czy żeby Artoo spróbował wysledzić włamywacza?

- No, coś ty, gdzie twoja żądza przygód? - odparł Han. - Spójrz na to w ten sposób: jeśli skontaktowali się z tobą legalnie, to wszystko w porządku, a jeśli się włamali, to i tak mają już to, czego chcieli.

Leia zrobiła kwaśną minę.

- Wcale mnie nie uspokoiłeś. - Jednak i w niej ciekawość wzięła górę.

Nachyliła się do przodu i wstukała: „Odpowiadam. Napisz coś więcej”.

Po paru sekundach na ekranie pojawiły się kolejne niebieskie litery.

„Starzy przyjaciele zawierają najlepsze umowy”.

Hana przeszedł dreszcz. Ktokolwiek to był, twierdził, że zna przynajmniej Leię.

- A więc ten stary przyjaciel chce nam sprzedać informacje. Han... czy to ci się z czymś kojarzy?

- To, że ktoś próbuje sprzedać informacje? - Pokręcił głową. - Każdy czegoś chce.

Niektórzy po prostu uczciwie przyznają się do tego, że chcą kredytów. - Uśmiechnął się nagle. - Na przykład ja.

Szturchnęła go żartobliwie, zaraz jednak spoważniała.

- Wiem, ale coś mi... To brzmi bardzo znajomo. Tylko nie mogę tego z niczym skojarzyć.

- Może to naprawdę jacyś starzy przyjaciele.

- Nie - powiedziała z przekonaniem Leia. - Starzy przyjaciele od razu by się przedstawili. -

Napisała następną wiadomość: „Jaki charakter ma ta informacja?” Przez dłuższą chwilę nie było żadnej odpowiedzi i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem ich nie wystraszyła. A potem:

„Starzy przyjaciele wiedzą, gdzie podziła się Daala.

Mogą złożyć partnerom dobrą ofertę”.

W jednej chwili Leia zrozumiała.

- A już myślałam, że wszystko zmierza ku lepszemu - mruknęła.

- Czyja coś przegapiłem? Wiesz, kim oni są... O, nie - jęknął, bo nagle go olśniło. - Nie żartuj. Chyba nie...

- Pewnie, że tak - odparła cierpko jego żona.

### **Kancelaria przywódcy Galaktycznego Sojuszu, Coruscant**

- Jedi Solo! - przywitał ją bezbarwny głos Dorvana. - Co za niespodzianka. Mam nadzieję, że miła.

Odwróciła się z uśmiechem w jego stronę.

- Może nie całkiem, ale zapewniam, że nie jest to też katastrofa.

- Zwykle nawet na tyle nie mogę liczyć - stwierdził. Wyjął z płaszcza Kieszonkę i umieścił

ją w jej małym gniazdku na swoim biurku. Leia wyciągnęła palec i pogłaskała zwierzątko, które obwąchało ją, a potem zamknęło oczy, rozkoszując się pieszczotą. - Kafu?

- Poproszę - powiedziała Leia. - Mam nadzieję, że nie masz pretensji, że Desha wpuściła mnie do twojego gabinetu?

- Ależ skąd - odparł Dorvan, nalewając im po filiżance kafu. - Moje drzwi zawsze są dla ciebie otwarte. Zresztą moje stanowisko także stoi przed tobą otworem, jeśli tylko chciałabyś je objąć. - Uniósł brew w żartobliwym geście nadziei, podając jej filiżankę.

Leia uśmiechnęła się i pogłaskała ostatni raz Kieszonkę, sięgając po kaf.

- Nie, nie, miałam już swoje pięć minut. O tym właściwie chciałam z tobą porozmawiać.

Mam nadzieję, że pomogłam trochę w procesie przekazania władzy, i liczę na to, że mogłabym się jeszcze przydać... tylko w innym charakterze.

Dorvan usiadł i upił łyk kawy, przyglądając jej się uważnie.

- Mów dalej.

- Jak wiesz, Han i ja mamy... eee... znajomości... w różnych miejscach - zaczęła.

Dorvan uniósł rękę.

- Proszę, pamiętaj o prawie do zachowania milczenia - powiedział.

Uśmiechnęła się nieznacznie w odpowiedzi na jego słowa.

- Oczywiście - odparła. - Ale dzięki tym znajomościom otrzymaliśmy pewną wskazówkę co do możliwego miejsca pobytu Daali.

Dorvan uniósł lekko brwi, co było oznaką wielkiego zaskoczenia.

- Czy możecie ujawnić tę informację?

- Nie, dopóki jej nie zweryfikujemy - powiedziała Leia.

- Aha. A więc zastanawiasz się, gdzie mogłabyś najbardziej pomóc - stwierdził Dorvan.

Leia pokiwała głową.

- Ten polityczny galimatias, z którym masz teraz do czynienia... ja to rozumiem. Jestem w wyjątkowym położeniu i mogę ci pomóc przez to przejść. Mogę pomóc nam wszystkim przez to przejść.

- To prawda, rzeczywiście jesteś wyjątkowa - zgodził się. - Jesteś Jedi, więc oni wierzą, że dobrze ich reprezentujesz. Ale oboje wiemy, że pod tymi brązowymi i kremowymi szatami bije serce urodzonego dyplomaty. Nawet Daala to wiedziała.

Uśmiechnęła się skromnie.

- Przyznaję się do winy - powiedziała. - Właśnie dlatego to jest takie trudne.

- Ufasz tym informatorom? Z pewnością jest mnóstwo istot, które chciałyby oboje Solo wyprowadzić w pole.

- Ufam - zapewniła Leia. - Są wiarygodni.

Dorvan milczał przez chwilę, po czym zaczął z namysłem:

- Gdyby udało się postawić Daalę przed sądem, sprawiedliwie i publicznie ją osądzić, to rozwiałoby wszelkie wątpliwości co do legalności obecnej administracji. Żadne inne działania nie mogłyby uczynić więcej dla uzdrowienia Galaktycznego Sojuszu i przywrócenia porządku, chociaż na tyle,

żeby mógł on się stać skuteczną instytucją. Bez urazy, Jedi Solo, ale nawet twoje zdolności błędną w porównaniu z tym, co moglibyśmy osiągnąć dzięki temu.

- Zgadzam się i właśnie dlatego czuję, że muszę to zrobić - oświadczyła Leia.

- A więc to zrób. - Uśmiechnął się lekko, a jego wzrok stał się na chwilę cieplejszy. - I... a mówię to najzupełniej poważnie... niech Moc będzie z tobą.

Leia pomyślała o osobniku, któremu zawierzyli, że dostarczy „informacji” o miejscu pobytu Daali, i rzuciła mu cierpki uśmiech.

- Wierz mi - powiedziała - będziemy jej potrzebować.

## **Rezydencja moffa Drikla Lecersena, Coruscant**

- Proszę pana, przed bramą stoi ktoś, kto chce się z panem zobaczyć. - Głos Eethree brzmiał, jakby droid czuł się urażony w imieniu swojego pana. Niewątpliwie w jego mniemaniu dobrze wychowane istoty, znające protokół i etykietę, nie zjawiały się bez zapowiedzi na progu ważnych osobistości, jeśli nie były wcześniej umówione. Ta niewypowiedziana, ale zawarta w tonie głosu krytyka była też, w co Lecersen nie wątpił, skierowana w znacznej mierze pod jego adresem. W

końcu to on polecił droidowi protokolarnemu wyglądać takich nieproszonych gości.

- Jakiej rasy? - spytał, odkładając datapad, który przeglądał. Pora była późna, a moff siedział

sam w swoim salonie. Na honorowych miejscach stały tu popiersia różnych nieżyjących bohaterów Imperium, a także antyki i pamiątki, jakie przez lata zgromadził Lecersen. Nie licząc tych dzieł

sztuki, pokój był skromnie urządzony i surowy, pozbawiony przepychu jadalni z jej ciężkimi meblami i grubymi futrzanymi dywanami. Pełne świadectw chwały Imperium - Imperium, nad którym miał wkrótce objąć władzę - było to ulubione miejsce Lecersena. To tutaj odpoczywał, rozmyślał, knuł i planował. Jedynym ustępstwem na rzecz wygody był sztuczny kominek i dwa duże fotele, które pomagały mu w tych staraniach.

- Minyavish - odpowiedział mu na pytanie Eethree.

Tego Lecersen się nie spodziewał. Co tu robi przedstawiciel rasy dawnych właścicieli niewolników na Qarasie, którym odebrano władzę nad innymi i którzy teraz sami zostali wygnani?

Dlaczego taka istota miałaby go odwiedzać? I dlaczego w tak potajemny sposób? Ta mała zagadka, która zaczęła się od skrawka staroświeckiego flimsiplastu, robiła się coraz bardziej intrygująca... i potencjalnie niebezpieczna. Zastanowił się przez chwilę.

- Przyrowadź go, a potem zostaw nas samych, dopóki cię nie wezwę - zdecydował.

- Jest pan pewien? Facet wygląda raczej podejrzanie. Nie wiem, czy byłbym skłonny powiedzieć mu, która godzina, a co dopiero...

- Masz kwalifikacje do oceny jego manier, a nie charakteru - uciął ostro Lecersen. Droidy typu E-3PO, które stworzono wiele lat wcześniej na użytek Imperium, miały opinię aroganckich i wyniosłych, a to ze względu na zastosowany w nich moduł TechSpan I. Pozwalało im to na podłączanie się do różnych imperialnych sieci, niedostępnych dla innych droidów protokolarnych, i te przeklęte maszyny uważały się przez to za kogoś lepszego. Eethree dobrze służył Lecersenowi od wielu lat, a Moffa często bawiła nadęta poza droida. Tego dnia jednak go drażniła.

- Tak jest, proszę pana - powiedział pospiesznie Eethree, chociaż dodał swój odpowiednik prychnięcia wyrażającego urażoną dumę. Odwrócił się i wyszedł z salonu.

Lecersen siedział dalej w fotelu, sącząc z kieliszka hapańskie złote wino. Myśli przebiegały mu przez głowę z prędkością tysiąca kilometrów na minutę. Nie raczył wstać, kiedy Eethree przyprowadził pierwszego Minyavisha, jakiego Lecersen widział na własne oczy. Musiał przyznać, że z dwóch inteligentnych ras, jakie zamieszkiwały Qarasa, Minyavishowie byli zdecydowanie mniej atrakcyjni.

Byli dwunożni, przysadziści i pokryci piórami; humanoidalni, ale nie zanadto. Krępy tułów był zakończony zaokrąglonymi ramionami i dużą głową, w której tkwiły jedne z największych i najbardziej intensywnie złotych oczu, jakie Lecersen kiedykolwiek widział, o pionowych źrenicach w ciemniejszym odcieniu złota. Minyavish miał na sobie bardzo niewiele, jeśli chodzi o ubranie; jaskrawozielone, fioletowe i złociste pióra zakrywały go w wystarczającym stopniu. Beczkowaty tułów był ozdobiony dwoma krzyżującymi się kawałkami materiału, równie kolorowego jak jego pióra, na ramieniu zaś miał opaskę wysadzaną czterema dużymi, migotliwymi niebieskimi klejnotami. Lecersen zdawał sobie sprawę, że trudno jest rozszyfrować mimikę przedstawicieli obcych ras, jeśli nie zna się ich zwyczajów. Ten tutaj wyglądał na poirytowanego i szukającego zwady, ale równie dobrze mógł - mogła? - prezentować minyavishowską wersję szerokiego uśmiechu.

- Moff Drikl Lecersen - powiedział droid - a to Tiyuu'cha Mahlor.

- Miło mi - odparł Lecersen. Wciąż nie wstawał. - Siadaj. Czy Eethree ma ci podać coś do picia? - Nie wiedział, co dla Minyavishów jest trucizną, ale był pewien, że to ma. Dysponował

jedną z największych kolekcji egzotycznych trunków na Coruscant, jako że już na początku swojej kariery doszedł do wniosku, że wydane w ten sposób kredyty są dobrą inwestycją przy kontaktach z innymi istotami.

- Nie, dziękuję. - Głos Minyavisha był szorstki i brzmiał głucho. Sądząc po głosie, Mahlor był tak poirytowany, na jakiego wyglądał. Potoczył się do jednego z dużych, wyściełanych foteli przy holograficznym kominku i usiadł ostrożnie; najpierw się upewnił, że mebel utrzyma jego ciężar.

- To wszystko, Eethree. Zawołam cię, jeśli będziesz potrzebny.

- Oczywiście, proszę pana. - Przy wtórze zgrzytu serwomechanizmów droid opuścił pokój, a drzwi zamknęły się za nim automatycznie.

- Czemu - spytał przeciągle Lecersen, sącząc wino - zawdzięczam tę raczej osobliwą wizytę?

Mahlor zachichotał. A przynajmniej tak ten chrapliwy odgłos zinterpretował Lecersen.

- Myślę, że będzie pan wdzięczny za tę wizytę, tak... osobliwą... kiedy usłyszysz pan to, co mam do powiedzenia.

- Zamieniam się w słuch.

Minyavish mrugnął trzy razy.

- Przez ponad siedem tysięcy lat mój lud szczęśliwie zarządzał Qarasem, a Jessarowie nam służyli.

- Jeśli przez „zarządzanie” rozumiesz dominację, a przez „służbę” niewolnictwo, to jestem tego w pełni świadomy.

Mahlor ściągnął pierzaste brwi, zadziwiająco fioletowe przy jego żółtych oczach.

- Słowne gierki panu nie służą, moffie Lecersen.

- Wręcz przeciwnie. Niejednokrotnie dobrze mi się przysłużyły. Jeśli mój dowcip jest dla ciebie zbyt cięty, to bądź łaskaw powiedzieć wreszcie, do czego zmierzasz, Mahlor. Jest późno, a ja muszę wstać z samego rana. Jestem niezwykle zajęтым człowiekiem.

- Tak, bez wątplenia. - Szyderczy uśmieszek był najwyraźniej łatwy do rozpoznania u wszystkich ras.

- Rzeczywiście bardzo zajęтым, z tego, co wiem.

Lecersen już wcześniej stał się głęboko podejrzliwy, ale teraz jego wewnętrzny system alarmowy wył jak syrena. Uśmiechnął się lekko, zachowując spokojny wyraz twarzy i mowę ciała.

- Więc może przejdziesz od razu do rzeczy?

- Byliśmy panami swojego świata, dopóki Jessarom nie przyszło do głowy nas obalić.

Aha, skarga. Całkiem jakby nie słyszał czegoś podobnego z ust każdego członka każdego obalonego rządu z każdego świata, na którym doszło ostatnio do rewolucji. To się robiło męczące.

- Wasz rząd zgłosił już swój wniosek odpowiednimi kanałami. Musisz to załatwić tą samą drogą. Dorvan nie jest człowiekiem, z którym można się łatwo umówić na spotkanie, ale może jego asystentka gdzieś cię wciśnie. Kancelaria przywódcy Sojuszu jest czynna...

- Nie chcę rozmawiać z Dorvanem - przerwał mu Mahlor. - Przyszedłem do pana.

Lecersen niespiesznie odstawił pusty już kieliszek na mały stolik obok fotela, splótł ręce przed sobą i popatrzył bacznie na Mahlora.

- Męczy mnie ta rozmowa i wypilem już swój kieliszek przed snem - powiedział. - Masz pół

minuty na przejście do rzeczy, zanim Eethree cię wyprowadzi.

Minyavish zmrużył wielkie oczy i nastroszył pióra. Z pewnym wysiłkiem położył je z powrotem.

- Obwiniam Lot Wolności o podburzanie rebeliantów - oznajmił.

- Oczywiście. Tak samo jak wszyscy. Nigdy nie chodzi o to, że system był przestarzały i dysfunkcyjny. - Głos moffa ociekał sarkazmem. Wbrew temu, co powiedział Minyavishowi, w głębi duszy sprawiało mu to przyjemność; od dawna nie miał okazji mówić tak swobodnie.

- Obwiniam także pana - dodał Mahlor, nachylając się w skupieniu do przodu z otwartymi szeroko oczami - o Lot Wolności.

Żołądek Lecersena, rozgrzany od wypitego wina, nagle ścisnął się jakby z zimna. Moff jednak błyskawicznie doszedł do siebie.

- Powiedziałbym, że za dużo wypiełeś, ale skoro nie zamoczyłeś nawet ust, wnioskuje po prostu, że albo jesteś szalony, albo rozpaczliwie pragniesz zwrócić na siebie uwagę. Rozmowa skończona. - Podniósł palec, żeby wcisnąć guzik, który przywoływał Eethree.

- Nie.

Gdyby Lecersen miał jakieś wątpliwości, czy Mahlor należy do rasy przyzwyczajonej do wydawania rozkazów, ton tego jednego słowa rozwiałyby je całkowicie. Uniósł brew i popatrzył

chłodno na swojego rozmówcę.

- Coś ty powiedział?

- Proszę nie naciskać tego guzika, dopóki mnie pan nie wysłucha - odparł Minyavish.

Lecersen zastanawiał się przez chwilę, po czym doszedł do wniosku, że chyba leży to w jego własnym interesie.

- Niech będzie.

- Mam informacje i dowody świadczące o pańskich powiązaniach z Lotem Wolności -

ciągnął Mahlor. - Wiem, że to pan go stworzył i w dalszym ciągu finansuje.

- Załóżmy, że tak jest. O jakich dowodach mówimy?

Szparę, która wśród Minyavishów uchodziła za usta, wykrzywiło coś w rodzaju uśmiechu.

- Dane. Świadkowie. Nagrania rozmów. Rachunki za naprawy statków.

- Wszystko to można sfalszować. - Lecersen machnął lekceważąco ręką.

- Każdą rzecz z osobna? Naturalnie. Ale wszystko razem tworzy raczej obciążający obraz.



- Zapewne masz rację.

- Wiem, że mam. Sądzę, że nie byłby pan zadowolony, gdyby galaktyka dowiedziała się o pańskich powiązaniach z tą organizacją, Moffie Lecersen. Gdyby jednak zechciał pan nam pomóc, wówczas te informacje mogłyby po cichu zniknąć. Tak samo jak i świadkowie.

- A w jakiej sprawie potrzebujecie pomocy?

Minyavish nagle zadrżał gwałtownie, a kiedy ponownie się odezwał, mówił z wielkim przejęciem:

- Chcemy sprawiedliwości, Moffie Lecersen! Przez Lot Wolności, pańską organizację, mój lud utracił władzę, bogactwo i wpływy, pozostał bez domu i prawie bez kredytów. Zostaliśmy wygnani z własnego świata przez tę... tę... Roki Kem. - Wyrzucił z siebie te słowa, trzęsąc się wciąż z oburzenia. - Nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie zjawił się Lot i nie zaczął wzniecać rozruchów.

- Zaraz, zaraz, tego nie wiemy - wtrącił łagodnie Lecersen. - Wolność to potrzeba głęboko zakorzeniona w wielu istotach. Niewykluczone, że...

- Nie. Rozruchy zaczęły występować dopiero od paru lat. Wcześniej Jessarowie nigdy nie czuli tej tak zwanej głęboko zakorzenionej potrzeby. - Jego głos był pełen pogardy. Oczywiście nie miał racji. Lecersen odrobił pracę domową. Słyszał o ślubach milczenia i dobrze wiedział, że jest to bardzo stara tradycja wśród Jessarów. Niewolnicy, którzy planowali ucieczkę lub którzy zdołali zbiec i zostali schwytani, woleli poddać się karze, niekiedy kończącej się śmiercią, niż ujawnić cokolwiek, co mogłoby utrudnić innym kolejne próby ucieczki. Minyavishowie, jak większość istot uważających się za przyzwoite, okłamywali samych siebie w kwestii prawdziwej natury tej instytucji.

W dalszym ciągu jednak nie protestował i nie zaprzeczał wzburzonemu Minyavishowi.

- A jaką formę miałyby przyjąć ta... sprawiedliwość? Armii, która wymorduje waszych wrogów i pozwoli wam odzyskać wasz świat?

Pióra na całym ciele Mahlora uniosły się, przywodząc Lecersenowi na myśl jeżące się z irytacji futro Bothan.

- Już pan uwierzył propagandzie Rokari Kem - warknął. - Nie jesteśmy zwierzętami!

Moglibyśmy odzyskać nasz świat, to prawda, ale za jaką cenę? Może pańska rasa nie cofnęłaby się przed rozlewem krwi, ale nikt na Qarasie nie zdecydowałby się dobrowolnie na tak brutalne rozwiązanie. O, nie. Zostaliśmy wygnani, więc odejdziemy. Ale nie mamy dokąd. Tworzymy dużą populację. Są nas trzy miliardy. Żaden świat nie zaoferował nam schronienia, a nie mamy środków na opanowanie nowego. Tego właśnie oczekuję od pana. Jest pan bezpośrednio odpowiedzialny za to, że Minyavishowie musieli opuścić Qarasa. Dlatego znajdzie nam pan nowy dom.

Lecersen nie był zachwycony. Nie spodziewał się takiej pacyfistycznej reakcji ze strony wojowniczych, jak się wydawało, Minyavishów. Potajemne finansowanie kolejnej rewolty byłoby bardziej opłacalne i może byłby skłonny to rozważyć. Taki dług wdzięczności u Minyavishów mógłby okazać się przydatny, jeśli - a raczej kiedy - by wygrali. Lecersen nie wspierał przegranych.

Ale przesiedlić trzy miliardy istot?

- To absurd - stwierdził. - To, o co prosisz, to ogromne przedsięwzięcie, a ja nie mam w tym żadnego interesu.

- Ma pan znajomości.

- Owszem, mam, ale moi znajomi też nie mają w tym żadnego interesu.

- W takim razie nie pozostawia mi pan wyboru. Ujawnię pańskie powiązania z Lotem Wolności.

Lecersen się roześmiał.

- O, nie - powiedział szyderczo. - Ujawnisz fakt, że wstrętny, stary moff Lecersen chciał

zrobić coś dobrego dla galaktyki. To straszne, zostać zdemaskowanym jako ktoś, kto chce pomóc w wyzwoleniu zniewolonych ludów. Proszę bardzo, Mahlor. Drżę na myśl o tym, że galaktyka pozna mój najgłębszy, najmroczniejszy sekret: to, że jestem porządną istotą.

- Nie jest pan - warknął Mahlor. - Motywy, jakie kierowały panem przy tworzeniu Lotu Wolności, nie były w najmniejszym stopniu altruistyczne. Podobnie jak pańskich wspólników.

Im dłużej Minyavish mówił, tym spokojniejszy był Lecersen. Nawet gdyby dowody, o których wspominał Mahler, okazały się prawdziwe, ujawnienie jego roli w tym ruchu wcale by mu nie zaszkodziło. Mogłoby nawet zwiększyć jego popularność w pewnych kręgach, a to oznaczałoby rozszerzenie wpływów. Ten zarozumiały Jagged Fel na pewno by to pochwalił. Teraz jednak Lecersen zeszywniał odrobinę.

- Mów dalej - ponaglił Minyavisha.

- Nie zrobił pan tego po to, żeby wyzwolić niewolników, ale dlatego, że wiedział pan, że wywoła to wstrząs w momencie, kiedy Galaktyczny Sojusz, a zwłaszcza jego przywódczyni, nie są przygotowani do jego zażegnania. Wiedział pan doskonale, jak admirał Daala zareaguje i jak taka reakcja wpłynie na jej wskaźniki popularności.

Można byłoby pomyśleć, że Minyavish zajmował miejsce przy stole w czasie niedawnego spotkania.

- Wspomniałeś o wspólnikach - przypomniał mu.

Paskudny uśmiech zrobił się szerszy.

- To senatorowie Fost Bramsin z Coruscant i Haydnat Treen z Kuata. Z pewnością są też inni, ale sądzę, że to wystarczy. Jestem przekonany, że oni chętnie mnie wysłuchają, jeśli pan odmówi.

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

- Przysłał cię twój rząd? - zainteresował się.

- Nie - powiedział Mahlor. - Oni nigdy nie zniżyliby się do zebrania. Gdybym jednak przedstawił im już wynegocjowaną umowę, zgodziliby się. Musieliby. - Znów ten chichot. - A ja byłbym zbawcą swojego ludu.

Na usta Lecersena powoli zaczął wypływać mroczny uśmiech.

- A więc działasz na własną rękę. Dlaczego nie miałbym cię teraz zabić?

- Ja też mam swoich wspólników - odparł Mahlor. - Jeśli nie spotkam się z nimi w ciągu godziny, mają zwrócić się do Bramsina i Treen z tą samą propozycją, którą złożyłem panu. A oni też powiedzą o tym innym. Więc zgodzi się pan na współpracę.

- Wiesz co? - powiedział wolno Lecersen, przechylając głowę i marszcząc w zamyśleniu brwi. - Chyba jednak nie masz racji.

Wcisnął guzik na poręczy fotela.

Natychmiast zjawił się droid, ale nie był to uprzejmy E-3PO, tylko szary szkielet o świecących czerwonych oczach wystających z metalicznej czaszki i otwartych ustach. Uniósł prawą rękę, w którą miał wmontowane działko blasterowe. Wycelował je prosto w tułów Mahlora -

naprawdę spory cel.

Paniczna reakcja Minyavisha była całkiem zabawna. Skulił się w fotelu, wpatrując się wielkimi oczami w groźnie wyglądającego droida ZYV i jego jeszcze groźniejszą broń.

- Nie! Nie zabiłbyś mnie! - wrzasnął.

Lecersen skinął na ZYV-a.

Droid wystrzelił i Minyavish opadł bezwładnie na fotel z rozrzuconymi kończynami i zwieszoną głową.

Lecersen wstał i uniósł rękę, dając znak droidowi, żeby opuścił broń, po czym spojrzał na bezwładne ciało.

- Nie - powiedział. - Nie zabiłbym. Przynajmniej na razie. Dopóki nie dowiem się wszystkiego, co wiesz.

## **ROZDZIAŁ 14**

### **Restauracja Wieża Indygo, Coruscant**

- Nigdy nie słyszałem o tym lokalu - powiedział świeżo upieczony senator z B'nish, Kameron Suldar.

- To dlatego, że zapewne nie zdążyłeś zbyt wiele zobaczyć poza swoim apartamentem i budynkiem Senatu - odparła senator Haydnat Treen. Uśmiechnęła się do niego promiennie i poklepała po dłoni. - Wiesz, co się dzieje z tymi, którzy ciągle tylko pracują?

- Odnoszą sukcesy? - Rzucił jej chytry uśmieszek. Ależ z niego przystojny facet, pomyślała.

Parę lat młodszy od niej, oczywiście, ale siwe włosy i zmarszczki wskazywały, że nie jest jakimś nieopierzonym młokosem. Był znacznie bardziej pociągający niż Drikl Lecersen. A Treen lubiła otaczać się ładnymi rzeczami i ładnymi ludźmi. Jednak, choć liczyła, że okaże się użyteczny, Suldar nie miał raczej szans na zostanie Imperatorem, a więc i ona nie miałaby szans na zostanie Imperatorową, gdyby w ostatniej chwili postanowiła zmienić kurs. Nie miała nawet pewności, czy Suldar będzie skłonny poprzeć ich sprawę.

Ale Treen nie została by senatorem z planety zamieszkaną przez politycznie przebiegłych -

niektórzy powiedzieliby bezwzględnych - ludzi, gdyby nie była znakomitą znawczynią charakterów. Była prawie przekonana, że zanim przejdą do kawy i deseru, Suldar dołączy do ich wesołej kompanii zmierzającej ku chwale.

- Nie, drogi chłopcze - sprostowała. - Stają się otepalni, nieprzytomni i nie potrafią skorzystać z nadarzającej się okazji.

Uśmiechnął się, ale jego spojrzenie stało się jakby bardziej przenikliwe.

- A dzisiaj taka okazja mi się nadarzy? - spytał swobodnym tonem.

- Niewątpliwie trafi ci się okazja zjeść wyborny deser o nazwie wagneriańskie paszteciki.

Często pojawiają się spory, co najlepiej do nich podawać, ale zapewniam cię, że tylko prostacy piją do nich kasandryjską brandy. Te dwa smaki do siebie nie pasują, a brandy nigdy nie należy pić tylko po to, żeby zapić deser. Zalecam po prostu czarny kawa.

Suldar zachichotał.

- Chylę czoło przed twoją wiedzą, pani.

- W takim razie z pewnością daleko zajdziesz. Aha... mam nadzieję, że lubisz niebieski kolor.

Powietrzna limuzyna zatrzymała się przed jedną z najbardziej ekskluzywnych coruskańskich restauracji o nazwie Wieża Indygo. Wzorowana na słynnej restauracji Skysitter, cieszyła się sławą, przynajmniej częściowo, dzięki atrakcji, jaką była obracająca się sala jadalna umieszczona na szczycie wieżowca, wysoko ponad panoramą Coruscant. Jej wnętrze wykonano z lśniącej czarnoniebieskiej durastali.

Szofer otworzył im drzwi i Suldar lekko zadrżał.

- Teraz już rozumiem, dlaczego kazałaś mi wziąć płaszcz i szalik - powiedział.

- Tak, na tej wysokości jest raczej chłodno, ale w środku temperatura jest zawsze idealna.

Drzwi rozsunęły się, odsłaniając niebieski świat. Grube, miękkie niebieskie wykładziny, niebiesko-czarne krzesła i stoły, ciemnogramatowy sufit z łagodnie migocącymi światelkami imitującymi gwiazdy. Oświetlenie, również w odcieniach kojącego błękitu, nadawało całości chłodny i tajemniczy wygląd.

- Ach - westchnął Suldar, rozglądając się dokoła. - Na szczęście, pani senator, lubię niebieski.

- Znakomicie.

Młoda Ortolanka, której skóra współgrała kolorystycznie z wystrojem wnętrza, powitała ich pogodnie.

- Dobry wieczór, pani senator Treen, senatorze Suldar. Jak rozumiem, to pańska pierwsza wizyta u nas?

- Istotnie - potwierdził Suldar, zerkając z lekkim zaskoczeniem na Treen.

- Proszę nas poinformować, co możemy zrobić, żeby było to dla pana niezapomniane przeżycie. Senator Bramsin przybył przed paroma minutami. Zaprowadzę państwa.

Przeszli przez główną salę, mijając tercet złożony z jeszcze jednego Ortolanina i dwóch Bithów. Do mikrofonu podeszła Pa'lowickanka i została przywitana brawami; najwyraźniej artyści byli dobrze znani gościom lokalu.

Treen dostrzegła na twarzy Kamerona Suldara błysk czegoś nieprzyjemnego i niegodziwego, ale trwało to zaledwie ułamek sekundy. Ortołańska hostessa otworzyła drzwi do jednego z prywatnych pokoi jadalnych.

Był raczej przytulny niż onieśmielający; niebieski wystrój ożywiał nieco biały obrus i wielokolorowe bukiety kwiatów. Fost Bramsin podniósł wzrok znad swojego drinka i wyciągnął rękę.

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że nie wstaję, młody człowieku. Trochę więcej mam z tym kłopotu, niż kiedy byłem w twoim wieku.

- Oczywiście, że nie - zapewnił Suldar i podszedł szybko, żeby ucisnąć wątlą, pokrytą plamami dłoń starszego męża stanu. - To zaszczyt siedzieć z panem przy jednym stole. Dziękuję wam obojgu za zaproszenie.

- Jedzenie jest tu znakomite - zapewnił Bramsin. - Mają też bardzo rzadkie i bardzo zacne trunki. To rekompensuje obsługę.

Treen znów zauważyła, jak coś przemknęło po twarzy Suldara. Podejrzewała, że wie, co to takiego.

- Fost i ja nie przepadamy za nieлюдźmi - oznajmiła. Był to pierwszy test. Gdyby go to oburzyło, spędziliby po prostu przyjemny wieczór, a ona musiałaby poszukać innych potencjalnych sojuszników.

Jednak, ku jej radości, Suldar najwyraźniej przyjął to wyznanie z ulgą.

- Miło mi to słyszeć - powiedział. - Muszę przyznać, że ja też nie przepadam. Na B'nish żyją sami ludzie i chociaż nikt nie lubi się przyznawać do uprzedzeń, to żaden z niełudei, jakich dotąd spotkałem, nie wzbudził mojej sympatii. Są tacy... - Westchnął. - Hm... gorsi.

Bramsin i Treen wymienili zadowolone spojrzenia.

- Zawsze prosimy, żeby obsługiwali nas ludzie, więc nie będziesz narażony na dalsze nieprzyjemności.

- Cóż, skoro zapewniliście mi, że jedzenie jest doskonałe, a ja dodam, że towarzystwo nie mogłoby być lepsze, wygląda na to, że czeka nas cudowna kolacja - stwierdził Kameron.

- Och, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - odparła Treen, uśmiechając się jak piaskowa pantera.

# Rezydencja moffa Drikla Lecersena

Minyavishowie, jak stwierdził Lecersen, byli znacznie twardsi, niż wyglądali.

Mahlor nie dawał się złamać przez kilka godzin, nawet kiedy został oddany pod czułą opiekę droida przesłuchującego IT-O. Kilkudziesięcioletni robot był częścią kolekcji antyków Lecersena. Mało kto wiedział, że jest on cały czas na chodzie i że w ostatnich latach był

niejednokrotnie wykorzystywany.

Ostatecznie jednak Tiyuu'cha Mahlor nie był księżniczką Leią Organą i w końcu Eethree przyniósł pomyślną wiadomość, że Mahlor „jest już skłonny mówić i na szczęście jest jeszcze do tego zdolny”.

Głęboko w czeluściach rezydencji znajdowało się pomieszczenie, gdzie wykonywano zwykle ten przykry, ale konieczny obowiązek. Było zimne, surowe i nieco wilgotne. Stało tam jedno krzesło, stół, a na nim dzbanek i szklanka, było też kilka prętów jarzeniowych oraz unoszący się w powietrzu droid przesłuchujący w zawsze modnej czerni.

Minyavish stanowił smutny widok. Znaczna część jego upierzenia została wyskubana i leżała porzucana po podłodze, a fioletowe, zielone i złote pióra kontrastowały ostro z surową szarością wnętrza. Obnażona skóra, bladoniebieskiego koloru, nosiła ślady oparzeń kwasem, nakłuwania strzykawką droida przesłuchującego i charakterystyczne nacięcia od nożyc i skalpela.

Krew Minyavisha, jak z lekkim zaskoczeniem zauważył Lecersen, miała złocistą barwę miodu.

Jego duże, piękne oczy o wąskich ciemnozłotyżrenicach były kompletnie zniszczone.

Siedział mocno związany, łkając cicho z bólu, a po jego dumie, chępliwości i arogancji nie pozostało ani śladu.

- No i co? - zaczął Lecersen. - Już nie jesteś taki pewny siebie, prawda?

Odpowiedział mu cichy szloch. Lecersen spojrzał na lewitującą kulę.

- Eethree powiedział, że jest skłonny mówić. Mam nadzieję, że przesłuchanie zakończyło się, jak tylko zgłosił taką gotowość?

- Tak jestem zaprogramowany - potwierdził IT-O niskim, mrozącym krew w żyłach, monotonnym głosem. - Jestem gotów je wznowić, kiedy tylko pan rozkaże.

- Zobaczmy najpierw, co ma do powiedzenia.

- Jego język jest nienaruszony - zapewnił droid.

- No, Mahlor - powiedział Lecersen. - Zamieniam się w słuch.

- Miałeś... rację - wychrypiał Minyavish z głową zwieszoną na oskubaną, krągłą pierś.

- Często mam rację. A w jakiej kwestii?

Mahlor mlasnął językiem.

- W-wody - poprosił.

- Później. W jakiej kwestii?

- Nie mam... współników. - Widać było, że każde słowo dużo go kosztuje.

Lecersen uśmiechnął się groźnie.

- Rozumiem. Właściwie domyśliłem się tego, kiedy w ciągu wyznaczonej godziny nikt się ze mną nie skontaktował. A senatorowie Treen i Bramsin, o ile wiem, jedzą właśnie spokojnie kolację. A więc nie ma żadnych innych spiskowców. Kto jeszcze wie o tych dowodach?

Znów ciche łkanie.

- Nikt.

- Daj spokój, te wszystkie dowody... a może to też zmyśliłeś? Mam kazać IT-O...

- Nie! - Ten wrzask wydobył się z głębi duszy Minyavisha. - Proszę, proszę, nie! Dowody istnieją! Nie zmyśliłem tego!

W interesie Mahlora byłoby skłamać, powiedzieć, że nigdy nie było żadnych twardych dowodów, a jedynie pogłoski, które postanowił wykorzystać, licząc na to, że okażą się prawdziwe.

Tymczasem on potwierdzał swoje wcześniejsze pogrozki. Dla Lecersena był to wystarczający dowód, że IT-O jeszcze raz spełnił swoje zadanie.

- Gdybyś mógł po prostu napisać... no nie. - Dla ślepej istoty byłoby to raczej trudne. -

Powiedz mi, co dokładnie masz i gdzie mogę to znaleźć.

- Już mówiłem... p-proszę wody...

Lecersen dał znak ręką. IT-O, wydając charakterystyczny brzęczący odgłos, przysunął się na swoich repulsorach do stołu, wyciągnął chwytnie ramię, wziął dzbanek i nalał wody do szklanki.

Zaniósł szklankę Mahlorowi i przycisnął mu ją do ust.

Minyavish natychmiast otworzył je szeroko i zaczął chciwie pić, krztusząc się, gdy droid przesłuchujący wlewał mu wodę do gardła. Część służyła na nieliczne pióra, jakie pozostały mu na ogołoconej piersi.

- Ostrożnie - upomniał droida Lecersen. - Nie chcemy, żeby się udławił.



Robot natychmiast się cofnął, odstawił pustą już szklankę na stół i zawisł w powietrzu, czekając na dalsze instrukcje.

- Powiedz mi, co to za dowody i gdzie mogę je znaleźć - powtórzył Lecersen.

Mahlor powiedział. Słowa wylewały się z jego ust jak ta woda, która pociekła mu na klatkę piersiową. Lecersen zbladł lekko, słysząc litanię nazwisk świadków, opis nagrań i co dokładnie zawierały dataczipy. Na szczęście wszystkie te cenne i mocno obciążające dowody były złożone w skrytce sejfowej na Qarasie. Mahlor podał mu nazwę instytucji i numer skrytki.

- Zdumiewające - powiedział Lecersen nie bez nutki podziwu. - Musiało być trudno to zdobyć. Twój lud może mieć przed sobą przyszłość jako szpiegzy, jeśli tylko nauczycie się nie włączyć bezmyślnie w paszczę rankora.

- Mogę... ci to nawet przynieść - zaproponował Mahlor.

- Jak? - spytał Lecersen. Miał szczerą nadzieję, że system zabezpieczeń nie wymagał skanowania siatkówki oka.

- ...kod - powiedział Mahlor. - Zapamiętałem.

- Podaj - zażądał Lecersen.

Wtedy właśnie nieszczęsne stworzenie zdało sobie sprawę, że nie opuści tego pomieszczenia żywe.

- Nie, proszę - błagał. - Dam ci wszystko, a potem odejdę...

- Tak, oczywiście - powiedział łagodnie Lecersen. - Dasz. - Odwrócił się w stronę IT-O, -

Kontynuuj, dopóki nie ujawni kodu. Potem się go pozbędę.

- Zrozumiałem - odparł droid przesłuchujący. Podskakując lekko w górę i w dół, zbliżył się z warkotem do ślepego Minyavisha, który zaczął krzyczeć, zanim jeszcze drzwi zamknęły się za Lecersenem.

Parę godzin później, kiedy Lecersen kończył swojego wieczornego drinka, E-3 przyniósł kilka wiadomości.

- Z przyjemnością informuję, że IT-O zdołał wydobyć kod od pańskiego gościa - oznajmił. -

Gdy tylko ustalił, że mówi prawdę, wyeliminował go.

- Znakomicie. - Moff rozumiał konieczność stosowania tortur, kiedy nie dało się uzyskać informacji w bardziej subtelny i mniej nieprzyjemny sposób, nie przepadał jednak za nimi. Gdy tylko dostał to, czego potrzebował, tortury zostały przerwane, a obiekt wyeliminowany szybko i bezboleśnie. Tak

działały cywilizowane istoty. - Każ ZYV pozbyć się ciała w normalny sposób.

- Naturalnie, proszę pana. Ponadto senator Treen czeka przy komunikatorze, żeby zdać relację ze swojego spotkania z senatorem Suldarem.

Lecersen, ucieszony pierwszą informacją, liczył, że wieczór okaże się jeszcze bardziej owocny. Wziął podany przez droida komunikator, a następnie ruchem ręki wyprosił E-3PO z pokoju.

- Pani senator - powiedział miękko głosem, popijając znakomity trunek z korzenia chak. -

Mam nadzieję, że spędziłaś wieczór owocnie i przyjemnie zarazem.

- W rzeczy samej, Drikl - odparła. - Wszyscy świetnie się bawiliśmy. Stek z nerfiny był

idealnie wysmażony, a vagneriańskie paszteciki delikatne i wyborne jak zawsze.

- Cieszę się, że Wieża Indygo nie obniża lotów. - Nie miał nic przeciwko takim pogaduszkom. Gdyby coś było nie tak, Treen od razu przesłaby do rzeczy. Kiedy mówiła o takich błahostkach, to był dobry znak.

- Istotnie, musimy się tam wkrótce wybrać ponownie.

- A jak twój towarzysz?

- Czarujący, atrakcyjny i równie bezwzględny i żądny władzy jak my wszyscy - oznajmiła radośnie Treen. - I bardzo skory do współpracy, jak się wydaje.

- Pozory czasem mylą - ostrzegł Lecersen. Upił kolejny łyk płynu, który w przyjemny sposób palił w gardle.

- Jakbym nie wiedziała! - Treen zachichotała. - Pamiętaj jednak, że Fost i ja siedzimy w tym niemal tak długo, jak on żyje, i szczerze wątpię, żeby mógł nam się wywinąć. Poza tym za dużo ma do zyskania.

- A co ma do zaoferowania?

- No cóż, jak już mówiłam, jest niezwykle czarujący i wywarł ogromne wrażenie na niektórych senatorach. Zwłaszcza tych nowych, bardziej nieśmiałych i nie tak ambitnych jak on.

To wzbudziło zainteresowanie Lecersena.

- Mów dalej.

- Najwyraźniej ma spore grono zwolenników. To nawet sympatyczne. Szczególnie z jednym blisko współpracuje. Nigdy nie zgadniesz z kim.

- Pewnie nie - zgodził się Lecersen - więc oświeć mnie, proszę.

- Z Padnelem Ovinem, tym nowym, dość niechlujnym senatorem z Klatooine.

- Naprawdę? - Lecersen był rzeczywiście zaskoczony. - Raczej dziwna z nich para. Wątpię, czy Padnel Ovin pamięta chociaż, żeby raz dziennie wziąć paroprysznic.

- Cóż, wygląda na to, że Kameron tresuje... och jej, chciałam powiedzieć szykuje... - Treen zachichotała - senatora Ovina do odegrania jakiejś ważnej roli w późniejszym czasie. I dał do zrozumienia, że jego stadko wielbicieli może zapewnić nam znaczące wsparcie.

- Jakiego rodzaju wsparcie i o kim mówimy? - Lecersen opróżnił kieliszek i odstawił go na stół.

- Był raczej tajemniczy w tej kwestii, ale nie sądzę, żeby zmyślał.

- Nie jesteś Jedi, moja droga, żeby to odgadnąć.

- Ale za to jestem znakomitą znawczynią charakterów. Nie zaprzeczysz, Drikl.

Rzeczywiście nie mógł zaprzeczyć.

- No cóż, wydaje się, że to bardzo obiecujący początek. Pozostawię resztę w twoich wyjątkowo wprawnych rękach. Jest jeszcze coś, o czym muszę ci powiedzieć. Byłoby dobrze, żebyś przekazała to innym.

Zrelacjonował jej pokrótce nocną wizytę, od przybycia nieszczęsnego Minyavisha po jego koniec.

- Co za przykra sytuacja - zmartwiła się Treen. Lecersen uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak jego rozmówczyni marszczy z niesmakiem noseć. - Mówisz, że wymienił mnie i Fosta z nazwiska?

- Owszem. Nie wyglądał na szczególnie doświadczonego w prowadzeniu tego typu negocjacji. Myślę, że gdyby wiedział o reszcie, to by też powiedział.

- Ale tylko nas spotkało wyróżnienie - stwierdziła figlarnie. - Nie jestem tym zachwycona, Drikl. A taki miałam przyjemny wieczór.

- No cóż, dobra wiadomość jest taka, że zdradził mi miejsce ukrycia tych dowodów i kod, dzięki któremu będę mógł je zlokalizować i zniszczyć. Wprawdzie dość dobrze znosił tortury, jednak wydaje mi się, że ostatecznie wyciągnąłem z niego wszystko, co miał do powiedzenia.

- Więc sądzisz, że działał sam?

- Moja droga, prawie nikt nie działa sam, nawet jeśli nie zdaje sobie z tego sprawy - odparł

Lecersen. - Skoro jedna istota mogła zdobyć takie informacje, to powinniśmy być przygotowani na to, że wkrótce może wypełznąć więcej robaków.

- Obawiam się, że masz rację.

- Lepiej już się położyć. Jutro czeka mnie pracowity dzień. Wyślę kogoś, żeby zajął się dowodami na Qaraside, a o dziewiętnastej będę już w drodze do Przestrzeni Imperialnej. Wygląda na to, że trzymasz rękę na pulsie.

- Jeśli masz na myśli senatora Suldara, to można chyba powiedzieć, że mi z niej je.

- Ani przez chwilę w to nie wątpiłem, moja droga. - Głos miał ciepły, serdeczny. Lubił

swoją współpracowniczkę, dopóki nie musiał utrzymywać z nią zbyt bliskich kontaktów. Ona, Bramsin, Jaxton, Parova i Thaal byli dokładnie tam, gdzie powinni, a on wybierał się tam, gdzie on powinien być.

Do Przestrzeni Imperialnej, gdzie moffowie rasy ludzkiej - rasy ludzkiej i płci męskiej, czyli jedyny właściwy rodzaj - traktowani byli z należnym im szacunkiem.

I gdzie wkrótce miał podjąć próbę sięgnięcia po tytuł Imperatora.

## **ROZDZIAŁ 15**

### **Zewnętrzne Rubieże**

Admirał Natasi Daala, we własnym mniemaniu wciąż prawowita - i potwornie skrzywdzona

- przywódczyni Galaktycznego Sojuszu, sączyła z kubka kiepskiej jakości kaf, który zaserwował jej Boba Fett, i patrzyła na przesuwające się gwiazdy.

Godzinę po tym, jak znaleźli się bezpiecznie na prawdziwym „Niewolniku 1” - po ucieczce zdecydowanie fałszywym „Niewolnikiem 1” i przesiadce na zwykły prom - Daala zawisała na komunikatorze. Fett zgodził się zabrać ją, dokąd tylko zechce, a ona nie miała wątpliwości, gdzie to będzie. Była zajęta egzekwowaniem długów wdzięczności; rozmawiała ze starymi przyjaciółmi - a także starymi wrogami - i z nowymi przyjaciółmi. Miała mnóstwo do zrobienia, ale był to zdecydowanie dobry początek. Z chęcią wzięłaby paroprysznic i zamieniła więzienny strój na zwykłe ubranie, jednak wspaniałomyślność Fetta nie sięgała tak daleko. Mimo wszystko Daala była wdzięczna za wolność. Mogła wytrzymać jeszcze trochę w więziennym ubiorze, skoro nie miała już

„ozdób” na nadgarstkach i kostkach.

Kiedy skończyła pierwszą turę rozmów, zjedli z Fettem racje żywnościowe i teraz popijali kaf. Łowca nagród miał do niej tylko kilka pytań i od pewnego czasu się nie odzywał, a ona także milczała.

- Nic nie mówisz - odezwała się w końcu Daala.

Wzruszył ramionami. Zuchwałość i genialna prostota jego planu wciąż ją zadziwiała. Boba Fett wyciągnął ją z więzienia Galaktycznego Sojuszu, udając... Bobę Fetta. Był to fortel w fortelu, który jej własny skomplikowany umysł zdecydowanie potrafił docenić - a nawet uznałby za zabawny, gdyby miała siłę na tego rodzaju błahostki. Wywiedli ten niepewny, chwiejny triumwirat w pole,

ponieważ, według wszelkiej logiki, gdyby to był niesławny Boba Fett, legendarny łowca nagród, nigdy nie próbowałby jej uwolnić, podając się za siebie. Nie, przynajmniej przez jakiś czas tak zwane władze Galaktycznego Sojuszu powinny tracić czas i środki, szukając naśladowcy Boby Fetta zamiast oryginału, który siedział tuż obok niej, ubrany ponownie w swoją prawdziwą zbroję i hełm.

- Długi lot. Mnóstwo czasu na rozmowę, jak będziesz gotowa - mruknął Boba Fett.

- Genialne, swoją drogą, i co za zgrabna aluzja do Jedi. To przebranie, znaczy się.

Odwrócił głowę w stronę Daali, która siedziała obok, w fotelu drugiego pilota.

- Aaa, chodzi ci o tych szalonych Jedi i ich sobowtórów? Też mi się to spodobało.

Jeszcze do niedawna Rycerze Jedi popadali w obłęd - wierzyli, że wszyscy dookoła, łącznie z ich najbliższymi, zostali zastąpieni złymi sobowtórami.

- Jesteś swoim własnym złym bratem bliźniakiem.

- Czy to nie uczyniłoby mnie dobrym? - odparł.

Daala uśmiechnęła się w odpowiedzi, jednak jej uśmiech szybko przygasł, gdy pomyślała, jaki byłby jej własny „sobowtór”. Zbyt krótko żyła takim życiem. Szczęśliwa, spełniona, zakochana w Liegeusie Vomie, dobrym człowieku, który został jej odebrany o wiele za wcześnie.

Daala dążyła do nieosiągalnego ideału: starała się być dobrym, uczciwym, sprawiedliwym przywódcą dla wszystkich istot tworzących Galaktyczny Sojusz. Wszystkie jej próby przywrócenia ładu zakończyły się niepowodzeniem. Nie była „Imperatorową Palpatiną”, jak niektórzy ją przedstawiali. Była gotowa współpracować z istotami każdej płci i rasy, jeśli tylko słuchały rozkazów i przestrzegały prawa. Nie popierała niewolnictwa. Gdyby udało jej się zmusić Jedi do posłuszeństwa i służby zgodnej z ich uprawnieniami, mogłaby zająć się tymi mnożącymi się jak grzyby po deszczu, nowymi rządami. Mogłaby wdrożyć dla nich odpowiednie procedury prawne.

Jednak najwyraźniej nikt tego nie chciał. Ani Jedi, ani Dorvan - którego obdarzyła większym zaufaniem, niż powinna - a już na pewno nie Solo.

Zrozumiała to wreszcie, a świadomość ta była bardziej gorzka niż kafa, który sęczyła. Sama się oszukiwała, myśląc w ten sposób. Oszukiwała się też, uważając, że może w końcu będzie mogła pokochać kogoś, kto nie zostanie jej odebrany przez morderstwo. Najpierw Wilhuff Tarkin, potem Liegeus, a wreszcie Nek Bwua'tu. Wprawdzie Nek jeszcze nie umarł, ale nie była pewna, czy sam nazwałby stan otępienia, w którym się obecnie znajdował, życiem. Ona z pewnością tak by tego nie nazwała.

Nie było żadnego szczęśliwego sobowtóra Daali. I dobrze.

Opróżniła kubek i zrobiła kwaśną minę.

- Jak tylko odzyskam władzę - powiedziała, zwracając się do swojego wybawcy - dopilnuję, żeby

Mando nauczyli się parzyć porządny kaf.

- Jak dla mnie może smakować jak *poodoo* - prychnął Fett - byle tylko stawiał mnie na nogi.

Mamy ważniejszy problem, który możesz pomóc nam rozwiązać.

Zaczyna się, pomyślała Daala. Wiedziała, że będą jakieś koszty. Nie wiedziała tylko jakie.

- Zawdzięczam ci bardzo dużo - przyznała szczerze.

Hełm znów odwrócił się w jej stronę. Nie widziała jego oczu, ale czuła intensywność spojrzenia.

- To prawda. Ale zanim podam swoją cenę, trochę ci to osłodzę. Dowiedziałem się paru rzeczy, które mogą cię zainteresować.

Była zaintrygowana. Dotychczasowe rozdrapywanie ran zaczynało ją męczyć; była gotowa przejść do czynów.

- Słucham.

- Moff Drikl Lecersen nie jest twoim przyjacielem.

Teraz to ona prychnęła.

- A Luke Skywalker jest Jedi. Skończyliśmy już z oczywistościami?

- Jeszcze nie. - Nie dał się sprowokować. Fett nigdy nie dawał się sprowokować. - Od dłuższego czasu działał zakulisowo, spiskując przeciwko tobie. Sięgnął nawet po pewne nadzwyczajne środki i przygotował bardzo skomplikowane, długofalowe plany.

- Brzmi jak przepis na potrawkę z brogy.

- Rzeczywiście. Może jestem głodny. - Wzruszył ramionami. - Moim przyjacielem też nie jest, ale do tego zaraz dojdę. Dowiedziałem się czegoś bardzo ciekawego na temat moffa. To on stoi za Lotem Wolności.

Daala była zadowolona, że zdążyła wcześniej wypić gorzki napój; obawiała się, że gdyby piła go w tej chwili, mogłaby się udławić. Ściągnęła brwi.

- To kiepski żart, Fett - powiedziała lodowatym tonem. - Ten *sleemo* prędzej by sobie rękę obciął, niż zrobił coś szlachetnego.

- Myślę, że z punktu widzenia Lecersena to był niefortunny efekt uboczny - ciągnął Fett, zupełnie niewzruszony jej reakcją. - On nie stworzył, czy raczej nie zawłaszczył, tej organizacji po to, żeby pomóc biednym, uciśnionym rasom wywalczyć swoje prawa. Zrobił to, żebyś miała na głowie nadmiar sytuacji, na które musiałabyś szybko reagować, najczęściej bez zastanowienia.

Pomyśl o tym jak o podpaleniach. On wywoływał pożary w całej galaktyce.

- A ja byłam zajęta gaszeniem ich - powiedziała powoli Daala. Wszystko zaczęło układać się w logiczną całość. Poczła nieprzyjemne ściskanie w żołądku. - Ta cała organizacja... to tylko przykrywka?

Fett pokręcił głową.

- Bynajmniej. Większość z tych biednych głupców, którzy są jej „pilotami”, to absolutni idealisci. Uważają, że robią coś dobrego, i robią. Nie wiedzą tylko, że Lecersen steruje nimi jak pionkami na planszy do hologry. My, Mando, mieliśmy okazję... powiedzmy, dowiedzieć się co nieco na temat Lotu, kiedy wezwałaś nas do gaszenia pożarów.

- Do tłumienia powstań - sprostowała szorstko Daala. - Nazywajmy rzeczy po imieniu. -

Miała dość tego rodzaju metafor i usprawiedliwień, jakich używała w rozmowach z Wynnem i Nekiem.

- Nie mam nic przeciwko. Lubię mówić wprost - odparł Fett. - Uzyskaliśmy pewne informacje od niewolników. Nie mogli jednak powiedzieć tego, czego sami nie wiedzieli, a większość z nich wie niewiele.

- To była podziemna organizacja, zanim stała się tak znana - wtrąciła Daala. - Trzy istoty mogą dochować tajemnicy tylko wtedy, jeśli dwie z nich są martwe. - Była to stara sentencja, której autorstwo przypisywało sobie wiele światów, ale wciąż wydawała się brutalnie prawdziwa.

- Lub jeśli nie wiedzą prawie nic - dodał Fett. - To jak ogniwa w łańcuchu. Każda istota mogła wskazać jedynie kilka innych, a żadna z nich nie była kimś godnym uwagi. Poza jedną.

Pewien Minyavish najwyraźniej odkrył jakieś powiązania łączące Lecersena i kilka innych wysoko postawionych osobistości z Lotem. Nie zdołaliśmy zdobyć fizycznych dowodów ani ustalić żadnych innych nazwisk, ale to, co miał do powiedzenia o Lecersenie, brzmiało przekonująco.

- Powinnam pytać, jak zdobyliście te informacje?

Fett wzruszył ramionami.

- Nie wynajęłaś nas do uspokajania nastrojów przy użyciu herbatki i ciasteczek.

- To prawda - przyznała Daala. - Wiesz, to niezwykle pouczające. Rzeczy, które wcześniej nie miały żadnego sensu, nagle stają się zupełnie oczywiste.

- Na przykład atak na admirała Bwua'tu.

Popatrzyła spokojnie na miejsce, gdzie byłyby jego oczy, gdyby je widziała.

- Na przykład, właśnie.

- Ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby wrobić Jedi w zamach na Neka, ale spartaczył robotę.

- To tłumaczy także atak na Solo i Fela w restauracji Pangalactus.

- Nie maczałaś w tym palców?

Jej zielone oczy, przed chwilą jeszcze zamyślane, stały się nagle lodowate.

- Nawet gdybym chciała ich śmierci, nie narażałabym dziecka. Są inne sposoby.

Fett pokiwał głową, jakby z zadowoleniem.

- Wszystko do siebie pasuje.

Rzeczywiście, wszystko pasowało. Na scenę weszła kolejna trupa aktorów, która do niedawna czaiła się niepostrzeżenie za kulisami.

- A zatem - powiedział Fett - mamy wspólnego wroga, ty i ja. I tu dochodzimy do kwestii mojej zapłaty.

- Wiedziałaś, że w końcu do tego dojdziemy. Mów dalej.

- Podśledzałem, jak rozmawiałaś o swoich planach - oznajmił Fett. - Najwyraźniej nie miałaś nic przeciwko temu, bo inaczej odmówiłabyś, kiedy zaproponowałem ci skorzystanie z mojego systemu łączności. Wygląda na to, że masz paru wpływowych znajomych i solidną bazę operacyjną. Jestem gotów dać ci jeszcze więcej: nieustanne, choć potajemne, wsparcie moich rodaków i możliwość wykorzystania naszej technologii. Zależy mi na twoim bezpieczeństwie.

- Jestem wzruszona, stary przyjacielu - powiedziała i była w jej słowach nuta szczerości.

- Przyjaźń też odgrywa w tym pewną rolę, nie przeczę - odparł. - Ale kiedy będziesz już bezpieczna i twoja pozycja na czele Imperium stanie się niezagrożona, będziesz mogła mi podziękować. A możesz to zrobić, znajdując lek na ten nanowirus *hut'u-unla*.

Mówiąc to, jedną rękę zacisnął w pięść, potem powoli ją rozluźnił i położył z powrotem na sterach.

Daala rozumiała i współczuła mu. Najwyraźniej nikt nie był w stanie uchronić się przed skutkami zdradzieckiej działalności Dartha Caedusa. Pod koniec drugiej galaktycznej wojny domowej moffowie stworzyli przenoszony drogą powietrzną nanowirus, który można było dopasować do określonego kodu genetycznego. Po raz pierwszy użyto go w czasie bitwy o Roche, gdzie zaatakował i zabił jedynie verpińską kastę żołnierzy. Później został wykorzystany do ataku na hapańską rodzinę królewską, powodując śmierć młodej Chume'da, Allany, co zapewniło moffom dozągną nienawiść ze strony Tenel Ka.

Jeszcze jedna rodzina podzielała to uczucie. Caedus zdołał uzyskać próbkę krwi wnuczki Fetta, Mirty Gev. Dzięki niej moffowie zaatakowali następnego cel - ród Fettów. Na szczęście dla dziadka i wnuczki żadnego z nich nie było na Mandalorze w momencie wypuszczenia nanowirusa, jednak ze



względu na naturę i żywotność wirusa Boba nie mógł już nigdy powrócić na swoją ojczystą planetę.

Chyba żeby znaleziono antidotum.

Dom, pomyślała Daala. Wszyscy go pragniemy, a tak niewielu z nas go odnajduje, czy to w postaci fizycznego miejsca, czy kogoś, kogo kochamy.

- Rozumiem - powiedziała, i naprawdę rozumiała. - Chcesz wrócić do domu. Z pewnością jednak wiesz, że znalezienie leku na ten nanowirus nie może być dla mnie sprawą priorytetową, przynajmniej nie od razu. Muszę najpierw odzyskać pełnię władzy i upewnić się, że moja pozycja, jak to ująłeś, jest niezagrożona. Dopiero potem będę mogła przeznaczyć na ten cel środki i zaangażować zespół fachowców.

- Wiem. Nie od razu - zgodził się - ale niedługo. Bardzo niedługo. - Ukryta pod hełmem głowa odwróciła się ku niej. - Mam nadzieję, że się rozumiemy.

Pokiwała głową. Jak na przysługę nie było to szczególnie trudne. Być może nawet zrobiłaby to, gdyby po prostu ją poprosił, nawet gdyby nie wyciągnął jej z więzienia. Ale cieszyła się, że to zrobił.

- I nie chodzi tylko o chęć powrotu do domu - ciągnął Fett. - Chodzi o zemstę.

Podejrzewam, że rozumiesz, co muszę czuć.

Uśmiechnęła się, a jej uśmiech był równie lodowaty jak jego głos.

- O tak, Fett. O tak.

- To dobrze. Od czasu do czasu miło jest połączyć interesy z przyjemnością.

- To prawda - zadumała się Daala. - Obawiam się, że muszę jeszcze raz skorzystać z twojego systemu łączności. Pewien dawny wróg, a obecnie przyjaciel będzie tym zainteresowany nie mniej niż ja.

## **Dzielnica Nadbrzeżna, Varlo, Roonadan**

Gdyby chciała, Leia mogłaby niemal uwierzyć, że naprawdę są zwykłą rodziną na wakacjach.

Dzień był słoneczny, a niebo cudownie niebieskie. Sztuczna rzeka, która wiała się przez tę część stołecznego miasta Varlo, była czysta i przyjemnie szemrała. Drzewa w solidnych durabetonowych donicach zapewniały odpowiedni cień przy kawiarnianym stoliku, gdzie siedzieli razem z Hanem i Allaną, przeglądając menu.

Zamówili już napoje. Allana z przyjemnością sączyła śmietankowy koktajl z mrożonego niebieskiego mleka. Han zamówił koreliańskie piwo, Leia zaś piła mrożoną herbatę. Wietrzyk był

ożywczy, podobnie jak napoje.

Kilka stolików dalej siedzieli Zekk i Taryn Zel. Zekk miał na sobie ochronny wizjer przeciwsłoneczny, który na szczęście zasłaniał znaczną część jego twarzy. Taryn, która swoje charakterystyczne rude włosy przefarbowwała na subtelniejszy kasztanowy kolor, miała na głowie jeden z tych dużych kapeluszy o opadających rondach, uważanych przez żeńską część populacji tego świata za modne nakrycie głowy. Oboje z pozoru także studiowali menu, jednak Leia wiedziała, że oczy mają skierowane na rodzinę Solo. Byli tutaj - blisko, ale w nienarzucający się sposób - żeby chronić Allaną, w razie gdyby coś poszło nie tak. Solo chcieli zapewnić swojej wnuczce możliwie normalne życie, ale w końcu ta mała dziewczynka z zadartym noskiem miała kiedyś zostać władczynią swojego świata, a może i nie tylko. Więc osiągnęli kompromis, który zadowalał wszystkich zainteresowanych. No, może poza Allaną, ale skoro nie wiedziała nic o umowie, nie mogła jej się sprzeciwić. Zekk, Rycerz Jedi, i Taryn Zel, kuzynka Tenel Ka, byli najlepszymi ochroniarzami dla uznanej za zmarłą Chume'da, jakich Leia mogła sobie wyobrazić.

Droid kelner podfrunął z cichym warkotem i zawisł w powietrzu. Wiele droidów zaprojektowanych do pracy w tym charakterze miało humanoidalne kształty. Ten przysadzisty robocik bardziej jednak przypominał R2-D2 niż C-3PO. Wysoki raptem na metr, raczej wąski, z wysuwaną z głowy tacą, był najwyraźniej zaprojektowany wyłącznie do pracy kelnera i Leia wątpiła, żeby był specjalnie drogi.

- Czy mogę przyjąć zamówienia? - zapytał przyjemnym, chociaż monotonnym głosem.

- Jeszcze się zastanawiamy. - Leia uśmiechnęła się, mając na względzie raczej ewentualnych gapiów niż droida. - To nam zajmie parę minut.

- Oczywiście. - Robot oddalił się i powtórzył swoje pytanie przy innym stoliku.

- Chyba powinniśmy coś zamówić - powiedział Han. - Umieram z głodu.

- Ja też - dodała Allana. Wypiła kolejny łyk swojego niebieskiego mlecznego koktajlu i jej słomka zaszorbała głośno. Dziewczynka wyglądała na zawstydzoną. - Przepraszam.

- Już wszystko wypić? - Leia pokręciła głową. - Ten koktajl ma tyle kalorii, że można by nim wyżywić Hutta przez dwa dni. Gdybyśmy cię gdzieś zostawili, powinnaś przeżyć na tym jakiś czas.

Allana zachichotała. Leia odwróciła się z powrotem do Hana.

- Nie chcę złożyć zamówienia, a potem tak po prostu wyjść, kiedy się odezwą - wyjaśniła.

- Mieli to zrobić pół godziny temu, jak tylko przyszliśmy - przypomniawszy jej męża. - Gdyby ten droid był żywą istotą, zaczynałby już coś podejrzewać. A przynajmniej martwić się o swój napiwek.

- No cóż, na szczęście nie jest - odparła Leia. Ona też była głodna, a nie zdążyli zaopatrzyć

„Sokoła Millennium” w coś więcej niż standardowe racje żywnościowe. Zarówno Han, jak i Allana kręcili nosem na rzezone racje, dopóki tak nie zgłodnieli, że mogliby zjeść części samego

„Sokoła”. Które zresztą, zauważył Han, mogłyby się okazać smaczniejsze.

Chwilami Leia miała wrażenie, że ma dwoje wnuków.

A jednak... importowany stek z roby z sałatką Xixor i wagneriańskie paszteciki na deser brzmiały bardzo kusząco.

- Zamówmy koszyk czipsów z hubby - zaproponowała Leia w ramach kompromisu.

- Lubię czipsy z hubby - odezwał się piskliwy głosik.

- Ja też - dodał drugi.

- Ja najbardziej lubię gamorrekańskie krakersy, ale musi być do nich syrop słodowy z Anoatu

- zaszczebiotał trzeci.

Znad stołu wychyliły się trzy niewielkie, niebieskie, gryzoniowate głowy o dużych uszach i jasnych oczach.

Przybyli Squibowie.

## **ROZDZIAŁ 16**

Chwilę później Squibowie przywlekli wolne krzesła od innych stolików i zaczęli się na nie wdrapywać. Han przyglądał im się w milczeniu.

- Mieliście się odezwać przez komunikator - powiedział w końcu.

Jedyna pośród nich samica, nieco mniejsza i bardziej delikatnie zbudowana od pozostałej dwójki, machnęła beztrąsko ręką.

- To takie bezosobowe. Nie ma to jak wspólny posiłek przy omawianiu umowy.

- Co to za futrzatko? - spytał drugi ze Squibów.

Leia westchnęła.

- Amelio - powiedziała - te istoty to Grees, Sligh i Emala. Amelia jest naszą adoptowaną córką.

- Amelia brzmi zanadto podobnie do Emali - stwierdził od razu Sligh. - Będzie się myliło.

Skoro mamy przez jakiś czas podróżować razem, trzeba wymyślić jej nowe imię. Hej! - Zamachał

na droida kelnera. - Czipsy z hubby, gamorrekańskie krakersy i syrop słodowy z Anoatu.

- Zaraz, co takiego? - Han omal nie udławił się swoim piwem. Allana obserwowała to wszystko bystrym, zaciekawionym wzrokiem, ale nie odzywała się. - Kto mówił o podróżowaniu razem?

- Sligh, przed chwilą - odparł Grees. - Masz jakiś problem z uszami?

- Chyba ty masz - odparował Han. - Są ogromne. Większe nawet niż ostatnio.

- Nie będziemy razem podróżować - wtrąciła Leia, próbując wrócić do czegoś chociaż mgliście przypominającego temat. Chociaż... teraz, kiedy Han o tym wspomniał, zauważyła, że uszy Squibów, zawsze długie i włochate, rzeczywiście wydawały się jakby za duże w stosunku do ich małych ciał. - Mówiliście, że macie dla nas jakieś informacje. Jesteśmy gotowi za nie zapłacić.

Taka była umowa.

Droid kelner zjawił się z wyciągniętą tacą, na której ustawione były ich przekąski. Allana, ze wzrokiem utkwionym w Squibach, wbrew temu, co wcześniej mówiła, w ogóle nie była zainteresowana jedzeniem. Sligh wziął gamorreńskiego krakersa i zanurzył go w syropie słodowym.

- Właściwie to wydaje mi się, że w ogóle nie omawialiśmy szczegółów - powiedział, rozgryzając krakersa ostrymi białymi zębami.

- Siedząc z trójką Squibów, trudno nie zwracać na siebie uwagi - stwierdziła Leia, zerkając szybko na Allaną, a potem na sąsiednie stoliki. Kilka głów było zwróconych w ich stronę.

- Hej, to wy wciągnęliście w to futrzątko - odparł Grees. - To wasz problem.

- Amelia to nie jest problem - wycodził przez zęby Han.

- Nieważne - rzucił Grees, wzruszając wąskimi ramionami. Sięgnął po chipsa z hubby i potarł nim o policzek, co u Squibów było odpowiednikiem wachania. Leia dopiero teraz zdała sobie sprawę, że mają na sobie więcej niż zazwyczaj. Squibowie nosili ubrania bardziej dla ozdoby i przechowywania drobnych przedmiotów niż dla ochrony przed warunkami atmosferycznymi, jako że od stóp do głów pokryci byli futrem. A że futro było wykorzystywane jako narząd węchu, tak więc większość Squibów chodziła nago. Jednak teraz obaj Squibowie rasy męskiej mieli na sobie tuniki, spodnie i buty, Emala zaś długą suknię z rękawami. Musieli się dusić w tym wszystkim; Leia miała na sobie tylko lekką sukienkę i sandały i było jej ciepło. - Ale to zmienia warunki umowy.

- Co? - Han poczerwieniał i nie było to spowodowane upałem. - Dostyc tego. Koniec. Żadne informacje nie są tego warte.

- Han - powiedziała Leia łagodnie, ale stanowczo. - Chodzi o Daalę.

Han robił wrażenie bardzo niezadowolonego, ale usiadł z powrotem. Emala sięgnęła po chipsa, ale rozdrażniony Han chwycił koszyk i postawił go przed Allaną.

- Hej! - zaprotestowała Emala.

- Jedzenie też nie było częścią umowy - warknął Han.

Allana wzięła chipsa i zjadła go, wciąż obserwując wszystko w milczeniu. Miała ten sam skupiony wyraz twarzy jak podczas oglądania ulubionego holoserialu.

Leia westchnęła w duchu.

- Dokończmy chipsy, krakersy i napoje, a potem przejdziemy się wzdłuż rzeki. Tam będziemy mogli porozmawiać.

Uszy Sligha - zdecydowanie większe, niż kiedy Leia je ostatnio widziała - opadły lekko.

- Ale... spieszylismy się i jesteśmy strasznie głodni.

- Spieszyliscie się? - Han nachylił się do przodu. - Dlaczego? Co to za informacja, że nie może czekać? I jakiej zapłaty oczekujecie?

Squibowie celowo wypowiadali się nieprecyzyjnie, między innymi w kwestii zapłaty. Nie było to zresztą niczym niezwykłym. Han i Leia wiedzieli jedynie, że Squibowie znają rzekomo miejsce pobytu Daali, że chcą się z nimi spotkać w kawiarni Nadrzecznej w Varlo i że są pewni, że Han i Leia będą w stanie spełnić ich oczekiwania.

- No cóż, na początek lunch - powiedziała Emala. Uśmiechnęła się promiennie do Allany. -

Śliczne z ciebie futrzatko, jak na człowieka. Nie możemy na ciebie mówić Amelia, więc jak chcesz, żeby się do ciebie zwracać?

- Ona ma tak na imię - zirytował się Han.

Grees przybrał wyraz anielskiej cierpliwości.

- Już wam mówiliśmy, to zbyt podobne do Emali. A Emala nosi swoje imię dłużej.

Coś w tym stwierdzeniu przykuło uwagę Leii, ale odsunęła to od siebie, pragnąc jak najszybciej dojść do sedna sprawy.

- To nie będzie problem.

- Chciałabym mieć squibowskie imię - oznajmiła nieoczekiwanie Allana.

Squibowie rozpromienili się i wymienili zadowolone spojrzenia.

- Widzicie? Futrzatko dostrzega potencjalną katastrofę - powiedziała Emala. - Może Pika?

- Mnie się podoba Veeshu - stwierdził Grees.

- Nie, ona wygląda raczej na Muatysi - wtrącił Sligh, sięgając po kolejnego krakersa i maczając go energicznie w syropie. - Zdecydowanie Muatysi.

- Ona - oświadczył Han niepokojąco opanowanym głosem - ma na imię Amelia. Macie informacje na temat Daali. Chcemy dostać te informacje. Zapłacimy za nie i nawet postawimy wam lunch, jeśli będzie trzeba, żeby tylko się was pozbyć, szkodniki.

- Szkodniki! - wykrztusił Sligh, przyciskając dłonie do drobnej piersi. W jego oczach malowała się uraza, która mogła być autentyczna, ale zapewne nie była. - Co za chamstwo!

Leia ukryła twarz w dłoniach. Zdążyła już szczęśliwie zapomnieć, jak bardzo irytujący potrafią być Squibowie. Zdawali się mieć w sobie jeszcze więcej entuzjazmu i energii, niż kiedy ona i Han ich ostatnio widzieli, mimo że nie byli młodzi jak na Squibów. Właściwie to wyglądali nawet lepiej, niż ich zapamiętała. Najwyraźniej niektóre rasy miały więcej szczęścia niż inne.

- Zamówmy lunch - zaproponowała. - Może jak wszyscy coś zjemy, to lepiej nam pójdzie.

Grees patrzył gniewnie na Hana, a wąsy Sligha drżały, podczas gdy Emala gładziła go delikatnie po plecach. Kiedy jednak Leia wspomniała o jedzeniu, wszyscy się ożywili. Droid kelner powrócił i złożyli zamówienia, łącznie z kolejnym koszykiem chipsów z hubby.

- Nie powinieneś nazywać ich szkodnikami - zwróciła dziadkowi uwagę Allana. - To nie było miłe.

- Nie - przyznał Han i pociągnął tęgi łyk piwa. - Nie było. - Leia wiedziała, że przeprosiny były szczere, jednak głos Hana wciąż zdradzał rozdrażnienie.

- Wiemy, że nie chciałeś tego powiedzieć - stwierdziła życzliwie Emala. - Partnerzy czasem się trochę złoścą na siebie.

- Z pewnością wszyscy wasi partnerzy to robią - odparł Han. Leia chwyciła go za ramię i mocno ścisnęła.

- A więc - odezwała się - powiedzcie nam o Daali.

- Och, spodoba się wam to - zawołała z entuzjazmem Emala.

- Ale najpierw nasze warunki - wtrącił Grees. - Chcemy, żebyście nas zabrali ze sobą na Coruscant. Po drugie, dacie nam wystarczająco dużo kredytów, żebyśmy mogli kupić statek i odpowiednio się zaopatrzyć. Po trzecie, poinformujecie Jaggeda Fela, kto mu pomógł, bo przyjaciele dobrych partnerów często sami mogą być dobrymi partnerami. No i w końcu zapłacicie za lunch i wszystkie inne posiłki.

Nie była to niska cena i Leia obawiała się, że kiepsko na tym wyjdą. Nie była pewna, czy to, co według niej i Hana jest ważne w sprawie Daali, i to, co jest ważne według Squibów, jest aby na pewno tym samym. Niemniej... w głębi duszy wiedziała, że nie przyleciałaby tutaj, gdyby nie wierzyła, że chodzi o coś godnego uwagi. A w tym momencie każda wskazówka była cenna.

- A w zamian - powiedział Han - dostaniemy tę informację, która według was jest bardzo ważna.

- O tak - zapewnił Sligh. - Bardzo ważna.

Han i Leia wymienili spojrzenia. Leia dotknęła delikatnie Mocy, żeby sprawdzić, czy sami Squibowie są zadowoleni z warunków umowy. Gdyby blefowali, wyczułaby u nich zadowolenie z siebie; Squibowie zawsze chcieli być górą, kiedy się targowali. Gdyby umowa była korzystniejsza

dla Hana i Leii, czuliby się zrezygnowani.

Jednak to, co wyczuła, zupełnie ją zaskoczyło.

- Wy się... boicie - powiedziała cicho, ze zdumieniem.

- Boimy? My? - zadrwił Grees. - Wiesz, jak będziesz tak dalej cudować z tą Mocą, to sobie zaraz pójdziemy. Na pewno znajdzie się ktoś, dla kogo ta informacja będzie równie cenna.

Jednak Leia wiedziała, że tego nie zrobią i nagle ogarnął ją wielki niepokój. Squibowie byli zazwyczaj przesadnie pewni siebie, zwłaszcza ta komórka rodzinna. Nieraz widziała, jak odszczekują beztrzesko uzbrojonym istotom albo rzucają się bez namysłu na imperialnych szturmowców.

Popatrzyła na Sligha. Squib zamrugał dużymi, brązowymi oczami i zaraz odwrócił wzrok.

- Sligh - powiedziała, zachowując spokojny ton - w co wyście się...

Nagle przerwał jej blasterowy ogień.

Han przewrócił stolik, złapał Allanę i popędził z nią w kierunku jednej z dużych durabetonowych donic, w których stały cieniste drzewa. Leia i Squibowie byli tuż za nim. Cała czwórka wyciągnęła broń i ostrzeliwała się w biegu. Wystarczyły dwa strzały, a stolik i krzesła, na których dopiero co siedzieli, zamieniły się w bezkształtną kupę metalu. Inni goście rozpierzchli się, szukając schronienia, a patio kawiarni Nadrzecznej, jeszcze przed chwilą tak spokojne, wypełniło się odgłosami strzałów z blasterów i krzykami.

Leia i Squibowie przykucnęli obok Hana i Allany. Durabetonowa donica trzymała się lepiej niż stół i krzesła, ale to o niczym nie świadczyło. Leia spojrzała Hanowi w oczy i czekała. Na jego sygnał oboje wystawili głowy z dwóch stron pojemnika i otworzyli ogień. Szybki rzut oka niewiele im powiedział - tyle tylko, że napastnicy mieli na sobie zbroje przypominające z grubsza imperialne, w rękach trzymali blastery, a ogień z tychże Masterów skierowany był w nich.

- Ta donica długo nie wytrzyma - mruknął Han. Spojrzał Leii w oczy. Dziesiątki lat, jakie spędziła, walcząc u boku tego człowieka, dały Leii wyjątkową przenikliwość co do jego sposobu myślenia. Wiedziała, co Han chce zrobić, i co gorsza, uświadomiła sobie ze zgrozą, że ma rację.

Donica nie wytrzyma, a wtedy...

Było to bezpieczniejsze z dwóch bardzo niebezpiecznych rozwiązań. Leia skinęła krótko głową.

- Amelio - powiedział Han - musisz uciekać. Biegnij w kierunku „Sokoła”. Będziemy cię osłaniać i spotkamy się na miejscu, jak tylko to będzie możliwe. To niedaleko i wiesz, jak tam trafić. Dasz radę, skarbie?

Allana pokiwała głową. Miała szeroko otwarte oczy i przyspieszony oddech. Leia z bólem serca zdała sobie sprawę, że ich wnuczka stopniowo przyzwyczaja się do tego, że chwile radości przerywa

blasterowy ogień. Allana była następczynią tronu. Nie był to pierwszy raz, ani zapewne nie ostatni, kiedy niebezpieczne wydarzenia burzyły jej spokój.

Leia zdecydowanie odsunęła od siebie troskę o dziecko i skupiła się na odwracaniu uwagi napastników, tak żeby nie zauważyli uciekającej dziewczynki.

Allana rozmyślała gorączkowo. Rozejrzała się dookoła, próbując znaleźć najlepszą drogę ucieczki. Skoczyć do rzeki? Przemknąć za innymi stolikami? Przyjrzała się restauracji i zobaczyła to, czego szukała. Przygotowała się do biegu, ale najpierw obejrzała się na Squibów. Skakali w górę i w dół, strzelając zza donicy i wymyślając przeciwnikom, ale wyczuwała bijący od nich strach.

Wreszcie podjęła decyzję. Złapała Emalę za rękę i wskazała palcem kierunek. Emala popatrzyła ze zrozumieniem, a następnie dała znak swoim towarzyszom.

- Raz, dwa, trzy! - zawołała Allana i popędziła w kierunku wąskich, wysokich na metr drzwiczek, które zapewniały droidom kelnerom dostęp do kuchni. Squibowie deptali jej po piętach.

- Amelia! - To był głos Hana, pełen strachu i gniewu. Allanie zamarło serce, ale zignorowała go, biegnąc dalej ile sił w nogach. Sligh zapiszczał, gdy blasterowy ogień przypalił

durabeton o parę centymetrów od jego nóg. Allana nawet nie zwolniła, żeby sprawdzić, czy nie przeliczyła się w ocenie wysokości i szerokości wejścia, tylko biegła, dopóki nie znalazła się wewnątrz ciasnego korytarza. Dopiero wtedy zatrzymała się, łapiąc oddech. Jeden ze Squibów wpadł na nią i omal jej nie przewrócił.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy? - spytała Emala.

- Cicho - syknęła Allana. - Chcę sprawdzić, czy są też wewnątrz restauracji!

Squibowie w lot pojęli sens uwagi Allany, bo mogło to ocalić im życie, i natychmiast ucichli. Wszyscy wyteżyli słuch. Z kuchni dobiegały okrzyki strachu, brzęk spadających na podłogę garnków i płaczliwy warkot zaniepokojonych droidów. Nie słychać było jednak odgłosów blasterowego ognia. Po chwili głosy zaczęły się oddalać.

- Tam są drzwi na zewnątrz - oznajmiła Allana. - Chodźmy!

Przebiegli resztę korytarza. Allana omal nie upadła, poślizgnąwszy się na kałuży rozlanego sosu, ale Emala ją złapała. Przed nimi, po drugiej stronie kuchni, za porozrzucanymi naczyniami, widać było zarys drzwi.

Allana nie musiała im ich pokazywać. Squibowie też je dostrzegli i trójka niebieskich gryzoni oraz jedna dziewczynka pomknęli razem ku wolności.

- Co ta dziewczyna, u licha, zrobiła? - wrzasnął Han do swojej żony, wychylając się, żeby oddać strzał, i zaraz schował się przed nieprzyjacielską wiązką, która osmaliła durabetonową donicę.

Leia już zaczęła tłumaczyć, ale przerwał jej ledwie słyszalny świergot jej komunikatora.



- Babciu?

- Kochanie, gdzie jesteś?

- Jestem w kosmoporcie.

Leia uchyliła się przed odstrzelonym kawałkiem durabetonu.

- Squibowie są razem z tobą?

- Wszyscy tu jesteśmy. Na statku Zekka.

Leia i Han patrzyli na siebie przez całą sekundę, zanim uwagę Hana rozproszyła kolejna seria strzałów.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją Allana. - Już wcześniej zauważyłam Zekka i Taryn.

Tym razem kapelusz nic jej nie dał. Wiem, jak wygląda jego statek, i użyłam Mocy, żeby go otworzyć. Jesteśmy bezpieczni i czekamy na was.

- No cóż, to upraszcza sprawę - stwierdziła Leia, zwracając się do Hana i Allany jednocześnie. - Trzymaj się, kochanie. Już idziemy. - Wyłączyła komunikator.

- Nie wierzę, że się w tym połapała - jęknął Han.

- A ja wierzę - odparła Leia. - W końcu to Solo.

Han rzucił jej krzywy uśmiech, po czym wychylił się, żeby oddać strzał. Leia włączyła komunikator.

- Zekk? Allana was rozpoznała. Jest na twoim statku.

- Co takiego? - odezwał się zdumiony głos Zekka. Leia wiedziała, gdzie on jest. Razem z Taryn znajdowali się kilkadziesiąt metrów od nich i odpierali ataki... żołnierzy? Wynajętych zbirów? Leia nie miała pojęcia, kim są napastnicy, ale podejrzewała, kto może to wiedzieć.

- Odciągnijcie tych, którzy do was strzelają, a potem wracajcie do kosmoportu. My zrobimy to samo.

- Dobra.

Leia spojrzała na restaurację. Zauważyła, jak Allana przechodzi przez drzwiczki w rozmiarze przystosowanym dla droidów kelnerów, dzieci i Squibów, była jednak przekonana, że jej wnuczka znalazła też tylne wejście normalnej wielkości. To była ich szansa.

Usłyszała, że odgłosy blasterowego ognia się oddalają. Zekk i Taryn odciągali przeciwników. Nadszedł czas. Bywali z Hanem w tak wielu podobnych miejscach, że nie musiała mu nawet mówić, co zamierza.

- Gotów? - zapytała.

- Zawsze, skarbie.

Dała mu swój pistolet blasterowy. Han wstał z bronią w każdej ręce i zaczął się intensywnie ostrzeliwać. W tej samej chwili Leia machnęła lewą ręką. Dwóch napastników poleciało do tyłu.

Podniosła teraz prawą rękę i metalowy stół uniósł się w powietrze.

Posługując się Mocą, Leia cisnęła stołem najmocniej, jak potrafiła, w główne skupisko strzelających.

Stół runął na nich i grad blasterowego ognia ustał. Leia odwróciła się i popędziła w stronę wejścia do restauracji, a Han tuż za nią.

- Dlaczego nigdy nie możemy po prostu posiedzieć, żeby zjeść coś dobrego? - narzekał Han, doganiając ją.

Leia zerknęła na porozrzucone jedzenie, potłuczone talerze i zniszczone garnki, kierując się w stronę tylnego wejścia.

- Może powinieneś dawać większe napiwki - zasugerowała.

## **ROZDZIAŁ 17**

### **Na pokładzie „Cienia Jade”**

- Tato - odezwał się Ben przesadnie cierpliwym tonem, jakiego używa się, mówiąc do dziecka - zabraliśmy ją na Korribana. No wiesz, na ojczystą planetę Sithów. I nie dość, że nie zwróciła się przeciwko nam, ale jeszcze nas obroniła.

- Wiem - odparł Luke. Słuchał syna, ale wzrok miał skierowany na obracającą się powoli niebiesko-zieloną kulę. Planeta, której przyglądał się tak intensywnie, składała się z oceanów, z bagien i bardzo niewielkiej ilości suchego lądu. Stanowiła więc wyraźny kontrast z Korribanem, który był ich ostatnim przystankiem. Jednak według Luke'a była równie niebezpieczna.

Może nawet bardziej.

- No bo... te tuk'ata były naprawdę groźne, a ona kazała im zostawić nas w spokoju i posłuchały jej.

- Wiem, Ben... byłem przy tym.

Ben wiercił się przez chwilę w milczeniu.

- I była ich cała sfera, i...

- Ben! - Głos Luke'a nie brzmiał gniewnie, ale był stanowczy i podszyty irytacją.

- Opuść, póki jesteś górą - poradziła chłopcu Jaina.

Ben rzucił jej sceptyczne spojrzenie.

- Tak jak ty? - odciął się.

Luke się wyłączył, koncentrując się na zwodniczo spokojnie wyglądającym świecie, który miał przed sobą. Na takiej wodnistej planecie problemem było nawet znalezienie bezpiecznego miejsca do lądowania, chociaż Luke nie był pierwszym Jedi, który tu wylądował. Wcześniej był tu już Kyle Katarn.

A także Mara.

Oboje mieli szczęście, że uszli z życiem.

Ten świat był wyjątkowo niebezpieczny; Luke uważał, że Jedi nie są gotowi, by zgłębić jego tajemnice. Przez długi czas pozostawał więc mitem, tematem dydaktycznych opowiadań, które miały być przestrożą dla młodych uczniów przed pokusami Ciemnej Strony.

Jednak Dromund Kaas był prawdziwy. Mrocznie, przerażająco, niebezpiecznie prawdziwy, a oni mieli wkrótce na nim wylądować.

Dyskusja - kłótnia byłaby zbyt mocnym określeniem - którą toczył z Benem, dotyczyła tego, czy Vestara powinna zejść z nimi na jego grząską powierzchnię. Młody Rycerz Jedi przedstawił

argument, z którym Luke nie mógł się nie zgodzić. Vestara faktycznie mogła napuścić na nich psy Sithów, zyskując przynajmniej tyle czasu, żeby dotrzeć do „Cienia” i uciec nim. Tymczasem ona ochroniła ich wszystkich, może nawet narażając siebie na niebezpieczeństwo.

Nie było to zachowanie typowe dla Sitha.

Wydawało się bardziej w stylu Jedi. A ona zrobiła to spontanicznie, szybko i bez namysłu.

Luke'owi się to wcale nie podobało.

Rozsiadł się wygodnie, rozciągając się jak długi w fotelu. Vestara wyszła z odświeżacza, gdzie wzięła szybki paroprysznic, popatrzyła na trzy pary utkwionych w niej oczu i powiedziała:

- No dobra, co teraz?

- Nic... - zaczął Ben, ale przerwał mu Luke.

- Zastanawiałem się, czy rozsądnie będzie zabrać cię na powierzchnię Dromund Kaas.

Vestara przechyliła głowę.

- Ach, tak? Myślałam, że nie masz nic przeciwko temu, że bym wam towarzyszyła. Dlaczego zmieniłeś

zdanie? - Nie wyglądała na urażoną, jedynie zaciekawioną.

- Nie powiedziałem, że zmieniłem. Po prostu się zastanawiam. - Luke wskazał ruchem głowy na obraz planety. - To bardzo niebezpieczne miejsce. I bardzo, bardzo silne Ciemną Stroną Mocy.

Vestara skrzyżowała smukłe ręce na piersi i oparła się o gródź. Uniosła brew, patrząc Luke'owi cały czas w oczy.

- Nie bardzo rozumiem, czym się pod tym względem różni od Korribana czy innych miejsc z listy Jainy i Natui.

- Chodzi o pewne interesujące historycznie aspekty tego świata - odparł Luke. - Rzeczy, o których wiem tylko ja... i być może ty, zależnie od tego, czego dowiedziałas się od Statku. Chodzi o to, że świat ten był kolonią Imperium Sithów, ale popadł w zapomnienie po wielkiej wojnie nadprzestrzennej. Został odkryty na nowo przez armadę Sithów, która błąkała się przez dwadzieścia lat. Brzmi znajomo?

Vestara zacisnęła zęby, ale nic nie powiedziała. Emocje Bena w Mocy wzrosły.

- Odbudowali potem ten świat - ciągnął Luke - i uczynili go stolicą nowego Imperium Sithów. Aż wreszcie i ono upadło. Po raz kolejny planeta odkryta została przez kogoś, kto odrzucił

Zasadę Dwóch, uważając, że Ciemnej Strony wystarczy dla wszystkich.

- Tato... - wtrącił Ben.

Luke uniósł rękę.

- Stworzył on religię znaną jako Ciemna Moc. Wciąż znajduje się tu świątynia, którą przez wieki opiekowali się Mroczni Prorocy. Jest tak przesiąknięta Ciemną Stroną, że wytworzyło się wokół niej odrębne skupisko energii, tak potężne, że zakłóca działanie wszelkiej broni i technologii poza mieczami świetlnymi.

- No cóż - powiedziała powoli Vestara - to dobrze, że wszyscy umiemy się nimi posługiwać, prawda?

- Myślę, że wiesz, o co mi chodzi.

- Uważasz, że istnieją podobieństwa między korzeniami tej kultury i mojej? Istoty są zawsze istotami, Mistrzu Skywalker. Galaktyka zaś jest stara i pełna przeróżnych historii.

- A Sithowie są Sithami.

- A zatem będę nieuchronnie przyciągana przez to skupisko energii Ciemnej Strony, tak?

- Mistrz Kyle Katarn jej uległ - oznajmił Luke i wyczuł szok w aurze u Bena i Jainy. -

Powrócił na Jasną Stronę Mocy tylko dzięki swojej uczennicy. Matce Bena.

- Ironia losu - zauważyła Vestara. - Mistrz Jedi, ocalony przed Ciemną Stroną przez kobietę, która była kiedyś Ręką Imperatora.

- Mara nigdy nie była Sithem - przypomniał Luke.

- Więc co proponujesz? - Od Sithanki bił chłód. Jednak jej gniew, którego Luke się spodziewał, pomieszany był z czymś jeszcze. Z poczuciem krzywdy. - Według mnie masz trzy możliwości. Pierwsza: możesz mnie zabić, i po problemie. Druga: zostawić Bena albo Jainę, żeby mnie pilnowali, ograniczając tym samym swoje siły do dwójki Jedi zamiast trojga Jedi i mnie.

Trzecia: możesz zabrać mnie ze sobą. To twój statek, twoja misja i twoja decyzja. Ale jeśli naprawdę uważasz, że zechcę zwrócić się przeciwko wam tylko dlatego, że znajdę się na planecie Sithów, po tym wszystkim, co widziałeś do tej pory, to powinieneś zacząć rozważać opcję numer jeden, bo wszystkie inne będą wam utrudniać zadanie albo rozpraszać uwagę. I, szczerze mówiąc, jestem już tym zmęczona.

Luke był zaskoczony. Jaina również. Ben się nie zdziwił, a Luke wyczuwał jego dumę i radość promieniujące w Mocy niczym słońce.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wreszcie przemówił Luke.

- Podobieństwa między historią Dromund Kaas i dziejami Zapomnianego Plemienia mogą być dla Sithów pociągające. Mogą dostrzegać w tym przeznaczenie. Na szczęście dla nas niewiele jest na tej planecie twardego gruntu, co zawęzi obszar poszukiwań. Niestety to działa w obie strony; jeśli Plemię faktycznie się tu ukrywa, stosunkowo łatwo będzie nas zauważyć. Będziemy musieli się nawzajem pilnować. Jeśli Mistrz Katarn uległ Ciemnej Stronie, może to spotkać także każdego z nas. Nie tylko Vestarę.

- I raczej nie ciebie - odparł Ben. Głos miał wciąż ponury, ale złagodzony nieco przez decyzję Luke'a.

- Prawdopodobnie nie. Ja już tam byłem i wcale mi się nie podobało. Ruszajmy, ale pamiętajcie... tam będzie grząsko.

Okazało się to eufemizmem. Ben miał wrażenie, że samo znalezienie miejsca do lądowania

- jak uprzedzał jego ojciec - ciągnie się w nieskończoność. Luke'a interesowały w szczególności dwa miejsca: potężne Miasto Kaas, które z powietrza miało równie wielkomijski wygląd jak większa część Coruscant, oraz Mroczna Świątynia.

Na orbicie nie było śladu żadnych okrętów - ani fregat ChaseMaster, ani Statku. Według Vestary istniało prawdopodobieństwo, że statki wylądowały i zostały ukryte albo zgromadziły się gdzie indziej.

Zanurkowali pod pokrywą chmur. Ich oczom ukazał się świat w ponurych - nawet przy dziennym

światle - odcieniach szarości, błękitu i zieleni. Pod nimi rozciągało się Kaas; mroczne, jak przystało na miasto Sithów, bez żadnych świateł, które by wskazywały, że jest obecnie zamieszkane. Był to precyzyjnie zaprojektowany, choć złowrogi krajobraz, złożony głównie z kanciastych brył wznoszących się ku niebu i poprzątkanych gdzieniegdzie wieżami, które świadczyły o tym, że dawnych Sithów łączył z Zapomnianym Plemieniem także zmysł estetyczny.

Mimo że miasto wyglądało na opuszczone, Luke odbił szybko w bok.

- Zaczniemy od świątyni, to jest kawałek na zachód - oznajmił, sadzając z wprawą pięćdziesięciopięciometrowy „Cień Jade” na mniej więcej pięćdziesięciometrowym skrawku twardego gruntu pośrodku parujących, nieruchomych bagien. - To bardziej uregulowany i znacznie mniejszy teren niż miasto.

- Wolalabym nie zwiedzać całego miasta Sithów na piechotę, gdybym miała jakiś wybór -

stwierdziła Jaina. - Jest tam mnóstwo potencjalnych kryjówek. To idealne miejsce na zasadzkę, a na tej przestrzeni nie mielibyśmy z nimi szans.

- Poza tym - wtrąciła Vestara - jeśli Zapomniane Plemię tu jest, to mogli zamieszkać w mieście, ale z całą pewnością najpierw odwiedzili świątynię. Skupisko energii przyciągnęłoby ich, tak jak Sadzawka Wiedzy przywoływała Taalona. Powinniśmy natrafić na jakieś oznaki świadczące o tym, że ktoś tam ostatnio był.

Ben uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. To, co jego ojciec opowiedział o historii Dromund Kaas, wstrząsnęło nim. Do tej pory sądził, tak samo jak wszyscy, że to jedynie mit. Ale porównania, jakie przeprowadził Luke, budziły niepokój. Wierzył jednak w Vestarę, a wiara ta nie opierała się tylko na nadziei, ale i na tym, co widział. Na tym, jak się rozwijała. Na tym, co czuł z jej strony, a nie do niej. A w dodatku zdobyła się na celną ripostę na temat jego matki i Kyle’a Katarna.

Mimo wszystko wiedział, że to Vestara jest najbardziej narażona na niebezpieczeństwo.

Luke, jak sam opowiadał, był już po Ciemnej Stronie i wrócił. On, Ben, znalazł się swego czasu niebezpiecznie blisko jej granicy - dostatecznie blisko, żeby dobrze się jej przyjrzeć i ją odrzucić.

Życie Jaina także zostało przez nią nieodwracalnie zmienione. Ale co do Vestary - wiedział, że pod wieloma względami dla niej to będzie jak powrót do domu.

Jednak to samo można było powiedzieć o Korribanie, a wszyscy widzieli, jak się tam zachowała.

Gdy tylko zeszli po rampie i ich buty zachlupotały w bagnie, delikatny, ciepły wietrzyk przyniósł obrzydliwy smród nieświeżej wody. Ben pomyślał, że gdyby Ciemna Strona miała zapach, byłby to właśnie ten fetor - prawie słodki, jak zwykle zgnilizna, duszący i wszechobecny.

Energia Ciemnej Strony, jak ostrzegał Luke, była tutaj niezwykle silna, równie silna - na swój sposób, jak na Korribanie. Tam była intensywna i niemal arogancka, żądna władzy. Tutaj wydawała się bardziej podstępna, raczej jak czyste, bezinteresowne zło, niż paliwo napędzające żądzę władzy.

W wysokiej temperaturze wilgotne powietrze zdawało się lepkie, niczym dotyk mokrej skóry.

Zrobiło mu się niedobrze, zarówno fizycznie, jak i duchowo.

Ich cel znajdował się prosto przed nimi. Świątynia Sithów, siedziba Mrocznych Proroków i niezwykle silne skupisko Ciemnej Mocy, majaczyła w oddali - czarna, ponura sylwetka na tle szarego nieba, tajemnicza i niewyraźna poprzez mgłę, która miejscami przechodziła w mżawkę.

Żadne światła nie rozjaśniały jej zimnego mroku.

- Wujku Luke, zabierasz nas w same najprzyjemniejsze miejsca - zauważyła Jaina.

- Zabiorę ciebie i Jaga na kolację do Wieży Indygo, jak wrócimy - obiecał Luke. - Ostatnim razem chyba nie zdążyliście wiele zjeść, jeśli dobrze pamiętam.

- Proszę, nie mów nic o jedzeniu - jęknął Ben. - Mój żołądek już ma ochotę pozbyć się obiadu.

Jedynie Vestara jakby nie czuła smrodu. Uśmiechnęła się znacząco i powiedziała:

- Możesz to powstrzymać, używając Mocy.

Ben miał już zganić Vestarę za jej nazbyt swobodne traktowanie Mocy, gdy zdał sobie sprawę, że sam nieraz robił to samo podczas tej dziwnej odysei, którą odbywał ze swoim ojcem.

Żołądek znów podszedł mu do gardła, więc posłuchał rady Vestary. Czasami „codzienne zastosowanie Mocy” było bardziej koniecznością niż kaprysem. Nikomu nie przyniosłoby to żadnej korzyści, gdyby teraz dostał torsji.

Luke przystanął na chwilę, penetrując wzrokiem i innymi zmysłami okolicę.

- Ktoś coś wyczuwa?

Ben zanurzył się w Mocy, otwierając się na obrzydliwe doznania Ciemnej Strony i wykorzystując zmysły - nawet węch, przynajmniej chwilowo - żeby zebrać jak najwięcej informacji.

- Poza tym, co oczywiste, czyli całymi tonami energii Ciemnej Strony, nic nie czuję - oznajmiła Jaina.

Vestara także pokręciła głową.

- Nie czuję tu obecności nikogo znajomego.

Luke spojrzał na syna.

- Nic - odparł Ben.

- W porządku, ale pamiętajcie, że na tym świecie żyją isalamiry. Nie można wykluczyć, że jeśli

Sithowie tu są, to o tym wiedzą i wykorzystują je do ukrycia swojej obecności.

- Nie można też wykluczyć, że padniemy na twarz, kiedy będziemy przelatywać koło drzewa - dodał Ben.

- Owszem - zgodził się Luke. - To nawet bardziej prawdopodobne. - Cała czwórka przeskakiwała, posługując się Mocą, z jednego suchego miejsca na drugie, uważając na drzewa, kryjące isalamiry i wytwarzane przez nie, blokujące Moc bąble. Kierowali się na południowy zachód od miejsca, gdzie wylądowali. Nie musieli się obawiać, że zabłądzą, mając przed sobą tak charakterystyczny punkt orientacyjny.

Niekiedy mylili się w ocenie zdradzieckiego terenu albo zaskakiwały ich bąble isalamirów i zamiast na twardym gruncie, lądowali w zarośniętych trzciną bagnach. Tam, gdzie nie było błota ani wody, natykali się na pnącza, korzenie i chwasty, i musieli torować sobie drogę mieczami świetlnymi. Wkrótce wszyscy czuli, że bardzo by się im przydał paroprysznic.

- Chyba wolałam już Korribana - stwierdziła Jaina. Kosmyki brązowych włosów przykleiły jej się do czoła, częściowo od potu, częściowo od wilgotnego powietrza.

- Ja też - poparł ją Ben, drapiąc się po głowie. - Tam przynajmniej było sucho.

- I były szczeniaki - dodała Vestara, wykorzystując Moc, żeby uwolnić się z bagiennej pułapki. - Kto nie lubi szczeniaków?

Takimi ponurymi żartami próbowali podtrzymywać się na duchu i nie dopuścić, żeby wszechobecna, złowieszca obecność Ciemnej Strony całkowicie wytrąciła ich z równowagi. Luke uniósł rękę i natychmiast zamilkli, słuchając z uwagą.

- Jesteśmy jakieś dwa kilometry od świątyni - powiedział Luke. - Z pewnością wszyscy to czujemy. W miarę jak będziemy się zbliżać, to uczucie będzie coraz silniejsze. Musimy być bardzo ostrożni.

Pokiwali głowami i ruszyli naprzód bez słowa. Ostrzeżenie Luke'a odebrało im ochotę nawet do wymuszonych żartów. Uwaga Bena kierowała się na Vestarę, ale nie w zwykły, przyjemny sposób. Obserwował ją kątem oka z nadzieją - i z wiarą - że nie zwróci się nagle przeciwko nim, zdawał sobie jednak sprawę, że wciąż istnieje taka możliwość.

Przemoczony od upadków do wody i mżawki Ben czuł coraz większy chłód, w miarę jak posuwali się naprzód. Wiedział, że nie ma to nic wspólnego z jego ciałem, natomiast bardzo wiele z duchem - i z Mocą. Mroczna Świątynia przestała być posępnym, niepokojącym kształtem na horyzoncie, a stawała się coraz bardziej realnym zagrożeniem. Zanurzył się w Mocy, zwiększając czujność, podobnie jak na Korribanie. Tam zostali zaatakowani przez tuk'ata. Tutaj Ben czuł, że na obrzeżach jego zmysłów Mocy czai się coś jeszcze gorszego.

Luke zatrzymał się jakieś dwadzieścia metrów od świątyni. Odpiął swój miecz świetlny, ale na razie go nie zapalał. Ben poszedł za jego przykładem, czując w Mocy wzmożoną czujność ojca.

Przez chwilę stali tak, podświadomie formując szereg, i przyglądali się świątyni.



Była zbudowana z litego kamienia, szara, masywna i ciężka od piętrzących się zagrożeń.

Emanujący z niej mrok był niemal jak głuchy dźwięk, tak niski, że nikt go nie słyszał, ale wszyscy czuli go w kościach albo we krwi. Ben z łatwością mógł uwierzyć, że blastery i inna zwyczajna broń energetyczna i technologia byłaby tu bezużyteczna. Miecze świetlne były zarazem prostsze i bardziej złożone; ich technologia była prostsza, jednak ze względu na swoje głębokie związki z Mocą były znacznie bardziej skomplikowane od Masterów.

W przyćmionym świetle nie mogli nie dostrzec pary olbrzymich, złotych posągów -

zakapturzonych postaci z rękami złożonymi na głowicach mieczy. Postaci wyglądały w tym ciemnym, wilgotnym miejscu nawet groźniej niż te, które Ben widział na pustyni Korribana. U

podstawy świątyni wiły się pnącza o złowieszczych kwiatach i prawdopodobnie zabójczych kolcach.

- Co czujecie? - spytał cicho Luke, rozglądając się dookoła.

- Tu jest skupisko - odpowiedziała szybko Jaina.

- Właśnie - potwierdził Ben. - I... jakieś przejawy Ciemnej Mocy, ale niezbyt blisko.

Przynajmniej na razie.

- Jest... taka silna - wyszeptała Vestara. Ben obejrzał się na nią. Brązowe oczy miała szeroko otwarte, a jej głos wyrażał jednocześnie przerażenie i fascynację.

- Vestaro - powiedział Luke ostro, ale nie gniewnie. Dziewczyna zamrugnęła, jakby budziła się z odrętwienia. - Czy wyczuwasz jakieś ślady Sithów lub Abeloth?

Pokręciła głową, odzyskując czujność.

- Nie. To skupisko energii praktycznie wszystko zagłusza.

- Zgadza się - odparł Luke. - Poszukajmy bardziej zwyczajnych śladów. Nie wychodźcie poza dziedziniec, tak żebyśmy się widzieli nawzajem. Jeśli coś znajdziecie, dajcie mi znać przez komunikator. Ale nie zbliżajcie się na razie do wejścia. Wejdziemy wszyscy razem.

Ben z ulgą przyjął te instrukcje. Weszli na główny dziedziniec i grunt pod stopami ustąpił

miejsca rzeźbionym, inkrustowanym płytom. Podobnie jak na Korribanie, były ozdobione niepokojącymi obrazami: oczy, pięciopalczaste dłonie, pazury. Zostały stworzone rytualnie i nasycone energią Ciemnej Strony, a Ben miał wrażenie, jakby szedł boso po lodzie.

Luke i Jaina ruszyli w kierunku lewej zewnętrznej ściany świątyni, każde do innego rogu.

Ben i Vestara skierowali się na prawo. Vestara poszła przodem, żeby przyjrzeć się wiekowym

grzejnikom, Ben zaś spuścił wzrok na złowrogie kamienne płyty. Nie przyglądał się jednak ornamentom; szukał śladów stóp, świeżego błota lub płyt, które by wystawały, tak jakby zostały niedawno obruszone.

- W tych grzejnikach od dawna nikt nie palił. - Ben usłyszał głos Vestary przez komunikator, mimo że była zaledwie parę metrów od niego. Zdał sobie sprawę, że odkąd podeszli do świątyni, mówili do siebie ściszonymi głosami. Nie było w tym nic dziwnego; żadne z nich -

najwyraźniej także i Vestara - nie chciałoby ujawnić ich obecności, na wypadek gdyby gdzieś w pobliżu czaiła się Abeloth lub Sithowie. Jednak Ben wiedział, że jest też inny powód.

Tutaj się czaiła Ciemna Strona.

- No, ja też nie widzę tu żadnych śladów poza naszymi własnymi - powiedział.

Minęło parę minut. Ben czuł, jak jego czujność i lęk ustępują miejsca irytacji i frustracji.

Włączył ponownie komunikator, ale tym razem zwrócił się do ojca.

- Nic tu nie ma, tato.

- Tutaj też nie - odparł Luke. Ben ściągnął wzrokiem Vestarę, skinął głową i wrócili na środek dziedzińca, gdzie dołączyli do nich Jaina i Luke. Jaina wyglądała, jakby miała ochotę walnąć w coś pięścią, a Luke miał zawiedzioną minę.

- Wcale mi się to nie podoba - oświadczył bez ogródek. - Ponad pół tuzina przeszukanych miejsc i nikt nic nie znalazł. Kompletnie nic.

- No cóż - powiedział Ben w nietypowej dla siebie roli - kogoś, kto stara się uspokoić ojca. -

Galaktyka jest duża.

- Oczywiście - przyznał Luke - ale i tak powinniśmy cokolwiek znaleźć. Dziwię się, że Abeloth nie próbowała chociaż... zadrwić z nas w jakiś sposób. Ona potrzebuje widowni.

Tymczasem niemożność znalezienia czegokolwiek związanego czy to z nią i Statkiem, czy to z Zapomnianym Plemieniem... - Pokręcił głową. - To wszystko nie trzyma się kupy. Ona nie ukrywa się dlatego, że się nas boi. Ukrywa się dlatego, że coś knuje. A jeśli dodać do tego niewyjaśnione zniknięcie Zapomnianego Plemienia... Jestem gotów się założyć, że kombinują razem. A jeśli Abeloth i Zapomniane Plemię znikają z pola widzenia, żeby coś zaplanować, to można się spodziewać czegoś bardzo niedobrego.

Wszyscy, nawet Vestara, wyglądali na zmartwionych jego słowami.

- No cóż, tutaj ich chyba nie znajdziemy - westchnął Ben.

- A mnie się wydaje - odezwał się niski, głęboki głos - że już znaleźliście.

## ROZDZIAŁ 18

Było ich dziesięcioro - wszyscy byli Mieczami Sithów. Schodzili po schodach świątyni, a zapalone miecze świetlne rzuciły złowieszczą czerwoną poświatę na ich twarze wykrzywione szyderczymi uśmiezkami. Na czele szedł człowiek, którego Luke miał nadzieję nigdy więcej nie oglądać.

Gavar Khai.

Ben odwrócił się gwałtownie w stronę Vestary, włączając równocześnie własny miecz świetlny. Nie wiedział, jak to zrobiła, ale musiała jakoś skontaktować się ze swoim ojcem. Nie powinien był...

Jej miecz świetlny był już zapalony, podobnie jak Luke'a i Jaina. Jednak piękna i zdradziecka córka Gavara Khai nie patrzyła w stronę Bena ani nawet Luke'a, tylko na swojego ojca. Była blada, a oczy miała otwarte szeroko z szoku i... strachu?

Oczy Gavara Khai zaś, zmrużone i gniewne, skierowane były na nią.

- Jesteś zbyt przewidywalna - powiedział Luke. - W swoich przyszłych misjach szpiegowskich powinnaś przeplatać zdradę z wiarygodnością.

Wzrok Mistrza Jedi skierowany był na Sithów, nie widział więc reakcji Vestary, a może nawet jej nie poczuł.

- Tato... - zaczął Ben.

- To nieprawda - powiedziała Vestara. Luke chyba wyczuł wreszcie jej przerażenie, bo rzucił jej szybkie spojrzenie, cały czas gotowy do ataku. Stojąca obok Jaina ściągnęła w skupieniu ciemne brwi i drżała jak trzymane na uwięzi zwierzę, gotowa udekorować świątynię kawałkami Sithów.

- Moja żenująco uległa córka nie kłamie - oświadczył Khai. - Taki potencjał... i takie rozczarowanie! Twoja matka nie żyje, Vestaro.

Niezaprzeczalna i przejmująca prawda uderzyła Bena.

- Co? - wykrztusiła Vestara, po czym dodała z rosnącym przerażeniem: - Ty... ty ją zabiłeś?

- Nie. Ale nie zapobiegłem temu - odparł Khai. - Teraz zacznę wszystko od nowa. Nowa żona, nowe dziecko. Jedno i drugie można łatwo zastąpić. - Vestara, zwykle panująca nad emocjami, drgnęła, jakby poczuła uderzenie. - Brać ich. - Zanim Ben się zorientował, Khai zeskoczył ze schodów, posługując się Mocą, i ruszył do ataku.

Prosto na Vestarę.

Ben ruszył w jego stronę, ale wyczuł, że sam jest atakowany. W ostatniej chwili wyskoczył

w górę, zrobił salto i wyrzucił obie nogi przed siebie. Jedną z nich trafił w twarz Sitha, aż zachrząściła pod jego butem. Drugi Sith zdążył się uchylić. Ben usłyszał skwierczenie zbliżającego

się miecza świetlnego i poderwał nogę w samą porę, żeby uniknąć jej odcięcia, jednak stracił przez to równowagę i upadł niezdarnie na kamienną posadzkę. Przetoczył się, uciekając przed opadającym mieczem świetlnym, zrobił to jednak o ułamek sekundy za późno i czerwona klinga przypaliła mu ramię.

Ignorując ból, Ben poderwał się do góry i wylądował w przysiadzie. Trójka Mieczy zwróciła się w jego stronę. Z ich aury w Mocy biła pewność siebie. Ben uśmiechnął się w duchu.

Trzymanym w jednej ręce mieczem świetlnym parował klingi dwóch wrogów, drugą ręką zaś posłał trzeciego z nich w powietrze przy użyciu Mocy. Przezornie skierował lecącego Sitha wprost na Gavara Khai, który nacierał na swoją latorośl z taką zaciekłością, że ich klingi zdawały się tylko niewyraźną plamą.

Ben usłyszał jęk bólu Khaia, ale musiał skupić ponownie całą uwagę na pozostałych dwóch Mieczach. Wędrował wzrokiem między nimi, skupiając na sobie ich spojrzenia, a równocześnie, posługując się Mocą, wyrwał jedną z kamiennych płyt i zrzucił ją z głuchym, ostatecznym hukiem na głowę tego, który stał po lewej. Sith upadł ze zmiażdżoną czaszką, a Ben poczuł ogarniający go niepokój, zwracając się ku ostatniemu z nich.

Luke i Jaina walczyli zwrócenii do siebie plecami. Atakujący ich Sithowie mieli dwa atuty.

Jednym była przewaga liczebna, drugim zaś fakt, że wspomagała ich energia Ciemnej Strony, której skupisko znajdowało się w świątyni. Wylewała się ona zewsząd niczym psychiczne ścieki, spowalniając reakcje Jedi, a jednocześnie napędzając ich wrogów.

Luke jednak walczył już wcześniej z członkami Zapomnianego Plemienia i znał ich styl.

Wiedział też, że do niedawna mieli jedynie okazję toczyć walki sparingowe i najwyżej pojedynki między sobą, musieli się więc jeszcze wiele nauczyć. Ale nawet Luke Skywalker nie mógł sobie pozwolić choćby na chwilę dekoncentracji w walce z sześcioma Sithami.

Czuł Jainę w Mocy, silną i spokojną. Stała tuż za nim, zwrócona do niego plecami, ale nie dotykając go. Połączeni przez Moc i więzy krwi, stworzyli zabójczy dla szóstki atakujących Sithów duet. Skakali, robili uniki i zadawali ciosy tak szybko i zgodnie, że ktoś obserwujący całą scenę z boku mógłby pomyśleć, że ich ruchy stanowią układ choreograficzny. Raz po raz któryś z Sithów nacierał z nadmierną pewnością siebie i trafiał niechcący jednego ze swoich towarzyszy. Wkrótce już dwóch leżało na ziemi i przewaga liczebna wynosiła tylko dwa do jednego.

Luke słyszał skwierczenie uderzających o siebie mieczy świetlnych za plecami, w odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów. Poczuł drażniący smród palonej skóry, gdy Jaina zadała celny cios. Mistrz Jedi, spokojny i skoncentrowany, wykonał fintę i zaatakował jednego z wrogów od dołu, płynnym ruchem odcinając mu obie nogi. Sith runął, ale nawet nie krzyknął. Luke miał przed sobą ostatnią przeciwniczkę. Popatrzył bez złości w zmrużone oczy Keshiri i wyczuł u niej pierwsze oznaki strachu.

- Postaram się zrobić to szybko i pewnie - zapewnił ją niemal ze współczuciem i natarł  
zdecydowanie.

Przez krótką chwilę Vestara była tak oszołomiona tym, co zrobił jej ojciec, że stała bez ruchu, kiedy się na nią rzucił.

Z pewnością był to wybieg mający odwrócić uwagę Jedi, tak żeby Sithowie mogli ich zniszczyć. Gdyby już zostali zlikwidowani lub pojmani, ona mogłaby wytłumaczyć wszystko swojemu ojcu. Byłby w dobrym humorze po takim zwycięstwie i...

Ale to nie jest „Papa”, pomyślała.

To jest ojciec. I ten ojciec chce mnie zabić.

Mając zaledwie ułamek sekundy na reakcję, Vestara podniosła miecz świetlny i zablokowała cios, który z pewnością byłby śmiertelny. Ojciec popatrzył z odrazą w ciemnych, przesywających oczach i splunął na nią.

- Zhańbiłaś moje nazwisko! - krzyknął. - Może nawet nie jesteś moją córką!

Vestara przypomniała sobie teoretyczną dyskusję, jaką prowadziła z Benem - o tym, co by zrobiła, gdyby okazało się, że jej matka miała romans. Ogarnął ją gniew. Matka kochała ojca.

Nigdy by go nie zdradziła.

Ale Vestara tak.

Czy już tego nie zrobiła? Czy zdrada wyrażała się w czynach, czy w myślach? Czyjej „listy” do fikcyjnego ojca Jedi były zdradą?

Odepchnęła od siebie tę myśl i przywołała pałący gniew, wykorzystując go do walki - tak jak ją tego nauczył. Wyczuł w niej zmianę i uśmiechnął się pogardliwie.

- Teraz sobie przypomniałaś moje nauki? - warknął. - Za późno, żebyś mogła się uratować.

Wybił się w górę i przeskoczył nad nią, odwracając się w locie, żeby zadać cios wymierzony w głowę. Vestara się uchyliła i skierowała własną czerwoną klingę w górę, odbijając broń ojca, tak że musiał się obrócić, żeby nie trafić sam siebie. Była zaskoczona, jak łatwo jej to przyszło. Czyżby zrobiła tak duże postępy przez ten czas, który spędziła ze Skywalkerami?

- Bardzo dobrze - zauważył Khai. - Rozwinęłaś swoje umiejętności Ale nie twoją lojalność.

Nagle Vestara zrozumiała, co się dzieje. Wiedziała już, dlaczego sprawiał wrażenie, jakby nie panował nad sobą; on, Miecz Gavar Khai, który szczycił się tym, że Wykorzystywał własne emocje w sposób, jaki uznał za stosowny, i który nigdy się im nie poddawał. Z tą świadomością to ona poczuła się zdradzona.

- A wobec kogo ty jesteś lojalny, ojczy? Chyba nie wobec Zapomnianego Plemienia!

Zszokowany opuścił na chwilę gardę. Wykorzystała to i natarła, pozorując atak z lewej, by następnie uderzyć świecą czerwoną klingą z prawej strony. Uchylił się zwinnie i szybko odzyskał

równowagę. Ich ostrza zwały się; Khai przekręcił swoją broń i, wykorzystując zarówno moment obrotowy klingi, jak i Moc, omal nie wyrwał jej dłoni z nadgarstka. Vestara wypuściła miecz świetlny z ręki, a jej ojciec ruszył, żeby zadać śmiertelny cios.

Vestara, z mocno bijącym sercem, wyciągnęła jedną rękę w kierunku ojca, rozcapierzając palce, drugą zaś w bok. Miecz świetlny pofrunął do jej dłoni, podczas gdy ojciec, odepchnięty Mocą, cofnął się chwiejnym krokiem. Wyglądał na zaskoczonego. Usta dziewczyny wykrzywił

zjadliwy uśmiech. Rzuciła się na niego, zasypując go gradem ciosów i krzycząc. Zdumiał się jeszcze bardziej, bo musiał użyć całego swojego kunsztu, żeby odeprzeć jej atak.

W Vestarze kłębiły się sprzeczne emocje. Furia, nienawiść, ból, miłość - przywołała je do siebie i wszystkie wykorzystała. Ojciec niegdyś ją kochał, a jednak wykorzystał do własnych celów.

A kiedy się potknęła, nie wybaczył jej. Nie wybaczył, ponieważ był Sithem, a Sithowie, którzy popełniają błędy, giną. Zdradziła Plemię, wpuszczając Bena do swojego serca, a mimo to była posłuszną córką. Wszystkie te sprzeczności, cała pokręcona logika - mogła to wszystko wykorzystać do podsycenia swojej przemożnej woli przeżycia.

Khai szybko doszedł do siebie.

- Niech i tak będzie - powiedział, widząc jej zdwojony zapał. - Kończę z tobą.

Nie. To ona skończy z nim.

Świat Vestary ograniczył się wyłącznie do tego pragnienia - zespolenia siły, woli i pasji.

Zostały tylko centymetry przestrzeni pomiędzy dwiema żywymi istotami... z których jedna miała wkrótce zginąć.

Ben coraz głębiej czerpał z Mocy - nie było to łatwe tutaj, tak blisko skupiska Ciemnej Strony, i kosztowało go wiele wysiłku. Dwoje z jego wrogów leżało na ziemi. Jeden nie żył. Druga, kobieta przecięta niemal na pół, wiła się w konwulsjach na kamiennych płytach z twarzą wykrzywioną niemym krzykiem.

Zmysły Bena, wyjątkowo wyostrzone, skupiły się nie tylko na walce z Sithami, ale też na obserwacji jego ojca, Jainy i Vestary. Tak jak się spodziewał, duet Skywalker-Solo, złożony z wuja i siostrzenicy, radził sobie znakomicie. Widział porzucane ciała i w przypiływie czarnego humoru pomyślał, że Sithowie, o których nietrudno było się teraz potknąć, okazali się bardziej niebezpieczni martwi niż żywi.

Wśród odgłosów bitwy rozległ się głos Vestary:

- A wobec kogo ty jesteś lojalny, ojciec? Chyba nie wobec Zapomnianego Plemienia!

Reakcja Gavara Khai była gwałtowna. Na tyle gwałtowna, że walcząca z Benem Keshiri przystanęła, jakby porażona. Była to tylko chwila nieuwagi, ale w walce Miecza Sithów z Rycerzem Jedi to wystarczyło. Ben się nie wahał; od razu zanurzył klingę w piersi Keshiri. Umarła z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

Ben odwrócił się i popatrzył najpierw w kierunku swojego ojca i Jaiiny. Nie potrzebowali pomocy, więc zwrócił się w stronę Vestary. Od razu zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie się martwił.

Vestara nigdy nie wyglądała piękniej ani bardziej zabójczo. Jej długie brązowe włosy powiewały pod wpływem szybkich ruchów, a miecz świetlny stanowił niewyraźną plamę. Gavar Khai zrobił krok w tył, potem kolejny i jeszcze jeden. Pomimo swojej supernowoczesnej protezy miał wyraźne trudności z odpieraniem wściekłego ataku swojej córki.

Vestara wydała przenikliwy, nieartykułowany okrzyk i natarła, wykorzystując wszystkie swoje umiejętności i całą szybkość.

Czerwona klinga przecięła szaty i ciało ojca od prawego ramienia do lewego biodra. Khai był martwy, zanim jeszcze upadł na ziemię.

Vestara wyciągnęła rękę. Wciąż zapalony miecz świetlny ojca, skwierczący na kamiennej posadzce, pofrunął ku niej. Dyszała ciężko, ściskając w obu dłoniach miecze świetlne, a jej skóra lśniła od potu i wilgotnego powietrza. Popatrzyła na Bena i ich spojrzenia się skrzyżowały.

Zagubiony w tym przeszywającym wzroku, Ben usłyszał jakby z oddali dźwięk wyłączanych mieczy świetlnych. Zrozumiał, że jego ojciec i Jaina wygrali swoją walkę. Odwrócił

się ku nim, gdy podeszli w jego stronę.

- W porządku? - spytał Luke.

- Taa - odparł Ben. - Mam oparzenie na ramieniu, ale chyba nic mi nie będzie. A wy?

- Będziemy potrzebowali maści z bacty, ale poza tym w porządku. - Luke popatrzył na Vestarę, a jego twarz miała wyraz zarazem ostrożny i życzliwy. - Nie sądzę, żeby twój ojciec chciał

zginąć po to tylko, żeby przekonać mnie, że go zdradziłaś - powiedział łagodnym głosem, jakim nigdy wcześniej się do niej nie zwracał.

Zamrugnęła szybko, jakby budząc się z odrętwienia.

- Ja... musiałam go zabić - wykrztusiła ochryłym głosem. - Musiałam zabić swojego ojca...

Ben podszedł do niej. Chciał dziewczynę pocieszyć, ale nie wiedział jak. Wszystko, co przychodziło mu do głowy, wydawało się niewystarczające. „Przykro mi z powodu twojego ojca.

Postąpiłaś właściwie. Wszystko będzie dobrze”. Jakież to płytkie słowa w porównaniu z bezmiarem bólu i szoku, jaki odczuwała Vestara.

Właściwe słowa padły z nieoczekiwanej strony.

- Ja musiałam zabić swojego brata - odezwała się cicho Jaina.

Vestara spojrzała na nią zasluchana. Jej oczy błyszczały od niewylanych łez.

- Wiedziałaś, że to właściwa decyzja - ciągnęła Jaina. - Zrobiłam to, żeby ocalić życie swoje i wielu innych. Ale wciąż za nim tęsknię. Ty też będziesz tęsknić za swoim ojcem.

- Nie... nie miałam wyboru - szepnęła.

- Nie. Nie miałaś. Mogłaś tylko sama dać się zabić - ciągnęła Jaina. - Więc słusznie postąpiłaś. Ale i tak będziesz za nim tęsknić... i żałować, że nie było innego wyjścia.

Vestara pokiwała głową, patrząc z wdzięcznością na Jainę. Wzięła głęboki oddech, a Ben poczuł, że jej aura w Mocy się uspokaja. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej ramienia. Rzuciła mu wątry, niepewny uśmiech.

- Było ich tylko dziesięcioro - stwierdził Luke. - Musieli jakoś odgadnąć nasze zamiary.

- Ja nie... - zaczęła Vestara.

- Wcale tak nie myślę - odparł Luke. - Zapewne założyli, że będziemy robić dokładnie to, co robimy: badać planety tradycyjnie związane z historią Sithów. Khai pewnie wybrał to miejsce ze względu na skupisko energii. Mogli wysłać mniejszy oddział, a i tak dzięki temu mieć przewagę.

- Przynajmniej tak im się wydawało - wtrąciła Jaina.

- To znaczy, że ich główna flotylla jest gdzie indziej - doszedł do wniosku Luke.

- Są z Abeloth - wypaliła Vestara.

- Co? - spytał Ben.

- Wyczułam to w moim ojcu. On... on kwestionował moją lojalność, więc ja zakwestionowałam jego. I miałam rację. - Podniosła głowę i spokojnie popatrzyła w niebieskie oczy Luke'a. - On nie identyfikuje się już z Zapomnianym Plemieniem. Przeszedł na stronę Abeloth, i założę się, że reszta flotylli też.

- Jesteś pewna? - naciskał Luke.

Skinęła głową.

- Wydaje mi się... że ona coś mu zrobiła.



- Tak jak Taalonowi? - Luke przypomniał sobie metamorfozę Arcylorda Taalona po tym, jak napił się z Sadzawki Wiedzy. Zaczął wtedy upodabniać się do Abeloth.

- Nie tak dramatycznie - odparła. - Ale... mentalnie. Jego umysł... nie był już taki jak wcześniej. Myślę, że jeśli udało mi się go w ogóle pokonać, to dlatego, że nie był dostatecznie skoncentrowany. Dawniej był taki dumny z tego, że jest Sithem, dumny z osiągnięć Zapomnianego Plemienia. A teraz podąża... podążał ślepo za Abeloth. A jeśli mój ojciec uległ, to jestem pewna, że inni także. - Odwróciła wzrok i przełknęła ślinę. - On był silnym człowiekiem.

Ben gwizdnął przeciągle.

- Więc teraz Sithowie, zamiast próbować schwycić Abeloth, postanowili jej służyć - stwierdził. - I wciąż nie mamy pojęcia, gdzie jej szukać... i ich także.

- Trop jest już zwietrzały - powiedział Luke. - Myślę, że najlepiej będzie, jeśli się przegrupujemy i Wrócimy na Coruscant. Porozmawiamy z historykami, opowiemy im o tym, czego się dowiedzieliśmy. Może coś przeoczyliśmy. W Świątyni jest wiele błyskotliwych umysłów. Pora z nich skorzystać. Może oni dostrzegą coś, czego my nie potrafimy. - Westchnął ciężko.

Ben się uśmiechnął.

- Miło będzie wrócić - przyznał. - Trochę już mnie zmęczyła ta objazdowa Akademia Jedi.

- Nie zostaniemy tam długo - ostrzegł Luke.

- No, wiem. Ale i tak będzie miło.

Ben wiedział także, chociaż jego ojciec nie chciał o tym mówić przy Vestarze, że Luke'a niepokoiła sytuacja z Jedi i Galaktycznym Sojuszem. Wydawało się, że wszystko idzie gładko, odkąd został ustanowiony triumwirat. Niewątpliwie jednak nadszedł czas, żeby Wielki Mistrz Luke Skywalker powrócił, chociażby tymczasowo. Wszystkie znaki na to wskazywały; najwyraźniej taka była wola Mocy.

Obejrzał się na Vestarę. Starła się dojść do siebie po szoku i grozie, spowodowanych koniecznością zabicia własnego ojca, którego kochała. I nawet nieźle sobie z tym radziła, ponieważ była twardą dziewczyną. Jednak Ben wiedział, że wciąż jest wstrząśnięta.

- Chodź, śmierdzielu - powiedział. - Przyda ci się paroprysznic.

Rzuciła mu cień swojego dawnego uśmiechu.

- Całe szczęście, że mogę zablokować twój zapach.

Były to wymuszone żarty, ale i tak dodały Benowi otuchy. Było mu żal Vestary, jednak głęboko wierzył, że to, co tu zrobiła, było dobre. Na zawsze uwolniła się od Gavara Khai i jego mrocznego wpływu. Ben miał nadzieję, że zrobiła w ten sposób wielki krok na drodze, która ostatecznie

wyprowadzi ją z cienia Sithów na światło.

Zawahał się, po czym wyciągnął do niej dłoń. Ujęła ją. Ręka w rękę wyszli z zimnego cienia świątyni Ciemnej Strony.

- Khai poniósł porażkę.

Głos Abeloth rozbrzmiewał głośno i wyraźnie na mostku „Czarnej Fali”. Nie był to melodyjny kobiecy sopran, do którego Tola Annax zdążyła się przyzwyczaić; głos wydawał się jakby płynny, zniekształcony, głęboki i przyprawiał ją o gęsią skórę. Zarówno ton, jak i słowa sprawiły, że przeszedł ją dreszcz niepokoju. Statek był widoczny na ekranie -

pomarańczowoczerwone oko ze skrzydłami zdawało się łytać na nią złowrogo i Annax wzdrygnęła się w duchu. Dobrze chociaż, że to nie ja przyniosłam złe wieści, pomyślała ponuro.

Wiedziała jednak, że Abeloth tak czy owak może ich zniszczyć.

- Tak, bardzo nad tym ubolewam. - Annax posłużyła się Mocą, żeby jej głos zabrzmiał

spokojnie i pewnie. - Straciliśmy dziesięcioro spośród naszych najlepszych Mieczów.

- Szkoda - odparł dziwny, bulgoczący głos. - Wolałabym, żeby tak się nie stało. Ale to nie ma znaczenia, prawda, kapitan Annax?

Annax odetchnęła z ulgą; poczuła się dziwnie słabo.

- Nie, bynajmniej.

- A więc wszystko w porządku. Mam innych, którzy mogą mi służyć... i inne plany do przeprowadzenia. - Po tych słowach Abeloth szybko zakończyła transmisję. Annax rozsiadła się wygodnie w fotelu, który zajmowała, odkąd Khai opuścił statek, a jej piękne rysy rozjaśnił uśmiech.

„Kapitan Annax”. Te dwa słowa miały takie miłe brzmienie.

Gdyby Abeloth zdecydowała się na transmisję holograficzną, a nie jedynie dźwiękową, Tola Annax zobaczyłaby widok, który mógłby prześladować ją do końca jej dni, o ile od razu nie postradałaby zmysłów.

Na podłodze Statku leżała sterta pulsujących, na wpół wykształconych części ciała, połączonych w sposób, jakiego nie rozpoznałby żaden student żadnego rodzaju anatomii. Wszystko to się ruszało i wiło - tu wystająca ludzka noga, tam macka - by w końcu zamienić się w bezkształtną masę, która falowała przez chwilę, aż uformowała się z niej twarz o szarych oczach.

Była to ludzka twarz, wystająca z bezkształtnej, falującej masy, którą była Abeloth.

Szare oczy były utkwione w ścianie, na której wyświetlały się obrazy z kilkudziesięciu kanałów holowiadomości. Istoty wszelkich ras donosiły o powstaniach, o ostatnim oświadczeniu

tymczasowego rządu Galaktycznego Sojuszu, o Jedi, o Szczątkach Imperium, o napływie nowych senatorów. Abeloth widziała obwisłą twarz Padnela Ovina z Klatooine, promienny, czarujący uśmiech Rokari Kem z Qarasa, gadzie oblicze Mistrzynie Jedi Saby Sebatyne, patrzącej gniewnie na podtykane jej pod nos holokamery, i elegancką senator Haydnat Treen, umizgującą się do tych samych holokamer, a także maszerujących manifestantów. Widziała stosy pogrzebowe zabitych Octusan i poważną twarz Perrego Needma, informującego o stypendium imienia zmarłej dziennikarki Madhi Vaandt.

Ludzkie usta uśmiechnęły się, rozciągając powoli na całą szerokość twarzy, a szare oczy stały się czarne, usiane maleńkimi punkcikami światła.

O, tak. Ma inne plany do przeprowadzenia, w rzeczy samej.

## **ROZDZIAŁ 19**

### **Na pokładzie „Cienia Jade”**

Martwy. Gavar Khai, Miecz Sithów był martwy. Podążając dziwną drogą, która zaprowadziła go od Zapomnianego Plemienia do Abeloth, wyrzekł się swojego ludu, pozwolił

umrzeć żonie i usiłował zabić własną córkę. Vestara Khai została sierotą. I chociaż bardzo się starała, nie potrafiła przyjąć do wiadomości tej zimnej, brutalnej prawdy.

Leżała w swojej kajucie na pokładzie „Cienia Jade”. Nie mogła zasnąć; wpatrywała się w sufit, odtwarzając w myślach przebieg bitwy. Słyszała znów okrutne słowa, które raniły mocniej niż jakikolwiek miecz świetlny.

„Zacznę wszystko od nowa. Nowa żona, nowe dziecko. Jedno i drugie można łatwo zastąpić”.

Nie. Nie można. Tak samo jak ojca.

Znów widziała pogardę w jego ciemnych oczach, czuła ciepłą wilgoć jego śliny.

Świadomość porzucenia - nie tylko jej, ale całego plemienia; jego nieokiełznany sposób walki; uczucie dzikiej satysfakcji, kiedy wykorzystywała własne emocje, zarówno te ciemne, jak i te jasne, żeby go pokonać - wszystko to rozgrywało się wciąż na nowo w jej umyśle niczym powtarzany w kółko holofilm.

Była w tym wszystkim irytująca nieuchronność. Każda ścieżka, jaką obierała w myślach, prowadziła do tej samej konkluzji. Gdyby przyłączyła się do niego - zabiłby ją. Gdyby nie walczyła ze wszystkich sił - zabiłby ją także. Galaktyka, tak ogromna i skomplikowana, nagle stała się bardzo mała i bardzo przejrzysta. Któryś Khai musiał zginąć, a kiedy sytuacja stawała się tak jednoznaczna, Vestara nie chciała być ofiarą.

Pojękując cicho, sfrustrowana tym, że nie może usnąć, wstała i podeszła do niewielkiego komputera wbudowanego w gródź. Minęło trochę czasu, odkąd czytała te dwa listy, ale teraz chciała do nich wrócić. Znaleźć ukojenie w szczęśliwej i całkowicie fikcyjnej relacji, którą stworzyła - teraz, gdy

nie miała już szans choćby na odbudowanie tego, co miała kiedyś. Kiedyś była kochana i o tym wiedziała.

Zawahała się, po czym otworzyła plik, który wcześniej utworzyła. Wiedziała, że bezpieczniej byłoby pozostawić treść listów w swojej głowie, że zapisując ją, kusiła los. Jednak fakt, że mogła zobaczyć słowa na ekranie, pomagał jej. Nadawał im realność, która dodawała jej otuchy, i miała nadzieję, że teraz też doda.

Tekst pojawił się na ekranie. Patrzyła przez chwilę na swoje splecione ręce, po czym podniosła wzrok i zaczęła czytać.

Tylko dwa listy. Wkrótce miał do nich dołączyć jeszcze jeden. Ostatni list, wymaginowane wspomnienie osieroconej dziewczyny o ojcu, który tak naprawdę nigdy nie istniał.

Przełknęła ślinę, wyprostowała drżące leciutko palce i zaczęła pisać.

*Drogi Papo,*

*wiem, że odszedłeś i że nigdy już nie będą mogła śmiać się razem z tobą ani się do ciebie przytulić, ani słuchać twoich mądrych słów. Wiem, że złączyłeś się z Mocą i że w jakiś sposób zawsze będziesz przy mnie. Jest to jednak dla mnie niewielkim pocieszeniem teraz, gdy tak bardzo za tobą tęsknię.*

*Mistrz Skywalker opowiadał mi, jak się czuł, kiedy stracił swojego mentora, Obi-Wana Kenobiego. Mimo że Obi-Wan był z nim tylko przez bardzo krótki czas, Mistrz Skywalker bardzo przekonująco mówi o bólu związanym ze stratą i o pocieszeniu, jakie odnalazł, kiedy „Ben”, po którym mój drogi Ben otrzymał imię, znalazł sposób, żeby do niego powrócić.*

*Najdroższy Papo, zawsze byłeś dla mnie przewodnikiem, wspierałeś mnie, pomagałeś stawiać czoło niezliczonym wyzwaniom, którym musiałam sprostać jako Jedi. Żadna córka nie mogłaby wymarzyć sobie lepszego ojca. Żaden uczeń nie mógłby wymarzyć sobie lepszego mistrza.*

*Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi Ciebie...*

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Ben, zaspany, z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Vestaro... co robisz?

Skasowała pospiesznie plik, po czym odwróciła się zaskoczona i rozgniewana jego wtargnięciem.

- A co ty robisz, Ben? Wchodzisz do mojej kajuty o tej porze?

Ale nie mogła odwrócić jego uwagi. Nagle stał się zupełnie rozbudzony i ruszył w stronę komputera. Zagroziła mu drogę.

- Co robiłaś?

- Nie twoja sprawa - powiedziała podniesionym z emocji głosem. - Po co tu w ogóle przyszedłeś?

- Usłyszałem twój płacz, a kiedy pukałem, nie odzywałaś się. Zaniepokoiłem się, więc otworzyłem drzwi od zewnątrz - wyjaśnił. Jego głos był zimny, gniewny i zupełnie nie pasował do czułych słów. Była tym zaskoczona; zamrugła i zdała sobie sprawę, że faktycznie na jej ciemnych rzęsach wiszą łzy.

- Najwyraźniej niepotrzebnie się martwiłem - kontynuował Ben. Wyciągnął nagle ręce i złapał ją za nadgarstki. - Przesuń się.

Ogarnęły ją wstyd, żal i gniew. Zmrużyła oczy i odepchnęła go, posługując się Mocą. Ben się tego nie spodziewał, chociaż powinien, i ledwie zdążył w porę zareagować, żeby nie wpaść na gródź. Obrócił się w powietrzu, wylądował na nogach, chociaż dość niezdarnie, i uniósł gwałtownie rękę. Ku swojemu absolutnemu zdumieniu Vestara poczuła na policzku uderzenie niewidzialnej dłoni. Użył Mocy nie po to, żeby się obronić albo ją obezwładnić, ale żeby uderzyć ją w gniewie.

Twarz piekła ją od niewidzialnego ciosu. Kiwnęła palcem i miecz świetlny pofrunął do jej dłoni. Ben, który skoczył na nią, musiał się gwałtownie obrócić, gdy rozżarzona czerwona klinga przecięła powietrze, śpiewając swoją charakterystyczną i niepowtarzalną pieśń. Vestara zmusiła swoje ciało do spokoju, chociaż wewnątrz trzęsła się z oburzenia.

Kopniak z półobrotu, którego powinna się była spodziewać, wytrącił jej miecz świetlny z rąk. Ben nadstawił dłoń i miecz świetlny pofrunął do niego, a Vestara miała rzadką okazję zobaczyć Rycerza Jedi Bena Skywalkera, stojącego w ciemnym pomieszczeniu z twarzą oświetloną czerwonym blaskiem broni Sithów.

Ruszyła na niego, ale on uniósł lewą rękę i poduszki leżące na łóżku zaatakowały ją z miękką, nieszkodliwą furią; zasłoniły jej jednak widok i przywarły do twarzy, utrudniając oddychanie. Cenna sekunda, jaką zajęło jej uwolnienie się od nich, wystarczyła Benowi, żeby przygwoździć ją do łóżka i, pomagając sobie Mocą, owinać w prześcieradła.

Mocowała się z nim przez chwilę, po czym nagle dała za wygraną. Wstał, z trudem łapiąc oddech, z twarzą wciąż oświetloną przez upiorną szkarłatną poświatę, a następnie wyłączył miecz świetlny.

- No dobra - powiedział. - Pozwolę ci wstać, jak mi powiesz, co, u licha, robiłaś.

- Idź sobie, Ben. To nie ma nic wspólnego z tobą. To osobiste.

- Wszystko jest osobiste i nic nie jest osobiste, jeśli chodzi o Sithów - warknął Ben.

Podszedł do komputera i zmarszczył brwi. - Gdzie to jest? Nad czym pracowałaś?

- Skasowałam.

- Teraz to jest także moja sprawa.

- Do cholery, Ben! - Głos jej się załamał i Ben popatrzył na nią ze zdumieniem. Odwróciła wzrok,

obawiając się, że dostrzeże zdradzieckie łzy, wciąż skrzące się w jej oczach. - Daję ci słowo, że to nie było nic wymierzonego w ciebie. Po prostu wyjdź, dobrze?

- Chciałbym ci wierzyć - powiedział powoli. - Ale gdyby to nie było nic ważnego, nie zależałoby ci tak bardzo, żeby to przede mną ukryć. Mam cię zwięzać? Zrobię to, jeśli będę musiał.

Albo mogę zawołać tatę, żeby cię przypilnował, kiedy ja będę szukał.

Vestare ogarnął strach i poczucie bezsilności; jej ciało, sztywne i naprężone, nagle rozluźniło się pod ciasno owiniętymi prześcieradłami. Wiedziała, że Ben to robi, a wówczas obaj Skywalkerowie zobaczyliby listy. Mogła walczyć z nim dotąd, aż go zabije, albo pozwolić, żeby jej sekret wyszedł na jaw.

I stwierdziła, bez najmniejszego zdziwienia, że nie mogłaby zabić Bena Skywalkera. Nie chciała, żeby stała mu się jakakolwiek krzywda, a tym bardziej z jej ręki. Ale jeśli to zobaczy...

Spróbowała raz jeszcze. Odwróciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Ben - powiedziała cicho, lekko drżącym głosem. - Dam ci słowo, jakie tylko chcesz; każdą obietnicę czy przysięgę, w jaką mógłbyś uwierzyć. To, co robiłam, nie miało nic wspólnego z tobą ani z Lukiem, ani z Jedi, ani z niczym. To sprawa osobista i prywatna. To wszystko.

Jakiś cień przemknął mu po twarzy, ale zaraz jego rysy ponownie stężały.

- Nie ma takich zapewnień, w które mógłbym uwierzyć. Mam dosyć twoich gier, Vestaro.

I z każdym dniem czuję się coraz bardziej urażony tym, że najwyraźniej masz mnie za głupiego.

Nie jesteś głupi, chciała powiedzieć. Jesteś tylko... ufny. Co właściwie było chyba równoznaczne z głupotą, kiedy miało się do czynienia z Sithami. Przypomniała sobie, o co ją zapytał jakiś czas temu: czy nie męczy jej ta ciągła nieufność, to, że musi cały czas mieć się na baczności. Nie wiedział nawet, ile było w tym prawdy. Sama nie zdawała sobie sprawy - dopóki nie spotkała ludzi, dla których nie było to drugą naturą - jak bardzo... wyczerpująca jest nieufność. Jak skomplikowane jest życie w kłamstwie. Kiedy to zrozumiała, poczuła się tak, jakby od chwili, gdy nauczyła się chodzić, nosiła brzemień, które pozbawiało ją energii życiowej.

Co by się stało, gdyby pozbyła się tego ciężaru? Gdyby postanowiła więcej nie kłamać, otworzyć serce i umysł i zaufać komuś?

Zaufałaś swojemu ojcu i zobacz, co się stało, powiedziała sobie. Jeśli własny ojciec próbował cię zabić, co mógłby zrobić ktoś obcy?

Ale jej ojciec był Sithem, a Ben nie.

- Zobacz to, jeśli musisz, Ben - powiedziała cicho. - Przekonasz się, że mówię prawdę.

- Zobaczę. A jeśli mówisz prawdę, to zdarzyło ci się to po raz pierwszy - mruknął Ben. Nie do końca

tak było i oboje o tym wiedzieli. Vestara nie zawsze kłamała. Niekiedy najlepsze było oszustwo, które miało w sobie najwięcej prawdy.

Ta myśl zabolą ją w jakiś dziwny sposób.

Odwróciła się twarzą do ściany, przygotowana na nieuchronne drwiny i wstyd.

Vestara nie miała na szczęście dość czasu na zatarcie śladów. Wprowadzie technologia, z którą on dorastał, dla niej była stosunkowo nowa i nie miała zbyt wielu okazji, żeby bez nadzoru zapoznać się z tajnikami „Cienia Jade”, jednak ta młoda Sithanka była niezwykle inteligentna i spostrzegawcza. Ben był pewien, że gdyby miała jeszcze kilka chwil, Vestarze udałoby się trwale wymazać pliki lub uszkodzić je, tak żeby nigdy nie udało się ich odtworzyć.

Kipiał ze złości, zagłębiając się w kolejne poziomy zabezpieczeń, żeby odzyskać dane. Tak bardzo chciał jej ufać. Wiedział, że jego ojciec przynajmniej częściowo miał rację - Ben był

zauroczony Vestarą Khai; no dobra, może nawet zadurzony w niej, ale tylko trochę, nie na tyle, żeby zaburzało to jego zdolność oceny. Chciał wierzyć, że da się ją nawrócić, ale może Luke miał

rację. Może Ben widział w tej ślicznej twarzy, z dziwaczną, lecz uroczą małą blizną w kąciку ust, to, co chciał zobaczyć. Może tak naprawdę to była tylko maska skrywająca coś ohydneho.

Stukał wściekle w klawisze. Co ona robiła? Wysyłała...

Listy.

*Stang!*

Doszedł tylko do słów „Drogi Papo” i odwrócił się natychmiast w stronę Vestary.

- Powinienem cię od razu zabić - warknął. - To ma datę sprzed tygodnia! Przez cały ten czas nas szpiegowałaś, tak jak mówił mój tata!

Odwróciła się twarzą do niego. Widać było, że płakała, chociaż udawała, że nie, i nie starała się nawet ukryć swojej obecności w Mocy. Ta obecność była zwykle wyjątkowo wyraźna, jasna i silna. Teraz wydawała się... przyćmiona. Stłumiona. Nie była przestraszona ani wściekła, jak można by się spodziewać w przypadku, gdyby odkrył jej zdradę. Zmarszczył brwi w konsternacji.

- Nie powinieneś wyciągać pochopnych wniosków - powiedziała bez rozgoryczenia. -

Znalazłeś moje listy i czytasz je, chociaż błagałam cię, żebyś tego nie robił. Przeczytaj wszystko, Ben. Śmiało.

Ogarnęła go niepewność. Wciąż marszcząc brwi, Ben odwrócił się z powrotem w stronę ekranu.

*Drogi Papo,*

*mam nadzieję, że czujesz się już lepiej i że rany, które ostatnio odniosłeś, zostały odpowiednio opatrzone.*

*Któregoś dnia, kiedy zobaczyłam reakcję Bena na wzmiankę o jego matce, kiedy zobaczyłam, jak wciąż przeżywa jej utratę i jak jego ojciec instynktownie zwrócił się ku niemu, żeby go pocieszyć, od razu pomyślałam o tobie.*

Ben otworzył z wrażenia usta i natychmiast je zamknął, ukrywając własną obecność w Mocy. Vestarze przypomniał się jej ojciec, kiedy zobaczyła, jak Luke pociesza Bena? O co tu chodziło? Co u...

I nagle zrozumiał.

Przypomniał sobie, że pomyślał kiedyś, iż Vestara w swoich relacjach z ojcem balansuje na ostrzu noża. Jego własne spięcia z Lukiem sprzed lat wydawały się przy tym błahymi sprzeczkami.

Nawet w najgorszych momentach Ben nigdy nie doświadczył tego strachu, z jakim Vestara musiała zmagać się w każdej chwili, wiedząc, że jeśli zawiedzie swojego ojca, nie dostanie reprimendy, tylko cios mieczem świetlnym w brzuch.

Stworzyła więc wyimaginowaną relację z rodzicem, który w rzeczywistości próbował ją później zabić - i którego ona musiała zabić, żeby przeżyć.

- Widziałem już wystarczająco dużo - oświadczył Ben i zaczął kasować listy.

- Nie. - Vestara znów była na niego zła i wcale jej się nie dziwił. Czuł się... zażenowany.

Zawstydzony, że zakłócił ten bardzo osobisty moment. Tęsknota Vestary za czymś, co Ben przez całe życie uważał za rzecz oczywistą, zawstydziła go. Nie powinien był wściubiać nosa w jej sprawy, ale skąd mógł wiedzieć?

- Chciałeś przeczytać? To czytaj. Wszystko.

- Nie... nie powinienem. Nie chcę wprawiać cię w zakłopotanie.

Roześmiała się gorzko.

- Za późno - powiedziała. - Czytaj.

Więc przeczytał.

*I zastanawiam się czasem, jak by to było, gdybym dorastała przy ojcu, który byłby zimny i nieczuły albo zdeterminowany skierować mnie ku trudnemu przeznaczeniu w bardziej surowym i bezwzględny świecie. Nie wiem, czy wtedy lubiłabym siebie, i bardzo się cieszę, że zawsze byłeś dla mnie dobry i we wszystkim mnie wspierałeś.*

W drugim liście Vestara wyrażała swoją wdzięczność za opiekuńczą naturę jej „Papy”.



Ostatni list, ten, na którego pisaniu ją przyłapał, był najbardziej zdumiewający ze wszystkich.

Gavar Khai Rycerzem Jedi? Vestara jego kochającą córką i oddaną uczennicą? W listach przedstawiających całkowicie fałszywą rzeczywistość było ciepło i beztroska, jakich nigdy nie widział między ojcem i córką w prawdziwym życiu. Dyskretnie wyłączył komputer, wstał i odwrócił się w jej stronę.

Odsunął krępującą dziewczynę prześcieradła, a ona leżała teraz odsłonięta, skulona, odwrócona do niego plecami. Słowa cisnęły mu się na usta; zbyt wiele słów, by wypowiedzieć je wszystkie naraz. Stał tak przez chwilę, aż zrobiło się to krępujące.

- Ech, do diabła z tym - mruknął i położył się obok niej. Wiedząc, że może dostać łokciem w brzuch albo jeszcze gorzej, gdyby Vestara źle to odebrała, objął jej smukłą talię i przytulił ją opiekuńczo.

Leżała nieruchomo, sztywna w jego objęciach, a potem poczuł, jak drży, cicho łkając. Ze ściśniętym sercem zbliżył policzek do jej włosów.

- Przepraszam, Ves. Nie wiedziałem. Nie mogłem wiedzieć...

Vestara pokiwała głową. Wciąż się nie odzywała, cały czas drżała. Ben pogładził delikatnie jej włosy, całkiem jakby ta niebezpieczna i dumna młoda kobieta była dzieckiem, które potrzebuje pocieszenia, a ona mu na to pozwoliła. Zamknął oczy i przytulił się do niej. Leżeli tak przez dłuższy czas. Ben już zaczął usypiać, kiedy odwróciła się w jego ramionach.

- Ben? - Przysunęła bliżej twarz. - Myślisz... że mogłabym?

- Co takiego?

Bardzo długa chwila milczenia. Vestara całkowicie się odsłoniła. Wyczuwał ją jak nigdy wcześniej i wiedział, że to, o co chciała go zapytać, jest dla niej bardzo ważne. Czuł, że jest pełna nadziei i strachu tak silnego, że niemal ją paraliżował, i że ona wie, że bez reszty się przed nim otwiera. Czekał cierpliwie. Przez tę chwilę, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, Ben zdał

sobie sprawę, że kiedy chodzi o Vestarę, ma niewyczerpane pokłady cierpliwości.

A potem cicho, drżącym głosem, wypowiedziała słowa, od których serce Bena zabiło mocniej. Słowa, które od tak dawna pragnął usłyszeć:

- ...zostać Jedi?

Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Poczuł, jak rośnie jej strach -

strach przed odrzuceniem, strach przed zaufaniem, którym go obdarzyła, i szukając słów, skupił się na przekazaniu jej poprzez Moc otuchy, pocieszenia i... tak, i miłości.

- Vestaro Khai - powiedział wreszcie równie cicho jak ona. - Wiem, że możesz osiągnąć wszystko, co tylko zechcesz. Tak. O, tak. Możesz zostać Jedi. A dla mnie będzie to największym zaszczytem,

jeśli zdołam ci w tym pomóc. Będę przy tobie na każdym kroku. Obiecuję.

Uśmiechnęła się promiennie. Emanowała z niej ulga, radość i nadzieja, wypierając napięcie i zimny, paralizujący strach. Pod wpływem impulsu Ben potarł delikatnie kciukiem małą bliznę w kącie jej ust. Nie cofnęła się przed jego dotykiem, zamknęła tylko oczy. Usta Bena podążyły w ślad za dłonią i ucałował ten fragment jej ciała, którego ona sama najbardziej w sobie nienawidziła; chciał jej pokazać, że dla niego jest piękny, że dla niego ona cała jest piękna. Od razu zrozumiała i poczuła słony smak jej łez, gdy odwróciła głowę, żeby odwzajemnić pocałunek. Przytulił ją mocno.

Oboje drżeli, owładnięci przemożnym uczuciem ulgi płynącej z faktu, że mogą wreszcie porzucić podejrzenia i nienawiść.

Wiedział, że Vestara będzie wspaniałą Jedi. Wreszcie wyjdzie na światło, poczuje jego ciepło i otworzy serce na radość, jaką daje całkowite i bezwarunkowe zaufanie.

Zaufanie... i miłość.

A on będzie przy niej.

Na każdym kroku.

- Cieszę się, że w końcu wracasz na Coruscant - powiedziała Leia. Jej hologram stał przed Lukiem i teraz przypomniało mu się, że zobaczył ją po raz pierwszy w takiej właśnie postaci: jako mały hologram. Od tego czasu minęło czterdzieści lat i wiele razem przeszli. Jednak w głębi duszy wciąż była tą samą Leią, którą wtedy zobaczył, zdeterminowaną i piękną, odważną i niezwykłą kobietą, którą z dumą nazywał „siostrą”. Jaina siedziała obok niego, ale nie mówiła wiele, pozwalając mu prowadzić rozmowę. - Powinniśmy dotrzeć w tym samym czasie, mam nadzieję.

- Myślałem, że pracujesz z Dorvanem i Treen - odparł Luke. - No i mówiłaś, że chcesz pomóc Padnelowi wdrożyć się do nowych obowiązków.

- Pracowałam z Treen i Dorvanem i udało nam się nawet zjeść obiad z Padnelem. Z tego, co słyszałam, dobrze sobie radzi. My... wyjechaliśmy na jakiś czas, żeby zbadać pewien trop dotyczący miejsca pobytu Daali.

Luke i Jaina wymienili spojrzenia.

- Z jakim rezultatem?

Leia zerknęła na coś lub na kogoś, czego Luke nie widział, i skrzywiła się lekko.

- Powiem ci później. Spotkaliśmy pewnych... starych znajomych. Było... cóż, ciekawie.

Luke zachichotał mimowolnie.

- To chyba za wiele się nie zmieniło. Do zobaczenia wkrótce.

- Pa, mam. Uściskaj tatę ode mnie.

Kiedy obraz Leii zniknął, Jaina odwróciła się do Luke'a.

- Jak wrócimy, muszę porozmawiać z Natuą - powiedziała. - Twierdzi, że wpadła na jakiś trop Statku. Nie chciałam nic mówić mamie, dopóki nie dowiem się wszystkiego.

- To byłaby pierwsza dobra wiadomość od dłuższego czasu - stwierdził Luke.

Jaina pokiwała głową.

- Przynajmniej Gavar Khai nie będzie sprawiał więcej problemów.

- Fakt. - Nie było to rozwiązanie, którego Luke by sobie życzył, ale jedno zagrożenie zostało wyeliminowane. Po walce na Dromund Kaas Mistrz Jedi wyczuwał bardzo silne emocje ze strony Bena i Vestary, jednak wolał się nie wtrącać. Ufał, że jego syn nie zrobi niczego głupiego, a może to tragiczne i brutalne zdarzenie sprawi, że Vestara poważnie zastanowi się nad swoją przyszłością.

Poza tym... zasługiwała na to, żeby ktoś wreszcie był dla niej dobry. Jej ojciec z pewnością nigdy taki nie był.

Mimo wszystko...

- Benowi i Vestarze lepiej nic nie mów na temat tego możliwego tropu, przynajmniej na razie - poprosił. - To może być ślepy zaułek. A nawet jeśli nie, to musimy się najpierw zająć paroma sprawami na Coruscant. Przyjdzie na to czas, jak dowiemy się czegoś więcej.

- Mają wystarczająco dużo na głowie - zgodziła się Jaina.

- Na przykład wybór między ciemnością a światłem - zadumał się Luke. - Uporanie się ze śmiercią ojca. Świadomość, że rozbudzone nadzieje mogą za chwilę się rozwiać.

- Hormony - dopowiedziała Jaina.

Luke się wzdrygnął.

- Poprawka: mają aż nadto na głowie.

## **ROZDZIAŁ 20**

### **Trzeci księżyc Vexara, Sektor Wspólny**

- No dobra - powiedział Han, uśmiechając z fałszywą serdecznością do trójki Squibów. - A teraz powiecie mi, co to wszystko znaczy, i wyjawicie informację, za którą zgodziliśmy się zapłacić. A jeśli nie spodoba mi się to, co usłyszę, to będzie wasz nowy dom. Jasne?

Minęły dwie godziny i czterdzieści trzy minuty od ataku w kawiarni. Zekk i Taryn dotarli do statku

Zekka i odlecieli z Roonadana z Allaną i Squibami na pokładzie. Przygoda Hana i Leii potrwała nieco dłużej, jako że ich statek był bardziej rozpoznawalny, czy może raczej bardziej niesławny, niż niewyróżniający się niczym prom Zekka. Ostatecznie jednak zgubili pościg i spotkali się na położonym na uboczu skalistym księżycu, orbitującym wokół gazowego giganta.

Warunki panujące na gazowym gigancie nie nadawały się oczywiście dla ludzi; na skalistym księżycu też ledwo ledwo.

Wszyscy zeszli na powierzchnię księżyca. Han, Leia, Zekk i Taryn dyskretnie uformowali krąg wokół trojga Squibów. Allana stała obok babci, marszcząc lekko brwi.

- Tak się traktuje partnerów? - zaprotestował Grees, żywo gestykulując.

- Partnerzy na ogół uprzedzają, że ktoś będzie do nich strzelał - odparł Han.

- Nie wiedzieliśmy! Szczerze! - zaprotestowała Emala.

Han i Leia wymienili spojrzenia, wyrażając bez słów, jak mocno w to wierzą.

- Dajcie spokój - powiedział Grees. - Myślicie, że zostalibyśmy na lunch, gdybyśmy wiedzieli, że ktoś nas ściga?

Han się zawahał; trudno było odmówić im racji. Squibowie nie byli głupi, chociaż przedstawicielom innych ras wydawali się niekiedy beztrosko lekkomyślni, no i nie byli też takimi żarłokami jak Huttowie.

- W porządku. Załóżmy, że nie wiedzieliście, że zostaniecie zaatakowani. - powiedziała Leia. - A wiecie, kto strzelał?

- To nie ma nic wspólnego z naszą umową - zapewniła żarliwie Emala. - Chodziło o coś zupełnie innego.

- To tylko część prawdy - odparła Leia.

- Nie trzeba być Jedi, żeby się zorientować, kiedy ktoś coś przed tobą ukrywa - wtrąciła Taryn.

- Ale to pomaga - zauważył Zekk.

- Przypominam sobie, że w waszej pierwszej wiadomości było mowa o gwarancji bezpieczeństwa dla naszej rodziny - zwrócił uwagę Han. - Tymczasem ktoś strzelał do mojej córki.

Nie dotrzykaliście warunków umowy.

Po raz pierwszy od początku całej eskapady rodzina Squibów wymieniła spojrzenia.

- Nie wiedzieliśmy, że zabierzecie ze sobą futrzatko - zapewnił Sligh. - A zresztą dotrzyaliśmy umowy. Te słowa odnosiły się do nagrody wyznaczonej za wasze głowy. Która, nawiasem mówiąc,

została zniesiona, kiedy zgodziliście się z nami spotkać. Nawet jeszcze nam za to nie podziękowaliście.

- Nie cieszycie się, że nie musicie się już tym martwić? - spytała pogodnie Emala.

Han przewrócił oczami.

- Już od jakiegoś czasu się tym nie martwię - odparł. - Martwię się tylko, że to, co zdarzyło się w tej kawiarni, może się powtórzyć.

- Mieliście nam coś ważnego do powiedzenia - odezwał się cienki głosik. - Pomogliśmy wam uciec. Chyba pora, żebyście nam to powiedzieli. Wydaje mi się, że to logiczny następny krok.

I zgodny z umową.

Mała wdała się w matkę, pomyślał Han. I w babcię. Urodzona dyplomatka.

- Bystra jest jak na futrzątko - zauważył Grees.

- No, zwłaszcza jak na ludzkie futrzątko - przyznał Sligh.

- Musicie zabrać nas ze sobą i pomóc nam dotrzeć w bezpieczne miejsce - powiedziała Emala. Podobnie jak pozostali Squibowie, nie patrzyła już na żadnego z dorosłych, tylko na Allanę.

- Jeśli nam to obiecacie, powiemy wam wszystko, co wiemy.

- Musimy zadbać też o bezpieczeństwo własne i Amelii - przypomniała Leia. - Jeśli zabierzemy was ze sobą, będziemy was mieć na oku, dopóki nie upewnimy się, że wszyscy jesteśmy bezpieczni. Zgoda?

Squibowie nachylili się do siebie, szepcząc coś w swoim języku. Emala zadarła głowę i popatrzyła na Allanę dużymi, łagodnymi, sarnimi oczami, po czym dołączyła z powrotem do błękitnej gromadki. W końcu osiągnęli porozumienie i się rozstąpili.

- Umowa stoi - oświadczył Grees.

- Wreszcie - mruknął Han.

- Wiecie, gdzie jest Daala? - naciskała Leia.

- Wiemy, dokąd zmierza. Jeszcze tam nie dotarła, chyba że jest inaczej... nie wiemy -

powiedział Sligh. - Leci do sektora Meridiana. Konkretnie na Pedducis Chorios.

- Dlaczego akurat tam? - spytał Zekk. - Myślałem, że uda się do Przestrzeni Imperialnej.

- Chciała wrócić w znajome rejony - wyjaśniła Emala. - Z tym miejscem łączy ją przeszłość.

- Tak, niewątpliwie - zgodziła się Leia. Spojrzała znacząco na Hana. - To tam się udała, kiedy odnalazła Liegeusa. Zdaje się, że była tam do czasu jego śmierci.
- Jest tam moff, z którym ma na pieńku - powiedział Grees. - Tyle że on ma łeb jak bantha i myśli, że ona chce zawrzeć z nim sojusz. Nazywa się Tol Getelles. Zbieraliśmy, eee... pewne informacje na jego temat dla Szczątków Imperium.
- To też tylko część prawdy - stwierdził Zekk. - Według matematycznych wyliczeń mogłoby to dać w sumie jedną całą prawdę.
- Nie według moich - odparł Han. - Mówcie dalej.
- Nie kłamie! - zaprotestował Grees z gniewną miną, odsłaniając zęby, zaskakująco ostre i białe jak na Squiba w jego wieku. - W ten sposób właśnie przechwyciliśmy transmisję. A potem udało nam się ustalić, skąd została wysłana, i natrafiliśmy na inne wiadomości. Rozmawiała z kilkoma osobami. Mamy wszystko nagrane, słowo w słowo.
- Chętnie posłuchamy, ale najpierw chcemy poznać skróconą wersję - oznajmił Han. Leia odeszła na chwilę, włączyła komunikator i powiedziała coś po cichu do mikrofonu.
- Moff Vansyn i moff Getelles - wypaliła natychmiast Emala.
- Co z nimi?
- Mówiłeś, że chcesz skróconą... - zaczął Sligh, ale kiedy Han zrobił krok w jego stronę, uniośł swoje małe dłonie. - Dobrze, już dobrze, spokojnie. Najpierw skontaktowała się z moffem Vansynem. Najwyraźniej jest jeszcze jakiś inny moff, którego nie lubi...
- W ogóle chyba niewielu z nich lubi - zauważyła Emala.
- ...nazwiskiem Lecersen - dodał Grees, kończąc myśl zaczęta przez Sligha. Przejście nastąpiło bardzo płynnie. - Wygląda na to, że Vansyn przyjaźnił się z Lecersenem, ale ostatnio czuje się ignorowany. Daala obiecała Vansynowi, że jeśli pomoże jej w przejściu władzy nad Imperium, eliminując najpierw Jaga, a potem Getellesa, ona dopilnuje, żeby dostał terytoria moffa Getellesa.
- Kusząca propozycja - stwierdziła Leia, wracając do grupy. - Rozmawiałam właśnie z Ashikiem. - Ashik był wiernym chissańskim asystentem Jaga. Han pokiwał głową. Jeśli ktoś mógł rzucić nieco światła na opowieść Squibów, to właśnie Ashik. - Potwierdził ich wersję. W gruncie rzeczy, w bardzo zagmatwany sposób, pracowali dla Jaga.
- A widzicie? I pomyśleć, że nam nie ufaliście - powiedział Sligh.
- Nadal wam nie ufam. Mówcie dalej - odparł Han.
- Jeszcze wam mało? - spytał urażony Sligh. - Czego jeszcze od nas chcecie?

Powiedzieliśmy wam, dokąd się wybiera, z kim współpracuje i kogo chce załatwić.

- Ile macie nagrań?

- Wystarczająco dużo - zapewnił pospiesznie Grees, zanim jeszcze Emala otworzyła usta, żeby odpowiedzieć. - Powiedzieliśmy wam wszystko, co wiemy. Teraz musicie nas zabrać w bezpieczne miejsce.

Han podniósł palec wskazujący.

- Chwileczkę - powiedział. Pogłaskał Allaną po głowie i skinął na Leię. Odciągnął ją na stronę, żeby porozmawiać po cichu.

- Co o tym myślisz? - spytała Leia.

- Myślę, że powinniśmy dać im trochę zapasów i zostawić tutaj, zanim ten, kto ich ściga, zacznie ścigać nas i Allaną - odparł Han.

- Nie zrobiłbyś tego.

Han się skrzywił.

- Tęsknię za tym, żeby znowu być łotrem.

- Mięczak.

- Te przerośnięte szczury przekonają się, jaki jestem miękki, jeśli któryś z tamtych typów zbliży się znowu do naszej wnuczki.

- A propos, mam coś jeszcze - powiedziała Leia, zerkając na Squibów. Taryn i Zekk stali w pewnej odległości, za to Allana podeszła do trójki gryzoni i rozmawiała z nimi. Już teraz, jak zauważyła z dobrze jej znanym ukłuciem żalu, była wyższa od Emali. Jak te dzieci szybko rosną...

Znów coś przemknęło jej przez głowę, ale odsunęła to od siebie.

- Kiedy rozmawiałam z Ashikiem, opisałam mu te mundury i zdołał je zidentyfikować.

Zgadnij, dla kogo pracują nasi napastnicy?

- Moff Getelles.

- Wygrałeś nagrodę.

- To ten sam, którego szpiegowali Squibowie. Czym oni go tak wkurzyli? Pewnie jakąś rozkosznie skomplikowaną intrygą.

- Albo po prostu dali się złapać - odparła Leia. - Każda tajna operacja wiąże się z takim

niebezpieczeństwem, Han. Powinieneś to wiedzieć.

- Więc dlaczego zachowują się tak zagadkowo? - zastanawiał się Han. - Czegoś nam nie mówią.

- Zgadzam się, że coś ukrywają, ale... to przecież Squibowie. Pomyśl o ich kulturze.

Niewykluczone, że zawsze coś ukrywają - zauważyła Leia. - Wywiązali się ze swojej części umowy. My też musimy. Nie tylko dlatego, że tak trzeba, ale dlatego, że ryzykowali życie, żeby przekazać nam te informacje. Wiedza na temat miejsca pobytu Daali i jej planów pomoże i Sojuszowi, i Jagowi.

Han westchnął.

- Chyba masz rację. A musi mi się to podobać?

- Nie.

- To dobrze.

### **Na pokładzie „Cienia Jade”, w drodze na Coruscant**

Luke pomyślał, że powinien być na to przygotowany. Ale nie był.

- Zostać Jedi - powtórzył, osłupiały. Dwoje nastolatków wymieniło spojrzenia, a potem Vestara skinęła głową.

- Musisz zrozumieć, że ci nie wierzę - powiedział Luke.

- Tato...

Vestara położyła delikatnie rękę na ramieniu Bena, gdy tylko się odezwał. Ten gest wyglądał... na uspokajający. Luke'owi się to nie podobało.

- Mistrzu Skywalker, zdziwiłabym się, gdybym usłyszała od ciebie coś innego - odparła. -

Jakiś czas temu taka deklaracja faktycznie byłaby kłamstwem, wybiegiem, pułapką. Ale... ukazałeś mi myśli i ideały, jakich wcześniej nie znałam. A gdybym nawet zetknęła się z nimi, zanim cię spotkałam, byłyby mi one przedstawiane jako wady. Ale teraz wiem, co czuję. Podobają mi się...

Miło jest pomóc komuś tylko dlatego, że tego potrzebuje. Miło jest wiedzieć, że... że komuś na tobie zależy... - spojrzała nieśmiało na Bena - ...i że nie ma w tym żadnych ukrytych motywów.

Nawet jako dziecko nigdy tego nie zaznałam.

- Chcesz powiedzieć, że parę miesięcy obcowania z nowym sposobem myślenia wywróciło do góry nogami wszystko, w co wierzyłaś przez całe życie. - Luke bardzo się starał, żeby nie zabrzmiało to sarkastycznie, ale miał wrażenie, że nie bardzo mu wychodzi.



- To bardziej skomplikowane - ciągnęła Vestara. - Zobaczyłam, czym naprawdę są przekonania mojego ludu. Zobaczyłam wiele z tych przekonań w Abeloth. I zobaczyłam, kim...

jakim człowiekiem był naprawdę mój ojciec. - Przy tych ostatnich słowach załamał jej się głos; odchrząknęła i mówiła dalej: - Nie oczekuję, że od razu mi uwierzysz. Ale mam nadzieję, że z czasem zdołam udowodnić, że zasługuję na zaufanie. Proszę cię tylko, żebyś dał mi szansę.

Luke rozsiadł się w fotelu z rękami założonymi za głowę i przyjrzał się jej bacznie.

- W porządku. Opuść gardę. Wiem, że jesteś niezwykle silna w Mocy, i wiem też, że zapewne od urodzenia budowałaś wokół siebie mury. Zburz je.

Wyglądała na skrepowaną, ale nie zaskoczoną. Ben wziął ją za rękę i uścisnął przelotnie.

- To tylko tata - powiedział.

- Tylko Wielki Mistrz Jedi - odparła cierpko.

- Jeśli mówisz szczerze, to nie powinnaś mieć nic do ukrycia - stwierdził Luke.

- Jeśli... jeśli to zrobię, czy wtedy mi uwierzysz?

- Będzie to dobry początek. Tak, uwierzę.

Skinęła głową i wzięła głęboki oddech. Dostrzegł, że rozluźnia szczękę i ramiona. Potem spojrzała na Luke'owi w oczy i jeszcze raz skinęła głową.

Mógł okazać, że jest twardy, surowy, jednak to nie było w stylu Jedi. Dotknął jej w Mocy delikatnie, badawczo, tak jak wyciąga się rękę do płochliwego zwierzęcia. Znalazł tam brzydkie rzeczy; nic dziwnego, biorąc pod uwagę jej przeszłość. Ale nie było nic brzydkiego i mrocznego, co pochodziło z ostatnich czasów. Za to, ku swojemu zaskoczeniu, Luke dostrzegł drobny, nieśmiały promyk nadziei i pragnienia radości, ale też strachu przed nią. Wlał w jej serce otuchę, a wtedy to małe światełko nagle się rozszerzyło i nie wróciło już do swojej wcześniejszej, wątej postaci.

Skoncentrował się na tym, żeby jej przekazać, co znaczy być Jedi - chronić tych, którzy są prześladowani i nie potrafią sami się obronić. Ufać, kochać, być gotowym do poświęceń. Walczyć i narażać życie w imię tych ideałów.

A małe światełko w aurze Vestary w Mocy wchłonęło to wszystko. Luke odsunął się równie delikatnie, jak się do niej zbliżył.

- No i co? - spytał niecierpliwie Ben.

- Kiedy wrócimy, sam zacznę cię szkolić, jeśli zechcesz - oznajmił. Widząc radość na obu młodych twarzach, ostrzegł: - Ale przed tobą długa droga.

- Jesteś zdenerwowana - powiedział Ben. Siedział z Vestarą na brzegu jej łóżka, obejmując ją

ramieniem, a ona opierała się o niego. Czuł miękki dotyk jej włosów na policzku, czuł ich zapach. Oczy miał zamknięte. Cieszył się, że Vestara nie widzi go w tym momencie, bo wiedział, że ma na twarzy idiotyczny uśmiech. Nie przeszkadzało mu to.

- Nie jestem - odparła Vestara zdecydowanie za szybko.

Ścisnął ją za ramię.

- Jesteś. Ja też bym był. Wkrótce spotkasz mnóstwo istot, które jeszcze niedawno były twoimi zaprzysięgłymi wrogami, i powiesz im: „Cześć, byłam Sithanką, ale już nie jestem.

Wszystko w porządku, bo spotykam się z najbardziej niesamowitym, najprzystojniejszym, najmądrzejszym Jedi w...” Au!

Użyła Mocy, żeby trzepnąć go w głowę. Uderzenie było z pewnością żartobliwe, ale bolało i Ben potarł wolną ręką ucho.

- Nie zadzieraj nosa - ostrzegła Vestara. Jej ton był przekorny, ale ciepły i Ben odkrył, że uwielbia słuchać takiego głosu. - No, dobra. Jestem zdenerwowana. Kto by nie był? Nikt mi nie uwierzy, że naprawdę się zmieniłam. I wcale im się nie dziwię.

- Jedi wierzą, że każdy zasługuje na drugą szansę - zapewnił ją Ben, poważniejąc. Musiała w to wierzyć, bo w przeciwnym razie mogła wrócić na złą drogę. - Wiem, że trudno ci się otworzyć, ale nie masz już nic do ukrycia. Niech wszyscy zobaczą to co ja, a wtedy ci uwierzą.

- Mam nadzieję - odparła Vestara, a głos lekko jej zadrżał. - Mistrz Luke... chyba już wierzy.

Odpowiedź Luke'a dodała otuchy zarówno Benowi, jak i Vestarze, jednak chłopiec wiedział, że myśl o spotkaniu z tyłoma Jedi, którzy dopiero co atakowali statki Sithów, musi być niepokojąca dla kogoś, kto urodził się Sithem i był wychowywany na Sitha.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją. - Możesz wyczuwać u nich lekkie powątpiewanie i nieco wrogości. No dobra, może nawet sporo. Ale przekonasz ich do siebie.

Vestara odsunęła się trochę, a w jej oczach błysnęły figlarne ogniki.

- Tak? - spytała żartobliwie zmysłowym tonem.

- Owszem, ale nie całuj się z nikim poza mną, dobra?

Jej przekorny uśmieszek zmienił się w pełny, szczery i ciepły uśmiech.

- Dobra - obiecała.

- Jak twoi rodzice sobie z tym radzili? - zapytał Luke Jainę, która pełniła funkcję drugiego pilota podczas ostatnich paru godzin lotu na Coruscant.

- Z czym? - spytała Jaina. - Bo radzili sobie z wieloma rzeczami. Zwłaszcza ze mną.

- O to mi właśnie chodzi - powiedział Luke. - I o Jacena, i Anakina. Jak się zachowywali, kiedy... hmm... kiedy zaczęłaś widzieć w chłopcach kogoś więcej niż tylko sparingpartnerów?

Jaina zachichotała.

- Mama i tata byli całkiem w porządku, jeśli chodzi o chłopców. Tata zachowywał się trochę nadopiekuńczo, jak możesz sobie wyobrazić. Myślę, że tak naprawdę wszelkie problemy, jakie mogli mieć ze mną i z Jagiem... i Zekkiem... wynikały z faktu, że często nie było ich przy nas, kiedy byliśmy młodszy. Dlatego pewnie wydawało im się, że za szybko dorastamy. Nie byli gotowi na to, że jestem już dorosła i że mogę być z kimś w związku. Myślę, że zdawali sobie sprawę, jak wiele ich ominęło, i dlatego teraz zależy im na tym, żeby spędzać jak najwięcej czasu z Amelią.

W jej głosie nie było goryczy, jedynie stwierdzenie faktu. Cóż, jeśli nawet rodzic może być przy dziecku we wszystkich ważnych chwilach, pomyślał Luke, i tak mija to za szybko.

- Myślałem o tym, co mi powiedziałaś jakiś czas temu, zanim pozwoliliśmy Vestarze towarzyszyć nam na Korribanie.

Spojrzała na niego z konsternacją.

- A co takiego powiedziałam?

- Żebym nie lekceważył siły miłości. I że jeśli Ben wierzy, że Vestarę można nawrócić, to może tak jest.

- A, to... rzeczywiście.

- Ciągle się zastanawiam, czy masz rację. Vestara wydaje się całkowicie szczerą. Zawsze potrafiłem wyczuć, kiedy coś ukrywa, przynajmniej w pewnym stopniu. Ale... nie wydaje mi się, żeby tym razem kłamała.

- Ona ma dopiero szesnaście lat, wujku. Tymczasem jej ojciec próbował skrócić ją o głowę mieczem świetlnym, no i została praktycznie odcięta od całej swojej kultury. Miała szansę zobaczyć dużo więcej niż to, czego ją uczono, i samodzielnie podjąć decyzję co do własnej przyszłości. No i niewątpliwie jest zakochana w Benie, a Ben w niej, nawet jeśli się do tego nie przyznają, a on ma na nią dobry wpływ.

Luke popatrzył na siostrzenicę.

- Są na to dużo za młodzi. Zauroczenie, tak. Ale miłość?

Jaina odwróciła się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

- Tahiri miała piętnaście lat, a Anakin siedemnaście, kiedy zginął. Nie sądzisz, że oni naprawdę się kochali?

Luke poczuł się skarcony.

- Rozumiem, że z racji tego wszystkiego, przez co przeszedł, Ben jest bardziej dorosły niż większość ludzi dwa razy od niego starszych. Chyba po prostu nigdy nie myślałem o tym, że osiągnął ten poziom dojrzałości, jeśli chodzi... no, o związki.

- Niektórzy nigdy nie osiągają dojrzałości w przedmiocie związków - zauważyła Jaina, skupiając ponownie uwagę na konsolcie. - A niektórzy potrafią ustatkować się wcześniej i na dobre. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy.

Luke westchnął.

- Może to ja powinienem się zmienić - powiedział. - Może jestem zbyt mało elastyczny, żeby uwierzyć, że ktoś, kto urodził się Sithem, był wychowywany na Sitha i dorastał otoczony Sithami, może się od tego odciąć na tyle, żeby zostać Jedi.

- No cóż, ja bym użyła słowa „zręczliwy”... ale tak, przyszło mi to na myśl.

- Na tym właśnie polega problem z dzisiejszą młodzieżą. - Luke uśmiechnął się szeroko. -

To ten brak szacunku dla starszych.

Odpowiedziała uśmiechem, po czym oboje ponownie zamilkli.

- No dobrze - odezwał się w końcu Luke. - Mój syn spotyka się z byłą uczennicą Sithów, która chce zostać Jedi. Powinienem przynajmniej dać jej szansę. W końcu nie chciałbym, żeby zabraniała mi widywać się z wnukami.

- Hola, hola... nie przesadzaj w drugą stronę, wujku.

- Słusznie - zażartował Luke, pocierając podbródek. - Nie chcę jeszcze wyglądać na takiego steranego jak twój ojciec.

- Powiem mu, że tak uważasz.

- Sam mu to z przyjemnością powiem.

## **ROZDZIAŁ 21**

### **Świątynia Jedi, Coruscant**

Luke wiedział, że Mistrzowie chcieliby urządzić fetę na jego powitanie. Dla nich wszystkich był to bardzo trudny i bolesny czas i zapewne poczuliby ulgę, widząc znów założyciela ich Zakonu.

Wiedział też jednak, że w obliczu tak wielu wydarzeń nie było czasu na uroczystości czy fanfary; nie byłoby to zresztą stosowne. Jeszcze nie. Poprosił więc o ciche powitanie i parę chwil samotności przed podjęciem pierwszego zadania w charakterze powracającego Wielkiego Mistrza.

Minęło dużo czasu, odkąd stał tu po raz ostatni, ale w końcu, jak przyznał się sam przed sobą, sądził, że minie kilka lat, a nie tylko rok, zanim ten moment nadejdzie. Chociaż ta chwila -

spędzona w samotności w tym jakże znajomym miejscu, w pokoju, który był świadkiem tylu rozmów, tylu wspólnych działań i, tak, tylu utarczek - była drogocenna i delektował się nią, czuł

także głęboki żal w związku z powodami swojego powrotu.

Daala chciała znać odpowiedź na pytanie, dlaczego Jacen Solo stał się Darthem Caedusem.

Luke i Ben także pragnęli poznać te powody. Wyruszyli na ich poszukiwanie, odwiedzając miejsca, w których wcześniej był Jacen, w nadziei, że zdołają ustalić - kawałek po kawałku, jeśli będzie trzeba - jak dobry człowiek mógł tak bez reszty pogрузić się w cieniu. Nauczyli się wiele z tego, czego nauczył się Jacen, posiadli umiejętności, jakich nie posiadał żaden Jedi od wieków, jeśli w ogóle kiedykolwiek. I dowiedzieli się, że upadek Jacena był nieuchronny.

Stojąc tu teraz, z otwartym umysłem i sercem, Luke zdał sobie sprawę, że powinni byli odkryć tę część tajemnicy na długo przed tym, zanim weszli na pokład „Cienia Jade”. Teraz wydawało się to oczywiste. Tortury Vergere, w istocie uczące nowej, jakże brutalnej moralności, ukształtowały Jacena i wyznaczyły mu drogę. Jacen nabrał przekonania, że jest kimś szczególnym, jednak opacznie to rozumiał. Każda istota była wyjątkowa i miała coś do zaoferowania galaktyce, ale Jacen postrzegał swoją wyjątkowość jako przeznaczenie, które dawało mu prawo, a może nawet obowiązek, by rozdeptać wszystko, co stało mu na drodze do realizacji tego, co uważał za słusne.

Rozpętał wojnę rojów, próbując zapobiec mrocznej przyszłości; przekonał sam siebie, że cel uświęca środki, a zanim zginął z ręki swojej siostry bliźniaczki, gotów był poświęcić zaufanie, miłość, rodzinę - wszystkich i wszystko z wyjątkiem Allany, która zdawała się jego ostatnim łącznikiem z człowieczeństwem. A wszystko to dlatego, żeby nie dopuścić do spełnienia się jego wizji mrocznego człowieka na tronie.

Prawdziwa tragedia Jacena Solo zawierała się nie w tym, co zrobił, ale dlaczego to zrobił.

Luke wyczuł Sabę za drzwiami, czekającą na pozwolenie, żeby wejść. Odwrócił się, wysyłając zaproszenie i ciepło poprzez Moc, i drzwi się rozsunęły.

Mistrzynie Saba Sebatyne weszła, zatrzymała się kilka kroków od Luke'a i skłoniła głowę na powitanie. Był zaskoczony jej wyglądem i obecnością w Mocy. Saba zawsze była wojownikiem Jedi, zawziętym, silnym, dumnym ze swojego dziedzictwa; zawsze też robiła to, co uważała za słusne, z przekonaniem niezmaconym wątpliwościami i rozterkami, które często dręczyły ludzi.

Widział i czuł, jak bardzo dały jej się we znaki obowiązki Wielkiego Mistrza. Wydawała się odrobinę... niższa, jakby się skurczyła, a jej obecność w Mocy czuć było zwątpieniem w siebie i niepewnością. Luke szybko ukrył swoje zaskoczenie, żeby nie odebrała go jako potępienia.

- Ona cieszy się z twojego szczęśliwego powrotu na należne ci miejsce, Wielki Mistrzu Sskywalker - powiedziała. Nawet jej głos był przytłumiony.

- I ja cieszę się, że wróciłem, Mistrzynie Sebatyne - odparł Luke.

- Ona poddaje się pod osąd Wielkiego Misstrza. Ona przepelniona jest żalem z powodu reperkusji jej czynów pod twoją nieobecność - ciągnęła Saba. - Śmierć Misstrza Hamnera nie była z pewnością pożądanym efektem.

Gdyby była człowiekiem, Luke podszedłby do niej i położył jej rękę na ramieniu w krzepiającym geście. Zamiast tego uśmiechnął się tylko, wysyłając ponownie spokój i pocieszenie poprzez Moc.

- Wiedziałbym to, nawet nie znając żadnych szczegółów, Mistrzynie Sebatyne. Czytałem twój raport i raporty innych. I jestem gotowy do wydania osądu.

Wyprostowała się, przyglądając mu się w skupieniu, a jej ogon lekko zadrgał.

- Mistrz Hamner był moim przyjacielem - powiedział Luke. - Twoim także. Wierzę, że wszystko, co robił, miało na względzie dobro Zakonu Jedi. Czy ty też tak uważasz?

Ruchy jej ogona przybrały na sile.

- Ona nie zgadzała się z jego decyzjami. Ale ona nigdy nie posądzałaaby Misstrza Hamnera o celowe działanie na szkodę Jedi.

- A jednak według ciebie, i według wszystkich innych Mistrzów, taki był właśnie efekt jego działań.

Zawahała się, po czym pokiwała głową.

- Tak.

- Mistrz Hamner nie mógł zrzec się odpowiedzialności, którą został obarczony - stwierdził

Luke. - Jako wojskowy nie mógł też zrobić czegoś, co w jego mniemaniu byłoby równoznaczne z opuszczeniem posterunku. Robił wszystko, co mógł, żeby powstrzymać cię przed postępkem, który w jego przekonaniu był zły.

Wyczuł w Mocy konsternację i rosnący niepokój Saby. Nie chciał przedłużyć jej męczarni, jednak zależało mu na tym, żeby wszystko zrozumiała. On mógł jej wybaczyć, ale Saba musiała też wybaczyć samej sobie. A taki rodzaj przebaczenia był możliwy jedynie przy prawdziwym zrozumieniu czynu.

- Musiałaś dokonać naprawdę trudnego wyboru - ciągnął Luke. - Albo pozwolić Mistrzowi Hamnerowi umrzeć i umożliwić flocie start, albo uziemić flotę, najprawdopodobniej na długi czas, i oszczędzić go. Czy przyszło ci do głowy, że Mistrz Hamner oczekiwał, że podejmiesz właśnie taką decyzję? Nawet na to liczył?

Saba uniosła gwałtownie głowę, zaskoczona. Najwyraźniej taka ewentualność nie przyszła jej na myśl.

- Jego obowiązkiem byłaby ucieczka za wszelką cenę, żeby odzyskać stanowisko, którego, w jego

przekonaniu, nie mógł opuścić, nawet zmuszany do tego siłą. Wszedł z tobą w konflikt, wiedząc, że najprawdopodobniej zginie. I prędzej czy później musiało do tego dojść. On by nie spoczął, dopóki by nie wygrał... albo nie zginął.

Luke zbliżył się do Barabelki, ale w dalszym ciągu jej nie dotykał.

- Zginął na służbie, Sabo, tocząc walkę, która w jego głębokim przekonaniu była słuszna.

Nie widział innego rozwiązania.

- Ty byś znalazł - powiedziała cicho Saba.

Luke zastanowił się nad tym. W jakimś sensie mogła mieć rację. Może by zdołał wcześniej powstrzymać Kentha albo szybciej wygrać walkę; a może pomyślałby o tym, żeby postawić podwojone straże przy zdymisjonowanym Wielkim Mistrzu.

- Setki, może tysiące razy w moim życiu zastanawiałem się nad tym, co by było, gdyby. I pewnie nieraz jeszcze będę się zastanawiał. Ale wiem, że to tylko bezużyteczne zaprzątanie umysłu.

Jedi nie mogą sobie pozwalać na żadne gdybanie. Żal, refleksja nad sytuacją dla wyciągnięcia z niej wniosków; temu to służy. Czy mógłbym znaleźć inne wyjście? Być może. Ale mnie tam nie było, a ty byłaś. Czy mogłabyś postąpić inaczej i pozostać w zgodzie z samą sobą?

W oczach Saby pojawił się błysk zrozumienia. Rozważała jego słowa przez dłuższą chwilę.

- Nie - powiedziała w końcu. Wypowiedzenie tego jednego słowa przyszło jej z trudem, ale Luke wyczuł w Mocy, że jej nastrój się poprawia. - Ona... nie mogłaby postąpić inaczej.

- A więc ciesz się, Sabo Sebatyne - odparł Luke. - Zostałaś osądzona przez Wielkiego Mistrza, który nie znalazł żadnej winy. Ani w tobie, ani w twoich decyzjach, ani w innych Mistrzach, którzy wykonywali twoje rozkazy. Jedi mają chronić słabych i bezbronnych. Postąpiłaś słusznie, wspierając tych, którzy próbowali wywalczyć podstawowe prawa dla swojego ludu i położyć kres prześladowaniu istot rozumnych; należało wysłać flotę na Pydyr do walki z Sithami, a nawet obalić Daalę. To były czyny godne Jedi i okazały się konieczne. Ale wiesz dobrze, że rolą Jedi nie jest rządzenie.

Barabelka prostowała plecy z każdym jego słowem; chyba doszła już prawie do siebie. Saba Sebatyne była niezwykle silna duchem. Luke wiedział, że właśnie zrzuciła z ramion ciężkie brzemie i że z czasem zyska pewność, podobnie jak on - a nie tylko wiarę - że dobrze przewodziła Jedi w tym wyjątkowo burzliwym okresie.

- Wielki Misstrz Sskywalker jak zawsze mówi prawdę - przyznała Saba.

- Mam też dużo do powiedzenia wszystkim - oznajmił Luke.

W oczach Saby pojawił się błysk humoru.

- Ona sądzi, że to mało powiedziane - stwierdziła.

- On sądzi, że masz rację. - Luke uśmiechnął się szeroko. - No dobrze, zacznijmy już to spotkanie. Wyczuwam za drzwiami kilka osób, które nie mogą się doczekać, żeby wejść do środka.

- Nie musiałeś używać Mocy, żeby to wiedzieć, Wielki Mistrzu - zasyczała Saba. Jej obecność w Mocy z każdą chwilą emanowała większym spokojem.

- A kto powiedział, że użyłem? - odparł Luke. Skupił uwagę na zgromadzonych na zewnątrz i posłał im ciepłe, serdeczne powitanie. Drzwi się otworzyły i rozległo się wiele głosów równocześnie.

- Mistrzu Skywalker! - wykrzyknęła Cilghal. Jej ochrypy głos nigdy nie brzmiał radośniej.

- Luke! - odezwał się Kyp Durrion, nigdy nie przywiązujący wagi do formalności. Młodszy Mistrz pospieszył, żeby uścisnąć Wielkiego Mistrza. Kyle Katarn poklepał go serdecznie po plecach. Corran Horn stał z boku, uśmiechając się szeroko. Znowu przypominał dawnego Corrana, pomimo kurzych łapek wokół oczu. Octa Ramis i najnowsza członkini Rady, Barratk'1, przyjęta pod nieobecność Luke'a przez Kentha Hamnera, również były obecne i uśmiechały się do niego promiennie.

Luke ze wzruszeniem przypominał sobie swoje odejście ze Świątyni: ten tłum istot, które zebrały się, żeby z żalem go pożegnać. Przypominał sobie rękę Kentha Hamnera na swoim ramieniu, gdy patrzył na zebranych, i jego słowa: „Czterdzieści lat temu w całej galaktyce istniał

tylko jeden praktykujący Jedi, a Zakon i Świątynia były jedynie mętnymi pojęciami z powtarzanych potajemnie plotek. To, co widzisz dzisiaj przed sobą, to twoje dzieło, Mistrzu Skywalker”. I gdy tak wspominał Kentha i tę chwilę, atmosfera w pokoju się rozluźniła. Wszystkich obecnych czekało wiele trudnych chwil, a niebezpieczeństwo ze strony Sithów i Abeloth ani trochę się nie zmniejszyło, jednak Luke poczuł się raźniej, pokrzepiony samą swoją obecnością tutaj, na swoim miejscu, wśród przyjaciół, którzy go kochali i szanowali i dla których zrobiłby wszystko.

Wreszcie euforia nieco opadła i Luke dał znak, żeby wszyscy usiedli.

- Dziękuję wam za wspaniałe powitanie - powiedział. - Nie macie pojęcia, jak dobrze jest wrócić do domu, chociaż na trochę. Tak bardzo brakowało mi was i tej Świątyni. Mówiłem już Mistrzynie Sebatyne, i chcę powtórzyć to teraz wam, że pochwalam wszystkie wasze działania w czasie mojej nieobecności, jakkolwiek trudne i bolesne musiały być niektóre z tych decyzji. I muszę was ostrzec, że przed nami ciężkie chwile, ale zapewniam, że zatriumfujemy. Chyba wszyscy już wiecie, co się wydarzyło w trakcie naszych podróży, dzięki korespondencji, jaką prowadzili Ben i Cilghal. - Uśmiechnął się do Kalamarianki, która skłoniła głowę. - Kiedy mój wyrok został

uchylony, nic już nie stało na przeszkodzie, żebym wysłał wam wszystko, co wiem na temat Abeloth i Sithów, i wszelkie informacje, jakie zdobyliśmy podczas naszej wędrówki.

Luke zawahał się, niepewny, ile powinien zdradzić na temat jednej konkretnej sprawy. Nie chciał tego omawiać w tych formalnych okolicznościach, ale lepiej było załatwić to teraz, niż czekać, aż zaczną się mnożyć plotki - prawdziwe czy nie.



- Przywieźliśmy ze sobą gościa - zaczął. - Wiecie już o Vestarze Khai, córce Miecza Sithów, Gavara Khai. Od pewnego czasu współpracowała ze mną i Benem, początkowo niechętnie, jednak ostatnio całym sercem. Wyraziła chęć zostania Jedi.

Po pokoju przeszedł szmer.

- Z całym szacunkiem, Mistrzu Luke, ale czy jesteś pewien, że jej... przemiana jest autentyczna? - spytał Katarn.

- Została zaatakowana przez własnego ojca, który chciał ją zabić - oznajmił Luke. - Zabiła go w samoobronie. Teraz nie ma czego szukać na swoim ojczystym świecie. A ponadto - dodał -

wydaje się przywiązana do Bena, a on do niej. Otworzyła się przede mną w Mocy i uznałem, że jej pragnienie jest szczere.

- Jak dalece się otworzyła? - spytała Octa Ramis.

- Wystarczająco, żebym wyczuł, że niczego nie ukrywa.

- Mnie to wystarczy.

Pozostali pokiwali głowami na znak zgody. Ich zaufanie do zdolności Wielkiego Mistrza było onieśmielające.

- Jeśli nie macie więcej pytań - ciągnął Luke - chciałbym poruszyć dwie sprawy wielkiej wagi. Obie dotyczą tego, jaką strategię powinien przyjąć Zakon Jedi w obecnych okolicznościach.

Od czasu obalenia Daali wiele myślałem o tym, jaka powinna być nasza rola, i podjąłem decyzję.

Zdyscyplinowani Mistrzowie usiedli, żeby wysłuchać Luke'a, gdy tylko zaczął mówić.

Wszystkie oczy skierowane były na niego. Luke miał nadzieję, że zrozumieją i zaakceptują jego decyzję, ale był gotów wydać rozkaz, gdyby okazało się, że jest inaczej.

- Jestem głęboko przekonany, że Jedi nie powinni stać na czele Galaktycznego Sojuszu.

Wasze dotychczasowe działania były konieczne dla zachowania porządku. Teraz jednak nadszedł

czas, żebyśmy wystąpili z rządu, i to jak najszybciej. A kiedy już to nastąpi...

Luke wziął głęboki oddech, przygotowując się na nieuchronne protesty.

- Opuścimy Coruscant. Całkowicie - zakończył.

- Co? - To słowo wydobyło się z tyłu gardeł naraz, że trudno było stwierdzić dokładnie, kto zaczął.

- W jakim celu? - chciał wiedzieć Kyle Katarn.

- Zostawić Świątynię? Na dobre? - dopytywał Kyp.

- Ona stąd się nie ruszy! - Saba chlasnęła ogonem. Luke był zaskoczony; dopiero co była mocno przygnębiona. Teraz nie musiał nawet używać Mocy, żeby wyczuć jej determinację i żal.

Uniósł ręce, emanując spokojem.

- Odpowiem na wszystkie wasze pytania. To nie była łatwa decyzja.

Luke wiedział, że zaczynając od tak kontrowersyjnego tematu, zaskoczył Mistrzów.

Niektórzy zapewne zastanawiali się, czy w wyniku niedawnych konfrontacji z Sithami i Abeloth nie pomieszało mu się w głowie.

Ci, którzy wstali, zajęli na nowo swoje miejsca, nawet Saba, i Luke mówił dalej:

- Istnieje ku temu parę powodów. Po pierwsze, i to zostanie wkrótce obwieszczone nie tylko członkom Zakonu, ale i wszystkim, musimy jednoznacznie pokazać, że Zakon Jedi nie jest zainteresowany polityką. Przewrót był konieczny i dobrze go przeprowadziliście. Słyszałem jednak, że problemy narastają, a postępy są niewielkie. Metaforycznie można powiedzieć, że biedny Wynn Dorvan ma ręce związane, a w dodatku pełne roboty. On, lub każdy, kto zostanie wybrany już nie tymczasowym, ale prawdziwym, prawowitym przywódcą Galaktycznego Sojuszu, będzie musiał

funkcjonować bez Jedi i Senatu, zatwierdzających, co sobie wsypie co rano do kawy. Nowy przywódca musi się nauczyć, jak działać niejako część triumwiratu, ale jako samodzielny wódz współpracujący z odpowiednimi komórkami rządu. A my, Jedi, nie jesteśmy komórką rządu.

Tworzymy własny Zakon. I musimy to wszystkim pokazać.

- Z pewnością możemy to zrobić bez opuszczania Coruscant - wtrąciła Octa.

- Nie sądzę - odparł Luke. - Już nie. Pamiętajcie, jak Daala koncentrowała swoje działania na Jedi. Szanowała nas i nasze umiejętności, ale chciała nimi sterować wedle własnego uznania.

Sabo, ty postanowiłaś sprzeciwić się jej i Kenthowi, który również próbował działać w ramach takiego sposobu myślenia. Zrobiłaś właśnie to, co Jedi powinni zrobić. Nie możemy ryzykować, że znowu zostaniemy uwięzieni we własnej Świątyni, więźni na zakładników przez rząd, który będzie chciał zrobić z nas broń w swoim arsenale. Musimy być niezależni, tak żeby nasze działania wynikały jedynie z naszych własnych przekonań i rozkazów. A najlepiej możemy to osiągnąć, zwiększając fizyczny dystans między nami a siedzibą rządu, przynajmniej na jakiś czas.

- Nawet jeśli to oznacza porzucenie Świątyni? - spytał Kyp.

- Nie - oświadczyła stanowczo Saba, zanim jeszcze Luke zdążył odpowiedzieć. - Ona stąd nie odejdzie. Tak samo jak pozostali Barabelowie ze Świątyni.

A więc to dlatego tak gwałtownie zareagowała. Luke słyszał o dziwnej tajemnicy związanej z Jedi tej

rasy, którzy zaszyli się w Świątyni. Postanowił nie drażnić tematu. Wierzył, że Saba nie zrobi nic, co mogłoby zaszkodzić Zakonowi lub innym Jedi, a poza tym uznał, że tylko by ją rozgniewał.

Luke zastanawiał się przez chwilę.

- Barabelowie przebywający obecnie w Świątyni będą mogli zostać... tak długo, jak to będzie konieczne. Ale musisz mi przyrzec, Mistrzynie Sebatyne, że nie spróbują ingerować w politykę nowego rządu i dołączą do pozostałych Jedi, jak tylko to będzie możliwe.

- Uwierz mi, Misstrzu Sskywalker - zasyczała Saba. - Nie mają zamiaru wychodzić w najbliższym czasie poza Świątynię ani też wpuszczać kogokolwiek do środka.

- Mimo wszystko mogą się nam przysłużyć - stwierdził Luke. - Będą pilnować Świątyni, żeby nie została zbezczeszczona. To nasz dom, nawet jeśli nie możemy tu dłużej mieszkać.

Na razie dla podkreślenia naszej jedności powinniśmy opuścić ją razem, ale nie będę zabraniał żadnemu Jedi wstępu do naszej własnej Świątyni. Czy Tesar i Wilyem podejmą się jej ochrony?

Saba zastanawiała się przez chwilę.

- Tak - powiedziała w końcu. - To nie powinno kolidować z ich... innymi zajęciami. A jeśli będą mogli zostać tu, przez nikogo nie niepokojeni, ona opuści Świątynię z resztą Jedi.

- Podziękuj im, proszę, w moim imieniu - odparł Luke. - Czy zgadzamy się we wszystkich sprawach, o których mówiłem?

Mistrzowie zastanowili się, po czym wszyscy skinęli głowami. Luke czuł, jak bardzo ich cieszy, że są znów częścią grupy, którą ktoś prowadzi, a nie dyryguje.

- Dobrze. Za chwilę wrócimy jeszcze do szczegółów tych decyzji. Zostaną one, z konieczności, upublicznione. To, co powiem teraz, jest przeznaczone tylko dla waszych uszu.

Vestara szła w milczeniu za Benem i Jainą przez Świątynię, kierując się w stronę biblioteki.

Na razie widziała głównie turbowindy i korytarze. Jaina chciała się najpierw zobaczyć z Natuą, żeby podziękować jej za ciężką pracę, i powiedziała Benowi, że potem mogą z Vestarą sami pozwiedzać Świątynię.

Po kilku chwilach Ben przerwał krępującą ciszę.

- I co o tym sądzisz?

Obejrzała się na niego.

- Jest... całkiem duża.

- Jedi są na Coruscant od bardzo dawna - przypomniał jej Ben.

- Sithowie także są na Kesh od bardzo dawna, a jednak nasza Świątynia jest znacznie mniejsza.

Ben odnotował to w pamięci, żeby wrócić później do tematu.

- Jak już wyjdziemy z biblioteki, możemy pójść, dokąd zechcesz. Widziałaś plany. Coś cię zainteresowało?

Vestara, od przylotu zamknięta w sobie i jakby onieśmielona, nagle zmiękła.

- Wszystko! - zawołała, przypominając bardziej Allaną niż chłodną zwykle i opanowaną Sithankę. Ben uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi i ścisnął ją za rękę.

Trzymając się za ręce, weszli do biblioteki. Ben był przygotowany na to, że wszyscy będą do niego podchodzić, żeby się przywitać, jednak biblioteka nie stanowiła raczej centrum życia towarzyskiego, a nieliczne obecne istoty wydawały się zaabsorbowane swoją pracą.

Nawet Natua, którą w końcu znaleźli, gdy Jaina zajrzała za stos datapadów.

- Próbowałam się z tobą skontaktować jakieś siedemnaście razy - powitała ją.

Natua podniosła wzrok i na chwilę ją zamurowało.

- Jaina! - wykrzyknęła. - Ben! Witajcie. Przepraszam... Wyłączyłam komunikator. Byłam kompletnie pochłonięta pracą.

- Właśnie widzę. - Jaina wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Natua wstała, żeby się z nimi przywitać, i spojrzała na Vestarę.

- Ty musisz być Vestara Khai - powiedziała. Ben skrzywił się w duchu, czując rezerwę, jaką okazywała zarówno w Mocy, jak i poprzez naturalne dla jej rasy wydzielanie feromonów. - Mistrz Luke mówił, że chcesz zostać Jedi.

Vestara skinęła głową.

- Tak. - Jej nieskrywana szczerłość najwyraźniej uspokoiła Natuę.

- Chętnie z tobą porozmawiam - oświadczyła Natua. - Nie wiedziałam zbyt wiele o kulturze Sithów, dopóki nie zaczęłam szukać informacji dla was. Teraz wydaje mi się to fascynujące.

- A ja sędzę, że z przyjemnością zacznę się uczyć o Jedi - odparła Vestara. - Oczywiście opowiem ci wszystko, co wiem, żeby pomóc.

Jaina ostrożnie zdjęła z krzesła stos datapadów i usiadła obok Natui. Ben i Vestara poszli za jej przykładem.

- Chciałam ci podziękować za wszystko, co zrobiłaś - powiedziała Jaina. - Byłaś niezwykle

pomocna.

Natua skrzywiła się lekko.

- Mimo że trafialiście na same ślepe zaułki?

- Mimo to. Przecież to nie twoja wina, że Sithowie mają mnóstwo kryjówek, które trzeba przeszukać jedną po drugiej.

- No cóż - odparła Natua - być może to polowanie wkrótce się zakończy. Sama miałam się do ciebie odezwać. Chciałam najpierw jeszcze trochę poszperać, ale skoro już tu jesteście, to mogę wam powiedzieć.

- Czego się dowiedziałaś? - Jaina, Ben i Vestara nachylili się nad nią niecierpliwie.

- Nie jestem pewna - oznajmiła Natua. - Ale być może odnalazłam Statek.

- Co takiego? - okrzyk Jainy był tak głośny, że kilka głów zwróciło się ku niej. Natua aż się roześmiała. Ben także czuł radość i ekscytację, wcale nie dbając o to, że może to być skutkiem wydzielanych przez Natuę feromonów. I bez tego czułby się podobnie, jeśli tylko naprawdę mogli odnaleźć Statek.

- Wiem, że mieliśmy się skupić na znanych światach Sithów, wychodząc z założenia, że jeśli my o nich wiemy, to Zapomniane Plemię też powinno - tłumaczyła Natua. Ben wyczuwał, że pomimo całej radości i entuzjazmu, Natua ma zamiar przedstawić im wszystko w uporządkowany sposób. - Ale któregoś dnia postanowiłam po prostu zacząć czytać o różnych światach, o których wiedzieliśmy bardzo niewiele, bo przeważnie nie odgrywały znaczącej roli. Jeden z tych światów nazywa się Upekzar.

Dotknęła datapadu i na wyświetlaczu pojawiła się niewyróżniająca się niczym planeta. Ben, Jaina i Vestara podnieśli się, żeby zajrzeć Natui przez ramię.

- Upekzar to raczej zapomniany świat - ciągnęła Natua. - Ogólnie rzecz biorąc, wygląda na przyjemną i umiarkowaną planetę. Są na niej czapy lodowe na biegunach, lasy deszczowe, oceany, równiny, góry, obszary zalesione. Występuje tam większość znanych typów klimatów. Niestety, jak można się było spodziewać, nasze poszukiwania muszą się skupić na tych mniej przyjemnych miejscach.

Wskazała na obraz na ekranie komputerowego notesu. Przedstawiał on łańcuch wysp i linie brzegowe skupione w jednej części świata.

- Widzicie ten pierścień? - Natua przesunęła palcem wzdłuż łańcucha, zaczynając w pobliżu bieguna południowego i kierując się w górę, przez równik, w stronę bieguna północnego, a następnie z powrotem w dół. - Starożytni Sithowie nazywali go Kręgiem Wizji. Reszta planety pozostała niezagospodarowana, bo całą uwagę skupiali na pięciu konkretnych miejscach wzdłuż tego kręgu.

- Dlaczego ten obszar był taki ważny? - spytała Vestara.

- Są tam liczne wulkany - odparła natychmiast Natua.

- No, to w stylu Sithów, skakać do wulkanów - szepnął żartobliwie Ben do Vestary.

Dziewczyna odepchnęła go, ale sama z trudem powstrzymywała uśmiech.

- A konkretnie - mówiła dalej Natua - interesowało ich to, co wulkany pozostawiały po sobie. Wulkaniczne jaskinie, pieczary, tunele, ukształtowane przez lawę płynącą pod górną warstwą, która stygła szybciej, tworząc skorupę. Sithowie uważali, że te jaskinie są ważne; kiedy zapuszczali się w głąb, wielu z nich doznawało halucynacji.

- To przez opary występujące w jaskiniach? - spytała Jaina.

- Nie. - Natua pokręciła głową i postukała w klawisze na konsolecie, żeby wyświetlić kolejny holograficzny obraz. Pojawił się rodzaj insekta o sześciu nogach, kilkuodcinkowym tułowi, czułkach i czymś, co wyglądało na rozdwojony ogon.

Ben otworzył szeroko oczy.

- Wiem, co to jest - oznajmił z powagą.

Vestara spojrzała na niego.

- Wiesz?

Pokiwał głową.

- To jest... robak!

- Twoje poczucie humoru jest prawie tak samo wybitne jak Jacena - mruknęła Jaina. Ben uśmiechnął się nieznacznie. Zdawał sobie sprawę, że Jacen Solo zaczyna wypierać Dartha Caedusa z jego myśli i z jego serca, i był z tego zadowolony. Oczywiście odkąd Vestara powiedziała mu, że chce zostać Jedi, i zaczęli wspólnie odkrywać, co znaczy słowo „związek”, czuł się szczęśliwszy i bardziej pewny siebie, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna.

- Co to za robak, Natuo? - spytała Jaina.

- To odmiana widłogonka. Rodzaj szczęcionoga, który jest... - Natua zauważyła ich skonsternowane miny i uśmiechnęła się - ...robakiem. Różne odmiany widłogonków można spotkać na niemal wszystkich zamieszkałych światach. Ale ten gatunek jest szczególnie interesujący. W

różnych fazach swojego cyklu życiowego wydziela płyn bogaty w feromony. Tak się składa, że dla niektórych ssaków jego feromony są silnym halucynogenem. Z nielicznych ocalałych zapisków wynika, że halucynacje Sithów były przerażające.

- A Sithowie oczywiście wierzyli, że to sprawka Ciemnej Strony - domyśliła się Vestara.

- A była? Chociaż częściowo? - spytał Ben.

- Tak, oczywiście - potwierdziła Natua. - Początkowo Sithowie nie mieli pojęcia, co się dzieje. Potem, gdy już zrozumieli, uznali wulkaniczne jaskinie za miejsca szczególne. Urządzali tam inicjacje i inne rytuały Przejścia bez żadnej ochrony przed feromonami. Jaskinie, jeśli nawet nie były skupiskiem energii Ciemnej Strony, to na pewno miejscem, gdzie Ciemna Strona rozkwitała. Stulecia rytuałów, przepojonych strachem i cierpieniem wywołanym feromonami, tylko to wzmocniły. W rezultacie, chociaż Sithowie nie mieszkali w wulkanicznych tunelach, kontakty z robakami stały się fundamentem ich kultury. Mieszkali w pobliżu pięciu głównych miejsc, w których odprawiali swoje Misteria. Każda osada była położona niedaleko rozbudowanego zespołu jaskiń, który miał określoną funkcję. - Mówiąc, wskazywała kolejno na różne fragmenty obrazu. -

Ten tutaj, w pobliżu bieguna południowego, przeznaczony był do Zimnych Rytuałów, związanych zapewne z powściągnięciem emocji, utwardzaniem serca i tak dalej. Ten na równiku zaś do Rytuałów Ognia. Tutaj pewnie Sithowie koncentrowali się na swoim gniewie i pasji, żeby je jak najlepiej wykorzystać w służbie Ciemnej Strony. Jednak sądzę, że najważniejszym miejscem jest to, leżące w bardzo umiarkowanej strefie, gdzie odbywały się tak zwane Najwyższe Rytuały. Odprawiali je tylko najwyżsi rangą Sithowie, ci, którzy byli najsilniejsi Mocą. Dlatego też właśnie oni mieszkali zaledwie kilka kilometrów od tego zespołu jaskiń, w mieście leżącym w cieniu uspiętego wulkanu.

Dotknęła ekranu i obraz planety zastąpiła mapa wspomnianego obszaru.

- Pamiętasz, Ben? Kiedy znalazłeś Statek na Ziost - mówiła dalej Natua - był... zadokowany, jeśli można tak powiedzieć, pod opuszczoną cytadelą. Nieliczne ocalałe dokumenty wskazują, że to miejsce było „gniazdem przyszłych Sithów”. Sądziłam, że to mógł być żłobek albo szkoła... dopóki nie zobaczyłam tego.

Dotknęła znów ekranu notesu. Mapa zniknęła, a w jej miejsce pojawił się obraz pomarańczowego, chropowatego, aż nazbyt dobrze im znanego Statku. I chociaż wszyscy wiedzieli, po co tu są, jego widok wywołał cień niepokoju w Mocy.

- Nie sądzę, żeby był to ten sam Statek, którego szukamy, biorąc pod uwagę, jak długo był

na Ziost - ciągnęła Natua - jednak niewątpliwie jest to okręt szkoleniowy Sithów. Nietrudno uwierzyć, że Statek postanowił wrócić do znanego sobie gniazda.

- A więc wygląda na to, że mamy dwa cele - stwierdziła Jaina. - Przeszukamy miasto, żeby sprawdzić, czy są jakieś ślady Statku w jego, eee... hangarze, i zbadamy pobliskie wulkaniczne jaskinie w poszukiwaniu innych informacji, które mogłyby nam pomóc, jeśli tam go nie będzie.

Natuo, co wiemy na temat rytuałów, które odbywały się w jaskiniach?

- Niestety nic - odparła Natua. - Były tajne, tylko dla wtajemniczonych. Odkąd Sithowie zaczęli wykorzystywać widłogonki, a raczej wytwarzane przez nie feromony, źródła milczą na temat tego, co się tam faktycznie działo. - Wydawała się speszona tym, że nie może podać odpowiedzi. Ben zdał sobie sprawę, że, podobnie jak większość do niedawna „obłąkanych Jedi”, Natua próbuje

zadośćuczynić za szkody, jakie wyrządziła, znajdując się pod wpływem Abeloth.

Jaina najwyraźniej też to zauważyła, bo ścisnęła ją przyjaźnie za ramię.

- Upekzar to niewielki i mało znany bastion Sithów - zauważyła Jaina. - Jeśli dodać do tego te... robaki... i tajne rytuały, to nikt nie znalazłby wielu informacji na jego temat.

- *Rhak-skuri* - powiedziała Natua. - Sithowie nazywali je *rhak-skuri*.

- Pieśniarze Snów - przetłumaczyła Vestara.

- Chyba to zbyt ładna nazwa jak na robaki - zauważył Ben.

Vestara odwróciła się w jego stronę.

- Dla Sithów koszmary nie różnią się właściwie od zwykłych snów. Pomagają im w rozwoju. Jeśli potrafisz zapanować nad swoim koszmarem, pokonać go, to znaczy, że jesteś silny.

A więc stworzenia, które wywoływały wizje, były cenione i szanowane ze względu na wyzwania, jakie stwarzały.

- No, ale przecież one nie śpiewają - zwrócił uwagę Ben. Zerknął na Natuę. - Prawda?

Falleenka się uśmiechnęła.

- Z tego, co udało mi się ustalić, to nie.

- To metafora - wyjaśniła Vestara. - Mogłyby się równie dobrze nazywać twórcami snów albo tkaczami snów, albo budowniczymi...

- Rozumiem - przerwał jej Ben, unosząc ręce w geście żartobliwej kapitulacji. - Natuo, czy te *rhak-skuri* są niebezpieczne pod jakimś innym względem?

- Nie - odparła Natua. - Ich wydzielina jest nietoksyczna, a poza tym są nieszkodliwe.

Nawet ich żuwaczki są zbyt małe, żeby przeciąć skórę.

- Wielki Mistrz Jedi będzie bardzo zadowolony - oznajmiła Jaina. - Wiesz, jeśli zechcesz...

dobrze by było, żebyś poleciała z nami. Wydaje mi się, że naprawdę zasłużyłaś na udział w tym polowaniu, i to właśnie powiem Luke'owi.

Natua otworzyła szeroko oczy.

- Och, tak... oczywiście byłabym zaszczycona, mogąc pomóc Wielkiemu Mistrzowi, jeśli się zgodzi. Dziękuję, Jaino.

Ben wiedział, że nie tak dawno stoczyły ze sobą pojedynek na miecze świetlne, jednak teraz Natua



była uzdrowiona i zdecydowana zrehabilitować się za chorobę, w którą wpędziła ją Abeloth.

Cieszył się z tego. Po prostu bardzo się cieszył.

- Zostawię wiadomość dla wujka Luke'a, a potem idę się zobaczyć z narzeczoną -  
zdecydowała Jaina.

- Nie rób nic, czego ja bym nie zrobił - zażartował Ben.

- Hej, mam nadzieję, że jednak zrobię, a ty lepiej daj sobie spokój - odcięła się Jaina.

Ruszyła żwawym krokiem, mówiąc coś po cichu do komunikatora.

- A więc - powiedział Ben - nadeszła pora, żebym zabawił się w przewodnika. Dokąd byś chciała pójść najpierw?

- To twoja Świątynia - odparła Vestara. - Chcę zobaczyć wszystko, więc zdecyduj, dokąd chcesz najpierw pójść.

- Szczerze? - spytał Ben z niewyraźnym uśmiechem. - Do stołówki.

Vestara westchnęła, przewracając oczami.

## **ROZDZIAŁ 22**

### **Na pokładzie „Sokoła Millenium”**

- Wolałbym, żeby nie zadawała się ze Squibami - mruknął Han. Siedział w fotelu pilota

„Sokoła”, z zaciśniętymi zębami i zmrużonymi oczami, patrząc przed siebie z ponurą determinacją.

Chciał jak najszybciej dotrzeć do domu.

- To ty zaproponowałeś, żeby nauczyła się grać w sabaka - zauważyła Leia.

- Myślałem, że to ją nauczy czegoś na temat natury ludzkiej - odparł Han. - Nie sądziłem, że faktycznie usiądzie i zacznie grać z trzema małymi...

- Przecież nie używają prawdziwych kredytów - przypomniała mu Leia.

- Nieważne.

- A poza tym wygrywa.

Han rozpogodził się nieco, gdy zwolnili i wyszli z nadprzestrzeni, a gwiazdy w końcu się zatrzymały. Przed nimi pojawiła się żółto-brązowa tarcza Coruscant, mieniąca się światłami, które nigdy nie gasły.

- Dom. W samą porę - stwierdził Han.

Leia nachyliła się nad konsolę łączności, wykorzystując bliskość męża, żeby skraść szybkiego całusa.

- Jeszcze nie - powiedziała. - Najpierw musimy porozmawiać z paroma osobami.

Han westchnął. Za plecami usłyszał charakterystyczny, pryncypialny głos:

- Nie, nie, panienko Amelio, proszę nie kłaść tej karty!

Han się skrzywił.

- Threepio, co ja ci mówiłem o zaglądaniu w karty? - zawołał. R2-D2 zaćwierkał coś, co brzmiało jak: „A nie mówiłem?”

- No cóż, kapitanie Solo, wiem, że nie życzy pan sobie moich rad ani obliczeń, kiedy oddaje się pan grom hazardowym - dobiegł głos 3PO. - Jednak skoro do moich obowiązków należy pomoc w edukacji panienki Amelii, pomyślałem, że to na mnie spoczywa...

- No to źle pomyślałeś.

- Ach. Jak pan sobie życzy, kapitanie. Panienko Amelio, może panienka wyjść w Gwiazdę, jeśli panienka chce.

Han skrzywił się, słysząc tę uwagę, a Leia uśmiechnęła się szeroko. Wiedziała, że wbrew udawanej złości na złocistego droida - no dobrze, czasami złość była autentyczna - Han bardzo go lubił. A kiedy 3PO się zamartwiał, wszystko było na swoim miejscu.

Przez system łączności zatrzeszczał głos Jaga:

- Jagged Fel.

- Jag - przywitała go ciepło Leia.

- O, cześć, mamó, cześć, tato - rozległ się głos ich córki.

Han i Leia wymienili zaskoczone uśmiechy.

- Witaj, kochanie - powiedziała Leia. - Kiedy przylecieliście?

- Parę godzin temu. Wujek Luke rozmawia z Mistrzami, a Ben i Vestara szwendają się po Świątyni. Wygląda na to, że ona chce zostać Jedi.

- Sithanka chce zostać Jedi? - powtórzył Han. - Co na to Luke?

- I on, i ja uważamy, że jest szczerą - odparła Jaina. - Ale powinniście sami z nim pogadać. -

Tłumaczenie: „Streszczajcie się. Chcę побыć sama ze swoim narzeczonym”.

- Zrobię to, jak tylko porozmawiam z twoim przyszłym mężem. Jag, Han i ja właśnie wracamy z dosyć pouczającej ekspedycji. Mamy pewne wiadomości, które musimy ci jak najszybciej przekazać.

- Jutro od rana będę w swojej kancelarii - oznajmił Jag. Tłumaczenie: „Nie przeszkadzajcie nam teraz”.

Leia nie mogła powstrzymać uśmiechu. Wiedziała, co czują. Z tego samego powodu ona i Han unikali wikłania się w różne przygody jedno bez drugiego.

- Dobrze, skontaktuję się z tobą i coś ustalimy. Witaj w domu, Jaino.

- Dzięki, mam. - Gdyby ktoś inny tak nagle się rozłączył, Leia uznałaby to za niegrzeczne.

Jednak w tym wypadku tylko ją to uszczęśliwiło.

- Teraz dom? - spytał Han.

- Teraz Luke - odparła Leia. Jaina mówiła, że Mistrz Jedi jest na zebraniu, więc chciała jedynie zostawić wiadomość. Tymczasem zdziwiła się, ale i ucieszyła, słysząc głos brata.

- Luke! Jaina mówiła, że wróciliście.

- Miło cię słyszeć! - powiedział Luke. - Myślałem, że was tu zastanę, jak wrócę.

- Wylecieliśmy, zanim uprzedziliście nas o powrocie, i, no cóż, byliśmy trochę zajęci.

Niedługo lądujemy. Kiedy możemy się spotkać, żeby porozmawiać?

- Im szybciej, tym lepiej. Niestety, będą to same zawodowe sprawy - wyjaśnił Luke. Han się nachmurzył. - Skończyłem właśnie spotkanie z Mistrzami i chciałbym wam przekazać pewne decyzje, które podjęliśmy. Jedną jest taka, że Jedi wycofają się z wszelkiego formalnego udziału w rządzie. Chciałbym, żebyś była obecna, kiedy Saba i ja poinformujemy o tym Treen i Dorvana. Jedi chcieliby, żeby Dorvan został oficjalnie nowym przywódcą Galaktycznego Sojuszu.

- Biedny Wynn - zmartwiła się Leia. - Nie będzie tym zachwycony.

- Nie musi być zachwycony, wystarczy, żeby się zgodził - odparł Luke.

- Zgodzi się - zapewnił Han. - Pod tą nieskazitelną i nudną powierzchownością bije serce porządnego człowieka.

- Chyba wszyscy się co do tego zgadzamy. Może nawet co do tej nudnej powierzchowności

- przyznał Luke. Głos miał pogodny, chociaż wydawał się zmęczony. - Druga sprawa jest taka, że Jedi mają opuścić Coruscant. Najszybciej, jak to będzie możliwe. Kiedy proces przekazania władzy

się zakończy, chciałbym, żebyś do nas dołączyła.

Leia była tak zszokowana, że przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nawet Han wyglądał na zaskoczonego.

- Luke, nie wiem, czy... - zaczęła.

- Wiem, wiem - powiedział Luke. - Ale to konieczne, Leia. Wyjaśnię ci dlaczego, kiedy się zobaczymy. Spotkajmy się w Świątyni. Napijemy się kawy, obmyślimy plan działania, a potem pójdziemy do Senatu.

- W porządku, niedługo tam będziemy. Nawiasem mówiąc, podobno mój bratanek kręci się po Świątyni Jedi w towarzystwie Sithanki. O tym też chciałabym coś usłyszeć.

Luke zachichotał.

- Obiecuję. Do zobaczenia wkrótce.

### **Kancelaria przywódcy Galaktycznego Sojuszu, Coruscant**

- Wielki Mistrzu Skywalker - powiedział Wynn Dorvan, wstając, gdy Luke, Leia i Saba weszli do sali konferencyjnej w kancelarii przywódcy Galaktycznego Sojuszu. Wyciągnął rękę, a Luke uściskał ją z uśmiechem. - Witaj w domu.

- Dziękuję - odparł Luke. - Dobrze jest wrócić do domu. - Choćby na chwilę, pomyślał.

- Jedi Solo, ciebie również miło widzieć - powiedział Dorvan, zwracając się do Leii. - Mam nadzieję, że udała wam się wycieczka.

Leia się uśmiechnęła.

- Owszem.

- Mistrzynie Sebatyne, witam. Wielki Mistrzu, czy poznałeś już senator Haydnat Treen z Kuata?

Starsza kobieta wstała z gracją, uśmiechając się ciepło do Luke'a.

- Mistrzu Skywalker - powiedziała. - Miło pana wreszcie poznać. Bardzo się cieszymy z pańskiego powrotu.

Luke był przyzwyczajony do obcowania z politykami. Nie znał ich tak dobrze jak Leia, ale nie spodobała mu się ta dziwnie przymilna senator. Wyczuwał za jej wylewnością chłód, wyrachowanie i skrzętnie ukrywane sekrety.

Oczywiście to samo można było powiedzieć o większości polityków. A wszystkie istoty miały jakieś sekrety. Ale jej obecność w Mocy nie wzbudziła w nim sympatii. Uśmiechnął się uprzejmie.

- Dziękuję. I oczywiście słyszałem o pani, pani senator. Mistrzynie Sebatyne mówiła mi, że pomogła pani uporządkować wiele spraw w trakcie urzędowania triumwiratu.

Fizycznie nie zaszła w niej żadna zmiana, jednak Luke wyczuł, że senator wzmogła czujność. Treen nie była wrażliwa na Moc, ale efekt był bardzo podobny. Umiała ukrywać swoje myśli. Bardzo głęboko.

Po wymianie uprzejmości cała piątka usiadła przy stole.

- Przejdę od razu do rzeczy - oświadczył Luke. - Senator Treen, Dorvan... chyba wiecie, że Jedi nigdy nie zamierzali rządzić Galaktycznym Sojuszem. Przewrót miał na celu jedynie odsunięcie od władzy przywódczyni, ponieważ stała się zagrożeniem dla rządu, którym starała się kierować, nic więcej. Ten triumwirat zaś, który utworzyła wasza trójka, miał być jedynie rozwiązaniem przejściowym.

- Chyba zdaje egzamin - stwierdziła Treen. - Biorąc pod uwagę okoliczności.

- Galaktyka miała szczęście, że górę wziął głos rozsądku - przyznał Luke. - Muszę was jednak poinformować, że jedna z tych istot nie będzie mogła dłużej pełnić tej roli. Mam zamiar wycofać Jedi ze wszystkich struktur władzy w Galaktycznym Sojuszu. Jedi mają odpowiadać jedynie przed sobą oraz przed istotami, którym mamy służyć.

To zaskoczyło zarówno Treen, jak i Dorvana. Luke przekazał im następnie to, co powiedział

wcześniej Mistrzom - że Jedi muszą zyskać autonomię. Że wciąż należy ścigać Sithów i Abeloth, bo stanowią oni zagrożenie nie tylko dla Galaktycznego Sojuszu, ale i dla całej galaktyki. I że chociaż wierzy, iż nikt ze znajdujących się w tej sali nie pójdzie śladami Daali, to jednak Jedi muszą mieć możliwość samodzielnego, swobodnego i natychmiastowego działania, tak żeby nikt nie mógł im niczego zabraniać ani dyktować.

Tak jak się spodziewał, wyczuł zarówno niepokój, jak i ulgę ze strony Treen i Dorvana.

- Dążenia Daali do podporządkowania sobie Jedi były od początku nierozsądne - zgodził się Dorvan. - Jej pierwszym błędem było wygnanie ciebie, a potem brnęła dalej. Mogę zrozumieć, że twój Zakon chce działać niezależnie, ale co to oznacza dla Galaktycznego Sojuszu?

- Przyjaźń - odparł szybko Luke, wysyłając Dorvanowi szczere zapewnienia poprzez Moc. -

Nie porzucamy was. Jeśli będziecie nas potrzebować, jesteśmy do dyspozycji. Jedyne faktyczna różnica będzie polegała na tym, że nie ograniczymy się do pomocy tylko tym istotom, które wskaże nam Sojusz.

- Myślę, że to wspaniały pomysł - stwierdziła Treen. - Nie jesteście droidami ani wynajętymi zbirami, Mistrzu Skywalker, więc nie powinniście być tak traktowani. I chociaż muszę pochwalić Mistrzynie Sebatyne za cywilizowany przebieg przewrotu, sądzę, że już najwyższy czas, żeby drogi Jedi i polityki Sojuszu się rozeszły. - Zawahała się chwilę. - Tylko... jak się właściwie do tego zabrać? - dodała.

- Triumwirat, który utworzyliście, był środkiem wyjątkowym - przypomniała Leia. - Z

prawnego punktu widzenia, gdy tylko wyjątkowa sytuacja mija, należy jak najszybciej przeprowadzić formalne wybory.

- Trochę to potrwa, nawet pomijając trudności ze zorganizowaniem parady - zauważył cierpko Dorvan.

- Wszyscy po prostu musimy na bieżąco wymyślać strategię działania. Sojusz miał

szczęście, że na razie to działa, jednak sędzę, że z perspektywą wycofania Jedi powinniśmy poszukać jakiegoś precedensu. I chociaż nikomu z was nie życzę źle, najbardziej zbliżoną sytuacją mogłaby być śmierć urzędującego przywódcy.

Dorvan zajrzał do datapadu.

- Według obowiązującego prawa, w takim wypadku Senat powinien wybrać tymczasowego przywódcę na okres nie dłuższy niż dwa miesiące, dopóki nie zostaną przeprowadzone właściwe wybory - oznajmił. - Skoro tak, proponuję, żeby senator Treen, która pełni już tę funkcję, zajęła miejsce Daali. - Wydawał się pokrzepiony własnym wnioskiem.

- Och, nie! - wykrzyknęła Treen. - Miałam już przedsmak przywództwa i przekonałam się, że to nie dla mnie. A poza tym na Kuacie zaczynają już myśleć, że zapomniałam o nich i o ich interesach. To zdecydowanie zbyt skomplikowane, nie ma nawet czasu na przerwę na kaf. Gdyby Senat zaproponował mi takie stanowisko, musiałbym odmówić. Wydaje mi się zresztą, że Senat wolałby, żebyś to ty stanął na jego czele, Wynn.

Leia uśmiechnęła się do niego.

- Wynn - powiedziała - znamy się od dawna. Nadajesz się jak nikt inny.

Dorvan westchnął.

- Nie chciałem mieć pod sobą nawet asystentki, a co dopiero całego rządu.

- Lepiej, żebyś to był ty niż ktoś żądny władzy - stwierdził Luke. - To nie musi być na zawsze. Zgódź się przynajmniej objąć stery do czasu zorganizowania uczciwych i legalnych wyborów. Nikt nie mówi, że masz się wtedy ubiegać o urząd. Ale na razie wydaje się, że mianowanie ciebie pozwoli uniknąć wstrząsów i chaosu w czasach, kiedy Sojusz potrzebuje stabilizacji.

- No, dobrze, już dobrze - powiedział ponuro Dorvan.

- Och, daj spokój, Wynn - zawołała pogodnie Treen. - Mówisz tak, jakbyś szedł na ścięcie!

- Bo tak się czuję - odparł Dorvan. - Ale chyba nie ma innego wyjścia.

Cała piątka przeszła szybko do omawiania szczegółów odlotu Jedi. A było ich do omówienia bardzo dużo. Na szczęście wszyscy wydawali się w miarę zgodni. Do końca spotkania zdążyli uzgodnić datę, plan podróży, zebrać kopie potrzebnych dokumentów i ustalić, kiedy, jak i przez kogo zostaną ogłoszone poszczególne decyzje. Był to niezwykle udany poranek, Luke jednak wyczuwał, że Leia nie jest tak spokojna, jak mogła się wydawać Treen i Dorvanowi. Kiedy wracali razem z Sabą do Świątyni, zapytał ją o to.

- Zgadzam się z twoją decyzją - powiedziała Leia. - Ale... nie ufam senator Treen. Ona coś ukrywa.

- Ja też to zauważyłem - przyznał Luke.

- Nawet ona to zauważyła - dodała Saba. - Ona miała nadzieję, że to po prostu nieznamość ludzkiej polityki. Dało się w niej wyczuć jakiś niepokój. Ale ona nie rozumie jednego. Jeśli Treen chce władzy, dlaczego jej nie przyjęła, kiedy ją jej zaproponowano?

- Nie wiem, ale nie podoba mi się to - stwierdziła Leia. - Zresztą to wszystko mi się nie podoba. A dlaczego nie umówimy się z Dorvanem na prywatne spotkanie?

- Ależ umówimy - zapewnił ją Luke. - Przede wszystkim chciałbym, żebyś mu przekazała, z kim według ciebie będzie mógł współpracować w Senacie. Mam na myśli istoty takie jak przyjaciel Landa, senator Wuul. Chciałbym też go poprosić o przysługę.

Leia spojrzała na Sabę, która zdecydowanie wyglądała na rozbawioną.

- Ale nie zamierzamy go przestrzec przed Treen?

- Jeszcze nie. - Luke nachylił się i powiedział głośnym szeptem: - Zaufaj mi.

Leia wzniosła oczy ku niebu.

Prawo do podania tej sensacyjnej wiadomości przypadło Przeglądowi Wydarzeń Perrego Needma. Luke'owi, podobnie jak Leii i Hanowi, podobała się formuła programu, jaką obrał

Needmo. Poza materiałami wyraźnie autorskimi, jak w przypadku reportażu nieodżałowanej Madhi Vaandt, wiadomości przedstawiano tutaj w sposób przejrzysty i obiektywny. Nie było żadnego obrzucania błotem, żadnej wściekłej pogoni za oglądalnością - a Luke podejrzewał, że właśnie z tego względu Przegląd Wydarzeń Perrego Needma co tydzień znajdował się w pierwszej piątce najpopularniejszych programów.

Needmo zaproponował, że sam przeprowadzi wywiad, i Luke bardzo się z tego cieszył.

Rozsiadł się teraz wygodnie w fotelu, już po niezwykłych jak dla niego zabiegach nakładania makijażu i czesania.

- Oczywiście udzielałem już wcześniej wywiadów - wyznał gospodarzowi, popijając wodę -

ale zwykle w plenerze i w samym środku akcji. Nigdy dotąd nie byłem w studiu.

- W takim razie jestem dumny, że to my jesteśmy pierwsi - odparł Needmo, mrużąc z zadowoleniem oczy. - Mam pierwszorzędny zespół, Mistrzu Skywalker. To prawdziwi zawodowcy.

Luke pokiwał głową.

- Widziałem pański wywiad z Rokari Kem z Qarasa - powiedział. - Cieszę się, że ona przylatuje na Coruscant. Potrzebujemy istot, które łączą empatię z pragmatycznym przywództwem.

- To prawda. Obiecała mi kolejny wywiad, jak tylko wdroży się do obowiązków senatora.

Nie mogę się doczekać.

W studiu huczało jak w ulu. Luke poznał wcześniej reżysera, Jorma Alvika, i producentkę, Sime Shadar. Teraz specjaliści sprawdzali oświetlenie i jakość dźwięku, a droidy krążyły z warkotem po studiu, wykonując różne polecenia. Jorm, człowiek w średnim wieku, nachylił się do mikrofonu i obwieścił:

- Szanowni państwo, wchodzimy za minutę.

- Jesteśmy gotowi, Jorm! - zawołał wesoło Needmo.

Smukła Twi'lekanka poprawiła im mikrofony, odgarnęła Luke'owi niesforny kosmyk włosów z czoła i uciekła pospiesznie z planu. Rozległa się dynamiczna muzyka towarzysząca napisom początkowym, a kamerzysta zaczął odliczanie. Trzy, dwa, jeden...

Jedziemy, oznajmił bezgłośnie.

- Dobry wieczór państwu, witam w kolejnym wydaniu Przeglądu Wydarzeń Perrego Needma. Dzisiejszy program rozpoczniemy materiałem specjalnym: rozmową na żywo z Wielkim Mistrzem Zakonu Jedi, Lukiem Skywalkerem. Witam, Mistrzu Skywalker.

Luke się uśmiechnął.

- Dziękuję. I proszę mówić mi Luke. Z chęcią odpowiem na wszystkie pytania, ale najpierw muszę powiedzieć, że postanowiłem wykorzystać twój program do wydania bardzo ważnego oświadczenia.

Luke wyczuł w Mocy, że Perre jest zaskoczony, jednak starszy Chevin był takim profesjonalistą, że ani jego mowa ciała, ani głos nie zdradzały zdziwienia.

- No cóż, jestem zaszczycony, Luke. Tyle się teraz dzieje w całej galaktyce; z pewnością masz nam do przekazania wiele ważnych rzeczy. Bardzo proszę.

Luke odwrócił się twarzą do kamery.

- Przez ostatnie czterdzieści lat starałem się budować i zarządzać Zakonem Jedi w zgodzie z naszymi najważniejszymi ideałami: współpracy, pokoju, wolności i godnego traktowania dla wszystkich istot. Niedawno, pod moją nieobecność, Jedi musieli dokonać straszliwie trudnego wyboru: sprzeciwić się



przywódczyni Galaktycznego Sojuszu, ryzykując atakiem na naszą Świątynię, albo pozostać obojętni na wołanie o pomoc ze strony istot walczących o wolność.

Postanowili obalić rząd Daali i od tego czasu Jedi, łącznie z moją siostrą, Leią Organą Solo, która sama stała kiedyś na czele Sojuszu, ściśle współpracowali z pełniącym obowiązki przywódcy Wynnem Dorvanem oraz z Senatem. Naszym celem jest całkowite wycofanie Jedi ze struktur władzy Galaktycznego Sojuszu. Po głębokim namyśle i długiej medytacji powziąłem decyzję.

Doszedłem do wniosku, że Jedi będą mogli najlepiej służyć istotom tej galaktyki, jeśli staną się Zakonem wolnym od wszelkich politycznych powiązań. Możemy to osiągnąć, idąc jeszcze dalej niż tylko wycofanie się z bezpośredniego udziału w rządach. Jakkolwiek wspieramy Galaktyczny Sojusz, nie będziemy już oficjalnie jedną z jego instytucji. W tym celu Jedi opuszczą Coruscant, gdy tylko zakończy się proces przekazywania władzy.

Perre Needmo miał rację co do profesjonalizmu swojego zespołu. Dało się wyczuć potężny przypływ zaskoczenia z ich strony, jak również ze strony samego Needma, parę osób otworzyło nawet z wrażenia usta lub wybałuszyło oczy, nikt jednak nawet nie pisnął.

Needmo nachylił się lekko do przodu.

- Luke, o ile mi wiadomo, opinia publiczna nigdy nie uważała, że celem przewrotu było przejęcie władzy przez Jedi. Polityka Daali stawała się coraz twardsza, coraz bardziej militarystyczna i można śmiało stwierdzić, że nie przysporzyła sobie zwolenników, ściągając Mandalorian do wprowadzenia tej polityki w życie. Sondaże wskazują, że społeczeństwo jest zadowolone z obecnego stopnia udziału Jedi w życiu publicznym. Czy jesteś pewien, że nie jest to przesadzona reakcja? Wiele istot może odnieść wrażenie, że Jedi ich porzucili.

- To nie ich porzucamy - podkreślił Luke. - Porzucamy więzy, które ograniczały naszą możliwość niesienia pomocy na każde wezwanie. Kiedy Jedi odzyskają autonomię, nasza zdolność pomocy tym naprawdę potrzebującym wzrośnie, a nie zmaleje.

- Czy możesz podać jakiś przykład?

- Idealnym przykładem mogą być niedawne rewolty niewolników - odparł Luke. - Daala odpowiadała na te ruchy siłą, Jedi zaś służyli pomocą przy negocjacjach. Na przykład moja siostra Leia dopiero co wróciła z Klatooine. Kiedy brutalnie tłumiono protesty wyjątkowo pokojowo nastawionych Octusan, Jedi wkroczyli, żeby położyć temu kres.

- Nie sądzisz, że to czyni z was coś na kształt samozwańczej straży obywatelskiej? -

naciskał Needmo. - Niektórzy mogliby powiedzieć, że pozbawieni nadzoru Jedi staną się niebezpieczni.

Luke uśmiechnął się łagodnie.

- Myślę, że tak mogą mówić tylko ci, którzy, podobnie jak Daala, chcieliby sobie podporządkować Jedi. Zakon istnieje od bardzo dawna. Sądzę, że ta zmiana wszystkim wyjdzie na dobre. Pierwsze

rozmowy z Wynnem Dorvanem i senator Haydnat Treen przebiegają bardzo dobrze. Senat wybierze tymczasowego przywódcę i chyba wszyscy wiemy, kto nim zostanie.

- Jeśli Wynn Dorvan, to bez wątplenia trudno byłoby o bardziej skrupulatnego przywódcę -

przyznał Needmo. - Chociaż nie tak dawno byliśmy świadkami wydarzenia, które ukazało nowe oblicze byłego asystenta Daali. Popatrzmy.

Na ekranach pojawił się obraz - wyryty już w pamięci każdego mieszkańca Coruscant, a zapewne także większości obywateli całego Galaktycznego Sojuszu - Wynna Dorvana wbiegającego po schodach Świątyni.

I w tej chwili Luke Skywalker zrozumiał, że wszystko będzie dobrze.

- Oglądasz to, mój drogi? - spytała Treen przez komunikator. Siedziała w łóżku na prawie tuzinie idealnie ułożonych poduszek. Ciężki baldachim był rozsunięty, tak że widać było duży wideoekran, na którym pokazywano akurat pomarszczoną, ale w jakiś sposób wciąż chłopięcą twarz Luke'a Skywalkera, kilkakrotnie większą niż w rzeczywistości. Na łóżku obok Treen stała taca z kruchymi ciasteczkami i filiżanką gorącego kakao.

- Owszem - odezwał się przyjemny głos Kameron Suldara. - Chociaż na ogół nie lubię Przeglądu Wydarzeń Perrego Needma. Gapienie się na Chevina nie jest moim ulubionym sposobem pozyskiwania informacji.

- Moim też nie, ale oświadczenie Mistrza Skywalkera to dobra wiadomość dla nas wszystkich. Ten chłopak bywa czasami strasznie naiwny.

- Jesteś pewna, że niczego nie podejrzewa?

Treen upiła łyk kakao.

- Niby czego? Dorvan byłby zachwycony, gdybym uwolniła go od jego ciężaru, ale nie tego chcemy. Mówiłam zupełnie poważnie, kiedy stwierdziłam, że funkcja przywódcy Sojuszu jest dla mnie zbyt skomplikowana. Cóż, moje ambicje sięgają dużo dalej.

- Miejmy nadzieję, że moff Lecersen wywiąże się ze swojej obietnicy.

- Drogi chłopcze, już ty się nie martw o Drikla Lecersena. Wiem, jak wykorzystać swoją przepustkę do władzy. A czy ty wiesz, jak wykorzystać swoją?

- W samej rzeczy, pani senator. W samej rzeczy.

## **ROZDZIAŁ 23**

# Coruscant

- Myślałem, że twoja rodzina przeprowadziła się już do normalnego mieszkania - zdziwił się Jag, kiedy zbliżali się do kryjówki, w której Han, Leia i Allana byli zmuszeni mieszkać przez ostatnie parę miesięcy.

- Żartujesz? Kiedy niby mielibyśmy się przeprowadzić? Nawet zakładając, że większą część roboty odwalą droidy, przeprowadzka to koszmar. A dotąd byliśmy dosyć zajęci - odparła Jaina.

Jag uśmiechnął się nieznacznie.

- Pewnie masz rację. Chyba po prostu nigdy nie podobała mi się myśl, że Solo muszą się ukrywać.

Teoretycznie wciąż była to kryjówka. Jag i Jaina, którzy mieli ostatnio sporo nietypowych doświadczeń, kilkakrotnie po drodze zmieniali pojazdy, więc byli raczej pewni, że udało im się uniknąć wykrycia. Od czasu przewrotu, czy też „przekazania władzy”, wydawało się, że sławnej -

niektórzy powiedzieliby niesławnej - rodzinie Jaina nie grozi już prawdziwe niebezpieczeństwo.

Nosili jednak nazwisko Solo, a obecna sytuacja mogła się zmienić w każdej chwili. Z czasem niewątpliwie powinni znaleźć sobie bardziej publiczne lokum, na razie jednak ich siedziba musiała pozostać tajna. Tak po prostu było bezpieczniej.

Jaina i Jag odbyli wcześniej rozmowę - taką, która w ostatnich miesiącach mogłaby się przerodzić w prawdziwą kłótnię - omawiając to, co każde z nich musi zrobić. Teraz jednak, chociaż nie o tym marzyli, Jaina i Jag stwierdzili, że potrafią spokojnie omówić sytuację.

- Wylecę razem z Jedi, przynajmniej na jakiś czas - oświadczyła Jaina. - Wokół przewrotu i nowej drogi, jaką obrali Jedi, narosło tyle kontrowersji, że musimy pokazać jednomyślne poparcie decyzji Luke'a. Nie, Jag... nie wiem, jak długo mnie nie będzie ani co ostatecznie stanie się z Jedi.

- Spodziewałem się, że z nimi polecisz - powiedział. - I całkowicie się zgadzam z twoją decyzją.

- Naprawdę?

- Jak najbardziej. Jesteś im teraz potrzebna. Luke wykonał śmiały ruch. To by podważyło jego autorytet, gdyby jego siostrzenica postanowiła zostać, obojętne z kim jest zaręczona.

Jaina pokiwała głową.

- Wiedziałałam, że będziesz potrafił zrozumieć poczucie obowiązku.

- Oczywiście. A ja wiem, że tego właśnie chcesz.

- Jag, nie myśl, że ja...

Ujął jej rękę i przycisnął ją z uśmiechem do serca.

- Wiem, że chcesz być ze mną. Ja też tego pragnę. I prędzej czy później tak się stanie... albo nie. Nie chodzi tylko o to, że czujesz się zobowiązana, by lecieć z Jedi. Chcesz tego, tak samo jak chcesz być ze mną. I nie ma w tym nic złego. - Przyglądała mu się badawczo, podczas gdy on mówił dalej. - A poza tym, mówiąc szczerze, po tej tajemniczej wiadomości od twoich rodziców mam niejasne przeczucie, że ja też nie zabawię długo na Coruscant. Podejrzewam, że po tym spotkaniu udam się prosto do Przestrzeni Imperialnej. I nie wiem, co mnie tam czeka, tak samo jak ty nie wiesz, co czeka ciebie.

- Jeśli chodzi o to spotkanie - powiedziała Jaina, czując, jak schodzi z niej napięcie -

poprosili mnie, żebym przyprowadziła cię na kolację. Chcieli mi wyprawić coś w rodzaju pożegnania. I tobie najwyraźniej też.

- A więc Leia zostaje?

- Tylko na jakiś czas. Dorvan ją o to poprosił, a Luke się zgodził. Nie tyle z uwagi na to, że jest Jedi, co ze względu na jej doświadczenie dyplomatyczne i rządowe.

- Dorvan to mądry człowiek. Dobrze, że Leia zostaje, nieważne na jak długo. On i Sojusz mogą na tym tylko zyskać. I przyjdę na kolację - zapewnił ją Jag. - Gdziekolwiek się odbędzie. Do tej pory nie dowiedziałem się, gdzie właściwie znajduje się kryjówka twojej rodziny.

- Po dzisiejszym wieczorze nie będą jej już używać, więc chyba uznali, że nic się nie stanie, jeśli się dowiesz. - Jaina uśmiechnęła się szeroko.

- Czuję się zaszczycony - odparł sarkastycznie Jag, łagodząc ton uśmiechem.

- Albo o to im chodzi - powiedziała Jaina, zarzucając mu ręce na szyję - albo chcieli oficjalnie powitać cię w rodzinie. Może w końcu zyskałeś aprobatę taty.

- Daj spokój - zganił ją. - Nie wywracaj od razu całego mojego wszechświata do góry nogami.

Drzwi otworzył, jak można się było spodziewać, C-3PO.

- Ach, jakże miło znów pana widzieć, panie Fel! - wykrzyknął z radością droid. - Gdyby jeszcze pan Luke i pan Ben się tu znaleźli, wówczas cała rodzina byłaby w komplecie. Dawno już się tak nie zdarzyło. Trochę mi tego brakuje.

- Ciebie też miło zobaczyć, Threepio - odparł Jag. R2-D2 również wydał radosny powitalny pisk. Zanim Jag zdążył odpowiedzieć, został nagle zaatakowany przez mruczące szaleńczo młode nexu i rozpromienioną ośmiolatkę.

- Anji się cieszy, że cię widzi, i ja też! - zawołała dziewczynka. Jag zmierzwił czule jej czarne włosy, po czym wyciągnął rękę w kierunku swojego przyszłego teścia.

- Miło, że wpadłeś, chłopcze - powiedział Han. - Jutro rodzina rozjeżdża się na wszystkie strony.

Jag był zaskoczony, jak przyjemne wydało mu się uczucie, że został zaliczony do rodziny Solo.

- No właśnie, a jeśli o to chodzi... - Urwał i uniósł pytająco brwi.

Han wcisnął mu do ręki koreliańskie piwo i nalał kieliszek czerwonego wina dla Jaiiny.

- Po kolacji - odparł. - A tymczasem... nie zabiorę tego wszystkiego ze sobą, więc pij.

- Chyba nigdy nie widziałem kryjówki z tak dobrze zaopatrzonym barkiem - zauważył Jag.

Upił łyk piwa i pokiwał z uznaniem głową.

Han rzucił mu znajomy krzywy uśmiech, który czterdzieści lat wcześniej pomógł mu zdobyć serce księżniczki.

- Na niektórych rzeczach się nie oszczędza. Dla mnie to akurat jest dobry alkohol i dobre blastery.

- Obie rzeczy dobrze do siebie pasują - dodała Jaina, przewracając oczami.

Leia wyszła z kuchni. Z uśmiechem i szybkim całusem przyjęła kieliszek wina, który nalał jej mąż.

- Kolacja niedługo będzie gotowa. A tymczasem - powiedziała, poważniejąc - musisz zobaczyć coś bardzo ważnego.

Jag natychmiast wzmógł czujność i koncentrację.

- Co takiego? - zapytał.

- Amelia nauczyła Anji czterech nowych poleceń - oznajmiła z powagą Leia.

Godzinę później, gdy już Anji pokazała, jak umie warować, zaatakowała pluszowe eopie, po czym wypuściła je z pyska i nie pozwoliła Jagowi wstać - wszystko na sygnały dawane ręką przez Allanę - nadeszła pora, żeby dziewczynka poszła spać. Była wyraźnie rozczarowana, że musi wyjść, ale uściskała Jaga i poszła do swojego pokoju z wiernym nexu przy nodze.

Jag popatrzył na stół, nieco skonsternowany. Było na nim pięć nakryć.

- Myślałem, że Amelia zje z nami - powiedział.

- O tej porze? - odparła Leia. - O, nie. Rano byłaby zbyt marudna. Nie... - uśmiechnęła się

- ...ktoś inny do nas dołączy.

Trzy ciemnowłose głowy odwróciły się wyczekująco w stronę korytarza, a Jag zrobił to samo.

Do salonu weszła młoda kobieta, smukła i złotowłosa, i uśmiechnęła się trochę niepewnie.

- Witaj, Jag - powiedziała Tahiri Veila.

Jag zamrugał gwałtownie i odwrócił się bez słowa w stronę Hana i Leii, licząc na wyjaśnienie.

- Wybacz, że cię nie uprzedziliśmy, ale uznaliśmy, że tak będzie najlepiej dla wszystkich -

przeprosiła Leia. - Zwróciła się do nas o pomoc.

Tahiri stała cały czas w miejscu.

- Udało mi się uciec - wyjaśniła. - Po prostu zniknęłam, korzystając z zamieszania, jakie powstało po ucieczce Daali. Myślałam o tym, żeby pójść do Eramutha, ale zdałam sobie sprawę, że postawiłabym go w paskudnym położeniu.

- Więc przyszedł do państwa Solo - wtrącił Jag z nutą złości w głosie.

- Wiem, co sobie myślisz - ciągnęła cicho Tahiri. - Przez sąd zostałam uznana za winną i skazana na śmierć. A teraz uciekam przed wyrokiem. Z pewnego punktu widzenia to wszystko prawda. Ale... chcę wszystko naprawić, Jag. Moja śmierć niczego nie zmieni. Nie przywróci życia Giladowi Pellaeonowi, nie naprawi żadnych szkód, które wyrządziłam. To byłoby zgodne z prawem... ale nie byłoby słuszne. Mam wiele długów do spłacenia, wiele błędów do naprawienia. I chcę to zrobić.

- Kiedy zwróciła się z tym do nas, przyszedł mi do głowy pewien pomysł - powiedziała Leia. - Formalnie rzecz biorąc, zbrodnia, którą popełniła, była wymierzona w dawnego imperialnego admirała. Żeby sprawiedliwości stało się zadość, najlepiej by było, gdyby Tahiri stanęła przed imperialnym sądem. A do tego czasu Tahiri zaoferowała się, że będzie naprawiać wyrządzone krzywdy, służąc Imperium.

- A teraz - dodała Jaina - to oznacza ciebie, kochanie.

Jag popatrzył na nich po kolei, a potem znów na Tahiri, która spokojnie wytrzymała jego spojrzenie.

- Podporządkuję się każdej twojej decyzji, Jag - powiedziała cicho. - Jeśli zechcesz, żebym oddała się w ręce władz, zrobię to. Zostanę w więzieniu, różne frakcje będą mnie wykorzystywać dla własnych celów, a prasa będzie miała pożywkę, dopóki mnie nie stracą. Ale mogę też przyłączyć się do ciebie i służyć ci swoim życiem. A kiedy sytuacja się uspokoi, stanę przed imperialnym sądem, żeby dostać sprawiedliwy wyrok za to, co zrobiłam.

Pomimo panującego w pokoju napięcia Han prychnął głośno.

- Czasy bardzo się zmieniły - powiedział - skoro Imperium gwarantuje sprawiedliwszy proces niż Galaktyczny Sojusz.

Leia uciszyła go, kładąc mu delikatnie rękę na ramieniu. Skierowała brązowe oczy na Jaga.

- To nie jest żaden podstęp, Jag - zapewniła Jaina. - Zgodziliśmy się wszyscy zaakceptować każdą twoją decyzję.

Jag rozsiadł się wygodnie na sofie. Musiał się zastanowić. Kiedyś może nie uwierzyłby Jainie, jednak teraz wierzył. Cała ta sytuacja - kryjówka, ucieczka Tahiri - wszystko to wymagało dyskrecji.

- To chyba dobry moment, żebyście mi powiedzieli, gdzie byliście przez te parę dni -

zwrócił się do Leii. - I rozwinęli trochę ten fragment o grożącym mi niebezpieczeństwie.

- Nie wiem, jak wy, ale ja umieram z głodu - oświadczył Han. - Możemy porozmawiać przy jedzeniu?

- Byle nie z pełnymi ustami - ostrzegła Jaina.

I tak przy pysznym, choć nieco wystygłym posiłku, składającym się ze smażonego endwa, lekko zgęstniałego pomarańczowego sosu, klusek chaka i gotowanego na parze ferroańskiego szpinaku, snuła się opowieść.

Leia wtajemniczyła Jaga, Jainę i Tahiri we wszystko, co się wydarzyło, od pierwszej dziwnej wiadomości, poprzez atak, aż po rewelacje Squibów. Jag jadł coraz wolniej, aż w ogóle przestał i siedział tylko z widelcem w ręku, słuchając.

- Squibowie... - powiedział powoli.

- Squibowie - potwierdził Han.

- I pracowali dla mnie i Szczątków Imperium?

- Ashik to potwierdził - oznajmiła Leia. - Nie zdradzaliśmy mu szczegółów. Chcieliśmy najpierw powiedzieć tobie.

- Wiadomo, dlaczego ludzie Getellesa ich ścigali? - spytał Jag. W końcu przypomniał sobie o jedzeniu i wziął do ust kawałek, który miał na widelcu. Przełknął, nie zwracając uwagi na smak.

- Niestety, nie - odparła Leia. - Zatrzymali się u nas. To znaczy u naszych... przyjaciół.

Możesz z nimi porozmawiać, jeśli chcesz.

Jag uniósł brew, ale Leia nic więcej nie powiedziała.

- Chciałbym się upewnić, że wszystko dobrze zrozumiałem - powiedział spokojnie, odkładając widelec. - Jacyś Squibowie, których poznaliście przed laty, skontaktowali się z wami ni z tego, ni z owego. Tak się składa, że pracują dla mnie, chociaż ja nic o tym nie wiedziałem.

Wiedzą, dokąd wybiera się Daala i co planuje, a mianowicie wygryźć mnie ze stanowiska, a także z kim współpracuje i kogo zamierza zdradzić. Wspomniani Squibowie zrobili coś, przez co ludzie Getellesa próbowali ich zabić, ale nie wiemy co. Wszystko się zgadza?

- Na to wygląda. - Han nie narzekał na brak apetytu, na co wyraźnie cierpiał teraz Jag.

Siedząca obok Jaga Jaina jadła spokojnie i w milczeniu.

- Wróciliście już parę dni temu - zauważył Jag. - Zakładając, że to wszystko prawda... a przyznaję, że mam wątpliwości... dlaczego nie powiedzieliście mi o tym wcześniej?

- Ponieważ musieliśmy się upewnić, że to prawda. Nie chcieliśmy zawracać ci głowy plotkami albo wprowadzać cię w błąd - wyjaśniła Jaina, nie mogąc już dłużej siedzieć cicho. -

Mama i tata chcieli zweryfikować informacje Squibów. Ze wszystkimi szczegółami. Musieli się upewnić, że nagranie, które od nich dostali, jest autentyczne.

- No i jest - potwierdziła Leia.

- Nie przejmuj się - dodał Han. - Ja też byłem zaskoczony.

Jag odchylił się w zamyśleniu na krześle.

- A więc - odezwała się Jaina, wymieniając spojrzenia z Tahiri - co zamierzasz?

- Mówiliście o tym komuś jeszcze? - spytał Jag Leię i Hana.

- Jeszcze nie - odparła Leia. - Chcieliśmy, żebyś ty dowiedział się o tym pierwszy. Tylko Dorvan wie, że badałam pewne tropy co do miejsca pobytu Daali.

- Dziękuję - powiedział Jag. - Myślisz, że będzie chciał wykorzystać tę wiedzę?

Leia się zawahała.

- Być może - stwierdziła. - Ale szczerze mówiąc, teraz panuje tam chaos. Dorvan to ostrożny człowiek. Sądzę, że raczej zaczeka, aż sytuacja obecnego rządu się ustabilizuje, zanim cokolwiek zrobi. Z pewnością będzie chciał się dowiedzieć czegoś więcej, zanim wykorzysta siły Galaktycznego Sojuszu do pojmania Daali. Wprawdzie ona jest więźniem Sojuszu, jednak znajduje się pod ochroną moffów. A to oznacza, że to bardziej twoja sprawa niż jego.

- Fakt, że Ashik potwierdził zaangażowanie Squibów na rzecz Szczątków Imperium, prawie mnie przekonał - przyznał Jag. - Dorvan nie ma żadnych porównywalnych argumentów. Zgadzam się z tobą: to on musi podjąć decyzję o ewentualnych działaniach, nie my.

- A zatem - wtrąciła Jaina - pytam po raz drugi: co zamierzasz zrobić?

- Najpierw porozmawiam sobie z małymi niebieskimi przyjaciółmi twoich rodziców -

oznajmił Jag. - I w zależności od tego, czego się dowiem, być może ruszę za Daalą. W końcu to zbiegła więźniarka ukrywająca się na terytorium Imperium, chroniona przez moffa, który powinien być lojalny wobec mnie. Mam prawo ją odszukać.

Nie uszło jego uwadze, że Tahiri starannie unikała jego wzroku, kiedy wspomniał o



„zbiegłej więźniarce”.

- Miałem przeczucie, że nie zabawię długo na Coruscant po tym, jak dostałem waszą wiadomość - powiedział, zwracając się do Leii i Hana. Odwrócił głowę w stronę Tahiri i wpatrywał

się w nią tak długo, aż to poczuła i podniosła wzrok. - Wiesz, że mam świetną ochronę, kierowaną przez Ashika.

- Ashik nie jest Jedi - odparła Tahiri.

- A ty jesteś?

Zawahala się.

- No cóż, to pytanie za milion kredytów, prawda? - spytał Jag. - Jesteś Jedi, Tahiri Veilo?

- Chciałabym... znów być jedną z nich, tak. I będę ci służyć w tym charakterze, jeśli zechcesz wziąć mnie ze sobą.

- Starłem się włączyć formalnie Szczątki Imperium do Galaktycznego Sojuszu. Ale to się nie udało i Imperium pozostaje całkowicie odrębnym podmiotem, w którym nie obowiązuje prawo Sojuszu. Dlatego też do czasu przeprowadzenia postępowania sądowego, a muszę zaznaczyć, że ze względu na plany przejścia władzy przez Daalę najprawdopodobniej nie nastąpi to zbyt szybko, jako głowa państwa zgadzam się wziąć ciebie, Tahiri Veilo, pod swoją kuratelę. Będziesz wykonywać moje rozkazy co do joty i nie będziesz zwiewać, jakbyś miała na nazwisko Solo.

- Hej - odezwały się dwa oburzone głosy. Leia tylko zachichotała.

- Jesteś tak jakby na zwolnieniu warunkowym - ciągnął Jag, jakby tego nie zauważył. - Nie wolno ci złamać jego warunków.

Oczy Tahiri podejrzenie błyszczały.

- Nie złamię, sir.

- I nie mówi do mnie „sir”. Jestem Jag. I jestem też głodny. Zbyt długo ignorowałem ten pyszny posiłek. Jutro spotkam się z waszymi przyjaciółmi, ale dziś... - ścisnął Jainę za rękę -

...cieszymy się resztą wieczoru jako rodzina.

## ROZDZIAŁ 24

Był to, jak stwierdził Luke, bez wątpienia koszmar każdego ochroniarza. Wszyscy członkowie mającego się wkrótce rozwiązać triumwiratu, Wielki Mistrz Jedi i była głowa państwa zgromadzeni w jednym miejscu. Ktoś, kto odpowiadał za bezpieczeństwo całej uroczystości, musiał

się mocno pocić tego dnia. Jednak ta nieznana istota, pomyślał Luke, powinna się cieszyć, że Dorvan,

podobnie jak on sam i Saba Sebatyne, należał do osób, które nie lubią znajdować się w centrum uwagi. Ceremonia nie powinna trwać zbyt długo.

- Ona jest zadowolona, że to ostatni obowiązek, jaki musi spełnić jako członek triumwiratu - stwierdziła Saba Sebatyne. - Ona chce się już zająć ważniejszymi sprawami.

Saba, Luke i Leia stali razem niedaleko głównego wejścia, czekając na sygnał. Saba i Luke byli ubrani w tradycyjne szaty Jedi. Leia, która po czterdziestu latach udziału w życiu politycznym doskonale wiedziała, czego oczekuje od niej opinia publiczna, miała na sobie długą, elegancką wierzchnią suknię z rozciętymi rękawami, które odsłaniały ciemnobrązową tunikę włożoną pod spód. Jej włosy, choć znacznie posiwiały od czasu, kiedy była młodą księżniczką, były pieczołowicie ułożone i poprządkowane złotem. Była skromnie umalowana - nie potrzebowała dużo makijażu i była dumna ze zmarszczek, które zgromadziła przez lata. Każdą z nich okupiła bólem lub otrzymała wraz z darem uśmiechu.

- Żałuję, że nie mogę lecieć z wami - zwróciła się do Luke'a i Saby. Normalnie Jaina i Han byłiby razem z nimi, jednak Jaina została w hangarze, gdzie przygotowywała swój statek do wylotu, a ojciec, narzeczony i bratanica dotrzymywali jej towarzystwa.

- Ja też wolałbym uganiać się za Abeloth po całej galaktyce razem z tobą - odparł z uśmiechem Luke.  
- Ale oboje wiemy, że tutaj bardziej się przydasz. Ten nowy rząd będzie cię potrzebował.

Pamiętając o dobrym słuchu towarzyszących im Jedi, nie powiedzieli nic więcej. Luke wiedział, że słowa Leii to jedynie pobożne życzenia i że w pełni zgadzała się z jego decyzją co do pozostawienia jej na Coruscant. Ona też miała swoje zadanie do wykonania.

Luke, Leia i Saba mieli przejść od Świątyni do podwyższenia wzniesionego specjalnie na tę okazję na Placu Wspólnoty. Dorvan i Treen powinni nadejść od strony Centrum Sprawiedliwości.

Jedi Seha Dorvald, która miała w uchu specjalne małe urządzenie, monitorowała przebieg całej uroczystości. Odwróciła się i skinęła w ich stronę.

- Już czas - powiedział Luke i podał Leii ramię. Wzięła go pod rękę i ruszyła płynnym krokiem, jakby wcale nie miała wysokich obcasów, które dodawały jej parę centymetrów wzrostu.

Saba podążyła za nimi.

Trójka Jedi przeszła przez plac wypełniony sympatykami. Luke spodziewał się także krzykaczy i był przyjemnie zaskoczony, widząc w tłumie prawie same uśmiechnięte twarze. Albo społeczeństwo Coruscant było w większości zadowolone z kierunku, w którym zmierza ich rząd, albo SBGS zdołało zgromadzić wszystkich tych, którzy aprobowali obecną sytuację, i skierować do pierwszych rzędów.

Dorvan ubrany był tak jak zwykle, w elegancką tunikę w stonowanych barwach, chociaż ta była może odrobinę bardziej formalna. Za nim stała senator Haydnat Treen; uśmiechała się i machała do tłumów. Miała na sobie szaty, które Luke normalnie określiłby jako krzykliwe, jednak jakimś cudem wyglądała w nich elegancko. Kiedy troje Jedi i dwoje polityków się witało, Luke pomyślał, o ile

ładniej wygląda Leia w swoim klasycznym stroju o bardziej przygaszonych barwach. Na szczęście jego zadaniem nie było wydawanie sądów w kwestii najnowszej mody.

Po wymianie uścisków dłoni i uśmiechów Dorvan, Saba i Treen wysunęli się do przodu.

Treen czuła się z nich najpewniej, występując publicznie, uzgodniono więc, że to ona wygłosi przemówienie.

- Obywatele Galaktycznego Sojuszu - zaczęła. - To niezwykle ważny dzień dla nas wszystkich. Dziś z żalem żegnamy Jedi. Wielki Mistrz Luke Skywalker - skinęła głową w jego kierunku - Mistrzynie Saba, Wynn Dorvan i ja... wszyscy wierzymy, że ten krok będzie z korzyścią dla obydwu instytucji. Jedi dobrze służyli Galaktycznemu Sojuszowi, a ich ostatnim oficjalnym zadaniem było uwolnienie nas od uciążliwego, upartego i, szczerze mówiąc, nieudolnego przywódcy oraz wsparcie, jakiego udzielili w trudnym czasie Wynnowi Dorvanowi i mnie. Wraz z ich odejściem ten niezwykle, choć skuteczny triumwirat siłą rzeczy musi zostać rozwiązany. -

Uśmiechnęła się promiennie. - Nawet tak imponujący organizm jak Galaktyczny Sojusz nie może mieć triumwiratu utworzonego z dwóch tylko członków! - Z tłumu dobiegł lekki chichot, a Treen mówiła dalej: - W ciągu najbliższych paru dni, zgodnie z prawem, Senat zbierze się na nadzwyczajne posiedzenie, aby wybrać tymczasowego przywódcę, który będzie pełnił tę funkcję, dopóki nie odbędą się właściwe, prawnie wiążące wybory. A teraz oddaję głos naszemu drogiemu przyjacielowi, Wielkiemu Mistrzowi Jedi, Luke'owi Skywalkerowi.

Luke uśmiechnął się do niej i wszedł na podwyższenie. Przez chwilę spoglądał na tłum, zanim zaczął mówić.

- Od tysiącleci Coruscant była dla Jedi domem - powiedział. - Decyzja o opuszczeniu jej i naszej ukochanej Świątyni nie była łatwa. Jedi istnieją po to, żeby pomagać i służyć, jednak ta pomoc i służba nie mogą ograniczać się do określonej rasy, wyznania czy przynależności politycznej. Zawierając w najlepszej wierze formalne przymierze z Galaktycznym Sojuszem, staliśmy się nadmiernie do niego przywiązani. Od teraz będziemy odrębnymi organizmami, ale pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi. Głęboko wierzę w zdolność Sojuszu do pokonania każdego kryzysu, jaki może go spotkać, i jestem pewien, że Senat wybierze znakomitego tymczasowego przywódcę.

W końcu nadeszła ta chwila. Popatrzył na zatłoczony Plac Wspólnoty, potem na Świątynię i uśmiechnął się łagodnie.

- Będę tęsknił za wami i za Coruscant, ale w sercu czuję spokój. Żegnajcie... i niech Moc będzie z wami.

Pożegnania, stwierdził Jag, stały się jakoś łatwiejsze. Nie dlatego, że on i Jaina mniej za sobą tęsknili w chwilach rozłąki, ale dlatego, że ta nowa więź, jaka się między nimi wytworzyła, łączyła ich nawet wtedy, gdy dzieliła ich odległość. Nie poprzestawali na nadziei, że między nimi wszystko będzie dobrze; mieli pewność, że tak będzie.

Nie znaczyło to jednak, że polubili pożegnania.

Godzinę wcześniej pożegnali się bardziej intymnie w kwaterze Jaga. Teraz Jag stał z Jainą i jej rodzicami w hangarze Świątyni. Pomieszczenie przesyciła spokojna, kontrolowana aktywność, jednak nawet Jag - kompletnie niewrażliwy na Moc - czuł w powietrzu podniecenie i radość pomieszane z żalem, jakie Jedi czuli w związku z rychłym odlotem.

Jaina uścisnęła mocno swoją matkę.

- Dołączysz do nas niedługo? - zapytała.

- Tak szybko, jak się da, obiecuję - zapewniła ją Leia. - Dorvan poprosił mnie, żebym została, i nie mogę odmówić mu pomocy i porady.

- Wiem. Ale będziesz chyba ostatnim Jedi na planecie.

Leia zachichotała.

- Są jeszcze Barabelowie. Ale pewnie ja odleczę jako ostatnia.

Han wyciągnął ręce i córka przytuliła się do niego. Ojciec uścisnął ją tak mocno, że Jag zaczął się bać, czy Jaina się nie udusi.

- Zostaw trochę Abeloth dla matki - powiedział Han. - Wiesz, jaka potrafi być zrzędliva, kiedy ominie ją cała akcja.

- Chyba tak jak ty, tato.

- Masz rację. - Uśmiechnął się szeroko i pocałował ją w czoło.

Allana uczepiła się kurczowo ciotki.

- Ja też chcę lecieć - oświadczyła.

- Z tego, co słyszałam, miałaś już mnóstwo przygód, moja panno - odparła Jaina i uszczypnęła ją w nos.

- Spotkanie ze Squibami to nie przygoda - zaprotestowała Allana.

- Ależ tak - wtrącił Han.

- Przygoda, która wkrótce stanie się też moim udziałem - oznajmił Jag. - Amelia obiecała mnie z nimi poznać.

- Ty szczęściarzu - powiedziała Jaina, rzucając mu się w ramiona, żeby dostać ostatniego, słodkiego całusa. - Tylko nie daj się Daali zaskoczyć - wyszeptała mu do ucha.

- Nie dam - zapewnił, również szeptem. - W końcu mam do kogo wracać, prawda?

- Pewnie, że tak - odparła, odsuwając się. - No, pora się zbierać. Odezwę się.

Jaina pomachała na pożegnanie, uśmiechnęła się i ruszyła w stronę swojego StealthX-a, nie oglądając się za siebie.

Patrzyli, jak właz myśliwca się zatrzaskuje. Jag poczuł małą rączkę wślizgującą się w jego dłoń. Spojrzał w dół i zobaczył Amelię, która patrzyła na niego z powagą.

- Czekaają w „Sokole” - powiedziała.

- Czy to bezpieczne? - zaniepokoił się Jag.

- Tak bezpieczne, jak to tylko możliwe - odparł Han. - Nie miałem co z nimi zrobić.

Threepio i Artoo zostali na pokładzie, żeby ich przypilnować. Chętnie wykopałbym ich do sąsiedniego układu słonecznego, ale mówiłeś, że chcesz z nimi porozmawiać.

- Podziwu godna cierpliwość - stwierdził Jag. - Prowadź, Amelio.

Dziewczynka z radosnym uśmiechem spełniła prośbę. Weszli po rampie i ich oczom ukazał się złocisty kształt, który biegł ku nim tak szybko, jak tylko pozwalały mu jego serwomechanizmy.

- Księżniczko Leio, kapitanie Solo, jak dobrze, że przyszlście nas wyzwolić! - wykrzyknął

3PO. Po chwili pojawił się także R2, a w jego pogodnych zwykle piskach słycać było nutę niepokoju.

- A nie mówiłem? - przypomniał Han.

Z boku wychyliły się trzy niebieskie głowy, a sześć długich, włochatych uszu nachyliło się do przodu. Ich oczy błyszczały z ciekawości.

- A więc to jest nasz szef? - powiedziała jedna.

- W samą porę - dodała druga.

- Jakie to ekscytujące poznać głowę państwa! - zawołała trzecia.

Jag wszedł po rampie, przybierając swoją najbardziej dyplomatyczną pozę.

- A więc to są ci Squibowie, którzy tak pomogli mnie i Imperium? Ty pewnie jesteś Emala -

zwrócił się do najmniejszego z gryzoni, schylając się i wyciągając rękę. Emala zacisnęła na niej długie palce i potarła nią o swój policzek. Jag nie poczuł się urażony; znał obyczaje tej rasy.

- Ja jestem Grees - przedstawił się drugi ze Squibów, powtarzając gest Emali.

- A ja Sligh - powiedział trzeci.
- Rozumiem, że znacie rodzinę Solo już od dłuższego czasu - ciągnął Jag.
- Jesteśmy starymi przyjaciółmi - potwierdził Sligh. Jag usłyszał za plecami stłumione prychnięcie Hana.
- Starymi przyjaciółmi, którzy wyznaczyli nagrodę za ich głowy? - mówił dalej Jag tym samym łagodnym tonem.
- No cóż - odparł Grees - były ku temu powody. Bardzo ważne powody zresztą.
- Ale już ich nie ma - dodała Emala. - Więc znów jesteście partnerami. I w pewnym sensie także twoimi partnerami.
- Na to wygląda - przyznał Jag. - Chyba przygody wam służą, biorąc pod uwagę to, jak długo znacie państwa Solo.

Wąsy Greesa się zjeżyły, za to Emala stwierdziła:

- Cóż, niektóre istoty starzeją się lepiej od innych.
- No właśnie! - wykrzyknęła Leia. - Jesteście za młodzi!
- Pochlebczym - skwitowała Emala.

Jednak Leia pokręciła głową.

- Nie chodzi o pochlebstwa, Emalo. Chodzi po prostu o to, że wszyscy troje jesteście młodszy, niż kiedy was poznaliśmy.

Stojący obok niej Han kiwnął głową.

- Masz rację. Wiedziałem, że coś jest nie tak, tylko nie mogłem tego rozgryźć.
- Zdrowy tryb życia - wyjaśnił Sligh.
- Właśnie! - zgodziła się Emala. - Pomagamy naszym partnerom i robimy to, co należy.
- *Poodoo* prawda - warknął Han. - Wasze uszy!
- Co z nimi? - spytała Emala, wyglądając jak uosobienie niewinności.
- Są zdecydowanie za duże. A ty, Sligh, zdejmij ten płaszcz. I to już.

Sligh zrobił urażoną minę i owinał się szczelniej płaszczem.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Sligh, proszę. Zrób, o co prosi kapitan Solo. Byłbym ci bardzo wdzięczny. - Jag się uśmiechnął.

Trójka Squibów wymieniła spojrzenia, a ich przerośnięte uszy oklapły.

- No dobra - mruknął Sligh.

Zdjął płaszcz, odsłaniając pokryty niebieskim futrem tułów.

- Widzicie? Wszystko w porządku...

- Odwróć się, proszę - powiedział Jag.

Sligh odwrócił się, mrużąc coś w języku Squibów. Jego futro, gęste, jedwabiste i lśniące, na całej długości pleców miało niewielkie plamki w jaśniejszym odcieniu błękitu.

- Jesteście jak nexu! - wykrzyknęła zachwycona Allana. - Inny kolor, jak jesteście dziećmi, inny, jak dorastacie!

- Nie jesteśmy futrzatkami, futrzatko - zaprotestował Grees. - My po prostu...

odmłodnieliśmy.

- Nie można po prostu odmłodnieć. - Jag usłyszał lekką nutkę żalu w głosie Hana.

- Aten Getelles... - powiedziała Leia. - O nie... Chyba nie... - spojrzała na Hana szeroko otwartymi oczami.

- Tak, drochy - dokończył Han. - Czy ten *sleemo* przemycił drochy?

Jag poczuł nieprzyjemne ściskanie w dołku. Wiedział oczywiście o Posiewie Śmierci, zarazie przenoszonej przez owady z Nam Chorios, znane jako drochy. Podejrzał, że prawie wszyscy w galaktyce słyszeli o tych przerażających stworzeniach. Wysysały one ze swoich ofiar energię życiową, powodując nekrozę, a w końcu śmierć. Od czasu ich odkrycia obowiązywał

rygorystyczny zakaz wywozu drochów poza Nam Chorios.

Przed laty Getelles współpracował z pewną firmą z Antemeridias w celu przejęcia kontroli nad sektorem Meridiana. Plan zakładał między innymi użycie drochów przeciwko wszystkim, którzy nie byli po jego stronie. Getelles został ukarany i od lat siedział cicho, ale zachował swoje stanowisko. Jag nie rozumiał jednak, w jaki sposób Leia powiązała Posiew Śmierci z wieczną młodością.

- Z tego, co mi wiadomo - zauważył - drochy zabierają energię życiową, a nie dają.

- Dają, jak się je zje - wyjaśnił Han.

Squibowie przez cały czas starali się zachować miny graczy w sabaka, ale najwyraźniej nie mogli oszukać Rycerza Jedi. Leia popatrzyła gniewnie na gryzonie, które odruchowo przysunęły się do

siebie.

Han doskoczył do Greesa, złapał Squiba za poły płaszcza i podniósł go do góry.

- Czy Getelles ma drochy?

- Tato! Puść go, proszę!

Głos był młody i żarliwy. Han zawahał się, spojrzał na swoją adoptowaną córkę i postawił

Greesa z powrotem. Nie wypuścił jednak z rąk jego kołnierza i powtórzył pytanie złudnie spokojnym i wyważonym tonem.

- Czy Getelles ma drochy?

- No cóż, nie w takim sensie, o jakim myślisz - bąknęła Emala, zerkając na Allaną. - Nie hoduje ich.

- Więc ma martwe? - spytała Allana.

Sligh westchnął i podrapał się po jednym ze swoich zbyt dużych uszu, do których zapewne powinien dorosnąć, tak jak Anji zaczynała dorastać do swoich ogromnych łap.

- Tak jakby.

- Materiał genetyczny? - naciskał Jag.

Grees popatrzył na niego.

- Nic więcej nie powiem, dopóki nie zapłacicie mi za informacje. Zależy wam na nich, są dla was coś warte, więc dobijmy targu.

- Niedoczekanie...

Jag uniósł rękę i Han zamilkł.

- Zdaje się, że pracowaliście dla Szczątków Imperium, czyli dla mnie. Zgadza się?

Popatrzyli po sobie i pokiwali głowami.

- Czy oficjalnie zakończyliśmy współpracę? A może zostaliście w inny sposób zwolnieni z kontraktu?

Zaczęli bładzić wzrokiem, jakby szukając czegoś w odległej części statku, byle tylko nie patrzeć na niego, a Jag wiedział, że już ich ma.

- Rozumiem. A więc cały czas pracujecie dla mnie i w ramach tej obowiązującej umowy musicie mi powiedzieć wszystko, co wiecie. W przeciwnym razie mogę być zmuszony, żeby zrobić wam coś bardzo nieprzyjemnego. W celu dotrzymania warunków umowy, rzecz jasna.



Sligh westchnął ciężko. Emala poklepała go po plecach.

- W porządku - powiedział Grees. - Getelles zatrudnia paru naukowców; to oni pracowali nad tym nanowirusem, który zabił hapańską Chume'da. Allana... tak chyba miała na imię.

Jag usłyszał ciche, stłumione okrzyki Hana i Leii. Allana nagle znieruchomiła.

- Mów dalej - rozkazał chłodnym tonem Han.

- Getelles jest najwyraźniej bardzo podekscytowany perspektywą wykorzystania drochów do przedłużenia życia.

- I odmładzania starszych istot - wtrąciła Emala.

- I odmładzania starszych istot - zgodził się Grees. - Więc zgłosiliśmy się jako ochotnicy do badań. - Widząc gniewne spojrzenie Hana, dodał: - Hej, nie patrz tak na mnie. To była doskonała okazja do gromadzenia informacji. Gdy już je zdobyliśmy, uciekliśmy, żeby przekazać je przywódcy Imperium poprzez naszych dawnych dobrych partnerów... co właśnie teraz robimy.

- To nie wszystko - naciskał Jag. - Chyba nie chcecie wymigać się od umowy, prawda?

Grees się skrzywił.

Emala westchnęła.

- Lepiej im powiedz, Grees - doradziła.

Grymas Greesa jeszcze się pogłębił. Włożył rękę do kieszeni kurtki i wyciągnął z niej małą, szczelnie zamkniętą fiolkę długości mniej więcej jego palca.

- Jak sami widzicie, eksperyment zakończył się pełnym sukcesem. Mamy szansę przeżyć życie na nowo. Chcieliśmy tego samego dla naszych ziomków.

- Za odpowiednią opłatą - wtrącił Han.

- No, oczywiście - przyznał Sligh, zdziwiony tonem Hana. - Będziemy mogli przeżyć swoje życie na nowo w bardzo komfortowych warunkach.

- I pragniemy tego samego dla naszych dzieci - dodał Grees. - One także posuwają się w latach. Nie chcemy ich przeżyć. Nikt tego nie chce.

Mówił bardzo nonszalanckim tonem, a Jag był pewien, że Grees nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia tych słów dla Hana i Leii. Nie mógł ich wyczuć w Mocy, ale nie musiał. Lekkie zeszytnienie Leii, nagła łagodność w oczach Hana, kiedy odwrócił głowę w prawo - wszystko to powiedziało mu, że niefrasobliwie wypowiedziane słowa Squibów ugodziły głęboko.

Solo przeżyli dwójkę z trojga swoich dzieci. I już nigdy nie zobaczą, jak Anakin lub Jacen

przeżywają swoje zbyt krótkie życie na nowo.

Jag odchrząknął i wyciągnął rękę. Troje Squibów popatrzyło na nią ze zdziwieniem, jakby nigdy wcześniej nie widzieli czegoś podobnego.

- Serum - powiedział. - Poproszę.

Grees przycisnął fiolkę do piersi.

- Dlaczego? Jest nasze! Wiele przeszliśmy, żeby dostarczyć ci te informacje, a to nie ma nic wspólnego z tobą!

- Imperium docenia wasze wysiłki, więc zostaniecie sownie wynagrodzeni. Ale to serum zostało sporządzone w imperialnych laboratoriach, przez obywateli Imperium i na użytek Imperium. Niestety, ale to jest kradzione mienie.

- Nie dostaniesz go - oświadczyła otwarcie Emala. - To dla dzieci. Serum nie było częścią umowy.

- Podobnie jak z pewnością kradzież imperialnego mienia. Nie chciałbym was aresztować, ale zrobię to, jeśli będę musiał.

- Po co ci ono? Masz jeszcze wiele lat przed sobą. Chcesz je dać kapitanowi Solo?

- Słuchaj no... - zaczął Han.

- Nie - odparł Jag. - Mam dla niego inne zastosowanie. Bardzo ważne zastosowanie, które może pomóc galaktyce. To nie należy do was.

Gdy Grees się nie poruszył, Jag westchnął i podniósł do ust komunikator.

- Ashik? Obawiam się, że trzeba będzie kogoś aresztować...

- No dobra! - warknął Grees. Obnażył swoje bardzo zdrowe, bardzo białe zęby i prawie cisnął fiolkę w Jaga. - Ale nam też się coś należy! Uważamy, że zostało nam to zabrane bez stosownej rekompensaty, ponieważ umowa, którą wcześniej zawarliśmy, nie obejmowała zdobycia i dostarczenia, z narażeniem własnego życia, próbki niezwykle cennego serum.

- Chyba żartujesz - powiedział Han.

- Mnie się wydaje, że oni mieli podsłuchiwać i przekazać to, czego się dowiedzą - wtrąciła Allana. - Jeśli przekazali coś więcej, to chyba powinni też więcej za to dostać.

Emala uśmiechnęła się do niej promiennie.

- Na pewno nie jesteś pół-Squibką, futrzatko?

- Na pewno - odparła Leia. - Jag...

- Leio, wybacz. To stwarza mi wyjątkowe możliwości i muszę je natychmiast wykorzystać.

- A widzicie? - zawołał radośnie Sligh. - Wyjątkowe możliwości. Dzięki nam.

- Kiepsko się targujesz, panie Fel. Przykro mi to mówić, ale taka jest prawda - stwierdził

Grees.

- Słuchajcie - powiedział Jag, ściskając w rękę małą, drogocenną fiolkę. - Porozmawiamy o zapłacie, jak wrócę. Bo jeżeli mnie teraz nie puścicie, będziecie negocjować z Daalą.

Squibowie zamruczeli z niezadowoleniem, a ich uszy oklapły.

- Świetnie - ucieszył się Jag. - Widzę, że się rozumiemy. Han, Leio... zostawię ich pod waszą opieką do mojego powrotu.

Han zbladł i nawet Leia wyglądała na zdenerwowaną.

- O nie! - wykrzyknął C-3PO.

Za to Allana wydawała się wniebowzięta.

## **ROZDZIAŁ 25**

### **Rezydencja moffa Vansyna, Przestrzeń Imperialna**

- Jak miło dla odmiany gościć cię w końcu u siebie - powiedział moff Porrak Vansyn. Wyjął

cygarę z pojemnika, który podał mu droid służący, i odciął jej koniec. Droid podszedł do Lecersena, który podziękował, ale uniósł kieliszek, prosząc o dolewkę pysznego złotego wina.

- Miło cię widzieć, Porrak - odparł Lecersen i, ku własnemu zaskoczeniu, stwierdził, że mówi szczerze. Zawsze lubił tego młodszego od siebie, dystyngowanego moffa z jego osobliwym sposobem mówienia i niemodnie cienkim wąsikiem. - Żałuję, że prądy polityki rozdzieliły nas w ostatnich miesiącach. Wygląda na to, że dobrze ci się powodzi.

Vansyn nachylił się do przodu, pozwalając, żeby droid podpalił mu cygarę. Smugi błękitnoszarego dymu spowiły mu głowę.

- No cóż, nie najgorzej, chociaż podejrzewam, że ty masz przed sobą jeszcze lepsze perspektywy - stwierdził.

Lecersen uniósł brew z udawaną konsternacją. Jak dużo Vansyn wiedział?

- Dlaczego tak sądzisz, Porrak?

Vansyn uśmiechnął się z cygarą w zębach.

- Choćby dlatego, że jesteś tutaj, w Przestrzeni Imperialnej.

- A co, nie wolno moffowi od czasu do czasu wrócić do domu, kiedy w ośrodku władzy robi się nieprzyjemnie?

- Daj spokój, Drikl - powiedział Vansyn. - Za długo się znamy. Jesteś jak pająk pośrodku swojej sieci. Czujesz wibracje z różnych stron, ale pozostajesz w centrum, czekając, aż okazja sama wpadnie ci w ręce. To wspaniale widzieć, jak pociągasz za te wszystkie sznurki. Bardzo inspirujące.

- Co za miły komplement - odparł szczerze Lecersen. Rzeczywiście mu to schlebowało. - To prawda, że wierzę w maksymalne efekty przy minimalnych nakładach.

- Tak więc kiedy narobiłeś tyle hałasu w związku ze swoim powrotem do Przestrzeni Imperialnej, wiedziałem, że to nie Coruscant, nawet jako ośrodek władzy, jest teraz areną wydarzeń. Ty coś knujesz. - Vansynowi zaświeciły się oczy. - Bądź dobrym kolegą i zdradź coś swojemu staremu druhowi, dobrze?

Lecersen rozważał, ile powinien powiedzieć Vansynowi. Wprawdzie faktycznie zwrócił się do niego w nadziei na uzyskanie pomocy, Vansyn jednak zaskoczył go swoją przenikliwością.

Oczywiście jego rozumowanie było logiczne. Przez chwilę Lecersen zastanawiał się nawet, czy jego zamiary są równie łatwe do rozszyfrowania dla wszystkich jego wrogów - i przyjaciół.

Ale Vansyn znał go od dawna. Może nadeszła pora, żeby Lecersen go we wszystko wtajemniczył.

- Masz tu piękny dom, Porrak - powiedział. - I dobrą, solidną reputację. Nie wiem, czy mogę z czystym sumieniem prosić cię, żebyś narażał ją na szwank.

Vansyn machnął lekceważąco ręką, rozsyłając wokoło kłęby dymu.

- Daj spokój, Drikl. Wiesz, że lubię grać o wysokie stawki.

- W sabaku owszem... i nie raz ze mną przegrałeś, jeśli dobrze pamiętam.

Vansyn zachichotał.

- Przyznaję. Ale sam powiedziałaś, że mam dobrą, solidną reputację. Myślę, że mogłaby ci się przydać moja pomoc, jeśli twoje myśli biegną w tym samym kierunku co moje.

Niech on to pierwszy powie, pomyślał Lecersen.

- A jakiż to kierunek?

Vansyn strzepnął popiół z cygarry i zaciągnął się w zamyśleniu.

- Żaden z nas nie darzy przesadną sympatią Jaggeda Fela. Kompletnie się nie sprawdził jako przywódca Imperium. Daala uciekła jak spłoszone eopie. Mam wrażenie, że powstała luka, którą

trzeba wypełnić. I oto ty, całkiem przypadkowo, zjawiasz się w Przestrzeni Imperialnej.

- I co tutaj robię, według ciebie?

- Planujesz przejąć Imperium. I wiesz co? Byłby z ciebie świetny Imperator. Ja bym cię poparł.

A więc sytuacja się wyjaśniła. Lecersen rozsiadł się wygodnie w fotelu i napił się wina.

- Rozumiem - powiedział tylko. - Ja też myślę, że świetny byłby ze mnie Imperator.

- Domyślam się, że sprawy są już w toku?

Lecersen podjął decyzję.

- Owszem - przyznał. - I wybac, że do tej pory utrzymywałem cię w nieświadomości. Nie chciałem cię narażać, na wypadek gdyby wszystko wzięło w łeb, zanim dojdziemy do tego etapu.

- To bardzo miło z twojej strony, Drikl - odparł Vansyn. - I bardzo się cieszę, że zechciałeś teraz włączyć mnie w to przedsięwzięcie.

- Możesz być pewien, że mam co do ciebie plany, drogi przyjacielu - zapewnił go serdecznie Lecersen. Plany te zakładały wykorzystanie dominium Vansyna jako bazy, a potem, w stosownym czasie, nagrodzenie go za współpracę. - Jest nas trochę, tych, którzy nie są zadowoleni ani z Daali, ani z Fela. I jesteśmy bardzo wysoko postawieni.

- Tak? - Vansyn nachylił się do przodu. Wydawał się żywo zainteresowany. Był, jak uzmysłowił sobie Lecersen, niezwykle podekscytowany udziałem w tak ambitnym, a jednocześnie tajnym przedsięwzięciu. Cóż, powinien być. Kiedy już będzie po wszystkim, każdy ze spiskowców miał dostać dokładnie to, czego chciał. - A kto to taki?

- Jako pierwsza zwróciła się do mnie Haydnat Treen - oznajmił Lecersen. - Już wcześniej intensywnie działała za kulisami i udało jej się zwerbować kilkoro innych znaczących graczy. Na przykład po ataku na Bwua'tu okazało się, że jego zastępczyni jest niezwykle ambitna i chętna do współpracy.

Vansyn wytrzeszczył brązowe oczy.

- Zdziwiająca - powiedział. - Jak wam się wszystkim udawało spotykać bez zwracania na siebie uwagi?

Lecersen zachichotał.

- Tylko raz spotkaliśmy się otwarcie na kolacji w mojej rezydencji - wyjaśnił. - W pozostałych przypadkach byliśmy przebrani.

- Przebrani?

- Słyszałeś o wieczorach kostiumowych w kasynie Błysk Fortuny? I o przychylności, z jaką w Pałacu Symulatorów Obrigadara traktowani są goście w strojach wojskowych, jeśli są to mundury jednostek wycofanych ze służby lub nieaktualne od co najmniej dwudziestu lat?

Vansyn parsknął śmiechem.

- Więc mogliście się spotykać publicznie i nikt was nie mógł rozpoznać! Wyborne! -

zawołał. - Genialne! Doprawdy, jesteś mistrzem w tej grze! Żałuję tylko, że sam nie mogłem włożyć kostiumu i wziąć w tym udziału.

- Kiedy już będzie po wszystkim, a cel zostanie osiągnięty, obiecuję, że urządzę maskaradę i będziesz mógł się przebrać za kogo tylko zechcesz.

- Już zaczynam myśleć o kostiumie. Kontynuuj, proszę. To niezwykle fascynujące.

Lecersen wiedział, kiedy ktoś umyślnie łechce jego próżność. Vansyn zresztą specjalnie się z tym nie krył. Nasycony dobrym jedzeniem i świetnymi trunkami, postanowił się odprężyć i cieszyć się tym.

- Muszę przyznać, że Daala bardzo nam to ułatwiła. Wpadała w każdą pułapkę, jaką na nią zastawialiśmy. Zastanawiam się, jakim cudem doszła do władzy i co Tarkin w niej widział.

- No cóż, mężczyźni są czasem oślepieni przez wdzięki pięknej kobiety - zauważył Vansyn.

Uśmiechnął się szeroko. - I oczywiście Daala sama jest już na wpół ślepa.

Był to cios poniżej pasa, Lecersen jednak się roześmiał.

- Fakt - przyznał. - Biedna Daala. Aż mi jej trochę żal. Gdyby tylko pogodziła się z istnieniem tych ruchów rewolucyjnych i wysłała kogoś, żeby z nimi negocjował, zamiast je dławić, nie siedziałbym teraz przy tym stole i nie prowadził z tobą rozmowy, Porrak.

- No cóż, mamy szczęście - stwierdził Vansyn. - Fel też raczej nie wygrywa w sondażach popularności. Jakby tak jeszcze zaczęli walczyć ze sobą i zaoszczędzili nam kłopotu z obalaniem jednego z nich lub obydwójga...

Lecersen zeszywniał.

- Dlaczego mieliby ze sobą walczyć? - Głos miał spokojny i leniwy, a ręką, którą uniósł

kieliszek złotego wina, nie zadrzała nawet na chwilę. W środku jednak miał się na baczności. Może była to tylko rzucona mimochodem uwaga.

Może.

Vansyn zakasłał i z przesadną werwą zamachał ręką, żeby rozpędzić dym ze swojej cygarry.

- Przepraszam, Drikl. Nie palę ich zbyt często. Rzadko mam co świętować.

- A teraz masz?

Był pewien, że gdyby Vansyn nie zadymił pokoju cygarą, mógłby wyczuć jego strach.

- Ależ oczywiście! Wrócił mój stary przyjaciel i wkrótce zostanie Imperatorem. -

Odpowiedź Vansyna była zbyt szybka i zbyt radosna. - Czy to nie powód do świętowania?

I w tej chwili Lecersen wiedział już, że wpadł w pułapkę. Zerwał się na równe nogi, ale za plecami usłyszał syk otwieranych drzwi i zrozumiał, że jest już za późno. Wnyki się zatrzasnęły.

- Witam, pani admirał - powiedział, nie odwracając się.

- Moffie Lecersen - odparła Daala. - Proszę siadać. Porrak, możesz mi nalać tego samego co jemu? Najwyraźniej mu smakowało.

Lecersen rzadko czuł gorycz prawdziwej rozpacz. Teraz ją poczuł - gorzki, ostry smak w gardle, którego nie mogło zabić nawet najlepsze złociste wino. Przeciwniczka zobaczyła jego wszystkie karty, jednak był zdecydowany grać do końca.

Do ostatniego tchu.

Vansyn miał chociaż na tyle przyzwoitości, żeby wyglądać na skrupowanego, kiedy nalewał

Daali drinka. Pani admirał, była przywódczyni Galaktycznego Sojuszu, usiadła w fotelu obok Lecersena i uniosła kieliszek.

- Za Imperium - powiedziała. Lecersen nawet nie tknął swojego trunku. Daala zmarszczyła brwi. - Och, napijże się chociaż wina, Drikl. W jednej krótkiej rozmowie dostarczyłeś mi informacji i rozrywki. Zasłużyłeś na drinka.

- Ostatni posiłek też dostanę? - spytał cierpko Lecersen.

- Może to nie będzie konieczne - odparła Daala. Vansyn wpatrywał się bardzo uważnie w dym ze swojej cygarry. - Porrak, zgaś, proszę, to paskudztwo.

- Oczywiście, pani admirał. - Natychmiast zgasił cygarę. Wazeliniarz, pomyślał Lecersen.

Nie miał pojęcia, jak mógł kiedykolwiek czuć do niego sympatię.

- Tak z czystej ciekawości, Porrak... kiedy dokładnie postanowiłeś mnie zdradzić? I za ile? -

zapytał Lecersen, nie mogąc się powstrzymać od zjadliwego tonu.

- Eee... nie nazwałbym tego zdradą - odparł Vansyn.

- Nie powinieneś porzucić przyjaciół tylko dlatego, że nie są w danej chwili użyteczni, Drikl - wtrąciła Daala. - Zraniłeś uczucia biednego Vansyna, więc kiedy ja się napatoczyłam i zaoferowałam mu pomoc, z chęcią przyjął moją propozycję.

- Innymi słowy, należy rozgniewać robaki, gdy tylko opuszczą żyzną glebę - stwierdził

Lecersen. - Cenna lekcja, pani admirał. Zapewniam, że jej nie zapomnę.

Uśmiechnęła się lodowato.

- Wiem, że mnie nie znosisz. A twoje żarty na temat mojego wzroku, Vansyn, też mi się nie podobały.

Vansyn przynajmniej wyglądał na zawstydzonego.

- Ale miałeś rację w jednej kwestii - dodała. - Fel i ja rzeczywiście staniemy wkrótce do walki. Pytanie brzmi: jesteś ze mną, Lecersen, czy wolisz być martwy?

- Prawdopodobnie teraz powie mi pani, że wszystko pani nagrywała i będzie szantażować mnie i moich współników, jeśli nie przejdę na jej stronę - powiedział Lecersen.

- Mylisz się - odparła Daala. - Nie tylko powiem, że wszystko nagrywałam, ale że wiem też o Locie Wolności i udziale senator Treen, a także senatora Bramsina. Sam byłeś łaskaw wspomnieć o innych wysoko postawionych osobach. Nietrudno będzie je zidentyfikować. Powiem też, że twój agent, którego wysłałeś na Qarasa, nie odezwał się dlatego, że go schwytaliśmy i przejęliśmy wszystkie dowody złożone w skrytce sejfowej. - Uśmiechnęła się. - Twój agent przed śmiercią wszystko wyśpiewał. Wygląda na to, że ten twój Minyavish się mylił. Miał jednak współników, chociaż sam nie wiedział o ich istnieniu.

Lecersen już wcześniej czuł zaniepokojenie, ale dopiero teraz w pełni zrozumiał, jak bardzo pokpił sprawę i jak dokładnie Daala kontrolowała sytuację. Poblądł, a na twarzy Daali pojawił się uśmiech godny piaskowej pantery.

- Z radością pozostawiłam Sojusz w rękach twoich spiskowców - oznajmiła - chociaż słyszałam, że pod twoją nieobecność to Treen wszystkim steruje. Powinieneś być zostać na miejscu, Drikl. Jedi opuszczają Coruscant i chociaż nie mnie oceniać Wynna Dorvana, nie wiem, jak by sobie poradził, gdyby został zaatakowany ciemną nocą przez... dajmy na to... dwóch fałszywych Jedi.

Żarty się skończyły i Daala pokazywała ostre pazury. Lecersen przełknął ślinę. Czy ta przekłeta kobieta wie wszystko?

- Bwua'tu wciąż żyje - zdołał tylko powiedzieć.

Jej twarz przybrała jeszcze bardziej srogi wyraz.

- Żyje, ale z tego, co wiem, wciąż nie jest w pełni władz umysłowych. Wolałabym już, żeby zginął, niż żył z uszkodzonym mózgiem, nie pamiętając ani... - Ugryzła się w język. - Ale nie o nim chciałam rozmawiać. Darowałam ci życie tylko dlatego, że mogę cię wykorzystać, jeśli jesteś gotów dać się



wykorzystać. Ale chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Będziesz dla mnie pracował i pomożesz mi w odzyskaniu Imperium. W zamian pozwolę ci żyć. Jeśli będziesz mi dobrze służył, może dostaniesz coś więcej.

- Jak? - wyrwało mu się.

Wiedziała, o co mu chodzi.

- Nie słyszałeś ani słowa na temat miejsca mojego pobytu, ponieważ aż do dziś nie byłam w Przestrzeni Imperialnej. Mam inną bazę. Znam wiele istot, które są mi wierne od bardzo, bardzo dawna. Znając twoją skłonność do wykorzystywania i porzucania istot, nie oczekuję, że zrozumiesz coś takiego jak lojalność czy oddanie. Na szczęście nie każdy w tej galaktyce myśli tylko o sobie.

Mam starych przyjaciół gotowych wyciągnąć mnie z więzienia, mam dawnych towarzyszy broni gotowych oddać broń, artylerię, okręty i nawet życie, jeśli zajdzie potrzeba, za mnie i moją sprawę.

Mam oddziały wspierające te rasy, które zostały przesiedlone lub pozbawione władzy w wyniku powstań niewolników, a teraz pragną, żeby łaskawe Imperium oddało im to, co zostało zabrane. No i, jak bez wątpienia boleśnie się o tym' przekonałeś, wszędzie mam swoich szpiegów. Więc jak będzie? - Nachyliła się do przodu z błyskiem w zielonych oczach. - Mam wakat w swoim zespole...

i mam blaster. Wybór należy do ciebie.

## **ROZDZIAŁ 26**

### **Kryjówka rodziny Solo, Coruscant**

- Dziadku, jesteś pewien, że Squibowie nie mogą tu z nami zamieszkać?

Leia uśmiechnęła się do męża, który układał ich wnuczkę do snu.

- Squibom by się tu nie spodobało - powiedział z przekonaniem Han.

- Dlaczego? Jest ciasno, ale przyjemnie.

- Uwierz mi, nie spodobałoby im się na pewno.

- Tęsknię za Threepio i Artoo - mruknęła dziewczynka. Anji wskoczyła na łóżko; Leia stwierdziła, że zwierzak jest już prawie tak duży jak Allana i że może pora zasugerować, żeby Anji zaczęła spać na podłodze. Zastanawiała się, czy łóżko pomieści je obie, kiedy Anji osiągnie rozmiary dorosłego nexu.

- My też - zapewniła ją. Leia. - Ale nie możemy wymagać od Zekka i Taryn, żeby cały czas pilnowali Squibów. Muszą się czasem przespać.

Allana skrzywiła się i przytuliła swoje pluszowe eopie.

- Wiem. Ale... czemu w ogóle ktoś musi ich pilnować? Przecież wiadomo, że chcą tu zostać i odebrać swoją nagrodę.

- Kochanie... ze Squibami nigdy nic nie wiadomo - stwierdził Han. - Śpij już, maluchu. -

Nachylił się i pocałował ją w czoło. Leia zrobiła to samo i pogłaskała też Anji.

Zamknęli drzwi i popatrzyli po sobie. Han otworzył usta, ale Leia podniosła palec do ust i wskazała ruchem głowy na drzwi. Poszli do kuchni. Han poszukał czegoś do jedzenia, podczas gdy Leia parzyła herbatę.

- To posiedzenie miało być tylko formalnością - zauważył Han.

- Wiem - odparła Leia. - Ja też się niepokoję. Nie wiem, dlaczego to tyle trwa. Treen mówiła szczerze, kiedy zapewniała, że nie chce tego stanowiska, ale było w niej coś... Nie lubię jej i nie ufam.

- Sama mówiłaś - przypomniał Han, przygotowując sobie przekąskę - że ona, ty, Saba i Luke byliście zgodni co do tego, że Dorvan jest najlepszym kandydatem.

- Właśnie tak było - potwierdziła Leia, dolewając sobie słodkiego syropu do herbaty.

Odwróciła się i zobaczyła, że Han przyszykował sobie talerz owoców, sera, a także krakersów. -

Myślałam, że ich nie lubisz.

- Ja też tak myślałem - przyznał Han. - Niechętnie przyznaję, że zawdzięczam coś Squibom, ale te krakersy są naprawdę niezłe.

Oboje bez słowa przeszli do niewielkiego gabinetu. Han przysiadł na biurku, a Leia zajęła miejsce w fotelu. Oboje ostentacyjnie unikali wzrokiem zestawu łączności. Z ich kubków unosiła się para.

Han wpakował sobie do ust krakersa i chrupał przez chwilę.

- Czyli mianowanie Dorvana powinno zająć jakieś pięć minut.

- Powinno - zgodziła się Leia.

- A zebrali się dzisiaj o drugiej i po siedmiu godzinach ciągle obradują - zauważył Han.

- Zgadza się - potwierdziła Leia.

- Muszę wreszcie to powiedzieć - mruknął Han. - Coś jest nie tak.

Leia pokiwała w milczeniu głową i sięgnęła po herbatę z nadzieją, że gorący napój pomoże jej się uspokoić. Ale Han oczywiście miał rację. Z każdą godziną jej niepokój wzrastał. To powinno być najłatwiejsze głosowanie w historii Senatu. Dorvan znał się na swojej robocie, nie miał

dalekosiężnych ambicji i z pozoru nie miał też żadnych wrogów.

Z pozoru.

- Zastanawiam się, czy nie byliśmy zbyt zadowoleni z siebie - powiedziała cicho.

- Co masz na myśli? - spytał Han. Zmarszczył lekko brwi, pogryzając kolejnego krakersa. -

Squibowie mieli rację. Są lepsze, kiedy się je macza w syropie słodowym.

- Wiemy, że Dorvan jest najlepszym kandydatem - wyjaśniła. - Wiemy, że jest szczery, uczciwy i chce jak najlepiej dla Sojuszu. Co więcej, nie ma osobistych motywów.

- No właśnie - zgodził się Han. - Chyba nawet Treen to wie.

- Ona nie chciała tego stanowiska - powiedziała powoli Leia - ale to nie znaczy, że nikt inny go nie chciał.

Han popatrzył na nią.

- Myślisz, że chodziło jej o to, żeby ktoś całkiem inny został wybrany?

Leia podniosła wzrok. W jej brązowych oczach malowała się powaga.

- Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód, dla którego Senat miałby wciąż obradować.

Han zaklął i odstawił kubek tak gwałtownie, że trochę herbaty rozlało się na biurko. Leia położyła rękę na jego dłoni.

- Nie powinniśmy tracić nadziei - powiedziała. - Ktokolwiek to jest, przynajmniej ta kandydatura spotkała się ze sprzeciwem. W innym wypadku, gdyby sprawa była przesądzona, posiedzenie szybko by się zakończyło. W Senacie jest trochę porządnym, uczciwym istot, Han.

- Trochę - przyznał Han. - Jak na mój gust za mało. Miejmy nadzieję, że są na tyle silne, żeby nie dać się przekupić, zastraszyć ani przegłosować.

Wiadomość przyszła o drugiej w nocy.

Leia, przyzwyczajona do sytuacji kryzysowych o każdej porze, natychmiast się obudziła.

- Leia - powiedziała do komunikatora. Usłyszała szelest pościeli i wiedziała, że Han także się obudził i słucha.

- Leio, przepraszam, że cię niepokoję o tej porze - odezwał się głos senatora z Sullusty, Lueweta Wuula. - Ale uznałem, że powinnaś wiedzieć.

- Wynn Dorvan nie został wybrany tymczasowym przywódcą - powiedziała Leia. Było to

stwierdzenie, nie pytanie.

- Czy jest coś, czego wy, Jedi, nie wiecie? - spytał Wuul, siląc się na swobodny, rubaszny ton.

- Mnóstwo rzeczy, Luew - odparła Leia, czując ciężar na sercu. - Co się stało?

- Sam nie bardzo wiem - stwierdził Wuul. Wydawał się zmęczony, zły i sfrustrowany. -

Byłem przekonany, że Dorvan jest najbardziej logicznym kandydatem. Właściwie to był jedynym kandydatem. Ale kiedy wysunięto jego kandydaturę, co było praktycznie formalnością, głos zabrał

ten nowy senator z B'nish, Kameron Suldar. Powiedział, że Dorvan przez opinię publiczną jest za bardzo utożsamiany z administracją Daali, żeby mógł skutecznie działać, i że Sojusz potrzebuje nowej twarzy. Kogoś, kogo nie można by oskarżyć o współpracę z Daalą.

- To absurd! Wynn po prostu starał się jak najlepiej wykonywać swoje obowiązki jako sekretarz Daali! A nawet robił, co mógł, żeby złagodzić jej politykę! Poza tym rządziłby tylko przez dwa miesiące. Stabilność galaktyki powinna być ważniejsza niż wprowadzenie nowej twarzy.

Han jęknął cicho za jej plecami.

- Co więcej, Suldar stwierdził, że Sojusz potrzebuje kogoś, kto nie trzyma tak otwarcie z Jedi, i dał do zrozumienia, że uważa decyzję Luke'a za słuszną. W Senacie jest więcej niechęci wobec Jedi, niż myślałem, Leio... i mówię to z wielką przykrością. To było naprawdę niepokojące.

Leia przypomniała sobie słynny już obraz Wynna Dorvana wbiegającego po schodach Świątyni i zrobiło jej się jeszcze ciężiej na sercu.

- Powinni się na coś zdecydować - powiedziała szorstkim, zatroskanym głosem. - Nie może być jednocześnie za bardzo związany z Daalą i z Jedi.

- Ty to wiesz i ja to wiem - ciągnął Wuul ze znużeniem - ale najwyraźniej dla wielu innych senatorów to absolutnie słuszny argument. No więc siedzieliśmy tak przez następne dwanaście godzin, debatując nad tym, czy na czele Galaktycznego Sojuszu powinien stanąć doświadczony, godny zaufania dyplomata, czy były terrorysta. I w końcu terrorysta wygrał. Mówię ci, Leio, nie wiem, jak to się skończy. Mam ochotę zabrać swoje burtalle i wrócić na Sullustę.

Leię przeszył nagły dreszcz. Za jej plecami Han, sfrustrowany tym, że słyszy tylko jedną stronę rozmowy, cały czas szeptał:

- Co? Co?

Uciszyła go ruchem ręki i wzięła głęboki oddech, próbując uspokoić się w Mocy.

- Terrorysta? Czyli kto?

Wiedziała, zanim jeszcze wymienił nazwisko.

- Nowy deputowany z Klatooine, Padnel Ovin.

- Proszę pana - odezwał się cichy, nieśmiały głos Deshy Lor - eee... przywódca Galaktycznego Sojuszu chce się z panem widzieć.

Wynn Dorvan podniósł wzrok. Odkąd odebrał wiadomość o drugiej, w ogóle nie spał.

Przyszedł wcześniej, żeby przygotować się do przekazania władzy. Spakował już swoje rzeczy i zajął się organizowaniem urzędowych spraw, potrzebnych Padnelowi Owinowi do formalnego objęcia stanowiska.

- Dzień dobry - przywitał go uprzejmie głosem, który prawie nie zdradzał jego znużenia. -

Desho, zaparz świeży kaf dla pana. I dla mnie też.

- Oczywiście - powiedziała Desha i wyszła, zostawiając ich samych.

Padnel kompletnie nie pasował do tego pokoju, który cechowała precyzja i proste, regularne linie. Miał na sobie tunikę w prostych barwach, typowy strój senatora. Choć idealnie skrojona, nie leżała na nim dobrze. Dorvanowi zrobiło się go żal. Nie miał pojęcia, w co się pakuje.

- Już kończę - oznajmił Dorvan. - Przyznam, że nie spodziewałem się pana tak wcześnie. W

ciągu godziny całkowicie się wyprowadzę. - Podeszedł do stolika, żeby nalać swojemu gościowi kafu.

- Źle mnie zrozumiałeś, Wynn - odparł Padnel szorstkim, chropawym głosem. - Nie jestem jeszcze przygotowany, żeby się wprowadzić. Chciałem z tobą porozmawiać. Na osobności.

- Ach, tak? - Dorvan podał mu filiżankę i nalał sobie resztę zawartości dzbanka. - Proszę siadać. O czym chciał pan porozmawiać? Na popołudnie mamy zaplanowane oficjalne spotkanie.

Pomimo zapowiedzi Ovin nie zaczął od razu mówić ani też nie usiadł. Stał tak przez dłuższą chwilę, wpatrując się w swój kaf. Wyglądał na skrepowanego.

- Jestem ostatnią istotą w galaktyce, która mogłaby siebie nazwać dyplomatą - zaczął. -

Zawsze byłem wojownikiem. Znam się na taktyce, znam się na przemocy. Nazywano mnie przecież terrorystą. Przybyłem tu, żeby reprezentować swój lud, bo chcieli, żebym się tym zajął, a ja zrobiłbym dla nich wszystko. Po dwudziestu pięciu tysiącach lat niewolnictwa są wreszcie wolni.

Po części to moja zasługa. - Spojrzał teraz na Dorvana. - Po części zaś to zasługa Jedi Solo i Tenel Ka. Chciałem, żebyś wiedział, że moja wczorajsza nominacja była dla mnie równie wielkim zaskoczeniem jak dla ciebie.

Dorvan zmarszczył lekko brwi, skonsternowany.

- Z całym szacunkiem, ale jeśli nie chciał pan zostać przywódcą, to dlaczego przyjął pan nominację?

- Bo widziałem, co się dzieje - odparł Ovin - i nie podobało mi się to.

- A co się działo? - Dorvan usiadł, jednak nie za biurkiem, a w jednym z dwóch pozostałych foteli, jakie znajdowały się w pokoju. Teraz w końcu i Ovin usiadł. Cały czas trzymał w ręku kafę, ale nie pił go.

- Widziałem egoizm - powiedział Ovin, czym zaskoczył Dorvana. - Nieszczerość. Ja lubię, jak wszystko jest proste i jasne, i ty chyba też. To ciebie powinni byli wybrać, ale gdybym ja odmówił, rzuciliby po prostu kolejne nazwisko na stół. A wiedziałem, że gdyby tak się stało, nie byłoby dobrze. Różne oskarżenia się pojawiały. A to, że jesteś za Daalą, a to, że za Jedi.

- Jedno i drugie? Pogodzić te dwie rzeczy to byłby istny majstersztyk - zauważył Dorvan.

- To prawda.

- Więc dlaczego w ogóle dostał pan nominację? Proszę wybaczyć, ale sam pan powiedział, że nie jest dyplomata.

- Właśnie dlatego - odparł Ovin. - Jedi pomogła wynegocjować porozumienie, które ocaliło mój świat... ale Jedi była także wśród tych, którzy wydali wyrok korzystny dla Huttów. Gardzę Daalą, a mój brat poświęcił życie, żeby protestować przeciwko jej polityce. Nikt nie wierzy, że mam jakieś osobiste ambicje... i to jest prawda.

- Nie rozumiem.

Ovin nachylił się do przodu i uśmiechnął się, odsłaniając ostre zęby. Zniżył głos.

- Wybrali mnie na swojego przywódcę - ciągnął głosem, który przyprawiał Dorvana o dreszcze - bo myślą, że jestem nieszkodliwy.

Dorvan wreszcie zrozumiał.

- Chcieli marionetki - powiedział.

- Właśnie - potwierdził Ovin. - Słusznie uważają, że władza mnie nie zepsuje, bo nie stanowi dla mnie żadnej pokusy. Ale myślą się, sądząc, że zamierzam bezmyślnie robić to, co mi każą. Osiągnąłem tak wiele dzięki temu, że otaczałem się mądrymi doradcami, którzy pomagali mi w tym wszystkim, co nie było moją mocną stroną. Zależy mi na tej instytucji. Chcę nią dobrze zarządzać, dopóki obywatele Galaktycznego Sojuszu nie wybiorą tego, kogo chcieliby widzieć na tym stanowisku. Wprawdzie będę musiał cię prosić, żebyś wyprowadził się z tego gabinetu, jednak byłbym wdzięczny, gdybyś przeniósł się tylko o kilka metrów. Będę potrzebował asystenta, Wynn.

I nie znam nikogo, kto lepiej by się nadawał na to stanowisko niż ty.

Dorvan zamrugał z wrażenia. Do pokoju weszła Desha ze świeżym dzbankiem kawy i ciasteczkami.

- Desha - zwrócił się do niej Dorvan - obawiam się, że jednak nie będziesz miała nowego szefa.

## Ośrodek Medyczny Galaktycznego Senatu

- Zaczynają coś podejrzewać.
- Wiem. Nie są głupi.
- Jeśli się domyślą, to może wszystko zniweczyć.
- No cóż, w takim razie po prostu nie możemy do tego dopuścić. Musimy działać szybciej.
- Działamy tak szybko jak się da.

Wynn Dorvan rozsiadł się w fotelu dla odwiedzających i westchnął.

Bwua'tu miał coraz większe problemy z oszukiwaniem lekarzy. Jak sam dopiero co powiedział, zaczynali coś podejrzewać. I jak mu odpowiedział Dorvan, nie byli głupi. Jak dotąd zachowanie Bwua'tu było na tyle przekonujące, że wciąż się głowili, jak to możliwe, że admirał w dalszym ciągu wydaje się cierpieć na uraz mentalny, skoro wszystkie medyczne objawy wskazywały na całkowite uzdrowienie. Dorvan przypomniał sobie, jak Eramuth rozwodził się na temat nieprzeniknionych tajemnic umysłu i twierdził, że być może Moc, na którą tak wrażliwi byli Jedi, miała większy wpływ na te sprawy niż nauka.

Nie zadowoliło to lekarzy, ale na pewien czas uspiło ich czujność. Wszyscy jednak wiedzieli, że w końcu, i to zapewne niedługo, oszustwo wyjdzie na jaw.

Tego dnia byli tylko we dwóch - Rynog Asokaji został wezwany przez Parowę, Eramuth zaś był ponownie przesłuchiwany w sprawie Tahiri Veili. Rozmawiając ze sobą, oglądali jednocześnie nowy kanał, który powstał, jak się wydawało, z dnia na dzień - BAMR. Wyjątkowo atrakcyjna, nawet jak na prezenterkę, kobieta donosiła o ostatnich wydarzeniach w gmachu Senatu.

- Wygląda na to - zaczął powoli Bwua'tu - że niezdolność Senatu do podjęcia zdecydowanych działań pod przewodnictwem triumwiratu nagle wyparowała. - Jego chropawy głos był pełen sarkazmu i dezaprobaty.

Dorvan pokiwał głową.

- Istotnie. To było dosyć bezczelne w gruncie rzeczy. Treen i Senat machali bezradnie rękami, pozwalając mnie i przedstawicielce Jedi wziąć na siebie większą część odpowiedzialności.

Gdyby coś poszło nie tak, oni uchodziliby za niewinnych.

- A teraz drzewo rodzi owoce - stwierdził ponuro Nek.

Senat przystąpił do działania tak szybko, że można było dostać od tego zawrotu głowy.

Najpierw był szokujący wybór Padnela Ovina, świeżo zaprzysiężonego senatora, na przywódcę Galaktycznego Sojuszu. Tuż po tym nastąpił wybuch wrogich wobec Jedi nastrojów. Niemal wszyscy

wypowiadający się senatorowie wyrażali niechęć do Jedi i zadowolenie z tego, że nie będą się już „wtrącać”.

- Została utworzona nowa senacka podkomisja w celu zbadania ewentualnych nadużyć władzy przez Jedi w trakcie ich pobytu na Coruscant - mówiła prezenterka. Dorvan i Bwua'tu wymienili zaskoczone spojrzenia. - Wiadomo, że na planecie pozostała jedynie dwójka Jedi: Leia Organa Solo i zbiegła więźniarka, Tahiri Veila. Jedi Solo zgodziła się zeznawać przed senacką podkomisją.

Pokazano ujęcia obu kobiet: niezbyt korzystne Leii, która wyglądała na rozdrażnioną i wymizerowaną, oraz Tahiri, która akurat się odwróciła, żeby warknąć gniewnie na reportera.

- To dlatego wezwali znowu stryja Eramutha - powiedział cicho Nek. - Chcą znaleźć wszystkich Jedi.

- Chyba wolałbym nie wiedzieć dlaczego - odparł Dorvan.

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek zobaczę, jak wcielany jest w życie kolejny Rozkaz Sześćdziesiąty Szósty - wyznał Nek z rozpaczą w głosie. - No cóż, wiedzieliśmy, że szykuje się spisek.

Dorvan zmarszczył brwi, słuchając jednym uchem prezenterki BAMR, która mówiła dalej o podkomisji śledczej do spraw działalności Jedi i jej członkach. Potem była jakaś informacja o wzmożonym przemyśle przyprawy i nowych środkach wdrożonych w celu jego powstrzymania, a wreszcie ujęcie speszzonego Padnela Ovina stojącego przed wiwatującą salą Senatu.

- Owszem, wiedzieliśmy - powiedział wolno Dorvan - ale coś tu się nie zgadza.

- Co masz na myśli? - spytał Nek. - Zostałem zaatakowany przez istoty udające Jedi, a potem nagle powstaje podkomisja z wyraźnym, jak się wydaje, celem całkowitego ich zniszczenia.

Według mnie wszystko do siebie pasuje.

Dorvan pokręcił głową.

- To inna grupa graczy - odparł. - Proszę się chwilę zastanowić. Czy rozpoznaje pan jakieś nazwiska na tej liście członków podkomisji?

- Poza Suldarem? Nie - przyznał Bwua'tu.

- To wszystko są nowi senatorowie, nawet Suldar - zauważył Dorvan. - A ja, jak już panu mówiłem, zostałem tylko dlatego, że Ovin mnie o to poprosił. To dla nas szansa i musimy ją jak najlepiej wykorzystać. Ktoś myśli, że nim steruje.

- A steruje?

Dorvan się zastanowił.

- Nie, nie sądzę - powiedział w końcu. - Przynajmniej nie w takim stopniu, jak im się wydaje. Ani też



Ovin nie próbuje mnie wykiwać. Myślę, że jest szczyry. Jedi Solo mu ufa, a ona miała z nim znacznie więcej do czynienia niż ja.

- A więc nowi gracze.

- Inni gracze - sprostował Dorvan.

- Najwyraźniej jest jakaś różnica, której nie dostrzegam - stwierdził Bwua'tu. - Być może jeszcze nie całkiem doszedłem do siebie.

- Ależ doszedł pan. Słowo „nowi” sugeruje, że zastąpili starych. „Inni” w tym wypadku oznacza „dodatkowi”. I nie jestem wcale pewien, czy są w tej samej drużynie.

- Sądzisz, że mamy do czynienia z dwoma odrębnymi spiskami? - spytał z niedowierzaniem Nek. - Może ty też powinieneś porozmawiać z lekarzami. To trąci paranoją.

- Naprawdę? - spytał Dorvan. - Proszę sobie przypomnieć próbę otrucia, jaka miała niedawno miejsce w Senacie. Początkowo wyglądało na to, że stoi za tym Jedi Seha Dorvald, ale szybko okazało się, że to nieprawda. Najpierw wywołało to nagły przypływ niepokoju, ale kiedy doszło do przewrotu, kompletnie o tym zapomniano.

- Pamiętam, że Asokaji coś mi o tym mówił - potwierdził Bwua'tu. - Sprawa jest ciągle niewyjaśniona. Incydent zdyskredytował Służbę Bezpieczeństwa Galaktycznego Sojuszu, a wtedy Parova została wyznaczona do zapewnienia ochrony zamiast nich. SBGS boleśnie to odczuło...

Ich spojrzenia się spotkały.

Bwua'tu sięgnął po komunikator swoją sztuczną ręką. Robił nią teraz wszystko, żeby nabrać wprawy, i cieszył się z postępów.

Wstukał kod.

- Dzięki temu Asokaji będzie wiedział, że to ja - wyjaśnił Dorvanowi, który pokiwał głową.

Po chwili komunikator Bwua'tu zapiszczał.

- Asokaji, chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił - powiedział. - Sprawdź, jeśli to możliwe, czy admirał Parova miała jakiś kontakt z moffem Driklem Lecersenem. - Przez chwilę milczał, słuchając. - Wyjaśnię ci, jak mnie odwiedzisz. Musimy po prostu zbadać pewien trop. - Znów cisza.

- Tak, rozumiem. Postaraj się, Rynog. Tak jak zawsze.

Oparł się o poduszki.

- Spróbuj znaleźć jakąś dokumentację. To będzie bardzo ryzykowne, Wynn. Mam nadzieję, że masz rację.

- Mam - odparł Dorvan, po czym dodał samokrytycznie: - Tylko jeszcze nie wiem, w której sprawie.

## ROZDZIAŁ 27

### Restauracja Wieża Indygo, Coruscant

- Wieża Indygo to chyba nie najlepsze miejsce, kiedy chce się odegnać czarne myśli -

zauważyła Treen, dziobiąc bez zainteresowania w talerzu. Była to jedna z jej ulubionych przystawek - małże z Naboi, smażone, jak można się było spodziewać, w maśle z niebieskiej śmietany, idealnie przyprawione, jednak tego dnia nic jej nie smakowało.

Bramsin wyciągnął pokrytą plamami rękę i poklepał delikatnie jej dłoń.

- Może i nie. Zamówmy butelkę czegoś dobrego.

Treen westchnęła. Być może butelka wyśmienitego złotego wina podniosłaby ją na duchu.

Bramsin skinął na młodego człowieka, który obsługiwał ich tego wieczoru i zamówił wino.

- Nie podoba mi się to wszystko - powiedziała Treen, gdy zostali sami. - Ani trochę.

Najpierw to dziwne milczenie Drikla, potem Kameron bierze to, co podaliśmy mu na tacy, i nie raczy nawet zostawić nam okruszków.

- Może po prostu kładzie fundamenty - wyraził przypuszczenie Bramsin. Nabrał łyżką zupę z krabów, ale tak mu się trzęsła ręka, że połowę rozlał.

- Nie sędzę - stwierdziła Treen, stukając się w zadumie palcem w podbródek. - Czuję, że coś jest nie tak.

- Zaraz mi powiesz, że jesteś Jedi - zażartował Bramsin. Oboje się z tego uśmiechali. Kelner przyniósł zamówione przez Bramsina wino, najlepsze, jakie było w karcie, i nalał im po kieliszku.

- Toast - oznajmiła Treen. - Za starych przyjaciół.

Bramsin uśmiechnął się i stuknęli się kieliszkami. Po pierwszym łyku poczuła się lepiej.

Miło było sobie dogadzać.

- Rozumiem - powiedziała, wracając z nowym zapałem do swoich małżym - że ty też nie masz żadnych wiadomości od Drikla?

Bramsin pokręcił głową.

- Ani słówka - odparł. - Ale jadłem któregoś dnia lunch z Parową. Ona jest najwyraźniej w dobrym nastroju.

- Ona zawsze jest w dobrym nastroju. Ta kobieta jest nienaturalnie pogodna. - Treen specjalnie nie przepadała za większością współspiskowców. Stara prawda, mówiąca, że wspólny interes łączy czasem zupełnie odmienne istoty, była nad wyraz trafna. Sama zwróciła się z propozycją współpracy do Drikla i lubiła go. Łączyła ją też oczywiście długoletnia przyjaźń z drogim Fostem. Jaxton był według niej przystojny, ale nieco lekkomyślny. Parova ją drażniła, generał Thaal zaś... o nim jeszcze nie wyrobiła sobie opinii. Bez wątplenia był inteligentny i niebezpieczny, i to jej na razie wystarczało. - Cóż - powiedziała - spróbuję skontaktować się dziś wieczorem z Lecersenem. Damy Suldarowi jeszcze parę dni, żeby przypomniął sobie, kto dał mu władzę, a jeśli nie, to będziemy musieli z nim porozmawiać. Na początek. - Uśmiechnęła się promiennie do Bramsina. Jego towarzystwo, jedzenie i wyborne wino poprawiły jej humor.

Wróciła do domu jakieś trzy godziny później w znakomitym nastroju. Przy drzwiach powitał ją Wyx, jej droid kamerdyner typu BIL Wyx był w rodzinie Treen od pokoleń i wydawało się, że gotów jest służyć jeszcze przez co najmniej kilkadziesiąt lat.

- Dobry wieczór, pani senator - powiedział droid Jak zawsze usłużny, dumnie prezentując na tułowiu rodzinne barwy: niebieską i złotą. - Jak się udało spotkanie z senatorem Bramsinem?

- Wspaniale, dziękuję, Wyx - odparła Treen, podając droidowi płaszcz, po czym ruszyła po schodach w górę. - Jakież wiadomości?

- Tylko jedna - poinformował Wyx. - W pani gabinecie. Od generała Thaal.

Treen zatrzymała się z ręką na poręczy.

- Wykasuj z pamięci wszelkie wzmianki na temat generała Thaal z ostatnich czterech godzin - poleciła.

- Wykasowane - potwierdził uprzejmie Wyx.

- Przygotuj mi gorącą, aromatyczną kąpiel. Przez najbliższe parę minut będę w gabinecie. -

Paroprysznic był dobry do codziennej higieny, Treen jednak lubiła zanurzyć się w gorącej, pachnącej wodzie.

Weszła do gabinetu, ozdobionego obrazami i rzeźbami najznakomitszych artystów z Kuata.

Światło włączyło się automatycznie. Wybrała numer komunikatora generała i rozsiadła się wygodnie w fotelu z nerfiej skóry, czekając.

Potężna sylwetka generała Stavina Thaal wyglądała imponująco nawet jako niewielki holograficzny obraz. Jego oczy, choć malutkie, patrzyły przenikliwie, a na miniaturowym gardle widać było nawet paskudną bliznę.

- Dobry wieczór, generale - przywitała go rażno Treen. - Podobno chciał pan ze mną rozmawiać.

- Skasowała pani wiadomość? - Głos był niski, zimny i przyprawiał Treen o dreszcz.

Pomyślała, że nigdy się nie przyzwyczai do głosu robota wydobywającego się z ludzkiego gardła.

- Naturalnie - odparła Treen. - Wprawdzie Wyx to droid kamerdyner, jednak pańskie obawy są zbyt zbyteczne. Nie ma pan do czynienia z amatorem.

- Wiem - ciągnął Thaal. - Właśnie dlatego zwracam się do pani. Pora zwijać obóz, pani senator.

Zmarszczyła brwi.

- Rozumiem pańską barwną wojskową metaforę, nie bardzo jednak wiem, dlaczego mielibyśmy zwijać obóz.

- Lecersen nas wsypał. A przynajmniej zrobi to prędzej czy później. Otrzymałem informacje, że współpracuje teraz z admirał Natasi Daalą. Jeśli jeszcze nas nie wydał, to wkrótce to zrobi. Ona jest za sprytna, żeby nie dostrzec związku.

Treen poczuła nieprzyjemne ściskanie w dołku.

- Ojej - wyszeptała. - To bardzo niedobre wieści, generale. Naprawdę bardzo niedobre.

- Sądzę też, że Suldar nas wykiwał - ciągnął Thaal swoim nienaturalnym głosem. - Daliśmy mu Galaktyczny Sojusz i nie dostaliśmy nic w zamian. Dotąd nie słyszałem ani słowa o jakichkolwiek awansach, a pani?

- Nie - przyznała Treen, przeciągając to słowo. - To samo mówiłam dziś Fostowi.

- Wszedłem w to dlatego, że chciałem władzy. Tak samo jak pani. To żaden wstyd. Ale teraz musimy po prostu ratować własną skórę. Nie poprowadziłbym tylu kampanii, gdybym nie potrafił się w porę zorientować, że wróg przygotowuje się do ataku. Musimy sami uderzyć, a potem się wycofać.

Treen wiedziała, że generał ma rację.

- Czego pan oczekuje od reszty naszej grupy? - zapytała.

Milczał przez chwilę, a potem, niemal z żalem, odparł:

- Nie ma reszty grupy, pani senator. Nie, jeśli mamy wyjść z tego cało. Proszę się zastanowić. Lecersen jest skompromitowany. Bramsin był w swoim czasie wpływowym politykiem, ale teraz to stary piernik, który zasypia z twarzą w zupie. Nie mam zbyt wiele szacunku dla Parovy. Za szybko odwróciła się od tych, wobec których powinna być lojalna. A Jaxton patrzy tylko, skąd wieje wiatr. Ta cała intryga to był pani pomysł, pani senator. I to znakomity. Nie brałbym w tym udziału, gdybym nie wierzył, że może się udać. Jednak nawet najlepiej zaplanowane kampanie mogą zostać zniweczone przez jakieś nieprzewidziane zdarzenia.

Moglibyśmy sobie poradzić, gdyby albo Lecersen, albo Suldar zwrócił się przeciwko nam, ale nie z obydwojoma. Pani i ja mamy swoje rezerwy. Zamierzam wyeliminować wszystko, co mnie z tym wiąże, i pozostać na swoim miejscu. Jeśli zechce mnie pani wykończyć, pociągnę panią za sobą.

- No cóż, niewątpliwie musiałyby pan to zrobić, generale, ale na szczęście nie mam takiego zamiaru - zapewniła Treen łagodnym głosem. - Kto będzie naszym pierwszym celem?

- Bramsin. Stał się kompletnie nieobliczalny. Nie wiadomo, co wypaple na następnej konferencji prasowej, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi.

Ogarnął ją żal. Najgorsze było to, że wiedziała, iż Thaal ma rację. Lecersen wymknął im się spod kontroli. Parova i Jaxton nic nie robią, dopóki nie uznają, że to leży w ich interesie. Ale biedny Fost...

- Miałam przeczucie, że pan to powie - stwierdziła ze smutkiem.

To był cudowny wieczór, zadumał się Bramsin, kiedy Mardith, jego szofer, odprowadzał go do domu. Wieczór z Haydnat to zawsze była przyjemność. Pyszne jedzenie i rozmowa.

Zastanawiał się, dlaczego nie było Lecersena. Czy nie miał do nich dołączyć?

- Dziękuję, Mardith, to wszystko - powiedział Bramsin, wyciągając laskę. Niedawno przeprowadził się do apartamentu zajmującego tylko jedno piętro. Schody były po prostu zbyt męczące. Zawlókł się powoli do salonu, gdzie osunął się na fotel. Prosty droid służący podał mu wieczornego drinka.

Bramsin spojrział krzywo na koreliańską brandy.

- Nie lubię tego.

- Ale przecież w zeszłym tygodniu zamówił pan całą skrzynkę - zaszcebiotał droid.

- Chyba wiem, co lubię, nie sądzisz? - odparł rozdrażnionym tonem. - Nie potrzebuję droida, żeby mi mówił, co lubię pić!

- Oczywiście, panie senatorze. Więc na co miałby pan ochotę?

Bramsin zamrugał, zakłopotany. Na co miałby ochotę?

Nagle zapiszczał jego komunikator. Natychmiast odebrał.

- Senator Bramsin.

- Fost, mój drogi! - To była Haydnat. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Zastanawiałam się, czy nie mogłabym się wprosić na kieliszek przed snem.

Bramsin się rozpromienił. Problem sam się rozwiązał.

- Oczywiście, oczywiście! Czego się napijesz? Zaraz każę przygotować.

**Kryjówka rodziny Solo, Coruscant**

Leia otworzyła oczy. Usiadła na łóżku z zaskakująco jasnym umysłem, nasłuchując, co ją obudziło. Nagle wszystko stało się jasne.

Han nie znieśie tego najlepiej.

- Kochanie - powiedziała łagodnie - musimy wstać.

On też był przyzwyczajony do nagłych pobudek.

- Co się stało? - spytał.

- Jeszcze nic, ale ktoś nadchodzi. Ubierz się, a potem idź po Allanę. Założę się, że ona też już nie śpi.

Dziesięć minut później cała trójka była już w kuchni. Leia zaparzyła kaf i przygotowała cztery kubki. Han trzymał na rękach Allanę, która, tak jak przewidziała Leia, nie spała, kiedy wszedł do jej pokoju. Szczerze mówiąc, była już za duża, żeby ją nosić na rękach, ale nikt nie miał

odwagi powiedzieć tego Hanowi Solo, nawet jego żona.

- Zechcesz mnie oświecić, księżniczko? - poprosił. - Wątpię, żeby Allana i Anji miały pić kaf. Anji i tak już jest wystarczająco pobudzona. - Nexu było bardzo niespokojne, więc wiedząc, przynajmniej częściowo, co się wydarzy, Leia poleciła Allanie zamknąć na razie zwierzaka w swoim pokoju.

Potem odwróciła się do męża i po jego reakcji poznała, że przybrała swój stoicki wyraz twarzy.

- *O, bloah* - mruknął Han. - Co się dzieje, Leia?

- Nie przeklinaj przy Ali... Amelii - upomniała go. - Han, skarbie... jeśli się nie mylę, będę musiała was zostawić na trochę. Ale wszystko będzie dobrze.

Rozległo się pukanie do drzwi. Han pobladł, a w jego oczach pojawił się gniewny błysk.

- Nie żartuj. To chyba nie jest ten, o którym myślę?

Leia Organa Solo podeszła wyprostowana do drzwi i otworzyła je z uśmiechem.

- Dobry wieczór - powiedziała do stojących za nimi dwóch istot w mundurach SBGS. -

Może wstąpicie na filiżankę kafu?

**Na pokładzie „Cienia Jade”**

- Zabrali Leię - oznajmił bez wstępów Han.

Luke popatrzył na niego. Han połączył się z nim przez hologram; teraz stał, trzymając na rękach Allanę, która wyglądała na znacznie spokojniejszą od swojego dziadka.

- Jak to? Kto ją zabrał?

Ben, pełniący funkcję drugiego pilota, i Vestara, pochłonięta lekturą datapadu przygotowanego dla niej przez Natuę, także skupili teraz uwagę na rozmowie.

- SBGS. Ci *sleemo* mieli całą listę sfingowanych zarzutów. Słyszałeś o tych wymierzonych w Jedi ustawach, które wprowadzają? I tej całej medialnej nagonce?

- Co nieco - odparł Luke. - Ale to niedorzeczne. Jakie były zarzuty?

- Spiskowanie w celu obalenia legalnie wybranego rządu - warknął Han. - Szpiegostwo. I najlepsze: przemyt przyprawy.

- No, no - odezwał się Ben. - Musieli być naprawdę zdesperowani. Ciocia Leia przemytnikiem przyprawy?

- I tak po prostu pozwolił im pan ją zabrać? - spytała Vestara.

Han rzucił jej wściekłe spojrzenie. Vestara aż się cofnęła, mimo że wizerunek Hana miał ledwie jedną trzecią metra.

- Osobiście wolałbym ich wykopać do sąsiedniego sektora - odparł Han - ale Leia by mi nie pozwoliła. Powiedziała, że muszę się martwić o małą, a sama poszła spokojnie z nimi. Wydaje mi się, że ci dwaj, których po nią przysłali, byli zawstydzeni.

- Powinni - stwierdziła Natua, która usłyszała rozmowę i wetknęła głowę do kabiny. - Leia Organa Solo? Zdrajczyni handlująca przyprawą? - Luke poczuł, że i jego ogarnia gniew, ale uspokoił się, wykorzystując Moc. Wiedział, co się dzieje; to feromony Natui wpływały na jego własne uczucia.

- Jest osobą publiczną - zauważył Mistrz Jedi - i w dodatku powszechnie lubianą. Padnel Ovin jest waszym przyjacielem. Ktoś w tej podkomisji chciał po prostu wykonać efektowny gest, to wszystko. Ale to się obróci przeciwko nim, a Leia zostanie uwolniona.

- Tak - powiedział ponuro Han. - Zostanie. W taki czy inny sposób.

- Założę się, że Padnel już nad tym pracuje - dodał Luke. - Która jest u was godzina?

- Czwarta rano.

- Kancelaria przywódcy Galaktycznego Sojuszu jest otwarta od ósmej - powiedział Luke. -

Idź porozmawiać z Padnelem i z Dorvanem. Zaproponowałbym własną pomoc, ale przy rosnącej niechęci wobec Jedi jakakolwiek ingerencja z mojej strony mogłaby wyrządzić więcej szkody niż pożytku.

- Nie chcę z nikim rozmawiać - odparł Han. - Chcę odzyskać żonę. Chcę porozbijać parę łbów.

- Ale tego nie zrobisz - stwierdził Ben.

- Nie, przynajmniej na razie - przyznał Han. - Pójdę tam z samego rana.

- Proszę zabrać córkę - doradziła Vestara. Wszyscy na nią spojrzeli, a ona wzruszyła ramionami. - Jej trudniej będzie odmówić.

- Poza tym - wtrąciła Allana - jak ty idziesz, to ja też. To moja mamusia. Będą musieli sobie poradzić ze mną i z tobą, tato.

- No... może niezupełnie tego się spodziewałam, ale to też powinno zdać egzamin - odparła Vestara.

Han oparł głowę o czoło Allany.

- No dobra, mała. Spróbujmy się trochę przespać, a potem pójdziemy i, eee... przekonamy Dorvana i Ovina, że popełniono błąd.

- Wielki błąd - dodała Allana z szerokim uśmiechem. Han przytulił ją mocno, skinął głową w stronę Luke'a i nacisnął guzik.

Luke siedział przez chwilę w milczeniu.

- Nie wierzę, że to zrobili - powiedział w końcu Ben. - Nie miałem pojęcia, że aż tak nas nienawidzą.

- Jeśli masz na myśli mieszkańców Coruscant, to nie - odparł Luke. - Ale ktoś wysoko postawiony tak. Połącz nas z HoloNetem, Ben. Nawet o tej porze powinni o tym mówić.

Ben wykonał polecenie.

- O, zobacz. A propos nienawiści do nas... - powiedział. Stacja, którą włączył, BAMR, była stosunkowo nowa i bardzo agresywna w wyrażaniu swoich sympatii politycznych.

- A to niespodzianka - stwierdziła Vestara.

Przystojny ciemnoskóry mężczyzna patrzył w skupieniu w holokamerę.

- ...udało nam się uzyskać materiał przedstawiający aresztowanie byłej przywódczyni Nowej Republiki i obecnej Jedi, księżniczki Leii Organy Solo, w jej mieszkaniu. - Za jego plecami wyświetlano właśnie nagranie Leii wychodzącej z domu. Nigdzie nie widać było Hana ani Allany, z czego Luke był zadowolony. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, była twarz Allany w HoloNecie albo Han wrzeszczący na jakąś nieszczęsną istotę, która wykonywała po prostu swoją pracę.

Leia sprawiała wrażenie zmęczonej, ale wyglądała dostojnie i pięknie. Nie uśmiechała się, ale też nie próbowała unikać jasnych światła i kamer podtykanych jej pod nos. Luke'owi było jej żal.

- Solo nie odniosła się do stawianych jej zarzutów - mówił prezydent. - Próbowaliśmy porozmawiać



z kapitanem Hanem Solo, mężem Jedi Solo, ale odmówił komentarza.

- Mogę się założyć - mruknął Ben.

Za plecami dziennikarza pojawiła się jeszcze jedna postać: przystojny, starszy mężczyzna o siwiejących włosach, mocnej, wyraźnie zarysowanej szczęce i przenikliwym, inteligentnym spojrzeniu.

- Senator Kameron Suldar, przewodniczący Senackiej Podkomisji Śledczej do spraw Działalności Jedi, zapowiedział konferencję prasową za cztery godziny w...

Nagle dał się słyszeć stłumiony okrzyk. Luke obejrzał się i zobaczył wytrzeszczone oczy Vestary.

- Ves? Co się stało? - Ben dotknął delikatnie jej ramienia.

- Ja... ten senator. Ja go znam.

- Co takiego?

Odwróciła się w kierunku Bena.

- On się nie nazywa Kameron Suldar. To Workan. Arcylord Workan. On jest...

- Sithem z Zapomnianego Plemienia - dokończył spokojnie Luke.

Ben i Vestara utkwili w nim wzrok.

- Jak... dlaczego... - jąkała się Vestara.

- Prowadzę dosyć misterną i ryzykowną grę - oznajmił Luke - ale wygląda na to, że wszystko idzie po naszej myśli. Jak myślicie, dlaczego zrobiłem tyle hałasu wokół wyprowadzki Jedi? Zastanówcie się chwilę. Przeszukaliśmy kilka planet i nie trafiliśmy na żaden ślad Sithów.

Kiedy polujesz na zwierzynę, a ona ciągle ci się wymyka, co wtedy robisz?

Vestara zrozumiała pierwsza.

- Rzucasz przynętę - powiedziała cicho.

Luke pokiwał głową.

- Właśnie. Od kiedy Jedi jawnie opuścili Coruscant, planeta stoi otworem.

- Tato, oddałeś Coruscant Zapomnianemu Plemieniu?

- Zastawiłem pułapkę - odparł Luke. - To nie to samo. Zapomniane Plemię wierzy, że ich przeznaczeniem jest zawładnięcie galaktyką. Co mogłoby ich bardziej przybliżyć do tego celu niż opanowanie Coruscant?

Ben był zaszokowany, szybko jednak doszedł do siebie.

- Eee... tato, chyba zapomniałeś o jednym szczególe.

- Mianowicie?

- Sithowie mogą opanować Coruscant!

- Zwabiłem ich wszystkich w jedno miejsce. Dobrze wiem, co robię, Ben. Najpierw rozprawimy się ze Statkiem, a to powinno również oznaczać rozprawienie się z Abeloth, a potem wrócimy na Coruscant i zajmiemy się Sithami.

- Nie wiem, czy to będzie takie łatwe, jak sądzisz - powiedziała Vestara. - Sithowie nie uciekają przed walką. I nie masz pojęcia, ilu ich jest na Coruscant ani jak bardzo urosną w siłę, kiedy my będziemy „rozprawiać się ze Statkiem”.

Luke widział, że Vestara jest poruszona tym odkryciem, ale wyczuwał też... dumę? Chyba można się było tego spodziewać. Łatwiej jest odrzucić wyraźnie szkodliwą ideologię niż ukochane istoty, które tę ideologię wyznają.

- Sithowie są wybitnie arogancy - zauważył Luke. - Ivaar Workan pozuje na prominentnego senatora. Jestem gotów się założyć, że znasz z widzenia większość Lordów i Arcylordów.

Vestara skinęła głową.

- Tak. Na Kesh to osoby publiczne.

- Nie wyobrażam sobie, żeby jakiś Lord czy nawet Miecz Sithów zadowolili się stanowiskiem, które nie łechtałoby jego próżności.

- Są dumni z tego, co robią - przyznała Vestara.

- A ty jesteś dumna z nich - powiedział Luke. Było to stwierdzenie, nie pytanie.

Vestara zawahała się, po czym znów skinęła głową.

- Jestem - przyznała. - Trudno nie być. Potrafili przeniknąć tak szybko i tak głęboko.

- Dziękuję, że nie kłamiesz - powiedział Luke z uśmiechem. - To musi być dla ciebie trudny moment. - Vestara znów pokiwała głową, tym razem z większą pewnością siebie. - Zapomniane Plemię to groźni przeciwnicy - ciągnął Luke. - To trzeba im przyznać. Niełatwo było mi podjąć taką decyzję, ale uznałem, że to najszybszy sposób na zażegnanie zagrożenia, które stwarzają. Jedna planeta, jedno uderzenie ze strony Jedi, których się nie spodziewają, i wszyscy najpotężniejsi członkowie Zapomnianego Plemienia będą martwi albo w areszcie.

- To... jeden z najbardziej szalonych pomysłów, o jakich słyszałem - oświadczył Ben. - Ale ma jakiś dziwny sens.

- Cieszę się, że go aprobujesz - odparł ironicznie Luke.

- Mimo wszystko mogłeś komuś powiedzieć - zauważył z wyrzutem Ben.

- Powiedziałem Leii i Mistrzom. Mistrzowie wiedzą o planie, żeby mogli poprowadzić siły Jedi, jak tylko będziemy gotowi. Leia została poinformowana dlatego, że jako jedyna Jedi, która została na miejscu, może meldować mi o wszystkim, czego się dowie.

- To dlatego nie protestowała, kiedy ją aresztowali - domyślił się Ben. - Tak spokojnie poszła, kiedy Suldar... eee..., Workan ją aresztował, bo wiedziała, że nie możemy ryzykować żadnego zamieszania na Coruscant.

Luke przytaknął.

- Nie możemy sprowokować Sithów do przedwczesnego działania. Mogłyby ucierpieć niewinne istoty. I musimy uderzyć wtedy, kiedy będą najbardziej bezbronni.

- Nie powiedziałaś nic kapitanowi Solo ani Jainie? - spytała Vestara. - Przecież aresztowali ich żonę i matkę! Nie mogłeś im zaufać?

- Jaina nie jest Mistrzynią - odparł Luke. - Nie mogłem jej traktować w szczególny sposób tylko dlatego, że Leia jest jej matką. A Han... no cóż, Han nie potrafi tak dobrze ukrywać swoich uczuć. Zwłaszcza kiedy chodzi o jego rodzinę. Każdy Sith zasługujący na to miano od razu wyczułby jego spokój i stracilibyśmy swoją przewagę.

Vestara uśmiechnęła się nieznacznie.

- To dosyć wyrachowane i nieczułe postępowanie jak na Jedi - zauważyła.

- Ale było konieczne dla dobra sprawy - stwierdził Luke. - Wszyscy to rozumieją.

Ben odwrócił się w stronę Vestary.

- Ty znasz tego całego Workana. Co nim kierowało, kiedy aresztował Leię? Myślisz, że grozi jej realne niebezpieczeństwo?

- Uwięził Leię, żeby mieć pewność, że ostatnia Jedi na Coruscant jest pod kontrolą - odparła bez wahania Vestara. - I żeby umocnić swoje osobiste wpływy. Taka cenna zdobycz przynosi mu chwałę. Jeśli chodzi o to, czy wyrządzi jej krzywdę, to nie sądzę. Przynajmniej nie od razu. Jest zbyt ważną i zbyt lubianą postacią, żeby mógł zrobić to jawnie, a każdy „wypadek” byłby zdecydowanie zbyt podejrzany. A poza tym ona może być świetną kartą przetargową, jeśli zajdzie taka potrzeba. Sławna postać ze świata polityki i siostra Wielkiego Mistrza Luke'a Skywalkera. Ale na wolność prędko nie wyjdzie, tyle ci mogę powiedzieć.

- Zgadzam się z Vestarą w całej rozciągłości - oświadczył Luke. - To przykre, ale nie możemy podjąć żadnych działań w celu uwolnienia jej, dopóki nie będziemy gotowi zmierzyć się ze wszystkimi Sithami na Coruscant. Nic jej nie będzie.

- Więc nadal w pierwszej kolejności ścigamy Statek? - spytał Ben. Pojmował tok rozumowania swojego ojca, ale wcale mu się to nie podobało.

- Ujmę to tak: czy chcesz zmierzyć się ze Statkiem, Abeloth i Sithami równocześnie?

- No... nie - przyznał Ben.

- Więc wytycz kurs - polecił Luke. - Im szybciej rozprawimy się ze Statkiem, tym szybciej wrócimy do domu.

- Pozwoliłeś, żeby Sithowie pojмали moją mamę?

Luke pozostał niewzruszony.

- Tak - powiedział Jainie. - A Sithowie nie mają pojęcia, że zrobiliśmy to świadomie. -

Spokojnie wyłuszczył jej swój plan. Jaina skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła na niego spode łba, ale słuchała i w miarę jak mówił, przybierała luźniejszą postawę. - Przykro mi, że Leia została w to wplątana, ale ona potrafi o siebie zadbać i nie sądzę, żeby groziło jej obecnie jakieś niebezpieczeństwo.

Jaina westchnęła.

- Wiem. Jeśli ktoś może sobie z tym poradzić, to na pewno mama. Wolałabym tylko, żeby wiedziała, jakie ryzyko podejmuje.

- Wiedziała i zgodziła się na to - zapewnił Luke. - Jest też dodatkowa korzyść: przetrzymywanie jej jako, w cudzysłowie, więźnia da Sithom złudne poczucie bezpieczeństwa. To powinno dać nam przewagę.

- Pewnie masz rację. Jak tata zareagował, kiedy mu powiedziałeś?

- Nie mówiłem mu jeszcze o Sithach - odparł Luke. - Ty jesteś z dala od Coruscant. Twój ojciec nie. Jestem pewien, że Sithowie cały czas go obserwują i jak tylko Han się dowie...

- ...zorientują się, że ich zdemaskowaliśmy - mruknęła Jaina. - Nie cierpię, kiedy masz rację w takich sprawach, wujku, wiesz?

- Uwierz mi, ja też tego czasem nie cierpię - powiedział Luke.

- Więc kiedy wracamy, żeby wykopać Sithów z Coruscant i wyciągnąć mamę z więzienia?

- Jak tylko rozprawimy się ze Statkiem. Musimy skupiać całą uwagę kolejno na każdym z wrogów i eliminować ich jednego po drugim. Ostatnią rzeczą, jakiej nam trzeba, to żeby Abeloth przyszła Sithom z pomocą, kiedy ruszymy do ataku.

- Nie słyszałeś, jak mówiłam, że nie cierpię, kiedy masz rację?

Luke zachichotał.

- Nie będziemy zwlekać ani chwili, obiecuję. Myśl o Leii w więzieniu doskwiera mi tak samo jak twojemu ojcu. Więc lećmy na Upekzara, a potem wracajmy do domu.

- Wreszcie powiedziałaś coś, co mi się podoba - stwierdziła Jaina. - Robisz postępy.

## ROZDZIAŁ 28

### Na pokładzie „Sokoła Millenium”

- Nie to chciałem usłyszeć, Luke - powiedział Han. - Myślałem, że powiesz: „Zabieram swoich Jedi i lecimy wyciągnąć moją siostrę z więzienia”.

- Han, chciałbym tak powiedzieć, ale w tej chwili nie mogę - odparł Luke z wyrazem współczucia na holograficznej twarzy. - Wiem, że martwisz się o Leię. Ja też. Ale faktem jest, że nie grozi jej bezpośrednio niebezpieczeństwo, a ja muszę znaleźć i powstrzymać Sithów i Abeloth.

Porozmawiaj z Wynnem, on...

- Rozmawiałem z Wynnem! - krzyknął Han. Poczul, że dłonie zwijają mu się w pięści, i zmusił się, żeby je rozluźnić. - I z Padnelem. Obu jest bardzo przykro, ale nikt nie kiwnie palcem bez posiedzeń komisji, debat, wystąpień i formularzy wypełnionych w trzech egzemplarzach!

Luke rozłożył ręce w geście bezradności i frustracji.

- W takim razie musisz być cierpliwy. Jak myślisz, czego chciałaby od ciebie Leia? Ten rząd jest na razie zbyt słaby i niepewny. Po prostu bądź cierpliwy. Pozwól im działać własnym trybem. Znasz Dorvana. U niego wszystko musi być jak trzeba. A Padnel jest przyjacielem Leii.

- Wiem - mruknął Han. - Ale tego senatora Suldara nie znam i nie lubię, i to jemu chętnie bym rozwalil głowę.

- Rozumiem, co czujesz - zapewnił Luke. - Gdyby chodziło o Marę, też miałbym na to ochotę. Ale Leii nie grozi niebezpieczeństwo i na twoim miejscu chciałbym jak najszybciej zabrać Amelię w bezpieczne miejsce.

Han wzdrygnął się w duchu. Luke miał rację. Allana powinna być dla niego najważniejsza.

Siedziała teraz obok niego w fotelu drugiego pilota, wymachując nogami.

- O mnie się nie martwcie - powiedziała. - Nic mi nie będzie.

Co oczywiście podkreśliło konieczność zabrania jej z dala od Coruscant. Ci *sleemo* mogli wkrótce przyjść i po nią.

- Masz rację, Luke. Muszę zająć się moją córeczką.

Luke się uśmiechnął.

- Właściwa decyzja, Han. Powiadom mnie, gdzie będziecie, dobrze? I daj znać, jak tylko dowiesz się czegokolwiek na temat Leii.

- Zrobi się - obiecał Han i wcisnął wyłącznik. Za jego plecami rozległy się głosy Squibów, którzy do tej pory zachowywali ciszę pod groźbą ciężkich obrażeń fizycznych.

- Więc dokąd lecimy? - zapytała Emala.

- Lecimy z tobą, prawda? Bo Jag mówił, że mamy zostać przy tobie - przypomniał Grees.

- Dobrze, bo już mi się znudziło to siedzenie na statku przez cały dzień. Muszę rozprostować nogi! - powiedział Sligh.

- Tato? Chyba nie zostawimy mamy w więzieniu, co? - Allana popatrzyła na Hana z mieszaniną niepokoju i oburzenia. - Myślałam, że Solo nie uciekają przed walką.

- Nie uciekamy, skarbie - zapewnił Han. - Ale w pierwszej kolejności troszczymy się o bezpieczeństwo naszych dzieci. Wszyscy mają zapiąć pasy.

- Kapitanie Solo, chce pan wyruszyć natychmiast? - spytał z niedowierzaniem C-3PO. - Ale nie zamknęliśmy porządnie kryjówek ani nie sprawdziliśmy zapasów, ani... - R2 zaćwierkał z dezaprobatą. - Cicho bądź. Niektórzy z nas nie lubią zostawiać bałaganu, kiedy ruszają w drogę!

- Luke ma rację - stwierdził Han. - Musimy zabrać Amelię w bezpieczne miejsce.

- I nas też! - dodał Sligh. - Ruszajmy!

Tym razem Han wyjątkowo nie pozwolił, żeby ich szczebiotliwe, irytująco radosne głosy wyprowadziły go z równowagi. Był całkowicie skupiony na swojej misji, na którą składały się dwa zadania.

Pierwsze: zabrać Allaną w bezpieczne miejsce.

Drugie: wyciągnąć żonę z więzienia.

### **Przed kancelarią przywódcy Galaktycznego Sojuszu**

Han raczej nie należał do szczególnie cierpliwych ludzi. Brakowało mu cierpliwości zwłaszcza wtedy, kiedy zagrożone było bezpieczeństwo jego rodziny. Czuł jednak, że Leia byłaby z niego dumna, gdyby widziała, jak spokojnie stoi przed kancelarią przywódcy Galaktycznego Sojuszu, nikomu nie zwracając głowy, i czeka. Cierpliwie.

Oczywiście Leia zapewne nie pochwalałaby powodów, dla których tak cierpliwie czeka, ale to nie miało w tej chwili znaczenia.

Przez transpastalowe okna zobaczył, jak otwierają się drzwi gabinetu Dorvana. Wynn wyglądał na zmęczonego. Han potrafił to zrozumieć. Desha Lor spojrzała na niego i powiedziała coś, czego Han nie dosłyszał, po czym wskazała na zewnątrz, gdzie stał.

Uśmiechnął się i pomachał do nich.

Dorvan przybrał jeszcze bardziej zmęczony wyraz twarzy i skinął głową. Wziął aktówkę i ruszył w stronę drzwi.

- Witam ponownie, kapitanie Solo - powiedział. - Gdzie Amelia?

- Jest u znajomych - odparł Han. - Pomyślałem, że lepiej zabiorę ją z tego świata, zanim ci szurnięci członkowie senackiej podkomisji śledczej do spraw osób, które zajmują się swoimi sprawami, uznają, że ośmioletnie dziecko stanowi zagrożenie. - Zaprezentował pogodny i całkowicie sztuczny uśmiech.

- Rozumiem. Obawiam się, że jestem już spóźniony na...

- Odprowadzę cię. I tak nie mam nic lepszego do roboty. W końcu żona na mnie nie czeka.

Szli, rozmawiając.

- Kapitanie Solo, wie pan, że tymczasowy przywódca Sojuszu i ja jesteśmy przyjaciółmi Jedi Solo i bardzo żałujemy...

- Jeszcze nie. Jeszcze niczego nie żałujecie. Uwierz mi. - Wsiadli razem do windy. Kiedy zaczęła zjeżdżać w dół, Han nachylił się i wcisnął guzik z napisem „Stop”, po czym odwrócił się twarzą do Dorvana. - Wyciągnę swoją żonę z więzienia. Ona nie powinna się tam znaleźć i dobrze o tym wiesz. Nie zrobiła absolutnie nic złego i poświęciła całe życie ideałom Galaktycznego Sojuszu. Nie będę siedział z założonymi rękami i przyglądał się, jak robią jej to samo, co zrobili Tahiri. I albo mi pomożesz, albo uznam, że stoisz mi na drodze.

- Czy to groźba, kapitanie Solo? - Dorvan nawet nie mrugnął.

- Tylko jeśli mi nie pomożesz.

- Mógłbym kazać pana aresztować za pogroźki pod adresem urzędnika Galaktycznego Sojuszu.

- Ale tego nie zrobisz.

Dorvan przyglądał mu się uważnie. Jego wzrok nie był zimny, lecz przenikliwy i Han poznał, że Dorvan analizuje wszystko w myślach, rozważając różne opcje.

- Obawiam się, że nie będę mógł panu pomóc w ramach swoich oficjalnych uprawnień - powiedział w końcu.

Nie położył jakiegoś szczególnego nacisku na słowie „oficjalnych”, ale Han zrozumiał.

Powstrzymując się od triumfalnego uśmiechu, wcisnął ponownie guzik i turbowinda pojechała dalej.

- No cóż, musiałem spróbować. Wiesz o tym.

- Wiem. Dziękuję za zrozumienie. Ovin i ja zrobimy wszystko, co w naszej mocy... zgodnie z prawem, żeby uwolnić pańską żonę. Właśnie teraz wybiera się, żeby z nią porozmawiać.

Kapitanie Solo, naprawdę jestem już spóźniony na spotkanie, ale może zechce mi pan towarzyszyć?

Mam odwiedzić starego znajomego.

Cele więzienne Galaktycznego Sojuszu stanowiły wyraźny postęp w porównaniu z imperialnymi. Przede wszystkim nie było unoszącego się w powietrzu droida przesłuchującego. Ale ostatecznie cela była celą, a więzień więźniem i Leia pragnęła wydostać się z tej celi tak samo jak z tej pierwszej, kiedy miała dziewiętnaście lat.

Luke jak zwykle miał rację. Sithowie faktycznie przybyli na Coruscant, ale przylecieli znacznie szybciej albo byli tu dużo wcześniej, niż Luke się spodziewał. Nie przychodził jej do głowy żaden inny powód, dla którego Senat miałby działać tak, jak to zrobił - gwałtownie, perfidnie, nawet pochopnie w sytuacji, gdy Jedi już nie było. Komuś zależało, żeby każdy Jedi był

obserwowany, i ktoś chciał też jak najszybciej ograniczyć swobody obywatelskie.

Żałowała, że nie może powiedzieć o wszystkim Hanowi, ale rozumiała powody, którymi kierował się Luke. Wiedziała też, że Han zrozumie, kiedy już minie mu pierwsza złość. Leia nie czuła się zagrożona.

Na razie.

Usłyszała kroki w korytarzu i podniosła wzrok. Zrobiło jej się lżej na sercu, kiedy zobaczyła, kto to idzie.

- Padnel! - Leia poderwała się na równe nogi.

Pokryta bliznami twarz Padnela wykrzywiła się z gniewu, kiedy zobaczył kajdany na jej rękach i nogach.

- W tej chwili jej to zdejmij! - rozkazał strażnikowi, który mu towarzyszył.

- Ale to Jedi - odparł strażnik. - Podkomisja wyraźnie stwierdziła, że...

- Jestem przywódcą Galaktycznego Sojuszu i każę ci je zdjąć!

- Eee... nie jestem do tego upoważniony - tłumaczył strażnik. Leii nawet zrobiło się go żal. -



Prawo wymaga, żeby każdy przetrzymywany tu Jedi był tak skrępowany. Przykro mi. - I faktycznie było mu przykro; Leia to wyczuwała.

- To nic - powiedziała z łagodnym uśmiechem. - Bywałam już w gorszych miejscach.

Kajdany nie boją, Padnel.

Zmarszczył brwi jeszcze mocniej i dał znak strażnikowi, żeby zostawił ich samych.

- Dostałem polecenie...

- Czy prawo wymaga, żebyś tu został? - zagrział Padnel.

- No, nie, ale dostałem polecenie...

- A ja ci dam polecenie, żebyś zostawił mnie samego z Jedi Solo!

Strażnik skłonił głowę i czmychnął czym prędzej. Padnel westchnął i odwrócił się z powrotem w jej stronę.

- Leio, nie potrafię wyrazić, jak mi przykro z powodu tego wszystkiego - powiedział. -

Nawet nie wiedziałem, co się stało, dopóki nie zostałem o tym poinformowany dziś rano. Czy oni cię maltretują... w jakiś sposób?

- Nie, w żadnym wypadku - zapewniła go Leia. Naprawdę nie chciała, żeby ukarano jakieś przyzwoite istoty, które nie miały innego wyjścia, niż podporządkować się rozkazom. - Robią tylko to, co do nich należy. Wiem, że przyszedłeś najszybciej, jak mogłeś. Chyba nie muszę ci mówić, że zarzuty są całkowicie fałszywe.

- Oczywiście, że fałszywe! - warknął Padnel. - Ktoś popełnił straszny błąd. Gdybyśmy byli na Klatooine i coś takiego zdarzyło się wśród Panter, załatwiłbym sprawę w trzy minuty.

- No cóż, to jedna z wad naszego systemu prawnego - stwierdziła Leia z wymuszonym uśmiechem. - Ale, Padnel... nie sądzę, żeby to była pomyłka.

- Oczywiście, że jest!

Pokręciła głową.

- Pomyłka oznacza, że ktoś coś zrobił niechcący. Myślę, że moje aresztowanie to część czyjegoś planu. To wcale nie był błąd.

- Leio - powiedział Padnel - dobrze wiem, dlaczego zostałem wybrany. - W jego głosie brzmiała nuta niechęci do samego siebie. - Mówiłem o tym Wynnowi Dorvanowi. Ale wiem też, co się dzieje. Nic na ciebie nie znajdują, bo nie ma czegoś takiego. Popełnili błąd, chociaż nie taki, o jakim myślisz. Nie powinni byli wybrać marionetki, bo teraz będą musieli zwodzić nie tylko innych, ale także mnie. Nie

wiem, w co oni grają, ale wiem, że o coś im chodzi. Nie pozwolę, żeby to zaszło dalej, obiecuję. W najgorszym razie zawsze mogę cię ułaskawić. - Uśmiechnął się, odsłaniając ostre zęby. - Po prostu będę im przeszkadzał przez następne parę miesięcy, dopóki nie zostaną przeprowadzone właściwe wybory. Wtedy to wszystko stanie się problemem Dorvana. A on jest znacznie lepiej przygotowany ode mnie, żeby sobie z tym poradzić.

Leia nie mogła zaprzeczyć. Znała jednak Padnela dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że podjął już decyzję. Gdyby zaczęła teraz mówić o Sithach i spiskach, nawet by jej nie słuchał.

Sithowie zaczną stopniowo tłumić swobody i aresztować niewinne osoby - i pomimo zapewnień Padnela, jeśli będą chcieli jej śmierci, to znajdą sposób, żeby ją zabić.

Uśmiechnęła się do niego łagodnie. Jesteśmy, kim jesteśmy, pomyślała. Od niego oczekuje się więcej niż od innych. Mogę mieć tylko nadzieję, że otworzą mu się oczy, zanim dojdzie do najgorszego, i że Dorvan będzie w stanie coś zrobić.

- Wynn Dorvan to wspinały człowiek - stwierdziła. - Możesz na nim polegać. - W

korytarzu znów rozległy się kroki i ciche postukiwanie. Było już po godzinach odwiedzin i Leia zastanawiała się, kto to może być. - Dziękuję, że wpadłeś.

- Odwagi, przyjaciółko - powiedział Padnel. - Wkrótce będzie po wszystkim. - Zerknął na korytarz i uniósł brwi. - Wygląda na to, że masz... dość dziwnie ubranego gościa.

- Dobry wieczór, panie Ovin! - odezwał się znajomy, ochryply głos.

Serce Leii podskoczyło z radości.

- Eramuth! - Teraz już go widziała i zrozumiała, że stukanie powodowała jego elegancka laska; towarzyszył mu ten sam smutno wyglądający strażnik, który przyprowadził wcześniej Padnela. Bothanin niósł swoją dobrze znaną czarną torbę, a pod pachą trzymał kapelusz. - Padnel, to Eramuth Bwua'tu. Jest świetnym prawnikiem, a oprócz tego stryjem admirała Neka Bwua'tu.

Padnel wyciągnął rękę. Eramuth uścisnął ją swoją urękawiczoną dłonią.

- Domyślam się, że ma pan reprezentować Jedi Solo - powiedział Padnel. - Strata czasu.

Zarzuty zostaną wycofane. Ona nie zrobiła nic złego.

- Och, wiem, że nie. Ale proszę mi wierzyć: czas spędzony w towarzystwie tak wybitnej i uroczej osoby jak Jedi Solo nigdy nie jest czasem straconym - odparł Eramuth. - A poza tym... -

spowaźniał nieco - ...dobrze mi robi, jak odejdę czasem od łóżka mojego bratanka.

- Przykro mi, że admirał wciąż... eee... - Padnel szukał jakichś taktownych słów, ale w końcu się poddał. - Że mu się nie poprawia.

- Dziękuję - powiedział Eramuth. - Bardzo pan miły. Staramy się nie tracić nadziei, ale... -

Zawiesił głos.

- Zostawię pana z pańską klientką - oznajmił Padnel, wyraźnie skrepowany. - Leio, wszystko się ułoży. Zobaczysz. - Pokiwała głową i rzuciła Klatooinianinowi uśmiech, który miał

mu dodać otuchy.

- Chwileczkę, wyprowadzę pana. Zechce się pani odsunąć.

Leia wykonała polecenie i strażnik wprowadził kod, wyłączając pole siłowe jej celi.

Eramuth skinął głową w stronę strażnika i wszedł do środka. Położył swoją czarną torbę i kapelusz na stoliku.

- Może pan zostać tak długo, jak pan chce - poinformował go strażnik. - Kiedy skończy pan rozmawiać z wię... eee, z Jedi Solo, proszę tylko wcisnąć guzik przy drzwiach.

- Dziękuję, młodzieńcze - odparł Eramuth. - Znane są mi zasady panujące w tym przybytku.

Gdy tylko Padnel ze strażnikiem się oddalili, Leia odwróciła się w stronę Eramutha.

- Miło cię widzieć - powiedziała.

- Ciebie również, moja droga, chociaż niekoniecznie w takich okolicznościach - odparł

Eramuth. - Usiądź, proszę. - Kiedy to zrobiła, on także zajął miejsce, zdjął rękawiczki, wrzucił je do kapelusza i otworzył swoją torbę. - Pierwsza sprawa na mojej liście: przekazać następującą wiadomość od twojego męża. Cytuję: „Już raz wyciągnąłem księżniczkę z więzienia, kiedy byłem znacznie młodszy. Zrobię to jeszcze raz, jeśli będę musiał. Ale tym razem oczekuję lepszej nagrody”.

Leia zaczęła się śmiać. Śmiech wydawał się nieco histeryczny, ale wesołość była autentyczna - lekka, oczyszczająca, uzdrawiająca.

- To był cytat? - spytała, opanowując atak śmiechu.

Eramuth wyszczerzył wesoło zęby.

- No cóż, musiałem usunąć parę, eee... niewybrednych określeń co do tego, gdzie podkomisja może wsadzić głowę - przyznał. - Ale tak, to była najważniejsza część.

- Rzeczywiście - zgodziła się Leia. Przetarła oczy i wzięła głęboki oddech dla uspokojenia. -

Dziękuję.

- A teraz przejdźmy do twojej kłopotliwej sytuacji - powiedział Eramuth. - Prokuratura ma trzy dni

na przedstawienie dowodów, autentycznych dowodów, dopuszczalnych w sądzie, dodajmy; w przeciwnym razie zarzuty zostaną oddalone.

- Nie będzie żadnych dowodów, bo zarzuty są niedorzeczne - stwierdziła Leia. Ku jej zaskoczeniu Eramuth przybrał poważną minę.

- Oczywiście, że tak. I w tym problem - odparł. - To w istocie oznacza, że mamy trzy dni, żeby albo cię stąd wyciągnąć, albo zdemaskować spisek.

- A więc... ty też sądzisz, że jest spisek?

- Och, moja droga, są nawet dwa - oznajmił Eramuth. - Staramy się je rozpracować, ale jeszcze długa droga przed nami. Czy miałabyś ochotę przystąpić do pewnego bardzo elitarnego klubu?

## **ROZDZIAŁ 29**

### **Świątynia Jedi, Coruscant**

- Jest za duża - mruknęła Miecz Sithów Taneka Shirru. - Ta Świątynia. Co za marnotrawstwo.

- Jest bardzo stara - odparował jej towarzysz, Miecz Mor Akrav. - Mieli setki lat na dodawanie kolejnych skrzydeł. Faktycznie jest ogromna.

Mor, Taneka, Jashvi i Rulin przemierzali właśnie labirynt tuneli, które, jak mogłoby się wydawać, ciągnęły się kilometrami pod zbyt dużą Świątynią. Lord Vol miał przybyć na Coruscant, kiedy nadejdzie odpowiedni moment, więc Arcylord Workan chciał przygotować szczegółowy plan Świątyni, żeby wręczyć go ich Wielkiemu Lordowi jako prezent. Nie po raz pierwszy Shirru żałowała, że Jedi nie pozostawili po prostu takich użytecznych informacji na miejscu. Przebiegli Jedi chronili jednak swoją cenną wiedzę.

Podobnie zresztą jak Sithowie, przyznała niechętnie Shirru.

Jedi od dawna planowali wyprawdzkę, zabrali więc ze sobą najcenniejsze dokumenty, przedmioty i flimsiplast. Bez wątplenia zrobili zapasowe kopie ważnych danych i także je zabrali.

To zaś, co musieli zostawić, okazało się naprawdę dobrze zabezpieczone. Zapomniane Plemię było znacząco zapóźnione technologicznie. Każdy Jedi był obowiązkowo zaznajomiony z komputerami i systemami przechowywania danych w ich Świątyni, Sithowie jednak dopiero trzy lata temu zaczęli gonić resztę galaktyki. Zaledwie kilku Sithów poświęciło się tej nauce, ale kiedy spróbowali odzyskać dane, uruchomili zabezpieczającego wirusa, który rozprzestrzenił się po całym systemie, wymazując informacje.

Sithowie gorączkowo próbowali naprawić szkody lub przynajmniej nie dopuścić do dalszych zniszczeń. Udało im się zahamować cały proces, nikt jednak nie chciał się podjąć próby odzyskania danych do czasu, aż Sithowie zapewnią sobie mocną pozycję na tym nowym świecie i wszyscy ich eksperci, ludzie i Keshiri, będą mieli szansę, żeby zbadać system.

To była jeszcze jedna niedogodność, z którą zmagali się Shirru i inni w Świątyni. Sithowie rasy ludzkiej występowali publicznie, odgrywając role nowych senatorów i ich asystentów, pracując w nowej holostacji BAMR czy też pełniąc rozmaite inne funkcje. Keshiri natomiast musieli się ukrywać, bo zwracaliby na siebie uwagę swoim wyglądem. Dlatego też wszyscy ci, którym polecono pozostać w Świątyni i zająć się opracowaniem jej planów, należeli do tej właśnie rasy. Shirru rozumiała powody takiej decyzji, jednak nie podobało jej się to. Przywodziło na myśl dawne czasy, kiedy Sithowie rasy ludzkiej byli uważani za lepszych od Keshirich, i Shirru z utęsknieniem czekała na przybycie Wielkiego Mistrza, żeby móc zająć należne jej miejsce u boku ludzkich członków Zapomnianego Plemienia.

Arcylord Vantsuri Shia, któremu powierzono dowództwo nad Sithami rasy Keshiri, od razu zajął pokój, który dawniej należał do Wielkiego Mistrza Luke'a Skywalkera. Pozostali Sithowie również nie mieli problemów ze znalezieniem dla siebie miejsca.

- Własne pokoje - prychnęła Shirru, kiedy to zobaczyła. - Uczniowie Sithów dzielą jedną dużą salę. Nic dziwnego, że Jedi są do niczego, skoro od dziecka tak się ich rozpieszczą.

Pomimo braku informacji na temat Świątyni zdołano już sporządzić plan niemałej jej części.

I chociaż budowla okazała się interesująca i złożona, według Shirru i tak była za duża, więc uwaga Mora co do przyczyn takiego stanu rzeczy tylko ją rozdrażniła.

- Owszem, Jedi mieli mnóstwo czasu na jej zbudowanie i dlatego zafundowali nam taką stratę czasu - powiedziała Taneka. Keshiri była wściekła, że przydzielono jej zadanie, według niej znacznie poniżej jej możliwości, tylko dlatego, że nie była człowiekiem, i nie starała się tego ukryć.

Jej obecność w Mocy, mowa ciała i zjadliwy ton głosu nie pozostawiały wątpliwości. - To niepotrzebne. I niehigieniczne - dodała, gdy weszła z chlupotem w cuchnące błoto.

- Wszystko, co mamy zrobić, jest potrzebne - odparł Mor. Rosły Keshiri, mierzący ponad dwa metry wzrostu, najwyraźniej nie miał nic przeciwko włożeniu w śmierdzący szlam i garbieniu się przy pokonywaniu ciasnych tuneli, które zmuszały ich do podążania jedno za drugim. Jego odpowiedź była oczywiście właściwa, a pozostali bacznie przysłuchiwali się rozmowie. Taneka przeklęła się w duchu.

- Oczywiście, Mieczu Akrav - powiedziała. - Źle się wyraziłam. Uważam po prostu, że nasze połączone zdolności mogłyby zostać wykorzystane w sposób, który dałby szybsze i bardziej wymierne efekty. Osobiście będę optować za tym... o ile nie natrafimy na coś naprawdę nadzwyczajnego... żeby całe te podziemia zamknąć.

- No cóż - odparł Mor z irytującą życzliwością - byłby to niezwykle pożyteczny wniosek, a wówczas ta eksploracja przydałaby się do jego wysunięcia.

Za ich plecami rozległ się stłumiony chichot. Taneka zatrzymała się i poświeciła prętem jarzeniowym na Jashwiego i Rulina, którzy wyglądali tak, jakby nigdy w życiu się nie śmiali.

Spiorunowała ich wzrokiem i znów ruszyła naprzód.

- Nawet jeśli Świątynia jest duża - ciągnął Mor - wkrótce będzie tu wystarczająco dużo Sithów, żeby ją zapełnić. Pomyśl, jaki zadowolony będzie Arcylord Yur, mogąc szkolić nowych uczniów w takim miejscu. Pomyśl też o tym, czego się dowiemy, kiedy zyskamy pełny dostęp do Archiwów Jedi. Pomyśl...

- ...o tym, co ci zrobię, jeśli nie będziesz siedział cicho - warknęła Taneka. - Twoja paplanina staje się męcząca.

- Nie mów, że boisz się ciasnych pomieszczeń albo śmierdzących tuneli - powiedział Mor.

Taneka stanęła nagle, bez żadnego ostrzeżenia, i Mor wpadł na nią.

- Co... - zaczął.

Uciszyła go kuksańcem. Tamten dźwięk rozległ się ponownie. Coś jakby... szuranie, jakby szło coś bardzo dużego i bardzo szybkiego.

- Może Jedi mieli strażników - odezwał się bardzo cicho Mor. - Tak jak starożytni Sithowie, którzy w swoich świątyniach hodowali tuk'ata i inne stworzenia.

Taneka pokiwała powoli głową.

- Być może - zgodziła się. Starła się mówić jak najmniej. Wolą nasłuchiwać. - Weźmy broń.

Usłyszała szelest szat, gdy czwórka Sithów sięgnęła po małe ręczne blastery. Wszyscy oni woleli miecze świetlne, rozumieli jednak, że czasami blastery są bardziej praktyczne. Taneka ani przez chwilę nie przypuszczała, że Jedi mogliby mieć strażników Świątyni - z całą pewnością nie

„tak jak Sithowie”. Strażnicy grobowców i świątyni Sithów to były stworzenia przesiąknięte energią Ciemnej Strony, hodowane nie tyle do obrony, co żeby rozszarpać na strzępy tych, którzy zbezczeszczą te święte miejsca. Nie wyobrażała sobie, żeby Jedi mogli chcieć wyrządzić komuś taką krzywdę. Wirus usuwający informacje, żeby nie dostały się w niepowołane ręce? Jak najbardziej. Hodowanie demonicznych obrońców? Nie.

A zatem musiało to być coś innego. Coś, czego nie chcieli tutaj ani Sithowie, ani Jedi.

Ruszyła ostrożnie naprzód z blasterem w jednej ręce i prętem jarzeniowym w drugiej.

Słyszała teraz jedynie własny oddech i chlupot zgnilizny pod stopami.

Skrobanie. Łomot. Szmer.

A potem znów cisza.

Taneka włączyła komunikator.

- Miecz Taneka Shirru do Arcylorda Shii. Jesteśmy w dolnej północno-zachodniej części Świątyni. Natrafiliśmy najprawdopodobniej na jakąś formę życia. Nie nawiązaliśmy na razie kontaktu wzrokowego, ale zdecydowanie coś słyszeliśmy. Wyeliminujemy to i zabierzemy ciało do zbadania. Ostrzeż pozostałe zespoły.

- Zrozumiałem, Shirru. Jak już będzie po wszystkim, zawiesimy głowę na kolumnie w holu.

Taneka się uśmiechnęła.

- Tak zrobimy.

- Nigdy nie byłem zwolennikiem wywieszania głów jako trofeów. Zawsze wydawało mi się to prymitywne. Może zamiast tego zrobimy płaszcz z jego filtra - zaproponował Mor.

- Nie wiemy, czy to coś ma futro - zauważyła Taneka.

- Nie wiemy też, czy ma głowę - odparował Mor.

Zazwyczaj nadmiernie pogodna arogancja Mora mocno ją drażniła, teraz jednak Taneka była za nią wdzięczna. Poczula, jak napięcie wśród członków grupy nieco opada, a potem wyczuła, że są bardziej skupieni, jakby wykonywali zwykłe zadanie. Dobrze.

Znów dobiegł ten sam odgłos.

- Przed nami - stwierdziła Taneka.

- Nie, chyba za na... - Ostatnie słowo Jashviego przeszło w głośny, nagle urwany krzyk.

Taneka odwróciła się gwałtownie. Za nią było teraz tylko dwóch Sithów, a miedziana woń krwi dołączyła do smrodu panującego w tunelu. Jashvi zniknął.

Mor i Rulin zaczęli strzelać w mrok.

- Wstrzymać ogień! - wrzasnęła Taneka, przekrzykując huk blasterów. Zdała sobie sprawę, co może się stać, ale o ułamek sekundy za późno. Rozległ się łoskot metalu o kamienie i plusk.

Taneka zaklęła głośno po keshirsku.

- Durnie! - zawołała. - Zablokowaliście przejście! Widzieliście chociaż, do czego strzelacie?

- Wyczuła w Mocy ich wstyd. Warknęła i uderzyła mocno Mora w twarz. - Jesteście Mieczami Sithów! A spanikowaliście jak spłoszony uvak! Teraz nie możemy wrócić tą samą drogą. Możemy tylko iść naprzód i mieć nadzieję, że znajdziemy jakieś wyjście.

- Przepraszam, Mieczu Shirru - powiedział Mor. - To się więcej nie powtórzy.

- Jeśli się powtórzy, już nie będziesz musiał przeproszać, bo użyję blastera przeciwko tobie -

wypaliła Taneka. Wcisnęła Morowi w ręce datapad zawierający fragmentaryczne plany Świątyni. -

Idziemy dalej. Przyjrzyj się skrzyżowaniom, które są przed nami, i sprawdź, czy możemy gdzieś zawrócić.

Mor pokiwał głową.

- Oczywiście...

Zerknął jej przez ramię i otworzył szeroko oczy. Taneka odwróciła się, unosząc broń do strzału, ale wiedziała, że jest już za późno. Ostatnią myślą, jaka przyszła jej do głowy, kiedy spadło na nią stworzenie składające się z zębów i smrodu padliny, było, że jeśli faktycznie Sithowie będą mieli jakieś zwłoki do zbadania, to ich.

**Biuro senatora Kameron Suldara, budynek Senatu, Coruscant** Arcylord Ivaar Workan, znany ostatnio jako Kameron Suldar, nie był w najlepszym nastroju. Najpierw nadeszła wiadomość o czwórce Sithów, którzy zaginęli w tunelach pod Świątynią Jedi po natrafieniu na „jakąś formę życia”. Wysłany po nich oddział również zniknął, nie podając żadnych konkretniejszych informacji. Zirytowany Workan zasugerował, że może zaginieni Sithowie zabłądzili i wymyślili tę żalną wymówkę, żeby usprawiedliwić swoje spóźnienie.

- Albo tak było - powiedział protekcyjnie do Arcylorda Shii, za którym nigdy specjalnie nie przepadał - albo opili się napojów Jedi i mają halucynacje.

A teraz jeszcze to. Wiedział, że Roki Kem ma przybyć dzisiaj, ale nie spodziewał się, że cały Senat będzie nią oczarowany. Tłumy zaczęły gromadzić się przed gmachem Senatu jeszcze przed świtem, a niebieskie płaszcze senackiej służby bezpieczeństwa były wszędzie. Dojście do własnego biura zajęło mu prawie piętnaście minut, a teraz siedział przy swoim dużym szklanym biurku, próbując ochłonać. Jeśli kiedykolwiek potrzebował spokoju, to właśnie dzisiaj.

Przez chwilę cieszył oko wystrojem gabinetu, błędząc wzrokiem po pięknych szklanych rzeźbach, które przywiózł ze sobą z ojczystej Kesh. Rzeźby były umieszczone w gablotach - na widoku, ale chronione. Patrząc na stylizowane wyobrażenia szalejącej burzy, poczuł ogarniający go spokój.

Ostatecznie co z tego, że ośmioro Sithów zaginęło w labiryncie, jaki tworzyły podziemia Świątyni? Albo się znajdują, albo nie. Co z tego, że Roki Kem, nowa senator z Qarasa, zyskała taką popularność, zanim jeszcze wylądowała na Coruscant? Niech dziennikarze się za nią uganiają, jeśli mają na to ochotę; sam nawet postanowił zadbać o to, żeby BAMR nadał jakiś atrakcyjny materiał

na ten temat. To pomoże odwrócić uwagę społeczeństwa od tego, co się naprawdę dzieje.

Wszyscy służyli Sithom, dobrowolnie czy mimo woli, a nawet nieświadomie.

Pukanie do drzwi oderwało go od przyjemnych rozważań o tym, jak będzie wyglądać Coruscant pod jawnymi rządami Sithów.

- Wejść - zawołał Workan.



Jego „asystentka”, Lady Enara Massar, otworzyła drzwi z drewna wurl. Elegancka i rudowłosa Lady Enara miała na sobie szytą na miarę tunikę, która - choć bardzo profesjonalna i konserwatywna - w niczym nie umniejszała jej olśniewającej urody. Zazwyczaj spokojna i idealnie ufryzowana, teraz wydawała się wzburzona i wyglądała niemal niechlujnie.

- Arcylordzie - powiedziała - mam złą wiadomość.

- Nie mów. Senator Rokari Kem przyleciała - warknął Workan.

- Nie, znacznie gorzej. Senator Bramsin nie żyje, a senator Treen złożyła rezygnację.

- Co takiego? - wybuchnął, zrywając się na równe nogi i wyładowując całą swoją wściekłość na Enarze.

- Właśnie docierają szczegółowe informacje - oznajmiła asystentka. - Wszystkie media o tym trąbią.

- No to niech przestaną!

- To... może nie być takie proste. Możemy zadbać o to, żeby BAMR przedstawił to tak, jak chcemy, ale na razie musimy po prostu postarać się zapanować nad przeciekami.

Potańczał oczami.

- Co wiemy?

- Bramsin został znaleziony około piątej rano. Wygląda to na zgon z przyczyn naturalnych.

Droid, który znalazł ciało, zeznał, że wcześniej Bramsina odwiedziła senator Treen i siedzieli do późna, pijąc i rozmawiając.

W głowie Workana zalęgła się straszna myśl.

- Mów dalej.

- Treen wydała oświadczenie dla prasy. Powiedziała, że łączyła ją z Fostem długoletnia przyjaźń i że jego strata jest dla niej zbyt wielkim ciosem. Oświadczyła, że nadeszła pora, żeby wycofała się z polityki, a więc rezygnuje ze stanowiska i wraca na Kuata.

- Nie, nie wraca. Znajdź ją i natychmiast sprowadź tutaj.

Lady Enara usiłowała nie okazywać, że chciałaby się znaleźć gdzieś indziej.

- Arcylordzie, wyleciała jakąś godzinę temu.

Workan zaklął po keshirsku, rozwlekł i melodyjnie. Nie miał wątpliwości, co się stało. Ta wiedźma Treen postanowiła zminimalizować straty, zanim będzie za późno. Sprytnie z jej strony, musiał to przyznać. Zabić Bramsina, upozorować naturalną śmierć - „Fost Bramsin umarł spokojnie we śnie” -

a potem zaszyć się na Kuacie i przeżyć tam spokojnie resztę życia. Miał ochotę polecieć za nią i przywlec ją z powrotem na Coruscant, żeby pokazać, jak Sithowie traktują fałszywych przyjaciół, jednak nie mógł teraz poświęcać na to czasu ani sił. Może później, kiedy sytuacja się ustabilizuje, zajmie się tym osobiście.

Przynajmniej oszczędziła mu trudu wyeliminowania Bramsina.

- Wyznacz Miecze do obserwacji admirała Parovy oraz generałów Jaxtona i Thaala -

rozkazał. - Bez przerwy. Jeśli pójdą do restauracji, mają ich śledzić. Chcę wiedzieć, co jedli i który kucharz to przygotował. Jak pójdą do odświeżacza, chcę wiedzieć, czy umyli ręce. Czy wyrażam się jasno?

- Najzupełniej. - Stała na baczność, z wyraźną ulgą, że tak łagodnie ją potraktował. - Mają działać czy tylko meldować?

- Na razie tylko meldować o ich poczynaniach - powiedział Workan. Nie był gotów, by kazać ich zabić. Jeszcze nie. Chciał się dowiedzieć, czy Treen działała na własną rękę, czy też cały spisek został zdemaskowany. - I dowiedz się, co się dzieje z moffem Lecersenem. Nie odzywa się od wielu dni.

- Tak jest. Coś jeszcze?

- Tak - odparł. - Dowiedz się, jaki jest ulubiony drink Roki Kem, i dopilnuj, żeby był podany w odpowiedniej temperaturze.

- Eee... Roki Kem nie pije alkoholu.

Oczywiście. Workan zastanawiał się, co jeszcze może tego dnia pójść nie tak.

## **ROZDZIAŁ 30**

## Hol budynku Senatu, Coruscant

- Co za luksus - szepnął Padnel Ovin, wchodząc razem z Wynnem Dorvanem do holu Senatu. - Ile kredytów wydano na samo zabezpieczenie terenu? A ile najedzenie i picie?

- No cóż, mogę dowiedzieć się o dokładne kwoty, jeśli pan sobie życzy, ale według mnie możemy uznać, że całkiem sporo - odparł Dorvan.

- Chciałbym poznać dokładne kwoty - powiedział Padnel. - I to wszystko dla jednego senatora?

- Teoretycznie jest to ceremonia powitalna dla wszystkich senatorów, ponieważ przylatywali w różnych terminach - wyjaśnił Dorvan. - Roki Kem należy jednak do najbardziej szanowanych. - Wprawdzie fakt, że Kem odkładała swój przylot do czasu, aż sytuacja na Qarasie się ustabilizuje, był godny pochwały, jednak Dorvan odetchnął z ulgą, gdy nowa senator w końcu przybyła. Inteligentna, współczująca, dalekowzroczna - Roki Kem powinna stać się ich sojusznikiem w walce z rosnącą nietolerancją, która przenikała do kręgów władzy. Członkowie Klubu Bwua'tu zastanawiali się już nie nad tym, czy chcą ją włączyć do swojego grona, ale jak i kiedy. - Myślę, że uzna ją pan za kogoś, z kim można współpracować - dodał. Padnel otrząsnął się z zamyślenia. Spojrzał przenikliwie na Dorvana, po czym pokiwał głową.

- Mam nadzieję, że masz rację - odparł. Chociaż Padnel, podobnie jak Dorvan, nie należał

do osób, które lubią się popisywać, ich przybycie zostało zauważone i teraz różne istoty zaczynały do nich podchodzić. Dorvan został nieco z tyłu, pozwalając, żeby tymczasowy przywódca Galaktycznego Sojuszu szedł przed nim. Chwycił po drodze kieliszek gazowanego soku z owoców blum i sączył go, omiatając wzrokiem pomieszczenie.

W jednym rogu Kameron Suldar perorował przed urzeczonymi słuchaczami, czyli członkami jego podkomisji i kilkoma innymi nowymi senatorami. Jego donośny śmiech przebijał

się przez szum rozmów; Dorvan pokręcił lekko głową. Gdzie indziej Wuul i jego sprzymierzeńcy prowadzili przyjemną pogawędkę; wyglądali na zupełnie zrelaksowanych. Dookoła ustawiły się inne pary i trójki złożone z przedstawicieli niemal wszystkich planet Sojuszu.

Dorvan usłyszał za plecami pełen szacunku gwar i domyślił się, że przybyła Roki Kem.

Odwrócił się.

Wysoka, ale drobnej budowy, na żywo była jeszcze bardziej olśniewająca i sympatyczna.

Holokamery nie oddawały w pełni odcienia jej błękitnej skóry ani połysku niebieskozielonych włosów, ozdobionych wstążkami we wszystkich kolorach. Roki poruszała się z płynną gracją, która Dorvanowi przywodziła na myśl tancerkę, a jej twarz rozjaśnił uśmiech, kiedy witała tych, którzy -

co niezwykle dla wytrawnych polityków - stłoczyli się wokół, łaknąc jej uwagi.

- Proszę, proszę - powiedziała melodyjnym głosem. - Bardzo dziękuję za takie przywitanie.

To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że tu jestem, ale przecież jesteśmy wszyscy równi! O to w końcu walczyłam dla swojego ludu. - Jej twarz pociemniała nieco od krwi, która napłynęła do policzków.

Schyliła głowę prawie nieśmiało, ściskając wyciągnięte ku niej dłonie.

Jej oczy, duże, zielone i błyszczące, skierowały się ku Dorvanowi, a uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Wybaczcie mi, proszę, na chwilę - powiedziała, przeciskając się w jego stronę przez tłum.

- Wynn Dorvan! Jak miło w końcu pana poznać!

Był nieco zaskoczony takim wyróżnieniem, ale uściśnął obie dłonie, które ku niemu wyciągnęła.

- Senator Rokari Kem - odparł. - Dała się pani zapamiętać podczas niedawnego rozpatrywania nominacji jako najpowszechniej akceptowana kandydatka na senatora.

Uśmiechnęła się do niego promiennie, tak jakby powiedział jej, że jest najpiękniejszą, najmądrzejszą i najcudowniejszą istotą w całym wszechświecie.

- Tak się cieszę! - zawołała. - To zaszczyt móc służyć mojemu ludowi w tej nowej roli.

Przystąpienie do Galaktycznego Sojuszu było wielkim marzeniem dla mojego świata. Jestem wdzięczna za możliwość jego spełnienia.

Dorvan skłonił głowę.

- Bardzo nam to pani ułatwiła. Gdybyż wszystkie decyzje były równie przyjemne! Pozwoli pani, że przedstawię jej naszego tymczasowego przywódcę, Padnela Ovina. On także pochodzi z uciskanej do niedawna rasy. Myślę, że świetnie się będziecie rozumieli.

Arcylord Ivaar Workan patrzył, jak Roki Kem wchodzi energicznym krokiem do sali. Była niewątpliwie czarująca i charyzmatyczna. Bez wątpienia też cała jej przeszłość świadczyła o głęboko zakorzenionej miłości do własnego ludu, a także szlachetności, jaką z reguły widywało się tylko w holofilmach. A kiedy zobaczył, jak wiele istot wpatruje się w nią, podchodzi blisko lub w jakiś inny sposób okazuje radość z jej przybycia, zdał sobie sprawę, że ten chwast w ogrodzie Sithów musi zostać wyrwany, zanim zapuści korzenie.

Powinno mu to sprawić przyjemność. Czy będzie miał okazję ją zabić? Czy ma ją przestraszyć i wyszydzić, zanim odbierze jej życie? A może przyjemniej będzie powoli ją dyskredytować i obserwować jej cierpienie, gdy zakochane w niej dotąd społeczeństwo zacznie nią pogardzać? Raczej to drugie. Workan nie lubił zwłok; były kłopotliwe i przyciągały uwagę.

Obmyślał właśnie kilka sfingowanych skandali, za pomocą których można by oczernić uroczą Roki Kem, kiedy zauważył, że pani senator zmierza w jego kierunku. Uśmiechnął się ciepło.

Z trudem pohamował dreszcz, gdy zacisnął rękę na jej trójpalczastej dłoni. Nagle przestała mu się wydawać taka urocza.

Ale z pewnością jej uśmiech był urzekający.

- Senator Kameron Suldar, jak sądzę? - przywitała go.

- We własnej osobie. A pani, jak wszyscy tutaj wiedzą, jest tą sławną Roki Kem.

Schyliła lekko głowę.

- Wolałabym być po prostu senatorem. Zapewniam pana, że jestem sławna tylko dlatego, że los wybrał mnie na wyzwolicielkę mojego ludu. Nie pragnęłam tego.

I nagle Suldar uzmysłowił sobie, nie wiadomo w jaki sposób, że to było kłamstwo. Ale jej rodacy nie kłamali, jeśli dobrze pamiętał. Zbyt dużą wagę przywiązywali do mocy słów.

Wpatrując się w jej zielone oczy, dostrzegł coś, co wszyscy inni musieli przegapić.

Zauważył chłód, wyrachowanie. Uśmiechnęła się szerzej.

- Czy mogę zamienić z panem słówko? Tak wiele pan osiągnął w tak krótkim czasie. Myślę, że mogłabym się od pana wiele nauczyć.

- Naturalnie - odparł i skinął głową w kierunku swoich kompanów. Odsunęli się na bezpieczną odległość, zostawiając ich na osobności. Przepisy zabraniały użycia jakichkolwiek urządzeń rejestrujących w tym pomieszczeniu, a Workan wiedział, że są one przestrzegane. Sam został przeszukany z nieprzyzwoitą niemal dokładnością w celu sprawdzenia, czy nie ma przy sobie takich urządzeń. Cokolwiek Roki miała mu do powiedzenia, wiedział, że jest to przeznaczone wyłącznie dla jego uszu. W dalszym ciągu uśmiechał się życzliwie. - Jak mógłbym pani pomóc, pani senator?

- Nie wchodząc mi w drogę - padła niespodziewana odpowiedź. Ona także cały czas miała na twarzy uśmiech, ale jej spojrzenie było twarde jak kamień.

Cmoknął cicho z dezaprobatą.

- To zdecydowanie nie brzmiało jak słowa Rokari Kem, którą galaktyka zna i kocha.

- Ona nie istnieje - oznajmiła Kem. - Z pewnością wie pan coś niecoś na temat sfabrykowanych osobowości.

Co chciała przez to powiedzieć? Czy to jedynie aluzja do obłudnej natury polityków? Czy może coś więcej? Co właściwie ona wiedziała?

- Ależ oczywiście, że wiem - powiedział. - Trudno bez tego zostać wybranym. - Zachichotał

i wypił łyk swojego drinka.

- Trudno też osiągnąć inne cele. - Stuknęła się z nim figlarnie kieliszkiem. Gdyby ktoś ich obserwował, zobaczyłby jedynie dwie istoty prowadzące miłą rozmowę.

- Na przykład jakie? - zapytał Workan.

- Nie wchodź mi w drogę - odparła Roki - to może przeżyjesz dostatecznie długo, żeby się przekonać.

- Chyba za dużo się pani naoglądała holofilmów - zganiał ją Workan. - Pani poza i groźby są zbyt prymitywne, pani senator.

- To nie jest poza ani groźby - powiedziała, a w jej głosie był chłód, który nawet jego, Arcylorda Sithów, przyprawił o dreszcz. - Wiem więcej, niż sądzisz. Mam większą władzę i większe wpływy, niż ci się zdaje. Cóż, możesz mnie dalej lekceważyć i wymachiwać mieczykiem.

To mi tylko ułatwi zadanie.

Uśmiechnęła się i skinęła uprzejmie głową, po czym ruszyła w kierunku kolejnej grupy senatorów, prezentując czarujący uśmiech i promieniując dobrocią.

Workan opróżnił kieliszek i gestem poprosił droida służącego o dolewkę. „Wymachiwać mieczykiem”? Wiedział, że to lekceważące określenie używane w stosunku do kogoś, kto głośno deklarował gotowość do walki. Ale czy oznaczało to również, że Roki Kem wie, kim on jest?

Czy wiedziała o Zapomnianym Plemieniu?

Była to bardzo nieprzyjemna myśl. Wyglądało na to, że będzie musiał coś zrobić z tą uroczą, inteligentną i - musiał to przyznać - fałszywą kobietą, i to szybciej niż się spodziewał.

Trzy godziny później Workan wrócił do swojego apartamentu, rozpiął tunikę i rzucił ją na fotel. Ten dzień był jednym wielkim pasmem katastrof i nie cieszył się też na myśl o tym, co miał

zrobić teraz. Rozważał odłożenie tego na później. Roki Kem niewątpliwie udowodniła dzisiaj, że jej wizerunek dobrotliwej, łagodnej istoty był tak samo fałszywy jak odgrywana przez niego rola senatora. Mógł to wykorzystać przeciwko niej.

Ale jeśli wiedziała, że Sithowie są na Coruscant...

Niemożliwe. Gdyby coś się stało, a jego Mistrz by się dowiedział, że Workan go nie ostrzegł, to Workan nie zdążyłby nawet otworzyć ust, żeby przeprosić. Trzeba to było zrobić natychmiast.

Poszedł do pokoju, który służył mu jednocześnie za gabinet i salę do medytacji. Tutaj też znajdowały się szklane rzeźby, te jego najbardziej ulubione. Po jednej stronie pokoju, przed pojedynczą świecą, była rozłożona mata, po drugiej stało biurko z holoprojektorem. Workan rzucił

tęskne spojrzenie w kierunku maty. Kiedy skończy rozmawiać, niewątpliwie przyda mu się długa sesja medytacyjna.

Wstukał kod. Nad projektorem pojawił się obraz starszego mężczyzny, siedzącego na wspaniałym tronie z laską na kolanach. Był prawie łysy i miał zapadnięte oczy, jednak otaczała go aura władzy, którą Workan wyczuwał nawet w tej holograficznej postaci.

Ukląkł z pokorą.

- Wielki Lordzie - zwrócił się do hologramu.

- Arcylordzie Workan - przywitał go Vol. - Jak posuwają się sprawy?

- Dobrze, mój panie - odparł Workan. Było to po części prawdą. - Nasi ludzie zajęli kluczowe stanowiska na tym świecie. Jesteśmy w stanie sterować przepływem informacji.

Zajęliśmy się już zagrożeniami dla naszych rządów i szybko je wyeliminowaliśmy. Ten, który znajduje się obecnie u władzy, jest marionetką i będzie tańczył tak, jak mu zagram. Ostatnia Jedi siedzi w więzieniu i jesteśmy prawie gotowi na twoje przybycie.

Zapadnięte oczy się zwęziły.

- Prawie gotowi? Jedi odlecieli kilka dni temu. Dlaczego to tyle trwa? Natrafiliście na jakiś ślad Abeloth?

- Nie, panie. Bez wątplenia błąka się razem ze Statkiem po galaktyce, podczas gdy my zbieramy owoce. Ale... ktoś inny sprawia kłopoty. Jest taka jedna senator, nowa w Senacie, ale wieści o jej czynach i szlachetności dotarły tu przed nią. Jest niezwykle popularna, znana jako wyzwolicielka swojego ludu, więc nie mogę jej wyeliminować bez wywołania ostrej reakcji opinii publicznej.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że Arcylorda Sithów pokonała dobra i szlachetna kobieta

- powiedział Vol szyderczym tonem. - Gdyby chodziło o Abeloth...

Workan zeszywniał.

- Ta senator nie zdradza żadnych oznak wrażliwości na Moc. Nie, mój panie, ona jest po prostu oszustką i kłamczuchą, ale bardzo zręczną. Udało jej się tak zmanipulować galaktykę, żeby wszyscy uwierzyli w to, że jest kimś zasługującym na szacunek i uwielbienie, chociaż w rzeczywistości jest niemal równie bezwzględna jak my. Przeciągnęła na swoją stronę nawet niektórych moich zwolenników, tych, którzy byli bardziej łatwowierni niż zdeprawowani. A poza tym, mój panie... możliwe, że ona zna naszą prawdziwą tożsamość.

- Sprawiasz mi zawód, Workan - oświadczył Vol. - Panoszysz się na tym świecie jak zdobywca, którym zresztą powinieneś być, a tymczasem zatrzymała cię jedna uprzykrzona, dwulicowa obca istota. Mam dość czekania. Sam zajmę się tą Roki Kem.

- Mój panie, proszę - powiedział Suldar. - Sam się z nią rozprawię, szybko i skutecznie.

- Zostawisz ją mnie - rozkazał Vol. - Ośmieliła się rzucić wyzwanie członkowi Zapomnianego Plemienia. Zmiażdżę ją, a potem z jej głową w ręku obwieszczę naszą obecność na tym świecie. Spodziewaj się mnie wkrótce.

Obraz zamigotał i zniknął. Workan zamknął oczy, szukając spokoju. Mógłby wyeliminować Roki

Kem przed przybyciem Vola, udowadniając tym samym, że potrafi samodzielnie rozwiązywać własne problemy. To jednak zirytowałyby Vola, który bez wątpienia planował wykorzystać grozę, jaką powinien wywołać widokiem głowy kochanej i dobrotliwej Roki Kem, gdy sięgnie po władzę nad... cóż, nad wszystkim. Ponieważ, jak głosiło powiedzenie, ten, kto rządził Coruscant, rządził całą galaktyką.

Nie, lepiej pozostawić tę przyjemność Wielkiemu Lordowi. Tymczasem jednak miał zamiar obserwować, czekać i przygotowywać się na przybycie swojego Mistrza.

Na planie Przeglądu Wydarzeń Perrego Needma wszystko szło jak w zegarku. Istoty wykonywały swoje zwykłe obowiązki z taką samą sprawnością i profesjonalizmem jak zawsze.

Jednak, idąc powoli w kierunku fotela prowadzącego, Needmo wiedział jedno: nie tylko on czuje, że coś wisi w powietrzu. Odkąd Jedi opuścili Coruscant, sytuacja bardzo się zmieniła. Pęd Senatu do uchwalania bardziej restrykcyjnego prawa w kwestii cła, podatków, porządku publicznego...

właściwie w kwestii wszystkiego. Nagłe pojawienie się stacji informacyjnej BAMR, tak tendencyjnej, że można było zatęsknić za programem *Jedi wśród nas* Javisa Tyrra, nie mówiąc o obecności samych Jedi.

Needmo czekał, aż cenzura dotknie jego program, ale na razie do tego nie doszło. Wolność słowa najwyraźniej nie została jeszcze całkiem zdławiona. I to go cieszyło. Wprawdzie często miał

wrażenie, że jego głos jest głosem wołającego na puszczy, dopóki jednak mógł mówić prawdę - czyli robić to, co holodziennikarze powinni robić zawsze - nie zamierzał schodzić z anteny.

Program szczylił się tym, że zawsze podawał zarówno dobre, jak i złe wiadomości, ostatnio jednak więcej było tych drugich. Dziwaczna decyzja o wyborze Padnela Ovina na przywódcę Sojuszu, utworzenie niesławnej podkomisji, aresztowanie Leii Organy Solo, niezbyt zaskakująca, jednak mimo wszystko godna ubolewania śmierć senatora Bramsina, a także główny temat tego wieczoru - wszystko to były sprawy, o których Needmo wolałby nie mówić. Jednak przekazywanie informacji, jak w przejmujący sposób uczyła ich Madhi Vaandt, było najważniejszym zadaniem holodziennikarza, niezależnie od tego, czy te informacje były krzepiące, tragiczne czy też znajdowały się gdzieś pośrodku. Przynajmniej, pomyślał Needmo, mogli zakończyć optymistycznym akcentem - przybyciem Rokari Kem, wyzwolicielki Jessarów i najnowszej senator Galaktycznego Sojuszu. Z pewnością sytuacja powinna się poprawić chociaż trochę, skoro tak znaczący głos rozsądku mógł wreszcie przemówić.

Twi'lekańska charakteryzatorka podbiegła, poklepała Chevina po wydatnym czole, po czym uciekła pospiesznie z planu. Rozległa się muzyka, a kamerzysta zaczął odliczanie.

- Dobry wieczór państwu, witam w kolejnym wydaniu Przeglądu Wydarzeń Perrego Needma. Dzisiaj mamy dla państwa coś specjalnego. Ostatnie kilka minut programu poświęcimy na wywiad, który przeprowadziłem dziś po południu z nową senator z Qarasa, Rokari Kem. Na początek jednak



zajmiemy się mniej przyjemną sprawą. Powrócimy do tematu, na który zwróciła naszą uwagę devaroniańska holoreporterka, świętej pamięci Madhi Vaandt: do sprawy podziemi Coruscant.

Widzowie oglądali teraz archiwalny holomateriał - ujęcia Madhi Vaandt ubranej w swój praktyczny strój, z przenikliwym spojrzeniem i z ręką na ramieniu małego, żywego chłopca rasy ludzkiej o imieniu Tarynd.

- Przez pewien czas wydawało się, że wysiłki Vaandt, która starała się zwrócić uwagę na to pełne przemocy, zapomniane miejsce, przyniosły skutek. Kolejne obszary były poddawane rewitalizacji. Zbierano fundusze na zapewnienie żywności, ubrań i schronienia dla dzieci takich jak Tarynd, których życie widzowie śledzili przez kilka tygodni w kolejnych reportażach Vaandt.

Jednak po tragicznej śmierci Vaandt chęć wyleczenia tej rany w samym sercu Coruscant jakoś osłabła.

Teraz, jak wiedział Needmo, widzowie oglądali materiał nagrany poprzedniego dnia.

- Wczoraj zeszliśmy w głąb podziemi, żeby przyjrzeć się, jak obecnie wygląda sytuacja. -

Obrazy mówiły same za siebie: podziemia prezentowały się gorzej niż kiedykolwiek. Wyglądało na to, że koral yorik, szablonącza i inne rośliny nie tylko nie zostały wyplenione, ale wręcz się rozrosły. O ile wcześniej mieszkańcy uciekali zazwyczaj przed kamerami, to teraz ekipa, która otrzymała dodatek za pracę w niebezpiecznych warunkach, zarejestrowała, jak gangi brutalnie i jawnie terroryzują nieszczęśników padających ich ofiarą.

- Wygląda na to, że wszystkie wcześniejsze wysiłki poszły na marne, że podziemia, o których na krótką chwilę sobie przypominano, teraz zostały kompletnie zaniedbane. Coraz więcej istot przepada bez wieści w tej części miasta i nie słychać żadnych głosów domagających się wyjaśnień. Nikt nie wie, dlaczego doszło do nagłego rozrostu tutejszej roślinności, i wydaje się mało prawdopodobne, żeby władze Galaktycznego Sojuszu przeznaczyły jakiegokolwiek fundusze na zbadanie tej sprawy lub na ochronę niewinnych istot. Tylko jedno jest tragicznie pewne: to miejsce stało się mroczniejsze i bardziej niebezpieczne niż kiedykolwiek.

Needmo wiedział, co widzowie zobaczą na koniec tego materiału - zbliżenie wykrzywionej nienawiścią twarzy Tarynda, który wraz z innymi członkami gangu katował przerażonego Chadra-Fana.

## ROZDZIAŁ 31

### **Apartament admirał Parovy, Coruscant**

Sallinor Parova szykowała się do snu, nucąc swoją ulubioną arię, która rozbrzmiewała także w tle. Niewiele osób pamiętało jeszcze *Oko Imperium*. Utwór został napisany na zamówienie nieżyjącego od dawna moffa jako opera propagandowa, opiewająca wyższość ludzkiej rasy, i dlatego mało kto przyznawał się do jego słuchania. Parova jednak uważała, że to wielka szkoda, arie należały bowiem do najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek skomponowano. A w dodatku identyfikowała się z motywem

przewodnim opery - że właściwą rolą obcych ras, która powinna dawać im największe szczęście, jest podporządkowanie się ludziom.

A Parova ze wszystkich sił wspierała tę szlachetną i słuszną sprawę.

Jej komunikator zabrzęczał. Parova zmarszczyła ze złością brwi, zerkając na chronometr, ściszyła muzykę i odebrała połączenie. Lepiej, żeby to było coś ważnego.

- Parova.

- Pani admirał? - Był to głos Rynoga Asokajiego. - Musi pani natychmiast przylecieć do ośrodka medycznego. Admirał Bwua'tu odzyskał świadomość. Chce się z panią widzieć.

Parova poczuła ściskanie w żołądku. Ten stary cap był twardszy, niż myśleli. Przeżył atak z bronią w rękę dwóch świetnie wyszkolonych pseudo-Jedi, wybudził się ze śpiączki, a teraz najwyraźniej nie był już tym nieszkodliwym warzywem, jak do tej pory.

*Stang.*

- Pani admirał?

- Oczywiście. Już lecę. - Zmusiła się, żeby dodać: - To wspaniała wiadomość.

- Wysłałem już po panią powietrzną taksówkę. Tak będzie szybciej i... hm, myślę, że chciałaby pani jak najszybciej usłyszeć to, co admirał ma pani do powiedzenia. Twierdzi, że wie, kto nasłał na niego fałszywych Jedi i dlaczego.

Jej serce zabiło szybciej.

- Rozumiem. Miło będzie go znów zobaczyć. Niedługo będę.

Dotknęła przycisku na komunikatorze, żeby ostrzec Jaxtona, że Nek Bwua'tu, Bothanin, Który Nie Chciał Umrzeć, wpadł na jego trop, ale jednak się zawahała.

Nikt do końca nie wiedział, co się stało z Bramsinem i z Treen. Fost Bramsin był wprawdzie stary, więc śmierć z przyczyn naturalnych nie budziła żadnych podejrzeń, ale nagła i definitywna rezygnacja Treen już tak. Nikt bardziej nie pragnął władzy niż ta stara smoczyca krayt. Lecersen także się nie odzywał.

Parova podejrzewała, że Treen zamordowała Bramsina, a potem uciekła. Pytanie tylko, przed czym? Albo przed kim?

Czy spisek został zaatakowany z zewnątrz, czy też jego członkowie zwrócili się przeciwko sobie? Parova nie wiedziała i postanowiła, że dopóki się nie dowie, nie będzie się kontaktować z Jaxtonem ani z Thaalem. Sprawdzi, ile Nek Bwua'tu wie o ataku na swoją osobę - jeśli w ogóle coś wie - i wtedy zastanowi się, co dalej. Będzie jeszcze czas, żeby porozmawiać z generałami, jeśli okaże się, że wciąż są po tej samej stronie, a nie próbują - być może dosłownie - wbić sobie nawzajem nóż w

plecy.

Siedem minut później stała w mundurze przed swoim domem, przestępując z nogi na nogę.

Taksówka repulsorowa podleciała i zatrzymała się tuż przed nią. Parova otworzyła drzwi i wsiadła.

- Do Ośrodka Medycznego Gala... au! - Przesunęła się szybko w lewo, macając jedną ręką siedzenie, na którym przed chwilą usiadła. Coś bardzo ostrego ukłuło ją boleśnie w prawy pośladek.

Znalazła małą igłę. Najwyraźniej któryś z pasażerów oddawał się tu wyjątkowo nieciekawym rozrywkom. Całe szczęście, że zmierzała prosto do ośrodka medycznego.

- Co... co to... proszę spojrzeć! - Pokazała igłę taksówkarzowi, wymachując nią gniewnie. -

Zgłoszę to pańskiemu przełożonemu! Mogłam sobie zrobić krzywdę!

- A, właśnie - odezwał się znajomy głos. Taksówkarz odwrócił się i rzucił jej szeroki uśmiech. - Przykro mi, ale nie lecimy do Ośrodka Medycznego Galaktycznego Senatu.

I gdy obraz przed jej oczami zaczynał się rozmazywać, a ciało coraz bardziej odmawiało posłuszeństwa, Parova zastanawiała się, czy podano jej jakiś środek halucynogeny, czy naprawdę została porwana przez Hana Solo.

Miejsce, w którym ocknęła się Parova, wyglądało jak przyjemne mieszkanie, chociaż jego właściciele zdawali się mieć osobliwe upodobanie do niebieskiego oświetlenia. Leżała na wygodnej sofie, skąpana w błękitnym świetle, mrugając w skupieniu oczami. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, co się stało i dlaczego każdy ruch sprawia jej tyle trudu. Podźwignęła się na łokciach i odwróciła w stronę dwóch istot, siedzących na fotelach po przeciwnej stronie przymocowanego do podłogi, niskiego stolika.

Rynog Asokaji... i Wynn Dorvan.

- Będziecie obaj mieli grube nieprzyjemności - powiedziała niewyraźnym głosem.

Najwyraźniej język odczuwał jeszcze paralizujące efekty środka, który jej wstrzyknęto. - Porwanie głównodowodzącej marynarki wojennej? Myślicie, że mnie nie znajda?

- Prawdę mówiąc, sądzę, że nie - odparł spokojnie Dorvan. Wyglądał jak spod igły, całkiem jakby znajdował się na posiedzeniu rządu. Niewiarygodne. Asokaji, co nie powinno dziwić, siedział

ze skrzyżowanymi na piersi rękami, a cała jego postawa wyrażała wrogość. - Jest pani w bloku psychiatrycznym Świątyni Jedi, pani admirał - ciągnął Dorvan. - O ile się nie mylę, w tej samej celi, w której był trzymany Seff Hellin.

Parova rozpoznała teraz celę, którą widziała na nagraniach - transpastalowe ściany, wygodne, chociaż przytwierdzone na stałe do podłogi meble, atrium, które, z tego, co pamiętała, zamieszkiwały isalamiry uniemożliwiające Jedi korzystanie z Mocy.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytała Parova. Zdołała jakoś usiąść prosto i poczuła, jak powoli wraca jej dawna pewność siebie.

- Cóż, właściwie to chcieliśmy panią o to zapytać. Ale brakuje jeszcze jednego członka klubu. - Dorvan nachylił się i wcisnął guzik na małym holokomunikatorze stojącym na stoliku.

Pojawił się nad nim wizerunek Neka Bwua'tu.

Chociaż wciąż leżał w szpitalnym łóżku, zdecydowanie nie wyglądał na bełkoczącego idiotę. Zmierzył ją zimnym wzrokiem.

- Admirał Parova - powiedział głosem, w którym słychać było kontrolowany gniew.

Odchrząknęła, zdecydowana ciągnąć ten blef tak długo, jak się da.

- Admirale Bwua'tu - odpowiedziała. - Cieszę się, że...

- Proszę oszczędzić nam wszystkim czasu i nie wciskać nam ciemnoty - przerwał jej Bwua'tu. - Wiemy, co pani knuła.

Parova nadal udawała niewiniątko.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Asokaji powiedział mi, że pan wyzdrowiał. Miałam się z panem spotkać i... - Urwała, nie wiedząc, czy powinna im mówić o tym, co z pewnością musiało być halucynacją. - I znalazłam się tutaj. Proszę mi powiedzieć, co się dzieje. Chciałabym pomóc.

- Proszę bardzo - odparł Bwua'tu. - Może nam pani pomóc, wyznając, kto jeszcze oprócz pani, Lecersena, Treen, Jaxtona i Bramsina brał udział w spisku mającym na celu obalenie rządu.

Popatrzyła na niego z udawanym zdumieniem.

- Panie admirale, z całym szacunkiem, jeśli wierzy pan w coś tak absurdalnego, to może nie doszedł pan jednak tak całkiem do siebie. Asokaji, wiem, że prywatnie bardzo lubisz admirała i chcesz wierzyć, że wszystko jest z nim w porządku, ale ty, Dorvan... Wynn... Nie wiem, jak możesz w to wierzyć. Ta... paranoiczna wizja to wytwór chorego umysłu.

Dorvan rzucił jej skąpy uśmiech.

- No cóż, to bardzo prawdopodobne - przyznał - ale chory umysł, o którym mowa, nie należy do admirała. Wiemy, że brała w tym udział wasza piątka, i podejrzewamy, że są też inni gracze.

Zapadła cisza. Parova skrzyżowała ręce na piersi i rozsiadła się wygodnie na sofie.

Dorvan westchnął. Wyglądał tak, jakby żałował, że nie ma przed sobą stosu datapadów, które mógłby poukładać.

- Pani admirał - powiedział - mamy dowody, że odbyła pani kilka rozmów ze wszystkimi członkami

tego spisku.

- A czy jest coś złego w rozmawianiu z dwoma szanowanymi senatorami? Z moffem? Z

innym członkiem tego samego gabinetu?

- Owszem, jeśli przypomnimy sobie, że trzy z tych osób zostały w tajemniczych okolicznościach otrute - zauważył Bwua'tu - i że w wyniku tego otrucia SBGS została zdyskredytowana i zastąpiona siłami bezpieczeństwa marynarki, na których czele stała pani.

Parovę ogarnął chłód, ale zachowała kamienną twarz.

- Nie wierzę własnym uszom. Ja otruję Lecersena, Bramsina i Jaxtona? Jasne. Zaraz mnie jeszcze oskarżycie o zamordowanie biednego starego Fosta Bramsina.

- Nie - odparł szybko Dorvan. - Wiemy, że tego pani nie zrobiła. Podejrzewamy senator Treen, jednak autopsja nie przyniosła niestety jednoznacznego wyniku. Kolejna rzecz, która wskazuje na spisek.

Parova dostrzegła szansę.

- Jesteś po prostu zły, że senator Treen poparła Padnela Ovina, a nie ciebie, Dorvan -

stwierdziła szyderczo.

Popatrzył na nią, a potem zachichotał.

- To chyba jeszcze bardziej niedorzeczne niż wszystko, o czym mówiłem - odparł. - Dobrze pani wie, że trudno mnie oskarżać o nadmierną ambicję.

Faktycznie wiedziała. Podobnie jak wszyscy inni. Dorvan pełnił swoje obowiązki nie z żądzy władzy czy dla polectania własnej próżności, ale dlatego, że był potrzebny. Było to irytująco altruistyczne i poczuła do niego jeszcze większą niechęć.

- Biurokrata - rzuciła tym samym tonem, którego użyłaby, mówiąc *sleemo*.

Dorvan i Asokaji popatrzyli po sobie.

- Panie admirale? - zwrócił się do hologramu Dorvan. - Wygląda na to, że jest wyjątkowo niechętna do współpracy. Co mamy robić?

Bwua'tu zastrzygł uchem w zamyśleniu.

- Robi się późno. Musicie obaj wracać do swoich domów. Możemy dokończyć później. Inni członkowie klubu też chętnie z nią porozmawiają.

Klubu? Czy Han Solo też brał w tym udział? I kto jeszcze?

- Jak pan sobie życzy. - Dorvan i Asokaji wstali. - Pani admirał, ma pani tutaj jedzenie i picie. Będzie pani monitorowana, a kiedy wrócimy, przejrzymy nagrania. Proszę się nie obawiać, w odświeżaczu nie ma holokamery. Jedi są zwolennikami dobrego traktowania więźniów.

- Moja nieobecność zostanie zauważona - powiedziała, kiedy odwrócili się, żeby wyłączyć pole siłowe. Wiedziała, że nogi ugięłyby się pod nią, gdyby próbowała wstać; w przeciwnym razie rzuciłaby się na nich.

- Oczywiście - zgodził się Asokaji. - Dlatego zadbam, żeby wszyscy wiedzieli, że jest pani chwilowo nieosiągalna, ponieważ wykonuje pani zadanie, o którym oczywiście nie wolno mi mówić ze względów galaktycznego bezpieczeństwa.

Dobrze to zaplanowali.

Niech ich szlag.

Odprowadziła ich wzrokiem, rozmyślając o słodkiej zemście.

Niebawem zaczęła jej wracać władza w kończynach. Poszła do odświeżacza, a kiedy wyszła, zamarła w bezruchu.

Przed nią stało czworo ludzi: dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Wszyscy byli uderzająco atrakcyjni. Nie rozpoznała jednak żadnego z nich.

- Jesteście nowym zespołem przesłuchującym? - spytała ze znużeniem.

- Nie, pani admirał - odparł jeden z nich, wysoki, przystojny mężczyzna o kwadratowej szczęce i ciemnobrązowych oczach. - Jesteśmy tu, żeby panią wyciągnąć. Przysłał nas senator Suldar. Był zaniepokojony po tej całej sprawie z Treen i Bramsinem i polecił nam panią śledzić.

Parova poczuła ogromną ulgę.

- Całe szczęście. A więc wszystko słyszeliście?

Mężczyzna się uśmiechnął.

- Owszem - przyznał. - Senator Suldar jest wdzięczny za informacje oraz za to, że nie wydała go pani i w ogóle niczego nie potwierdziła.

Parova uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Oczywiście, że nie. Zbierajmy się. Mam mnóstwo pracy i parę osób, których trzeba się pozbyć.

- My również - powiedział z uśmiechem mężczyzna. Skinął na pozostałych. Zanim Parova zorientowała się, co się dzieje, usłyszała skwierczący odgłos i zobaczyła przed sobą trzy czerwone miecze świetlne. - Może się pani jeszcze przysłużyć sprawie, nawet swoją śmiercią. Dziękujemy, pani admirał.

I rzucili się na nią.

## ROZDZIAŁ 32

### Na pokładzie „Gilada Pellaeona”, sektor Meridiana

- Nic nigdy nie jest proste - stwierdził Jagged Fel. Siedział w swoim gabinecie na pokładzie

„Pellaeona”, oglądając ze znużeniem najnowsze holowiadomości. - Nawet coś, co powinno być zupełnie nieskomplikowane, czyli wytropienie zbiegłej więźniarki i sprowadzenie jej na Coruscant, żeby postawić przed sądem.

Tahiri zachichotała cicho.

- Daala nie jest zwykłym uciekinierem zbiegłym z więzienia. Nie jest nawet wyłącznie popularnym politykiem, który mobilizuje swoich zwolenników. Jest admirałem, a jej flota jest zarówno rozproszona i ukryta, jak potężna. Squibowie niewątpliwie bardzo ułatwili nam zadanie.

Przynajmniej wiemy, gdzie szukać. Ale to i tak jak szukanie igły w stogu siana.

Jag popatrzył na nią z dezaprobatą.

- Nie przypominam sobie, żebyś dawniej była taką pesymistką.

Wzruszyła ramionami.

- Kiedy zostajesz skazany na śmierć i żyjesz tylko dlatego, że udało ci się uciec, to na ogół tracisz wiarę w porządek wszechświata.

- Rozumiem - westchnął. - Oczywiście masz rację. Daala bez wątplenia ma swoich krytyków, ale są też tacy, którzy pochwalają jej metody, także wśród moich moffów. Jeszcze więcej jest takich, którzy staną po prostu po tej samej stronie co ich rząd... a to doprowadziłoby do wojny domowej między zwolennikami Daali i tymi, którzy popierają Galaktyczny Sojusz. - Spojrzał na Tahiri. - A biorąc pod uwagę, jak słaby jest obecnie Sojusz, nie jestem pewien, czy mógłby tę wojnę wygrać.

Tahiri przysiadła na jego biurku, przyglądając mu się z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Jakie są ostatnie wiadomości od Ashika?

- Kontaktował się z różnymi informatorami i wysoko postawionymi osobami w sektorze Meridiana. Wieści nie są dobre. Mają tam długą pamięć, a większość ich wspomnień związanych z Daalą jest dobra.

Jego wzrok powędrował z powrotem w kierunku holoeckranu. Śledzili na bieżąco niewiarygodny zamęt, jaki ogarniał Coruscant: wybór na przywódcę Sojuszu istoty, która nie miała w tym żadnego interesu, niejakiego Padnela Ovina. Senacka podkomisja, która powstała, jak się wydawało, z dnia

na dzień, i doprowadziła do aresztowania jego przyszłej teściowej pod kompletnie niedorzecznymi zarzutami, łącznie z przemytem przyprawy. A o tym wszystkim informowały go Wiadomości BAMR, które zdawały się siedzieć głęboko w kieszeni nowego rządu.

Jedynym światelkiem w tunelu był fakt, że Ovin okazał się na tyle sprytny, żeby zatrzymać przy sobie Wynna Dorvana. Trudno było jednak wymagać od jednego biurokraty, żeby pozostał przy zdrowych zmysłach w świecie, który najwyraźniej ogarnęło szaleństwo. Nawet jeśli był nim Wynn Dorvan.

Pokręcił ze smutkiem głową, patrząc na schludną prezenterkę.

- Spójrz tylko, co się dzieje - powiedział z przerażeniem i odrazą. - Moja przyszła teściowa przemytniczką przyprawy? Padnel Ovin na czele Galaktycznego Sojuszu?

- Jest jeszcze gorzej niż w czasach, kiedy Jedi mieli swoich stróżów, którzy wszędzie za nimi łazili - zauważyła Tahiri.

- Jednak nie - zdecydował Jag. - Galaktyczny Sojusz nie jest przygotowany na starcie z Daalą. Nie może sobie nawet wytrzeć ust po obiedzie bez zgody Senatu. Nie ma szans, żeby...

Urwał w pół zdania, zaszokowany obrazem na holoekranie. Ciało wysportowanej, ciemnowłosej kobiety, leżące w jasnym świetle holokamery, poprzecinane pręgami, które zdeformowały jej twarz niemal nie do rozpoznania.

Niemal.

Tahiri odwróciła się, podążając za jego spojrzeniem, i otworzyła szeroko oczy.

- ...ciało admirała Sallinora Parovy, pełniące obowiązki głównodowodzącej marynarki wojennej, znaleziono na stopniach opuszczonej Świątyni Jedi. Przyczyną śmierci wydaje się być... -

jasnowłosa prezenterka zawiesiła dramatycznie głos - ...miecz świetlny.

- Co takiego?

- To chyba oczywiste, co się stało. - Na ekranie pojawiło się atrakcyjne oblicze senatora Suldara. - Tahiri Veila wciąż pozostaje na wolności. Wiemy, że żywi ona urazę do Galaktycznego Sojuszu. To mi wygląda na prywatną wojnę. - Odwrócił się twarzą do widzów. - Jeśli ktokolwiek ma jakieś informacje na temat tej kryminalistki, proszę je bez wahania ujawnić. Ona pokazała już dwukrotnie, że jest morderczynią. Oto co się dzieje, kiedy Jedi stawiają się ponad prawem.

- Hej - powiedziała łagodnie Tahiri. - Potrafię zabijać mieczem świetlnym, będąc na drugim końcu galaktyki. Chyba powinieneś dać mi podwyżkę, Jag.

- Chyba powinienem cię sklonować - odparł Jag.

Zanim skończył mówić, wszedł Ashik. Jag ruchem ręki dał mu znak, żeby usiadł.



- Jakieś nowiny?

- Nie. Co teraz?

Jag się zastanowił.

- Jest jeszcze jedna osoba, z którą nie rozmawiałem: moff Tol Getelles. Skontaktuj się z nim i zaproś na kolację, dzisiaj, na pokładzie „Pellaeona”. Zobaczymy, czy uda się go pozyskać dla naszej sprawy. Jeśli nie, ale także jeśli się uda, to chyba nadszedł czas, żebyśmy wykorzystali swój atut.

Tahiri wyglądała na skonsternowaną. Ashik jednak wiedział, co Jag ma na myśli, więc popatrzył na niego przenikliwie.

- Jest pan pewien? To wszystko zmieni. Nie będzie już odwrotu.

- Zdaję sobie z tego sprawę - zapewnił Jag.

- Zaraz, o czym wy mówicie? - spytała Tahiri.

Jag uniósł rękę, żeby ją uciszyć, i mówił dalej do Ashika:

- Dobrze to przemyślałem, Ashik. Gdybyśmy po prostu aresztowali Daalę, spowodowalibyśmy tylko jeszcze większe zamieszanie. Ale tak czy inaczej jej zakusy na moje stanowisko i na władzę nad Sojuszem muszą zostać powstrzymane. Nie widzę żadnej innej możliwości, która nie kosztowałaby milionów istnień, nie gwarantując nawet osiągnięcia naszego celu. Czekałem wystarczająco długo. Już czas. Zaczynaj przygotowania. Kiedy uznam, że nadeszła odpowiednia chwila, będziemy musieli działać szybko.

- Tak jest. Będziemy gotowi.

- Gotowi na co? - dopytywała Tahiri.

Jag i Ashik uśmiechnęli się tajemniczo.

- Na coś, czego nikt się nie spodziewa - odparł Jag.

- Moffie Getelles - powiedział Jag. Nie wyciągnął ręki.

Getelles już zaczął podawać dłoń, ale płynnie skorygował ruch, żeby wyglądało na to, że poprawia sobie tylko rękaw.

- Przywódca Imperium Jagged Fel - odparł. Głos miał szorstki, ale przyjemny. - Muszę przyznać, że pańskie zaproszenie było niespodzianką, chociaż bardzo miłą. To dla mnie wielki zaszczyt.

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić po twoim śmiałym wystąpieniu po aresztowaniu Daali.

Chciałem ci osobiście podziękować za poparcie. Siadaj, proszę.

Stół w oficjalnej sali jadalnej na pokładzie „Pellaeona” mógł z łatwością pomieścić osiem osób, ale nakryty był tylko dla dwóch. Droidy służące stały dyskretnie w cieniu i podchodziły cichutko tylko wtedy, kiedy były potrzebne. Pręty jarzeniowe zapewniały przyjemne, łagodne światło, które odbijało się w sztućcach i fasetowanych kieliszkach. Gdy Jag i Getelles zajęli miejsca, jeden z droidów podszedł i nalał do kieliszków coś ciemnoniebieskiego i aromatycznego.

- Za Imperium - powiedział Jag, unosząc kieliszek.

Getelles uśmiechnął się, mrużąc oczy.

- Za to z przyjemnością wypiję. Za Imperium!

Podano im gęstą i aromatyczną zupę z krabów. Getelles rozłożył sobie serwetkę na kolanach i zaczął jeść.

- Rozmawiałem indywidualnie z niektórymi z moich moffów - oznajmił Jag - a z tobą od dawna już nie zamieniłem słowa.

- Szczerze mówiąc, od dłuższego czasu nikt nie zamienił ze mną słowa. Z przykrością muszę stwierdzić, że jedyną rzeczą, która czyniła mnie godnym uwagi, był fakt, że zdecydowałem się pana poprzeć w tamtej sytuacji - oświadczył Getelles niemal przeproszającym tonem.

- Może i tak - przyznał Jag z wymuszonym uśmiechem i też spróbował zupy. - Ale z pewnością jest więcej osób po naszej stronie, niż się do tego przyznaje, nie sądzisz?

Getelles chrząknął potakująco i sięgnął po masło.

- Osobiście uważam, że Jedi świetnie się spisali. Twierdzę też, że kobiety nie powinny niczym kierować, tyle że nikt nie chce o tym głośno mówić. Ja podtrzymuję to, co powiedziałem.

Sojusz zrobił głupio, powierzając władzę Daali.

- Mhm - mruknął niezobowiązująco Jag. - Słyszałem pewne interesujące plotki na temat tego, gdzie się udała i co planuje. Ty pewnie nic nie słyszałeś?

- Ja? - Getelles zaśmiał się smutno. - Panie...

- Mów mi Jag.

- Eee... dobrze, Jag. Jak już wspominałem, od dłuższego czasu nikt ze mną nic rozmawia.

Popadłem praktycznie w zapomnienie. Pochlebiasz mi, sądząc, że mógłbym mieć dostęp do tego rodzaju informacji. Wprawdzie wciąż z dumą noszę tytuł moffa, mój majątek jednak jest raczej skromny i nie biorę ostatnio czynnego udziału w życiu politycznym. - Mężczyzna był wyraźnie niespokojny, na co wskazywało popijanie wina dużymi łykami. Nic dziwnego, że nie zaszedł

wysoko.

- Rzeczywiście ciągnie się za tobą dość długi cień - zgodził się Jag, upijając kolejny łyk.

Było to delikatniejsze określenie niż „skandal”, co wydawało się bardziej odpowiednim słowem. Getelles próbował swego czasu przejąć kontrolę nad sektorem Meridiana, wykorzystując drochy do wywołania ostrożnie sterowanej zarazy. Próba przejęcia władzy ze strony Getellesa została storpedowana najpierw przez Daalę, a następnie przez Nową Republikę. Od tego czasu Getelles siedział cicho.

Teraz się skrzywił.

- Stare dzieje, zapewniam cię - odparł. - Jestem całkiem zadowolony z tego, gdzie jestem, i z radością cię popieram. Za stary jestem na intrygi i spiski. Strata czasu, którego nie zostało mi już za dużo.

- A propos starzenia się - powiedział Jag. Sięgnął do kieszeni i położył na stole między nimi małą fiolkę. - To wpadło mi w ręce raptem kilka dni temu.

Getelles otworzył szeroko oczy, a jego czerwone usta zadrżały pod siwym wąsem.

- A co to takiego?

Jag westchnął.

- Zrobmy tak: ty przestaniesz udawać, że nic nie wiesz, a ja przestanę udawać, że nie wiem, że coś wiesz. W ten sposób osiągniemy dużo więcej, nie sądzisz? A może wolisz, żebym odtworzył nagranie twojej rozmowy z Daalą sprzed tygodnia?

Getelles wiedział, że został przyłapany. Rzucił Jagowi zimne, złowrogie spojrzenie, które kłóciło się z jego jowialnym wizerunkiem, po czym jednym haustem wypił resztę niebieskiego napoju.

- Jak już mnie przesłuchujesz, to przynajmniej mi dolej jak cywilizowany człowiek - warknął.

Jag się uśmiechnął.

- Obaj zachowujmy się jak cywilizowani ludzie. - Napelnił kieliszek i rozsiadł się wygodnie w fotelu. - Zacznijmy od początku. Co wiesz o Daali?

Getelles upił porządny łyk wina, po czym zagryzł je chlebem i zupą. Najwyraźniej miał

zamiar pójść do więzienia - co widać uznał za nieuniknione - pijany i dobrze odżywiony.

- To, co mówiłem na temat swojego majątku, jest prawdą - zapewnił. - W opinii większości spiskowców i intrygantów jestem tylko drugorzędnym moffem. Po fiasku mojej próby przejęcia kontroli nad Meridianem stałem się persona non grata. Mam wrażenie, że nie odebrano mi tytułu i

majątku tylko dlatego, że po prostu łatwiej było pozwolić mi je zachować.

Jag podejrzewał, że to może być prawdą, ale nic nie powiedział.

- I tak gnuśniałem, ignorowany i zapomniany. Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego Daala się do mnie zwróciła. Moje siły nie są specjalnie duże ani dobrze wyposażone, ale przypuszczam, że ona stara się po prostu zgromadzić jak najwięcej sojuszników, choćby po to, żeby jak najmniej wsparło ciebie.

- A więc postanowiła zamienić tytuł przywódczyni Galaktycznego Sojuszu na tytuł przywódczyni Imperium?

- Domyślam się, że wolałaby tytuł Imperatorowej - stwierdził Getelles. W jego głosie i zachowaniu było tyle rezygnacji i goryczy, że Jag mu wierzył.

- A zatem dodała cię do swojej listy. Jeszcze do tego wrócimy, ale teraz chciałbym cię zapytać o to. - Wskazał na fiolkę. - Wiem, że wiesz, co to jest.

Getelles zmrużył oczy i pociągnął kolejny łyk.

- Pewnie, że wiem - mruknął. - To była jedyna dziedzina, w której robiliśmy postępy i w której nie byliśmy na szarym końcu. Nauka.

- Nauka o życiu i śmierci - dodał Jag. - Moi informatorzy twierdzą, że wielu spośród naukowców, którzy stworzyli nanowirus atakujący geny Tenel Ka i Fettów, wyprowadziło się po cichu na Antemeridias. Z czego to jest zrobione, Tol?

Nie odpowiedział. Jag wzruszył ramionami i zaczął otwierać fiolkę.

- Nie! - Getelles poderwał się zaskakująco szybko jak na starszego człowieka i chwycił Jaga za nadgarstek. Jag uniósł brwi i spojrzał wymownie na rękę Getellesa. Moff powoli rozluźnił uścisk.

- Dziękuję za potwierdzenie moich informacji na temat tego serum - powiedział Jag. -

Niewątpliwie jest bardzo cenne.

- A więc już wiesz, jakie ma możliwości - odparł Getelles. - Cholerne gryzonie. Gdybym wiedział, że naukowcy eksperymentują na Squibach...

- Jeśli ich tylko tkniesz, dobiore ci się do skóry tak szybko i tak mocno, że będziesz żałował, że nie jestem Mando - obiecał cicho Jag. Getelles wyraźnie zbladł, ale zaraz doszedł do siebie.

- Gadasz jak Daala. Może jednak wcale nie ma między wami takiej wielkiej różnicy.

Droidy obudziły się do życia i podały drugie danie - niebieskie, fioletowe i białe warzywa w pikantnym zielonym sosie. Były pyszne, ale Jag jadł, nie czując smaku. Getelles również jakby stracił apetyt.

- Krytykowałeś Daalę, zanim jeszcze uciekła - zauważył Jag, kiedy droidy wróciły na swoje miejsca i się wyłączyły. - Najwyraźniej jednak dostrzegasz różnicę między nami. Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

Getelles popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

- Propozycja Daali plus ucieczka Squibów z moim serum - wyjaśnił. - Szczerze mówiąc, Jag, łatwiej jest stanąć po twojej stronie, kiedy Daala siedzi w więzieniu, niż kiedy jest w twoim sektorze i może albo roznieść cię na strzępy, albo wynieść do szczytów, o jakich ci się nawet nie śniło.

Jag zdawał sobie sprawę, w jakim położeniu znalazł się Getelles.

- Rozumiem. Myślę, że wybrała cię właśnie dlatego, że ją krytykowałeś, a więc nie podejrzewałbym cię o to, że możesz przejść na jej stronę.

- Obawiam się, że masz rację - przyznał Getelles. - Miałem zdobyć twoje zaufanie, a potem w ostatniej chwili cię zaatakować.

- Zdajesz sobie sprawę, ile ciąży na tobie zarzutów? Mógłbyś nie zdążyć odpowiedzieć za wszystkie przed sądem - powiedział Jag, napełniając kieliszek Getellesa. - Zdrada stanu, nielegalne eksperymenty medyczne, posiadanie drochów...

- O tak, zapewniam cię, że wiem.

- A chciałbyś, żeby zarzuty zostały wycofane?

Getelles uniósł siwą brew.

- Pod warunkiem, że przejdę na twoją stronę? - Jag przytaknął. Getelles wskazał ruchem głowy małą fiolkę. - A co z fiolką?

- Z tą fiolką?

Getelles zmarszczył brwi.

- Tak, z tą tutaj. Chcę ją dostać jako część umowy.

Jag zmarszczył brwi i westchnął.

- W porządku - powiedział. - Jest twoja.

- Fel, ty naiwniaku - westchnął Getelles, wyciągając blaster. - Ty też jesteś mój.

I strzelił.

Jag Fel upadł na podłogę.

- Słyszała pani to wszystko, pani admirał? - spytał Getelles, kierując słowa do małego urządzenia nagrywającego, ukrytego starannie pod obwisłą skórą na jego szyi.

- Owszem, słyszałam - odparła. - Zdarzyło ci się parę chybionych uwag, ale najważniejsze, że trafiłeś w kluczowym momencie. Jak zamierzasz się stamtąd wydostać?

- Droidy są w trybie uśpienia, a pomieszczenie jest dźwiękoszczelne. Udam po prostu, że zostałem pilnie wezwany na Antemeridias - wyjaśnił Moff. - Zanim się zorientują, że coś jest nie tak, będę już daleko. - Sięgnął po małą fiolkę i zacisnął ją mocno w dłoni.

- Myślałam, że będziesz miał kłopoty, a tymczasem oni przywitali cię z otwartymi ramionami - powiedziała Daala. - Spotkajmy się w bazie za dwanaście godzin. Przekonasz się, jak doceniam twoje wysiłki, Moffie Getelles. Nie zapominam o urazach, ale o przysługach też nie.

- Będę o tym pamiętał, pani admirał - zapewnił Getelles - ale teraz muszę się pośpieszyć.

- Dwanaście godzin - przypomniała Daala.

- Dwanaście godzin - powtórzył Getelles.

## **ROZDZIAŁ 33**

### **Układ Exodo, sektor Meridiana**

Po raz pierwszy, odkąd złożyła ślubowanie jako przywódczyni Imperium Galaktycznego, admirał Natasi Daala stała na mostku „Chimery” i dokonywała przeglądu Nieregularnej Floty Otchłani.

Była ona mniejsza niż wtedy, gdy Daala - zbyt późno - przybyła na pomoc Giladowi Pellaeonowi i skierowała flotę przeciwko Jacenowi Solo. Ubyły okręty posiadające bardziej...

niezwykłe modyfikacje, które ostatecznie okazały się zbyt drogie w utrzymaniu. Ale i tak wciąż miała do dyspozycji kilkanaście statków. Oprócz „Chimery”, która była gwiazdowym niszczycielem klasy Imperial II, wiekowa, lecz wciąż potężna flota obejmowała jeszcze jeden gwiazdny niszczyciel klasy Venator; okręt szturmowy klasy Acclamator I, krążownik klasy Republic, parę fregat i kilka korwet dwóch różnych klas.

Był to dobry początek.

Daala zawsze szczyliła się swoją zdolnością reagowania na zmienne koleje losu. Nie zapomniała o starych przyjaciółach ani o starych wrogach, więc była uradowana, ale nie zaskoczona, zapalem, z jakim jej sojusznicy ruszyli jej na pomoc. Oczywiście oni też mieli w tym swój interes. „Każdemu o coś chodzi”, powiedział kiedyś Han Solo i nigdzie nie sprawdzało się to tak bardzo jak w polityce.

Decyzja o zamordowaniu Jaggeda Fela nie przyszła jej łatwo. Uważała, że takie postępowanie jest wyrazem braku szacunku dla wrogów, a Fela szanowała. Jednak było to konieczne. Jako realistka Daala rozumiała, że działa w równym stopniu dla ochrony własnego bezpieczeństwa i poprawy swojej pozycji, co dla realizacji celów politycznych. Wierzyła też, że ścieżka, którą podąża, chociaż kręta i wyboista, jest słuszna. Uczciwie zapracowała na tytuł

przywódczyni Galaktycznego Sojuszu i starała się jak mogła, by rządzić mądrze i sprawiedliwie.

Galaktyka jej potrzebowała. Wielu się z nią zgadzało. Miała swoje zaplecze polityczne i nie zamierzała go stracić. Tak więc Fel musiał być wyeliminowany.

Daala wnikliwie monitorowała łączność, wykorzystując swoją siatkę informatorów i szpiegów. Podwładni Fela utrzymywali jego śmierć w tajemnicy. Serwisy holowiadomości nie wspominały o niej ani słowem, nawet ta nowa, żądna sensacji stacja, BAMR. Nie było też żadnej reakcji ze strony rodziny Solo. Leia siedziała w więzieniu, co, szczerze mówiąc, sprawiało Daali mściwą przyjemność, Han zaś najwyraźniej zniknął z pola widzenia z ich adoptowaną córką. Jaina była razem z Jedi, gdziekolwiek się tułali.

Jeśli pojawiała się gdzieś jakaś wzmianka o Felu, była krótka i albo stara, albo towarzyszyły jej ziarniste ujęcia kogoś bardzo podobnego do Fela. Daala wiedziała, że przywódca Imperium niejednokrotnie korzystał z sobowtóra, i musiała przyznać, że zatrudniany w tym charakterze mężczyzna z łatwością mógłby zwieść kogoś, kto nie znał Fela osobiście.

Innymi słowy wszystko przebiegało tak, jak się spodziewała. Wiadomość o śmierci Jaga wstrząsnęłaby tym, co zostało z Imperium, i to w chwili, kiedy w oczach opinii publicznej wszystko inne było w stanie chaosu - nowy i rozpaczliwie niedoświadczony przywódca Sojuszu; zniknięcie jej, Natasi Daali; nieobecność Jedi. Prędzej czy później musieli wydać jakieś oświadczenie, ale nie od razu, dopiero kiedy opracują jakiś plan działania. Co było jak najbardziej po jej myśli.

Planeta Exodo II, ich punkt zborny, niczym się nie wyróżniała. Była gorącym, burzowym i nieprzyjemnym światem, zanim jeszcze dotarli na nią Yuuzhan Vongowie, a teraz bez wątpienia była jeszcze mniej atrakcyjna. Również jej księżyc, Boreleo, nie był godny uwagi. Dawniej mało znacząca kolonia górnicza, został opuszczony, zapewne zanim jeszcze Yuuzhan Vongowie dokonali przemiany świata, wokół którego krążył. Ostatnio był najwyraźniej miejscem jakiejś katastrofy, sądząc po porzuconym kadłubie zdezelowanego transportowca. Krótko mówiąc, był

nijaki, zapomniany i położony dogodnie w sektorze Meridiana. A więc idealnie odpowiadał

potrzebom Daali.

- Pani admirał, kilka statków wychodzi z nadprzestrzeni - zameldował kapitan „Chimery”, Tors Remal. Ten szczupły, elegancki mężczyzna o srebrzystych włosach i takiej samej bródce doskonale nadawał się na dowódcę jej flagowego okrętu. Nigdy nie miał oporów przed dość brutalnymi działaniami, które musiał niekiedy podejmować - a nawet wydawał się czerpać z nich pewną przyjemność.

- To pewnie Drikl. W samą porę. - Nie zdradzała swojego niepokoju. Lecersen zapewniał ją, że będzie mógł sprowadzić trzy czwarte swoich okrętów. Nie wspomniał jednak, ile to będzie dokładnie.

Gdy tylko zobaczyła błyskające światła, jej napięcie wyraźnie zelżało. Na czele leciał okręt flagowy Lecersena, stary gwiazdny niszczyciel klasy Imperial II o nazwie „Twórca Imperium”, a tuż za nim krążownik klasy Interdictor. Flotylla liczyła blisko trzy tuziny okrętów: fregaty, korwety, eskortowiec i transportowiec myśliwców.

Ale ile ma myśliwców? - zastanowiła się.

- Proszę otworzyć łącze - poleciała i już po chwili uśmiechała się do małego holograficznego obrazu.  
- Drikl, jesteś nad wyraz punktualny. I muszę przyznać, że masz lepszą kolekcję, niż sądziłam.

- Przekona się pani, że jestem świetnym sojusznikiem, pani admirał - zapewnił. Nie wydawał się nawet w najmniejszym stopniu zirytowany faktem, że Daala mówi do niego po imieniu, podczas gdy on tytułował ją stopniem.

- Wiesz, Drikl - powiedziała - myślę, że zmarnowaliśmy dużo czasu, walcząc ze sobą zamiast z kimś innym.

Schylił głowę.

- Niewątpliwie były między nami nieporozumienia, ale i ja doszedłem do takiego wniosku.

Nie była co do tego przekonana i nie miała zamiaru popełnić błędu, obdarzając go nadmiernym zaufaniem, jednak jak dotąd okazał się skłonny do współpracy.

- Przynajmniej dało ci to czas na zbudowanie całkiem sporej flotylli - ciągnęła. - Ile skrzydeł myśliwców?

- Dziewięć.

- Dobrze. Ja mam dwanaście - oznajmiła. - Zaczyna się obiecująco.

- Kto do nas dołączy?

- Twój przyjaciel Vansyn, moff Getelles i moff Trevin. Na razie. Wkrótce spotkamy się z pozostałymi i wtedy powinniśmy mieć w sumie ośmiu moffów, jak również wsparcie z innych źródeł.

- Jakich?

- Dziewczyna nie może zdradzać wszystkich sekretów. Wystarczy, jak będziesz wiedział, że są już w drodze do punktu zbornego.

Lecersen zmarszczył lekko brwi.



- Jeśli mam być naprawdę pomocny, to powinna mi pani powiedzieć coś więcej, pani admirał.

- To co powiesz na dobrą wiadomość? Jagged Fel nie żyje.

To wyraźnie nim wstrząsnęło. Na jego twarzy pojawiły się sprzeczne emocje.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Widziała pani ciało?

- Nie, ale słyszałam atak. - Nie wspomniała o tym, że to wydarzenie przypominało jej, jak trzy lata wcześniej w podobny sposób była świadkiem zabójstwa Pellaeona. Co rzucisz za siebie, znajdziesz przed sobą, pomyślała.

- Czuję się rozdarty. Z jednej strony Fel strasznie załazł mi za skórę, a moje dotychczasowe wysiłki nie przynosiły żadnych efektów. Z drugiej... wyposażyłem „Twórcę Imperium” w pociski z baradium w nadziei, że sam go załatwię. Jak się to pani udało?

Daala uśmiechnęła się blado. Zaczęła się zastanawiać, czy jest coś, w czym ten *sleemo* nie maczał palców. Polityka istotnie tworzyła niekiedy dziwne sojusze.

- Nie obawiaj się. Jestem pewna, że znajdziemy odpowiedni cel dla twoich pocisków -

powiedziała. - Jeśli chodzi o pozbycie się Fela, to była łatwizna. Jeden z moich sojuszników został

zaproszony na prywatną kolację na pokładzie „Pellaeona”. Kiedy droidy były w trybie uśpienia, zabił po cichu Fela i odleciał własnym statkiem. Zanim ktokolwiek zauważył, co się stało, był już daleko.

- Prostota i zuchwałość w jednym. Zabójcze połączenie - stwierdził Lecersen. - Kto był tym genialnym zabójcą?

- Moff Tol Getelles.

Lecersen prychnął mimowolnie.

- Naprawdę? Nigdy bym się po nim tego nie spodziewał.

- Co do Vansyna też się myliłeś - przypomniała mu.

- Racja - zgodził się, pozornie rozbawiony docinkiem. - Ale jeśli Fel nie żyje, dlaczego nic o tym nie słyszałem?

- A czy na miejscu jego podwładnych chciałbyś, żeby trąbili o tym w holowiadomościach, zanim wymyślisz, jak to przedstawić?

- Nie - przyznał. - Ale wkrótce coś wymyślą. Jag nie otacza... przepraszam, nie otaczał się głupcami.

- Dlatego wyruszymy, jak tylko zjawi się reszta.

Jak na zawołanie w mroku przestworzy rozbłysły kolejne światełka.

- Ach, oto i Vansyn i Trevin - powiedziała Daala.

Były to całkiem pokaźne siły. Zarówno Vansyn, jak i Trevin dysponowali znacznie mniejszą liczbą statków niż Lecersen, w dodatku były one w podobnym wieku co Nieregularna Flota, choć było też parę nowszych. Ale i tak flota zaczynała przybierać rozmiary, które w każdym układzie powinny budzić respekt. Daala szybko policzyła i pokiwała głową, stwierdziwszy, że obaj moffowie zapewnili jej prawie dwadzieścia kolejnych okrętów.

Serce zabiło jej szybciej, nie ze strachu, ale ze znajomego podniecenia. Czowała się tu o wiele lepiej niż w swoim gabinecie na Coruscant.

Potem połączyła się i porozmawiała zarówno z Vansynem, jak i z Trevinem - przysadzystym człowiekiem w średnim wieku, o skórze w kolorze kawy i przedwcześnie posiwiałych włosach. Po wymianie uprzejmości usiadła wygodnie, czekając na Getellesa.

Po dziesięciu minutach zaczęła bębnić palcami o poręcz fotela, marszcząc brwi.

- Bohater dnia się spóźnia - zauważył Lecersen. Daala nie raczyła odpowiedzieć.

Siedem minut później poczuła ulgę, gdy „bohater dnia” wreszcie się zjawił i przyprowadził ze sobą nawet więcej, niż obiecał - cztery gwiazdne niszczyciele, transportowiec, osiem skrzydeł myśliwców i łącznie około dziesięciu fregat i korwet.

- Moffie Getelles - przywitała go. - Spóźniłeś się.

- Za to przyprowadziłem, jak pani widzi, kilka dodatkowych statków. Konieczne były pewne drobne naprawy, ale zapewniam panią, że wszystkie są gotowe do walki.

- Niewątpliwie się przydadzą. Kapitanie Remal, proszę otworzyć łącze ze wszystkimi okrętami.

- Otwarte, pani admirał.

Daala zrobiła pauzę, rozkoszując się tą chwilą, zanim wspólnie zrobią pierwszy krok w kierunku przeznaczenia. Jednego z nich prędzej czy później zdradzi; innego może zdradzi, a może nie. Kolejni wkrótce się do nich przyłączą. Był to wspaniały moment.

- Mówi admirał Daala. Za chwilę wyruszymy na spotkanie z kolejną grupą lojalistów, którzy, tak jak wy, opowiedzieli się za mną i za tym, co reprezentuję. W głębi duszy zawsze byłam imperialistką. Porządek, efektywność... ceremoniał i historia. Teraz, gdy ruszamy śmiało naprzód, powiem wam

coś, co jeszcze bardziej doda wam otuchy. Nasz konkurent w walce o władzę został

wyeliminowany. Jagged Fel nie żyje.

- Och, nie wydaje mi się - odezwał się aż nazbyt znajomy głos. - Jaina by na to nie pozwoliła. Ta dziewczyna koniecznie chce wyjść za mąż.

Daala poczuła ucisk w klatce piersiowej i zakręciło jej się w głowie. Błyskawicznie jednak doszła do siebie i dała znak, żeby wyciszyć transmisję.

- Sprawdzić, skąd nadaje. Natychmiast - warknęła, po czym dodała: - Otworzyć łącze.

- Otwarte - oznajmił Remal.

- Doprawdy, Jag? Myślę, że w czerni byłoby jej bardziej do twarzy - stwierdziła Daala, nie odrywając wzroku od łącznościowca, który gorączkowo i najwyraźniej bezskutecznie starał się ustalić, gdzie, u diabła, znajduje się Jagged Fel.

- Nie pozbawię jej przyjemności wystąpienia jako panna młoda i myślę, że pani też nie. Pani admirał, rozkazuję pani poddać się i wrócić na Coruscant, żeby stanąć przed sądem. Nikt tu nie musi zginąć.

Daala uniosła rudą brew, spoglądając na sullustańskiego łącznościowca, który pokręcił

żałośnie głową.

- Jag - powiedziała - widzę, ile mam okrętów, i zapewne ty też to widzisz. Ale ciebie najwyraźniej nie widać. Pokaż się i porozmawiajmy jak cywilizowani ludzie. - Gdyby był na pokładzie „Pellaeona”, nie mógłby tego zrobić. Według meldunków, okręt miał po „zabójstwie” opuścić sektor Meridiana.

- Myślę, że na razie jeszcze tego nie zrobię - odparł. - Ale wyślę paru przyjaciół, żeby pokazać, że nie żartuję.

Zanim jeszcze skończył mówić, nagle błyski zdradziły liczbę statków wychodzących z nadprzestrzeni i Daalę spotkała druga tego dnia przykra niespodzianka.

Gwiezdne niszczyciele. Ale nie zwykłe niszczyciele, jakich blisko dwadzieścia miała na swoje zawołanie. Te, chociaż przypominały ich tradycyjne imperialne odpowiedniki, były znacznie bardziej eleganckie - smukłe, o kształcie przypominającym igłę, a nie prosty trójkąt.

Gwiezdne niszczyciele Chissów.

Trzy niszczyciele nie były osamotnione; towarzyszyło im dziewięć ciężkich eskortowców i tuzin szponostatków typu Nsiss o smukłych, niemal artystycznych kształtach, które zdawały się przeczyć ich zabójczej naturze. W kulistym kadłubie statku można było rozpoznać kształty myśliwca TIE, którym był kiedyś, teraz jednak przypominał raczej morskie zwierzę o długich, eleganckich mackach.

Spokojnie zajęły pozycje i czekały na rozkazy.

I nagle Daala zrozumiała.

- Spotkał panią zaszczyt, pani admirał. Jest pani pierwszą osobą, która pozna ten sekret -  
oznajmił głos Jaggeda Fela. - Patrzy pani na awangardę Imperium Ręki.

## ROZDZIAŁ 34

Oczywiście. Oczywiście. Daala powinna była to przewidzieć, pamiętając o bliskich stosunkach Fela z niebieskoskórymi, czerwonoookimi, ksenofobicznymi Chissami. Nawet jego ochroniarz i asystent był Chissem. Az drugiej strony... skąd mogła wiedzieć?

- Pani admirał? - Głos Remala przerwał jej gonitwę myśli. - Myśli pani, że naprawdę są tym, kim Fel twierdzi, że są?

- Taak... to ma sens - stwierdziła Daala, dochodząc do siebie. Ironią losu było, że „Chimera” należała niegdyś do admirała Thrawna, od którego „ręki” wzięło nazwę Imperium Ręki. - Ale niewykluczone, że się przeliczył. Element zaskoczenia jest bardzo cenny, ale mamy zdecydowaną przewagę liczebną. Otworzyć ogień, jak tylko będziecie gotowi.

Po raz pierwszy, odkąd go znała, Remal się zawahał.

- Dynastia Chissów...

- Nie ma nic wspólnego z tymi statkami. One należą do Imperium Ręki i, jak widać, są pachołkami Jaga. Proszę nie kazać mi powtarzać rozkazu.

- Oczywiście, pani admirał.

- Wziąć na cel główny niszczyciel - poleciła. - Załatwmy najpierw te największe. Potem możemy...

To, co mogli zrobić potem, pozostało niewypowiedziane, gdyż „Chimera” zatrzęsała się nagle, zaatakowana...

- Z tyłu! - wykrzyknął Remal.

- Kto, u diabła? - Jednak Daala oczywiście wiedziała. Nie wiedziała tylko, kto konkretnie na widok chissańskich okrętów zmienił front, ale musiał to być któryś z moffów.

Remal dobrze wiedział, co miała na myśli.

- Getelles! - warknął. Jednocześnie wydał rozkaz startu myśliwców TIE i trzech korwet Daali, które miały zmiażdżyć zdrajców. Daala przyglądała się, jak statki Chissów rozpoczynają atak. Szponostatki Nssis i AirStraekery wzięły na cel myśliwce TIE, a ogromny, smukły gwiazdny niszczyciel strzelał ze swoich działek maserowych wprost w „Chimerę”. Bardziej zaawansowane od tradycyjnej broni

laserowej, stosowane wyłącznie przez Chissów masery wykorzystywały jednocześnie technologię laserową i kinetyczną.

Getelles. Daala zakłęta cicho. Wszystko stało się jasne.

- Z tego zdrajcy nie zostanie nic poza kupą cząstek w przestrzeni kosmicznej, kiedy z nim skończymy. Lecersen!

- Jestem, pani admirał - odezwał się przypochebny, ale upragniony głos Lecersena. -

Wziąłem już Getellesa na cel. Przynajmniej wiemy już, jakim cudem Jagged Fel przeżył strzał z najbliższej odległości.

Daala poczuła na twarzy falę gorąca. Głupia była, że zaufała Getellesowi. Zlekceważenie wroga było niewybaczalnym błędem. Getelles okazał się bardziej inteligentny - i bardziej przebiegły - niż podejrzewała. Wszystko zaczynało układać się w jedną całość. Najpierw Fel, potem Imperium Ręki, teraz Getelles.

- To prawda - zgodziła się z Lecersenem. - Zrób z nim, co chcesz. Oszczędź statki, jeśli się uda, ale nie przejmuj się zbytnio członkami załogi.

- Pani admirał, rzadko kiedy przejmuję się takimi rzeczami.

Wzięła głęboki oddech i poprosiła o meldunek. Nie był dramatyczny, przynajmniej na razie, ale nie był też dobry. Dwie fregaty ucierpiały, a jedna korweta została zniszczona. Kilka myśliwców zgłaszało niewielkie uszkodzenia. Ogólnie rzecz biorąc, była to jedynie drobna komplikacja. Pozostałe myśliwce, a wciąż było ich mnóstwo, skutecznie odpierały ataki szponostatków.

- Vansyn, Trevin... pomóżcie moim myśliwcom - warknęła. - Roznieśmy te statki Chissów.

Pokażemy Jaggedowi Felowi, co prawdziwe Imperium myśli o jego małym Imperium Ręki.

- Oczywiście, pani admirał! - Głos Vansyna był wyższy niż normalnie i wydawał się nieco zaniepokojony, ale na jednym z monitorów widać było, że kilka z jego myśliwców i cztery korwety już zawracają, żeby wykonać jej rozkaz. Po drugiej stronie okręty Trevina również zajmowały pozycje.

Daala skrzyżowała ręce na piersi i pokiwała głową. Zmrużyła zielone oczy zarówno z powodu oślepiającego blasku, jak i z satysfakcji, kiedy jeden z chissańskich myśliwców eksplodował na wprost niej. Miała nadzieję, że Jagged Fel, gdziekolwiek był w tym momencie, również to widział.

I nagle na skraju ekranu monitora pojawiły się kolejne światełka, a Daala ujrzała widmo z przeszłości.

Okręt na czele formacji złożonej z co najmniej kilkunastu innych statków okazał się kolejnym gwiazdowym niszczycielem, ale mniejszym i szybszym od wielu dużych okrętów.

Natychmiast zaczął atakować statki Vansyna, odciągając je od Getellesa. Inne okręty także przystąpiły do walki, jednak Daala nie mogła oderwać oczu od tego jednego. Znała go... i poczuła nagle dziwne ukłucie w sercu, gdy przywołała w pamięci nazwę statku i nazwisko jego ostatniego dowódcy.

Zwierzęta, od których ten gwiazdny niszczyciel wziął swoją nazwę, były ziemnowodnymi drapieżnikami, które, odpowiednio wytresowane, można było wykorzystać jako budzące grozę wierzchowce, i które walczyły dalej, nawet kiedy ich jeźdźcy ginęli. Podobnie jak ten okręt.

- „Krasnopłetwin” - wyszeptała Daala, a w myślach dodała: Pellaeon.

- Mówi admirał Vitor Reige - odezwał się silny męski głos. Oszołomiona Daala pomyślała, że nawet brzmi jak młody Gilad Pellaeon. - Pani admirał, jestem dowódcą „Krasnopłetwina” i imperialnej grupy uderzeniowej, podległej prawdziwemu przywódcy Imperium, Jaggedowi Felowi.

Pani pretensje do tego tytułu są nieuprawnione. Mimo to Fel polecił mi przyjąć pani kapitulację, aby oszczędzić dalszych ofiar po obu stronach. Ma pani na to piętnaście sekund.

Co się działo? Jak zdołał tego dokonać? Daala opanowała nerwy, zdając sobie sprawę, że tocząca się wokół niej bitwa ma w znacznej mierze wymiar psychologiczny - i że ta świadomość oznacza, iż Fel właśnie stracił swoją przewagę. Fel był sprytny, musiała mu to przyznać. Ten spektakularny powrót z zaświatów, ściągnięcie Imperium Ręki, a teraz jeszcze posłanie do boju

„Krasnopłetwina”, niewątpliwie wybranego specjalnie, żeby wytrącić ją z równowagi.

I rzeczywiście wytrąciło ją to z równowagi. Wszystko razem.

Zacisnęła zęby. Nie da sobie grać na nerwach ani chwili dłużej. Liczebność sił wroga zdawała się rosnać z każdą minutą, ale i tak powinna wygrać.

Chociaż...

- Wyślij wiadomość do moffów Wolbama, Calrona Młodszego i Malveka - poleciła sullustańskiemu łącznościowcowi. - Powiedz im, żeby natychmiast zawrócili z pierwotnego kursu i przylecieli tu najszybciej jak to możliwe. Ten, który dotrze pierwszy, otrzyma ode mnie specjalne podziękowania. - Miała nadzieję, że nie będą potrzebni, mimo wszystko jednak warto było pokazać Felowi, z czym się mierzy.

- Czas minął - oznajmił ten dziwnie przypominający Pellaeona głos, a iluminator wypełniły znów czerwone i zielone smugi laserowego ognia, oznaczające, że walki rozpoczęły się na trzecim froncie.

- Moff Trevin melduje, że stracił połowę floty, a jego okręt flagowy został uszkodzony -

poinformował Remal.

- Niech się wycofa i kieruje w stronę „Chimery” - poleciła Daala. Nie była z nim blisko związana, ale w końcu okręt flagowy palił mu się pod stopami tylko dlatego, że zdecydował się walczyć za nią

przeciwko Felowi. Nie miała zamiaru rzucić go dzikowilkom na pożarcie.

Fel... Gdzie on się podział? Coś tu było nie tak. Zakładała, że z początku nie pokazywał się dlatego, że chciał się popisać Imperium Ręki. Ale później... dlaczego nie było go na

„Krasnopłetwinie”? Dlaczego to Reige nim dowodził?

„Chimera” zakołysała się pod wpływem solidnego trafienia jednego z chissańskich niszczycieli.

- Pola ochronne ucierpiały, ale powinny wytrzymać jakiś czas - doniósł Remal.

Jakiś czas. Daala powróciła myślami do Fela. Dlaczego go tu nie było? Dlaczego nie obserwował przebiegu walki? Gdzie...

- Remal - warknęła. - Proszę przeskanować Exodo II i Boreleo. Dokładnie.

Spojrzał na nią z wyraźną konsternacją na patrycjuszowskiej twarzy.

- Pani admirał, jesteśmy w środku bitwy na trzech frontach. Ponosimy duże straty.

- Wykonać!

Jego twarz poczerwieniała z niezadowolenia, ale posłuchał.

- Remal, szukaj czegoś, co mogłoby zmieścić gwiazdny niszczyciel.

- Co takiego? - Remal wyglądał teraz tak, jakby był bliski stwierdzenia, że jego przełożona postradała zmysły.

- On musi gdzieś tu być. Ukrywa się na tym swoim przeklętym statku. - Daala nie mogła się zmusić, żeby wypowiedzieć jego nazwę.

- Jak miałby ukryć cały gwiazdny niszczyciel?

I nagle zrozumiała.

- Kopalnie na Boreleo - powiedziała, składając wszystko w jedną całość. - Wnętrze księżycy jest podziurawione tunelami i jaskiniami. A te odłamki, które niedawno zauważyliśmy, są wystarczająco gorące, żeby zafałszować wyniki przy pobieżnym skanowaniu. - A nasze takie właśnie było, pomyślała.

Na twarzy Remala pojawił się jednocześnie wyraz zrozumienia i niepokoju. Odwrócił się ponownie w stronę skanera, ale, jak się okazało, niepotrzebnie. Całkiem jakby Fel usłyszał ich rozmowę albo, co bardziej prawdopodobne, uznał po prostu, że pora wywołać popłoch w jej flocie kolejną demonstracją, z ciemnej strony księżycy wyłonił się olbrzymi i onieśmielający „Gilad Pellaeon”.

Ta sztuczka może udać się tylko raz, Fel, pomyślała Daala.

- Lecersen? - powiedziała. - Chciałabym zwrócić twoją uwagę na Boreleo.

- Tak... widzę. To chyba nie to, co myślę... albo ten, o kim myślę?

- To twój szczęśliwy dzień, Drikl - odparła Daala z gorzką i złośliwą satysfakcją. - Zdaje się, że miałeś coś specjalnego dla Jaggeda Fela?

- Istotnie, miałem... i mam - potwierdził z dawną pewnością siebie w głosie.

- Daj mu to.

- Z przyjemnością.

Natasi Daala stała na mostku „Chimery”, prawie nie mrugając. Serce biło jej szybciej z podniecenia. Jagged Fel w pełni sobie na to zasłużył. Miał czelność nazwać swój okręt flagowy imieniem człowieka, którego ona lubiła i podziwiała. Zarekwirował i przywłaszczył sobie jego statek. Wypaczał, plugawił i hańbił wszystko to, czym było Imperium. Zdewaluował je nawet, sprzymierzając się z innym tak zwanym Imperium.

I teraz w końcu za to zapłaci.

Trzy sekundy później jej usta wykrzywił ledwo dostrzegalny uśmiech, gdy na ciemnoszarej powierzchni ogromnego okrętu wykwitły cztery potężne kule śmiertelności ognia. Płomienie wysokości pięter, podsycane przez atmosferę samego statku, lizały łapczywie ziejące dziury, z których buchały kłęby czarnego dymu. Ciała, fragmenty grodzi i inne odłamki wylewały się niczym krew z rany.

Wreszcie.

Ashikowi nie podobał się pomysł Jaga z kilkoma różnymi etapami bitwy. Plan Chissa, rozsądny, ale niewyszukany, był taki, żeby zebrać po prostu wszystkie okręty, jakie Fel miał do dyspozycji, zaatakować wszystkimi naraz i zmiażdżyć flotę Daali najszybciej jak się da.

Jag się nie zgodził.

- Muszę ją złamać - oświadczył - i jej moffów także. Wytrącić ją z równowagi. Upokorzyć przed nimi. Mamy wiele rzeczy, którymi możemy ją zaskoczyć i być może skłonić więcej moffów niż tylko Getellesa, żeby zwrócili się przeciwko niej.

- Wojna psychologiczna - powiedziała przysłuchująca się rozmowie Tahiri. - Sprytnie. Jeśli uda się ich odpowiednio szybko zastraszyć, to może nie trzeba będzie zabić tak wielu z nich. Nawet Daali. I o to chodzi.

- Właśnie.

- Nie ufam Getellesowi - stwierdził Ashik, marszcząc brwi.



- Właściwie to ja też mu tak do końca nie ufam - przyznał Jag. - Ale on potrafi rozpoznać mądre decyzje. I niewątpliwie ma motywację.

Z początku wszystko szło idealnie. Imperium Ręki, zdrada Getellesa, „Krasnopłetwin” i teraz pojawienie się samego Jaga gotowego do walki. A potem oberwali pociskami z baradium.

Teraz „Gilad Pellaeon” był śmiertelną pułapką. „Twórca Imperium” został zidentyfikowany jako statek Drikla Lecersena, a Lecersen bez wątpienia wiedział, co robi. Pociski trafiły dokładnie tam, gdzie mogły wyrządzić największe szkody, więc wszyscy rzucili się do myśliwców, korwet i frachtowców, jak również kapsuł ratunkowych. Te statki, które mogły walczyć, ruszały do walki.

Inne miały być zabrane przez „Krasnopłetwina”, wciąż zmagającego się z siłami Daali.

Jag, Tahiri i Ashik popędzili w kierunku jednego z hangarów. Dym wypełniał już powietrze, a od syren alarmowych pękały bębenki w uszach. Wszyscy troje zdołali złapać maski do oddychania i przyciskali je teraz mocno do twarzy, podczas gdy ich buty stukały o metalowy pokład

„Pellaeona”. Wiele statków już odleciało, ale kilkanaście jeszcze zostało. Ci, dla których zabrakło miejsca na statkach, musieli użyć kapsuł ratunkowych. Jag nie wyobrażał sobie, żeby Daala, przy całej swojej bezwzględności, chciała je atakować. Choćby dlatego, że byłaby to strata amunicji, jako że kapsuły nie miały broni.

Pozostało jedenaście myśliwców obronnych typu TIE.

- To najlepszy wybór - zawyrokował Ashik. Jag skinął głową. Maszyny były dość stare, ale szybkie, zwrotne i potrafiły wytrzymać ogień wielu wrogów. Poza tym każda mogła zabrać tylko jedną istotę. Więcej celów zwiększało ich szanse przeżycia.

- Lepiej, żebym cię zobaczył na „Krasnopłetwinie”, Tahiri - ostrzegł Jag, wchodząc do kulistej kabiny myśliwca. - Wciąż czeka cię proces. Ostrzelanie przez Daalę to nie powód, żebyś nie stawiała się na rozprawę.

Jasnowłosa kobieta rzuciła mu przelotny uśmiech.

- Znam warunki zwolnienia warunkowego.

- Sir - wtrącił Ashik, a ton jego głosu sprawił, że Jag odwrócił głowę i popatrzył bacznie na swojego ochroniarza i przyjaciela. - Proszę pamiętać... te statki mają hipernapęd.

Jag wiedział, co Ashik ma na myśli - gdyby Jag miał problemy z dotarciem na

„Krasnopłetwina”, powinien się wycofać. Jag dał znak, że zrozumiał - ale nie że przyjął -

niewypowiedzianą sugestię Ashika. To była jego bitwa, tu było jego miejsce. Nie miał zamiaru uciekać.

Raptem siedem minut później trójskrzydłowy myśliwiec Jaga znalazł się pod ostrzałem aż trzech okrętów. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie domyślili się jakoś, że to on, ale zaraz zobaczył, że inne statki uciekające z „Pellaeona” również są osaczane. Jag widział z tej odległości ziejące dziury i żarłoczne płomienie trawiące „Pellaeona”, nie było jednak czasu na opłakiwanie zmarłych - jeśli nie chciał do nich dołączyć.

Chroniony przez generatory pól siłowych Novaldex, niemal tak potężne na myśliwcach obronnych jak na dużych okrętach, wystrzelił z działek laserowych L-s 9.3, zamontowanych na dwóch dolnych skrzydłach ze stali quadanium. Trafił jeden z myśliwców TIE i zobaczył z satysfakcją, ale bez przyjemności, jak błyskawicznie eksploduje. Jag zanurkował, uciekając przed nadlatującymi z ogromną prędkością szczątkami statku, i przemknął pod pozostałymi dwoma myśliwcami. Spojrzał na lawinę informacji spływających na jego komputer. „Krasnopłetwin” był

jeszcze za daleko, żeby mógł się poczuć bezpiecznie.

Cztery kolejne statki zbliżyły się do niego, lecąc z tyłu w pozornie nieskoordynowanym szyku. Jag jednak dobrze wiedział, co robią. Myśliwiec obronny miał jeden słaby punkt - rufę.

Przeciwnicy Jaga, dobrze zaznajomieni z konstrukcją imperialnych myśliwców linii TIE, bez wątpienia zdawali sobie z tego sprawę i szukali pozycji do oddania celnego strzału.

Jag przełączył całą moc na tylne pola ochronne, po czym zwolnił, poderwał myśliwiec niemal pionowo w górę i zrobił pętlę, która pozwoliła mu znaleźć się za obydwoma statkami.

Szybko się z nimi uporał, wykorzystując nie tylko działka laserowe, ale też dwa działka jonowe NK-3, zamontowane na górnym skrzydle. Jeden z przeciwników od razu eksplodował, a siła wybuchu posłała odłamki w maszynę jego towarzysza, całkowicie odrywając jedno ze skrzydeł; nieszczęsny pilot wpadł w korkociąg.

Jag miał teraz na monitorze „Krasnopłetwina”. Wcisnął guzik.

- Niebieski Chłopczyk do Czerwonego Jeźdźca, podaję położenie: alfa siedem-dwa. Kieruję się w waszą stronę najszybciej jak się da.

- Widzimy cię, Niebieski Chłopczyku - odezwał się głos Reige'a. - Zmierzamy w kierunku punktu zbornego. Radzimy się pospieszyć.

- Jakież informacje na temat Popiołu i Piasku?

- Popiół dotarł, czekamy jeszcze na Piasek.

Kryptonim Niebieski Chłopczyk wymyślił Ashik w rzadkim przypiływie figlarnego nastroju.

Jag, raczej niski, zarówno według ludzkich, jak i chissańskich standardów, był jedną z niewielu istot, które ksenofobiczni Chissowie uznawali za równe sobie.

Kryptonim był więc przytykiem i zaszczytem zarazem. W tym samym żartobliwym tonie Jag

zapropował Piasek dla Tahiri, która dorastała na Tatooine, i Popiół dla Ashika [Ash (ang.) -

popiół (przyp. tłum.)]. Poczł ulgę, że Ashikowi się udało, i stłumił w sobie troskę o Tahiri. Jego...

ochroniarz? podopieczna?::, albo sobie poradzi, albo nie. Jag nie miał na to żadnego wpływu.

Z radością powitał dwa lśniaco białe szponostatki, które przysły mu z odsieczą w samą porę, żeby odeprzeć atak jednego z eskortowców moffa. Zatańczyły wokół niego, gdy tymczasem Jag skupił się na „Krasnopłetwinie” widocznym już gołym okiem.

I nagle, nie wiedząc, co się stało, zaczął wirować w niekontrolowany sposób, bezradny niczym ptak porwany przez tornado. Obok przelatywały ogromne odłamki, niektóre wielkie jak cały gwiazdny niszczyciel. Jag, cały czas gorączkowo próbując odzyskać panowanie nad myśliwcem, rzucił tylko krótkie spojrzenie w kierunku odłamków - jednak wystarczyło mu to, żeby zorientować się, że nie są to szczątki okrętów. Jeden z mniejszych odłamków uderzył w jedno z jego skrzydeł i posłał go w innym kierunku.

W końcu Jag zdołał wyjść z korkociągu. Przeprowadził szybkie skanowanie statku. O

dziwo, okazało się, że poza poważnie uszkodzonym jednym skrzydłem myśliwiec obronny TIE -

tak samo jak jego pilot - był nienaruszony.

- Niebieski Chłopczyku, mamy twój myśliwiec w zasięgu promienia ściągającego. Przygotuj się do wejścia na pokład Czerwonego Jeźdźca.

Jag odetchnął z ulgą. Teraz dopiero miał czas, żeby się rozejrzeć, i zobaczył coś, co z daleka wyglądało jak rozbite jajo. I wtedy zrozumiał, co się stało.

Jakimś cudem Daala zdołała rozwalić orbitujący wokół Exodo II księżyc.

Było to rozpaczliwe posunięcie, ale pozwoliło im zyskać trochę czasu. Kiedy Lecersen zaproponował wystrzelenie kilku pocisków z baradium w słaby punkt Boreleo, w pierwszej chwili pomyślała, że oszalał.

- W jakim celu? - spytała z niedowierzaniem.

- Zrobimy chaos i nieład, i wiele statków zostanie rozwalonych na kawałki przez fruwające odłamki - odparł Lecersen.

Daala już otworzyła usta, żeby odrzucić pomysł - wołała porządek od chaosu, a poza tym także jej statki znalazłyby się w niebezpieczeństwie - gdy nagle zrozumiała. Szybko wydała rozkazy Lecersenowi i Vansynowi - Trevin przepadł razem ze swoim okrętem flagowym - i zaczęli przesuwać strefę walk, tak żeby statki Jaga znalazły się między nimi a skazanym na zagładę księżycem.

Lecersen miał rację. Była to dosyć nietypowa taktyka, ale i tak przyniosła niemało chaosu, nieładu i

statków rozwalonych na kawałki przez fruwające odłamki. Dała wykorzystała ten zamęt, żeby wysłać swoje statki po uszkodzone jednostki. Podwładni Jaga mogli się poddać i albo przyłączyć się do niej, albo trafić do niewoli, miała jednak przeczucie, że niewielu z nich wybierze tak łatwe wyjście.

Wkrótce zaczęły spływać meldunki o stratach - wśród jej własnych okrętów oraz tych należących do Lecersena, Vansyna i Trevina. Było gorzej, niż się spodziewała. Liczne

„niespodzianki”, które przygotował dla niej Jag, przyniosły zamierzony skutek - zaskoczyły ją i jej sprzymierzeńców. Z kontyngentu Trevina nie zostało prawie nic, Vansyn poniósł ciężkie straty, a jej własne statki również poważnie ucierpiały. Wiele z nich było uszkodzonych do tego stopnia, że nie mogły wykonać skoku w nadprzestrzeń - między innymi „Chimera”. Można było je naprawić, ale wymagało to czasu, a tego akurat nie mieli.

No i nie miała żadnych informacji od pozostałych moffów, z którymi próbowała się skontaktować.

Przeglądała listę statków, odnotowując, które są kompletnie zniszczone, które mają mniejsze uszkodzenia, a które są wciąż zdolne do walki. Jej wzrok padł na jeden z okrętów Lecersena i zacisnęła usta. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Mogło się nie udać, ale niewątpliwie warto było spróbować.

- Skontaktuj się natychmiast z Lecersenem. Mam dosyć nietypowe zastosowanie dla jego krążownika klasy Interdictor.

Gdy Jag wszedł na mostek „Krasnopłetwina”, Ashik i Vitor Reige mu zsalutowali. Jag odsalutował, uśmiechnął się i skinął głową Ashikowi, po czym podał rękę Reige’owi. Ciemnowłosy admirał uścisnął ją mocno, patrząc Jagowi głęboko w oczy.

- Witam na pokładzie. Pańska... podopieczna już dotarła. Jest teraz w naszym areszcie.

Jag pokiwał głową; można się było tego spodziewać. Vitor Reige był protegowanym Gilada Pellaeona i chociaż został poinformowany o aktualnej, wyjątkowej sytuacji Tahiri, trudno było się dziwić, że do czasu przybycia Jaga postanowił umieścić „więźnia” w miejscu, które uznał za najbezpieczniejsze.

- Może pan ją wypuścić i przekazać z powrotem pod moją kuratelę, admirale. Dziękuję za pomoc. Nadeszła w samą porę. Jak wygląda wasza sytuacja?

- Cały czas ratujemy załogę „Pellaeona” - odparł Reige. - Przygotowałem dla pana raport na temat zniszczeń...

- Admirale! - rozległ się zdumiony okrzyk. Młody, rudowłosy człowiek, zapewne adiutant Reige’a, wskazywał na iluminator. - Kawałki księżyca... ruszają się!

- Oczywiście, że się ruszają... - Reige spojrział i zamilkł. Kawałki Boreleo się nie ruszały.

Ktoś nimi ruszał.

Jag, Ashik i Reige, niemal nieświadomie, podeszli bliżej iluminatora. Jag patrzył z niedowierzaniem, jak krążownik klasy Interdictor, wykorzystując swoje generatory studni grawitacyjnych, przesuwał kawałki roztrzaskanego księżyca.

- Ten statek należy do Lecersena, a nie do Daali - stwierdził Ashik.

- I układa blokadę z tego, co zostało z Boreleo - warknął Jag. - Chce zabarykadować siebie i innych w środku.

- Wcześniej my się schowaliśmy w księżycu, a teraz oni chcą zrobić to samo - zauważyła Tahiri. - To podobne do Daali.

- Niedoczekanie - powiedział ponuro Jag. - Admirale, macie teraz jeden nadrzędny cel.

Powstrzymać tego Interdictora!

Daala obserwowała, jak załoga „Łapacza Kagów” ustawia cztery studnie grawitacyjne tak, żeby przyciągały kawałki martwego księżyca, tworząc z nich tarczę. Uczucie ulgi walczyło w niej z niepokojem. Wiedziała, że będą chronieni, ale jednocześnie uwięzieni, a gdy tylko Jag zorientuje się, co robią, zaatakuje „Łapacza Kagów”. A wtedy statek z wybawcy może się zamienić w metalową trumnę, reszta jej floty zaś zostanie zbombardowana, jeśli Daala się nie podda.

Jednak nie było innego wyjścia. To powinno przynajmniej dać jej trochę czasu, a jeśli moffowie pozostaną jej wierni, być może także się uratować. „Chimera”, „Twórca Imperium” Lecersena i „Wyvard” Vansyna razem z niemałą częścią pierwotnej floty skupione były blisko siebie. Daala przyglądała się, jak potężne kawały księżyca powoli, ale konsekwentnie ustawiają się wokół nich. Nie pasowały oczywiście do siebie jak elementy układanki, ale „Łapacz Kagów” z podziwu godną skutecznością zmniejszał szczeliny pomiędzy nimi.

Po drugiej stronie rosnącej skorupy rozbitego księżyca Daala widziała fragmenty toczącej się wciąż bitwy. Co jakiś czas parę myśliwców z jej floty wlatywało do środka przez otwory w blokadzie. Początkowo ścigały je myśliwce Jaga, jednak z łatwością stręcane, wkrótce całkowicie zrezygnowały z pogoni.

- Co teraz, pani admirał? - spytał Remal.

- Teraz - powiedziała Daala - czekamy.

- Moglibyśmy ich wykończyć - stwierdził Ashik. - Wystarczy po prostu walić w kawałki księżyca. Oni są całkowicie uwięzieni i bezbronni.

- Uwięzieni tak, bezbronni nie - odparła Tahiri. Jag przedstawił jej aktualną sytuację, gdy tylko do nich dołączyła. - Jestem pewna, że Daala wezwwała posiłki. Getelles mówił, że to ma być tylko koncentracja jej sił. Mogą się tu zjawić w każdej chwili.

- W każdej chwili albo wcale - zauważył Jag. - Daala i ja mamy podobny problem: czy ci, do których zwróciliśmy się o pomoc, faktycznie nam jej udzielą? Jestem przekonany, że jak tylko wieści o tej

sytuacji się rozniosą, nagle się okaże, że moje imperialne statki są potrzebne w całej galaktyce, tylko nie tutaj. - Potarł oczy.

Adiutant Reige'a powiedział mu coś po cichu. Admirał pokiwał głową i odwrócił się w stronę Jaga.

- Pański przyjaciel moff Getelles pragnie z panem rozmawiać.

- Proszę go połączyć - polecił Jag.

- Nasz plan zadziałał znakomicie, jak sędzę - odezwał się wizerunek Getellesa na ekranie.

Promieniał radością, chociaż wyglądał na wyczerpanego.

- I ja tak myślę - zgodził się Jag. - Muszę wyznać, że po raz pierwszy dobrowolnie zdecydowałem się na współpracę z kimś, kto ją rozpoczął od ogłuszenia mnie blasterem.

- Musisz też przyznać - powiedział Getelles, chichocząc lekko - że to kompletnie zmyliło Daalę.

- Na pewno zmyliło mnie - stwierdziła Tahiri, stając obok Jaga. - Całe szczęście, że Jag się ocknął, zanim weszłam.

Jag obudził się wkrótce po tym, jak Getelles złożył meldunek Daali. Getelles był sprytny -

położył blaster na stole i podniósł ręce do góry, jak tylko Jag zaczął cicho stękać.

- Oddaję się w twoje ręce, ale proszę, wysłuchaj mnie najpierw!

Jag złapał blaster i wycelował go w Getellesa. Tahiri, która słyszała odgłos strzału -

pomieszczenie nie było dźwiękoszczelne, wbrew temu, co powiedział Daali Getelles - wpadła do środka z mieczem świetlnym w gotowości.

- Daj mu skończyć - polecił Jag swojej podopiecznej. - To powinno być niezłe.

I rzeczywiście było.

- Daala chciała cię zabić - wyjaśnił Getelles. - No i teraz jesteś zabity. Mój plan zadziała, jeśli twoi podwładni zechcą współpracować. Powiem ci, gdzie ona będzie za dwanaście godzin. Ty się tam zjawisz, a ja przejdę na twoją stronę na tych samych warunkach, które ustaliliśmy wcześniej.

- Jest coś jeszcze, o czym musisz wiedzieć i co powinno umocnić naszą umowę - oznajmił

Jag. - Faktycznie mam nagranie twojej rozmowy z Daalą. Mam też nagranie jej rozmowy z innym moffem, Porrakiem Vansynem. Wygląda na to, że tak naprawdę wcale nie zapomniała ani ci nie wybaczyła, Tol. Planowała się ciebie pozbyć, jak tylko umocni swoją pozycję, i przekazać wszystkie twoje dobra Vansynowi.

Jag z rozbawieniem przypominał sobie fioletowoczerwony odcień, jaki przybrała wówczas twarz Getellesa.

Odtworzył mu nagranie, na wypadek gdyby Getelles myślał, że blefuje. Kiedy moff usłyszał

jego treść i pogardę w głosie Daali, gdy o nim mówiła, faktycznie stał się całym sercem jego sojusznikiem, co udowodnił w początkowej fazie bitwy.

- Myślę, że nadszedł czas, żebyśmy się rozliczyli.

Jag popatrzył na niego z zaciekawieniem.

- Co masz na myśli?

- No cóż, z pewnością zdajesz sobie sprawę, że próbka odmładzającego serum, którą... eee, przyjąłem od ciebie, była fałszywa. Zgodziłeś się oddać mi skradzioną próbkę w ramach umowy.

- Och, nie wydaje mi się.

Uśmiech Getellesa przygasł.

- Powiedziałeś, że oddasz próbkę!

- Prosiłeś o fiolkę leżącą na stole. „Tę tutaj”, tak dokładnie brzmiały twoje słowa, jeśli dobrze pamiętam. Dałem ci tę fiolkę.

Uśmiech zniknął na dobre.

- Miałem o tobie lepsze mniemanie, Jagu Fel. Takie sztuczki ci nie przystoją!

- A produkcja tego rodzaju nielegalnych leków nie przystoi tobie, moffie - odgryzł się Jag, nie próbując nawet ukryć odrazy. - Dotrzymam swojej części umowy. Nie pociągnę cię do odpowiedzialności za te eksperymenty ani za żadne wcześniejsze przestępstwa i przewinienia.

Stając po mojej stronie, przyczyniłeś się do zachowania ładu w galaktyce i sądzę, że zasłużyłeś tym samym na wybaczenie. Wiedz jednak, że przyślę kogoś, żeby zbadał laboratoria, w których powstało to serum, i wszystko, co ma związek z tymi eksperymentami, zostanie zniszczone, o ile sam tego jeszcze nie zrobiłeś. Możesz zachować swój majątek, swoją reputację, jaka by nie była, wolność i głowę. Myślę, że to wystarczy. Zgadzasz się?

Gniew minął i teraz Getelles wyglądał po prostu na zrezygnowanego.

- Tak jest - powiedział, salutując. - Jak tylko wrócę na Antemeridias, laboratoria zostaną rozebrane, a wyniki badań zniszczone.

- Miło, że się rozumiemy. Doceniam to, co dla mnie zrobiłeś. - Jag się rozłączył, po czym wyjął z kieszeni małą fiolkę i popatrzył na nią z zadumą.

- Co tam właściwie jest, że tak bardzo mu na niej zależało? - spytała Tahiri.

Jag się uśmiechnął.

- Coś, co może bardzo ucieszyć rodzinę - powiedział jedynie.

## **ROZDZIAŁ 36**

### **Świątynia Jedi, Coruscant**

- Jakaż to satysfakcja - stwierdził Wielki Lord Vol. - Wkrótce nasza dominacja nad tym światem będzie kompletna. A potem nic już nas nie zatrzyma.

Razem z Arcylordem Ivaarem Workanem szli przez Wielki Hol Świątyni Jedi.

- Miałem nadzieję, że uda nam się przygotować na twoje przybycie plan całej Świątyni - powiedział Workan - ale natrafiliśmy na pewne problemy.

- Wygląda na to, że było ich niemało - zauważył Lord Vol. Zgarbiony nieco ze starości, sięgał Workanowi zaledwie do ramienia. - Teraz jednak, gdy ja tu jestem, z pewnością wszystko pójdzie gładko. Miałeś niełatwe zadanie. Być może powinienem był przybyć na początku naszej infiltracji.

Imponujące, starożytne piękno Świątyni sprawiało radość Wielkiemu Lordowi Volowi.

Cieszył się, że nie byli zmuszeni zniszczyć tego pradawnego miejsca siły Jedi, bo wystarczyło je zająć. Pomyślał z goryczą o Tahv, przepięknym Szklanym Mieście, które teraz leżało w roztopionych ruinach, i pożałował tego, jak szorstko rozmawiał z Workanem przed przylotem na Coruscant. Rzeczywiście Workan został obarczony zadaniem niemal ponad siły i w sumie spisał się dobrze.

- To nie ma znaczenia, mój panie - odparł Workan, nie wiedząc, czy traktować słowa Wielkiego Lorda jako gest pojednawczy. - Twoje decyzje zawsze są właściwe. Pomimo trudności -

rozpostarł ręce - jesteśmy oto w samym sercu Świątyni Jedi. Wkrótce nasza dominacja nad tym światem będzie pełna. A potem nic już nas nie zatrzyma. - Zawahał się. - Panie, jakie są wieści z Kesh? Co się dzieje z naszą ojczyzną?

- Tahv zostało opuszczone - oznajmił z powagą Vol. - Zbyt mało z niego zostało, żeby można było tam bezpiecznie mieszkać. Nie straciliśmy jednak wiary w ciebie i to przedsięwzięcie.

I wygląda na to, że ta wiara była uzasadniona. Oto powstałem z popiołów spalonego miasta, a od zwycięstwa dzielą nas już tylko godziny. Próbując nas zniszczyć, Abeloth uczyniła nas jeszcze silniejszymi. Doprowadziła nas do tego miejsca, podczas gdy sama przemyka chyłkiem po galaktyce, prawdopodobnie atakując światy niezdolne do stawienia oporu, żeby polechtać swoją próżność, gdy tymczasem my rośniemy w siłę.

Odwrócił się w stronę młodszego mężczyzny i położył mu rękę na ramieniu.



- Arcylordzie Workan, znakomicie się spisałeś. Zapamiętam twoją wierność i twoje wysiłki.

Workan uklonił się nisko, wyraźnie uspokojony.

- Jestem zaszczycony. Wszystko dla chwały Zapomnianego Plemienia, dla Sithów i dla ciebie.

Vol sądził, że on faktycznie w to wierzy. Dobrze zrobił, promując tego człowieka, pomimo „trudności”.

- Opowiedz mi wszystko o Rokari Kem - poprosił, idąc dalej.

I Workan opowiedział. Mówił o jej przeszłości, o walce o wolność dla Jessarów, o stworzonym przez nią wizerunku kochającej, łagodnej istoty, która nie pragnęła władzy dla siebie.

- A tymczasem wcale taka nie jest - zakończył. - Jest ambitna, arogancka i chciwa.

- Ustaliłeś, czy wie, kim jesteśmy?

- Nie - odparł Suldar. - Ale widziałem, jak z każdym dniem przeciąga na swoją stronę coraz więcej naszych sojuszników. Powiadam ci, panie, tylko ona stoi nam na drodze. Gdy tylko ją wyeliminujemy, będziemy mogli otwarcie przejąć władzę nad tym światem, jeśli sobie tego zażyczysz. Niech galaktyka się dowie, że Sithowie, prawdziwi Sithowie, przebudzili się ze snu i są gotowi zawładnąć tą galaktyką, tak jak jest nam przeznaczone.

- Być może - zadumał się Vol. - Chociaż w tajemnicy jest siła. Nie zdradziłeś się?

- Nie, mój panie - zapewnił go Workan. - Nikt, poza być może Roki Kem, niczego nie podejrzewa. Nawet nasza uwięziona Jedi.

Vol przyjrzał mu się, marszcząc lekko brwi. Na tym właśnie polegał według niego problem z młodymi - arogancja i entuzjazm stawały się niekiedy ich zgubą. Vol żył na tyle długo, że nauczył się doceniać cierpliwość.

- To nie jest zwykła Jedi - przypomniał Workanowi. - To księżniczka Leia Organa, która swego czasu przyczyniła się do obalenia Imperium.

Workan uśmiechnął się drwiąco.

- Gnije w celi, mój panie. Nie ma żadnych innych Jedi, którzy mogliby ją uratować. Nawet mąż ją porzucił. Zabrał ich adoptowaną córkę i uciekł z tego świata.

- Nie byłbym tego taki pewien. Cóż, i tak mamy większe zmartwienia - dodał Vol i uniósł

rękę, widząc, że Workan chce zaprotestować. - To dobrze, że nie narażałeś na szwank naszej tajemnicy. Powinniśmy wykorzystywać niewiedzę Coruscant jak najdłużej. Zajmę się tą Roki Kem.

Jesteś absolutnie pewien, że nie jest użytkowniczką Mocy?

Workan obruszył się lekko.

- Jak już ci mówiłem, nikt nic nie wyczuł. Najwyraźniej cała jej potęga bierze się stąd, że potrafi wzbudzać w innych uwielbienie i wykorzystując to, chciwie sięga po władzę.

- To cenna umiejętność sama w sobie - zauważył Vol. - Nie lekceważ jej. Ale i tak, niezależnie od jej politycznych wpływów, nie może się ze mną równać. - Nie była to arogancja, tylko po prostu prawda. - Druga fala Sithów czeka na moje instrukcje. Są gotowi do ataku lub dalszej infiltracji, w zależności od tego, co uznam za najwłaściwsze, kiedy wyeliminuję Kem. Co zrobię jeszcze dziś - dodał. - Plemię czekało na tę chwilę pięć tysięcy lat; nie mogę się doczekać, żeby ją przeżyć.

- Jak sobie życzysz, mój panie - powiedział Workan i pokłonił mu się.

Nawet nie próbował ukryć swojego podniecenia i dumy, a Vol nie miał zamiaru go za to ganić. Niech on i pozostali Sithowie - ludzie, działający publicznie, oraz Keshiri, operujący w tajemnicy za kulisami - nacieszą się tą chwilą, zanim przyjdzie czas na ciężką pracę przy rządzeniu galaktyką.

Workan dosyć wcześnie zaczął świętować. Otworzył butelkę burtalle, którą przysłał mu ten paskudny senator Wuul z Sullusty, najwyraźniej próbując pozyskać jego względy. Obaj niejednokrotnie się ścierali, ale Workan potrafił rozpoznać istotę zdecydowaną zachować to, co ma, więc te potyczki sprawiały mu nawet przyjemność. Zwłaszcza kiedy prezent na przeprosiny był tak pyszny jak ten trunek, który godzinę był otwarciem drugiej butelki, a może nawet i trzeciej.

Więc kiedy o nieprzyzwoicie wczesnej godzinie nadeszło wideopojęcie, obudził się lekko nieprzytomny i dezorientowany.

Workan wiedział, kto to może być, ale, podnosząc się z łóżka z bólem głowy i uczuciem suchości w ustach, pomyślał, że Wielki Lord Vol mógł zaczekać z obwieszczeniem triumfu Sithów do bardziej przyzwoitej pory.

Zarzucił szlafrok, podszedł chwiejnym krokiem do fotela i wcisnął guzik włącznika.

I w jednej chwili otrzeźwiał.

To nie był Lord Vol. To była Roki Kem.

Mrużyła duże zielone oczy w uśmiechu, który wydawał się leniwy, ale nie miał w sobie żadnego ciepła. Uniosła trójpalczastą rękę i pomachała do niego.

- Dzień dobry, senatorze - powiedziała melodyjnym głosem.

Czyżby Vol nie zaatakował? A może została uprzedzona o jego zamiarach? - zastanawiał się Workan. Jego szósty zmysł bił na alarm. Coś poszło bardzo, bardzo źle.

- Byłby lepszy, gdybym mógł obudzić się o zwykłej porze - odparł przyjemnym głosem, chociaż

pozwolił sobie dodać nutkę irytacji i konsternacji.

- Bardzo mi przykro - powiedziała, a jej głos brzmiał autentycznie przepraszająco. - Ale trafiłam na coś, co należy chyba do ciebie, i chciałam, żebyś wiedział, że się znalazło.

Podniosła do góry głowę Lorda Vola.

Wielki Lord Zapomnianego Plemienia zginął w męczarniach lub w przerażeniu - być może w jednym i drugim, sądząc po otwartych szeroko oczach i rozdziawionych ustach. Workan wzdrygnął się mimowolnie ze zgrozy. Ogarnął go czysty, niepohamowany strach.

- Kim... kim ty jesteś? - wydukał.

Uśmiech Roki się rozszerzył, a jego słodycz nieprzyzwoicie kontrastowała z odciętą głową, którą cały czas trzymała w ręku.

- To, kim jestem, nie ma znaczenia. Bardziej powinno cię interesować, kim będę. Kim pomożesz mi się stać.

Czekała, rozkoszując się jego bezradnością i przerażeniem. Workan przełknął ślinę i posłużył się Mocą, żeby uspokoić drżące ciało. Odzyskując częściowo opanowanie, które pozwoliło mu dojść do pozycji Arcylorda, spytał:

- A więc kim?

Jej uśmiech rozszerzył się jeszcze bardziej, a błękitna twarz promieniała szczęściem.

Ukochaną Królową Gwiazd - wyszeptała.

Workan doszedł do siebie na tyle, że prychnął w odpowiedzi lekceważąco.

- A cóż to za tytuł? Jesteś szalona!

Pokręciła głową, a jej długie, falujące, niebieskozielone pukle zakołysały się łagodnie.

- O nie, Workan. Po prostu widzę więcej niż ty. Moja wizja - niemal wymruczała te słowa - jest ogromna. Spotkasz się ze mną... jutro. Tak?

- ...T-tak.

To mogło wyjść mu na korzyść, stwierdził Workan. Po śmierci Wielkiego Lorda Vola był

praktycznie najwyższym rangą Sithem, nie tylko na Coruscant, ale w całym Zapomnianym Plemieniu. Oczywiście nie była to oficjalna godność, ale też nie musiała. Odpowiadał za najważniejszą misję, jaką Sithowie kiedykolwiek podjęli. Nikt nie powinien oponować przeciwko temu, żeby przejął obowiązki zmarłego Wielkiego Lorda. Przynajmniej tymczasowo. A Workan wiedział, że

„tymczasowo” przy odpowiednich machinacjach mogło oznaczać coś całkiem trwałego.

Workan nie wiedział, jak Roki Kem zdołała pokonać tak niezrównanego użytkownika Mocy jak Wielki Lord Vol, a nie mógł jej raczej o to zapytać. Mógł jedynie zakładać, że albo Wielki Lord popełnił jakiś poważny błąd, który Roki wykorzystwała, albo ona sama była wyjątkowo potężnym użytkownikiem Mocy. Jeśli to pierwsze, to okazała się po prostu arogancka. Jeśli to drugie... cóż, stare porzekadło Zapomnianego Plemienia mówiło: „Cień drugiego chroni przed żarem słońca”.

Wprawdzie sława i podziw mogły dawać ogromną satysfakcję, jednak czasem dobrze było przycziąć się w cieniu i pozwolić, żeby ktoś inny stał się obiektem ewentualnych ataków.

Najpierw ostrzegęła go, żeby nie wchodził jej w drogę. Więc czemu teraz chciała się z nim spotkać?

„Kim pomożesz mi się stać”.

Teraz, gdy minął już pierwszy szok i przerażenie, Workan był bardzo ciekaw, co z tego może wyniknąć.

Zaproponowała spotkanie w Zakątku, modnej restauracyjce z grillem usytuowanej w pobliżu Senatu, która specjalizowała się w śniadaniach i była otwarta od czwartej rano do południa.

Workan stwierdził, że i tak już pewnie nie uśnie, więc chętnie na to przystał. Słońce ledwie rozjaśniało zawsze brązowe niebo, gdy wszedł do uroczego, małego lokaliku. Twi’lekańska kelnerka przywitała go i zaprowadziła do ustronnego stolika.

- Miło nam pana gościć - powiedziała, nalewając mu bardzo pożądaną filiżankę parującego czarnego kawy. - Będzie pan sam, czy kogoś się pan spodziewa?

- Senator Roki Kem powinna się wkrótce zjawić - odparł. Twi’lekance zaświeciły się oczy.

- Roki Kem? Naprawdę?

Poczuł irytację, że tak przyćmiewa go swoją popularnością, ale przypomniał sobie ponownie tamto stare powiedzenie. Zorientował się, kiedy weszła Roki, po nagłej burzy oklasków.

Oklaski dla senatora? Tutaj, w restauracji, która widziała pewnie niejedną znaną osobę? Workan pokręcił głową.

- Proszę, proszę! - dobiegł go melodyjny głos, zabarwiony odpowiednią dozą wdzięczności i zakłopotania. - Dziękuję. To bardzo miłe. Proszę, siadajcie i dokończcie w spokoju śniadanie!

Usiadła naprzeciwko niego i chociaż wiedział już, że nie powinien dać się zwieść jej czarującej powierzchowności, mimo wszystko uśmiechnął się lekko na jej widok.

- Mają tu świetny omlet z jaj peko peko, a także świeży sok z brula - poinformował ją.

- Brzmi wspaniale - stwierdziła Roki, posyłając nieco stremowanej kelnerce promienny uśmiech.

Gdy tylko Twi'lekanka się oddaliła, Roki odwróciła się w stronę Suldara, a jej uśmiech stał się drapieżny.

Cień, w istocie.

- Cieszę się, że nie musiałam i ciebie wyeliminować - powiedziała.

- Ja też raczej się z tego cieszę - odparł Workan, wsypując do kafu sproszkowany korzeń taka. - Oboje mamy raczej napięty grafik. Proszę mi powiedzieć, w czym mogę pani pomóc, pani senator.

- Przechodzisz od razu do rzeczy - powiedziała. - To mi się podoba. Sama wystarczająco długo czekałam. Moje oczekiwania są proste. Chcę rządzić.

Workan się zastanowił.

- Mogę to załatwić - oświadczył. - Jak się pani zapewne domyśla, to moje działania doprowadziły do wyboru Padnela Ovina na stanowisko tymczasowego przywódcy. Gdy tylko ujawni pani, że ubiega się o to stanowisko, jestem przekonany, że sama popularność wyniesie panią do władzy.

- Chcę tego, tak - przyznała Roki takim tonem, jakby mówiła, że chce i śmietankę, i korzeń taka do kafu. - Ale nie zamierzam czekać dwa miesiące na wybory. To ma nastąpić natychmiast. Za dzień albo dwa. Tak szybko, jak tylko możesz to załatwić.

- Eee... - Zamrugał gwałtownie. W głowie kłębiły mu się różne myśli, ale nie było to nieprzyjemne. - Myślę... że da się zrobić. Każę moim prawnikom natychmiast się tym zająć.

- Znakomicie. Ale to dopiero początek.

Wziął długi łyk kafu, wykorzystując Moc, żeby opanować drżenie ręki. Początek?

Przywódtwo nad Galaktycznym Sojuszem to początek?

- Rozumiem - powiedział. - A jaki jest pani następny cel, gdy ten uda się już osiągnąć?

- Najpierw przywódczyni Galaktycznego Sojuszu - odparła, wyliczając na palcach. - Potem, tak jak ci mówiłam, Ukochana Królowa Gwiazd. I wreszcie to, co mi się należy.

Nachyliła się do przodu z otwartymi szeroko oczami, a jej włosy owijały się kusząco wokół nagich błękitnych ramion.

- Bogini - szepnęła z uśmiechem Roki Kem.

## **ROZDZIAŁ 37**

**Na pokładzie „Cienia Jade”**

- No - powiedział Ben. - To wygląda dużo lepiej niż Ziost. Gust Statku się poprawia.

- Albo gust Abeloth - zauważyła Vestara.

Atmosfera na pokładzie „Cienia Jade” była napięta. Po tylu fałszywych tropach wszyscy byli sfrustrowani i mieli wrażenie, że tracą czas. Kiedy jednak Natua opisała ruiny świątyni, które przypominały opis miejsca, gdzie Ben po raz pierwszy znalazł Statek, odżyła w nich nadzieja, że mogą faktycznie odnaleźć ten nieuchwytny i niebezpieczny okręt. A razem z nim Abeloth.

Tym razem wyzwanie Abeloth mieli rzucić nie tylko Luke, Ben, Vestara i Zapomniane Plemię, które miało własne cele. Tym razem walczyć z nią do ostatniego tchu i ostatniej kropli krwi miał niemal każdy Jedi w galaktyce. A w takiej bitwie nawet tak prastara i potężna istota jak Abeloth nie miała szans. Wcześniej trzeba było najgorszego rodzaju zdrady i odosobnienia, żeby powstrzymać Jedi; teraz, kiedy tworzyli jeden wspólny front, Ben był pewien, że wyjdą z tego starcia zwycięsko. A kiedy już się to stanie, powrócą na Coruscant i oczyszczą ten świat z plagi Sithów.

Ben był dumny z tego, jak Vestara radzi sobie z tą sytuacją. Zauważył, że wreszcie sam Wielki Mistrz zaczyna wierzyć w to, o czym Ben był przekonany od samego początku: że Vestarę Khai można - nie, udało się - przekonać, żeby porzuciła mrok i wyszła śmiało na światło.

Ben obejmował lekko ramiona Vestary, gdy Natua Wan przekazywała flocie Jedi informacje na temat Upekkara. Długie godziny, jakie Natua spędziła w Świątyni, czytając o światach Sithów i ich historii, predestynowały ją w czasie tej wyprawy do roli eksperta, i Luke nalegał, żeby to ona poinstruowała pozostałych Jedi. Vestara pewnie wiedziała więcej o sposobie myślenia Sithów, ale Natua wykorzystała swoją zacieklą determinację, żeby dowiedzieć się wszystkiego, czego mogła, na temat ich pradawnych siedzib.

Ben i Vestara razem z Jainą jako pierwsi usłyszeli tę informację, która mogła okazać się prawdziwym przełomem w ich poszukiwaniach. Teraz Ben słuchał więc jednym uchem, jak Natua opowiada reszcie floty o Pieśniarzach Snów, wulkanicznych jaskiniach i podziemnym hangarze, który swego czasu mieścił szkoleniowe statki Sithów i być może znów pełnił tę funkcję.

Kiedy skończyła, Luke przemówił do swoich Jedi:

- Nie pierwszy raz wielu Jedi współpracuje przy jednym zadaniu - powiedział. - Jednak po raz pierwszy robi to aż tak wielu z nas, niemal cały Zakon. Natua przedstawiła nasze dwa cele: zbadać wulkaniczne jaskinie, w których Sithowie odprawiali swoje rytuały, i przeszukać pobliskie siedlisko, gdzie może czaić się Statek. Wszystkie statki mają obrać kurs na punkt znajdujący się w połowie drogi między tymi dwoma miejscami. Tam się spotkamy i przekażę wszystkim dalsze rozkazy.

Odwrócił się do pozostałej trójki.

- Natuo, mam do ciebie jeszcze parę pytań. Ben, Vestara... idźcie do przebieralni i się przygotujcie. Jeśli Statek faktycznie tam jest, będziemy musieli działać szybko.

Chociaż to już trzeci raz Vestara przygotowywała się do odwiedzenia świata znajdującego się kiedyś

we władaniu Sithów, była bardziej zdenerwowana niż przed lądowaniem na Korribanie.

Wiedziała, że jednym z powodów jest fakt, że poprzednim razem, kiedy była na takiej planecie, została zaatakowana przez własnego ojca i była zmuszona go zabić. Jednak drugi powód też istniał: kiedy odwiedzała Korribana i Dromund Kaas... była Sithem odwiedzającym świat Sithów.

A teraz sama nie wiedziała, kim jest.

Vestara rzadko płakała. Jej ojciec uważał to za przejaw słabości, więc nauczyła się po prostu wstrzymywać łzy. Tej nocy po jego śmierci, leżąc w ramionach Bena, czuła się kompletnie rozbita: Nie miała siły - ani też, mówiąc szczerze, ochoty - dłużej się od niego odgradzać. Obejmował ją, kiedy szlochała, i później, kiedy odpływali w sen. Były między nimi tylko pocałunki i czułe słowa, nic więcej; Ben nigdy nie wykorzystałby sytuacji, kiedy była tak zupełnie bezbronna. To między innymi czyniło go tym, kim był; czyniło go Jedi.

Ale ona, córka Sitha, nie była taka pewna, czy tego właśnie chce. Nie była pewna, czy chciała tego wszystkiego, co wydarzyło się między nimi tamtej nocy.

To było przyjemne uczucie otworzyć się całkowicie na Bena w Mocy, a potem zrobić to także w czasie rozmowy z Lukiem. Jej decyzja była szczerą. Stwierdziła, że bycie Sithem jest zbyt wyczerpujące. Zbyt wiele kosztowała ją konieczność ciągłego pilnowania się, życia w samotności, nawet pośród społeczności takiej jak Zapomniane Plemię. Osamotnienie, jakie poczuła po śmierci ojca...

...było nie do wytrzymania. Wspominając ten moment, kiedy Gavar Khai padł pod ciosem jej miecza, Vestara chwyciła Bena za rękę. Obejrzał się na nią, zakładając ochronną maskę, a jego usta rozchylił uśmiech. Poczuła od niego falę miłości i wsparcia; nie żadne niszczycielskie tsunami, ale nieprzerwany, łagodny przypływ. W odpowiedzi Vestara wysłała w jego kierunku wdzięczność i ciepło, równie prawdziwe jak jego, po czym ścisnęła go za rękę i puściła. Chwiejność, którą odczuwała od tamtej strasznej nocy, na chwilę minęła. Czuła, że jest tam, gdzie być powinna.

- A więc - zapytał Ben, gdy wkładała swoją maskę - jak się z tym czujesz teraz, kiedy ścigamy Statek?

Było to uzasadnione pytanie. Vestara zebrała myśli, nim odpowiedziała:

- Dopóki Abeloth żyje i ma nad nim władzę, Statek będzie jej słuchał. A więc musi zostać zniszczony.

- Albo przejęty - dodał Ben.

Vestara rzuciła mu surowe spojrzenie.

- Nie posłucha Jedi.

- Nawet jeśli narzucimy mu swoją wolę?

- Gdybyś to zrobił, nie byłbyś Jedi - odparła. - Statek można kontrolować jedynie poprzez silne, agresywne emocje: żądzę, gniew... a to raczej nie w stylu Jedi.

- Jak będziesz się czuła, jeśli będzie trzeba go zniszczyć?

- Szczerze? Będzie mi żal. Statek był... hm, bytem, to chyba dobre słowo, który po raz pierwszy w moim życiu zabrał mnie z Kesh. Wyobrażasz sobie, co to znaczy być uwięzionym na jednej planecie przez czternaście lat, Ben? Móc zobaczyć swój świat najwyżej z grzbietu skrzydlatego stworzenia? I słyszeć, że twój los, twoje przeznaczenie nie jest związane z jednym światem, ale z setkami? - Pokręciła głową. - Statek odmienił moje życie, Ben. Tak, jeśli go zniszczymy, będzie mi żal. Ale i tak to zrobię.

Ben przerwał swoje przygotowania i patrzył teraz na nią, a jego niebieskie oczy były zwężone od uśmiechu, który skrywała maska.

- Szkoda, że tata tego nie słyszał.

- Nie musi - powiedziała Vestara, poprawiając ostami zatrzask. - Pokażę mu.

Wydawało się niemal, jakby wpadli na ścianę.

Wszyscy to poczuli, co do jednego. Luke wyczuwał tu Ciemną Stronę silniej niż gdziekolwiek indziej. I nawet on miał ściśnięty żołądek i gęsią skórę; on, który spoglądał Ciemnej Stronie w oczy i pokonywał ją więcej razy, niż potrafił zliczyć.

Zło tutaj nie było po prostu stare. Było...

- Skondensowane - stwierdziła Jaina, stając obok niego. Patrzyli na rozciągające się przed nimi ruiny miasta. Bezpośrednio nad miastem i uspiętym wulkanem, w odległości najwyżej trzech kilometrów, kłębiła się paskudna czarna chmura. Nie była to zwykła chmura burzowa; nie przemieszczała się, a jej szaro-czarne odmęty co jakiś czas rozjaśniała niebieska błyskawica Mocy.

Od miasta wiał wiatr - silny, cuchnący i zimny. Burza i energia Ciemnej Strony były tu.

Właśnie tu.

- Dobrze powiedziane - zauważył Kyle Katarn. - Tak jakby się tutaj skupiało.

- Cóż, Natua mówiła, że to główne miasto, a kompleks jaskiń to główne miejsce odprawiania rytuałów - przypomniała Jaina.

Luke pokręcił powoli siwiejącą głową.

- To dlaczego nie koncentruje się też za nami, w tunelach? Dlaczego akurat tutaj, na tak wyraźnie określonym obszarze? Czujecie to? Tak jakby się stało plecami do lata, a twarzą do zimy.

- Wszystkie odruchy, jakie wyrobił w sobie przez czterdzieści lat walki z Ciemną Stroną, w takiej



czy innej postaci, kazały mu uważać. Miał bardzo złe przeczucia.

- Może obecność Sstatku obudziła coś od dawna uspionego - zasugerowała Saba. Stała wyprostowana, z przymrużonymi oczami i wszystkimi zmysłami wyostrzonymi w Moc.

- Co za radosna myśl - mruknął Kyp Durronek.

- Ale mądra - odparła Jaina. - Zastawienie pułapki w opuszczonym mieście to dokładnie coś, czego można by się spodziewać po Sithach.

Natua przypuszczała, że rhak-skuri występują jedynie w tunelach, Luke jednak nie widział

powodu, żeby podejmować jakiegokolwiek niepotrzebne ryzyko. Nakazał więc, żeby wszyscy założyli maski. Stali teraz w grupie, twarzą do opuszczonego miasta Sithów i wyniosłej góry, która dziesiątki tysięcy lat wcześniej była aktywnym wulkanem.

Ben i Vestara podeszli do Luke'a po cichu. Vestara rozglądała się dookoła - nigdy nie widziała tylu Jedi zgromadzonych w jednym miejscu, a może nawet nie sądziła, że tylu ich jest w całej galaktyce. Luke wyczuł w niej niepokój. Wiedział, czego oboje młodzi od niego oczekują.

Chcieli, żeby wyznaczył im jakąś ważną rolę - te dziesiątki zebranych tu Jedi powinny zobaczyć, że ich Wielki Mistrz ufa byłej uczennicy Sithów.

Luke także tego chciał, jednak wiedział, że nie może tego zrobić.

Poprosił o uwagę, a następnie zaczął dzielić zgromadzonych na małe grupki i wydawać im polecenia. Vestarze i Benowi nic nie nakazał. Oboje z podziwu godną cierpliwością czekali na instrukcje, a kiedy te nie nadeszły, Ben ruszył w stronę ojca. Większość z Jedi, którzy wylądowali, kierowała się na północny wschód, pozostali zaś wracali do swoich statków.

Ben podszedł do ojca i wskazał na Kypa Durroneka, który odpalał już silniki swojego StealthX-a.

- Co się dzieje? Dokąd oni lecą?

- Zapewnić wsparcie z powietrza, gdyby było konieczne. Jeśli Statek tu jest i zdoła nas pokonać, będziemy potrzebowali drugiej linii obrony. W żadnym wypadku nie możemy mu pozwolić wrócić do Abeloth.

- No dobra, to ma sens - przyznał Ben, zerkając to na ojca, to na Jainę. - Więc pewnie chcesz, żebyśmy ja i Vestara poszli z resztą Jedi?

- Nie - powiedział Luke. Wyczuł rozczarowanie Vestary. - Chcę, żebyście razem z Natuą zaczęli badać jaskinie. Może znajdziecie tam coś, co mogłoby nam pomóc.

Natua uśmiechnęła się życzliwie.

- Vestara będzie bardzo pomocna, jeśli natrafimy na jakieś napisy w języku starożytnych Sithów -

stwierdziła. - I może rozpoznać wiele rzeczy, które reszcie z nas nic by nie mówiły.

- Krótko mówiąc - warknął Ben - nie ufasz jej, więc dajesz jej takie zadanie, żeby nie musiała wybierać między nami a Statkiem.

- To nieprawda... - zaczęła Natua, ale Vestara położyła rękę na ramieniu Falleenki.

- Prawda - powiedziała, patrząc spokojnie na Luke'a. - Ale on ma rację. Nie możecie ryzykować, że coś pójdzie nie tak, jeśli znajdziecie Statek. I to prawda, że mogę pomóc, jeśli natrafimy na jakieś artefakty Sithów. Mogę bardzo pomóc. A więc logika nakazuje wysłać mnie z małą grupką do badania jaskiń, gdzie mogę być przydatna, a nie w pogoń za Statkiem, gdzie mogłabym być ciężarem. Ja podjęłabym taką samą decyzję.

- Tak? - Ben wciąż był zagniewany. - A ja nie.

- Ty nie jesteś Wielkim Mistrzem - zauważyła Vestara. - On nie może sobie pozwolić na to, żeby mi zaufać.

- Vestaro - powiedział Luke z życzliwością. - To naprawdę nie jest kwestia zaufania. Nie tym razem. Ani sprawa twoich uczuć względem Statku.

Posłała mu sceptyczne spojrzenie.

- Zastanów się chwilę - ciągnął. Chciał, żeby zrozumiała, dlaczego podjął taką decyzję; jeśli zrozumie jego powody i zgodzi się z nimi, zrobi kolejny krok na drodze do światła. - Wszyscy wiemy, jak kuszący potrafi być zew Ciemnej Strony. A ty dorastałaś przesiąknięta nią. Teraz postanowiłaś porzucić Ciemną Stronę, a uwierz mi, że wiem, jakie to może być trudne. Gdybym pozwolił ci iść z nami, byłabyś kuszona jak nigdy wcześniej. Nie chodzi tylko o Statek, ale o całą aurę tego miejsca. Nigdy czegoś takiego nie widziałem i to każe mi zachować najwyższą ostrożność.

- Byłam już na Korribanie i Dromund Kaas - przypomniała. Głos miała spokojny, jednak Luke czuł, że jest rozczarowana i... zawstydzona? tym, że uważa ją za tak słabą i niegodną zaufania.

- Tam nie miałam chwil zawahania, prawda?

- Nie - zgodził się ochoczo Luke. - Nie miałaś. I dlatego dałem ci szansę zostania Jedi. Ale to nie byłoby uczciwe wobec ciebie poddać cię takiej próbie... nie w tej chwili. To tak jakby wysłać kogoś, kto dopiero co wyszedł z uzależnienia od przyprawy, na imprezę, gdzie wszyscy biorą.

- W końcu będę musiała to zrobić, jeśli mam zostać Jedi. Nie mogę... nie będę tak po prostu unikać wyzwań.

- Nie unikasz. Przeszłaś już dwie bardzo poważne próby. Wiedziałaś, że nawet Mistrz Kyle Katarn uległ Ciemnej Stronie na Dromund Kaas. Wierzę, że masz szansę, i właśnie dlatego nie chcę, żebyś się zbliżała do tego miejsca. Nie chcę cię narażać na niepowodzenie. Uwierz mi, ostatnia rzecz, jakiej bym teraz chciał, to gdybym musiał cię zabić na oczach swojego syna. Albo żeby Ben musiał dokonać takiego wyboru.

Vestara obejrzała się na Bena. Chłopak nie unikał spojrzenia jej brązowych oczu. Wszyscy oni wiedzieli, że naprawdę by to zrobił, gdyby zaszła taka konieczność.

- Nie możesz zacząć biegać, zanim nauczysz się chodzić - powiedział Luke. Postarał się, żeby w jego głosie ani w wyrazie twarzy, nawet jego obecności w Mocy nie było śladu potępienia. -

A ja byłbym kiepskim nauczycielem, gdybym tego od ciebie wymagał. Zgodziłem się szkolić cię na Jedi. Jeśli nadal tego chcesz, potraktuj to jako pierwsze polecenie twojego Mistrza.

Vestara zagryzła dolną wargę i skinęła głową.

- Nie podoba mi się to, ale... rozumiem. Byłam posłuszna Lady Rhei, kiedy była moją Mistrzynią, chociaż obchodziłam ją tylko na tyle, na ile mogła mnie wykorzystać, więc tym bardziej będę słuchać ciebie.

Duma Bena z zachowania Vestary była jak małe słońce. Dziewczyna wciąż stała na baczność, ale Luke dostrzegł na jej ustach delikatny uśmiech.

- Posłuszeństwo rzadko jest przyjemne, ale bywa konieczne - oświadczył. - Wiedząc, że ty, Ben i Natua jesteście z dala od tego... kłębowa energia, będę spokojniejszy. Dziękuję ci za zrozumienie, Vestaro. Odezwiemy się, jeśli coś się wydarzy. A wy informujcie nas, jeśli znajdziecie coś, co mogłoby nam pomóc.

- Oczywiście - zgodziła się. Luke rzucił Benowi ostatnie czułe, zatroskane spojrzenie, po czym ruszył razem ze swoimi Jedi.

W kierunku miasta - bardziej przepelnionego skoncentrowaną energią Ciemnej Strony, nienawiścią, gniewem, lękiem i przemocą niż wszystko, co Luke Skywalker widział do tej pory.

## **ROZDZIAŁ 38**

- Nie wiem, jak wy, ale ja jestem bardzo ciekawa, co tam jest - oznajmiła Natua. - Tyle czytałam o Sithach, żeby pomóc Mistrzowi Luke'owi, że perspektywa znalezienia czegoś jest naprawdę ekscytująca.

- Nie przypominam sobie, żebyś miała kiedyś takie zacięcie do nauki - zauważył Ben.

Wyprostował ramiona, wyraźnie próbując się otrząsnąć po nieprzyjemnej rozmowie z ojcem, i cała trójka ruszyła w kierunku wejścia do jaskini.

- Bo nie miałam - odparła Natua. - A przynajmniej nie sądziłam, że mam. Historia zawsze wydawała mi się nudna. Ale teraz zbierałam te informacje po to, żeby pomóc w czymś, co dzieje się na moich oczach, i to dało mi poczucie, że mogę coś zmienić. - Obejrzała się na młodych. - Jak pewnie się domyślacie, nie żywię zbyt ciepłych uczuć do Abeloth.

Vestara przypomniała sobie, jak po raz pierwszy doświadczyła iluzji Abeloth; pomyślała o ohydnej istocie, która była rzeczywistością; o chorobie Sarasu Taalona i pomieszaniu zmysłów jej ojca.

- Ja też nie żywię - stwierdziła. - Ja też nie.

Jaskinie były zaskakująco gładkie od przepływającej przez nie przed tysiącami lat lawy i miały w sobie geometryczne piękno, które wydawało się nie tylko dziełem przypadku. Pręty jarzeniowe dawały światło, ale rzucały też dziwne cienie, oświetlając niektóre miejsca, a inne pozostawiając w mroku. Napotkali po drodze parę stalagmitów i stalaktytów, jednak nie ulegało wątpliwości, że to przepływ cieczy, a nie ruchy tektoniczne, ukształtował wulkaniczne tunele.

Pieczary miały całkiem szerokie przejścia, więc przez większość czasu mogli iść ramię przy ramieniu. Vestara wyczuwała, że Ben wciąż jest rozgniewany tym, że jego ojciec odsunął ich od prawdziwej akcji, ona jednak była z tym prawie pogodzona. Natua przystanęła, żeby oświetlić prętem jarzeniowym odchodzącą w bok pieczarę, i cała trójka się zatrzymała.

Jak dotąd wszystko, co widzieli, było dziełem natury. Teraz patrzyli na pomieszczenie, które można było jedynie określić jako sala. Wydawało się, że temperatura spadła o kilka stopni, jednak ten chłód nie był tylko fizyczny. Ściany - na których widać było niewyraźne napisy - podłoga i sufit były równe i płaskie, a nie zaokrąglone. Znajdowały się tu resztki różnych rzeczy; wyglądało to na koce, poduszki i narzędzia. A w jednym rogu, pokryte warstwą kurzu, gruzu i odchodów małych zwierząt, leżały...

- Miecze świetlne - wyszeptała Natua.

- Zostawiali tu broń, zanim poszli dalej - wyjaśniła Vestara.

- Tak się domyślasz?

- Przeczytałam - odparła Vestara, wskazując napisy na ścianie. Poczowała chłód, który spowijał ją jak zimna mgiełka, i zrobiła krok do tyłu. Wiedziała, że Ben i Natua też to poczuli; to miejsce było przesiąknięte energią Ciemnej Strony. Nowicjusze, którzy tu przychodzili, bali się; a sądząc po liczbie porzuconych mieczy świetlnych, nie bez powodu.

- Co tu jest napisane? - Ben podszedł do Vestary i dotknął delikatnie jej ramienia.

Wiedziała, co chciał jej w ten sposób przekazać: „Jestem tu, wierzę w ciebie, chociaż otacza nas energia Ciemnej Strony”. I Vestarze zrobiło się trochę - troszeczkę - cieplej.

- „Nowicjusze, wy, którzy macie poznać arkana Ciemnej Strony, przygotujcie się.

Pozostawcie swoją broń i swoje dawne życie w tej komnacie albo odejdźcie teraz i na zawsze w hańbie, póki możecie zawrócić”.

- Pozwalano im odejść? - zdziwił się Ben.

Natua i Vestara wzruszyły ramionami.

- Pewnie nie było to takie proste, jak odejście od stołu w czasie partii sabaka - powiedziała Natua. - Tak jak głosi napis, byłiby wtedy na zawsze zhańbieni. Założę się, że wiązało się to też z wygnaniem.

- Albo jakąś wyjątkowo okrutną karą, albo rytualnym samobójstwem - dodała Vestara. - Tak czy inaczej, długo by nie pożyli.

- Myślisz, że miecze świetlne zostawili ci, którzy za bardzo się bali, żeby pójść dalej? - spytał Ben.

Vestara odwróciła się w jego stronę. Energia Ciemnej Strony, stara i cierpliwa, była tu aż nazbyt znajoma i Vestara zauważyła, że odzywa się w niej dawny chłód, gdy odpowiadała Benowi.

- Nie, Ben. Myślę, że jeśli nie chciałeś dokończyć rytuału, to odbierali ci miecz świetlny i oddawali go komuś bardziej godnemu. Myślę też, że te miecze zostawili ci, którzy nie przeżyli inicjacji.

Natua spojrzała na broń i się skrzywiła.

- Wzmacnianie lęku - stwierdziła. - To zdecydowanie w stylu Sithów. Oni nie dbają nawet o swoich.

Vestara poczuła zimne, bolesne ukłucie, ale zachowała neutralny wyraz twarzy.

- Nie - przyznała. - Nie dbają.

- Zrobię nagrania - oznajmiła Natua. - Musimy wszystko udokumentować.

Vestara i Ben wrócili do głównego tunelu, żeby nie przeszkadzać jej w pracy.

- Hej - zagadnął łagodnie Ben. - W porządku?

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Mniej więcej - powiedziała. - Chyba wolałabym już walczyć ze Statkiem, niż być tutaj, przy tym wszystkim.

- Wiem. Ja też bym wolał. Ciarki mnie od tego przechodzą.

Vestara nie odpowiedziała. U niej też wywoływało to dreszcze, ale budziło też niespodziewaną tęsknotę. Znajdowała się teraz między dwoma światami. Porzuciła swoją kulturę, swój lud i ich pradawne rytuały. Wkrótce miała zostać przyjęta - taką miała nadzieję - przez Jedi i należeć do ich kultury, uczestniczyć w ich rytuałach. Teraz jednak czuła się zawieszona w próżni.

To uczucie ją zaskoczyło i odruchowo chwyciła Bena za rękę.

Stali przez chwilę w milczeniu, trzymając się za ręce, aż zjawiała się Natua.

- Idźmy dalej - powiedziała Falleenka. - To fascynujące i ważne dane, ale wolałabym nie siedzieć tu za długo.

Poszli więc skręcającym łagodnie tunelem, wypatrując wszelkich śladów obecności starożytnych

Sithów, które przetrwały tysiąclecia. Nie było już więcej napisów na ścianach ani wydrążonych w skale komnat. Znaleźli za to fragmenty starych kości, porozrzucone kawałki jakiegoś sprzętu i coraz silniejsze uczucie niepokoju, w miarę jak zapuszczali się coraz bardziej w głąb planety. Kości oglądali uważnie; niektóre rozpadały im się w rękach na pył, inne za to pozostawały prawie nienaruszone.

- Ludzkie? - spytała Natua.

- Trudno powiedzieć bez przebadania - odparł Ben. - Wiemy tylko o tych wywołujących halucynacje robakach. Różne zwierzęta mogły tu się zagnieździć na przestrzeni wieków.

- Nie musisz mnie chronić, Ben - powiedziała Vestara. Nagły przypływ zawstydzonego współczucia, które wyczuła u Bena, potwierdził jej przypuszczenia. - Nawet jeśli Sithowie pozostawiali tu tych, którzy nie przeszli próby, teraz nie ma to już znaczenia.

- Nie chciałabyś... no wiesz, pochować ich? Czy co tam Zapomniane Plemię robi ze zmarłymi?

- Nie jestem już członkiem Zapomnianego Plemienia. A jeśli nawet rodacy tych Sithów się tym nie przejmowali, to dlaczego ja miałabym się martwić?

Chciała, żeby to zabrzmiało tak, jakby nie była zdenerwowana. Tymczasem uznała, że wyszła na brutalnie nieczułą, i zmarszczyła lekko brwi.

- Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak ostro.

- To miejsce wszystkim nam działa na nerwy - stwierdziła Natua, uśmiechając się życzliwie.

- Myślę, że dowiedzieliśmy się tyle, ile mogliśmy. Lepiej wracajmy, zanim się zgubimy.

Było to niewinne kłamstwo. Vestara wyczuwała, że Natua wolałaby kontynuować poszukiwania, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas, ale postanowiła je skrócić z myślą o Vestarze.

- Proszę, nie musicie mnie niańczyć - powiedziała Vestara. - Jeśli chcecie szukać dalej, to szukajmy. Lepsze to niż siedzieć z założonymi rękami, podczas gdy Luke i inni walczą ze Statkiem.

W ten sposób chociaż robimy coś pożytecznego. - Ruszyła naprzód zdecydowanym krokiem, a ponieważ nie mogli nie zgodzić się z jej rozumowaniem, Ben i Natua podążyli za nią.

Tunele zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Gdy kolejne długie minuty nie przynosiły żadnych nowych odkryć, Vestara sama zaczęła się zastanawiać, czy faktycznie nie dowiedzieli się już wszystkiego, czego można się było dowiedzieć. Z punktu widzenia Sithów miało to sens -

przygotować jedną komnatę niedaleko wejścia, żeby złożyć w niej broń i ostrzec nowicjuszy, a następnie wypuścić ich na spotkanie Pieśniarzy Snów i zostawić tam, gdzie polegli. Zwolniła kroku, a po chwili zatrzymała się, gdy tunel doprowadził ją do dużej naturalnej komory z odchodzącymi w różnych kierunkach mniejszymi tunelami.

Ledwie zdążyła się odwrócić i otworzyć usta, żeby zasugerować, że powinni zawrócić, gdy wszyscy troje usłyszeli ten sam dźwięk.

Z początku był tak cichy, że przez chwilę Vestara zastanawiała się, czy nie był to tylko wytwór jej wyobraźni. Ale Ben i Natua również bacznie nasłuchiwali.

- Były tam jakieś opisy dźwięków? - spytał Natuę Ben. - Nie znam się aż tak dobrze na geologii. Może jaskinie wydają jakieś odgłosy?

Po chwili głos rozległ się ponownie - cichy, niski pomruk. Vestara poczuła ściskanie w dołku, a powietrze nagle się ochłodziło, tak jak w komnacie, którą znaleźli na początku.

Bez słowa włączyli miecze świetlne i puścili pręty jarzeniowe, ustawiając się automatycznie plecami do siebie.

- Co ty mówiłeś o zwierzętach, Ben? - spytała Natua. Ben nie odpowiedział; Vestara też się nie odzywała. Była zbyt zajęta nagłą falą energii Ciemnej Strony, co spadła na nich jak duch lawy, która uformowała te tunele tak dawno temu. Cienie, czarne jak noc i tańczące w blasku mieczy świetlnych, którymi powoli poruszali, przypominały żywe istoty skaczące to w przód, to w tył.

Nagle jeden z cieni przemknął nad ich głowami i Vestara zastanawiała się przez sekundę, czyjej ochronna maska nie została w jakiś sposób uszkodzona. Bo z całą pewnością ten... potwór mógł pochodzić jedynie z koszmarów zrodzonych w najmroczniejszych zakamarkach chorego umysłu.

Mierzące dobrze ponad dwa metry wysokości stworzenie, o lśniącym, kilkuodcinkowym odwłoku w kolorach czerni i granatu, spoglądało na nich dwoma parami świecących czerwonych oczu. Stukało żuwaczkami, które ociekały jakąś wydzieliną. Z tyłu miało dwie wypustki przypominające podwójny ogon. Każda z nich zakończona była kleszczami, które wyglądały tak, jakby z łatwością mogły odciąć rękę.

Vestara zauważyła to wszystko w ułamku sekundy, gdy stworzenie runęło na nich.

Zamachnęło się czterema ze swoich sześciu nóg, podczas gdy ohydna głowa pomknęła z zadziwiającą prędkością w kierunku...

- Ben! - wykrzyknęła Vestara. Ben uskoczył w chwili, gdy żuwaczki zaskrobały o jego maskę, przetoczył się po podłodze jaskini i poderwał się do walki. W tym czasie Vestara też rzuciła się na stworzenie, a jej czerwona klinga zaskwierczała, wgrzyzając się w twardą substancję, która osłaniała jego ciało. Natua również natarła, tak że potwór był atakowany z dwóch stron.

Jedna z wypustek ogonowych chlasnęła Natuę, wrywając jej duży kawałek nogi. Falleenka syknęła z bólu, ale tylko się lekko zachwiała i ponowiła swój atak, gdy tymczasem Ben rzucił się na stworzenie od tyłu. Trafił mieczem świetlnym w kleszcze, przypalając je i stępując. Stworzenie wydało przeraźliwy, skrzekliwy pisk, ale ucierpiało znacznie mniej, niż powinno: Odwróciło się natychmiast, żeby zaatakować ponownie młodego Jedi. Wyglądało na to, że uderzenia mieczy świetlnych odnoszą minimalny skutek. Kiedy klinga trafiała stworzenie, jej blask słabł, jakby to coś

wysysało z niej energię.

Vestara wyciągnęła rękę, próbując odepchnąć potwora od Bena przy użyciu Mocy. Ku jej zdumieniu stworzenie lekko się tylko zachwiało, nie przerywając ataku. Ben stęknął z bólu, gdy jego ślina skapnęła mu na rękę, paląc skórę niczym kwas.

Vestara poczuła falę bólu wywołanego urazem Bena - głęboki, tępy ucisk w klatce piersiowej - i ruszyła naprzód z wściekłym krzykiem. Jej miecz świetlny śpiewał gniewną pieśń...

...pieśń...

Poczuła olśnienie. Tak ją to oszołomiło, że potknęła się i straciła cenną sekundę. Jak mogli być tak głupi?

Wiedziała już, czym jest to znajdujące się przed nimi monstrum. Byli niewiarygodnie, niewybaczalnie aroganccy, sądząc, że skoro nie znaleźli żadnych wzmianek na temat tych tuneli i ich ewentualnych mieszkańców, to nie ma się czego obawiać.

Potwór, który wyłonił się z cienia - i który teraz atakował Bena - był zmutowanym rhak-skuri.

Kiedyś miał zaledwie kilka milimetrów długości i był niegroźnym żyjątkiem, jednak stulecia kontaktów z Sithami i energią Ciemnej Strony - a niewykluczone, że także zamierzone próby alchemiczne - spowodowały jego przemianę.

- Rhak-skuri! - zawołała. - Chodź do mnie!

Znał swoje imię. Przerwał na chwilę atak na Bena, odwrócił się i spojrzał na Vestarę swoimi świecącymi oczami, a jego czułki drżały, jakby ze wzburzenia - albo z radości. Odepchnął Mocą Bena i Natuę, skupiając uwagę na Vestarze, a ona przez chwilę poczuła się ciężka i ospała.

...Ssssssiithhh...

To słowo, wypowiedziane gdzieś w umyśle, było jak zimna ręka ściskająca Vestarę za serce.

...Ssssssiithhh...

Nie robił jej krzywdy, a ona, nie wiedząc, skąd to wie, zrozumiała, czego chciał.

Na przestrzeni wieków stał się z robaka potworem. Zmienił się poprzez kontakt z Ciemną Stroną; poprzez udział w rytuałach, podczas których był zachęcany do uwalniania koszmarów. I nauczył się dawać tylko wtedy, gdy sam coś dostawał.

Vestara w jakiś sposób zrozumiała, że jej nie skrzywdzi. Była Sithem. Była jednym z jego Stwórców, a Pieśniarz Snów nie widział ich od bardzo, bardzo dawna. Ale potrzebował ofiary.

Musiał się żywić, żeby mieć siłę i służyć Ciemnej Stronie.



Tak jak ona.

Nie! Vestara przywołała całą swoją energię i ponowiła atak. Nagle zdała sobie sprawę, że tylko dwoje z nich atakuje Pieśniarza Snów - ona i Natua.

Ben stał nieruchomo, nie zwracając uwagi na kwas wżerający mu się w rękę. Miał wytrzeszczone oczy, otwarte usta...

...usta...

Vestara uświadomiła sobie z przerażeniem, że maska Bena spadła w trakcie ostatniego ataku rhak-skuri. Mimowolnie wdychał jego feromony i doświadczał teraz koszmarów, jakich nawet ona nie potrafiła sobie wyobrazić.

Wreszcie zrozumiała, w jaki sposób rhak-skuri się żywił. Był żywą istotą. Jadał mięso. Ale karmił się też przerażeniem swojej ofiary.

Tak jak Abeloth.

Przez ułamek sekundy, który zdawał się trwać w nieskończoność, Vestara stała jak sparalizowana.

Ben nie brał udziału w walce. Stał z zamkniętymi oczami, dygocąc z przerażenia. Wkrótce powinien stracić przytomność, o ile wcześniej nie wysiadzie mu serce - albo umysł. Vestara i Natua wcale nie były słabe Mocą. Jednak to stworzenie było prastare. I złe. Karmione wiekami grozy i mrocznych, brutalnych myśli, zdawało się znacznie silniejsze niż tuk'ata czy inne demony Sithów, z którymi Vestara się zetknęła. Urosło w siłę, żywiąc się słodszy pokarmem.

Chciało, żeby się z nim sprzymierzyła. A Vestara wiedziała, że jeśli ona i Natua nie zdołają go pokonać, zdobędzie swoją ofiarę - z jej pomocą czy bez niej.

A ofiarą, której chciało, był Ben.

## **ROZDZIAŁ 39**

Grunt drżał pod ich stopami, gdy Jedi kroczyli, gotowi do walki, choć ze spokojem w sercach, w kierunku złowieszczej chmury unoszącej się nad miastem. W powietrzu, które mierzwiło im włosy jak wstrętne pieszczota, a nawet w glebie pod stopami czuli Ciemną Stronę.

- No cóż - powiedziała Jaina - nie wyczuwam konkretnie Statku, ale jestem pewna, że nawet gdyby całe Zapomniane Plemię zebrało się w jednym budynku i wznosiło toasty za zdrowie Abeloth, to też bym ich nie wyczuła.

- Nikt z nas by nie wyczuł. To byłoby jak szukanie pojedynczego kwiatu na pełnej kwiatów łące - odparł Luke. Wszystkie jego zmysły były wyostrzone, ale nie przeszkadzało mu to nieustannie analizować w myśli sytuacji. - Natua nie wspominała o aż takiej koncentracji energii Ciemnej Strony. To... coś nowego na tym świecie.

- Myślę, że Saba mogła mieć rację - wtrąciła Octa Ramis, dopasowując do nich krok. Tak jak wszyscy Jedi, trzymała w ręce miecz świetlny, ale niezapalony. - Może Statek tu jest i coś rozpętał.

- I to wielokrotnie - zauważył Luke. Teraz, gdy przyzwyczał się już w jakimś stopniu do niuansów i meandrów Ciemnej Strony w tej postaci, w jakiej tutaj się objawiała, zdawał sobie sprawę, że to, co wyczuwają, to nie jest pojedyncze źródło energii.

Barv, który regulował swój krok tak, żeby jego przyjaciółka Yaqeel mogła za nim nadążyć, mruknął, że także według niego jest to mnóstwo energii, ale z pewnością nic, z czym nie mogliby sobie poradzić. W końcu byli Jedi i reprezentowali Jasną Stronę. Yaqeel rzuciła mu ciepłe, czułe spojrzenie, po czym odwróciła wzrok. Luke wyczuł, że, tak samo jak i on, Yaqeel nie jest równie pewna ostatecznego rezultatu jak Barv.

- Więc dlaczego nie atakują? - spytał Kyp. - Jeśli to są duchy z przeszłości Sithów, to mają nas praktycznie przed nosem.

- Może nie mogą - zastanawiał się Kyle. - Może to słudzy, uwięzieni dawno temu przez Sithów, zdolni jedynie do wykonywania wyraźnych rozkazów swoich panów.

- To bez sensu - stwierdziła Jaina z typową dla siebie bezpośredniością. Pomimo napięcia i niepewności, jakie im w tej chwili towarzyszyło, i konieczności ciągłego pilnowania się przed sączącym się zewsząd mrokiem, Luke się uśmiechnął. Rozmowa dobrze im robiła. Dawała poczucie, że panują nad sytuacją. Z całą pewnością nie był to czas na uczucia mściwości, gniewu czy żądy zwycięstwa za wszelką cenę. Był to czas na spokój, opanowanie i racjonalne myślenie.

To jest najlepsza broń. - Pomyślcie o tym, co widzieliśmy na Korribanie - ciągnęła Jaina. - Sithowie znani są z rozstawiania strażników albo pułapek. Uwięzić tyle bytów Ciemnej Strony po to tylko, żeby kazać im beczynn timer siedzieć... to byłoby głupie, a głupoty akurat Sithom nie można zarzucić.

- Ona się zgadza - powiedziała Saba. - Chociaż to by nam ułatwiło życie, gdyby Sithowie byli głupi.

Jysella parsknęła, ale zaraz odwróciła wzrok.

Dobrze idzie, pomyślał Luke. Nigdy nie był bardziej dumny ze swoich Jedi niż w tej chwili, słysząc beczelną, ale logiczną uwagę Jainy i stłumiony śmiech Jyselli. Szli razem w mrok, ale potrafili myśleć i śmiać się. W pewnym sensie, cokolwiek by się zdarzyło, już wygrali.

Dotarli do muru otaczającego miasto i się zatrzymali. To miejsce nie miało imponującej architektury fortecy. Było zarazem funkcjonalne i dekoracyjne, ale raczej nie miało wywoływać trwogi u patrzącego. Mur był pokryty wyblakłymi malowidłami ohydnych, czerwonych i wielonogich potworów, wizerunkami walczących i medytujących Sithów oraz innymi obrazami, których Luke nie rozpoznawał. Przez chwilę żałował, że nie zdecydował się jednak zabrać Vestary, ale uznał, że byłoby to zbyt ryzykowne. Natua, ze swoją świeżo nabytą wiedzą, również mogłaby być pomocna, ale była potrzebna gdzie indziej. Wejście do miasta stanowiła prosta brama z opuszczaną metalową kratą. Zaskoczony tym Luke przemówił do pozostałych Jedi przez komunikator.

- Zatrzymajcie się tutaj - powiedział. Bramy, wejścia, wszystko, co wiązało się z przejściem z jednej przestrzeni w inną, były miejscami o szczególnej sile. Nawet jeśli ta wyglądała niewinnie, przynajmniej jak na konstrukcję Sithów, należało zachować najwyższą ostrożność.

Zanurzył się w Moc, szukając przyrostu energii Ciemnej Strony czy choćby jakiejś zmiany w jej naturze. Nie dostrzegł jednak niczego niezwykłego. Bardziej zaintrygowany niż zaniepokojony, Luke uniosł rękę.

Krata z łatwością się uniosła, zgrzytając lekko po wiekach nieużywania.

- Oj, nie podoba mi się to - stwierdziła Jaina.

- Jej też nie - wyszeptwała Saba, mrużąc oczy, i chlasnęła ogonem.

- Chodźmy - powiedział przez komunikator Luke, a Jedi usłuchali. Weszli ostrożnie do miasta, rozglądając się dookoła, wyczuleni na wszelkie zmiany i każde zagrożenie bardziej bezpośrednie niż nieustanna, przytłaczająca nienawiść płynąca od Ciemnej Strony.

Gdy tylko ostatni z nich wszedł do środka, krata opadła z głośnym szczękiem. Niebo nagle pociemniało i rozległy się grzmoty. Temperatura spadła i zerwał się wiatr. Luke spojrzał w górę, na nienaturalną chmurę, która wisiała gniewnie nad miastem, i dostrzegł w jej głębi przelotne błyski Mocy.

- Czekam na komitet powitalny - oświadczyła Jaina. Głos miała łagodny, ale ciało naprężone i gotowe w każdej chwili ruszyć do boju.

- No - zgodziła się Seha Dorvald, stojąca obok Octy. - Wolalabym, żeby już się coś stało.

- Zachowajcie koncentrację, Jedi - przestrzegł ich Luke, emanując spokojem. - Jestem pewien, że coś się wydarzy, a wy musicie być na to przygotowani. Jeśli rzwiecie się do walki, dajecie wrogowi przewagę.

- Przepraszam, Mistrzu Skywalker - powiedziała Seha.

- Nie musisz przeproszać. Po prostu to zrób - odparł łagodnie Luke.

Budynki, podobnie jak mur, wyglądały na zaprojektowane z myślą raczej o zapewnieniu schronienia mieszkańcom niż o manifestacji przerażającej siły. Były nadgryzione zębem czasu -

pozbawione dachów i ogólnie popadające w ruinę. Poza wzmożoną wrogością energii Ciemnej Strony, który wydawała się dziwnie nieruchoma, podobna do myśliwskiego nexu ciągnącego za smycz, nic nie wskazywało na to, że dawnymi mieszkańcami tych budynków byli Sithowie.

- To nie był wojowniczy świat - stwierdziła Saba. - Koncentrowali się na czymś innym.

- Na tunelach - powiedziała Jaina, a Luke wyczuł w niej cień niepokoju. - Cała ich kultura skupiała się wokół rytuałów odprawianych w jaskiniach.

- Skupiali się na tym, co metafizyczne, a nie tym, co materialne - dodał Luke i nagle w jego umyśle coś zaskoczyło. Był na właściwym tropie. - Nie byli wojownikami myślącymi tylko o broni i podbojach, Sabo, ponieważ nie musieli.

- Och, brzmi cudownie - powiedział z przekąsem Kyp.

Luke zatrzymał się na chwilę i zamknął oczy, zanurzając się w głąb siebie. Poszerzył swoją percepcję. Byli blisko samego środka mroku; blisko tego, co skrywało to miejsce i ta zniewolona energia. Blisko tajemnic, które dla tych Sithów były tak ważne.

Tam było to, czego szukali. I wiedziało, że nadchodzą.

Luke otworzył oczy.

- To się mieści w centrum miasta - oznajmił. - Podziemny hangar. I coś tam na pewno jest.

Włączcie miecze świetlne i przygotujcie się do walki.

Gdy to mówił przez komunikator, grunt znów zatrzęsł się pod ich stopami, tym razem mocniej. Kilka budynków się rozsypało.

- I cokolwiek to jest, bardzo nie chce, żebyśmy je znaleźli - zauważyła Jaina.

Luke rzucił jej pogodny uśmiech.

- Jest nas ponad setka Jedi. Ty byś tego chciała?

Uśmiechnęła się niepewnie w odpowiedzi i zapalając miecz świetlny, ruszyła naprzód. Z

każdym krokiem Luke czuł - i wiedział, że inni też czują - jak Ciemna Strona napiera na nich, próbując ich odepchnąć. Zebrał siły i parł dalej naprzód, wysyłając fale duchowego wsparcia w kierunku tych Jedi, którzy nie czuli się tak pewnie. Nie miał im tego za złe. Nikt z nich nie był

przygotowany na coś takiego. Był z nich ogromnie dumny, a teraz poczuł, jak odzyskują spokój pod wpływem jego dotyku w Mocy.

Droga zawiodła ich na duży, otwarty teren. Luke przypomniał sobie, co syn mówił mu o znalezieniu Statku. Wtedy Ben rozkazał mu się pokazać, a Statek zrobił szczelinę w powierzchni planety, z której się wyłonił.

Luke nie był pewien, czy to Statek jest tam ukryty, ale bez wątplenia wyczuwał jakąś obecność. W tym miejscu koncentrowała się cała energia. Osaczyli wroga w jego kryjówce. Energia Ciemnej Strony, skupiona i uwięziona, pulsowała taką nienawiścią, że czuł niemal, jak parzy mu skórę.

Mistrz Jedi, podobnie jak jego syn, miał zamiar wywołać to, co się tam ukrywało. Jednak w przeciwieństwie do Bena nie musiał przemawiać językiem, który to coś rozumiało, żeby wykonało jego rozkaz.

- Przygotujcie się wszyscy - powiedział. - Wyciągnę to.

Wszyscy przyjęli bojowe postawy, odpowiednie do indywidualnych predyspozycji. Statki Jedi nadleciały w szyku, czekając na rozkaz do ataku, obrony lub odwrotu.

Luke wyciągnął rękę.

*Pokaż się, zażądał w myśli.*

*Nie.* Gdyby chłód, groza i czyste zło miały głos, brzmiałby właśnie tak.

*Zrobisz to.*

*Nie.*

Luke zmarszczył brwi i włożył więcej siły przekonywania w swoje słowa.

*Pokaż się!*

Ziemia się wybrzuszyła i przed nimi pojawiła się szczelina, groźna i zygzakowata, znamionująca dzikość i chaos. Otwór się rozszerzał, a potężne kamienne bryły wpadały do znajdującej się poniżej komory lub leciały na Jedi, którzy bez trudu odpychali je od siebie. Luke ścisnął mocno miecz świetlny w jednej ręce, a drugą trzymał cały czas wyciągniętą, wpatrując się w mrok i przygotowując na widok szkaradnej formy, jaką przyjmie ten byt - albo byty - Ciemnej Strony.

Z dołu spoglądała na nich blada, lawendowa twarz. Można by ją uznać za atrakcyjną, gdyby nie była spuchnięta od siniaków i pokaleczona. Postać, płci żeńskiej, miała związane ręce i nogi.

Sznur krępował boleśnie jej ciało, tak że gdyby próbowała się uwolnić, udusiłaby się.

- Pomóżcie mi! - wykrzyknęła. - Proszę!

Przez drogocenną sekundę Luke był kompletnie zaskoczony. Sith? Keshiri? Uwięziona i najwyraźniej torturowana? Jednak nie ulegało wątpliwości, że to ona jest źródłem tej całej energii Ciemnej Strony. Co tu się działo? Poczul się niemal przytłoczony konsternacją pozostałych Jedi.

- To musi być jakaś pułapka, wujku Luke! - zawołała Jaina.

- Pułapka - powiedział wolno Luke - a może próba? - W głowie kłębiły mu się setki myśli.

Gdyby zabili tę Keshiri, nie mając pewności, czy jest ich wrogiem, wówczas wszyscy, cały Zakon Jedi, zrobiliby wielki krok ku Ciemnej Stronie. A nic nie ucieszyłoby Statku, Abeloth czy też Zapomnianego Plemienia bardziej.

- Proszę - jęknęła Keshiri. - Ona odebrała mi siły. Zostawiła mnie tu na śmierć... - Łzy popłynęły jej po policzkach, zostawiając ślady w warstwie pyłu, która pokrywała jej twarz.

- Kim jesteś? - zapytał Luke.

- T-tola Annax - wykrztusiła Keshiri. - Służyłam pod Gavarem Khai. Przejęłam po nim dowództwo po jego śmierci, ale Abeloth uznała, że nie jestem jej już potrzebna.

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem - wykrzyknęła. - Proszę... - Na jej skórze pojawiła się ciemna linia. Przez chwilę Luke sądził, że to po prostu kolejny ślad łzy, odsłaniający ciemniejszą skórę pod warstwą białego pyłu.

Ale potem zdał sobie sprawę, że to nie to.

Nie mogli już pomóc Toli Annax. Nie żyła.

Pęknięcie się rozszerzyło, odsłaniając więcej ciemności - ciemności błyszczącej, pulsującej.

Abeloth zdołała w jakiś sposób skupić całą energię Ciemnej Strony, którą przesiąknięty był ten świat, i wtłoczyć ją w tę jedną żalostną istotę. To, co kiedyś było Tolą Annax, zawierało teraz niezgłębioną energię Ciemnej Strony, czekającą na uwolnienie. Była to i pułapka, i próba jednocześnie. Gdyby wskoczyli do tego dołu i poszatkowali ją mieczami świetlnymi, znaleźliby się w samym centrum eksplozji. Nikt by nie przeżył - choć i tak nie wiadomo było jeszcze, czy przeżyją.

Luke uzmysłowił sobie to wszystko w ułamku sekundy.

- Odwrót! - wrzasnął. Nie tracił więcej czasu na słowa, tylko wysłał poprzez Moc ponaglącą falę i obraz miejsca, w którym lądowali. Nie było też czasu na połączenie z Benem; zamiast tego wyobraził sobie syna i koncentrując się na tym obrazie, wysłał mu naglący przekaz:

„Odwrót. Uciekajcie w bezpieczne miejsce”.

Wszyscy zareagowali błyskawicznie, bez żadnych pytań ani wahań, i ruszyli pędem z powrotem w kierunku bramy. Ziemia znów się zatrzęsła, jeszcze bardziej gwałtownie, a Luke usłyszał śmiech - śmiech Abeloth - który ścigał uciekających Jedi.

Chmura nad ich głowami zmieniła się. Błyskawice Mocy uderzały teraz w ziemię, w statki, które znajdowały się w powietrzu, i w Jedi, którzy posługiwali się Mocą, żeby zwiększyć tempo biegu. Dokoła budynki rozpadały się w gruzy. Luke odbił kawał ściany zmierzający w jego kierunku i skierował go na inny gład, który leciał wprost na Sebę.

Saba biegła kilka metrów przed nim. Nagle tuż przed nią powstała rozpadlina. Barabelka nie zwolniła nawet kroku, tylko, posługując się Mocą, przeskoczyła na drugą stronę i biegła dalej.

Luke, Jaina i pozostali zrobili tak samo.

Eksplozja za ich plecami wyrzuciła wszystkich w powietrze. Luke sam musiał się bardzo postarać, by uniknąć bolesnego upadku, ale obracając się w powietrzu, tak żeby wylądować na nogach, sięgnął jeszcze poprzez Moc, żeby zamortyzować upadek niektórych mniej doświadczonych Rycerzy Jedi.

Wylądował zwrócony twarzą w tę stronę, z której przybiegli, i otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

Uspiony wulkan nie był już uspiony. Strugi pomarańczowej lawy strzelały kilometr w górę i spadały w postaci śmiercionośnego deszczu na zbocze góry. Był to przerażający widok, jednak Luke'a bardziej niż tryskająca lava zaniepokoiła chmura nad ich głowami. Wyglądała jak kłęby gęstego, szarego dymu, ale nie było to nic tak nieszkodliwego jak zwykły, duszący popiół. Luke wiedział, co ma przed oczami.

Była to skała, tak rozgrzana, że zamieniła się w pianę pięć razy gorętszą od wrzącej wody, poruszająca się z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. Luke wiedział, że jeśli ten potok ich dogoni, zostaną natychmiast spaleni, a ich ciała zamienią się w węgiel.

A powinien dogonić ich w ciągu paru minut. Maski chroniły ich przed wdychaniem trujących gazów i gęstego, oślepiającego popiołu, ale nie mogły schłodzić rozgrzanego nagle do nieprawdopodobnie wysokiej temperatury powietrza. Luke starał się maksymalnie schładzać wdychane powietrze, używając Mocy. Przed sobą i obok siebie widział dwóch Jedi, którzy chwycili się nagle za gardła i po chwili upadli, jak tylko zaczerpnęli nieschłodzonego powietrza. Mistrz Jedi czuł empatyczny ból, widząc, jak umierają w męczarniach, tonąc w płynach z własnych płuc.

Zacisnął powieki i, posługując się Mocą, stworzył wokół nich ochronną barierę. Biegł teraz naprzód, wykorzystując jedynie pozostałe cztery zmysły i Moc.

Strach, determinacja, ból - wszystko to wyczuwał wokół siebie, uciekając razem z innymi Jedi przed chmurą Ciemnej Strony, która deptała im po piętach. Wiedział, że niektórzy z nich nie przeżyją - niektórzy już nie przeżyli. Ale większość powinna się uratować.

Otworzył na chwilę oczy. Saba Sebatyne, która miała najdłuższe nogi z nich wszystkich, dotarła już do bramy. Nie próbowała jej nawet podnosić, żeby na nich z powrotem nie opadła, tylko rozerwała po prostu durastalową kratę Mocą. Jedi przemknęli przez dziurę w momencie, gdy ściany, w których umocowana była brama, zaczynały się walić.

Radość i wdzięczność ogarnęły Luke'a, kiedy zobaczył dziesiątki statków, lądujących, żeby zabrać wyczerpanych Jedi. Niektórzy biegli dalej, kierując się do swoich własnych StealthX-ów.

Luke sięgnął po komunikator i podniósł głos, żeby przekrzyczeć tumult.

- Ben! Ben, słyszysz mnie?

Odpowiedziała mu cisza. Luke zaklął, po czym wcisnął ponownie przycisk na komunikatorze.

- Raynar! Możesz zabrać więcej pasażerów? - Większość Jedi przyleciała własnymi StealthX-ami, ale we flocie było też kilka większych statków. Raynar pilotował jeden z nich i mógł

dolecieć do tuneli, zanim jeszcze Luke dotarłby do „Cienia Jade”.

- Tak, Mistrzu Luke. Gdzie mam lecieć? - Głos Thula był spokojny jak zawsze.

- Leć do wejścia do jaskiń. Zabierz Bena, Vestarę i Natuę. Szybko!

- Tak jest, Mistrzu Skywalker.

- Dziękuję - powiedział Luke i poczuł chwilową ulgę. Gdy tylko jednak wyłączył

komunikator, przed oczami stanął mu obraz wielonogiego, czerwonookiego stworzenia, wryty na prastarym murze. Nagle odgadł, co to było, i na nowo opanował nim lęk o życie Bena.

Znajdź mojego syna, powtarzał rozpaczliwie w myślach, biegnąc ostatkiem sił w kierunku miejsca, gdzie zostawił „Cień Jade”.

Znajdź mojego syna.

## **ROZDZIAŁ 40**





Vestara usłyszała za plecami ruch i cichy jęk. To Ben odzyskiwał przytomność.

Uśmiechnęła się lekko i zniecka skoczyła na Pieśniarza Snów, atakując go ze wszystkich sił.

- Vestara! - Ben zerwał się na równe nogi i także ruszył do walki.

Był bezpieczny. Natua nie żyła.

Nie mogło pójść lepiej.

Dreszcze przerażenia wciąż wstrząsały ciałem Bena, który zmagał się z drugą falą nieświadomości. Nie potrafił stwierdzić, co jest prawdziwe, a co tylko iluzją, ale gdy zdał sobie sprawę, co się z nim dzieje, wiedział już, co musi zrobić. To, czego nauczył go ojciec, a jego imiennik nauczył jego ojca.

Zaufać własnym uczuciom.

Ufał w swoją miłość do Vestary. Ufał w swoją przyjaźń z Natuą. I wierzył, że jeśli będzie wystarczająco zdeterminowany, wystarczająco silny, to zdoła podjąć walkę i nie paść ofiarą tego przerażenia, które zdawało się przepływać przez jego żyły z każdym uderzeniem szybko bijącego serca.

Nie wiedział, czy to naprawdę jest potwór, czy rozumna istota, czy może jeszcze coś innego.

Nie wiedział, czy Natua naprawdę nie żyje i czy to naprawdę jest rana od miecza świetlnego na jej ciele, czy tylko część wywołanej feromonami iluzji. Czuł jednak zło emanujące od jego przeciwnika i nie wyczuwał już Natui w Mocy, a to mu wystarczyło, żeby rzucić się do walki.

Nagle grunt pod ich stopami się zatrzęsł. Oboje z Vestarą musieli błyskawicznie zareagować, żeby nie upaść na kamienną podłogę. Ben, którego zmysły były wciąż przytępione od ataku stwora, usłyszał jęk Vestary, spojrzał w górę i zobaczył ogromny stalaktyt wiszący zaledwie parę centymetrów nad jego głową. Vestara odepchnęła go Mocą i usłyszał, jak nawis pęka przy uderzeniu.

Vestara chwyciła go za ramiona i potrząsnęła.

- Ben! Posłuchaj mnie!

Chłopiec zamrugał, próbując się skoncentrować. Wyglądała jak Vestara i nie przerażała go śmiertelnie...

- Musimy uciekać. Natychmiast. Tunele się walą.

- Natua... - Odwrócił się w stronę, gdzie przed chwilą stało stworzenie. Teraz nigdzie nie było go widać. Wykorzystało chwilę ich nieuwagi, żeby uciec. Wzrok Bena padł na krwawy ślad, który zniknął w ciemności.

- Dla niej jest już za późno - powiedziała Vestara, szarpiąc go znów za rękę - i dla nas też zaraz będzie, jeśli się nie pospieszymy!

Ocknął się, znalazł swoją maskę i założył ją z powrotem. Tak na wszelki wypadek.

- Dobrze. Wynośmy się stąd!

Popędzili tą samą drogą, którą przyszli, próbując wyczuć dzięki Mocy kolejne nadciągające wstrząsy, żeby się na nie przygotować. Teraz, kiedy uciekali w popłochu, nie zwiedzając już niespiesznie tuneli, dystans wydawał się Benowi znacznie krótszy. Minęli miejsce, gdzie natrafili na stare, kruche kości, rozgniatając je na proch pod stopami. Dotarli już prawie do komnaty, w której znaleźli miecze świetlne, gdy Ben wyczuł kolejny zbliżający się wstrząs.

Chwycił Vestarę za ręce i, posługując się Mocą, cisnął ich oboje w głąb tunelu. Ustawił się tak, żeby spadła na niego, wykorzystując tyle energii, ile tylko mógł, na zamortyzowanie własnego upadku.

Huk, który prawie ich ogłuszył, zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Ben przywarł do Vestary, a ona do niego. Wreszcie w tunelu zapadła cisza.

I ciemność.

- Nic ci nie jest? - zapytał Ben.

Czuł ciało dziewczyny przyciśnięte do jego ciała, czuł jej oddech, bicie jej serca.

- Nie - odpowiedziała, zsuwając się z niego ostrożnie. - Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Zaśmiała się niepewnie.

- Zgubiłam... miecz świetlny.

- Ja też. Może po prostu wytrąciło nam je z rąk. - Ben miał zebra poobijane od twardego lądowania, ale zdołał się podnieść. Skrzywił się, chociaż wiedział, że Vestara jest w tej chwili tak samo ślepa jak on.

Wyciągnął rękę. Nie miało znaczenia, gdzie leży jego miecz świetlny. Wyobraził sobie jego dotyk w dłoni, chłód metalu, znajomy ciężar - i po chwili poczuł na dłoni delikatne uderzenie wracającego do niej miecza. Włączył go, uśmiechając się mimo bólu. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była twarz Vestary, skąpana w łagodnym niebieskim świetle.

Nie patrzyła na niego. Spoglądała ponad jego ramieniem w kierunku, w którym wcześniej zmierzali.

Ben odwrócił się, żeby spojrzeć w tę samą stronę, i zobaczył, że są zasypani.

- *Bloah* - mruknął ponuro.

Stali przez chwilę w milczeniu, po czym Vestara westchnęła i powiedziała:

- Poszłoby szybciej, gdybyśmy mieli dwa miecze świetlne, ale bierzmy się do roboty.

Możemy jeszcze wyjść z tego cało.

- Ależ wyjdziemy - zapewnił.

- Mówisz tak, jakbyś był tego pewien.

- Jestem - potwierdził. - Dopiero co zwróciłaś się ku Jasnej Stronie Mocy. A ja obiecałem, że dopilnuję, żebyś została Jedi, pamiętasz?

Nie widział wyrazu jej twarzy pod osłoną maski, ale wzięła go za rękę i ścisnęła w milczeniu. Ben wysłał w jej stronę ciepłą falę zaufania i czułości, po czym zabrał się do pracy przy kamieniach.

Szybko złapali właściwy rytm. Ben ciął kamienie, Vestara zaś, wykorzystując Moc, odrzucała wykrojone kawałki do tyłu i podtrzymywała ścianę z pozostałych kamieni, żeby się na nich nie zawaliła. Zdarzyło się jeszcze parę wstrząsów, ale na szczęście ściana wytrzymała.

Po kilku minutach oddech Bena stał się ciężki. Pomyślał, że szwankuje jego maska, więc zaczął ją zdejmować.

- Nie - ostrzegła Vestara. - Powietrze się kończy. I jest... gorące. Użyj Mocy do regulacji oddechu.

Skinął tylko głową. Nie chciał już nic mówić po tym ostrzeżeniu i zrobił tak, jak mu poradziła - oddychał powoli, wykorzystując Moc, żeby jego ciało pobierało przy tym jak najmniej tlenu.

Jakieś pół godziny później wsunął rękę w jedną ze szczelin.

- Już prawie - powiedział.

Vestara skinęła na niego i pokazała, żeby stanął przy niej. Kiedy to zrobił, spojrzała przed siebie i wykonała gest naśladujący pchanie. Od razu zrozumiał. Dziewczyna uniosła rękę i odliczyła na palcach: raz, dwa...

Trzy.

Pchnęli z całej siły, pomagając sobie Mocą. Ściana z kamieni eksplodowała na zewnątrz, jakby ktoś odpalił detonator termiczny. Przez chwilę stali, wpatrując się w ziejącą dziurę, a potem zaczęli się śmiać i obejmować.

- Dostyc tych czułości - odezwał się czyjś głos. Podnieśli wzrok i ku swojemu zdumieniu zobaczyli Corrana Horna. Jego oczy nad maską wydawały się jednocześnie rozbawione i zniecierpliwione. - Wulkan wybuchł i musimy jak najszybciej uciekać. Aha, Vestaro...

Rzucił jej niezapalony miecz świetlny.

- To chyba twoje.

## ROZDZIAŁ 41

### Biuro Merratta Jaxtona, Coruscant

Merratt Jaxton, chociaż lubił znajdować się w centrum uwagi, stwierdził, że potrafi się nie wychylać, kiedy sytuacja tego wymaga.

Zastanawiał się, czy coś poszło nie tak, kiedy Lecersen przepadł bez wieści. Wiedział już, że tak było, kiedy Bramsin umarł rzekomo naturalną śmiercią, a Treen opuściła Coruscant w kilka godzin po jego śmierci.

A potem znaleziono ciało Parovy...

Jaxton, który nasłał fałszywych Jedi na admirała Neka Bwua'tu, nie wierzył, że była to robota Tahiri Veili. Ani żadnego innego Jedi.

Pozostało ich więc tylko dwóch. Trzech, jeśli liczyć Suldara, który miał być tym nowym, a tymczasem nagle się okazało, że pociągał za wszystkie sznurki i gwałtownie ograniczał liczbę potrzebnych mu współpracowników.

Jaxton wołał, kiedy to Lecersen był szefem całego przedsięwzięcia... no cóż, nominalnym szefem, chociaż wiedział, że pomysł wyszedł od senator Treen. Teraz, gdy oboje byli nieosiągalni, Jaxton zaczynał się czuć bardzo, bardzo niepewnie.

Wpatrywał się w swój komunikator, obracając go w dłoni, aż w końcu nacisnął przycisk.

- Tak? - odezwał się zimny, metaliczny głos.

Jaxton się zawahał. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Nie podoba mi się to.

- Co ci się nie podoba?

- Parova i Bramsin nie żyją.

- Ale my żyjemy, więc o co chodzi?

Czy generał Stavín Thaal nic nie rozumiał?

- A skąd wiesz, że nie będziemy następni? Ci cholerni senatorowie myślą, że mogą nas kontrolować... Od starego, dobrego Palpatine'a też żadnych wieści - dodał, przypominając sobie z niesmakiem spotkanie, na którym Lecersen wystąpił w przebraniu Imperatora Palpatine'a.

Cisza.

- Wiesz co, masz rację. Spotkajmy się i pogadajmy.

- Gdzie?

- Znajdę cię.

Klik.

Jaxton popatrzył na swój komunikator i z niewiadomych powodów przeszedł go dreszcz.

Przez resztę dnia Thaal się nie odzywał. Jaxton poszedł do lokalnej kantyny na drinka, potem do restauracji, gdzie często jadał kolację, a wreszcie wrócił do domu i nalał sobie kieliszek przed snem. Sączył go, oglądając holowiadomości; stwierdził z ulgą, że nikt, kogo zna, nie został znaleziony martwy.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Jaxton odetchnął z ulgą. W końcu się zjawił.

- Stavin - powiedział pogodnie, otwierając drzwi - tajemniczy z ciebie...

Za drzwiami rzeczywiście stał Stavin Thaal, a oprócz niego dwóch innych ludzi. Jaxton popatrzył nieufnie na nich, a potem znów na Thaala.

- Osobista ochrona - wyjaśnił Thaal. - Ostrożności nigdy za wiele.

- Nie musisz mi mówić - odparł Jaxton i zaprosił ich gestem do środka. - Napijesz się czegoś? - spytał, podchodząc do barku. - Mam duży wybór...

- Merratt - przerwał mu Thaal. Jego mechaniczny głos brzmiał dziwnie cicho.

Jaxton się odwrócił. Dwóch mężczyzn trzymało wycelowane w niego małe, ręczne blastery.

- Dobra, dobra, wyciągnę to, co mam najlepszego - zaśmiał się. - To nie jest wcale takie śmieszne, Stavin - ciągnął, dolewając sobie drinka.

- Obawiam się, że to w ogóle nie jest śmieszne - odparł Thaal. Usiądź przy biurku.

Podyktuję ci coś.

- Mówisz poważnie, prawda? - powiedział Jaxton. Thaal pokiwał z powagą głową.

Mężczyźni nie opuszczali blasterów. Jaxton posłuchał w nadziei, że uda mu się jakoś z tego wykręcić albo przynajmniej odwieść Stavina od... od tego, co planował.

- Mam tu gdzieś datapad...

- Na pewno znajdziesz kawałek flimsiplastu i rysik - odparł Thaal. Jaxton zaczął przetrząsać biurko i faktycznie znalazł wspomniane przedmioty. Drżącą, nieprzyzwyczajoną do rysika ręką zaczął pisać.

- „Kieruję ten list do tego, kto mnie znajdzie” - podyktował Thaal.

Jaxton doszedł tylko do „tego”. Zastygł w bezruchu.

- Co to znaczy? - Oczywiście wiedział, ale nie chciał w to uwierzyć. Nie mógł uwierzyć.

- Jak to co, synu? Zabiję cię, jak tylko skończysz pisać ten list.

Jaxton popatrzył na Thaala i na dwóch mężczyzn o kamiennych twarzach.

- Skoro wiem, że zginę, to dlaczego miałbym coś napisać?

- Ponieważ to, jak zginiesz, zależy od ciebie - powiedział Thaal swoim strasznym głosem droida. - Jeśli napiszesz grzecznie ten list, twoje samobójstwo będzie szybkie i bezbolesne. Jeśli spróbujesz ze mną walczyć, umrzesz w takich męczarniach, że wszyscy będą cię podziwiać, że miałeś dość odwagi, by zdecydować się na coś takiego. Wybór należy do ciebie.

Jaxton zawahał się, po czym wrócił do pisania. Thaal pokiwał głową.

- Dobrze. Na czym to ja skończyłem? Ach, tak. „To się zaczęło jako szlachetna krucjata, w szlachetnym celu, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Po to, żeby obalić niesprawiedliwy rząd reprezentowany przez Natasi Daalę. W tym celu połączyłem siły z senatorem Fostem Bramsinem i admirał Sallinor Parovą”.

Jaxton przerwał pisanie i spojrzał na Thaala.

- Nie wiem, dlaczego mnie to w ogóle obchodzi - stwierdził - ale z jakiegoś dziwnego powodu obchodzi. Rozumiem, że nie chcesz, żebym wymienił ciebie, ale dlaczego nie wsypać Treen i Lecersena, skoro już wymieniasz nazwiska?

Thaal zachichotał. Zabrzmiało to okropnie sztucznie.

- Bo oni ciągle żyją. Jeśli będą siedzieć cicho, ja też będę. Nie wiem nawet, co się dzieje z Lecersenem, a Treen to bystra kobieta.

Jaxton oblizał wargi.

- Ja też mógłbym siedzieć cicho...

Thaal pokręcił głową niemal ze współczuciem.

- Nie, synu, nie mógłbyś. Poza tym to bardzo ładna lista. Troje spiskowców to w sam raz.

Senator i dwójka wojskowych. Wszystkie fronty obstawione. A jeszcze ładniej będzie wyglądać, jak cała trójka będzie martwa.

- Możemy coś wymyślić - bąknął Jaxton.

- Nie, synu, nie możemy. To by się nie udało. Znam się na istotach i wiem o tobie wystarczająco

dużo, żeby to stwierdzić.

Jaxton chciał już spytać Thaal, czy może z kimś porozmawiać, ale gdy tylko o tym pomyślał, zdał sobie sprawę, że nie ma z kim. Nikt nie będzie za nim tęsknił. Nie miał nawet cholernego zwierzaka, któremu mogłoby go brakować, tak jak Dorvan.

- Pisz dalej - rozkazał Thaal. - „Nie mogę żyć, wiedząc, że moi współspiskowcy zginęli za to, w co wierzyli. Wkrótce do nich dołączę”. A teraz podpisz.

- Nikt w to nie uwierzy - powiedział Jaxton, składając podpis. - Domyślą się, że to było morderstwo, i znajdą cię.

Thaal znów się zaśmiał, a Jaxton wzdrygnął się lekko na ten dźwięk.

- Może masz rację. Ale z drugiej strony - skinął na jednego ze swoich ludzi - może i nie.

Mężczyzna nachylił się i, ku zaskoczeniu Jaxtona, podał mu swój blaster. Jaxton wpatrywał się w niego, jakby to było jakieś egzotyczne zwierzę. Mógł go wziąć i oddać nawet ze dwa strzały - a przynajmniej jeden celny do Thaal'a - zanim by go zabili. Cały plan Thaal'a wzięłby w łeb.

Ale w tej chwili Jaxton zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy jest tchórzem. Thaal miał rację. Nie umiałby trzymać gęby na kłódkę, gdyby go przesłuchiowano. Złamałby się, i to całkowicie.

Żałował teraz, że nie wszedł po prostu do gabinetu Wynna Dorvana i wszystkiego nie wyśpiewał. Pójście na współpracę mogłoby go ocalić. To ambicja i próżność go zgubiły. Cóż, przynajmniej ci, których wydał w liście, już i tak nie żyli.

Wziął blaster i trzymał go w milczeniu, czekając na instrukcje.

- A teraz włóż go sobie do ust - polecił Thaal. - Kiedy będziesz gotowy, naciśnij spust.

Jaxton popatrzył na blaster, a potem powoli wykonał polecenie. Jego oddech na lufie był przyspieszony; czuł cierpki smak i zapach metalu. Dziwne, jak wyostrzone były jego zmysły, teraz gdy używał ich po raz ostatni. Podniósł wzrok i spojrzał prosto w jasne, zimne oczy Thaal'a.

Thaal skinął głową.

- Będę patrzył, jak odchodzisz - powiedział głosem tak łagodnym, na jaki tylko mógł się zdobyć, w odpowiedzi na niezadane pytanie.

Jaxton nacisnął spust.

Leia nie mogła spać. W ogóle niewiele sypiała, odkąd umieścili ją w tej celi. Materac był



nierówny, stary i niewygodny. Wiedziała jednak, że to nie dlatego nie może usnąć. Sypiała już na twardszych podłożach, w hamakach, nawet na drzewach, a także w innym, bardziej antyseptycznym i złowieszczym więzieniu.

Nie mogła przestać myśleć o tym, co Eramuth powiedział o Klubie Bwua'tu. O spiskach - w liczbie mnogiej - które odkryli. Eramuth twierdził, że ona i Han są teraz członkami klubu i że nie powinna się martwić. „Wyciągniemy cię stąd, moja droga - grzmiał stary Bothanin - w taki sposób czy w inny. Możesz być o to spokojna”.

I była. Martwiła się jednak o to, czy w porę zdemaskują spiskowców. Martwiła się, czy Padnel Ovin zorientuje się w tym, co się dzieje. Martwiła się...

Leia usłyszała jakiś hałas i zauważyła, że panujące w korytarzu ciemności lekko się rozjaśniają. Ktoś nadchodził - dwie osoby z prętem jarzeniowym. Usiadła na prycy, nasłuchując.

- ...wysoce niecodzienne - mówił ktoś.

- Tak jak ta sytuacja, strażniku - dobiegł szorstki głos Padnela. - A Jedi Solo jest wysoce niecodziennym więźniem. A teraz otwórz drzwi i zostaw nas samych albo poszukasz sobie nowej roboty.

Pojawili się przed drzwiami. Strażnik, poirytowany Sullustanin, wyłączył pole siłowe, wpuścił Padnela, włączył ponownie pole, rzucił im obojgu gniewne spojrzenie i odszedł.

- Stanowisko ma swoje przywileje - stwierdziła Leia. - Co cię sprowadza o takiej porze?

Dobre nowiny, mam nadzieję?

Padnel zaczął się przechadzać z prętem jarzeniowym w dłoni.

- Prawdę mówiąc, niespecjalnie, chociaż ostatecznie to może się okazać dobra wiadomość.

Przynajmniej dla ciebie. - Zatrzymał się i popatrzył na nią poważnie. - Ty myślisz, że ja nie słucham. Czasem nie słucham, ale kiedy indziej owszem. Myślałem o tym, co mówiłaś, i o wszystkim, co się ostatnio wydarzyło. I powiedziałem o twoich troskach Dorvanowi. Najwyraźniej jest jakiś... klub, który powstał wokół takich trosk.

W sercu Leii zagościła nadzieja - ciepła, głęboka i spontaniczna.

- Klub Bwua'tu - wyszeptwała.

Pokiwał głową.

- Nie wiem o nim za dużo, i ale też nie muszę. Wystarczy, że Dorvan i admirał biorą w tym udział. Tak jest lepiej. Oni dzielają twoją opinię co do spisku. Odkryli jakieś powiązania między Bramsinem, Lecersenem i Jaxtonem...

- Otrucie! - Leia przypomniała sobie swoją rozmowę z Javonem Thewlesem. - To, które miało na celu zdyskredytowanie SBGS. A Parova...

- ...wprowadziła na to miejsce swoich podkomendnych - dokończył Padnel. - A teraz ona nie żyje, Bramsin nie żyje, a Treen i Lecersen zniknęli. Zostaje tylko jeden.

- Generał Jaxton - szepnęła Leia.

Padnel skinął głową.

- To mi wystarczyło, żeby podłożyć w biurze Jaxtona małe urządzenie podsłuchowe, na tyle czułe, żeby wychwycić głosy obu rozmówców przy połączeniu przez komunikator. I dziś po południu nagrałem bardzo ciekawą rozmowę. Dopiero co zdążyłem ją odsłuchać.

- Co mówił? Z kim rozmawiał?

- Mówili o tym, że Bramsin i Parova nie żyją, o „cholernych senatorach” i o kimś, kogo nazwał „starym, dobrym Palpatine’em”. Mieli się później spotkać, żeby pogadać. Niestety, rozmówca Jaxtona nie został wymieniony z imienia ani nazwiska i używał, albo używała, modulatora głosu.

- To musiał być Suldar - stwierdziła Leia. - Biorąc pod uwagę wszystko, co się dzieje...

- I ja tak myślę. W każdym razie to wystarczy, żeby przymknąć Jaxtona, przynajmniej w celu przesłuchania.

Leia się skrzywiła.

- Skoro były wystarczające powody, żeby mnie przymknąć, to tak, zgadzam się.

Padnel wyglądał na skruszonego; położył jej rękę na ramieniu.

- Nigdy w ciebie nie wątpiłem, Leio - powiedział. - Myślałem tylko, że mylisz się co do spisku.

- To było zwątpienie, wiesz? - odparła Leia, jednak widząc wyraz jego twarzy, zmiękła. -

Ale rozumiem, dlaczego tak myślałeś. To wydawało się niemal tak niedorzeczne jak zarzuty, które postawiono mnie.

- Dam ci znać, co... - Jego komunikator zapiszczał. - Przepraszam na chwilę - powiedział i odebrał połączenie. - Ovin. Co? - Słuchał z szeroko otwartymi oczami. Warknął cicho. -

Rozumiem. Zachowajcie szacunek dla zwłok, ale przewieźcie je natychmiast do Ośrodka Medycznego Galaktycznego Senatu, żeby przeprowadzić autopsję. Nie, nie, dobrze, że się z tym do mnie zwróciłeś. Informuj mnie na bieżąco.

Leia poczuła nagły chłód.

- Jaxton - powiedziała. Padnel przytaknął. - Zamordowany, tak jak Parova?

Pokręcił głową.

- Wygląda na samobójstwo. Ale nie wierzę w to ani trochę.

- Ja też nie.

Padnel odwrócił się do niej i wziął ją za rękę.

- Leio, przepraszam. Nie powinnaś była tu w ogóle trafić. Myślałem, że będzie lepiej, jeśli pójde senatorom na rękę i zacznę obserwować, ale powinienem był położyć temu kres, jak tylko poczułem, że coś śmierdzi.

- Zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne. Kto wie, może właśnie w ten sposób uchroniłeś mnie przed czymś gorszym - stwierdziła.

- Chciałbym w to wierzyć. Chciałbym myśleć, że zrobiłem coś dobrego. Teraz mam zamiar dopilnować, żeby więcej nic złego cię nie spotkało. - Jego oliwkowe fałdy policzkowe rozszerzyły się w przejmującym uśmiechu, odsłaniając ostre, wyszczerbione zęby. - Słyszałem, że jeśli się jest przywódcą, to jak ty mówisz, inni muszą siedzieć cicho. Jutro zamierzam uciszyć ich na dość długo, żeby zdążyć naprawić część krzywd, które wyrządziłem. A potem... mam zamiar porozbijać parę głów.

Mimo powagi sytuacji Leia się uśmiechnęła.

- Gadasz zupełnie jak Han - powiedziała.

- To może najlepszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałem - odparł Padnel. A Leia musiała się z nim zgodzić.

## **ROZDZIAŁ 42**

Arcylord Workan był z siebie całkiem dumny.

Tym systemem politycznym dało się tak łatwo manipulować. Nawet ktoś fizycznie słaby i niepotrafiący używać Mocy mógł dojść do władzy dzięki popularności i poparciu wystarczającej liczby istot. Wszędzie były luki; trzeba tylko było wiedzieć, gdzie ich szukać. A Sithowie, niczym sfera anoob, celowali w wynajdywaniu słabości i wykorzystywaniu ich do zniszczenia przeciwnika.

To, czego oczekiwała od niego Roki Kem, było nie tylko całkiem łatwe, ale także wręcz legalne.

Senat miał prawo wybrać tymczasowego przywódcę Galaktycznego Sojuszu do czasu, aż zostaną przeprowadzone formalne wybory. Workan przekonał niedawno senatorów, żeby mianowali na to stanowisko Padnela Ovina. Teraz musiał jedynie zgłosić wniosek, żeby zamiast niego mianować Roki Kem. Przy jej charyzmie, sławie i atmosferze życzliwości, jaka towarzyszyła jej na każdym kroku, a także przy jego własnych możliwościach powinien bez trudu uzyskać trzy czwarte głosów, konieczne

do odwołania Ovina.

Potem miał ją uczynić Ukochaną Królową Gwiazd, cokolwiek to znaczyło. Workan zamierzał, tak jak to miał w zwyczaju, zająć się tym, kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

Zakładając, że wszystko pójdzie zgodnie z planem, a nic nie wskazywało, że miałyby być inaczej, powinien jeszcze tego samego dnia zapewnić Roki Kem stanowisko przywódczyni Sojuszu. A to z całą pewnością zaskarbiłoby mu jej przychyłność.

Workan podziwiał i szanował Lorda Vola, musiał jednak przyznać, że podobał mu się ten nowy obrót spraw.

Aktualny przewodniczący Senatu, Chagrianin nazwiskiem Nensu Kaatik, wysunął się naprzód, żeby odczytać porządek obrad. Workan siedział z zamkniętymi oczami, otwierając się na Moc; chciał, żeby przepłynęła przez niego i zaniósła go do każdej obecności w Mocy w tej ogromnej sali. Słuchał, a kiedy odczytano ostatni punkt w porządku dziennym i przewodniczący zapytał, czy są jeszcze jakieś sprawy do omówienia przez Senat, podniósł się z miejsca.

- Za pozwoleniem Wysokiej Izby - powiedział. Miał ochotę użyć Mocy, żeby jego głos rozniósł się po całej sali, jednak stłumił to w sobie i wykorzystał jedynie technologię nagłaśniającą.

- Mam ważną sprawę, która wymaga natychmiastowego rozpatrzenia przez Senat.

Przewodniczący zmarszczył brwi.

- Udzielam głosu panu senatorowi Suldarowi z B'nish.

Workan schylił głowę i wyprowadził swoją platformę repulsorową na środek. Nie po raz pierwszy pomyślał, że przy tym oświetleniu, a także przy jednolitym kształcie i kolorze platform sala Senatu musi z daleka wyglądać jak ogromne, pokryte łuską zwierzę.

- Jak wiemy, w czasach kryzysu, kiedy na czele Galaktycznego Sojuszu stoi tymczasowy przywódca, Senat ma prawo, a nawet obowiązek, jeśli zajdzie taka potrzeba, zakwestionować jego władzę i powierzyć tę rolę temu, kto w mniemaniu tego szacownego ciała najlepiej przeprowadzi nas przez kryzys - zaczął Workan. Słyszał już szmer głosów i uśmiechnął się do siebie. - Niedawno mieliśmy do czynienia z takim kryzysem i ja sam wysunąłem kandydaturę świeżo zaprzysiężonego senatora, który, jak sądziłem, powinien wnieść nowe spojrzenie. - Rozejrzał się dookoła z udawanym żalem. - Niestety, obawiam się, że senator Padnel Ovin z Klatooine nie jest właściwą osobą na ten czas. Jego powiązania z Jedi i z terroryzmem... Miałem nadzieję, że zdoła się od tego odciąć. Jednak w obliczu niedawnego zabójstwa głównodowodzącej marynarki wojennej, śmierci naszego drogiego kolegi, senatora Fosta Bramsina, i godnej ubolewania rezygnacji zasłużonej senator Haydnat Treen z Kuata wydaje się oczywiste, że nie jest on odpowiednim przywódcą na trudne czasy. Zgłaszam wniosek o odwołanie senatora Ovina i zastąpienie go kimś, kto również może wnieść powiew świeżości, ale dał się również poznać jako wybitny i uwielbiany lider.

Zgłaszam kandydaturę senator Rokari Kem.

Siedząca kilka metrów dalej na własnej platformie Roki Kem wyglądała na zaszczyczoną i onieśmioną zarazem. Wstała z uśmiechem, prezentując idealną kombinację determinacji i troski.

Jakaż z niej była świetna aktorka.

- Głos ma pani senator Rokari Kem z Qarasa. Pani senator, została pani zgłoszona jako kandydatka do objęcia urzędu tymczasowego przywódcy Galaktycznego Sojuszu. Czy przyjmuje pani tę nominację?

- Wysoka Izbo - powiedziała słodkim i szczerym głosem - przybyłam na Coruscant, by służyć. Nie tylko mojemu ludowi z Qarasa, ale każdemu, komu jest to potrzebne. Służyć wszelką wiedzą, mądrością i doświadczeniem, jakie posiadam. Jeśli Senat życzy sobie, żebym służyła w tej roli, będę to czynić z pokorą, wdzięcznością i najlepiej, jak potrafię.

- Za pozwoleniem Wysokiej Izby! - odezwał się jakiś głos. Workan zmarszczył brwi. To był

Luwet Wuul, Sullustanin. Udzielono mu głosu, więc mówił dalej: - Galaktyczny Sojusz nie powinien odrzucać wybranego przez siebie przywódcy, jakby to było ubranie, które przestało nam się podobać. Padnel Ovin dopiero co zaczął urzędowanie. Ledwie miał czas przesunąć datapady na biurku, nie mówiąc o gruntownych zmianach. Wnioskuje o oddalenie tego wniosku.

- Przewodniczący się z panem zgadza, senatorze - powiedział Kaatik - jednak zgodnie z prawem wniosek został zgłoszony i musi zostać poddany pod głosowanie.

- W takim razie, z uwagi na wyjątkowość tej sytuacji, proponuję, żeby wniosek musiał uzyskać cztery piąte głosów, a nie trzy czwarte.

- Zgadzam się. Kto jest za większością cztery piąte, proszę o oddanie głosu.

Workan zacisnął zęby. Był pewien uzyskania trzech czwartych głosów, ale tego dnia było trochę wolnych miejsc na sali. Nie był wcale przekonany, czy wygra głosowanie, jeśli potrzeba będzie czterech piątych głosów.

A przecież musi wygrać, bo inaczej znajdą go martwego na schodach Świątyni Jedi. Albo jeszcze gorzej.

Wniosek Wuula został przyjęty zaskakująco szybko. Workan potrzebował więcej czasu.

Musiał zawiadomić część swoich zwolenników, powiedzieć im, żeby natychmiast się tu zjawili albo...

- Proszę o pozwolenie na zabranie głosu! - odezwał się niski, szorstki głos. Po sali przeszedł

szmer zaskoczenia. Sam Padnel Ovin był obecny na sali. Stał obok Wuula na platformie Sullustanina. Trzymał ręce na biodrach i wyglądał, jakby był gotów poderżnąć gardła całemu Senatowi.

- Udzielam głosu przywódcy Galaktycznego Sojuszu - oznajmił Kaatik.

- Szanowni senatorowie - powiedział Padnel - właśnie się dowiedziałem, że zgłoszono wniosek o usunięcie mnie z urzędu.

- Przypominam panu, że pełniący obowiązki przywódcy nie ma prawa głosu w tej kwestii -

wtrącił Kaatik; wyglądał na zakłopotanego.

- To fakt - ciągnął Padnel. - Ale jest zapis, który mówi, że mam prawo przemówić do Senatu przed głosowaniem.

Była to prawda. Miał takie prawo, chociaż uważane za czystą formalność. Nikt się nie spodziewał, że istota na tym stanowisku może próbować wpłynąć na Senat. Było to uważane za nietaktowne i raczej prostackie. Pełniący obowiązki przywódcy powinien znieść głosowanie w pełnym godności, stoickim milczeniu.

Ale, jak zauważył Workan, Padnel był z natury nietaktowny i raczej prostacki. I może nieświadomie dał właśnie Workanowi dość czasu, żeby poprosić parę osób o przysługę.

- Ależ oczywiście - zapewnił żarliwie Workan. - W żadnym wypadku nie chciałbym odmawiać przywódcy... przepraszam, pełniącemu obowiązki przywódcy Sojuszu jakichkolwiek przysługujących mu praw.

- Udzielam zatem głosu pełniącemu obowiązki przywódcy Galaktycznego Sojuszu -

oznajmił przewodniczący.

Padnel schylił uprzejmie głowę.

- Dziękuję. Szanowni senatorowie - powiedział, spoglądając na ogromne zbiorowisko istot -

zapewne wydaje wam się, że mnie znacie. Większość z was mogła jednak słyszeć jedynie pogłoski o moim zachowaniu albo o moim bracie i jego organizacji. Pozwólcie, że sprostuję niektóre z tych plotek, zanim przystąpicie do głosowania nad moją zdolnością do kierowania Galaktycznym Sojuszem. Zacznę od historii mojego ludu i Paktu Vontorskiego.

Zapowiadało się na bardzo długą mowę. Mów, jak długo chcesz, Ovin, pomyślał Workan, sięgając po komunikator.

Jeśli Padnel Ovin był w czymś dobry, pomyślał Wynn Dorvan, wchodząc do pustego gabinetu przywódcy Sojuszu, to na pewno w uporczywym trwaniu przy swoim. Można się było spodziewać, że teraz przetrzyma senatorów cały dzień, a może nawet i część nocy. Zakładając jednak, że wszystko pójdzie zgodnie z planem, wystarczyło, żeby odwrócił ich uwagę na godzinę.

Dorvan upewnił się, że drzwi są zamknięte, po czym zaciągnął zasłony i podszedł do zwykłej z pozoru, pustej ściany.

Sekret ten znało więcej osób, niżby sobie tego życzył, ale nie był on znany powszechnie.

Dorvan wstukał kod i na ścianie pojawił się kontur drzwi, które następnie się rozsunęły.

Nigdy wcześniej nie musiał używać tych drzwi, ale miał dostęp do planów labiryntu korytarzy, jaki się za nimi znajdował, więc dokładnie wiedział, dokąd idzie.

Korytarz był słabo oświetlony i zakurzony. Dorvan zanotował sobie w pamięci, żeby powiedzieć temu, kto ostatecznie zostanie przywódcą Galaktycznego Sojuszu - sam byłby zadowolony z każdej decyzji Senatu; z czasem nabrał szacunku dla Padnela i, jak wszyscy, uważał

Roki Kem za niezwykłą istotę, która powinna świetnie sobie poradzić - że trzeba posprzątać te korytarze i sprawdzić, czy wszystkie drzwi działają jak trzeba. Tajna droga ewakuacyjna nikomu by się nie przydała, jeśli nie dałoby się nią uciec.

Dorvan szedł szybkim krokiem w dół po schodach, a potem długimi korytarzami, które nie były używane od lat - jeśli w ogóle. Odhaczał w głowie każdy zakręt i wyjście, aż w końcu droga zaprowadziła go pod górę.

Znalazł drzwi, których szukał. Były oznaczone tylko numerem. Kolejny środek ostrożności -

ci, którzy znali system numeracji, wiedzieli, które drzwi dokąd prowadzą. Intruzi mieliby utrudnione zadanie.

Dorvan wziął głęboki oddech i otworzył drzwi.

Przed sobą zobaczył trzy potężne blastery.

- Panowie, odłóżcie to, proszę - powiedział. - Jeżeli mnie zabijecie, to nigdy tam nie traficie.

- Tak jakbym kiedykolwiek pochopnie naciskał spust - mruknął Han Solo. Lando Calrissian przewrócił tylko oczami.

- Facet ma rację - stwierdził Zekk. - Ja na przykład nie miałem pojęcia, że w ogrodach Świątyni jest tajne przejście, które prowadzi do gabinetu przywódcy Sojuszu.

- Skoro już wiesz, Jedi Zekk, proponuję, żebyś jak najszybciej o tym zapomniał. Chodźmy, panowie. Księżniczka czeka.

Ruszyli natychmiast za nim, obładowani taką ilością broni, że można by nią wyposażyć niewielką armię.

- Powtórzmy jeszcze raz plan - powiedział Dorvan.

- Powtarzaliśmy go już sześć razy - zaprotestował Lando.

- Od przybytku głowa nie boli - odparł Dorvan. - Powiedźcie mi, jaki jest plan.

Lando zmarszczył brwi i jęknął cicho, ale posłuchał.

- Idziemy za tobą, aż dojdziemy do części więziennej. Nikt nie wie o tamtym wejściu; nie widać go nawet z drugiej strony. Patrol złożony z trzech strażników przechodzi raz na siedemnaście minut. To martwy punkt, bez żadnych kamer. Czekamy, aż nadejdą, wyskakujemy, ogłuszamy ich i zabieramy im mundury i kody dostępu.

- Znakomicie - pochwalił Dorvan. - Kapitanie Solo, co dalej?

Han spiorunował go wzrokiem.

- Dorvan, mówił ci już ktoś, że jesteś wyjątkowo męczący?

- Wielokrotnie, kapitanie, ale to nie zmienia faktu, że muszę dopilnować, żeby wszyscy wiedzieli...

- Dobra, dobra, jeśli dzięki temu się przymkniesz. Idziemy...

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Zekk. Han odetchnął z wyraźną ulgą. Rzeczywiście stali przed drzwiami 41-A. Han uciszył ich gestem, spojrział na chronometr i przyłożył ucho do drzwi.

Stali tak przez długą chwilę, czekając. Wreszcie Han uniósł rękę i zaczął odliczać na palcach. Trzy.

Dwa.

Jeden.

Dorvan wcisnął guzik i drzwi się rozsunęły. Biedni strażnicy nie mieli szans. Odwrócili się, wyciągając blastery, ale trzech rosyłych mężczyzn pojawiło się nie wiadomo skąd i ogłuszyło ich z wprawą znamionującą wiele lat praktyki.

- Dobra robota, panowie - powiedział Dorvan, spoglądając na trzy nieprzytomne ciała. - Ale mamy problem.

Przed nimi leżeli człowiek, Falleen... i Chadra-Fanka.

- *Stang* - mruknął Han.

- Pora na plan B - stwierdził Dorvan.

Bothańska szefowa ochrony podniosła wzrok, zastygła na chwilę w bezruchu, a potem poderwała się z krzesła.

- Co to ma znaczyć? - zapytała. - Gdzie go znaleźliście?

Przed jej biurkiem stał Wynn Dorvan z rękami splecionymi przed sobą i z tym samym dobrodusznym wyrazem twarzy, jaki miał zawsze, kiedy pokazywali go w holowiadomościach.



Towarzyszyło mu dwóch strażników, którzy podtrzymywali nieprzytomnego mężczyznę ubranego w brązowe szaty. Był to niewątpliwie Jedi, ale na szczęście aktualnie nieszkodliwy.

- Znaleźliśmy go w korytarzu - wyjaśnił jeden z nich. - Nie wiem, jak się tu dostał, ale to na pewno Jedi.

- Dobra robota, pani komendant - powiedział Dorvan. - Z pewnością po schwytaniu Jedi, o którego obecności na Coruscant nikt dotąd nie wiedział, awanse was nie ominą. Mam tutaj rozkaz przywódcy Sojuszu, dotyczący uwięzienia tej... istoty.

Komendant Lua'wan przeczytała rozkaz.

- Ma zostać umieszczony w tej samej celi co Jedi Solo?

- Oczywiście - odparł Dorvan. - To oznacza mniejsze obciążenie dla praworządnych, płacących podatki obywateli Coruscant. Szedłem właśnie przesłuchać Jedi Solo, kiedy doszło do zatrzymania. Osobiście przekażę przywódcy, jak świetnie sobie z tym poradziliście.

Lua'wan trochę się uspokoiła. W sumie dobrze się stało. Kolejny Jedi za kratkami, a ona i jej podwładni pochwaleni...

- Dziękuję. Tu są kajdanki, jeśli...

Drugi ze strażników zachichotał.

- Nie ma obawy, śpi jak kamień - zapewnił. - Obudzi się w celi.

Lua'wan wzruszyła ramionami.

- Jak chcecie - powiedziała. - To wy go tu przynieśliście. Zapiszę pańską wizytę, panie sekretarzu. Cieszę się, że ochrona funkcjonuje zgodnie z pańskimi oczekiwaniami.

- W samej rzeczy - potwierdził Dorvan. - W samej rzeczy.

Leia wyczuła obecność swojego męża w Mocy niemal natychmiast, jak tylko wszedł do budynku, a wkrótce potem doszła do wniosku, że są z nim Zekk, Lando i Dorvan. Kiedy dotarli do jej celi, wlokąc między sobą „nieprzytomnego” Zekka, uśmiechnęła się i skrzyżowała ręce na piersi.

- Co tak długo? - spytała.

- Trafił się za niski strażnik - powiedział tylko Han. Wyłączył pole siłowe, zrobił dwa duże kroki, wziął swoją żonę w ramiona i mocno ucałował.

- Nie chciałbym przeszkadzać, księżniczko - wtrącił Dorvan - ale czas nagli.

Leia oswobodziła się z objęć męża.

- Oczywiście - powiedziała, trzymając wciąż rękę na jego piersi. - Jaki jest plan?

- Taki - odparł Lando. Rzucił Zekkowi mały dataczip. Obaj mężczyźni natychmiast zaczęli otwierać drzwi cel. Leia wyczuła radość i ulgę współwięźniów. Większość z nich, podobnie jak ona, była tu przetrzymywana niesłusznie, chociaż nie wszyscy.

- Możemy otworzyć tym dwanaście cel, włącznie z twoją - poinformował Lando. - To powinno wywołać spore zamieszanie.

- Za mną - polecił Dorvan. Alarmy zaczynały już wyc. Han chwycił Leię za rękę i wszyscy razem wybiegli na korytarz. Zekk i Leia, posługując się Mocą, spychali delikatnie - a czasem nie bardzo delikatnie - na bok innych uciekinierów. Wreszcie Dorvan zahamował gwałtownie i odwrócił się w stronę, gdzie była tylko...

- ...pusta ściana - zdziwiła się Leia, ale gdy tylko wypowiedziała te słowa, zrozumiała, że się myliła. Po drugiej stronie wyczuwała otwartą przestrzeń. - Ukryte drzwi.

- Właśnie - potwierdził Dorvan. Przycisnął coś do ściany i zarys drzwi pojawił się na chwilę, zanim się otworzyły. Gdy tylko wykonali ruch w ich kierunku, ktoś krzyknął:

- Hej! Drzwi!

Han zaklął, odwrócił się i strzelił z blastera w tłumek więźniów. Trzy istoty padły nieprzytomne. Leia również się odwróciła i ruchem ręki posłała do tyłu dwie istoty, które wpadły na kilka innych. A potem szybko przeszli na drugą stronę i drzwi się zamknęły.

- Dobrze - powiedział Dorvan. Miał lekko zmierzwiene włosy, ale poza tym wyglądał tak samo spokojnie jak zawsze. - Tutaj się rozdzielamy. Drzwi prowadzące do ogrodów Świątyni Jedi mają numer cztery-jeden-A. Nie tak łatwo do nich trafić, ale idźcie po prostu tą samą drogą, którą przyszlismy, aż znajdziecie. Ja muszę wracać na debatę w Senacie.

- Podziękuj Owinowi w naszym imieniu. Nie tak łatwo gadać przez tyle czasu o tym, czy nałożyć podatek na egzotyczne owoce.

Dorvan spochmurniał nieco.

- Prawdę mówiąc... temat jego przemówienia jest inny, niż planowaliśmy. Senator Suldar zakwestionował jego zdolność sprawowania urzędu. Zgłosił kandydaturę Roki Kem.

- Dziwne - stwierdził Han. - Spodziewałbym się raczej, że ten *sleemo* zaproponuje jednego z swoich fagasów.

- Ja też - przyznał Dorvan. - Ale tak czy inaczej Owin przemawia, żeby dać wam czas na ucieczkę. Wykorzystajcie to.

- Dzięki, Wynn. Nie zapomnę ci tego - powiedziała Leia, ściskając mu rękę.

Han poklepał go po plecach.

- Pod tą schludną powierzchownością ukrywasz duszę łotra i pirata, Dorvan.

- Proszę, kapitanie Solo. Nie ma potrzeby obrzucania się wyzwiskami.

Han uśmiechnął się szeroko i czworo z nich ruszyło ku wolności.

Dorvan odprowadził ich wzrokiem. Uznał, że odwalił kawał dobrej roboty. Tej nocy powinien spać tak dobrze, jak już dawno mu się nie zdarzyło. Padnel Ovin, Roki Kem - każde z nich było lepsze od Daali. Zaczną wszystko pomału prostować.

Odwrócił się i zaczął się przedzierać przez gąszcz korytarzy. W lewo, w prawo, w górę po schodach, w lewo, w górę po schodach, w prawo, w prawo i jeszcze jedne schody. Spojrzał na chronometr - cała akcja zajęła zaledwie pięćdziesiąt cztery minuty. Wszystko będzie dobrze.

Dotarł pod tajne wejście do gabinetu przywódcy Galaktycznego Sojuszu i odczekał chwilę, żeby ochłonać. Następnie otworzył drzwi i zobaczył troje wyjątkowo przystojnych ludzi, z których każdy trzymał w ręku czerwony miecz świetlny.

- Jakim cudem Dorvan tego dokonał bez datapadu? - nie mógł nadziwić się Lando, gdy pokonywali kolejne zakręty.

- To biurokrata - stwierdził Han. - Oni lubią takie szczegóły.

- Może jest wrażliwy na Moc, tylko o tym nie wie - zażartował Zekk. - Trzeba mieć szczególne zdolności, żeby się tu nie zgubić. A skoro o tym mowa... - Zwolnił, marszcząc brwi. -

Chyba nie tędy przyszliśmy. Powinniśmy wcześniej skręcić w lewo.

- Numery się nie zgadzały - odparł Han. - To tu.

Zekk poszedł za nim, ale wyraz troski na jego twarzy jeszcze się pogłębił, a Leia wyczuwała, że wcale nie jest przekonany, czy Han ma rację.

- Kochanie, jesteś pewien? - spytała męża. - Nietrudno tu zabłądzić.

- Numery rosną - powiedział Han. - Dobrze idziemy.

- Rosną? - powtórzył Lando, zatrzymując się. - Han, mieliśmy szukać czterdziestu jeden.

- Nie, nie, Dorvan powiedział cztery-jedenaście - odparł niecierpliwie Han.

Leia popatrzyła na numery. Schodzili po schodach bardzo często i numery, które zaczęły się od jednocyfrowych, wzrosły już do ponad trzystu. Poczowała ściskanie w dołku.

- Han - zwróciła się do męża - Dorvan powiedział cztery-jeden-A, nie cztery-jedenaście.

- Nie-e, nieprawda. - Han się zatrzymał. Zesztywniał i odwrócił się z niemal komicznym wyrazem nadziei pomieszanej z protestem. - Tak powiedział?

- Obawiam się, że tak, stary - odparł Lando ze zmęczeniem. - A ja chyba jestem już za stary, żeby wspinać się z powrotem po tych wszystkich schodach. - Han zamknął oczy z żalną miną.

Leia dotknęła delikatnie jego ramienia. - To nic, chłopie - dodał Lando, siląc się na nonszalancki ton. - Nikt nawet nie wie, że tu jesteśmy, i na pewno nie dostaną się tu z zewnątrz. Te drzwi po prostu znikają. Nie musimy się spieszyć. Odpoczniemy, a potem..

- Nie - wtrąciła nagle Leia. Spojrzała na Zekka, który pokiwał głową. - Nie możemy. Ktoś za nami idzie.

- *Bloah* - zaklął Han. - To moja wina.

- To pierwszy... - zaczął Lando, ale Leia uciszyła go gestem.

- Czekaście - powiedziała. Posługując się Mocą, wskoczyła na schody, po których dopiero co zeszli, rozpuszczając w locie włosy. Wylądowała lekko, wybrała na chybił trafił jedne drzwi i zostawiła przy nich spinkę do włosów. Włosy opadały jej teraz na twarz, ale powinno to zmylić pogoń, przynajmniej na jakiś czas.

Zeskoczyła z powrotem na dół.

- Zostawiłam fałszywy trop - oznajmiła. - Wybierzcie drzwi i chodźmy.

- Ale nie wiemy... - zaczął Lando.

- Ona ma rację - przerwał mu Han. - Wszystko jest lepsze niż to. Poza tym mam już dość schodów.

Podszedł do najbliższych drzwi, otworzył je i wszyscy przez nie wybiegli.

Wprost do podziemi.

Han i Leia oglądali cykl reportaży na ich temat w Przeglądzie Wydarzeń Perrego Needma.

Widzieli, jak to miejsce coraz bardziej pogrąża się w chaosie i przemocy. Jednak ekipa Przeglądu nie zdołała w pełni oddać rozmiarów, jakie przybrał nagły rozrost roślinności. Rośliny były wszędzie. Każdy rozpadający się budynek dławił się niemal pod żywym zielonym dywanem.

Pnącza sprawiały wrażenie, jakby poruszały się samodzielnie, Leia jednak widziała przemykające wśród gąszczu gangi. Miejsce było tak przesiąknięte strachem, rozpaczą i prawie nienaturalną aurą wrogości, że musiała szybko osłonić się przed tym w Mocą.

- Cudownie - stwierdził Zekk. - Miło widzieć zdrowo rozwijającą się wegetację.

- Hej, wolę już walczyć, niż być ścigany - odparł Han.

- Mam miecz świetlny - zauważył Zekk.

- A ja Moc - powiedziała Leia.

- A my mamy blastery - dodał Han. - Chodźmy.

## ROZDZIAŁ 43

- Ile?

Roki zadała Workanowi to pytanie już po raz siódmy w ciągu ostatniej godziny, dociekając, ile głosów może zmobilizować.

- Czekamy na jeszcze dwóch - odparł, robiąc wszystko, żeby jego głos brzmiał miło i sympatycznie. - Wtedy powinniśmy mieć cztery piąte.

- Nie lubię czekać, Suldar.

- Wiem, moja pani. - To określenie zdawało się zawsze łagodzić jej gniew. - Ale wkrótce tu będą.

- Mam nadzieję. Jest tyle do zrobienia! To tylko pierwszy krok i nie mogę się doczekać, żeby ruszyć dalej.

- Wiem, pani. Powinni się zjawić lada chwila.

Lady Enara Massar spojrzała na niego. Wiedziała oczywiście o Roki, Kiedy zdecydował się ją poprzeć - chociaż nie miał właściwie większego wyboru - poinformował wszystkich podległych mu Sithów, że mają zrobić to samo. Kilku się sprzeciwiło. Zostali oddelegowani do zbadania czeluści Świątyni Jedi i słuch po nich zaginął.

- Wolałbym, żeby była odrobinę bardziej cierpliwa - wyznał Enarze. - Nie wszystkie pająki wypuszczają się w pogoń za ofiarą. Niektóre po prostu przędą swoją pajęczynę i czekają, aż ich przyszły obiad wpadnie w lepłą sieć. Czy parę godzin oczekiwania to tak dużo, kiedy w grę wchodzi tytuł przywódczyni Galaktycznego Sojuszu?

- Na to wygląda - odparła Enara współczującym tonem. - Chociaż trzeba uczciwie przyznać, że słuchanie przez godzinę gładzenia Padnela Ovina nawet cierpliwość Wielkiego Lorda wystawiłoby na próbę.

- Tu masz rację - przyznał.

Klatooinianin rozwodził się nad historią swoją i swojego świata już od - Workan to sprawdził - godziny i siedemnastu minut. Teraz zaczynał opowiadać o męczeńskiej śmierci swojego brata.

- Przed kolacją może dojdzie do swojego przylotu na Coruscant - mruknął Workan. -

Szkoda, że nie da się go jakoś pospieszyć.

- ...wiedział, że jego śmierć stanie się inspiracją dla innych, żeby poprzeć sprawę - mówił

Padnel. Stał cały czas w niewzruszonej pozie. Przepisy mówiły, że nie może usiąść ani odejść.

Gdyby to zrobił, jego czas by się skończył. Nie tylko Kem i Workan się niecierpliwili; nikt się nie spodziewał, że jego mowa może potrwać choćby połowę tego czasu. A Padnel wcale nie zwalniał

tempa. W jego głosie nie było słyhać żadnych oznak zmęczenia. - Ci, którzy zginęli w ataku, to byli inni wojownicy, żołnierze. Nie cywile. Grunel przywiązywał wielką wagę...

- Sir - powiedziała Enara głosem zdradzającym zadowolenie. - Senatorowie Sh'klaa i Onoru już się zameldowali. Idą zająć swoje miejsca. W ciągu pięciu minut będą gotowi do oddania głosów.

- Znakomicie - ucieszył się Workan. Włączył komunikator.

- Roki Kem - odezwał się rażny głos.

- Pani - powiedział Workan, pozwalając sobie na nutkę satysfakcji w głosie. - Z

przyjemnością informuję, że ostatni dwaj senatorowie weszli do budynku i zacierają do swoich platform. Jak tylko Padnel Ovin skończy, a prędzej czy później będzie musiał choćby skorzystać z odświezacza, twoje panowanie nad Galaktycznym Sojuszem stanie się faktem. To koniec naszych trosk. Proponuję, żebyś się odprężyła i popatrzyła po raz ostatni na Padnela Ovina.

- Rzeczywiście więcej go nie zobaczę - zgodziła się Roki - ale dość już mam czekania.

Lodowaty ton jej głosu przyprawił Workana o dreszcze. Czy ona... czy ona oszalała?

Wynajęła zabójcę, żeby zlikwidował Ovina w środku przemówienia, albo zrobiła coś równie szokującego? Usiadł prosto ze wzrokiem utkwionym w ciągle perorującym Ovinie i w tym momencie Klatooinianin urwał w pół zdania, po czym zachwiał się lekko.

- ...Piaskowe Pantery unikały... o-ofiar wśród cywilów... Czy mogę prosić o wodę?

I nagle Workan zrozumiał. Dobra była. Bardzo dobra. Jakimś sposobem zdołała całkowicie ukryć przed nim swoje zdolności posługiwania się Mocą. I oczywiście także przed Volem. Być może w ten właśnie sposób udało jej się wzbudzić takie uwielbienie wśród swoich rodaków w trakcie i po kryzysie, jaki ogarnął ich świat. A teraz naturalnie, z ustami zakrytymi jedną ręką i otwartymi szeroko oczami, wpatrywała się w przyszłego eks-przywódcę jak uosobienie wrażliwości i współczucia.

Kaatik podał Owinowi wodę, przyglądając mu się z troską.

- Senatorze - powiedział - myślę, że przedstawił pan już swoje stanowisko. Może powinien pan...

- Nie! - warknął Padnel, patrząc na niego z wściekłością. - Jeszcze nie skończyłem! Mogę mówić tak długo, jak mi się podoba, i będę...

Chwycił się za klatkę piersiową, z trudem łapiąc powietrze. A potem, na oczach setek istot i milionów oglądających transmisję na żywo, Padnel Ovin, pełniący obowiązki przywódcy Galaktycznego Sojuszu, upadł.

Zapanował chaos. Wszyscy patrzyli w napięciu, jak zjawiają się droidy medyczne i przystępują do pracy. Kaatik, którego błękitna skóra miała bledszy odcień niż parę chwil wcześniej, wrócił do mikrofonu.

- Proszę o spokój! Posiedzenie się nie zakończyło! Padnel Ovin jest nieprzytomny, ale jego stan jest stabilny. Zostanie natychmiast przewieziony do Ośrodka Medycznego Galaktycznego Senatu.

- Wnoszę o przełożenie głosowania do czasu powrotu Padnela Ovina do zdrowia. - Wniosek został zgłoszony, jak można się było spodziewać, przez senatora Wuula.

Nie! - pomyślał Workan. Jeśli Padnel umrze, zanim Roki zostanie mianowana, urząd trafi w ręce Wynna Dorvana. A to byłaby katastrofa.

Zerwał się na równe nogi.

- Wnoszę o przeprowadzenie głosowania! - zawołał. - Oczywiście, jak wszyscy tutaj, mam nadzieję, że senator Ovin wróci do zdrowia, ale pozostaje faktem, że jeśli tak się stanie, wciąż będzie tą samą istotą, a jego przywództwo zostało zakwestionowane. Twierdzę, że podjęcie decyzji o tym, kto ma stać na czele Galaktycznego Sojuszu, jest teraz ważniejsze niż kiedykolwiek!

Całą etykietę i porządek diabli wzięli. Przewodniczący najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę, bo nie upominał Wuula ani Workana za zabieraniu głosu poza kolejnością.

- Zgadzam się z szanownym senatorem z B'nish - powiedział Kaatik, wyraźnie wstrząśnięty.

- Proszę o oddawanie głosów.

Workan usiadł. Wciąż jeszcze wszystko mogło wziąć w łeb. Większość z jego

„zwolenników” nie była Sithami. Byli to po prostu naiwni nowicjusze, którzy szukali kogoś, kto by im wskazał właściwy kierunek. Gdyby incydent z Padnelem poruszył ich na tyle, że postanowiliby opowiedzieć się po stronie Dorvana zamiast zaryzykować wybór Kem - co ona mogłaby zrobić?

Wywołać u wszystkich atak serca?

I zdał sobie sprawę, że jest to możliwe.

Wcisnął szybko przycisk z napisem „Tak” i rozsiadł się wygodnie, wykorzystując Moc, żeby się uspokoić. Inni także pospiesznie oddawali głosy, pragnąc mieć to już za sobą; chcieli obrać jakiś kierunek, jakikolwiek kierunek.

Przewodniczący zdawał się dochodzić do siebie, przeglądając wyniki głosowania. Wreszcie podniósł wzrok. Jego twarz nic nie zdradzała, ale Workan wyczuwał w Mocy jego rozczarowanie i

niepokój.

Pytanie brzmiało: kto sprawił mu zawód, wygrywając?

- Mam zaszczyt ogłosić - powiedział Kaatik - że większością czterech piątych głosów, przy dwudziestu czterech głosach wstrzymujących się, senator z Qarasa, Rokari Kem, została...

Resztę obwieszczenia zagłuszyła żywiołowa owacja. Workan, zaskoczony tym, jak wielką poczuł ulgę, wstał i wiwatował razem z innymi. Poczował dotyk Roki w Mocy, wyrażający zadowolenie i pochwałę - taką, jakiej można by udzielić zwierzęciu, które doskonale wykonało jakąś sztuczkę. Workan postarał się, żeby jego irytacja nie dała się wyczuć.

Roki wyprowadziła swoją platformę na środek, pozdrawiając tłum. Nie wszyscy się cieszyli, ale większość tak. Dlaczego nie mieliby się cieszyć? Rokari Kem była legendą, bohaterką, kimś, kogo można było podziwiać i naśladować. A teraz miała ich przeprowadzić przez ten czas lęku i niepokoju.

- Bardzo dziękuję - powiedziała Roki zachrypłym z emocji głosem. - Jak wiecie, Jessarowie nie mówią rzeczy, które nie są prawdą, więc możecie mi wierzyć, kiedy powiem, że wasza wiara w to, że mogę wami dobrze i odważnie pokierować, jest dla mnie zaszczytem, którego nie potrafię wyrazić słowami.

Rozległa się kolejna burza oklasków. Mówiła im dokładnie to, co chcieli usłyszeć, niewątpliwie kierując się tym, co wyczuła od nich w Mocy. Workan znów powściągnął gniew, który czuł na myśl o tym, że dał się jej oszukać.

- Moją pierwszą decyzją jako przywódczyni Galaktycznego Sojuszu będzie zarekwirowanie opuszczonej Świątyni Jedi na swoją siedzibę - oznajmiła. Workan był zaskoczony. Rozmawiali wprawdzie o tym, że miałyby się tam z czasem przenieść, ale tak od razu?

Wiwatujący tłum wydawał się skonsternowany, ale słuchał dalej.

- Jedi postanowili zerwać więzy z Galaktycznym Sojuszem. Z pewnością jako jego przywódczyni mogę pod ich nieobecność zrobić z tego miejsca lepszy użytek. Będzie to sygnał dla Jedi, że nie mogą lekkomyślnie podejmować takich decyzji. Jeśli chcą odejść, mają oczywiście takie prawo, ale nie powinni oczekiwać, że powitamy ich z powrotem z otwartymi ramionami.

Każdy musi odpowiadać za swoje postępowanie.

Poczował jej delikatny dotyk w Mocy - trącał go jak chitlik Dorvana szukający smakołyku.

Uśmiechnął się, wiedząc, co ona wyczuje; rozumiał, że w ten sam sposób dotyka wszystkich w tej ogromnej sali. Nie nazbyt otwarcie, ale tak, żeby uwierzyli, że się z nią zgadzają.

- Przedłużający się areszt Jedi Leii Organy Solo oraz plotki o innych wciąż tu obecnych Jedi, takich jak zbiegła więźniarka Tahiri Veila, budzą mój wielki niepokój. - I faktycznie sprawiała wrażenie ogromnie zaniepokojonej, ogromnie zatroskanej o swój lud. - Jak dotąd nie udało się postawić Solo



przed sądem. Będę sugerowała senackiej podkomisji, żeby rozważyła inne rozwiązanie, chociaż może się ono wydać drastyczne. Skoro jednak Jedi nie chcą tu żyć, to w przypadku złamania naszego prawa powinni podlegać karze śmierci.

Teraz posunęła się za daleko, pomyślał Workan. Wyczuł wzburzenie na sali. Uwięzienie to jedno, ale egzekucja? Roki wysłała fale kojącego spokoju i, ku swojemu zdumieniu, Workan poczuł, że przynajmniej niektórzy zaczęli zmieniać zdanie.

- To był ciężki dzień dla nas wszystkich - stwierdziła - i proponuję, oczywiście za zgodą Senatu, zakończyć dzisiejsze posiedzenie, żebyście mogli wszyscy wrócić do swoich obowiązków.

Ja tymczasem udam się do Świątyni Jedi, aby wszyscy mogli się przekonać, że moja chęć ochrony was wszystkich przed Jedi jest szczerą. Jeszcze raz dziękuję. Obiecuję nie zawieść zaufania, jakim mnie obdarzyliście!

Szepnęła coś do swojego asystenta, który skierował platformę repulsorową z powrotem do jej doku. Workan włączył komunikator, marszcząc brwi.

- Myślę, że to błąd - powiedział. - Powinnaś udać się do swojego nowego gabinetu i zacząć omawiać swoje obowiązki z Dorvanem. Musisz przynajmniej udawać, że pracujesz dla istot, które cię wybrały!

- A ja myślę, że tak będzie idealnie - odparła Roki. - Muszę pokazać nowy kierunek, w którym podąży Sojusz. Pomyśl, jakie to robi wrażenie, kiedy pokażą w holowiadomościach, jak wkraczam do bastionu Jedi!

Workan zdał sobie sprawę, że ona nienawidzi Jedi prawie tak samo jak Sithowie. I z jakiegoś powodu wzbudziło to jego niepokój.

Trzydzieści siedem minut później na schodach Świątyni Jedi roiło się od holodziennikarzy.

Mieszkający obecnie w Świątyni Sithowie rasy Keshiri ulotnili się, żeby któryś z bardziej przedsiębiorczych reporterów nie dostrzegł gdzieś jakiejś pięknej lawendowej twarzy, a Workan wysłał tych Sithów rasy ludzkiej, z którymi zdołał się skontaktować, żeby - przynajmniej w jakimś stopniu - przygotowali Świątynię na przybycie przywódczyni.

Nalegała, żeby jej towarzyszył, bo chciała zasygnalizować opinii publicznej łączącą ich przyjaźń. Tak więc Arcylord Ivaar Workan szedł ramię w ramię z Rokari Kem, gdy wchodziła po stopniach Świątyni, która kiedyś należała do ich wrogów, a teraz była ich własnością. Była to upojna, podniecająca chwila, chociaż radość Workana mącił nieco żal, że Wielki Lord nie mógł

tego zobaczyć.

No, ale z drugiej strony nie byłby teraz u boku Roki Kem, gdyby Vol żył.

Nie udzielała żadnych wywiadów. Uśmiechała się tylko przepraszająco za każdym razem, gdy któryś reporter coś do niej krzyczał, i szła dalej w długiej, połyskującej sukni, która wyglądała jak falująca

woda. Doszli na sam szczyt, odwrócili się i spojrzeli w dół.

Tyle podziwu na wpatrzonych w nią twarzach. Tyle wiary, zaufania i nadziei. A ona... jej twarz emanowała miłością, całkowicie fałszywą, do ludu, na którego czele stała.

Workanowi przyszło do głowy, że może wcale nie dzieli jej tak dużo od tego, żeby zostać

„boginią”.

Roki zamachała po raz ostatni i weszła do Świątyni. Kilkunastu czekających tam Sithów stanęło na baczność. Wśród nich byli senatorowie, przedsiębiorcy, holoprezentery, szefowie ochrony, wszyscy piękni i gotowi do służby. Workan był z nich szalenie dumny.

Jedna z asystentek Roki rozmawiała przez komunikator. Wyłączyła go, podeszła do swojej pani i się ukloniła.

- Mam dobre i złe wiadomości, pani - oznajmiła. - Po pierwsze, miło mi poinformować, że dwie minuty temu senator Padnel Ovin zmarł.

Roki rzuciła jej fałszywie słodki uśmiech.

- Już o tym wiedziałam - odparła i zachichotała cicho. - Jakie są inne wiadomości?

Kobieta się zawahała.

- No cóż - powiedziała. - Niestety wygląda na to, że Jedi Solo zdołała zbiec, zanim zdążyliśmy ją umieścić w lepiej zabezpieczonym miejscu w oczekiwaniu na egzekucję.

Roki ściągnęła niebieskozielone brwi i nawet Workan musiał się przygotować na spodziewany atak furii.

- Uciekła? Kto to zrobił? Znajdę ich i zniszczę!

- Pani - nalegała kobieta - proszę... Udało nam się schwytać jednego z tych, którzy pomogli jej przy ucieczce. Ściągnęliśmy go tutaj, zakładając, że zechcesz go zobaczyć i... sama wymierzyć mu karę.

Workan poczuł, jak gniew Roki ustępuje wobec perspektywy torturowania tego, który ją rozdrażnił.

- Słusznie zakładaliście - przyznała. - Przeprowadzić go do mnie. Natychmiast.

Kobieta ukloniła się ponownie i odeszła pospiesznie, mówiąc coś do komunikatora. Workan odwrócił się w stronę Roki.

- Zdajesz sobie sprawę, że Leia i jej wybawcy nie mogli wiedzieć o twojej... eee, nowej polityce względem Jedi - powiedział. - To po prostu niefortunny zbieg okoliczności.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Niefortunny dla nich - odparła. - Pożałują, że w ogóle ją znali, kiedy dostaną ich w swoje ręce. Ale najpierw dowiem się tego, czego chcę.

Workan ciekaw był, kto ośmielił się wyciągnąć Leię z więzienia. Z całą pewnością był

wśród nich jej mąż. Zastanawiał się, gdzie może być adoptowana córka Leii - Amelia, jeśli dobrze pamiętał. Gdyby udało się ją znaleźć, byłaby to niewątpliwie znakomita karta przetargowa.

Asystentka wróciła, a wraz z nią dwóch mężczyzn. Między sobą na wpół prowadzili, a na wpół wlekli trzeciego mężczyznę. Na głowę miał zarzucony worek, a ręce mocno, i bez wątpienia boleśnie, związane. Strażnicy przyprowadzili więźnia do Roki i stanęli, czekając na rozkazy.

Najpierw zwróciła się do więźnia.

- Na kolana - rozkazała. - Okaż szacunek swojej Ukochanej Królowej Gwiazd.

Więzień się nie ruszył. Jeden ze strażników go popchnął i więzień jęknął, gdy jego kolana uderzyły o kamienną posadzkę.

- Zdjąć worek - powiedziała Roki.

Zarzucili mu na głowę worek, jak tylko się pojawił. Powalili go i pobili dosłownie do nieprzytomności. Dorvan dopiero niedawno się ocknął i stwierdził, że ma związane ręce i worek wciąż naciągnięty na głowę. Kiedy mu go zdjęli, światło było tak oślepiające, że bolały go oczy.

Kiedy odzyskał wzrok, zobaczył przed sobą piękną, niebieską kobiecą twarz.

Rokari Kem. Zamrugął z niedowierzaniem. Najwyraźniej był wciąż nieprzytomny.

- Wynn Dorvan - powiedziała miękkim głosem. - Przyznaję, że to dla mnie niespodzianka.

Ale miła. Służyłeś już dwóm przywódcom. I, jak sądzę, innym, o których nie wiemy. Jeszcze.

Nachyliła się z uśmiechem i ujęła w dłonie jego posiniaczoną twarz, podnosząc mu głowę.

- Dużo wiesz, prawda? Rzeczy, które mogą być mi bardzo przydatne. Bądź pewien, Wynn, że dowiem się wszystkiego: co wiesz, co widziałeś, kogo znasz... w taki czy inny sposób. Może nawet pozwolę ci żyć... jeśli nauczysz się mnie kochać.

Jej uśmiech, piękny, słodki, dobrotliwy i całkowicie fałszywy, zaczął się rozszerzać.

I rozszerzać.

Rozciągnął się na całą twarz, tak że się na niej nie mieścił, sięgając niemal do uszu. Jej skóra zbladła, a oczy zaczęły zapadać się w głąb oczodołów. Włosy zmieniły się z niebieskozielonych w jasnożółte i rosły coraz bardziej, aż sięgały jej do stóp. Ręka, która trzymała go za podbródek, stała się śliska; drobne macki zmuszały go, żeby patrzył jej w oczy. Oczy, które wyglądały jak maleńkie

gwiazdy w czarnej dziurze.

I nagle pojął całą tragedię, która rozgrywała się na jego oczach.

Abeloth i Zapomniane Plemię Sithów przybyli na Coruscant... i przejęli władzę nad Galaktycznym Sojuszem.

## **Na pokładzie „Cienia Jade”**

Z początku Vestara myślała, że jakaś jej część narzuca ciału to odrętwienie. Że być może to, co zrobiła, było tak haniebne, tak odrażające, że nie mogła sobie pozwolić, by odczuć prawdziwą wagę decyzji, którą podjęła zaledwie parę godzin wcześniej. Była przecież pewna, że powinno dręczyć ją poczucie winy, groza i nienawiść do samej siebie, a... wcale tak nie było.

Wszystko to przypominało sen. Uśmiechnęła się gorzko na myśl o tej ironii losu. Leżała, wpatrując się w sufit „Cienia Jade”, a myśli przebiegały jej przez głowę z prędkością lecącego statku. Sen; koszmar wywołany przez rhak-skuri? Nie, nie było tak prostego i wygodnego usprawiedliwienia dla tego, co zrobiła.

Ona, Vestara Khai, zamordowała Rycerza Jedi. I zrobiła to z zimną krwią, celowo i z pełną świadomością swojej decyzji. Nie można było nawet powiedzieć, że jej czyn był jak zwykłe morderstwo. Vestara nie pozbawiła po prostu Natui Wan życia. Zerwała jej maskę, wiedząc, że skazuje w ten sposób Falleenkę na straszliwe halucynacje, a przerażenie Natui ułagodzi rhak-skuri.

Vestara przez cały ten czas miała maskę na twarzy.

Stworzenie chciało dopaść Bena, a ona nie miała zamiaru mu go oddać. Nie było innego wyjścia.

Jednak ta myśl była taką samą przyjemną fikcją jak wmawianie sobie, że znajdowała się pod wpływem feromonów rhak-skuri. Zawsze jest jakieś wyjście. Mogła stanąć ramię w ramię z Natuą -

Rycerz Jedi i przyszła Rycerz Jedi - do walki z tym stworzeniem. I może nawet zdołałyby je pokonać.

Ale nie wybrała tej drogi. A w dodatku nawet teraz tego nie żałowała.

Mogła analizować swoje uczucia i myśli, jednak wiedziała, że gdyby znalazła się w tej sytuacji po raz drugi, podjęłaby taką samą decyzję. I wiedziała też, że gdyby Ben kiedykolwiek się o tym dowiedział, gardziłby nią za to, co zrobiła. Wolalby raczej zginąć straszliwą śmiercią, w okowach szaleństwa, niż mieć na rękach krew niewinnej istoty.

Jak dobrze, że to ona ma krew na rękach. Ben nie musiał o niczym wiedzieć.

Nie musiał wiedzieć, że odrzuciła filozofię Jedi i przyjęła właściwy Sithom sposób postępowania przy podejmowaniu bolesnych decyzji.

Usłyszała znów w głowie syk stworzenia i odwróciła się; w końcu coś poczuła, nawet jeśli był to tylko mglisty niepokój. Stworzenie ją przyzywało. Chciało, żeby poszła z nim.

Vestara tego nie zrobiła. Znów musiała dokonać wyboru, więc postanowiła zostać z Benem.

Uderzyła ze złością pięścią w poduszkę. Jakie to wszystko miało znaczenie? Zrobiła to, co zrobiła - ocaliła Bena. Zrobiła to, ponieważ chciała być z nim i zostać Jedi.

I nagle zdała sobie sprawę z gorzkiej, nieuniknionej, bezlitosnej nielogiczności tej myśli.

Nigdy nie zostanie Jedi. Nigdy nie nauczy się myśleć tak jak oni. Nie nauczy się myśleć tak jak Ben. Nawet wtedy, gdy Vestara sądziła, że wie, czego chce - tak łatwo, tak bezwiednie wybrała metodę Sithów, żeby to osiągnąć.

Nigdy w życiu nie pragnęła niczego tak bardzo jak być z Benem Skywalkerem. A jednak pełne spektrum miłości, jakie przed nią rozciągał, w jakimś sensie ją przerażało. Był gotów oddać się jej całkowicie, bez reszty, a ona wiedziała, że taka bezbronność by ją zniszczyła. Gdyby tylko mógł przejść na Ciemną Stronę...

Ale on nie mógłby być Sithem. Nie mógłby się nauczyć myśleć tak jak oni; nie nauczyłyby się myśleć tak jak ona.

A więc niech się tak stanie. Vestara Khai była Sithanką i gdy tak leżała, obserwując gwiazdy przemykające za oknem, podjęła decyzję godną Sitha. Zostanie z Benem tak długo, jak będzie mogła. Odda mu tyle ze swojego serca, ile tylko będzie potrafiła, chociaż wiedziała, że dla niego to zawsze będzie za mało. I będzie przy nim dotąd, aż pewnego dnia, gdy ich drogi nieuchronnie się rozejdą, kochankowie staną się wrogami.

A gdy ten dzień nadejdzie, jej serce pęknie na tysiąc kawałków, kiedy go zabije.

## **PODZIĘKOWANIA**

*Poza fantastycznymi współautorami i redaktorkami pragną podziękować następującym osobom:*

*Lelandowi Chee*

*Pablowi HidalgoJeffreyowi KirbyDavidowi MoenchDavidowi PomericoJoe'emu Scaloraoraz Legionowi 501.*

*Niech Moc będzie z Wami!*

## **Spis Treści**

### **BOHATEROWIE POWIEŚCI**

#### **ROZDZIAŁ 1**

#### **ROZDZIAŁ 2**

#### **ROZDZIAŁ 3**

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

PODZIĘKOWANIA

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)